

MIĘDZYNARODOWY BESTSELLER

Strzeż się marzeń bardziej niż **koszmarów**

UWAŻAJ, CZEGO PRAGNIESZ



ADELE PARKS



ADELE PARKS

**UWAŻAJ,
CZEGO
PRAGNIESZ**

PRZEŁOŻYŁA Z ANGIELSKIEGO

Urszula Gardner



*Dla Jima i Conrada.
Wygrałam na loterii życia.*

„THE BUCKINGHAMSHIRE GAZETTE”

9 listopada 2015

Elaine Winterdale, 37-letnia zarządczyni nieruchomości oskarżona o zaniechanie obowiązków służbowych polegające na niedopilnowaniu sprawności piecyka gazowego, otrzymała wyrok w zawieszeniu za przyczynienie się do śmierci dwojga lokatorów wskutek zatrucia tlenkiem węgla.

Reveka Albu, l. 29, oraz jej syn Benke, l. 2, zostali znalezieni martwi przez 32-letniego Tomę Albu w wynajmowanym przez całą rodzinę mieszkaniu w Reading 23 grudnia 2014 roku.

Dzisiejszy wyrok zapadł w Sądzie Koronnym w Reading w następstwie przeprowadzonego przy współudziale głównego inspektora BHP dochodzenia, które wykazało, że Elaine Winterdale złamała przepisy dotyczące bezpieczeństwa w użytkowaniu instalacji gazowej, zaniehbując kontrole kominiarskie na przestrzeni trzech kolejnych lat i ukrywając ten fakt przed swoim pracodawcą i zarazem właścicielem nieruchomości.

W czerwcu 2011 roku w mieszkaniu stawił się pracownik gazowni z zamiarem wymiany licznika gazu. Przy okazji kontroli instalacji gazowej towarzyszącej tej czynności odnotował on, że piecyk „stanowi bezpośrednie zagrożenie” ze względu na „spaliny wydobywające się z rury dymowej”, po czym szwankujące urządzenie odłączył. Kopia raportu została wręczona pani Albu oraz wysłana do Elaine Winterdale, która jednak w żaden sposób nie zareagowała ani nie przekazała dokumentu właścicielowi nieruchomości.

Piecyka gazowego nigdy nie naprawiono. Przez dwa i pół roku jedynym źródłem ogrzewania w mieszkaniu był pożyczony piecyk elektryczny.

Dnia 22 października 2014 roku pan Albu był w delegacji. Po powrocie do domu stwierdził, że w mieszkaniu jest ciepło; żona poinformowała go, że w odpowiedzi na ponawiane monity Elaine Winterdale w końcu zleciła podłączenie piecyka gazowego.

Wieczorem 23 grudnia 2014 roku pan Albu, przepracowawszy dwie zmiany z rzędu, wrócił do domu, gdzie zastał żonę i syna martwych. Autopsja wykazała, że krew kobiety była wysycona tlenkiem węgla w 61%, przy czym śmiertelny jest już poziom 50%.

Elaine Winterdale przyznała się do złamania przepisów w siedmiu punktach i usłyszała wyrok skazujący ją na 16 miesięcy więzienia w zawieszeniu na dwa lata. Ponadto została skazana na odpracowanie 200 godzin prac społecznych, wpłacenie 4000 funtów grzywny oraz zwrot kosztów procesu w wysokości 17 500 funtów.

1

LEXI

SOBOTA, 20 KWIETNIA

Nie czuję się na siłach wrócić prosto do domu, do Jake'a. Nie jestem gotowa zmierzyć się z konsekwencjami. Muszę sobie najpierw wszystko poukładać. Ale jak? Od czego mam zacząć? Naprawdę nie wiem. Ta pustka w głowie mnie przeraża. Na ogół zdaję sobie sprawę z tego, co trzeba zrobić. Rozwiązanie problemu, sposób na poradzenie sobie z czymś, nadanie wydarzeniom pożądanego kierunku – to moja specjalność. Jestem Lexi Greenwood, uważana powszechnie za naprawiaczkę. Mam uśmiech dla każdego (niektórzy mogliby nawet powiedzieć z pewną złośliwością, że lubię uszczęśliwiać ludzi na siłę). Oto ja, Lexi Greenwood: żona, matka, przyjaciółka.

Możesz myśleć, że kogoś znasz. Ale w rzeczywistości go nie znasz, nie tak naprawdę. To po prostu niemożliwe.

Muszę się napić. Podjeżdżam pod pub. A niech tam, zostawię samochód pod lokalem i wrócę do domu pieszo, a auto odbiorę rano. Zamawiam kieliszek czerwonego wina, duży, po czym rozglądam się za zacisznym

miejszem w rogu, gdzie będę mogła wypić go w spokoju. Jest wielkanocny weekend, niespotykane ciepły. W pubie panuje ruch i gwar. Kiedy przedzieram się przez tłum, kilkoro sąsiadów unosi w moją stronę kieliszki, zapraszając, abym się do nich przyłączyła; inni pytają o dzieci i Jake'a. Każdy tutaj zdaje się w świątecznym nastroju, radosny. Ja czuję się zdystansowana. Zagubiona. Na tym polega problem z małymi miejscowościami. Wszyscy się znają. Czasami napawa mnie to otuchą, częściej jednak denerwuje. Zbywam przyjazne gesty uprzejmie, przepraszając, i nie ustaję w poszukiwaniach miejsca na uboczu. Otacza mnie weekendowa atmosfera, ale ja wciąż czuję się oszołomiona, zestresowana, wyalienowana.

Można myśleć, że się kogoś zna.

Co to oznacza dla naszej grupy? Naszej rodziny? Przyjaciół będących jak rodzina? Wolne żarty. Najwyraźniej przyjaźń się skończyła. Przez jakiś czas nie przyjmowałam faktów do wiadomości w nadziei, że to tylko nieporozumienie, że da się to wyjaśnić. Nic jednak tego nie tłumaczy.

Powiedziałam Jake'owi, że nie będzie mnie tylko przez chwilę; chyba muszę wysłać mu esemesa, że jednak zejdzie mi dłużej. Sięgam po telefon i w tym samym momencie pojmuję, że wychodząc z domu w pośpiechu, nie zabrałam ze sobą komórki. Jake będzie się zastanawiał, gdzie jestem. Mam to gdzieś. Dopijam wino. Cierpki smak atakuje moje gardło, przesycając mnie uczuciem szoku, a zarazem ulgi. Później ponownie podchodzę do baru i zamawiam jeszcze raz to samo.

Pub znajduje się zaledwie dziesięć minut spacerkiem od naszego domu, ale gdy udaję się w drogę, dociera do mnie, że wino zrobiło swoje. Niestety nie upijam się na wesoło i teraz, zamiast bujać w obłokach czy pałać miłością do wszystkiego, czuję, jak paranoja i gniew przybierają na sile. Co mogłabym zrobić, aby wszystko naprawić? Muszę coś zrobić. Nie mogę

przecież żyć dalej, jakby nic się nie stało. Jakbym o niczym nie wiedziała. Prawda?

Zbliżając się do domu, dostrzegam Jake'a. Wygląda przez okno. Ledwie go poznaję. Wydaje się spięty, podminowany. Na mój widok rzuca się do drzwi, by otworzyć je na oścież.

– Lexi. Lexi, wchodź szybko – ni to szepcze, ni to syczy, wyraźnie wzburzony. – Gdzie ty się podziewałaś? Dlaczego nie zabrałaś telefonu? Dzwoniłem do ciebie. Chciałem się z tobą skontaktować.

O co znowu może chodzić? Przed oczami staje mi nasz syn.

– Logan? Coś mu się stało? – pytam zaniepokojona.

Od dłuższego czasu stoję na krawędzi, nie trzeba wiele, żebym dopuściła do siebie najczarniejsze myśli. Rozbita głowa, połamane nogi... Wizyta na pogotowiu nie byłaby niczym niezwykłym – trzynastoletni Logan jest śmiałkiem z rodzaju tych, dla których zjazd po rynnie z piętra, gdzie jego pokój, to rozsądny pomysł, kiedy ma szlaban, a chce pokopać piłkę. Piętnastoletnia Emily nigdy nie sprawia mi problemów.

– Nie, nie. Nic mu nie jest. Oboje są w swoich pokojach. Chodzi o... Słuchaj, wejdź do środka, nie mogę ci tego powiedzieć tutaj.

Jake podryguje jak marionetka. Nie potrafię go przejrzeć. Mój umysł spowija alkoholowa mgiełka, poza tym nie wyparował jeszcze ze mnie gniew ani wstręt. Mam mężowi za złe, że dramatyzuje, choć przecież nie wie, z czym muszę sobie radzić. Nigdy go jeszcze takiego nie widziałam. Jedno dotknięcie może oznaczać porażenie elektryczne, taki jest naładowany złą energią.

Wchodzę za nim do domu. Stawia długie kroki, poganiając mnie, abym szła szybciej. Zwalniam, celowo niedomyślna. W holu odwraca się do mnie, bierze głęboki wdech, przeczesuje dłońmi włosy, ale nie chce, nie

może spojrzeć mi w oczy. Przez jeden szalony moment obawiam się, że zaraz się przyzna do romansu.

– No dobrze, powiedz mi tylko, czy w tym tygodniu nadałaś kupon lotto? – wyrzuca z siebie w końcu.

– Tak. – Nadaję kupon lotto co tydzień od piętnastu lat. Wbrew zamieszaniu z ubiegłego tygodnia postąpiłam zgodnie ze swoim nawykiem.

Jake bierze kolejny głęboki oddech, zasysając całe powietrze z holu.

– No dobrze, a czy... – urywa i wreszcie podnosi na mnie wzrok. Nie jestem pewna, co widzę w jego oczach, chyba bolesną tęsknotę, strach i panikę. Ale też odrobinę nadziei. – Wybrałaś te same liczby co zawsze?

– Tak.

Szczęki ma nadal zaciśnięte.

– I masz ten kupon?

– Tak.

– Jesteś pewna?

– Tak, jest przypięty do tablicy korkowej w kuchni. A co? Co się dzieje?

– O kurwa. – Jake z siłą sztormu wypuszcza wstrzymywany od dłuższej chwili oddech. Opiera się na moment o ścianę, po czym zaraz się od niej odrywa, chwyta mnie za rękę i wciąga do pokoju, który w zamyśle miał być jadalnią, ale skończył jako połączenie gabinetu i wysypiska. Dzieci odrabiają tu czasem lekcje, ja płacę domowe rachunki, a wszędzie wokół walają się sterty rzeczy do uprasowania, sflaczałe piłki futbolowe i stare trampki.

Jake siada przed komputerem i zaczyna pośpiesznie otwierać różne okna.

– Nawet nie wiedziałem, czy mamy kupon, ale kiedy twój powrót się opóźniał, a ja skończyłem oglądać film, pomyślałem, że zajrzę. Sam nie wiem dlaczego. Pewnie z przyzwyczajenia. No i patrz.

– Na co? – Nadal nie rozumiem, do czego zmierza. Nie nadążam za nim być może przez wino, a być może przez to, że głowę mam wciąż zaprzątniętą zdradą i fałszem. Spoglądam na ekran. Strona lotto. Krzykliwa i głośna. Przyprawiająca o zawrót głowy mieszanina jaskrawych kolorów i czcionek.

Kolejno: 1, 8, 20, 29, 49, 58. Te liczby mrugają na mnie z ekranu. Znajome liczby. Ale zarazem tak bardzo nie na miejscu.

– Nie rozumiem. To jakiś żart?

– Nie, Lexi. Nie! To prawda. Właśnie wygraliśmy w lotto!

2

LEXI

17,8 miliona funtów.

17,8 miliona funtów.

17,8 miliona funtów.

Nieważne, ile razy to sobie powtarzam, w dalszym ciągu jest to dla mnie niepojęte. Właściwie z każdą chwilą nasza wygrana wydaje mi się mniej rzeczywista. Nie rozumiem, co oznacza. Nie tak do końca. Nasze liczby migają na ekranie. Bez ustanku, sprawdzam to raz po raz, ale wciąż tam są. Tak samo jak inne cyfry, mówiące razem, ile nasz kupon jest wart: 17 870 896 funtów. Tyle pieniędzy! Biegnę do kuchni i zdejmuję kupon z tablicy korkowej, kierowana nagłym strachem, że zerwał go pechowy poryw wiatru albo że któreś z dzieci go odpięło, szukając miejsca dla upomnienia ze szkoły. Zwłaszcza to ostatnie nie ma za grosz sensu, ponieważ w całej historii naszej rodziny ani Emily, ani Logan nie przypięli do tablicy żadnego upomnienia; jeśli już je znajdowałam, to zmięte na dnie plecaka. Gapię się na dziurkę w papierze powstałą w wyniku przekłucia przez pinezkę i na lekko zgięty jeden róg. Jak ten świstek może być wart 17,8 miliona funtów? To nie do wiary. Całkowicie niezrozumiałe. Co to oznacza dla nas? Odwracam się do Jake'a, żeby sprawdzić, czy on coś z tego rozumie. Napotykam jego szeroki uśmiech. Najszerszy, jaki

u niego widziałam, odkąd pamiętam. Przypominają mi się nasze wczesne lata. Czas, gdy byliśmy przepełnieni nadzieją i szczęściem. W rezultacie prychnam śmiechem przez nos.

– Jesteś pewien, że wszystko się zgadza?

– Absolutnie. Sprawdziłem. Losowanie na YouTube obejrzałem sześć razy. Ogłosili, że jest zwycięzca. Tylko jeden. Lexi, wygraliśmy! Jesteśmy bogaci. Bogatsi, niżbyśmy mogli przypuszczać w najśmielszych snach.

Chichoczę, tak mnie rozbawia to stwierdzenie. „Bogatsi, niżbyśmy mogli przypuszczać w najśmielszych snach” – w ten sposób mówią wyłącznie bohaterowie kiepskich sztuk i filmów. Czuję mrowienie na całym ciele. Końcówki wszystkich nerwów mam aktywne. Nieomal sprawia mi to ból.

– Ojej. Ojej. Co teraz zrobimy? – pytam.

– Musimy zgłosić wygraną.

– Jak się to robi? – Palce mam zimne, nieruchome, ale zarazem jest mi gorąco i wydają się unosić nad ziemią. Tracę panowanie nad sobą. Czy na pewno wypiałam tylko dwa kieliszki wina? Odnoszę wrażenie, że było ich sześć. Ale to chyba szok.

– Nie wiem. Ale wszystko powinniśmy znaleźć w internecie. – Jake przesuwa kursorem po ekranie, klika na różne przyciski. Ja nadal nie wierzę w nasze szczęście. Nie śmiem. To nie może być prawda. To zbyt niesamowite. Zbyt cudowne. Drzę. Podejrzewam, że Jake słyszy szczęknięcie moich zębów. Zauważam, że i jemu trzęsą się ręce. – Mam. Infolinia dla zwycięzców. Musimy tam zadzwonić.

Jake milknie i dalej tylko się we mnie wpatruje. Oczy mu błyszczą, spojrzenie ma czujne, ale rozbiegane. Sięga po słuchawkę telefonu stacjonarnego i zaczyna wybierać numer. Prawie nigdy nie korzystamy

z tradycyjnego aparatu, ale powaga chwili wymaga wyjątkowych środków, a komórka wydaje się w tym momencie za mało poważna.

– Chyba wygraliśmy. Całą sumę. Rozbiliśmy bank. – Z tego, że Jake wygląda na lekko zirytowanego, i z jego odpowiedzi wnioskuję, że osoba po drugiej stronie pyta, czy osobiście kupił los. – Nie. Kupiła go moja żona. Oczywiście, że za niego zapłaciła... Tak, tak, jest obok mnie. – Przekazuje mi słuchawkę. – Chcą rozmawiać z tobą.

Jakimś cudem udaje mi się przebrnąć przez pytania weryfikacyjne, które potwierdzają, gdzie i kiedy kupiłam los. Domyślam się, że niektórzy ludzie znajdują kupony albo je kradną. Tymczasem organizatorzy muszą mieć pewność, że jestem jego pełnoprawną właścicielką.

– Proszę teraz napisać swoje imię i nazwisko z tyłu kuponu, o ile jeszcze pani tego nie zrobiła – radzi kobieta po drugiej stronie linii. Głos ma spokojny, co dobrze na mnie wpływa, ale też trochę mnie dziwi. Zastanawiam się, ile podobnych rozmów ze zwycięzcami przeprowadziła; z ludźmi, których życie już nigdy nie miało być takie samo po odłożeniu słuchawki. Zastanawiam się, jak to jest być nią. W tym momencie ledwie sobie radzę z byciem sobą. Mam wrażenie, jakbym doświadczała eksterioryzacji. Nie jestem w stanie się skupić ani poprawnie rozumować, kiedy rozlegają się słowa: – No cóż, moje gratulacje. Rzeczywiście wygrała pani!

– Wszystko? Co do pensa? – W dalszym ciągu nie wierzę.

– Tak – potwierdza kobieta. – Wszystko co do pensa. Równiutko siedemnaście milionów osiemset siedemdziesiąt tysięcy i osiemset dziewięćdziesiąt sześć funtów. – Wyrecytowanie kwoty, choć ogromnej, nie sprawia jej najmniejszej trudności. Zaczynam znowu chichotać. To niemożliwe. Zaledwie przed chwilą sądziłam, że to najgorszy wieczór w moim życiu, tymczasem dzień jednak obrócił się na lepsze. Co ja mówię? Moje życie obróciło się na lepsze! – Pani Greenwood – kobieta wyrывa mnie z zamyślenia – mamy pracowników, którzy przeprowadzą panią przez

cały proces, ale w pierwszej kolejności musimy wiedzieć, czy chce pani nagłośnić wygraną.

– Nie, raczej nie. – Wyobrażam sobie, że woleliby, abym zrobiła im reklamę. Taka historia opisana w gazetach na pewno zwiększa liczbę sprzedanych kuponów. Intuicja podpowiada mi jednak, by zachować wszystko w tajemnicy.

– Nie musi pani podejmować decyzji już teraz – mówi, jakby słyszała moje myśli. – Wkrótce skontaktuje się z panią jeden z naszych doradców. Proszę się spodziewać maila albo telefonu z propozycją spotkania. Najprawdopodobniej w najbliższy wtorek. Normalnie byłoby to szybciej, ale że mamy święta...

– Tak, tak, cokolwiek państwu pasuje. – Nie chcę sprawiać problemu; nie chcę, żeby przeze mnie ktoś musiał pracować w wolny dzień.

– O kwestii nagłośnienia też będzie pani mogła porozmawiać z naszym doradcą, który przedstawi pani wszystkie kroki po kolei.

Jake wyrywa mi słuchawkę z dłoni.

– Czy ten doradca będzie miał ze sobą czek?

Nawet z tej odległości słyszę rozbawienie w głosie kobiety.

– Nie. Wcześniej trzeba załatwić masę spraw papierkowych. Numer konta i tak dalej.

– Kiedy dostaniemy nasze pieniądze? – dopytuje Jake.

Gromię go wzrokiem. Zachowuje się jak prostak. Nie mam pojęcia, jak dystygowanie zareagować na wygraną prawie osiemnastu milionów funtów, ale nie sądzę, aby wypadało się domagać pieniędzy.

– Jak już powiedziałam, skontaktuje się z państwem nasz doradca. Ale jeśli wszystko przebiegnie sprawnie, a nie widzę powodu, aby tak się nie stało, pieniądze znajdą się na państwa koncie w środę. Najpóźniej w czwartek.

– Mówimy o najbliższym tygodniu?

– Tak.

Po zakończonej rozmowie wpatrujemy się w siebie oszołomieni.

Następnie, wiedzeni komunikacją bez słów wypracowaną przez prawie dwadzieścia lat małżeństwa, rzucamy się sobie w ramiona i całujemy się z żarem, jakiego nie było w naszej relacji od końca pierwszego tygodnia randkowania. Natarczywie i triumfalnie, niecierpliwie i entuzjastycznie. Nie myśląc o niczym innym i po prostu ciesząc się chwilą, kochamy się namiętnie, pośpiesznie na blacie biurka. Dziesięć lat albo dłużej seks był ograniczony do sypialni. Ta ekscytująca nowatorska forma zachłannego i radosnego współżycia sprawia oczywiście, że wszystko kończy się szybko. Podciągam spodnie od dresu i lekko zażenowana wybucham śmiechem.

– No, ty naprawdę zgarnęłaś całą pulę.

Jake nie zwalnia uścisku i łaskocząc mnie ciepłym powietrzem, dyszy mi w szyję:

– Tak właściwie, technicznie rzecz biorąc, to ty zgarnęłaś całą pulę. Ty wysłałaś kupon. Wygrana jest twoja. Dlatego chcieli rozmawiać z tobą.

Ponownie parskam.

– Co jest moje, to jest twoje, prawda? – Zawsze tak u nas było. Odkąd pamiętam. Stanowimy tandem. Mąż i żona. Druga połówka jest jak kolega czy koleżanka z drużyny, tak? Potrząsam głową, gdy zakrada się do niej niepokojąca myśl. Nie mogę jej jednak zignorować. – Jake... Co będzie z Heathcote'ami i Pearsonami?

Jake momentalnie się odsuwa; wysiłki skupia na podciągnięciu bokserek i dżinsów, nie patrzy więc na mnie.

– A co ma być?

– Dopiero co odwiedziłam Jennifer i Freda. To u nich byłam wcześniej.

– Czyli nie zaniosałaś książki Dianie Roper, jak mówiłaś?

– Nie.

W normalnych okolicznościach spiekłabym raka, że go okłamałam, ale w obliczu zaistniałej sytuacji ten drobiazg umyka nam obojgu. Nie chciałam mówić Jake’owi, że zamierzam sprawdzić, czy nasi przyjaciele faktycznie wyjechali na weekend do siostry Freda. Szczególnie że mógłby chcieć mnie przed tym powstrzymać. Obawiałam się, że będzie mi dokuczał i upierał się, że przejmuję się bez powodu.

W czym oczywiście by się mylił.

– Nie wyjechali. Choć twierdzili, że to zrobią – informuję.

– Aha.

– Przejechałam pod ich domem. Jak myślisz, o co może chodzić? Dlaczego nas okłamali?

– Nie mam pojęcia.

– Nie martwi cię, że nas okłamali?

– Ani trochę – powarkuje Jake. Z tonu jego głosu wnoszę, że jest wręcz przeciwnie. Jake stoi ze spuszczoną głową. Wpatruję się w niego, co chyba wyczuwa, bo prostuje się i krzyżuje ze mną spojrzenie. Oddychając szybko i płytko, dodaje: – Lexi, właśnie wygraliśmy w lotto.

– Ale co z Heathcote’ami i Pearsonami?

Robi zadowoloną, zwycięską minę. Ale coś w linii jego warg zdradza, że wewnątrz cierpi. Czyżby jednak się martwił? Przyciąga mnie do siebie i mówi:

– Słuchaj, to karma, po tym jak się zachowali w ubiegłym tygodniu.

– Tylko Patrick źle się zachował.

– Pozostali wzięli jego stronę. To było upokarzające. Nie potrzebujemy ich – szepcze.

Składam mu głowę piersi i wdycham jego zapach.

– Tak myślisz? Nie potrzebujemy ich? – pytam. Chcę w to wierzyć.

– Teraz już nie, Lexi. Mamy wszystko.

Rozważam jego słowa. Pragnę głównie bezpieczeństwa. Kiedyś myślałam, że bogactwo zapewni mi uczucie niezwyciężoności, ale jeśli mam być szczerą, jestem pełna obaw. Wtulam twarz w szyję męża. Zawsze był moją opoką, czekam więc, aż ogarnie mnie uczucie śmiałej niezłomności.

– Musimy się zastanowić, jak przekazemy im wiadomość.

– Kupię sobie ferrari i przejadę pod ich domami – odpowiada Jake. – Pieprzyć ich, Lexi. Jesteśmy bogaci!

Takie to cudowne, że znów chichoczę.

– Bogatsi, niżbyśmy mogli przypuszczać w najśmielszych snach – powtarzam wcześniejsze słowa mojego przystojnego męża, po czym całuję go w usta i ściskam z całych sił, odpychając od siebie myśli o ludziach, których uważałam za swoich najlepszych przyjaciół, zupełnie niesłusznie, jak się okazuje.

3

LEXI

NIEDZIELA, 21 KWIETNIA

Kiedy się budzę, serce bije mi tak szybko i tak mocno, że aż je słyszę. Oczywiście wszystko przez adrenalinę i ekscytację, ale też niemal pewność, że ktoś zaraz na mnie wyskoczy z okrzykiem: „To był tylko żart!”. Nadal nie wierzę, że wygraliśmy. Nie pojmuję masy bogactwa, które stało się nasze. To szaleństwo! Jakby dla potwierdzenia tego cudu sypialnię zalewa fala słońca zza okna. Dzień jest niesłychanie piękny. Nie pamiętam tak ciepłej Wielkanocy; mogłabym przysiąc, że któregoś roku mieliśmy nawet śnieg! Jak to możliwe, że z dnia na dzień życie stało się takie cudowne?

Praktycznie nie zmrużyliśmy oka. Jakżebyśmy mogli? Leżeliśmy obok siebie, trzymając się za ręce, i szeptem roztrząsaliśmy, jak do tego doszło. Co to oznacza. Co powinniśmy teraz zrobić. Snuliśmy plany długo w noc, a właściwie do białego rana. Iluzoryczności temu wszystkiemu przydaje fakt, że przez ostatnie godziny to zagłębialiśmy się we śnie i w swoje ciała, to się z nich wynurzaliśmy. Czepialiśmy się siebie nawzajem w całkiem nowy, splątany, intensywny sposób. Wciąż nie jestem pewna, co jest

rzeczywistością, a co snem. Marzeniem. Jake przez całą noc szeptał mi do ucha. Że mnie kocha. Że odtąd wszystko będzie idealnie. Że nie mamy się czym martwić. Że już nigdy nie będziemy musieli się niczym martwić. Powtarzał to bez końca, jak hipnotyzer. Chcę mu wierzyć. Niczego więcej nie pragnę.

Wstajemy o siódmej i schodzimy na dół, żeby zaparzyć kawę. Jake morduje się ze starym perkolatorem, po który bardzo rzadko sięga. W gruncie rzeczy nie pamiętam, kiedy używaliśmy go ostatni raz. Kawa mielona chyba już dawno zwietrzała. Ale to nic, rozumiem, dokąd to zmierza, gdy w kuchni roznosi się aromat mówiący, że pora sobie pofolgować. Płatki kukurydziane nie wystarczą dzisiaj rano. Zrobimy sobie tosty francuskie. Rozbijam kilka jajek do płytkiej płaskiej miski, podśpiewując przy tym. Czuję, jak przez całe moje ciało przemyka fala podniecenia; w pamięci wciąż mam namiętny szept Jake'a, sącząca się uwodzicielską perspektywę. Co za okazja. Ale z nas szczęściarze. Ale ze mnie szczęściara.

– Lexi, dasz wiarę? – pyta mnie po raz tysięczny Jake.

– Nie, nie do końca.

– Jestem innym człowiekiem!

– Naprawdę? Pod jakim względem dokładnie? – rzucam mu delikatnie wyzwanie.

– No dobrze, jestem tym samym człowiekiem, ale wiesz, lepszym. Bogatszym. Zdecydowanie bogatszym. – Wybuchu śmiechem. – Nie mogę się doczekać, aż dzieciaki wstaną. A może pójdziemy je obudzić? To przecież coś w rodzaju Bożego Narodzenia, tylko z jednym gigantycznym prezentem, zgodzisz się?

Od kilku lat w Boże Narodzenie wstajemy przed dziećmi. Postrzegam to jako bonus – mam czas posłuchać radia, przyrządzić świąteczną

brukselkę. Jeśli o mnie chodzi, Boże Narodzenie sprowadza się do jedzenia, spędzania czasu z rodziną i – idealnie – odrobiny refleksji. Z kolei Jake’a denerwuje polegwanie dzieci; chciałby, aby jak najszybciej otworzyły swoje prezenty. Uwielbia oboje rozpieszczać, widzieć ich rozpromienione twarze, gdy odkrywają, że jednak kupił im to, czego ostatnio tak pożądały, mimo iż ledwie możemy sobie pozwolić na podobne fanaberie. Według mojego męża w Bożym Narodzeniu chodzi o dawanie rzeczy i korzystanie z nich.

– Zastanawiałam się nad tym. Może nie powinniśmy im mówić od razu... – proponuję ostrożnie.

– Jak to?

– Zaczekajmy, aż nabierzemy pewności.

– Przecież mamy pewność.

– Mimo wszystko to skomplikowane, prawda? Emily przyjaźni się z Megan i chodzi z Ridleyem. Raczej nie zdoła utrzymać buzi na kłódkę. A wydawało mi się, że im dłużej zachowamy wygraną w tajemnicy przed Heathcote’ami i Pearsonami, tym lepiej.

– Jak konkretnie zamierzasz ukryć wygraną tej wysokości, Lexi?

– Nie chcę niczego ukrywać.

– Będziemy musieli poinformować nasze rodziny.

– Oczywiście.

– Wszyscy będą oczekiwali kawałka tortu. No, może nie oczekiwać, ale na pewno mieć nadzieję, to zupełnie naturalne. Jaka kwota ich zadowoli, jak sądzisz? – Zachowuje się jak podekscytowane dziecko. Wiem, że już się nie może doczekać chwili, w której zaczniesz rozdawać pakiety pieniędzy.

Potrząsam lekko głową dla przejaśnienia myśli. Nie sposób mieć trzeźwo pracującego umysłu po tym wszystkim, czego się wczoraj dowiedziałam. I po nieprzespanej nocy. Z jednej strony tyle straciłam,

z drugiej – tyle zyskałam. Ich zdradę, jego miłość. Czuję, że głowa i serce zaraz mi eksplodują.

– Po prostu uważam, że lepiej z tym poczekać, aż pieniądze znajdą się na koncie. Tak na wszelki wypadek.

Jake nie odrywa ode mnie spojrzenia.

– Ja chcesz to uchować w sekrecie przed dziećmi? Natychmiast się zorientują, że coś jest na rzeczy. To się dzieje, Lexi. Naprawdę. – Szczerzy się do mnie całym swym obliczem, wygląda tak, jakby twarz miała mu się rozpęknąć na dwoje.

– Ale to wielka odpowiedzialność – upieram się. – Coś takiego odmieni ich życie na dobre. Musimy się zastanowić, jak im to przekazać, podać pomysły, jak powinni się przystosować...

– Do czego? – wtrąca Logan.

Na dźwięk jego głosu podskakuję. Skąd się tu wziął? Mam ochotę się kopnąć; przez całe to podniecenie straciłam czujność. Przecież wiem – i zazwyczaj pamiętam – że co najmniej jedno z naszych dzieci czai się gdzieś w pobliżu, zwłaszcza gdy w powietrzu unosi się zapach jedzenia.

– Wygraliśmy w lotto! – krzyczy Jake.

– Co? – Logan wykazuje sceptycyzm.

– Siedemnaście milionów osiemset tysięcy funtów, chłopcze. Jesteśmy, kurwa, milionerami!

– Jake!

– Przepraszam za przekleństwo, zapomniałem się.

Tak naprawdę chodziło mi o jego brak dyskrecji i ostrożności, nie o przeklinanie.

– Serio? – pyta nasz syn. Spojrzenie ma wbite we mnie; najprawdopodobniej myśli, że ojciec go nabiera. – Jesteśmy milionerami?

– Wielokrotnymi – potwierdzam ze wzruszeniem ramion i uśmiechem. – Wszystko na to wskazuje. Liczby się zgadzają, no i zadzwoniliśmy, żeby się upewnić, ale...

Nie jest mi dane skończyć, ponieważ Logan zaczyna wrzeszczeć, a właściwie kwiczeć jak świnia. Podskakuje w miejscu jak sprężynka, po czym pędzi do ojca i wpada na niego, tak że ich ciała zderzają się z dużą siłą. Przypomina to skrzyżowanie uścisku i ataku. Chłopak nie potrafi się opanować. Dosłownie musuje ze szczęścia. Wspaniały widok.

– Co tu się dzieje? – W kuchni pojawia się Emily.

– Wygraliśmy w lotto – informuje ją Logan. – Jesteśmy milionerami. Wygraliśmy ponad siedemnaście milionów funtów!

Emily nie łapie przynęty.

– Taaa, jasne. – Leniwym ruchem sięga po płatki kukurydziane.

– Ale to prawda, księżniczko – mówi Jake, po czym odrywa ją od ziemi i okręca się z nią jak kiedyś, gdy była znacznie mniejsza i nie tak czuła na punkcie własnej dumy.

– Poważnie? – pyta Emily, obrzucając mnie ostrożnym, pełnym niedowierzania spojrzeniem.

– Tak. – Kiwam głową i uśmiecham się promiennie.

Emily wybucha płaczem. Moment później zbijamy się w ciasną grupkę, przeistoczeni w amalgamat uścisków, pisków i łez szczęścia.

Zostaliśmy ocaleni.

4

EMILY

WTOREK, 23 KWIETNIA

Emily, wstawaj. Twój budzik nie zadzwonił. Zaspałaś. – Mama puka głośno do drzwi mojego pokoju, otwiera je i wchodzi do środka, trzymając w ręku świeżo wyprasowaną białą bluzkę. Zupełnie jakby ostatni weekend się nie wydarzył. – No dalej, skarbie, bo nie zdążysz na autobus – naciska.

– Muszę iść do szkoły?

– Źle się czujesz?

– Nie.

– W takim razie musisz. – Mama jest zdziwiona.

– Przecież wygraliśmy w lotto – przypominam jej.

– Emily, zadziwiasz mnie. Właż pod prysznic. Ruszaj się.

Wypada z mojego pokoju i chwilę później słyszę, jak toczy niemal identyczną rozmowę z Loganem.

– Jaki jest sens bycia milionerem, skoro muszę chodzić do szkoły? – oburza się mój brat.

– Chłopak ma rację! – woła tata z sypialni rodziców. Uśmiecham się pod nosem. Tata zawsze bierze naszą stronę.

– Dalibyście spokój. Ja nie żartuję. No, wstawajże – nalega mama w pokoju obok.

Pozostaję w łóżku. Zastanawiam się, jak będzie dziś w szkole. W tym roku i tak wolne wypadło jakoś dziwnie. Kto idzie do szkoły zaraz po Wielkanocy? Kto idzie do szkoły, zostawszy milionerem? Rodzice zabronili nam mówić komukolwiek o wygranej, czego nie rozumiem; co ich powstrzymuje przed ogłoszeniem prawdy całemu światu? Jesteśmy bogaci. Zarabicie bogaci! Mama twierdzi, że powinnam przestać o tym myśleć. Ale niby jak? Może jeszcze mam ukrywać wygraną przed Ridleyem i Megan? Stało się! Jesteśmy multimilionerami! Mama zachowuje się czasami tak, jakby umiała czytać mi w myślach; teraz też to robi. Zagląda znów do mojego pokoju ze zmieszana miną.

– Wiem, że trudno ci to będzie utrzymać w tajemnicy przed Ridleyem i Megan.

– Niedopowiedzenie roku. Dlaczego nie mogę im powiedzieć?

– Dlatego, że ich rodzice źle by to odebrali. Do zeszłego tygodnia wysyłaliśmy kupony wspólnie.

– Tak, aż stwierdzili, że to głupota.

– Jestem pewna, że teraz zmienią zdanie.

– A nie możemy po prostu dać im trochę pieniędzy?

Mama nie odpowiada. Wygląda na rozdartą. Moralność jest dla niej bardzo ważna i wiecznie robi z niej wielkie halo. Na przykład jak jedziemy do Londynu, żeby zobaczyć jakieś przedstawienie w West Endzie, i spotkamy na ulicy bezdomnego, co jest więcej niż pewne, upiera się, by dać mu równowartość jednego biletu. Tata za każdym razem powtarza, że to marnotrawstwo, bo bezdomni wszystko przepiją albo co gorsza, dadzą

sobie w żyłę, lecz że mówi to w trakcie antraktu przy kieliszku czerwonego wina, mama nie musi nawet się odzywać, wystarczy, że wbije wzrok w jego kieliszek.

– Nie wolno nam puścić pary z ust, dopóki tata i ja nie sfinalizujemy tej sprawy i nie spotkamy się z przedstawicielem lotto. Uwierz mi, tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Słyszę to chyba po raz milionowy, co oznacza, że mama naprawdę się zawzięła. Jakbym mogła mieć co do tego jakieś wątpliwości. Ona wszystko traktuje strasznie poważnie – nawet wygraną w lotto, jak widać. Okropna z niej psujzabawa.

Oczywiście wiem, że Heathcote'owie i Pearsonowie nie będą zachwyceni. Wyobrażacie sobie wycofanie się z gry na tydzień przed tym, jak wylosują wasze numery? To ci pech! Ale Ridley i ja wyjdziemy z tego cali. Choć mamy dopiero po piętnaście lat, myślimy o sobie poważnie. Ridley jest tym jedynym. Łączy nas pokrewieństwo dusz. Tylko Megan nie jestem pewna. Sądzę, że wybuchnie. Z zazdrości. Jasne, że ją kocham i że ona kocha mnie, ale obie jesteśmy nastolatkami i czasem zwyczajnie się nienawidzimy. Tak więc mama ma pewnie rację: gównu się rozleje.

Rozlega się trzask drzwi. O nie, Logan pierwszy dotarł do łazienki. Teraz będzie ją okupował nie wiem jak długo i jeszcze zostawi po sobie smród. Narzucam na ramiona szlafrok i wlekę się na dół; wiem, że mama za żadne skarby świata nie pozwoli mi dziś zwagarować – i wygrana nie ma tu nic do rzeczy. Wykształcenie jest zdaniem mamy najważniejsze. To motor zmiany i tak dalej, i tak dalej. Osobiście uważam, że przecenia edukację. Wygrana w lotto także jest motorem zmiany, prawda?

Zalewając płatki kukurydziane mlekiem, zerkam na zapiski zrobione wczoraj. W kuchni zawsze poniewiera się notes, w którym mama zapisuje sobie, co trzeba kupić; są tam również wyniki naszej gry w monopol czy

karty, a czasami mama albo tata piszą do Logana czy do mnie liścik, jeśli mają się spóźnić. Parę słów o tym, co jest do jedzenia i jak długo to podgrzewać, zupełnie jakby nie było esemesów. Ale wczoraj użyliśmy zwykłego notesu do spisania naszych marzeń. Z uśmiechem przerzucam kolejne strony.

Na jednej stoi: *czerwona cebula, sos mięsny, wybielacz*. Na drugiej: *tata – ferrari, Emily – wakacje w Nowym Jorku, Logan – basen (z domem)*, przy czym dopisek w nawiasie pojawił się po chwili, gdy już mu wytłumaczyliśmy, że nasz ogród jest za mały na basen. *Mama – nowa kanapa*. Coś mi się zdaje, że mama nie do końca łapie, o co w tym chodzi; tata powiedział, że kupi nam wszystko, cokolwiek byśmy chcieli, a ona wystrzeliła z kanapą. Gdy już się pośmialiśmy, zasugerowaliśmy, żeby popuściła wodze fantazji, na co nastroszona odparła: „Nasza kanapa jest już mocno wygnieciona, przydałaby się nam nowa”. Komiczne.

Tata obiecał, że zarezerwuje pobyt w Nowym Jorku za dzień albo dwa. Zrobiliby to od razu, ale powiedział, że rozmach, z jakim powinniśmy zaszałeć, nadwerężyłby wszystkie jego karty kredytowe, a wygrana jeszcze nie trafiła na nasze konto. Wszystko wskazuje, że polecimy pierwszą klasą. Dotąd nigdy jeszcze nie podróżowaliśmy w ten sposób, ale tata mówi, że nie mamy nawet co myśleć o mniej komfortowych warunkach. Zerknęliśmy na parę zachwycających hoteli, jeden lepszy od drugiego. Wpisaliśmy w wyszukiwarkę „najlepsze 5-gwiazdkowe hotele w Nowym Jorku” i dosłownie opadły nam szczęki. Nie umieliśmy się zdecydować, wszystkie były niezmiernie. Nigdy nawet nie spaliśmy w czymś podobnym. Właściwie to nie jeździmy po hotelach. Koleżanka mamy z pracy ma mieszkanie na południu Hiszpanii i zazwyczaj to tam jeździmy. Daje nam dziesięcioprocentową zniżkę od kwoty wyszczególnionej na Airbnb. A jak byliśmy w Edynburgu, zatrzymaliśmy się w pensjonacie. Było miło,

mieliśmy puchate ręczniki i całkiem spory telewizor, ale te luksusowe hotele w Nowym Jorku to zupełnie inna liga! Wszystkie mają SPA, baseny na dachu, saloniki VIP-owskie i oszałamiające restauracje w chłodnych piwnicach. Są tak eleganckie, że aż nierzeczywiste. Nie wiedzieliśmy, który wybrać, przeskakiwaliśmy więc z jednej strony na drugą, raczej przytłoczeni.

Koniec końców nasz wybór padł na Ritz-Carlton Hotel, głównie dlatego, iż o Ritzu każdy słyszał i od razu wiadomo, że to ekskluzywna miejscówka. Rodzice śpiewali jakąś starą zwariowaną piosenkę... jak to szło?... *Puttin' On the Ritz*, ale chyba nie znali jej dobrze, bo głównie powtarzali tę jedną linijkę, a kiedy skończyli, zanieśli się śmiechem. Taki to był wyjątkowy, zdumiewający, bezprecedensowy dzień. Wszystko nas śmieszyło! Tak sobie myślę, i bardzo chcę w to wierzyć, że być może już nigdy żadne z nas nie będzie złe ani smutne, ani podenerwowane. Przynajmniej nie tak naprawdę.

Ten hotel stoi niedaleko Central Parku. Od dawna chcę zobaczyć Central Park, a już na pewno od czasu, jak obejrzałam ten stary serial, który mama tak uwielbia, pod tytułem *Przyjaciele*. Ritz-Carlton to naprawdę najwytworniejszy, najszykowniejszy hotel, jaki jesteście sobie w stanie wyobrazić. Tata nawet powiedział, że Logan i ja dostaniemy własne pokoje, żebyśmy nie musieli się dzielić. Rodzice wezmą dla siebie apartament, dzięki czemu będziemy mieli gdzie odpocząć po całym dniu robienia zakupów na Piątej Alei, która jest rajem dla każdej kobiety. Już nie mogę się doczekać!

W całym swoim życiu nie przeżyłam wspanialszego dnia niż wczorajszy. Tata szybko się znudził wymyślaniem, na co możemy wydać pieniądze; zapragnął wyjść z domu i faktycznie coś wydać. Mama zadzwoniła ponownie do biura lotto i po powtórny, poczwórnym

upewnieniu się, że wygrana naprawdę jest nasza, powiedziała, że możemy pojechać pociągiem do Londynu i zaszaleć w domu towarowym Topshop na Oxford Street.

Mimo wszystko kupiła nam zniżkowy bilet rodzinny. Kiedy tata zaczął z niej żartować, odparła przez zaciśnięte wargi: „Nie ma sensu trwonić pieniędzy”.

Na miejscu wpadłam w amok, dosłownie. Tata powiedział, że mogę wybrać cokolwiek z całego sklepu. „Stać nas na wszystko”, dodał ze śmiechem. Przymierzyłam chyba tysiąc rzeczy. Powiedzieliśmy ekspedientce, że wygraliśmy w lotto. Gdy już ją przekonaliśmy, że to nie żaden wygłup, pozwoliła mi zabrać do przymierzalni masę strojów, choć normalnie limit wynosi osiem sztuk. A dzisiaj nawet nie pamiętam, co ostatecznie kupiłam. Mnóstwo topów i legginsów do ćwiczeń z linii Ivy Park firmowanej przez Beyoncé, torebkę kuferek, niezwykle uroczą, kolczyki, czapkę bejsbolową w cętki, parę letnich sukienek, szorty, oczywiście ileś T-shirtów, pogubiłam się, może ze dwadzieścia, a może trzydzieści, nie wiem. Nie mam też pojęcia, gdzie będę je wszystkie nosiła, ale przypuszczam, że od tej pory będziemy dużo wyjeżdżali, więc chyba jednak będę miała okazję je wszystkie włożyć. Logan obkupił się w bliźniaczym megasklepie Topman, przebijając nawet mnie, bo kiedy nie potrafił się zdecydować na kolor, brał po prostu kilka takich samych rzeczy, tyle że w różnych barwach.

Dojadam płatki, płuczę miseczkę i złapawszy kubek z herbatą, wlekę się po schodach na górę. W swoim pokoju rozkładałam na podłodze i łóżku wczorajsze zdobycze. Nie chce mi się wierzyć, że i tak będę musiała włożyć na siebie ten durny mundurek szkolny.

Ktoś puka do drzwi. Spodziewam się zobaczyć mamę, która zaraz każe mi się pośpieszyć, wziąć szybki prysznic i pędzić na autobus, ale to nie

mama wiercąca mi dziurę w brzuchu, tylko uśmiechnięty od ucha do ucha tata. Logan stoi w przedpokoju, nadal z mokrymi włosami i ręcznikiem owiniętym wokół bioder. Najwyraźniej jemu też nigdzie się nie śpieszy.

– Witaj, księżniczko.

Odwzajemniam uśmiech.

– Cześć, tato. Przeglądam właśnie łupy. W dalszym ciągu nie mogę w to uwierzyć. A ty?

– Nie bardzo. – Szczerzy do mnie zęby i pociera jedną ręką włosy, co robi wyłącznie wtedy, gdy jest uradowany. Stojący za nim Logan boksuje powietrze; zaczął wczoraj wieczorem i jak widać, nie przestał, chyba że na czas snu. – Słuchaj... – odzywa się tata z cichym westchnieniem. – Mama prosiła mnie, abym ci przypomniał, że na razie nie dzielimy się z nikim nowiną.

– Wiem, wiem. Ciągle to powtarza.

– Obawia się reakcji innych ludzi.

– Ale właściwie czemu? – wtrąca Logan.

– Och, no wiesz. Ludzie bywają zazdrośni, zachowują się dziwnie...

– Dziwnie? Co masz na myśli?

Tata unika odpowiedzi wprost, zamiast tego mówi:

– Mama obawia się o wasze bezpieczeństwo.

– Bezpieczeństwo? – Logan nie posiada się z ekscytacji. – Znaczący ktoś może nas porwać?

– Tego nie powiedziałem – kontruje spokojnie tata.

– Co w takim razie? – Logan wydaje się rozczarowany, że nowo zdobyte bogactwo nie naraża go na bezpośrednie ryzyko.

– Nasz doradca chce z nami pomówić o listach z prośbami. Wiesz, tego typu rzeczy. Domyślam się, że jak prawda wyjdzie na jaw, ludzie zaczną się zwracać do nas o pieniądze.

– Mamy ich całe mnóstwo, więc może część powinniśmy rozdać? – proponuje mój brat, dowodząc, jak bardzo nie zna się na ludziach.

Tata wspaniałomyślnie nie komentuje jego słów, tylko pyta:

– No tak, ale gdzie by to się skończyło? Wesprzemy jakąś organizację charytatywną, oczywiście, że to zrobimy, wcześniej jednak musimy wszystko dobrze przemyśleć.

– A ja i tak nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie będziemy mogli powiedzieć innym – rzucam uśmiechnięta, wyobrażając sobie minę Ridleya i Megan.

Nie mogę się doczekać!

5

TOMA

ŚRODA, 6 LUTEGO

Chcesz herbatę? Nastawiam wodę.

Nie odpowiedział. Nie w sposób artykułowany. Bolały go wszystkie kości. Był tak przemoknięty i tak zmarznięty, że często przy budzeniu potrzebował kilku chwil, zanim przypomniał sobie, gdzie jest. Kim jest. Czym...

Na ulicy. Wdowiec. Imigrant.

Wpatrywał się w nią, kobietę, która zadała pytanie. Wyglądała na miłą, zatroskaną. Zdążył się nauczyć, że szybka ocena charakteru drugiego człowieka to bardzo ważna umiejętność. Mimo wszystko pozostał łatwowierny. Niektórzy sprawiali miłe wrażenie, a potem kradli ci buty. Ale ta kobieta nie była bezdomna. Włosy uczesała w schludny kucyk i miała na sobie garsonkę, co mogło sugerować, że pracuje w biurze, pod którym spał. Nie zmienił wyrazu twarzy; nadal był pełen obaw i smutku, zły na cały świat. Bezdomni nie lubią, gdy się ich budzi. Zresztą czy ktokolwiek to lubi? Sen jest ucieczką. A przebudzenie najczęściej oznacza, że trzeba

będzie ruszyć dalej. W najlepszym razie. W najgorszym zaś? W najgorszym razie ktoś ich opluwa, rabuje, bije. Dlatego gapił się na kobietę wzrokiem zranionego zwierzęcia – dziki, lecz bezradny.

Odpowiedziała machnięciem kluczy przed jego nosem i ruchem głowy wskazującym drzwi, które blokował. Odsunął się więc na bok, aby mogła je otworzyć. Zrobiła to, po czym minęła go i przestąpiła próg. Jeden krok, a wywołał u niego ukłucie. Zazdrościł kobiecie, że ma pracę, biuro, do którego może wejść, swoje miejsce w świecie. Szyld głosił: „Biuro Porad Obywatelskich – BPO”. Punkt, w którym udzielano pomocy, ale czy ludziom takim jak on? Tego nie wiedział.

W BPO niewątpliwie obowiązywały sztywne procedury, a poza tym żadna samotna kobieta nie powinna zapraszać bezdomnego do swojego gabinetu, Toma nie był więc zdziwiony, że pozostawiła go na zewnątrz. Mógł być przecież niebezpieczny. Desperacja często prowadzi do przemocy. Nie sądził, aby stanowił zagrożenie, przynajmniej nie dla niej, ale niczego nie był już pewien. Nawet siebie. Tym bardziej więc się zdziwił, gdy kobieta wyszła ponownie na zewnątrz, niosąc kubek z herbatą i paczkę ciasteczek, a następnie usiadła obok niego na chodniku. W nocy padało, wilgoć przesiąknie przez materiał spodni i dotrze do bielizny. Kobieta naprawdę się starała. Zawsze to miły gest. Choć ktoś inny mógłby uznać, że traktuje go z góry, i poczuć się urażony. Ale nie Toma. Cierpiał i nienawidził, lecz w głębi siebie pozostał człowiekiem, który nie jest zdolny do gniewu na osobę usiłującą zniżyć się do jego poziomu. Nie jego wina, że poziom ten znajdował się na wysokości rynsztoka.

Wręczyła mu kubek i opakowanie herbatników, wyznając:

– Ukradłam je, ale naprawdę uważam, że tobie te kalorie przydadzą się bardziej niż komukolwiek z naszego biura.

Zalatywało od niego, jakżeby inaczej, skoro sypiał wprost na ulicy bez dostępu do bieżącej wody? To ostatnie było kluczowe. Spostrzegł, że kobieta mimowolnie marszczy nos; na pewno kosztuje ją dużo wysiłku, aby się nie odsunąć. Toma się zastanowił, czy jego dobrodziejka ma dość doświadczenia w pracy z bezdomnymi, by stwierdzić, jak długo ktoś żyje na ulicy. On sam posiadał tę sztukę. Ci, którzy spędzili na ulicy miesiące, a tym bardziej lata, śmierdzieli pleśnią i odchodami, alkoholem i wymiocinami, brudem, który zinfiltrował ich ubrania, skórę i dusze. Odór ten ciężko było znieść. Nie dlatego, że na świecie nie było gorszego zapachu – rozkładające się po rowach ciała szczurów śmierdziały bardziej, tak samo jak śmierć. Zmysłowa napaść brała się stąd, że woń roztaczał inny człowiek. Brat w rozumie.

Ci, którzy przebywali na ulicy od dni czy tygodni, nie miesiący, śmierdzieli inaczej. Zapach w dalszym ciągu obezwładniał, ale wyczuwalne w nim nuty wskazywały na zastarzały pot, przetłuszczone włosy, może z domieszką uryny. Częstokroć uryny innych osób. Mężczyźni wracający nocą z modnych barów czasami oddawali mocz na bezdomnych, ot tak, dla zabawy. Toma wiedział to na pewno, ponieważ raz mu się coś takiego przydarzyło.

– Dziękuję. – Sięgnął po herbatę, nawiązał kontakt wzrokowy. Wiedział, że to ważne.

Kiedyś, gdy jeszcze miał mieszkanie, żonę i dziecko, mówiono o nim, że jest przystojny. Toma zdawał sobie sprawę, że spojrzenie dużych brązowych oczu ma inteligentne, seksowne wręcz. Nie próbował jednak flirtować z tą kobietą. Byłoby to absurdalne. Wszystko przepadło. Także jego pragnienia; pożądanie, nadzieja, radość. Po prostu egzystował, nic więcej. Egzystował, żeby wyrównać rachunki. Patrzył tej kobiecie w oczy, ponieważ być może mogła mu pomóc, a będzie do tej pomocy bardziej

skora, jeśli zobaczy, że oczy Tomy nie są zamglone alkoholem czy narkotykami. Osądzi go. Ta kobieta z przemoczonym tyłkiem, która zrobiła mu słodzoną herbatę. Nieświadomie, odruchowo. I nie dojrzy w nim straconego przypadku, jeżeli spodobają jej się jego oczy.

– Jestem Lexi.

– Toma Albu – zrewanżował się. – Naprawdę tak się nazywam. – Rzadko który bezdomny przedstawia się z nazwiska, a i imiona często są zmyślane. Toma chciał, żeby myślała o nim dobrze.

– Czekaleś na otwarcie? – zapytała.

Wzruszenie ramion miało mu pomóc się zdystansować, nie chciał odsłaniać wszystkich swoich kart od razu. Bał się prosić o pomoc, na wypadek gdyby spotkała go odmowa. Nieważne, z jakiego powodu. To była jego ostatnia szansa. Jeśli teraz mu się nie uda, to już chyba nigdy. Co wtedy zrobi? Chyba poszuka wysokiego mostu nad głęboką rzeką. Bo dlaczego nie? Co go trzymało przy życiu?...

– Masz jakieś plany na dziś? – Głos kobiety wyrwał Tomę z zamyślenia.

Pokręcił głową, zacmokał. Zostawiła go, aby dopił herbatę, i weszła do środka, po czym pięć lub dziesięć minut później wyszła znowu, tym razem z jakimiś ulotkami w ręku.

– Jest jedno miejsce, gdzie dostaniesz śniadanie i będziesz mógł wziąć prysznic. Niecały kwadrans drogi stąd. Tu masz mapkę i adres. Dasz sobie radę? – Pytała, czy umie czytać. Skinął głową. – Zadzwoń tam, uprzedzę, że do nich idziesz. Potem wróć tutaj, przyjrzymy się możliwościom. – Podniósł się powoli, zwinął utyflany i porwany śpiwór, cięższy niż zwykle z powodu całej tej wody, którą nasiąknął. – Zdaję sobie sprawę, że tylko dziesięć procent albo nawet mniej osób w twoim położeniu wraca, kiedy je o to proszę – dodała kobieta.

– W takim razie po co ryzykujesz? Dlaczego nie porozmawiamy teraz?

– Otwieramy dopiero wpół do dziesiątej, a poza tym o pustym żołądku mógłbyś być za bardzo rozkojarzony. Zresztą mam hazard we krwi, oddaję mu się skrycie pasjami. – Uśmiechnęła się szeroko.

Toma z miejsca ją polubił. Żartowała z nim, odwoływała się do jego uczuć. Traktowała go jak istotę ludzką.

Godziny dopołudniowe spędził w hostelu, który mu poleciła. Zjadł śniadanie, wykorzystał okazję, aby przeprać swoje rzeczy. Czekaając, aż wyschną, umył się pod prysznicem, a potem – stojąc w pożyczonym obszernym dresie, który przed nim musieli nosić niezliczeni mężczyźni – zabrał się do golenia. Wyobraził sobie, jak łatwo byłoby mu przejechać żyłką po nadgarstkach. Pomyślał, że być może wróci tu nazajutrz i to właśnie zrobi, jeśli kobieta z BPO go nie wysłucha. Jeśli ktoś go nie wysłucha.

Pod Biurem Porad Obywatelskich stawił się tuż po dwunastej. Zaglądając do środka, stwierdził, że pomieszczenie jest ciasne, a biurka stoją niemal jedno na drugim. Nie załatywało już od niego, nie obawiał się więc kontaktu z ludźmi tak jak zazwyczaj, lecz martwił go brak prywatności. Czekał na zewnątrz, dopóki kobieta się nie wyłoniła. Zauważywszy go, powiedziała:

– Jeśli wejdiesz, mogę machnąć ręką na lunch.

– Nie powinna pani rezygnować z lunchu. Mogę pani towarzyszyć.

Rozpromieniła się ponownie. Uśmiech łatwo jej przychodził.

– Hm, niech ten jeden raz będzie na odwrót.

– Pani zdaniem bezdomny troszczący się o to, żeby urzędniczka coś zjadła, jest niecodziennym zjawiskiem? – Poczł nagłą irytację. Czy ona nie rozumiała, że niegdyś był osobą odpowiedzialną, troskliwą, uprzejmą? Czy nikt tego nie widział?

Kobieta pokazała zęby w uśmiechu.

– Ktokolwiek troszczący się o to, żebym coś zjadła, jest dla mnie miłą odmianą.

Toma pomyślał, że urzędniczka faktycznie jest zbyt chuda. Wyobraził ją sobie, jak dzień w dzień spędza przerwę na lunch przy biurku, taka wydawała się oddana swojej pracy. Wcześniejsza irytacja ustąpiła. Ktokolwiek był szefem tej urzędniczki, nie powinien do tego dopuścić; jej mąż także powinien ją zachęcać, aby o sobie bardziej dbała. Bo miała męża, nosiła obrączkę. Sprawdził to już wcześniej. I miał nadzieję, że kobieta nie jest bezdzietna, co by mu utrudniło sprawę.

Udali się do lokalu tuż za rogiem, gdzie Lexi kupiła im po kanapce, paczce chipsów i napoju – wszystko na wynos. Potem usiedli na ławce w parku. Nie było może zbyt ciepło, ale przynajmniej nie padało.

– Gdzie twoje rzeczy?

– Jakie rzeczy?

– Rano miałeś śpiwór.

– Rozleciał się w praniu.

– Och.

– Nic się nie stało.

Niegdyś miał wiele rzeczy. Dużych i małych. Miał życie, w którym czasami nawet wracał do domu na czas, aby pocałować żonę i powiedzieć jej, że może się położyć spać, on się wszystkim zajmie. Później ostrożnie zanurzał syna w wanience pełnej piany i zabawek i przyglądał się, jak Benke gaworzy, pluska się i bawi. W końcu wyciągał go z wody delikatnie, osuszał uważnie wszystkie fałdki na ciele, ubierał w piżamkę z wizerunkiem świnki Peppy i układał malca w łóżeczku. Obok paliła się lampka nocna, która rzucała złoty blask. Jej klosz zdobiły jadące za sobą samochody, traktory i pociągi. Toma czytał synowi na dobranoc

z kolorowej książeczki, która normalnie mieszkała na półce z innymi podobnymi wydawnictwami. W końcu chłopiec zasypiał.

Nie zostało nic.

Zabawki, piżamka, lampka nocna, książeczki, żona, syn – wszystko stracił. Wszystko.

Powinien odłożyć kanapkę na później. Był przecież po śniadaniu. Nie musiał znowu jeść. Głód dopiero przyjdzie. Życie na ulicy uczyło człowieka przewidywania i planowania. Mimo to odgryzł potężny kęs.

– Opowiesz mi o sobie? – poprosiła urzędniczka.

Toma przełknął i wgrzył się w kanapkę ponownie. Chciał o sobie opowiedzieć. Musiał to zrobić, ale wypowiedanie słów przychodziło mu z trudem. W pierwszej chwili nie uwierzył, że nie żyją. Potem miesiącami wracał do domu przekonany, że zastanie żonę przy desce do prasowania albo w małej kuchni, a syna przed telewizorem. Zobaczyłby ich zaraz po otwarciu drzwi wejściowych – w ciasnym mieszkanku nie było gdzie się schować. Spodziewał się, że do niego podbiegną, ucałują go i przytulą. Wydawali się staromodni? On w pracy, ona w domu? Ale Reveka się uczyła. Robiła kurs korespondencyjny z księgowości. Miała ambicje, chciała zawojować świat. Coś osiągnąć. Kimś być. Na razie jednak Benke był malutki, a ona musiała wprawdzie zdobyć kwalifikacje, dlatego siedziała w domu i ze wszystkich sił starała się przemienić niewielkie zaniedbane mieszkanie w przyjaźniejsze, nie tak okropne miejsce. Nie posiadali wiele. Nie posiadali dość. Tak naprawdę mieszkali w strasznych warunkach. Na ścianach panoszył się grzyb, pościel była stęchła, wszystko popsute: zamki, kurki, drzwiczki, nawet okna. Cierpieli wieczny chłód. Toma wątpił, aby jakkolwiek Anglik chciał zamieszkać w takiej norze. Na nic lepszego jednak nie było ich stać.

Ponieważ miesiącami nie przyjmował do wiadomości, że jego najbliżsi nie żyją, nie szukał słów, aby wyrazić to na głos. Kiedy wreszcie się pogodził, że już nigdy po otwarciu drzwi nie zobaczy ich uśmiechu ani skwaszonej miny, nie usłyszy śmiechów ani narzekań, wpadł w głęboką depresję. Przez jakiś czas egzystował w oparach alkoholu i antydepresantów. Miesiące prześlizgiwały się jak czarne śliskie węgorze. Dostał kilka nagan. W końcu szef zwolnił go niechętnie. Ktoś, kto znał jego historię, z litości skierował go do innej pracy. Znowu jadł tabletki garściami i lał do gardła whisky. Na żałobę to nie pomagało. Tym razem upominano go surowiej, a zwolniono z mniejszym żalem. Przestał płacić czynsz. Otrzymał nakaz eksmisji. Przeniósł się do wspólnej sali schroniska. Brak stałego adresu równał się brakowi stałego zajęcia. Cudem znalazło się nowe mieszkanie. Jeszcze gorsze niż to, w którym mieszkał z Reveką, ale i tak lepsze od ulicy. Ubikacja była wspólna; nie tyle ubikacja, ile kloaka. Wszędzie roiło się od ludzi i zarodników grzyba. Pewnego dnia spróbował rozmowy z właścicielem – chciał mu przekazać, co należałoby zrobić. I tak to się skończyło, wyleciał na zbity pysk, o żadnym okresie wypowiedzenia nie było mowy. Ludzie dopytywali, co się stało. Toma milczał. Nie zamierzał prehandlować żony i syna za litość. Za miejsce do spania, za złamanego pensa. Choć upłynęło już pięć lat, ich imiona wciąż dławiły go w gardle.

Kobieta westchnęła ciężko i wyznała:

– Wpisałam twoje imię i nazwisko w wyszukiwarkę internetową.

Nie obraził się; przeciwnie – poczuł ulgę. Urzędniczka okazała się dociekliwa i przejęta. Może jednak była właściwą osobą.

– Zakładając, że naprawdę nazywasz się Toma Albu...

– Tak – wpadł jej w słowo.

– W takim razie albo jesteś genialnym matematykiem urodzonym w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku, co wydaje się mało prawdopodobne, bo na moje oko masz pod pięćdziesiątkę... – Zawiesiła głos. Toma skinął sztywno głową. Ból, który ludzie umiejscawiali zazwyczaj w sercu, przenikał całe jego ciało. Pulsował w nogach, karku, ramionach. Wszędzie. – Albo straciłeś żonę i dziecko w dwa tysiące czternastym roku. Zatrucie czadem w wyniku awarii piecyka.

– To ja.

– Bardzo mi przykro.

Wszyscy to powtarzali, jakby w czymś zawinili. Toma rozumiał, że w takiej sytuacji nie da się wiele powiedzieć. Ale to było za mało.

– Jak bardzo? Jak bardzo ci przykro? Wystarczająco, aby mi pomóc?

– Oczywiście, że ci pomogę. Są sposoby, żeby stanąć znów na nogach. Nie będę udawała, że wiem, przez co przeszedłeś, ale zapewniam cię, że nie jesteś pierwszym człowiekiem, który wylądował na ulicy po takiej stracie. Mogę się skontaktować z biurem lokalowym. Naoglądałam się dość przypadków, aby wiedzieć, jak łatwo jest w jednej chwili wieść całkiem zwyczajne życie, a już w drugiej... nawet po tąpnięciu mniej wstrząsającym niż twoje... być bezdomnym. Pomogę ci znaleźć kąt do mieszkania. Pomogę ci znaleźć pracę.

– Chcę sprawiedliwości.

Lexi się zdziwiła.

– Przeczytałam artykuły o wypadku, zapiski sądowe. Ta kobieta, zarządczyni, stanęła przed sądem za zaniedbanie.

Toma zaoponował przy słowie „wypadek”.

– Moja żona i syn zostali zamordowani.

Jego rozmówczyni zaczęła się czuć niezręcznie. Śledztwo w internecie przyniosło jej informację o tym, że Elaine Winterdale oskarżono

o zaniechanie i złamanie przepisów dotyczących bezpieczeństwa w użytkowaniu instalacji gazowej, na pewno jednak nic o zabójstwie, a tym bardziej morderstwie.

– Wyrok może ci się wydawać nieadekwatny, Toma, i jeśli ma to dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie, zgadzam się w tym z tobą, ale jeśli się zastanowisz, nawet gdyby dostała karę pozbawienia wolności, nie przywróciłoby to życia twoim bliskim.

– Nie chodzi mi o nią. Ona to tylko kukiełka. Chcę dorwać lalkarza. Tego drania, właściciela, który odebrał mi moją cudną Revekę i synka, a sam nawet nie trafił pod sąd.

– Właściciela oczyszczono z zarzutów. Elaine Winterdale okłamywała go w sprawie kontroli i nie przekazała mu raportu o stanie piecyka. Ten człowiek nie miał pojęcia o jej sprawkach.

Toma pokręcił głową.

– Nie wierzę. Puścili go wolno, a on dalej robi to samo.

Urzędniczka rozważyła, co do niej powiedział. Z jednej strony pokrzywdzeni mają w zwyczaju zaprzeczać faktom, ale z drugiej błędy się zdarzają.

– Co masz na myśli? – zapytała ostrożnie.

– Pogodziłem się z wyrokiem sądu. Byłem zbyt zmęczony, zbyt załamany, żeby go kwestionować. Jak wszyscy uznałem, że wina leży po stronie tej całej Elaine. W końcu sama się przyznała. Ale później wynająłem pewne lokum. Okazało się, że właścicielem jest ten sam człowiek. Przyłapałem go na łamaniu prawa. Bo prawo wyraźnie mówi, jakie obowiązki ma właściciel, zgadza się?

– Tak. Prywatni kamienicznicy odpowiadają za bezpieczeństwo lokatorów. Ustawa z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego stanowi, że właściciel ma obowiązek się upewnić, że instalacja gazowa

i kominowa oraz urządzenia gazowe są sprawne i bezpieczne w użytkowaniu – wyrecytowała Lexi. Musiała się często powoływać na tę ustawę. Skąpi kamienicznicy nie występowali tylko na kartach dziewiętnastowiecznych powieści. Żyli tu i teraz.

– On tego nie robi.

Kobieta się rozpromieniła.

– Możemy się temu przyjrzeć. Możemy złożyć stosowne wnioski. Skoro kamienicznik nie dba o instalację gazową, niech miasto założy czujniki tlenu węgla. Dzięki temu zapobiegniemy podobnej tragedii w którejś z jego pozostałych nieruchomości. To by było coś, prawda?

Toma przysłuchiwał się urzędniczce, która ewidentnie chciała załatwić sprawę w białych rękawiczkach. Naprawić krzywdę bez robienia zamieszania.

– Ten człowiek wynajmuje nory – stwierdził z mocą. W miarę jak emocje brały nad nim górę, jego obcy akcent stawał się coraz silniejszy. – Od ich śmierci cierpię ból, żal, stratę, ale jakoś sobie radzę. Może nie żyję, ale egzystuję. Nie ożeniłem się powtórnie, mimo że wszyscy mi to doradzają. Pozostałem wierny, pozostałem na powierzchni. Nie wyjechałem z Anglii. Jak mógłbym wrócić do Mołdawii, do siostry i kuzynów? Za nic nie zostawiłbym tu żony i syna samych, na pastwę... Nie miałem innego wyboru, jak tylko trzymać się tego, co mam. Ale straciłem najpierw pracę, potem mieszkanie. Wylądowałem na ulicy. Dopiero w zeszłym roku ktoś wyciągnął do mnie pomocną dłoń. Pracowałem na budowie za miejsce do spania i jedzenie.

– Nie dostawałeś wynagrodzenia?

– Nie. Wiem, że to wyzysk. Ale nie miałem wyjścia. Zresztą było mi wszystko jedno. Spałem, gdzie mi pozwolili. To i tak lepsze niż ulica. Ale zauważyłem, że na posesji jest łamane prawo. Pytałem o nazwisko

właściciela, tyle że nikt go nie znał. Pewnego dnia nie poszedłem jak zawsze do pracy, udałem chorego, bo wiedziałem, że to dzień poboru czynszu. Właściciel się pojawił, a ja go rozpoznałem. To ten sam człowiek, od którego najmowaliśmy mieszkanie. Zeznawał przed sądem w czasie procesu, dlatego mam pewność. Nigdy nie zapomnę jego twarzy. To wtedy zacząłem się zastanawiać. Może jednak o wszystkim wiedział? Może jednak jest odpowiedzialny?

– Dlaczego w takim razie Elaine Winterdale wzięła winę na siebie?

– Przekupił ją. – Toma natychmiast zauważył, że kobieta nie wierzy w jego teorię. Chciała mu pomóc, ale jej dobre chęci miały granice.

– Chodź ze mną do biura. Sprawdzimy co i jak – zaofiarowała się.

Przejrzał ją. Był o krok przed nią. Pragnęła go zwabić. Chciała, aby jej zaufała, dzięki czemu mogłaby mu przedstawić plan powrotu do pracy i znaleźć jakieś mieszkanie. Miała w sobie dość współczucia, by życzyć mu stanięcia na nogi. I tak, z pewnością wysłałaby pisma o czujnikach tlenu węgla do tego drania kamienicznika, o ile by go wytropiła. Miała silnie rozwinięte poczucie odpowiedzialności i była gotowa na wiele, aby powstrzymać kolejną tragedię. Nadawała się do tej pracy.

Toma skinął głową i wstał. Idąc za nią przez park i potem główną ulicą, czuł pewność, że to on prowadzi ją na pasku, nie ona jego.

Przekabaci ją, znajdzie jakiś haczyk. Przeciągnie urzędniczkę na swoją stronę, przekona, że jego teoria jest prawdziwa, po czym wykorzysta zasoby, jakie oferuje jej biuro, aby przeprowadzić dochodzenie w sprawie kamienicznika, który zabił jego najbliższych. Sprawiedliwości stanie się zadość. A jak nie, zawsze pozostawała zemsta.

6

LEXI

WTOREK, 23 KWIETNIA

Nie mogę się doczekać spotkania z doradcą od wygranej. Jake, Emily i Logan są zdziwieni moim pozornym spokojem, ale oczywiście, że nie jestem ze stali, oczywiście, że podnieca mnie ta cała sytuacja. Nie posiadam się ze szczęścia. Czuję się fantastycznie, rewelacyjnie, w dechę – jak bez końca powtarzają nasze dzieci, używając wyświechtanych określeń w braku własnych słów. Ale jestem realistką i wiem, że tej wysokości wygrana wiąże się z pewnymi komplikacjami oraz obowiązkami. Zgranie w czasie nie mogłoby być gorsze. Staram się nie myśleć o Pearsonach ani Heathcote’ach, gdyż ilekroć to robię, rozradowany blask we mnie natychmiast gaśnie. Momentalnie czuję się zlodowaciała i skwaśniała. Muszę ogarnąć co i jak, mieć wszystko przypieczętowane i zaklepane – dopiero wtedy będę w stanie naprawdę się odprężyć i cieszyć niewyobrażalnym szczęściem, które nas spotkało.

Przez weekend Jake z dziećmi stworzył listę rzeczy, na które chcą roztrwonić pieniądze. Była bardzo ogólna. Znalazły się na niej głównie –

choć nie tylko – samochody, nieruchomości, ubrania, imprezy, wakacje. Aż jęknęłam.

– Słuchajcie, ta lista to jeden wielki banał. – Wszyscy troje wpatrzyli się we mnie nierozumiejącym wzrokiem. Emily i Logan przypominają swojego ojca: mają ciemne kręcone włosy i ciemne oczy. Miło na nich patrzeć. Wszyscy też mieli ten sam wyraz twarzy: podniecenia. Nie, wróć: uniesienia. – Postarajcie się być bardziej konkretni. Zamiast pisać „wakacje”, napiszcie, dokąd chcielibyście pojechać.

Podróże kształcą, prawda? Wszyscy o tym wiedzą. Mogłabym się zgodzić na podróże. Spędzalibyśmy czas razem, poznawalibyśmy inne kultury, przekonalibyśmy się na własne oczy, jak wielki jest świat.

– Disneyland na Florydzie! – wykrzyknął Logan. – Oczywiście spalibyśmy w najlepszym hotelu. I polecilibyśmy pierwszą klasą, dobrze mówię, tato?

– Bardzo dobrze – potwierdził Jake. – Zawsze miałem wielką ochotę skrócić w lewo po wejściu na pokład samolotu.

– I Malediwy! – dodała Emily. – W zeszłym roku była tam Scarlett Scott, wszyscy zazdrościli jej zdjęć na Instagramie... O mój Boże, nie! Nowy Jork! I zakupy w nowojorskich sklepach. A najlepiej jedno i drugie. Możemy polecieć i tu, i tu?

Parę lat temu w EuroMillions wygrało małżeństwo Irlandczyków. Jakąś gigantyczną sumę, nie pamiętam dokładnie ile. Chyba ponad sto milionów. I ci ludzie natychmiast ogłosili, że rozdadzą gros z tego rodzinie, przyjaciołom i organizacjom charytatywnym. Wspaniałe podejście, godne szacunku, niezwykle rozsądne. Jake i ja już ustaliliśmy, że spłacimy hipoteki obu jego braci i kupimy mieszkanie mojej siostrze, która nigdy nie zainwestowała w nieruchomości, bo prowadzi życie nomady i od lat nic, tylko podróżuje. A rodziców wyślemy w rejs dokoła świata. Na jakimś

wyjątkowo luksusowym wycieczkowcu. Chociaż kiedy nad tym teraz myślę, mój tato cierpi na chorobę morską; jak raz płynęliśmy promem do Calais, zrobiło się równie nieprzyjemnie jak na filmie Tarantina. Zatem rejs odpada. Może safari? Czy to jednak nie przesada, zważywszy, że oboje są po siedemdziesiątce? Dwa tygodnie w luksusowym apartamencie na południu Francji powinno wystarczyć. Czuję ukłucie żalu. Gdyby tylko rodzice Jake'a tego dożyli... Byliby zachwyceni. Uszczęśliwieni. Cóż, jak każdy.

Prawda?

Mój umysł pracuje na najwyższych obrotach. Myśli się w nim pojawiają tylko na moment i znikają, zanim zdążę je zatrzymać. Jest tyle osób, które mogą skorzystać na wygranej. Niemal nieskończona liczba organizacji charytatywnych wartych wsparcia. Jake zgadza się ze mną. Nie musimy wydać wszystkiego na siebie. Nie powinniśmy wręcz. Nikt nie potrzebuje aż tylu pieniędzy, ale wiele osób potrzebuje ich choć trochę. W swojej pracy spotykam takich ludzi na każdym kroku. Jestem zatrudniona w BPO, Biurze Porad Obywatelskich. Moje zajęcie polega na udzielaniu rad każdemu, kto o nie poprosi. Nie specjalizuję się w niczym konkretnym, jestem – że tak powiem – na pierwszej linii frontu; głównie słucham tych, którzy zwracają się o pomoc. Dokonuję oceny ich sytuacji i kieruję we właściwe miejsca – do prawnika, lekarza albo psychologa. Nie ma dla mnie za dużych ani za małych problemów, wszystkie traktuję jednakowo. Bywa, że ratuję kogoś przed wpadnięciem w spiralę zadłużenia w firmie udzielającej chwilówek albo pomagam komuś innemu napisać podanie o pracę. Ale się nie nudzę. Podoba mi się, że nigdy nie wiem, kogo przyjdzie mi spotkać nazajutrz. Uwielbiam różnorodność swojej pracy, no i to, że pomagam ludziom, choć czasami przygnębia mnie ich bezbronność i bezradność. Czasami wracam do domu wykończona, ze świadomością, że

jakąkolwiek liczbę osób przyjęłam, nie zdołam pomóc każdemu we wszystkim.

Mimo to próbuję. Dzień po dniu. A teraz moja pomoc nabierze nowego wymiaru.

Wypycham dzieci za drzwi, w samą porę, by złapały szkolny autobus, łapię torebkę i wzuwam czólenka. Zerkam jeszcze w stronę kuchni, gdzie jak zwykle panuje chaos, ale nie mam czasu się cofnąć, żeby włożyć brudne naczynia do zmywarki. Ta przyjemność będzie na mnie czekała po powrocie z pracy. W ostatnim momencie kątem oka dostrzegam Jake'a, który – nadal w piżamie – siedzi przy stole.

– Czemu się nie ubrałeś?

– Nie idę dzisiaj do pracy. Jaki by to miało sens? I tak musiałbym wyjść wcześniej. Spotkanie z doradcą jest o trzeciej.

– Ja idę.

– Najwyraźniej. Nie masz ochoty zwagarować choćby jeden dzień? – Uśmiecha się do mnie. Tym swoim szerokim czarującym uśmiechem, któremu uległam sama nie wiem ile razy. – Moglibyśmy pojechać znów do Londynu, zjeść lunch w jakimś szpanerskim lokalu. Shard? Nobu? – rzuca nazwy restauracji. – Czasu mamy w bród.

Pokusa jest silna. Ale mam też chęć wytknąć mężowi błąd w rozumowaniu. Skoro nie ma dość czasu, aby się udać do pracy, tym bardziej nie powinien myśleć o wyprawie do restauracji. Ja na pewno nie mogę sobie na to pozwolić.

– Mam umówione spotkania – mówię. – Nie mogę zawieść tych osób. – Muskam wargami jest usta. Przygarnia mnie do siebie i przeciąga pocałunek. Bogactwo przekłada się na potencję, jak widać. Chichoczę, oswobadzam się z jego uścisku i odwracam znowu do drzwi.

– Wiesz, tak się zastanawiam... Gdy będziemy dzisiaj rozmawiali z doradcą, może poprosimy o radę, które organizacje charytatywne wesprzeć. Chodzi mi o rozeznanie, które z nich wykorzystują środki z myślą o swoich podopiecznych, a które przeznaczają wszystko na pensje zarządu i reklamę.

– Pewnie, dlaczego nie. – Jake uśmiecha się miło.

– Myślałam też o tym, żeby spłacić hipotekę i odłożyć co nieco dla dzieci. Powiedzmy, że zatrzymamy dla siebie końcówkę, dwa miliony osiemset tysięcy, a resztę rozdamy.

– Co?! – Jake parska udawanym śmiechem. – Chyba żartujesz.

Zamieram w miejscu.

– Mówię jak najbardziej poważnie.

– Niecałe trzy miliony rozejdą się raz-dwa. Donikąd nas to nie zaprowadzi.

– Dzieciaki obkupiły się wczoraj. Nie patrząc na rozmiar ani na styl. Część rzeczy nie pasuje na nie, a druga część nie pasuje im.

Trochę mnie zaskoczyło, jak pazernie zachowali się Emily i Logan. Rozumiem oczywiście, że nastolatki w domu towarowym to jak małe dzieci w cukierni. Poniosło ich. Zresztą łapczywość to chyba normalna reakcja w przypadku wygranej. Większość osób uznałaby pewnie za dziwne, że ja w dalszym ciągu rozpatruję zakupy w kategoriach tego, co jest nam potrzebne. Moja rodzina błyskawicznie się przestawiła na tryb myślenia o tym, czego pragną. Mimo to podczas zakupowego szaleństwa udało im się wydać tylko po niecałym tysiącu funtów. Zgoda, to znacznie więcej, niż kiedykolwiek wydaliśmy na ciuchy przy jednym podejściu, ale też tylko niewielki ułamek naszej wygranej. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, na co moglibyśmy spożytkować prawie osiemnaście milionów.

– Lexi, spójrz na to z szerszej perspektywy – nakłania mnie Jake. – Nie zauważyłaś, że pobyt w nowojorskim hotelu wyniesie nas osiemdziesiąt tysięcy funtów?

– Ile? – Mój głos staje się nieoczekiwanie wysoki i piskliwy. Jake wybucha śmiechem. Nic, tylko się śmieje, odkąd padły nasze liczby. Nie poznaję go. Zaczynam myśleć, że dostał histerii. – Sądziłam, że to pomyłka. Niemożliwe, żeby hotel tyle kosztował. Myślałam, że źle policzyłam zera. Przecież nikt na zapłaciłby osiemdziesięciu tysięcy za tygodniowy pobyt gdziekolwiek!

– To nie była pomyłka, Lexi. Wybraliśmy dwa pokoje superior i jeden apartament w chyba najlepszym hotelu na świecie. Koszt się zgadza.

– To śmieszne.

– Byłoby śmieszne jeszcze tydzień temu, ale teraz to tylko kropla w morzu – stwierdza Jake, szczerząc się jak kot z Cheshire. – To inny świat, Lexi...

– Nie nasz świat.

– Do tej pory nie, ale odtąd... Właśnie o to w tym chodzi, moja złota. Możemy rozpocząć całkiem nowe życie.

– Ale w sobotę wieczorem uzgodniliśmy, że wesprzemy organizacje charytatywne.

– Tak. Zdecydowanie. Tylko nie piętnastoma milionami, skarbie. Co zrobisz, gdy nasze dzieci, kiedy już dorosną, zapragną mieszkać w centrum Londynu? Mieszkania tam kosztują po parę milionów funtów.

Wzruszam ramionami.

– No tak, niektóre na pewno, ale wiele zależy od tego, którą dzielnicę wybierzesz i... – mówię, ale Jake ucisza mnie pocałunkiem. Ujmuje w dłoń moją twarz. Odrywając się od moich ust, nadal spogląda mi prosto

w oczy. Robi mi się słabo, dostaję zawrotu głowy. Nie spałam najlepiej. Mam kłopoty z koncentracją i trzeźwym myśleniem.

– Spóźnisz się do pracy – kwituje Jake. – Mamy nad czym się zastanawiać. A teraz weź głęboki oddech i zmykaj.

7

LEXI

Oczywiście spóźniam się na autobus i muszę zaczekać na następny, tak że w biurze zjawiam się dwadzieścia minut później niż zwykle, czyli wcale nie tak późno, zważywszy, że normalnie przychodzę nieprzystwoicie wcześniej. Lubię mieć parę chwil dla siebie, zanim zjawi się reszta. Dziś jednak wszyscy są już przy swoich biurkach. Do jednych macham przyjaźnie, z innymi witam się ogólnym „dzień dobry”. Dobrze postąpiłam. Obecność w pracy jak co dzień, w miejscu, w którym daję z siebie, co mam najlepszego, w pewnym stopniu mnie uspokaja. Dziwne, że tego potrzebuję po otrzymaniu wiadomości powszechnie uważanej za najlepszą na świecie, ale z jakiegoś powodu tak jest. Urzędnicy wokół mnie zachowują się w przewidywalny, zwyczajny sposób. I to mi się podoba. Chyba miałam dość rozgorączkowanej ekscytacji Jake’a i dzieci mówiących tylko o tym, co jeszcze chcą sobie kupić.

Rob miesza płatki owsiane z wrzątkiem; zawsze zaczyna od skromnego śniadania. Kręci ręką powoli, metodycznie, ruchem przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Judy wapuje na ulicy; zawsze zostawia przy tym drzwi otwarte, aby nie uronić nic z tego, co się dzieje w biurze. Po prostu musi wiedzieć, kto oglądał co w weekend, nawet jeśli ceną za tę wiedzę jest nasze zapalenie płuc. Heidi wciąż ma w uszach słuchawki; uwielbia audiobooki i nigdy nie przerywa lektury w połowie rozdziału. Większość

osób jednak ma zwieszane głowy. Otwieramy o wpół do dziesiątej, tak że ten ostatni kwadrans traktujemy jak ciszę przed burzą; każdy zbiera myśli i napełnia płuca powietrzem.

Opadam na krzesło przed swoim komputerem, otwieram terminarz i sprawdzam, co mnie dziś czeka. Okazuje się, że nie mam umówionych spotkań, będę przyjmowała ludzi prosto z ulicy. Rozpaczliwie wyczekuję wizyty pana Albu. Już trzeci miesiąc z rzędu przyglądam się wysuniętym przez niego zarzutom oskarżającym kamienicznika o winę za doprowadzenie do ruiny kawalerki, w której Toma mieszkał z żoną i synem. W ostatecznym rozrachunku zaś o ich śmierć. Razem rozważyliśmy możliwość, że Elaine Winterdale uratowała cwane szefa przed sądem. Jak się okazało, przeczucie nie myliło pana Albu. Ledwie proces się skończył, zarządczyni przeprowadziła się do nowiutkiego mieszkania w lepszej dzielnicy. Odkryliśmy, że nie była jego właścicielką – nieruchomość należała do tej samej firmy, która miała w posiadaniu feralną kawalerkę. W moich oczach wyglądało to na przekupstwo, jak sugerował Toma. Ponadto dokopaliśmy się do informacji, że ta sama firma odpowiada za sporo pustostanów jak ten, w którym Toma gnieździł się z innymi robotnikami pracującymi na czarno. Szybko zrozumiałam, że mam do czynienia nie tylko z niedbałym właścicielem, ale też z wyzyskiwaczem bogacącym się na niewolniczej pracy innych. Który w dodatku nie wyciągnął nauki z odniesionej lekcji.

Toma i ja dostaliśmy się na teren trzech posesji należących do tego człowieka. Nie całkiem legalnie. Z tego ostatniego nie jestem dumna. Staram się respektować prawo i postępować zgodnie z zasadami, ale czasem cel uświęca środki. Zwłaszcza że nie było to włamanie; po prostu pokazałam swoją legitymację i powiedziałam, że poproszono mnie o przeprowadzenie inspekcji. Powinnam być przygotowana – w końcu

Toma mówił mi, że przez dwa i pół roku żyli bez ogrzewania, jeśli nie liczyć małego piecyka elektrycznego, którego używali sporadycznie ze względu na wysokie koszty – ale na coś takiego nic nie jest w stanie przygotować.

Lokale mnie przeraziły.

W jednym nie było wykładziny, tylko goła posadzka. We wszystkich brakowało zasłon, które by zapewniły odrobinę prywatności czy ukryły popękane bądź wybite szyby w oknach. W dwóch lokalach szafki kuchenne nie miały drzwiczek – domyśliłam się, że któryś z lokatorów zdjął je w chwili desperacji, aby mieć czym napalić. Wszystkie trzy były zagrzybione. Ich łazienki przyprawiły o wymioty. To skandal, że zmusza się ludzi, aby mieszkali w takich warunkach. Czyste okrucieństwo, jawne upokorzenie.

Oczywiście nigdzie nie zainstalowano czujnika tlenku węgla, a jedna z kwater była ogrzewana przez ledwie zipiący piecyk gazowy, który wymagał natychmiastowej wymiany. Napisałam już zarówno do właściciela, jak i do odpowiednich urzędów kwaterunkowych, podnosząc kwestię czujników i innych niezbędnych ulepszeń. Zawsze robię co w mojej mocy, nie zawsze jednak wyniki moich działań są satysfakcjonujące. Aż do piątku nie znałam nazwiska stojącego za firmą, która według dokumentów była właścicielem tych slumsów, bo inaczej nie da się tego określić. Ludzie funkcjonujący na granicy prawa rzadko się afiszują z imienia. Dlatego tyle trwało, zanim ustaliłam, jak nazywa się odpowiedzialny człowiek.

Miałam zamiar jak najszybciej poinformować pana Albu o wszystkim. Śpieszyło mi się do tego, ale nagle straciłam pewność siebie. Czy Toma poradzi sobie z wiedzą, którą zebrałam? Jaki użytek z niej zrobi? Smutna

prawda jest taka, że – przynajmniej moim zdaniem – właściciela nie spotka żadna kara, skoro Elaine Winterdale wzięła na siebie całą winę.

To niesprawiedliwe. Pisanie listów nie wystarczy. Ja to wiem i Toma także to wie. Nie możemy pozwolić, aby temu człowiekowi się upiekło. Nie zamierzam pozwolić... nie pozwolę, by do tego doszło.

Po prostu muszę się wykazać większą kreatywnością.

Zwykle nie angażuję się osobiście w sprawy, które prowadzę. Ostatecznie to nigdy nie pomaga. Jestem pełna współczucia, nie muszę o tym nikogo przekonywać, w przeciwnym razie nie wykonywałabym tej pracy. Nauczyłam się jednak, że najlepiej zachować obiektywizm, jasne spojrzenie, efektywność. W ten sposób osiągam najlepsze rezultaty. Ale ostatnio, odkąd w moim życiu pojawił się Toma Albu, okazuje się to coraz trudniejsze. Mogę tylko podziwiać siłę i godność tego mężczyzny, jego zacieklą lojalność i determinację. Rozumiem go. Mam też świadomość, że zaangażowałam się bardziej, niż powinnam. Ciężko jednak było się nie zaangażować.

Teraz zaś to wręcz niemożliwe.

Zaglądam przez uchylone drzwi do gabinetu szefowej i wchodzę, pukając kurtuazyjnie. Ellie prowadzi politykę otwartych drzwi, a my wszyscy traktujemy jej gabinet jako przedłużenie wspólnej części biura. Czasami, gdy klitki do przyjmowania petentów są zajęte, Ellie oddaje własny gabinet temu pracownikowi, który w kontakcie z petentem wymaga największej prywatności. Wyłącznie wtedy jej drzwi pozostają zamknięte.

– Cześć, Lexi, jak ci minął weekend? – pyta mnie szefowa.

Od czego miałabym zacząć?

– Było bardzo gorąco – odpowiadam bez polotu. Na szczęście jestem Angielką i zawsze mogę zejść na temat pogody.

– O tak, to prawda. Wykorzystałaś wolne do maksimum?

– Owszem, było wspaniale, dziękuję... – Ellie, znana z tego, że nigdy nie próżnuje, znów stuka na klawiaturze. Przechodzę więc do rzeczy: – Zastanawiałam się, czy nie mogłabym sobie zrobić wolnego popołudnia. Mam osobistą sprawę do załatwienia. Wybacz, że wspominam o tym w ostatniej chwili. Po prostu coś mi nieoczekiwanie wyskoczyło.

– Dobrze. Oczywiście.

– Zostanę w porze lunchu, ale potem muszę wyjść o drugiej, tak że będę miała do odpracowania kilka godzin. Nadrobię je do końca tygodnia.

– Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Na pewno wszystko u ciebie OK? – Ellie spogląda na mnie sponad monitora. Jej inteligentna twarz, zawsze gotowa rozciągnąć się w uśmiechu, mówi mi, że szefowa troszczy się o mnie, daleko jej za to do wścibskości.

Kiwam głową w odpowiedzi, wdzięczna, że nie naciska. Nie chcę kłamać ani zmyślać wymówek o wizycie u dentysty czy czymś podobnym. Zerkam na zegarek.

– Lepiej zabiorę się do roboty.

– Tak, dość tego leniuchowania – rzuca z uśmiechem Ellie, natychmiast ponownie zagłębiając się w swoją pracę.

Głowa mi pęka. Jedyne, co w tej sytuacji mogę zrobić, to skoncentrować się na obowiązkach, licząc, że ból sam przejdzie. Podnoszę słuchawkę i umawiam spotkanie dyrektora ośrodka opieki społecznej z przedstawicielem miejskiego wydziału do spraw zasiłków. W drugiej kolejności anonsuję swoją wizytę w lokalnym oddziale największej brytyjskiej organizacji charytatywnej, która pomaga osobom starszym. Czas mija, petenci wchodzą jeden za drugim, ale jak na razie nie widzę pana Albu. Wszyscy ci, którzy zwracają się do mnie o poradę, ewidentnie skorzystaliby na wypisanym czeku. Taki prosty gest, a mógłby im pomóc rozwiązać życiowe problemy albo chociaż w nich ulżyć. Nigdy nie byłam

bardziej świadoma potęgi pieniądza. Wbrew sobie nie potrafię przestać o tym myśleć. Odpowiedzialność spoczywająca na moich barkach zaczyna mnie przytłaczać. Tuż przed jedenastą wstaję zza biurka, przeciągam się i przechodzę do kanciapy wielkości schowka, która służy nam za pokój socjalny. Rob i Judy stoją nad włączonym czajnikiem.

Na mój widok Judy wykrzykuje:

– Słyszałaś, Lexi? Ktoś z okolicy wygrał w lotto! Szczęściarz. Kurczę, szkoda, że to nie byłam ja.

Zamieram. Nie wiem, jak zareagować. Na szczęście Judy nie spodziewa się odpowiedzi. Jak większość jej pytań, i to jest retoryczne. Poza tym gdy już zacznę mówić, nie wie, kiedy przestać.

– Los został kupiony w kolekturze przy głównej ulicy, dacie wiarę? W tym samym miejscu, w którym ja czasem puszczałam zakłady. Co nie zdarza się często, tylko wtedy, jak jestem w optymistycznym nastroju. W ubiegłym tygodniu nie byłam, a szkoda. Może bym wygrała!

– Pod warunkiem, że wybrałabyś te same liczby – zauważa przytomnie Rob.

Niezrażona Judy kontynuuje:

– Nie do wiary, że to może być ktoś, kogo mijamy na ulicy. Z kim zetknęliśmy się w sklepie. Siedemnaście milionów osiemset tysięcy funtów! Wyobrażacie sobie? Co za szczęściarze...

– Skąd wiesz, że wygrana padła w naszej okolicy? – pytam, czując na plecach dotyk nieprzyjemnie chłodnej dłoni niepokoju. Nie nawykłam do tajemnic. Ludzie zwykle czytają we mnie jak w otwartej księdze.

– Przeczytałam w internecie. Na Twitterze konkretnie.

– Ale skąd ktokolwiek może to wiedzieć? – rzucam ostrzejszym tonem, niżbym chciała. – O ile zdobywca wygranej nie ujawni się publicznie, takie informacje powinny pozostać utajone.

Tyle się dowiedziałam z sobotniej rozmowy telefonicznej z pracownikiem lotto. Judy przygląda mi się uważnie, na co się rumienię. Rzadko bywam tak obcesowa, a poza tym na pewno dziwi ją moje obeznanie z tematem. Czyżbym właśnie zdradziła naszą tajemnicę? Czuję ulgę, gdy Judy wybucha śmiechem.

– Jesteś zazdrosna? No cóż, jeśli się nie mylisz w sprawie procedury, szczęściarz najwyraźniej się ujawnił. – Potrząsam głową. Nie taka była umowa. Czyżby któreś z dzieci się wygadało? Tak szybko? Straciłam je z oczu tylko na parę godzin. – Przypuszczam, że niedługo ogłoszą nazwisko zwycięzcy. Pomyślcie, to może być ktoś, kto do nas przyszedł, a my mu pomogliśmy.

– Nie chcę przeszkadzać – przerywa nam Heidi – ale jest tu jakiś mężczyzna, który mówi ze wschodnioeuropejskim akcentem. Do ciebie, Lexi – zwraca się bezpośrednio do mnie. – Pytałam, czy mogę mu pomóc, ale on się upiera, że chce rozmawiać wyłącznie z tobą.

Wybiegam z pokoju socjalnego – byle dalej od Judy i jej spekulacji. Widzę, że Toma siedzi już przy moim biurku. Na twarzy ma tak dobrze znany mi wyraz powagi i determinacji, że natychmiast ogarnia mnie fala zaborczej czułości. Nie jest to profesjonalne zachowanie, ale mówię sobie, że nie ma w tym nic złego; wciąż nad sobą panuję. Nagle robi mi się zimno, a potem gorąco. Ktoś, na przykład mój dziadek, mógłby to opisać słowami: „Poczułem się, jakby jakiś człowiek przeszedł po moim grobie”. Odbieram to jako ostrzeżenie. Wiem już, że w żadnym razie nie mogę się podzielić z panem Albu wiedzą zdobytą w miniony piątek. Mimo że szukaliśmy jej razem, mimo że Toma jest tak zdeterminowany, by znaleźć prawdziwego winnego. Właściwie nie tyle mimo, ile dlatego. Informacja, którą zdobyłam, mogłaby namieszać mu w głowie. Znając nazwisko właściciela kawalerki i wiedząc, że ten za nic nie odpowie, Toma mógłby zrobić coś

głupiego. Napaść na tego człowieka, a nawet go zabić. Może przesadzam, ale pan Albu – tak jak ja – wierzy w sprawiedliwość i jest gotów do niej doprowadzić nawet po trupach. Znalazłam jednak rozwiązanie. Mogę ochronić pana Albu przed samym sobą. Pieniądze, które wygrałam, można wykorzystać z pożytkiem.

– Jak się czujesz? – pytam.

Na przestrzeni ostatnich dziesięciu tygodni nie tylko prowadziłam na boku dochodzenie w celu ustalenia nazwiska właściciela kawalerki, w której doszło do tragedii, ale też pomogłam panu Albu znaleźć pokój w porządnym domu. Mieszka teraz z parą starszków, którzy są zadowoleni z tego układu, ponieważ Toma zastępuje im syna (ich własny syn mieszka w USA i dzwoni do nich raz w miesiącu). Przy okazji zaś wymienia żarówki, kosi trawę i generalnie zapewnia im poczucie bezpieczeństwa.

To akurat rozumiem.

Ja sama, ilekroć znajduję się w jego towarzystwie, czuję się bezpieczna, pewna siebie. Nawet gdy zakradamy się do szemranych lokali i spotykamy na swojej drodze podejrzane typy, które trafiły pod ciemną gwiazdę z wyboru lub przypadku. Ale nie chodzi o jego górującą nad wszystkimi posturę, raczej o głęboki, niewzruszony spokój. Myślę, że gdy człowieka spotka już w życiu najgorsze, niczego się potem nie boi.

– Dobrze. Dziękuję. – Toma nie należy do osób wylewnych.

– Cieszę się, że wpadłeś. Mam na oku posadę dla ciebie.

– Tak? – okazuje zainteresowanie. Nie lubi bezczynności. Miał co robić, dopóki bawiliśmy się w detektywów, ale to musi się skończyć. Praca oznaczałaby zajęcie i ucieczkę, choćby tymczasową, przed trwającym polowaniem.

– Chodzi o pralnię przemysłową. Płaca nie jest wygórowana. No i trzeba pracować na zmiany.

– Będę mógł brać dwie z rzędu?

Uśmiecham się.

– Chyba tak, jeśli będzie ci na tym zależało.

– Będzie mi zależać. Nigdy nie szczydziłem wysiłku. Co jeszcze mnie tam czeka?

– Może uda ci się nawiązać jakieś znajomości. Większość pracowników pochodzi z Europy Wschodniej.

– Dobrze. Bardzo dobrze. – Toma kiwa głową. – Choć miałem nadzieję, że będziesz dla mnie miała nazwisko właściciela nieruchomości.

– Przykro mi – odpowiadam. Jest mi ciężko na sercu, w takim stopniu nie lubię go okłamywać.

– Nic się nie stało. Wiem, że się starasz. Wiem, że robisz dla mnie co w twojej mocy.

To prawda. Pragnę mu obiecać, że niebawem jego los odmieni się na lepsze, zmuszam się jednak do milczenia. Milczenie bywa złotem.

– Niech znajdę formularz zatrudnieniowy, chociaż to tylko formalność. Kierownik pralni szuka ludzi na już. Prawdopodobnie zaczniesz pracę pojutrze.

– A może wcześniej, jeśli sam zaniosę ten formularz. Człowiek na szczycie góry nie zleciał na nią z nieba – dodaje Toma i rzuca mi jeden ze swoich rzadkich uśmiechów, który porusza mnie do głębi.

8

LEXI

Powiedziano nam, że pierwsze spotkanie z doradcą może się odbyć w wybranym przez nas miejscu. Uznaliśmy, że najłatwiej i najdyskretniej będzie, gdy spotkamy się u nas w domu, aby uporać się z robotą papierkową. Oczywiście cała trzęsę się z nerwów. Z chwilą przyjęcia czeku nasze życie zmieni się raz na zawsze. Nie będzie już powrotu. Zaraz zadaję sobie pytanie, kto chciałby się cofać, skoro tyle dobrego można uczynić, idąc naprzód. Nie ma mowy o żadnym cofaniu.

W drodze do domu kupuję w supermarkecie przy głównej ulicy ciasto marchewkowe. Nachodzi mnie też chęć na jakąś herbatę smakową. Nie chcę przedobrzyć, ale pragnę wyjść na dobrą gospodynię. Decyduję się na Teapigs, markę, którą uważam za luksusową, chociaż ponieważ żałuję, że wybrałam tę o smaku lukrecjowo-miętowym; coś takiego nadaje się chyba tylko dla koneserów. Czy wydam się przez to pretensjonalna? Co ja sobie w ogóle myślałam? No cóż, zawsze będę mogła zaparzyć najzwyczajniejszą czarną herbatę i podać ją w kubkach z utraconym uchem...

Na miejscu zastaję większe zmartwienia niż to, jaką herbatę podać. Emily opala się w ogrodzie przed domem, a przy naszym krawężniku stoi kanarkowe ferrari, które wygląda osobliwie na tle zaniedbanego żywopłotu

i kubłów na śmieci wymagających opróżnienia. Nie znam się na samochodach, nie interesuję się nimi, chyba że mają mnie przewieźć z punktu A do punktu B, ale nawet ja rozpoznaję charakterystycznego czarnego konia na masce. Nie jestem pewna, o co powinnam zapytać najpierw: o niespodziewaną obecność córki czy o samochód.

Z kłopotu wybawia mnie Jake, który woła:

– Zrobiłem sobie prezent! – Śmieje się z zachwytem. Stojąc na rozkraczonych nogach, z dłońmi na biodrach, wydaje się taki męski, taki zwycięski. Ani na moment nie odrywa wzroku od auta, ale dodaje: – I odebrałem Emily ze szkoły, bo przysłała mi esemesa, że źle się czuje.

– Za co go kupiłeś? Przecież nie mamy jeszcze pieniędzy na koncie.

Rozpromienia się cały, zadowolony tak, jakby zrobił coś genialnego, dostał awans albo wygrał wyścig ojców na Dzień Dziecka.

– Po prostu zabrałem ze sobą zwycięski los i pomachałem nim w salonie. To działo cuda. Musiałabyś widzieć ich miny... – szczebiocze zupełnie jak nie on. – Nie jestem pewien, czy od razu mi uwierzyli, ale powiedziałem im, że gramy od lat i że zawsze typujemy te same liczby. Że kupujemy... znaczy ty kupujesz los w tej samej kolekturze przy głównej ulicy podczas przerwy na lunch. Spodobała im się ta historia. Dosłownie spijali słowa z moich ust. Wszyscy kochają zwycięzcę, prawda?

No, to by wyjaśniało, jak informacja o tym, że wygrał ktoś z sąsiedztwa, trafiła do internetu. Mój własny mąż wygadał się przed dealerem, który oczywiście musiał podać sensacyjną wiadomość dalej.

– Zabrałeś nasz los do salonu samochodowego? – Zdumiewa mnie zuchwałość Jake'a, a właściwie jego głupota. Upuszczam torebkę obok swoich stóp i gapię się na ferrari.

– Taaa.

– Co by było, gdybyś go zgubił?

Jake rejestruje moją minę, która bez wątpienia jest wyrazem miotających mną mieszanych uczuć, głównie niepokoju i irytacji.

– Racja, przepraszam. Głupio się zachowałem. Nie powinienem był tego robić. Ale jestem taki podekscytowany! – Obejmuje mnie za ramiona i przytula do siebie mocno. Potem zaczyna mi mruczeć w ucho: – Wybacz. Dałem ciała, ale nie martw się, niczego nie zgubiłem. – Oddech ma ciepły, a jego dotyk jest znajomy, w efekcie nie jestem w stanie mu się oprzeć. Emily wydaje się zażenowana naszym publicznym okazywaniem sobie uczuć. Widząc to, Jake odrywa się ode mnie i zaczyna recytować litanie niezrozumiałych dla mnie szczegółów technicznych wozu: – Czy to nie piękność? Model 488 GTB. Prawie czterolitrowy silnik. Pięćset trzydzieści koni mechanicznych. Osiągi ma niesamowite, będę wysublimowaną. – Gładzi maskę, praktycznie ją pieści. – To przełomowy model dla Ferrari. Supersamochód segmentu D. – Wpatruję się w męża bezmyślnie. Równie dobrze mógłby do mnie mówić w obcym języku, tyle z tego rozumiem. I tyle o to dbam. – Ten egzemplarz nie jest mój – dodaje. – Wynająłem go.

– Dzięki Bogu. – Ulga jest tylko chwilowa.

– Mój będzie gotowy za kilka tygodni. Czerwony lakier i bajery na zamówienie. Potrzebują na to czasu. Jeśli chodzi o panel drzwi, trudno mi się było zdecydować między skórą i włóknem węglowym. Chętnie bym skorzystał z twojej rady. Cudeńko, prawda?

– Ile?

– Hej, kto pyta, ten nie może sobie na niego pozwolić! A że my możemy sobie pozwolić na wszystko, nie trzeba pytać. – Mąż szczyrzy się do mnie. Tym swoim niepohamowanym, ujmującym uśmiechem. Zazwyczaj mu ulegam, jednak nie dzisiaj.

– Ile? – powtarzam.

– No więc... Ceny tego modelu zaczynają się od stu dziewięćdziesięciu pięciu tysięcy funtów, ale my będziemy mieli kabriolet, a one są ciutkę droższe.

– Dwieście tysięcy funtów za samochód?!

– Nasz będzie kosztował dwieście trzydzieści tysięcy – oznajmia Jake z dumą.

– Za tyle pieniędzy można kupić dom!

– Tak, jeśli ktoś chce – zgadza się ze mną, najwyraźniej nie chwytając. – Prędkość maksymalna trzysta trzydzieści kilometrów na godzinę.

– Nie można jeździć tak szybko.

– Oczywiście nigdy nie wcisnę gazu do dechy, mówię tylko, że jest taka możliwość.

– Prawda, że jest olśniewający? – wtrąca Emily. – Chociaż uważam, że tata powinien kupić auto w kolorze BRG, flagowej zieleni, z czerwonym wnętrzem. Właśnie przeglądam w sieci dostępne wersje.

– Dlaczego nie jesteś w szkole? Co ci konkretnie jest? – zwracam się do niej ostrzej, niżbym chciała, na co Emily wbija wzrok w ziemię. I przesłania oczy rękami.

– Ból miesiączkowy – mamrocze opryskliwie. – A może grypa żołądkowa?

Rzuca spojrzenie ojcu. Jestem zbyt zajęta przetrawianiem faktu, że samochód może kosztować dwieście tysięcy funtów, aby się przejmować zawstydzoną miną córki, ewidentnie błagającej Jake'a o dyskrecję. To zwykłe wagary jak nic.

Nie chcę wylewać na męża wiadra zimnej wody, gdy jest w takim dobrym nastroju. Kocha samochody i od początku wiedziałam, że sobie jakiś kupi. Jak dotąd zawsze zadowalaliśmy się kombikami z drugiej ręki.

Wygrana stworzyła mu możliwości, o jakich nawet nie marzył. Nie sądziłam tylko, że konsumpcja nastąpi tak szybko. I że wybrane przez niego auto okaże się superwozem. Pomimo wszystko, w duchu utrzymania dobrego nastroju w rodzinie, rzucam:

– Ja też zaszalałam. Kupiłam luksusową herbatę.

Jake i Emily wybuchają śmiechem. Emily pierwsza przestaje się śmiać, gdy dociera do niej, że to nie był żart.

– Nastawię wodę – oferuje.

– Nie ma potrzeby. Trzymam szampana w lodzie – studzi ją Jake. – To Louis Roederer Cristal. Dwieście funtów za butelkę.

– Nie chcę szampana – mówię. – Chcę herbatę.

– No tak, ale jak przyjdzie doradca, na pewno chętnie wypije kieliszek – stwierdza Jake.

Z westchnieniem przyznaję mu rację.

9

EMILY

Nie wiem, czy to dlatego, że tata cieszy się nowym samochodem, czy że zwyczajnie zapomniał, w każdym razie ulżyło mi, kiedy nie powiedział mamie, czemu jestem w domu.

Wysłałam ze szkoły. Ot tak. Potem wysłałam tacie esemesa. „Nie chcę tu być”.

„Już jadę, księżniczko. Tylko się nie przewróć na widok karocy”, odpisał.

Wóz jest super. Żółciutki jak jajecznicza ideał. Widać go na kilometr, a słyhać z jeszcze większej odległości. Tata zatrzymał się pod szkolną bramą i zwiększał obroty na jałowym biegu. Skoro miałam zamiar zwagarować, powinnam raczej wyjść niezauważoną, ale i tak fajnie było widzieć kolegów z opadniętymi szczękami. Ridley też rozdziawił usta. Udałam, że go nie widzę, ale czułam na sobie jego wzrok. Zarzuciłam włosami, po czym tata ruszył z kopyta. To mi trochę poprawiło humor po tej akcji z Ridleyem i Megan. Nadal nie mogę uwierzyć, że tak się wobec mnie zachowali! Jakbyśmy nigdy nie byli bliskimi przyjaciółmi! Jakbyśmy ze sobą nie chodzili. Zazdrośnicy.

– Widziałeś ich miny, widziałeś? – zapytałam tatę, gdy pędziliśmy ulicą.

– Jasna sprawa. – I z mety zaczął mi opowiadać o aucie. Niewiele z tego zapamiętałam, ale podstawowe informacje utkwily mi w głowie. Mówiąc krótko: samochód jest szybki i drogi.

Pokręciliśmy się trochę, nie chcąc wracać od razu do domu; przejechaliśmy pod domem Ridleya i pod domem Megan. Nie zrobiliśmy tego specjalnie, ich posesje znajdują się po drodze do nas, choć przypuszczam, że tata jak najbardziej celowo zawył silnikiem pod ich oknami. Odkąd wygraliśmy w lotto, zrobił się jakiś fajniejszy. U Ridleya ktoś chyba był – mignęła mi twarz za firanką. Pewnie Jennifer. Później wjechaliśmy na A1.

– Żeby sprawdzić możliwości – wyjaśnił tata.

Nie tylko dzieciaki w szkole gapily się na nas, także wszyscy kierowcy zerkali zazdrośnie, gdy ich mijaliśmy. Niektórzy wręcz się oblizywali na widok ferrari. Przez dłuższy czas milczeliśmy, ciesząc się w duchu ciepłym uczuciem, jakie daje świadomość, że człowiek ma lepiej od innych. W końcu jednak tata odwrócił się do mnie i zapytał:

– I co tam w szkole?

Mogłam się spodziewać, że weźmie mnie w obroty. Z nich dwojga jest dobrym gliną, ale jednak gliną – i zawsze musi wiedzieć, co dzieje się w moim życiu.

– W szkole jest do dupy – mruknełam.

– Wydawało mi się, że lubisz się uczyć.

– Y-y.

– Kiedyś przynajmniej tak było.

Wzruszyłam ramionami.

– Pokłóciłam się z Ridleyem. I z Megan.

– O wygraną?

Ponownie wzruszyłam ramionami, bo teoretycznie miałam nic nie mówić o wygranej, ale z drugiej strony tata właśnie przejechał ich ulicą rzucającym się w oczy głośnym ferrari. Trudno tu mówić o dochowaniu tajemnicy.

– Wiem, że teraz mi nie uwierzysz, ale jesteś jeszcze bardzo młoda. Będziesz miała innych chłopców, inne przyjaciółki.

Wyjrzałam przez okno. Mylisz się, pomyślałam. W tamtej chwili omal nie eksplodowałam z nadmiaru emocji, które się we mnie kłębiły. Oczywiście mega się cieszę, że jesteśmy tacy bogaci, ale Ridley i Megan? Jak mogli mnie tak potraktować? Czuję się, jakby mnie uderzyli. Nie umiem tego wyjaśnić. Zresztą nawet gdybym umiała, tata by tego nie zrozumiał. Jest za stary. Choć w głowie miałam mętlik myśli, nic nie powiedziałam. Za to on znowu się odezwał:

– Może to i dobrze? W najbliższych miesiącach będziesz bardzo zajęta.

– Taaa, wiem, egzaminy... – jęknęłam. Jestem dopiero w dziesiątej klasie, ale za parę miesięcy czeka nas próbna matura. Jej wyniki nie mają żadnego znaczenia, jednak rodzice są strasznie przejęci i wspominają o niej przy każdej okazji.

– Miałem na myśli wydawanie pieniędzy. – Tata się zaśmiał. – Przeprowadzimy się do nowego domu, pojedziemy na wakacje...

Uśmiechnęłam się do niego promiennie. Co za ulga! Do diabła ze szkołą! Po co mi wykształcenie? Jesteśmy bogaci!

Ale dziś był najgorszy dzień w moim życiu.

Ridley i Megan dostali schizy. Przez ułamek sekundy cieszyli się moim szczęściem, dopóki myśleli, że wygrana jest do podziału między trzy rodziny, ale jak tylko im powiedziałam, że ich rodzice wycofali się z syndykatu przed kupieniem szczęśliwego losu, odwaliło im całkowicie. Powtarzali, że to nie fair, że tak nie można. Megan powiedziała (cytuje), że

„nienawidzi bogatych suk” i że odtąd nie możemy już być przyjaciółkami. Ot tak, wyrzuciła do kosza wieloletnią przyjaźń od małości. „Ridley, a ty?” – zapytałam, ciągnąc go za ramię, żeby na mnie spojrzał. To naprawdę dziwne, ale jego dotyk działa na mnie nawet podczas największej awantury. Czuję go całym swoim ciałem. Jakbym go połknęła czy coś. „Em, to naprawdę trudne”, odparł. On jeden nazywa mnie Em. Mama upiera się przy niezdrobnionym imieniu, które nadała mi dla uczczenia swojej ukochanej Emily Brontë, i poprawia ludzi, ilekroć użyją krótszej formy. Ale Ridleyowi daje spokój. Nawet ona wie, że nie należy przekraczać pewnych granic. On mówi na mnie Em, a ja na niego Rids. Tak już mamy. Mimo że nie spojrzał mi w oczy, mając wzrok wbity w podłogę, nazwał mnie Em, a ja się rozplątałam. Megan oddaliła się ostentacyjnie, ale nie zniknęła całkiem, tylko zrobiła to, co doprowadza mnie do białej gorączki – odeszła kawałek i zatrzymała się w polu naszego widzenia, żebyśmy mogli do niej dołączyć. Zawsze musi być w centrum uwagi. „To znaczy cieszę się przez wzgląd na ciebie – dodał Ridley. – To wspaniała wiadomość, ale nie wiedziałem, że moi rodzice się wycofali. Megan pewnie też nie miała o niczym pojęcia. Dlatego jak powiedziałas o wygranej, pomyśleliśmy, że jest nasza wspólna. Rozumiesz?” Tłumacząc się, co rusz zerkał na Megan. „Zdenerwowała się. Pójdę z nią pogadać”.

„Ja też się zdenerwowałam”.

„No tak, ale ty jesteś bogata, co potrafi osłodzić nerwy”. Posłał mi szybki uśmiech i moment później już go nie było. Dziwnie się poczułam, bo w tej samej chwili odniosłam wrażenie, że mam wszystko i równocześnie nie mam nic.

Przejażdżka ferrari była miła, ale nie mogłam wyrzucić z myśli Ridleya i Megan.

– Tato, mogę rzucić szkołę? – zapytałam w pewnej chwili.

– Zobaczymy. Zawsze możesz zrobić sobie rok wolnego, uczyć się pod okiem prywatnego nauczyciela, kiedy będziemy podróżowali. Albo i nie, wtedy po prostu powtórzysz klasę po powrocie. Poszłaś do szkoły rok wcześniej... Zresztą życie to coś więcej niż nauka. Pozwól nam ułożyć jakiś plan. Na pewno będziesz mogła zmienić szkołę, jeśli obecna ci nie odpowiada. Możemy cię nawet wysłać do prywatnej, jeżeli chcesz.

– Tak, chyba chcę.

Wtedy tata powiedział, że powinniśmy zawrócić i przejechać pod oknami Heathcote'ów i Pearsonów jeszcze raz. Boże, ależ to auto ma moc!

10

LEXI

Nasz doradca okazuje się doradczynią. Kobieta ma na imię Gillian i momentalnie przypada mi do gustu. Wygląda na kogoś, kto mógłby pracować ze mną w Biurze Porad Obywatelskich. Zwykła szara myszka na granicy zaniedbania. Włosy farbuje na blond, ale jej odrosty mają ciemniejszy odcień i do tego pasemka przedwczesnej siwizny. Przypuszczam, że farbę kładzie sobie sama w zaciszu domowej łazienki, zupełnie jak ja. To w pewnym sensie mnie ośmiela. Poza tym Gillian nosi okulary typowej sekretarki oraz wielką torbę – raczej przez wzgląd na jej praktyczność niż elegancję.

– Napije się pani herbaty? – proponuję. Zdążyłam już wyłożyć ciasto, talerzyki i kubki. Wystawiłabym filiżanki i spodeczki, gdybyśmy takowe mieli, ale nie mamy. Emily zasugerowała, że powinniśmy sobie sprawić nową zastawę. Zapomniałam także o serwetkach.

– Och, z chęcią. Poproszę najzwyczajszą czarną z odrobiną mleka i bez cukru – odpowiada Gillian tonem kobiety, którą suszy po długiej jeździe samochodem.

– Pomyślałem, że szampan będzie bardziej na miejscu. – Jake trzyma butelkę wysoko.

Gillian obrzuca nas oboje szybkim spojrzeniem; wiem, że dokonuje w duchu oceny. Robię to samo, mając naprzeciw siebie petenta. Udzielam identycznych rad, ale podanych w różny sposób zależnie od osoby.

– Zdaję się na państwa. Szampan jest zawsze na miejscu, ale że prowadzę, poproszę tylko pół kieliszka. Mam w zanadru mnóstwo informacji, a nie wiem, jak na państwa działa alkohol – odpowiada Gillian dyplomatycznie, uśmiechając się lekko.

Jake już odwija drucik chroniący korek. Biegnie do kuchni, aby rozlać pieniący się trunek do kieliszków. Gillian i ja siedzimy w milczeniu, dopóki nie rozlegnie się charakterystyczne pyknięcie. Wtedy kobieta uśmiecha się szerzej i mówi:

– Mają państwo co świętować.

– O, tak.

Wznosimy toast. Jake wypija swój kieliszek duszkiem, jakby mu się dokądś śpieszyło, po czym nalewa sobie kolejny. Gillian zaczyna wyjmować z przepastnej torby skoroszyty i dokumenty, następnie zabiera się do przekuwania naszych mało realnych marzeń w rzeczywistość.

– Musimy umówić spotkania z księgowymi i doradcami finansowymi. Chyba państwo rozumieją, że takich pieniędzy nie deponuje się w zwykłym banku. Rozsądniej jest kazać im na siebie pracować. Dlatego radziłabym skontaktowanie się z zarządcą majątku.

– Czyli?...

– Coutts to moja pierwsza sugestia. Słyszeli państwo o tej instytucji?

Przed oczami staje mi solidny budynek przypominający twierdzę, który czasem mijam, idąc londyńskim Stranem. Wysoko na jednej z elewacji widnieje właśnie ta nazwa. Wymyślne czarne litery na kremowym tle. Nigdy mi się nawet nie śniło, że kiedyś przekroczę jego próg. Trzy złote

korony w logo świadczą, że ten prywatny bank zarządza między innymi majątkiem rodziny królewskiej.

– Ale czy zechcą nas przyjąć? – wyrażam obawę.

– O to proszę się nie martwić – zapewnia z uśmiechem Gillian.

– Pieniądze otwierają drzwi – wtrąca Emily.

– Pieniądze wyważają drzwi! – Jake wybucha śmiechem.

Czuję się niezręcznie w związku z tym, że moja piętnastoletnia córka bierze udział w rozmowie. Do tej pory zawsze unikaliśmy mówienia o sprawach finansowych w obecności dzieci. Aczkolwiek prawdą jest, że wszystkie wcześniejsze rozmowy o pieniądzu dotyczyły tego, czy mamy ich wystarczająco dużo, a jeśli nie, skąd możemy je wziąć.

– Z notatek podsuniętych mi przez stanowisko pierwszego kontaktu wynika, że wahają się państwo przed upublicznieniem wygranej, ale z drugiej strony wiem, że w internecie już wyciekło, iż zwycięzca pochodzi z tej okolicy. Czy ma to coś wspólnego z... – Gillian taktownie milknie i tylko oczami pokazuje w stronę wejścia, przed którym stoi ferrari.

– Tak – potwierdzam. – Mój mąż nie należy niestety do najdyskretniejszych ludzi.

– Ale nadrabiam te braki entuzjazmem. – Jake wykonuje gest, jakby uderzał w perkusję.

Emily wybucha śmiechem. Gillian uśmiecha się uprzejmie. Przysięgam, że mój mąż nie bierze narkotyków, ale i tak wydaje się na haju.

– W tej sytuacji radziłabym, aby jednak upublicznili państwo wygraną. Przy wspomnianym przecieku i jaskrawożółtym ferrari stojącym przed domem prasa nie będzie potrzebowała wiele czasu, aby ustalić, kto wygrał siedemnaście milionów osiemset tysięcy funtów. A gdy media to ujawnią, nie da się zapanować nad chaosem. Przejmując inicjatywę, zapewnią sobie

państwo kontrolę nad rozwojem sytuacji. Innymi słowy: to państwo będą autorami tej wspaniałej historii.

– Jak to? – dziwię się.

– Ta historia aż się prosi, aby ją opowiedzieć – zapewnia Gillian. – Czteroosobowa rodzina, wielka wygrana... To przemawia do wyobraźni. – Chodzi jej o to, że jesteśmy zwyczajną rodziną. Przeciętną. Oczywiście ma dość kultury, by nie powiedzieć tego wprost. Chociaż jeśli chodzi o mnie, mogłaby to zrobić. Nie mam nic przeciwko przeciętności. Uśmiecham się więc. Nawet jeśli wypada to nieco sztywno, Gillian niczego nie zauważa. – Możemy państwa skontaktować ze specjalistami od PR-u, a nawet z konsultantem do spraw wizerunku. – Nie mam pojęcia, czym się zajmuje konsultant do spraw wizerunku, ale kiwam głową. Potrzebuję wsparcia, zespołu. – W takim przypadku będziemy musieli zorganizować małą uroczystość, na której wręczymy państwu ogromny czek. To świetna zabawa, zobaczą państwo. Może w najbliższy piątek? Czy ten termin państwu pasuje?

– Tak, w piątki pracuję tylko do lunchu, więc dam radę – mówię.

Jake i Emily znowu chichoczą. Najwyraźniej dla nich praca ani szkoła nie są żadną przeszkodą.

– Ceremonia może się odbyć w dowolnym miejscu, ale odradzałabym dom rodzinny. Może w miejscowym klubie albo innej eleganckiej lokalizacji, gdzie będzie można zrobić dobre zdjęcia. Zaprosimy oczywiście lokalną prasę i stacje radiowe. Wcześniej uprzedzimy państwa, jakie pytania lubią zadawać reporterzy. Możemy nawet przygotować odpowiedzi. Nie mają państwo najmniejszych powodów do obaw. Wszystko przebiegnie raczej skromnie. To nie wiadomość na skalę kraju.

– Nie? – Czuję ulgę.

– Niezupełnie. Musieliby państwo wygrać sześćdziesiąt milionów albo więcej, aby trafić na usta wszystkich.

– Wystaw sobie! – rzuca Jake z podziwem.

– Przed pojawieniem się u państwa zrobiłam sobie małą wycieczkę po okolicy, na wypadek gdyby zgodzili się państwo na uroczystość. W oko wpadł mi ten hotel przerobiony z wiejskiego dworku... – Gillian podaje nam swojego iPada. – Zamieniłam już słowo z kierownikiem do spraw imprez. Chętnie nas podejmą, jeśli się na nich zdecydujemy. – Przed oczami mam reprezentacyjne zdjęcia Camberwell Manor Hotel. Znam go ze słyszenia; organizują duże wesela i imprezy firmowe, w tym bale. Nigdy tam nie byłam, ale w głębi duszy zawsze uważałam, że byłoby to idealne miejsce na ślub Emily, powiedzmy za jakieś piętnaście lat.

– Wygląda bardzo ładnie – kwituję.

– Taaa, ekstra. Od początku chciałem upublicznić wygraną. Na pewno będzie świetna zabawa – komentuje Jake. – Ale mam jedno pytanko. Czy faktyczne pieniądze też dostaniemy dopiero w piątek? Pierwotnie obiecano nam, że stanie się to najpóźniej w środę.

Przymykam oczy, zawstydzona jego chciwością.

– Czek jest tylko symboliczny. Nie da się go zrealizować – zauważa Gillian.

– No tak, oczywiście.

– Ale możemy przelać pieniądze na konto przed uroczystością, jeżeli tego państwo chcą.

– Tego właśnie chcemy – stanowczo ucina dyskusję Jake.

11

EMILY

PIĄTEK, 26 KWIETNIA

Gillian organizuje samochód, który nas odbierze i przywiezie z powrotem, aby mama i tata mogli wypić kieliszek szampana podczas uroczystości, nie ryzykując, że ktoś im wytknie jazdę pod wpływem. Tata twierdzi, iż mógłby się napić i przywieźć nas cało, tym bardziej że ferrari stoi i tylko się kurzy, mama jednak sprowadza go na ziemię, mówiąc, że nawet gdyby nie przekroczył limitu promili, przedstawiłoby to nas w złym świetle na łamach prasy. Na to tata odpowiada, że zdaniem Gillian mało kogo interesujemy. Wyraźnie jest mu z tego powodu przykro. Mama dodaje, że niepotrzebne nam zainteresowanie mediów z niewłaściwych powodów, a poza tym i tak nie zmieścilibyśmy się całą rodziną w ferrari. Gdy już się wydaje, że wszystko ustalone, wyrywa się Logan, mówiąc, że skoro tata jedzie ferrari, on też chce, bo co wóz sportowy, to wóz sportowy. Na koniec mama upycha nas wszystkich w podstawionym aucie, które okazuje się wypasioną limuzyną, i zapowiada, że nie chce słyszeć ani słowa więcej.

Klamka zapadła!

Camberwell Manor Hotel jest wystawny na swój staroświecki sposób. Prowadzi do niego żwirowa, wysadzana drzewami aleja. W środku rzucają się w oczy drewniane podłogi, zasłane przeróżnymi antycznymi dywanami, i boazeria. Bogacze lubią się otaczać drewnem. Ja jednak urządziłabym swój dworek inaczej, gdybym go miała; postawiłabym na nowoczesny styl przykuwający oko na zasadzie kontrastu. Mimo wszystko potrafię docenić urok tego miejsca. Zostajemy wprowadzeni do wysokiego pomieszczenia, gdzie na ścianach wiszą obrazy przedstawiające konie o dziwnych proporcjach i ckliwe landszafty. Dwadzieścia krzeseł stoi przed mównicą. Proponują nam napoje, proszę więc o cappuccino, ale ktoś przynosi mnie i Loganowi colę (zwykłą, nie light, dlatego jej nie ruszam). Pojawiają się pierwsi dziennikarze. Można ich podzielić na dwa rodzaje. Jedni przekraczają żwawo próg z twarzami błyszczącymi od potu, jakby byli w pośpiechu, chcą bowiem sprawić wrażenie bardzo zajętych (a więc rozchwytywanych). Drudzy się nie śpieszą, zajmują powoli miejsca, gotowi skorzystać z bufetu przy pierwszej sposobności. Ci na pewno nie wrócą do redakcji przed lunchem. Tata wyjaśnia, że istnieje duża różnica między dziennikarzem etatowym a wolnym strzelcem. Widzę, jak kilku dźwiga sprzęt – trójnogi i prawdziwe kamery, zupełnie jakby nie wynaleziono iPhone'a. Żaden jednak nie wygląda na specjalnie inteligentnego ani szykownego, na co skrycie liczyłam. Przypuszczam, że wszyscy żałują odkrycia internetu i upadku tradycyjnego dziennikarstwa, którego ośrodkiem w Londynie była Fleet Street. W zamierzchłej przeszłości oczywiście. Wiem to z książki Arthura Evelyn Waugh, która była naszą lekturą, oraz z opowieści taty, który lubi powspominać dawne czasy.

Reporterzy wyraźnie się znają, wszyscy więc muszą być z tej okolicy; trajkoczą ze sobą, wypytując się nawzajem o dzieci i żony. Atmosfera zaczyna przypominać przyjęcie. Oni uśmiechają się do nas, my

odpowiadamy im nieśmiałymi grymasami. Gillian (która pełni rolę kogoś w rodzaju opiekunki dla nowobogackich) doradziła nam, abyśmy nie mówili za dużo przed uroczystym wręczeniem czeku, ponieważ później odbędzie się krótka konferencja prasowa z serią pytań i odpowiedzi. Podczas gdy przedstawiciele mediów opychają się ciastkami wystawionymi przez Gillian, my trzymamy się z boku – tylko Logan nie potrafi oprzeć się pokusie. W pięć sekund pochłania trzy eklerki i pączka. Reszta z nas nie ma apetytu, myślę, że jesteśmy podenerwowani, nawet tata. Gdy już niemal wszystkie krzesła są zajęte, Gillian zajmuje miejsce na mównicy.

Przysłuchuję się, jak ogłasza światu (no dobra, kilkunastu żurnalistom, którzy pracują dla gazet, czasopism i rozgłośni radiowych na terenie jednego, niczym się niewyróżniającego hrabstwa w Anglii), że wygraliśmy w lotto – i nagle te słowa czynią naszą wygraną prawdziwszą niż kiedykolwiek do tej pory. A w mijającym tygodniu zdążyliśmy zaszaleć w Londynie na zakupach, tata kupił sobie szpanerski wóz i zarezerwował dla nas wakacje w Nowym Jorku. Wszystko to było niesamowite, ale też jakieś nierealne. Chyba szczególnie mama się obawiała, że ktoś odbierze nam wygraną – i ten strach w pewnym sensie udzielił się nam wszystkim. Mama jest wieczną pesymistką. Babcia nazywa ją troskunką, a dziadek zamartwiaczką. To chyba jej cecha wrodzona. Teraz uśmiecham się do niej szeroko, a ona odpowiada tym samym. Wreszcie uwierzyliśmy w swoje szczęście. Nic złego się nie wydarzyło. Jesteśmy wygranymi!

Dokładnie w tym momencie na salę wpadają Carla i Patrick Pearsonowie oraz Jennifer i Fred Heathcote'owie. Rozlega się donośny, śmiały, nad wyrazem pewny siebie – a przy tym nieco irytujący – głos Carli:

– Jesteśmy najbliższymi przyjaciółmi zwycięzców, przyszedliśmy im pogratulować. Proszę nas wpuścić.

To polecenie, nie prośba. Mężczyzna, który nas przywitał po wejściu do hotelu zza biurka z tabliczką „concierge”, najwyraźniej nie jest ochroniarzem. Schodzi przed nowo przybyłymi uprzejmie na bok. Oczy wszystkich są skierowane na Pearsonów i Heathcote’ów. Gillian czeka cierpliwie, aż goście się rozsiądą. Nie robią tego jednak. Nigdzie też nie ma Ridleya ani Megan; nie widzę ich, mimo że się rozglądam. Od naszej wtorkowej kłótni nie odezwali się do mnie. Ani słowem! Nie mogę w to uwierzyć. Dobrze, że nie wróciłam do szkoły w tym tygodniu, bo chyba tego nie zniosła. Szkoła bez Ridleya i Megan zwyczajnie nie ma sensu. Mama codziennie ciosała mi kołki na głowie, bo nie uwierzyła w bajeczkę o bólu brzucha, ale tata wziął moją stronę, tak że koniec końców się poddała. Zanim wygraliśmy, w życiu nie pozwoliłaby mi pójść na zakupy w szkolny dzień pod pretekstem złego samopoczucia, ale teraz to się zmieniło. Do pełni szczęścia brakuje mi tylko Ridleya. Chciałabym, żeby zobaczył mnie w nowej, sięgającej do połowy łydki różowej sukience od Bossa (powinna być chyba do kolan, ale że jestem „wysoka inaczej”, na mnie wydaje się dłuższa).

Zerkam na rodziców. Żadne z nich się nie uśmiecha. Siedzą nieruchomo jak skamieniali, cali bladzi. Wiem, że mama nie chciała, aby tamci dowiedzieli się o wygranej; domyślam się, że dostanie amoku, kiedy odkryje, że to ja się wygadałam. Tata się nie przejął. Pewnie zdaje sobie sprawę, że musimy się z nimi zmierzyć prędzej czy później. Czy Heathcote’owie i Pearsonowie będą tak samo zazdrośni jak Ridley i Megan? A może wykażą się większym rozsądkiem? Powiedzieli, że przyszli nam pogratulować. Chcę w to wierzyć, bo wtedy między mną i ich dziećmi wszystko znów by się ułożyło.

Jennifer i Fred Heathcote’owie to rodzice Ridleya. Mój chłopak jest podobny do swojego ojca, ale uśmiech ma po mamie. Z tym że w tej chwili

Jennifer się nie uśmiecha; szczęki ma zaciśnięte w ponurej determinacji. Ubrani są tak jak zwykle: elegancko. Niespecjalnie modnie, ale adekwatnie do sytuacji. Postawili na klasykę. Jennifer ma we włosach karmelowe pasemka, które na pewno kosztowały fortunę, i z tego, co mi się zdaje, dopiero co zrobiła sobie fryzurę, żeby je podkreślić. Chociaż nie wiem, bo zawsze wygląda, jakby właśnie wyszła od fryzjera. Fred natomiast przez swój zarost wygląda jak jakiś księżę czy coś. To tylko przeczucie, ale wydaje mi się, że mama i tata liczyli na osiągnięcie właśnie takiego efektu, kiedy łąziliśmy tam i z powrotem po New Bond Street z pieniędzmi ciężącymi nam w kieszeni. Mama kiedyś mi powiedziała, że rodzice Ridleya są snobami w przeciwieństwie do wszystkich innych naszych znajomych. Oboje chodzili do szkół z internatem, a Jennifer nawet miała kucyka, jak była mała. Moim zdaniem Pearsonowie są od nich teraz bogatsi – przynajmniej mieszkają w większym domu – ale i tak wszyscy zabiegają o względy Heathcote'ów. Chyba dlatego, że są tacy dobrze wychowani i w ogóle. Są też bardzo mili. I uprzejmi, wiecie?

Przenoszę wzrok z powrotem na rodziców. Wyglądają w porządku, wydają się młodszy od tamtej czwórki, ale też wystroili się jak stróż w Boże Ciało. Od razu widać, że mają na sobie nowe ubrania, co nigdy o nikim dobrze nie świadczy. No, chyba że na wakacjach. Mama jest dość ładna, ale nic nie robi, aby pomóc swojej urodzie, a że Carla i Jennifer zajmują się tylko domem, mają czas na chodzenie po siłowniach i salonach kosmetycznych. Mam nadzieję, że teraz, gdy zostaliśmy milionerami, mama będzie o sobie bardziej dbała. Pamiętam, jak raz żartowałyśmy, że przy okazji mojego ślubu z Ridleyem będzie musiała się bardzo starać, aby matka pana młodego nie przyćmiła matki panny młodej. Jediną jej reakcją były słowa: „Jesteś za młoda, aby myśleć o małżeństwie”. Nie ma w niej za grosz ducha rywalizacji.

Nie wiem nawet, czy Ridley i ja nadal ze sobą chodzimy. Ta myśl sprawia, że moje ciało przenika ból – zupełnie jakby ktoś mnie biczował raz po raz. To musi być tylko przejściowy problem. Na pewno tak jest!

Patrick, ojciec Megan, ma na sobie swój zwykły strój: garnitur z krawatem. Przelotnie się zastanawiam, dlaczego nie jest w pracy. Zwykle nie odrywa się od komórki i potrafi rozmawiać tylko o tym, co robi zawodowo. Taty nie można o to oskarżyć. A skoro już mowa o pracy, zarówno Patrick, jak i Fred powinni siedzieć teraz w biurze. Chyba więc to dobry znak, że obaj wzięli wolne, aby towarzyszyć nam w tej ważnej chwili. Z pewnością chcą nam okazać swoje wsparcie. A w najgorszym razie chcą się nam podlizać. Nie mam wątpliwości, że teraz, gdy mamy masę pieniędzy, będą próbowali wprosić się na urlop w jakimś wspaniałym zamku, który wynajmiemy. Ale wszystko będzie dobrze. Jak już rozumiem, że nie zamierzamy chytrzyć. Wtedy odzyskam chłopaka i najlepszą przyjaciółkę. Życie będzie się toczyło tak jak dawniej.

Carla wygląda lepiej niż kiedykolwiek. Ma na sobie niebiesko-zieloną obcisłą (ale nie zbyt obcisłą!) sukienkę, sięgającą jej do połowy łydki. Niebieski i zielony normalnie nie idą w parze, ale tej wiosny modne są odważne zestawienia kolorów (jak powiedziała mi ekspedientka u Armaniego podczas ostatnich zakupów). Muszę przyznać, że Carla zepchnęła mamę w cień. Kogo ja oszukuję? Carla każdego spycha w cień. Jej celem jest perfekcja. Musi być najszczuplejsza, najszykowniejsza, nawet najszybsza, gdy urządzamy biegi. A jej dzieci bez dwóch zdań muszą być najmądrzejsze. Takie przynajmniej mam o niej zdanie. Mama uwielbia Carłę, ale ja uważam, że za bardzo zadziera nosa. Jest jedną z tych matek, które potrafią wyrecytować wynik testu córki z fizyki i wymienić wszystkich graczy obrony w jej ostatnim meczu hokejowym. Megan ma dwóch młodszych braci, dwunastoletniego Scotta i dziewięcioletniego

Teddy'ego. Carla nie spuszcza ich z oka. Bezustannie się skarży, jak trudno być matką trojga dzieci, ale sama nie wiem, co by robiła, gdyby nie żyła ich życiem.

Ja przynajmniej nie mogę narzekać, że mama żyje moim życiem.

Gillian grzecznie prosi przybyłych, aby zajęli miejsca, powtarza prośbę dwa albo nawet trzy razy, nikt jednak nie siada. Przeciwnie – Patrick podchodzi do mikrofonu i zaczyna mówić, co w tych okolicznościach jest lekką przesadą, ale on ma skłonność do przesady.

– Szanowni zebrani. – Wie, że jego akcent i staranna wymowa przykują uwagę. – Niezwykle się cieszymy, że jednak wszystkim członkom syndykatu udało się przybyć tu dzisiaj, aby zrobić pamiątkowe zdjęcie w komplecie, a nie tylko dwójce przedstawicieli, państwu Greenwoodom.

Co?! Nic nie rozumiem! Patrzę na mamę i tatę – wyglądają, jakby potrafił ich autobus. Nikt nie wie, co się dzieje, przez salę przechodzi cichy szmer. Dziennikarze powtarzają pod nosem „syndykat?“, słowa padają niczym kamienie do wody, zataczając coraz szersze kręgi. O czym on bredzi? Nie ma żadnego syndykatu! Był, ale się zbył, kiedy się wypisali!

Mama otwiera usta, lecz nie wydobywa się z nich żadne słowo, tylko cichutkie „pff”. Sięga do mojej dłoni, drugą ręką obejmuje barki Logana, ale z jakiegoś powodu ten gest mnie nie uspokaja, przeciwnie – napawa jeszcze większą obawą. Mama zachowuje się podobnie jak wtedy, gdy przyszła mi powiedzieć o śmierci dziadka ze strony taty. A ja podobnie się czuję. W głowie mam mętlik, wszystko dociera do mnie jak zza grubej szyby.

– Spierdalaj – rzuca tata. – Nic, kurwa, nie wygraliście. Nie ma żadnego syndykatu!

„Szanowni zebrani” wyrywają się z letargu spowodowanego nadmiernym spożyciem pączków i zamieniają się w czujne bestie węszące

za skandalem. Teraz bardziej przypominają stereotypowych dziennikarzy, jakich sobie wyobrażałam, ale też wywołują we mnie lekkie przerażenie. Zrywają się na nogi i zarzucają nas pytaniami.

– Kupowaliście losy wspólnie? Zatem wygranych jest sześcioro? – drze się jeden z reporterów, ale że wszyscy pytają o to samo, na sali zalega cisza w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Nie, kurwa! – odkrzykuje tata.

Dziwne, nigdy tyle nie przeklina. Znaczy jak uderzy się młotkiem w palec, to aż więdną uszy, ale normalnie stara się nie używać przy mnie i Loganie słów, które na co dzień słyszymy w szkole. Nie podoba mi się, gdy tak traci panowanie nad sobą. Czuję, że to w niczym nam nie pomaga, a wyraźnie potrzebujemy w tej chwili pomocy.

Paru dziennikarzy notuje coś zapamiętale. Nie sądzę, aby to dobrze wróżyło.

– Gramy wspólnie od piętnastu lat i czterech miesięcy – oznajmia Patrick niepytany. Głos ma spokojny, autorytarny. – Przez cały ten czas tydzień w tydzień zrzucaliśmy się na los. – Ujmuje za rękę Carlę, która zdążyła do niego podejść. Carla uśmiecha się do kamer, jest bardzo fotogeniczna.

– Nieprawda – kontruje tata.

– Co jest nieprawdą? – pyta go Patrick z uśmiechem. To oczywiście oszustwo, uśmiech jest na pokaz. Jak ktokolwiek może się na niego nabrać? – Czyż nie gramy wspólnie od ponad piętnastu lat?

O, nie! Już wiem, co będzie dalej. To klasyczne zagranie. W szkole jest na porządku dziennym. Ale nie mam jak ostrzec taty, który wpada w pułapkę, odpowiadając:

– No... tak.

– Czyż nie wybieramy zawsze tych samych liczb?

Tata kiwa głową, lecz próbuje powiedzieć coś innego. Jąka się jednak; z jego ust dobywa się ślina, ale nie słowa, co Patrick wykorzystuje – gładko odwraca się do dziennikarzy z triumfalnym uśmiechem. W swoim mniemaniu dowiódł swego.

– Wycofaliście się z syndykatu na tydzień przed wygraną! – udaje się wykrzyzczyć tacie.

Heathcote'owie i Pearsonowie przybierają maski zdumienia i niedowierzania. Carla cmoka, kręci głową. Jennifer wbija wzrok w ziemię, jakby się wstydziła za swojego tatę; skromnie przechyla głowę na bok. W tym momencie Fred klepie tatę w plecy, raczej mocno.

– Świetny kawał, stary. Ale co za dużo, to niezdrowo.

– Kurwa, ja nie żartuję! – wrzeszczy tata.

Mama dotyka jego ramienia.

– Przestań kląć, Jake.

Tata wpatruje się w nią z mordem w oczach.

– Tylko tyle masz do powiedzenia? Martwi cię, że przeklinam, kiedy ci oszuści próbują nas okraść?

– Dobrze, już dobrze. Wystarczy. – Gillian podnosi się na nogi. Przywołuje pomoc i nagle kierownik hotelu sprawnie kieruje nas do holu, a stamtąd do innego pomieszczenia.

Heathcote'owie i Pearsonowie podążają za nami, tak samo jak para ochroniarzy spodziewających się, że zaraz się zaczną. To pewnie najlepszy dzień w całej ich karierze. Ktoś wyprowadza dziennikarzy do holu.

Gillian zwraca się do wszystkich:

– Wkrótce wydamy oświadczenie. Gdyby panowie mogli się do tego czasu wstrzymać z zamieszczeniem informacji, byłabym niezmiernie wdzięczna.

Przypuszczam, że odwołuje się do ich ludzkiej natury, licząc na współpracę, skoro spustoszyli bufet, nie mam jednak pojęcia, jak sprawa przedstawia się z prawnego punktu widzenia. Wszystko, co powiedziano, powiedziano na konferencji prasowej, tak więc mogą upublicznić, co zechcą – i najprawdopodobniej co najmniej jeden z nich to zrobi.

Ledwie znajdujemy się poza zasięgiem wzroku dziennikarzy, Patrick naskakuje na tatę:

– W co wy, kurwa, pogrywacie, Jake?

Naprawdę zaczynam się bać, gdy popycha tatę na ścianę, trzymając go obiema dłońmi za szyję. Twarz ma przy tym purpurową z furii. Jest dobrym aktorem. Zerka dyskretnie dokoła, aby się upewnić, że personel obserwuje przedstawienie. Pracownicy hotelu wydają się przestraszeni. Rozglądam się za tamtymi dwoma ochroniarzami, ale najwyraźniej są zajęci wyprowadzaniem reporterów z budynku. Patrick toczy wokół dzikim spojrzeniem; jeszcze nigdy na niczyjej twarzy nie widziałam tak nieposkromionego gniewu i gotowości do przemocy. Tata jest znacznie bardziej wysportowany od Patricka, czekam więc, żeby go odepchnął, ale tego nie robi – miażdży tylko napastnika pogardliwym wzrokiem. Działa to na niego jak czerwona płachta na byka. Patrick zacieśnia chwyt na gardle taty.

– Puść go! – krzyczy mama, rzucając się w ich stronę.

Obejmuję ramionami stojącego przede mną Logana, aby go powstrzymać przed dołączeniem do awantury, ale też dlatego, że naprawdę potrzebuję go objąć. Wtedy do akcji wkracza Fred. Brutalnie łapie Patricka za barki i odciąga go od taty; udaje mu się ta sztuka, bo nikt, dosłownie nikt nie spodziewał się, że Fred wykaże inicjatywę i zaangażuje się w przepychanki, jest to bowiem człowiek o nienagannych manierach. Czuję

zalewającą mnie falę ulgi i wdzięczności. Odprężam się. Fred załagodził sprawę. I wtem – niespodzianka – Fred grzmoci tatę w brzuch!

– Ty skurwysynu! – warczy.

Tata osuwa się na podłogę jak worek ziemniaków. Mama przypada do niego i zasłania go własnym ciałem.

– Chryste, Fred, co ty sobie wyobrazasz? Natychmiast przestań! – krzyczy.

Carla i Jennifer milczą jak zakłète. Jennifer podchodzi do stolika, ostrożnie nalewa wody do jednej ze szklanek, a następnie podaje ją mojemu tacie.

Dorośli są, kurwa, niebywali.

Mama się podnosi i odstępkuje od taty. Przypuszczam, że jej zdaniem jest już bezpieczny, tymczasem Patrick chwyta tatę za klapy marynarki i siłą stawia go na nogi. Po ciosie w przeponę tata ma trudności z oddychaniem, ale nadrabia miną, żeby wyjść na twardziela.

– Spokojnie, przyjacielu – mówi, unosząc ręce w geście ustępstwa. Pokazuje wszystkim, że się poddaje. Że zachował rozsądek pomimo niesprawiedliwości, która go spotkała. Rozglądam się rozpaczliwie. Dlaczego nikt nie moderuje? Tym bardziej że Patrick właśnie szarpie tatę za klapy i potrząsa nim wściekle, trochę jak terier złapanym szczurem.

– Nie jesteśmy przyjaciółmi – syczy i cofa pięści.

Boję się, że i on uderzy tatę. Cios Freda był zaskoczeniem; tata po nim padł, bo czegoś takiego się nie spodziewał. Obawiam się jednak, że Patrick zaraz zrobi coś znacznie podlejszego i krzywdzącego. Postawny z niego facet. W tej chwili przypomina walec, który chętnie rozjedzie na miazgę wszystko na swojej drodze. Twarz ma wykrzywioną złością. Wrzeszczę, co zwraca na mnie uwagę wszystkich. Wydają się zdziwieni, że Logan i ja jesteśmy w tym samym pomieszczeniu co oni. Najwyraźniej całkiem o nas

zapomnieli. Jak gdybym wyrwała go ze stuporu, kierownik hotelu wypada na zewnątrz. Mam nadzieję, że pobiegł po pomoc.

– Proszę, przestańcie! Puśćcie go... – błaga Logan, cały zapłakany.

– Tak się kończy zadzieranie z silniejszymi od siebie – rzuca Patrick. – Powinieneś o tym wiedzieć.

Myślałam, że zwraca się do Logana, ale on patrzy prosto na mojego tatę.

W pokoju pojawia się Gillian. Towarzyszy jej kierownik hotelu, który ewidentnie nie wie, co zrobić. Nudności podchodzą mi do gardła.

– Proszę natychmiast puścić pana Greenwooda – rozkazuje Gillian. – W przeciwnym razie wezwę policję.

– Świetny pomysł! – blefuje Patrick, ale odsuwa się od taty.

Logan i ja przypadamy do niego, obejmując go ciasno rękami.

– Lexi, Jake, zadzwoniłam już po prawnika. Będzie tu za dwadzieścia minut – informuje Gillian.

– Och, prawnik nie będzie chyba potrzebny – wtrąca Jennifer. – Jesteśmy w przyjacielskim gronie, prawda?

– Czyżby?! – naskakuje na nią mama. – Jak tam wasz wyjazd do siostry Freda w miniony weekend? – Jennifer patrzy na mamę, ale nie odpowiada. Wtedy mama zwraca się do Freda: – Twoja żona powiedziała mi, że wyjeżdżacie, ale mnie okłamała. Nigdzie nie pojechaliście.

Fred wydaje się zmieszany. Wyraźnie nie wie, co powiedzieć.

– To dlatego kłamiecie w sprawie syndykatu? – włącza się do rozmowy Carla. Wydaje się nieporuszona faktem, że jej mąż właśnie zachował się jak ostatni bandyta. Przecież to wstrętne, obrzydliwe! Dlaczego nie jest wzburzona? Jakby nigdy nic dalej przesłuchuje mamę: – Poczułaś się zraniona, bo nie zaprosili cię na kolację w jeden wieczór, i teraz w ramach

odwet u wycinasz nas wszystkich ze spółki. Kłamiesz. Kradniesz nasze miliony.

– Nie! – zaprzecza zapalczywie mama. – A właściwie to tak!

– Tak, kłamiesz? – Patrick rzuca Gillian triumfujące spojrzenie. – Brawa za odwagę cywilną, Lexi. A teraz rozwiążmy to po dobroci.

– Nie, nie, nie kłamię. Powiedziałam tylko, że czuję się zraniona. Wycofaliście się z syndykatu. Nie jesteście naszymi przyjaciółmi. Wiem, jacy jesteście naprawdę. – Mama nie podnosi głosu, wygląda na załamana, boję się, że lada moment się rozpłacze.

Gillian kładzie dłoń na jej ramieniu.

– Lexi, Jake, sugeruję, abyście już nic więcej nie mówili. Zaczekajmy na prawnika i wtedy postaramy się to rozwikłać.

– Myślicie, że wam to ujdzie na sucho? – odzywa się tata, jakby w ogóle jej nie słyszał.

– Występujemy o to, co nam się należy – odpowiada wyniośle Carla.

– Przestaliście grać. Stwierdziliście, że to zabawa dla naiwnych – duka mama. W jej tonie słyszę święte oburzenie, ale wątpię, aby inni to wychwycili. Raczej pomyślą, że łamie się jej głos.

– Nic takiego nie miało miejsca. – Patrick zbywa mamę szyderczo. – Dziwię ci się, Lexi, naprawdę ci się dziwię. Po nim – wskazuje na tatę – po nim spodziewałem się wszystkiego. Ale nie po tobie.

– Los zakupiła Lexi – podkreśla tata.

– Zawarliśmy nieformalną umowę – utrzymuje Fred, patrząc mu prosto w oczy. – Mam swój udział w wygranej. – Jest czerwony jak pomidor, zapewne dlatego, że kłamię; nigdy bym nie pomyślała, że kłamstwo może przyjść tacie Ridleya z taką łatwością, lecz w tym przypadku intensywny kolor twarzy przemawia na jego korzyść. Ktoś postronny mógłby pomyśleć,

że Fred mówi szczerze. – To, że kupiłaś los, Lexi, nie świadczy o niczym, ponieważ jak zwykle zrobiliśmy zrzutkę.

Nie do wiary. Przyglądam się, jak byli przyjaciele moich rodziców starają się przybrać miny wyrażające ich rozczarowanie i żal. Sprawiają przy tym wrażenie niewinnych i absolutnie wiarygodnych. Mogę dać słowo, że przed pojawieniem się tutaj zrobili sobie próbę! Mama wygląda, jakby chciała garściami rwać sobie włosy z głowy, bardzo możliwe, że marzy tylko o tym, by wyrznąć ich twarzami o ścianę – ja w każdym razie tego właśnie pragnę. Co za kłamliwi, złodziejscy przekręciarze!

Wtedy mama odwraca się do taty i kompletnie się rozkleja, dostaje ataku hysterii. Wybuchą płaczem z frustracji i krzyczy:

– Powtarzanie w kółko jednej rzeczy nie uczyni jej prawdą!

Nagle staje mi przed oczami Ridley. Czuję jego dłoń na wewnętrznej stronie uda. Pierś mu się unosi i opada, w miarę jak bierze kolejne szybkie, podniecone oddechy, podczas gdy oboje poruszamy się w jednym rytmie. „Wiem, co robię, to bezpieczne”.

W życiu nie czułam się bardziej samotna. Mama ma rację. Powtarzanie czegoś w kółko nie uczyni tego prawdą.

12

LEXI

WTOREK, 30 KWIETNIA

Pomieszczenie jest pełne wystrojonych ludzi. To ciasne, duszne wnętrze. Natłok kosztownych perfum i wód kolońskich gryzie się ze sobą i przyprawia o mdłości. Wszyscy rzucają mi wyćwiczone, sztuczne uśmiechy, przelotne tak, że znikają, zanim na dobre zagościły na twarzach. Wyciągają się do mnie liczne ręce. Nikt nie ma spoconych dłoni ani zbyt słabego uścisku; nikt nie narzuca swojej dominacji usiłowaniami zmiżdżenia mi palców. Panuje pełna poprawność. Ci ludzie wiedzą, jak się zachować. To sprawia, że czuję jeszcze większe – nie mniejsze – zdenerwowanie. Chciałabym, żeby ktoś popełnił gafę. Rozglądam się za jakimś oczkiem na pończosze, niedopiętym rozporkiem. Oczywiście nic z tych rzeczy.

Reprezentuje nas pani Walsh, filigranowa kobietka po trzydziestce. Wygląda tak, jakby miał ją zmieść silniejszy podmuch wiatru, ale gdy Jake i ja poznaliśmy ją w dniu pamiętnej niefortunnej konferencji prasowej, mile mnie zaskoczyła swoją bystrością i rzeczowym podejściem. Pozostała spokojna i opanowana, za co ją podziwiałam. Należy do osób, które po

prostu chcą się uporać z zadaniem, jakie im powierzono. Odkąd wygraliśmy w lotto, większość ludzi w naszej obecności traci głowę – są albo nadmiernie pochlebcy, albo pełni urazy. Taka neutralność jest więc miłą odmianą.

Z ramienia lotto stawili się Gillian i nieznany mi mężczyzna.

– Mick Hutch, mój przełożony – rzuca Gillian, pokazując na niego kciukiem i przybierając twarz w maskę mającą świadczyć, że lubią się i szanują nawzajem.

Z kolei będący po pięćdziesiątce mężczyzna, popisowy egzemplarz wymoczkowanego sztywniaka, przedstawia się nam jako:

– Terrance Elliott, długoletni przyjaciel Heathcote'ów.

Jest ich prawnikiem. I zarazem przyjacielem rodziny. Poprzednio widziałam go w ubiegłym roku na przyjęciu z okazji dwudziestej rocznicy ślubu Freda i Jennifer. Ucieliśmy sobie nawet kilkuminutową rozmowę na temat łowców nieszczęść, ale Elliott najwyraźniej mnie nie zapamiętał. Wśród znajomych Freda i Jennifer nie ma osoby, która by nie była prawnikiem, lekarzem czy księgowym.

Jest z nami jeszcze troje innych prawników. Wszyscy sprawiają aroganckie, napuszone wrażenie; ewidentnie są nawykli do wygrywania. Pan Piper-Dunn, pan Caplin-Hudson i pani Chen-Ying reprezentują Pearsonów. Choć nie mam kłopotów z zapamiętywaniem nazwisk, tymi trzema – czy raczej sześcioma – nie zawracam sobie głowy, przezywając ich w myślach Pistoletem 1 i 2 oraz Nagą Bronią 3. Patrick i Carla mają aż trzech prawników! To my jesteśmy milionerami, ale to ich stać na cały zastęp adwokatów. Czuję się nagle obnażona i nieprzygotowana.

– Ma pani coś przeciwko temu, abym nagrywała rozmowę? – pyta Naga Broń 3.

Zerkam na swoją prawniczkę. Pani Walsh uśmiecha się zachęcająco.

– To nie jest przesłuchanie – zapewnia mnie.

– Nie jesteś aresztowana – dodaje Gillian tonem sugerującym, że żartuje. Mimo to i tak otwieram szeroko oczy. Widząc, że mnie przestraszyła, dorzuca szybko: – To znaczy nikt nie jest. Po prostu chcemy dojść do sedna.

Gdy ściska mnie za ramię, biorę głęboki oddech w próbie opanowania rodzącej się paniki. Sprawa jest poważna. Jeszcze nigdy nie podpadłam Temidzie i nie podoba mi się choćby aluzja, że teraz tak się stało. Muszę zachować spokój, muszę mieć jasny umysł. Opowiedzieć tę historię najlepiej, jak umiem. Posprzątać ten bałagan. Nagle żałuję, że nie mam na sobie jednej z nowych sukienek, które kupiłam w ostatnim tygodniu; zamiast niej włożyłam dziś rano to, co wpadło mi pierwsze w ręce: dzinsy, T-shirt i tenisówki. Równie znienacka dopada mnie wątpliwość, czy moja prawniczka naprawdę jest moją prawniczką. Panią Walsh polecili szefowie lotto. Kogo ona właściwie reprezentuje – mnie czy ich? I czy w ogóle jest jakaś różnica? Przed konferencją prasową powiedziałabym, że nie ma. Ostatnie wydarzenia jednak utwierdziły mnie w przekonaniu, że podział na nas i na nich jest zawsze aktualny. Sęk w tym, by rozpracować, kto jest po czyjej stronie.

Muszę wyjść z inicjatywą, odzyskać kontrolę. Zachować się tak jak w pracy, gdzie nieustannie walczę o przegranych. I o sprawiedliwość. Oliwa na wierzch wypływa... Tylko to się teraz liczy. Będą musieli mi uwierzyć.

– Zgoda. Nie mam nic do ukrycia. Może pani śmiało nagrywać – mówię.

Wszystkim ulżyło. Udzieliłam prawidłowej odpowiedzi.

Wiem, że nie jestem aresztowana, ale mam wiele do stracenia. Mnóstwo tak naprawdę. Ludzie kłamią. Oszukują. Łapią się desperackich środków.

To niebezpieczne. Z kłamstwem trudno wygrać. Kłamcę trudno zagiąć. Same starania są wyczerpujące. Bywają też stratą czasu. To, że ludzie źle postępują, popełniają błędy, martwi mnie mniej. Pod warunkiem oczywiście, że przyznają się do swoich błędów i odpowiadają za nie. Gdy to się dzieje, przynajmniej wiesz, na czym stoisz, i możesz nawet poczynić krok w stronę wybaczenia.

Ale kłamstwo? Ono niszczy rzeczywistość i przeszłość. A także przyszłość.

Pomieszczenie – oprócz tego, że ciasne i duszne – sprawia wrażenie niechlujnego. W niczym nie przypomina eleganckiej sali, na której w piątek odbyła się konferencja prasowa, za to dostrzegam pewne jego podobieństwa z pokojami w Biurze Porad Obywatelskich. Jest tak samo utylitarystyczne i niedofinansowane. Właściwie powinnam się tu czuć jak u siebie – i pewnie tak by było, gdybym siedziała po właściwej stronie stołu. Nachodzi mnie myśl, czy dziesięć dni to czas wystarczająco długi, aby przywyknąć do luksusów.

Stół jest chybotały i ma porysowany blat. Nie mówię tutaj o graffiti z prawdziwego zdarzenia, tylko o jakichś gryzmołach i oznakach zaniedbania. Wokół stoją drewniane krzesła, na porysowanej powierzchni zaś plastikowe kubki, które napełniono wodą z dystrybutora umieszczonego w kącie. Nie pochwalam jednorazowych plastikowych naczyń, ale nie jest to dobry moment, aby podnosić kwestię ekologii. Dłonie zaczynają mi się pocić, w gardle mi zasycha. Upijam łyk wody.

– Zatem czym mogę służyć?

Gillian uśmiecha się zachęcająco.

– Gdyby pani mogła, własnymi słowami, tak szczegółowo, jak się da, opisać wydarzenia, które rozegrały się wieczorem w sobotę trzynastego

kwietnia dwa tysiące dziewiętnastego roku, to znaczy tydzień przed wygraną w lotto.

– A także wtedy, gdy... jak pani utrzymuje... państwo Heathcote i Pearson wycofali się z syndykatu – uściśla Pistolet 2.

Nie podoba mi się użycie przez niego wyrazu „utrzymuje”.

– Od czego mam zacząć?

– To nieważne. Proszę nam po prostu opowiedzieć o wszystkim, co pani zdaniem ma znaczenie. Może pani zacząć od nakreślenia tła, jeśli to pani pomoże – odpowiada Naga Broń 3, zanim wciśnie guzik na telefonie.

Nie mam pojęcia, jak daleko się cofnąć. Nasza przyjaźń ma naprawdę długą historię, a moja wiara w magię sobotnich wieczorów sięga jeszcze głębiej w przeszłość. A Jake? Jake tak naprawdę był zawsze. Poznaliśmy się na uczelni, gdzie ja studiowałam socjologię i nauki społeczne, a on ekonomikę przedsiębiorstw. Ja miałam osiemnaście, on dziewiętnaście lat. Zatem „my” jesteśmy całe moje dorosłe życie. Uwielbiam sobotnie wieczory. Od zawsze. Odkąd byłam nastolatką. W moich oczach są ucieleśnieniem niesprecyzowanych możliwości oraz wolności. Co nie znaczy, że miałam szaloną młodość – co to, to nie. I w szkole, i na studiach trzymałam ciągle nos w książkach i byłam bardzo sumienna. Uczyłam się pilnie, a w piątkowe popołudnia pracowałam jako opiekunka do dziecka. W niedziele odwiedzałam dziadków. Chyba właśnie dlatego tak wyczekiwałam sobót, aby złamać zasady i dać upust rozpierającej mnie energii. Co mogło być lepszego niż prywatki, na których migdaliłam się z chłopcami i piłam piwo z sokiem, dopóki mnie nie zemdliło albo nie zrobiłam czegoś głupiego; na których tańczyłam do piosenek Take That i Mariah Carey i marzyłam o życiu, w którym będę szczęśliwa i ważna?

Nawet po dwudziestce rzadko korzystałam z happy hour w środku tygodnia. Jake i ja woleliśmy położyć się spać wcześniej, podczas gdy nasi

przyjaciele uganiali się po mieście w poszukiwaniu partnera na jedną noc. My mieliśmy siebie i nie interesowało nas włóczenie się po pubach, żeby poznać seksownego nieznajomego czy seksowną nieznajomą. Oczywiście nie uważaliśmy się za nudnych; byliśmy młodzi. W czasach naszej młodości spanie oznaczało coś innego niż teraz. Na resztę spuszczałam zasłonę milczenia.

Ale soboty to było coś innego. Oboje, Jake i ja, celebrowaliśmy je. Wkładaliśmy na siebie, co mieliśmy najlepszego, i ruszaliśmy w miasto z ekipą, by tańczyć na parkiecie lokali cieszących się renomą „niegrzecznych”, aż nas nogi rozboleły. Zwykle piliśmy tyle, że śpiewanie na ulicy w drodze powrotnej do domu wydawało się dobrym pomysłem. Oczywiście wszystko się zmieniło, gdy pojawiły się dzieci. Nie na gorsze, po prostu od tej pory było wyraźnie inaczej. Przez ostatnie piętnaście lat nasza wieczorna codzienność sprowadzała się do gotowania, kąpania i opowiadania bajek, a później – gdy Emily i Logan podrośli – także do pilnowania, by odrobili zadania domowe, wożenia ich do kolegów i generalnie zarządzania domem. Zwykle dorosłe sprawy. Soboty jednak nadal oznaczały zabawę. Głównie dzięki znajomości z Heathcote’ami i Pearsonami. Naszymi najlepszymi przyjaciółmi. Jak mam to wyjaśnić tym obcym ludziom?

– W każdą sobotę nasza ekipa... nasza szóstka... spotyka się ze sobą. Jemy razem kolację, wypijamy parę drinków.

Opowiadamy sobie nawzajem zabawne historyjki o swoich szefach, krewnych i znajomych. To znaczy historyjki są dość zwyczajne, ale że upychamy masę opowieści z całego tygodnia w ramy trzech godzin, wydają się śmieszne. Nawet jeśli służące za ich kanwę wydarzenia były tak naprawdę frustrujące, smutne czy przykre, w naszych ustach stają się anegdotami. Wreszcie się rozluźniam, przestaję się zamartwiać, że Jake nie

potrafi znaleźć satysfakcjonującej go pracy, oddalam myśli o tym, że przegapiłam najlepszy moment na założenie Emily aparatu ortodontycznego, oraz troski, czy Logan dostanie się do szkolnej drużyny futbolowej. Po prostu się odprężam. I śmieję. W głos. Czasami aż do bólu brzucha.

– Kto konkretnie zalicza się do ekipy? – Sposób, w jaki Pistolet 1 wymawia słowo „ekipa”, sugeruje, że jestem żoną ojca chrzestnego włoskiej mafii.

– Carla i Patrick Pearsonowie, Jennifer i Fred Heathcote’owie, Jake i ja. Dobraliśmy się w korcu maku. Jesteśmy przydziną.

– Przydziną? – Pistolet 1 unosi brew.

– Tak o nas mówię. Chyba ukułam to określenie. Często powtarzaliśmy, że jesteśmy bardziej rodziną niż przyjaciółmi. Poznaliśmy się w szkole rodzenia, gdy wszyscy szykowaliśmy się do powitania na świecie naszych pierworodnych. To było ponad piętnaście lat temu.

– Wow – rzuca moja prawniczka.

Kiwam głową; zdążyłam przywyknąć do podziwu, z jakim ludzie ochają i achają nad długością naszej przyjaźni. W świecie, w którym wszystko jest ulotne i niestałe, gdzie wiadomości mają maksymalnie sto czterdzieści znaków i gdzie nawet największa atrakcja budzi zainteresowanie tylko przez moment, wszystko, co długotrwałe, jest pożądane. A piętnastoletnia przyjaźń wiele znaczy.

Czy też powinna wiele znaczyć.

– W dobrym towarzystwie czas szybko mija – komentuje Gillian.

To prawda.

– Piętnaście lat minęło jak z bicza trzaśł, a mimo to nikt z nas nawet nie pamięta czasów przed zawarciem znajomości. Aż dziw, że nie chodziliśmy razem na studia ani nie byliśmy druhnami i drużbami na swoich weselach.

– Zatem można przyjąć że pozostajecie w bliskich stosunkach? – pyta Pistolet 2, unosząc dłoń z markowym piórem, aby to zanotować.

– Tak, pozostajemy. A przynajmniej pozostawaliśmy aż do... – urywam.

Byliśmy dla siebie przy porodach, poronieniach, awansach, zwolnieniach, przeprowadzkach, wychowywaniu szczeniąt, a nawet śmierci rodziców. Przy wszystkich wzlotach i upadkach. Mimo że ostatni odcinek *Przyjaciół* wyświetlono na rok przed tym, jak się poznaliśmy, wpływu tego serialu na nasze życie nie da się przecenić. Oczywiście żadne z nas nie powiedziałoby tego głośno, ale myślę, że na jakimś poziomie wszyscy od zawsze uważamy się za starsze brytyjskie wersje dwudziestoparoletnich Amerykanów, którzy szaleli na Manhattanie. Przydzina.

Walcząc z łzami, czuję na sobie wzrok zebranych. To, co się stało, jest takie smutne. Pieniądze są cudowne, ale też deprawują, psują wszystko. Muszę się bardziej cofnąć. Przeszłość jest bezpieczna.

– W czasach, kiedy się poznaliśmy, mieszkaliśmy wszyscy w Londynie, a dokładnie w Clapham. Syndykat utworzyliśmy, gdy nasze dzieci były bardzo małe i byliśmy uwięzieni w domu, ponieważ znalezienie godnej zaufania opiekunki w Clapham na sobotni wieczór miało takie same szanse powodzenia jak znalezienie eliksiru wiecznej młodości. – Podnoszę z nadzieją wzrok, nikt jednak się nie śmieje z mojego żartu. Uciekam się do dowcipu, ilekroć czuję się zestresowana. To nawyk, który rzadko znajduje zrozumienie. Tłumię westchnięcie i kontynuuję: – Wtedy także zaczęliśmy się nawzajem podejmować kolacjami. Nasze wieczory sprowadzały się do uciszania płaczących niemowląt i zajadania naprędce przygotowanych posiłków, ale nam to nie przeszkadzało. Uważaliśmy to za adekwatne życie osobiste. Któregoś dnia, niedługo przed pierwszymi urodzinami Ridleya, Jennifer i Fred ogłosił swój zamiar powrotu do hrabstwa Buckingham.

Zaczęli przekonująco opowiadać o plusach tego ruchu. W Londynie zajmowaliśmy dwu-, góra trzypokojowe mieszkania, podczas gdy poza stolicą byłoby nas stać na przyzwoitej wielkości połówkę bliźniaka, a może nawet na dom wolnostojący do remontu. W dodatku to akurat hrabstwo mogło się poszczycić świetnymi szkołami ponadpodstawowymi, niewiele ustępującymi szkołom prywatnym, ale bez chesnego. Na tamtym etapie moją głowę zaprzętały zajęcia rytmiki dla dzieci uczących się chodzić, lecz Jennifer twierdziła, że trzeba wybiegać myślą do przodu. Kolejnym argumentem za przeprowadzką była gęsta sieć połączeń z Londynem, co oznaczało, że panowie nie musieliby rezygnować z kariery zawodowej, tak samo zresztą jak te z kobiet, którym zależało na dalszej pracy (czytaj: tylko ja). Jennifer i Fred mieli w pobliżu rodziców, dzięki czemu mogliby liczyć na darmową opiekę nad dzieckiem i choć nie dotyczyło to reszty z nas, Jennifer się zarzekała, że jej mama chętnie zostanie babcią także naszych pociech.

– Patrick i Carla przeprowadzili się za ledwie pół roku po Fredzie i Jennifer. Zamieszkali w tej samej miejscowości, Great Chester. My zdecydowaliśmy się na opuszczenie stolicy dopiero wtedy, gdy znalezienie dobrego przedszkola dla Logana okazało się niemożliwością – wyjaśniam.

Tak się jednak złożyło, że na rynku nieruchomości akurat panował boom, przez co nie zyskaliśmy tak jak wcześniej nasi przyjaciele. Osiedliśmy kilka kilometrów dalej, w Little Chester, które pod praktycznie wszystkimi względami jest pośledniejsze niż Great Chester. Na szczęście można tam znaleźć pub, pocztę i mały sklep wielobranżowy. Wylądowaliśmy nie w zabytkowym domku porośniętym glicynią i stojącym przy głównej ulicy, lecz w pochodzącej z lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku czteropokojowej połówce bliźniaka na obrzeżach, lecz i tak nigdy nie żałowałam podjętej decyzji.

Czy też prawie nigdy.

Co zrozumiałe, w takim miejscu nie ma domów towarowych, teatrów ani galerii, ale udało nam się wieść satysfakcjonujące życie i nawet nie uskarżaliśmy się na brak rozrywek.

– Bardzo szybko wpadliśmy w rutynę małomiasteczkowego życia. Dopóki dzieci były młodsze, spotykałyśmy się w tygodniu to u jednej, to u drugiej w domu, pozwalając pociechom bawić się razem. Naturalnie to się zmieniło. Teraz dzieci same organizują sobie czas, no a ja pracuję. Ale uchowała się tradycja sobotnich spotkań w szóstkę. Czasami wyprawiamy wykwinniejszą kolację, kiedy indziej znów kupujemy na wynos rybę z frytkami i to nam wystarcza. Staramy się raczej utrzymać wszystko w nieformalnym stylu.

– Jak często odbywają się te spotkania?

– Trzy razy w miesiącu. Odwiedzamy się na zmianę. Jeden weekend w miesiącu poświęcamy tylko rodzinie albo spotykamy się z innymi ludźmi.

Te „wolne” weekendy są kluczowe, jeśli mamy w pełni cieszyć się naszą przyjaźnią.

– Zatem przy okazji każdego spotkania kupowaliście los? – dopytuje pani Walsh.

– Robiliśmy to co tydzień. Był to dla mnie ulubiony moment każdego weekendu. Mimo że zawsze uważałam nadzieje na wygraną za nieco naiwne, niemożliwe do spełnienia, ot, marzenia ściętej głowy. A może właśnie dlatego...

– Wygrana nie jest niemożliwa – wtrąca Gillian. – Dowiodła pani tego.

Widząc jej szeroki uśmiech, zaraz się poprawiam:

– W takim razie nieprawdopodobna.

– Wygraliście coś wcześniej?

– Dwukrotnie wygraliśmy dwadzieścia funtów.
– I jak podzieliliście się wygraną?
– Odłożyliśmy ją z zamiarem kupienia kolacji na wynos w kolejnym tygodniu. – Wiem, do czego zmierza Pistolet 1, ale to nieistotne. Przeszłość jest nieistotna. Podejmuję opowieść, aby nie dać się mu wybić z rytmu: – Dopóki losowania odbywały się na wizji, oglądaliśmy je razem. Sprawiało nam to frajdę. To była nasza tradycja.

A przynajmniej ja to tak widziałam. Wiele rzeczy robiliśmy wspólnie. Oglądaliśmy fajerwerki w Noc Guya Fawkesa i witaliśmy nowy rok. Rok w rok razem, to o czymś świadczyło. Byliśmy swego rodzaju jednością.

– Odkąd losowanie spadło z anteny, bywa, że któreś z nas sobie przypomni, że numery podają na koniec wiadomości, ale że te ostatnie są takie przygnębiające, najczęściej szybko się potem żegnamy, dlatego raczej nie hołdujemy temu zwyczajowi. Zwykle podczas deseru Jake zagląda na YouTube’a, po czym obwieszcza: „Nie tym razem”, a to z kolei prowokuje żartobliwe jęki i zapewnienia: „W przyszłym tygodniu to już na bank!”.

Pistolet 1 chrząka i rzuca:

– Skupmy się może na sobocie trzynastego, dobrze?

– Spotkaliśmy się u nas. – Przez kilka dni z rzędu nie padało i naprawdę można było odnieść wrażenie, że lato jest tuż-tuż. Uwielbiam lato. Rozkwitam wtedy. Zimą trzeba po prostu przetrwać, licząc, że nie wszyscy pochorują się na grypę i że do zwrotu będzie się nadawało mniej niepotrzebnych prezentów niż zazwyczaj. – Zamierzałam podać napoje na tarasie. I zaplanowałam kuchnię meksykańską. Miałam przygotowane margarity, takie mocniejsze, kupiłam też coronę i sól.

– Prawdziwa impreza.

Ponieważ w uwadze rzuconej przez Pistoleta 2 wyczuwam krytykę, odpowiadam obronnie:

– Tego typu dbałość o szczegóły ma pokazać, że podchodzę do sprawy poważnie. Poprosiłam nawet Emily, żeby wgrała do iPhone’a trochę latynoskich kawałków. – Takie melodie zachęcają ludzi do kręcenia biodrami. – Muzyka leciała na cały regulator, gdy Carla zadzwoniła z informacją, że Megan się nie pojawi.

– Megan, czyli córka państwa Pearsonów?

– Tak, ich najstarsze dziecko z trojga. Megan ma piętnaście lat jak Emily, młodsi od niej są Scott i Teddy. Dwanaście i dziewięć lat. Emily i Megan są najlepszymi przyjaciółkami. Z kolei syn Heathcote’ów ma na imię Ridley i jest chłopakiem Emily.

– Bardzo zażyła jest ta wasza znajomość – stwierdza Naga Broń 3.

Nie brzmi to jak komplement. Raczej jak oskarżenie o cudzołóstwo czy coś. Córka mojej najlepszej przyjaciółki jest najlepszą przyjaciółką mojej córki – co mogłoby być naturalniejszego? A jej chłopakiem jest syn mojej drugiej najlepszej przyjaciółki. Przecież to cudowne! Nic, tylko się cieszyć.

Niestety radość się skończyła. Biedna Emily...

– Z dotychczasowego opisu wygląda to na bardzo miły wieczór. – Gillian naprowadza mnie z powrotem na główny temat.

– Nie bardzo – zaprzeczam, kręcąc głową. – Pomimo wszystkich wysiłków i ku mojemu rozczarowaniu oraz... podówczas... zdziwieniu, goście chyba nie czuli się swobodnie. Wieczór się dłużył, zamiast przemknąć.

– Jak pani myśli, dlaczego?

– Z początku sama zadawałam sobie to pytanie. Na pewno nie chodziło o to, że rozmowa rwie się przez wzgląd na dzieci. Megan nie przyszła, tak samo zresztą jak Ridley. A skoro ich zabrakło, Emily nawet nie raczyła zejść na dół. Zamknęła się w swoim pokoju z górą tostów i komórką. Chłopcy pożarli, co było do zjedzenia, w ekspresowym tempie, po czym

zerwali się od stołu i pobiegli grać na komputerze. Jake zagał rozmowę o pracy, ale Patrick stwierdził, że skoro mamy weekend, nie zamierza gadać o cholernym biurze. Atmosfera zrobiła się ciężka. Coś było na rzeczy.

– Domyślała się pani, co to może być? – podpowiada łagodnie moja prawniczka.

– Nie, a przynajmniej nie od razu. Z początku nie miałam pojęcia. Ale bardzo szybko się okazało, o co chodzi. Otóż Pearsonowie i Heathcote'owie zwarli szeregi i postanowili wycofać się z syndykatu.

– I właśnie o to poszło? – Pistolet 1 wybucha śmiechem, z którego przebija niedowierzanie. Pistolet 2 i Naga Broń 3 dołączają do niego.

Miażdżę ich wzrokiem po kolei.

– Najwyraźniej, skoro tu teraz jesteśmy. – Z przyjemnością się przyglądam, jak uśmiechy spełzają im z twarzy.

– No tak, ale dlaczego to miało dla pani tak duże znaczenie, zanim doszło do wygranej? Przecież lotto to tylko zabawa – upiera się Pistolet 1.

Gillian odkasłuje i poprawia się na krześle. Ona i jej przełożony wymieniają spojrzenia. Pracując w branży, wiedzą jak mało kto, że nie ma mowy o zabawie tam, gdzie w grę wchodzi pieniądze.

– Ich wystąpienie z syndykatu miało charakter symbolu – wyjaśniam.

– Jak to?

– Zrywali przyjaźń z nami. Tak to przynajmniej odebrałam.

– Trzymajmy się faktów i zignorujmy uczucia, w porządku? – Ależ gadzina z tego Pistoleta 1.

Muszę sobie przypomnieć, że gdybym chciała, mogłabym go wykupić do trzeciego pokolenia naprzód. Daje mi to pewną satysfakcję. Ale i tak stosuję się do jego prośby. Bo wynik tego spotkania przesądzi o tym, ile razy będę mogła to zrobić. Nie mam innego wyjścia, jak współpracować. Muszą usłyszeć tę historię z moich ust – i muszą w nią uwierzyć.

13

LEXI

Fred opowiadał o... o czymś, nie pamiętam dokładnie. O silniku? Ciśnieniu w oponach? Na pewno nie było to nic ciekawego. Wtedy Jake wtrącił swoje „nie tym razem”, jak prawie co tydzień. Skwasiło to atmosferę do reszty. Przypuszczam, że nikt nie lubi, aby mu przypominać o przegranej, nawet jeśli nigdy nie było prawdziwych szans na wygraną. – Wzruszam ramionami. Kto to może wiedzieć? Ludzie są różni. – Przerwałam milczenie, przypominając wszystkim, że pora znów się zrzucić do wspólnej puli. Normalnie co kilka tygodni odbierałam pięć funtów od pary. Jako że jeden zakład kosztuje dwa funty, taka kwota wystarczała na jakiś czas.

– Zawsze zrzucaliście się z góry? – pyta pani Walsh.

– Czasami, gdy zapomniałam poprosić zawczasu o pieniądze, i tak kupowałam los. Tak się składa, że sytuacja ta miała miejsce już trzeci tydzień z rzędu. Nie był to dla mnie problem. Chodziło przecież tylko o parę funtów. Wspomniałam o pieniądzach, żeby coś powiedzieć. Aż tu Patrick zniecka wyskoczył: „Po co my w ogóle gramy? Jaki to ma sens?”. Twarz miał buraczkową, głos podniesiony. Wyglądał na rozeźlonego. Nie rozumiałam, dlaczego nie sięgnął jak zawsze po portfel i po prostu nie wręczył mi pieniędzy. Przypuszczam, że chodziło o alkohol. Nie chcę być

złośliwa, ale faktom nie da się zaprzeczyć. Patrick wypił dwie margarity i dokończył butelkę czerwonego wina, zanim podałam do stołu drugie danie. W tym momencie wieczoru popijał już whisky, bez lodu, bez wody sodowej. Osączał butelkę, którą Jake dostał od mojej mamy na urodziny. – Przenoszę spojrzenie na Gillian i panią Walsh. – Zastanawiałam się nawet, czy to nie stąd wzięło się całe nieporozumienie. Znaczący przez alkohol. Nie chciałabym być zmuszona do zmiany zdania o Patricku.

Gillian ponownie ściska moje ramię, a prawniczka kiwa głową i pyta:

– W pani ocenie pan Pearson wypił tamtego wieczoru więcej niż zazwyczaj?

– Tak, tak mi się wydaje. Nie był to z pewnością pierwszy raz, zresztą w ciągu tylu lat wszyscy widzieliśmy się w nie najlepszej formie na tym czy innym etapie, ale tak, gdy teraz o tym myślę, Patrick wypił wtedy więcej niż normalnie. Fred także. Ale on upija się na wesoło. A najczęściej po prostu przysypia na krześle.

– Pan Pearson nie upija się na wesoło? – drażni moja prawniczka.

– Po alkoholu staje się zadziorny. – Urywam i po chwili namysłu dodaję: – Właściwie to jest zadziorny i bez alkoholu. Wszyscy przywykliśmy do jego wybuchowego temperamentu. Jego agresywności. Jeśli mam być szczerą, oboje z Jakiem pomyśleliśmy nawet, że Patrick żyje w zbyt dużym stresie.

– W stresie? Z powodu pracy? Obowiązków? Czy pod względem finansowym?

– Wszystko po trochu. Niczego jednak nie wiem na pewno. Wyciągam tylko wnioski z tego, co usłyszałam, odbierając dzieci ze szkoły.

– Mianowicie?

– Nie chciałabym plotkować... Gdy pogłoski dotarły do mnie po raz pierwszy, zignorowałam je. Nie mieściły mi się w głowie. Patrick i Carla

nigdy nie skarżyli się na brak pieniędzy. Mają duży dom, całą rodziną jeżdżą na długie wakacje dwa razy w roku. Patrick jest inwestorem, trzyma wiele srok za ogon. Jennifer i Fredowi również się dobrze powodzi, choć są mniej wylewni, jeśli chodzi o sprawy finansowe. Fred skarży się na nudną pracę i wspomina o niej właściwie tylko wtedy, gdy chce się pożalić na szefa kretyna. Do czasu wygranej wszyscy jakoś wiązaliśmy koniec z końcem.

– Co stało się później?

– Zaczęliśmy rozmawiać o tym, na co byśmy wydali pieniądze w razie wygranej. Ot, zwyczajnie się wygłupialiśmy. Ale Patrick nagle zrobił się nieprzyjemny.

– Nieprzyjemny?

– Krzyknął: „Przestańcie, kurwa! Od tego całego gadania o wygranej pęka mi głowa!”. Im dłużej nad tym myślę, tym bardziej prawdopodobne mi się wydaje, że faktycznie ma problemy finansowe i tylko zmyśla na temat swoich inwestycji. Właściwie to mi go żal. – Patrzę prosto w oczy Pistoletowi 1. – Musicie wiedzieć, że nawet gdyby doszło do podziału wygranej na trzy części, przypadłaby nam ogromna kwota. Nie odmówilibyśmy im udziału, gdyby się im należał. Ale nie jestem popychadłem. Nie zamierzam się z nimi dzielić po tym, jak obrazili Jake’a.

– Obrazili pani męża? – podchwytuje moja prawniczka.

– Patrick powiedział, że lotto to zabawa dla naiwnych, dla nieudaczników. – Rzucam przepaszające spojrzenie Gillian i jej przełożonemu. – Nie chciał odpuścić. Dodał, że przystąpił do syndykatu tylko przez wzgląd na Jake’a. Traktował mojego męża z góry. Robił osobiste wycieczki. Powtarzał w kółko, że Jake potrzebuje dreszczyku, jakby mój mąż był hazardzistą. Słowa „naiwny” i „nieudacznik” padły z jego ust wielokrotnie. Zachowywał się jak prawdziwy snob. Przyczepił

się nawet do osób pobierających świadczenia socjalne, nazwał je pasożytami, a wręcz posunął się do tego, że porównał granie w lotto do zdjęcia koszuli w miejscu publicznym czy posiadania tatuażu.

– Nic z tego nie jest przestępstwem – zauważa cierpko Gillian. Sama ma tatuaż na nadgarstku, przedstawia on ptaszka.

– Wiem o tym. Jake ma tatuaż. W końcu stało się dla mnie jasne, co Patrick naprawdę mówi. Że to my jesteśmy naiwni, że jesteśmy nieudacznikami. Próbowałam przemówić mu do rozsądku. Tłumaczyłam, że rada rodziców w szkole naszych dzieci raz na pół roku też urządza loterię. Czym to się różni? Zapytałam, skąd u niego nagle ta zmiana podejścia, zwłaszcza po tylu latach.

– Właśnie, miałem zapytać o to samo – wtrąca Pistolet 2. – Przecież to nie ma sensu.

– Cóż, ludzie się zmieniają. – Biorę głęboki oddech i wpatruję się w twarze prawników siedzących naprzeciwko. – Naprawdę nie może być mowy o nieporozumieniu. Patrick Pearson wyraził swoją opinię jasno i wyraźnie. Powiedział, że nie chce być psujabawą, ale że będą musieli się wycofać.

– Oni? Wycofali się oboje, Patrick i Carla Pearsonowie?

– Tak. Carla nigdy mu się nie sprzeciwia. Wtedy powiedziała: „Przecież i tak nie zgarniemy głównej wygranej”. Takich dokładnie słów użyła. O ironio.

– A państwo Heathcote’owie? – włącza się do rozmowy prawnik Jennifer i Freda, mecenas Elliott.

– Głównie siedzieli cicho. Fred przysypiał na krześle, ale gdy Pearsonowie wyszli, oboje także się podnieśli. Jake zapytał ich wprost, czy zostają w syndykacie, czy się z niego wycofują.

– Jak zareagowali?

– Och, pamiętam to jak dziś. Fred powiedział: „To już stare dzieje, przyjacielu”. Utkwiło mi to w pamięci, bo zwrot „przyjacielu” był taki jakiś napuszony, protekcyjny. Ewidentnie nie są przyjaciółmi, a poza tym z Freda żaden arystokrata z filmu klasy B. Zaproponowałam wtedy, że przyniosę mu prochowiec.

14

Gdy Carla Pearson weszła do pokoju, wszyscy mężczyźni podnieśli się ze swoich miejsc. To sprawiło, że kobiety poczuły się w obowiązku uczynić to samo. Carla była niezwykle atrakcyjna, należała do tych osób, którym przytrzymuje się drzwi i pakuje zakupy oraz dla jakich wychodzi się ze skóry na różne inne sposoby. Miała płaski brzuch, jedwabiste włosy, podejrzenie gładkie czoło; nic w jej wyglądzie nie wskazywało, że jest panią w średnim wieku, do tego z trójką dzieci.

– Pani Pearson, dziękujemy, że zgodziła się pani z nami porozmawiać – oznajmiła Gillian.

Carla uśmiechnęła się do ławy swoich prawników. Patrick nalegał, aby zatrudnili aż trzech – to miało zastraszyć Greenwoodów. Podkreślił, że ich na to stać, w końcu i tak opłacał licznych adwokatów w związku ze swoimi inwestycjami. Twierdził, że wie, co robi. A ona mu wierzyła.

– Proszę mi mówić po imieniu. Nie ma potrzeby zachowywać się oficjalnie, prawda?

– Hm, osobiście uważam, że będzie najlepiej, jeśli dotrzymamy wszelkich formalności – odparła Gillian uprzejmie, acz zdecydowanie. – Ma pani świadomość, że to spotkanie jest całkowicie dobrowolne?

– Chcę tu być. Chcę powiedzieć, co mam do powiedzenia. – Carla usiadła i skrzyżowała nogi. Szyta z klosza spódnica miała rozcięcie, które teraz ujawniło fragment opalonego jędrnego ciała. – Aczkolwiek

kompletnie nie rozumiem, po co to całe dochodzenie. Przecież sprawa jest prosta. Tworzyliśmy syndykat. Pieniądze należy podzielić na sześć części.

– Sześć? Nie trzy? – upewniła się pani Walsh.

Carla machnęła wymanikiowaną dłońią.

– Bez różnicy.

– Może nam pani opowiedzieć o sobocie trzynastego kwietnia? Ustaliliśmy już, że w domu państwa Greenwoodów odbyła się kolacja. Wiemy, kto był na niej obecny. Zależy nam na poznaniu wydarzeń z pani punktu widzenia.

– Było bardzo miło – oświadczyła Carla z naciskiem.

– Od początku do końca?

– Tak. Sporo zjedliśmy. Dużo rozmawialiśmy. Śmialiśmy się jeszcze więcej.

– A pamięta pani, o czym rozmawialiście?

– Och, o zwykłych rzeczach. Dzieci, szkoła, wakacje.

– Doszło może do sprzeczki?

– Nie, nic z tych rzeczy.

– Nie padły żadne ostre słowa?

– Nie, skądże. – Carla wzruszyła szczupłymi ramionami z szykowną beztroską. – Dlaczego miałyby paść? Przyjaźnimy się od lat. Rzadko się sprzeczamy. Jesteśmy raczej jak rodzina.

– Większość rodzin, które znam, kłóci się od czasu do czasu – wtrącił nieoczekiwanie Mick Hutch. Wszyscy zwrócili oczy na niego. Odezwał się po raz pierwszy od rozpoczęcia dochodzenia. Zebrani całkiem zapomnieli o jego obecności. Czy też o tym, co tam robi. W każdym razie jego uwaga była celna.

– Och, wiecie, co chciałam powiedzieć. Że jesteśmy przyjaciółmi bliskimi sobie jak rodzina. Właśnie dlatego to takie smutne. Naprawdę ich nie rozumiem. Nie pojmuję, jak mogło dojść do rozłamu przez pieniądze. Czemu po prostu się z nami nie podziela? – Oczy Carli zwilgotniały. Mężczyźni poczuli dla niej współczucie, kobiety się zastanowiły, jak udało jej się zaszklić wzrok na poczekaniu.

– Czy padła w ogóle wzmianka o lotto? – zapytał jeden z prawników Pearsonów.

– O tak. W przelocie. W pewnym momencie Lexi poinformowała, że musimy się znów rzucić na wspólną pulę. To ona kupuje losy. Od zawsze.

– I zrzuciliście się? – Do przesłuchania włączył się drugi prawnik Pearsonów.

– Tak. Tak. Ledwie o tym wspomniała, sięgnęłam po torebkę. Patrick nie nosi przy sobie gotówki, dlatego to ja wpłaciłam nasz udział. Przyczyniłam się do puszczenia szczęśliwego losu.

– A czy istnieje umowa potwierdzająca, że wasz syndykat został utworzony? – zainteresowała się pani Walsh, prawniczka Greenwoodów. Carli się ona nie spodobała. Nie należała do osób, które o siebie dbają, co Carla osobiście uważała za wielkie marnotrawstwo.

– Oczywiście, że nie. Przyjaciele nie muszą spisywać umów.

– A jakaś korespondencja? Esemes, e-mail... – naciskała prawniczka z kędzierzawymi włosami.

– Hm, nie – przyznała Carla, nagle nieswoja.

– Co z korespondencją, która by sugerowała, że umowa została zerwana? – wybawił ją z opresji jej prawnik. – Jest taka?

Uśmiechnęła się do niego.

– Nie.

– Myślę, że kłótnia na skalę opisywaną przez Greenwoodów pociągnęłaby za sobą chociaż esemesa – stwierdził jego kolega, unosząc znacząco brwi.

Carla uznała, że adwokaci, których opłaca Patrick, są warci swojej ceny.

– Nie było żadnych esemesów po kłótni, bo nie było żadnej kłótni.

Mecenas Elliott zerwał się pierwszy, gdy do pokoju weszła Jennifer Heathcote. Skoczył na równe nogi tak szybko, że pozostali mężczyźni wydali się przy nim ociężali, choć dwóch także się już prostowało.

– Jennifer, miło mi cię widzieć, jak zawsze – powiedział, nachylając się nad blatem, aby ucałować ją kolejno w oba policzki.

Ich ruchy były zgrabne, zsynchronizowane, nie zderzyli się nawet okularami, co świadczyło, że witali się w ten sposób od lat, czując się naturalnie, bez skrępowania. Mecenas Elliott był najwyraźniej na wpół zakochany w Jennifer, tak jak Anglicy mają to w zwyczaju, gdy chodzi o klasyczne angielskie róże, których czci w swoim mniemaniu muszą bronić. Oczywiście za tymi lśniącoymi oczami i różanymi policzkami nieprzesłoniętymi warstwą makijażu kryła się zawsze kobieta silniejsza, niż oni sobie wyobrażali.

– Dziękujemy, że przystała pani na nasze zaproszenie, pani Heathcote – rozpoczęła po swoim Gillian, nadając swemu tonowi bardziej neutralne brzmienie. Chwilę później przedstawiła wszystkich obecnych.

– Bardzo chętnie pomogę – wyrzuciła z siebie Jennifer. Uśmiechnęła się szeroko, ewidentnie mniej świadoma powagi sytuacji... czy też mniej nią zmartwiona... niż jej dwie poprzedniczki. Jennifer lubiła okazywać jasną stronę swojego charakteru. Tę żelazną starała się zachować dla siebie.

– Jak pani wie, istnieją rozbieżności co do wydarzeń, które rozegrały się wieczorem trzynastego kwietnia w domu państwa Greenwoodów.

Rozmawiamy z wszystkimi po kolei, aby sprawdzić, czy w jakichś punktach jesteście zgodni.

– Tak, to widzę. Czy to prawdziwe dochodzenie kryminalne?

– Co pani chce przez to powiedzieć?

– Chodzi mi o to, czy... hm... czy jestem aresztowana?

– A powinna pani być aresztowana, pani Heathcote? – zapytała prawniczka Greenwoodów, podnosząc wzrok znad notatek.

– Ja? Proszę nie opowiadać głupstw! Nie ja popełniłam tu przestępstwo.

– To się jeszcze okaże – mruknęła pod nosem pani Walsh.

Mecenas Elliott odkaszlnął.

– Możemy zaczynać? Co zatem pamięta pani z tamtego wieczoru?

Jennifer, zanim zaczęła mówić, nawiązała kontakt wzrokowy ze wszystkimi przy stole.

– Lexi przeszła samą siebie. To do niej niepodobne. Czasami kupuje jakieś mrożone danie w supermarkecie, takie do odgrzania. – Jennifer zniżyła głos do dyskretnego szeptu. – Greenwoodowie oglądają każdego pensa przed wydaniem... w przeciwieństwie do nas. Nie chcę wyjść na snobkę, ale taka jest prawda. Odkąd pamiętam, musieli uważać z wydatkami. Jake jak dotąd nie znalazł pracy, której by się cały poświęcił. Znajduje posadę, popracuje trochę i już się rozgląda za nową. W tej chwili sprzedaje krzesła ergonomiczne... a może fotokopiarki? Nie jestem pewna. W każdym razie Jake i Lexi mają kłopoty finansowe. – Gillian cmoknęła, co przyniosło zamierzony skutek; Jennifer porzuciła temat finansów przyjaciół i zaczęła jeszcze raz: – No więc, jak już mówiłam, Lexi się postawiła. Wymyśliła sobie wieczór meksykański. Zrobiła tosty z kurczakiem chili i sałatkę z fasoli pinto z salsą. Pyszności.

– Brzmi cudownie, ale jeśli mogłaby pani wrócić do meritum – poprosiła stanowczo pani Walsh.

– Meritum?

– Do kwestii syndykatu. Czy tamtego wieczoru powiedziano coś ważnego, co by miało związek z syndykatem? Albo z lotto?

– Rozmawiamy o tych sprawach co tydzień. Tamta sobota nie różniła się od innych.

– O czym dokładnie rozmawialiście?

– O tym co zawsze. Że nie wygraliśmy. Lexi się zorientowała, że pula jest pusta, i kazała nam się zrzucić. Twierdziła, że od paru tygodni kupuje los za własne pieniądze i nie może tego robić w nieskończoność.

– W nieskończoność?

– Tak się wyraziła.

– I jaka była wasza reakcja?

– Czy zeznaję pod przysięgą?

– A jaka to różnica?

– Chciałabym móc skłamać.

– Wolelibyśmy, aby powiedziała pani prawdę.

Jennifer milczała przez chwilę. W końcu zaczerpnęła głęboko tchu. Mając pewność, że uwaga wszystkich skupia się na niej, rzuciła:

– Wyszłam przypudrować nos.

– Proszę?

– Tamci zrobili się zjeżeni, zrzędlivi. Ja staram się unikać scen. Wolę nie brać udziału w ich przepychankach.

– W czyich przepychankach?

– To zdarza się od czasu do czasu. Sporadycznie, ale wystarczająco często, abym umiała rozpoznać symptomy i wiedziała, na co się zanosi. Jake i Patrick wdają się w kłótnię. Nigdy o nic poważnego, z pewnością nie o politykę ani nie o religię, ale na przykład o coś takiego jak to, czy szkoła

powinna zburzyć czy zachować przybudówkę z klubem krykieta albo czy trener szkolnej drużyny hokeja wie, co robi. Tego typu rzeczy. Robi się to męczące. Właśnie dlatego wymknęłam się do łazienki, jak tylko zdałam sobie sprawę, że zbierają się czarne chmury.

– Tylko się kłóć czy dochodzi do rękoczynów?

– Ani jedno, ani drugie. Uczciwie mówiąc, wdają się w zapalczywe dyskusje. – Jennifer zachichotała, jakby nieswojo się czuła z myślą, że ktoś może się sprzeczać. – Obaj mają rywalizację we krwi – wyznała. – Choć z drugiej strony ktoś mógłby powiedzieć, że to dowód na siłę ich przyjaźni. Gdy dochodzi między nimi do różnicy zdań, po prostu wyrzucają to z siebie. Znaczą słownie. A kiedy już sobie pogadają, przechodzą nad tym do porządku dziennego. Zazwyczaj.

– Pan Pearson nie ograniczył się do słownej napaści w dzień konferencji prasowej – przypomniała wszystkim pani Walsh. – Z tego, co wiem, próbował udusić mojego klienta.

– To był pierwszy raz. I jestem pewna, że bardzo żałuje swojego zachowania. Wszyscy byliśmy wtedy tacy nakręceni...

– A czy pani mąż także brał udział w tych... – prawniczka urwała i zajrzała do swoich notatek – w tych przepychankach?

– Bardzo mnie cieszy, że Fred trzyma się z dala od udowodniania, kto jest większym macho.

– A jednak w dzień konferencji prasowej pani mąż dokonał napaści na Jake'a Greenwooda. – Pani Walsh nie odpuszczała.

– Tak, jak już wspomniałam, emocje sięgnęły zenitu. – Jennifer zrobiła zawstydzoną, przepaszającą minę. – Choć nie nazwałabym tego napaścią, raczej szamotaniną.

– Mnie powiedziano, że pani mąż uderzył mojego klienta.

Jennifer poczerwieniała.

– Fred rzadko szuka konfrontacji. W tym przypadku jednak czuje się oszukany. – Zamilkła, spuściła wzrok. Przed oczami Gillian stanęła księżna Diana. – Chyba zdajecie sobie sprawę, że to dla mnie bardzo trudne?

Mecenas Elliott pokiwał współczująco głową, nachylił się nad blatem i poklepał swoją klientkę po dłoni. Gillian uniosła brwi, zastanawiając się, czy ten człowiek przespał całą rewolucję #metoo.

– Sądzę, że wszyscy zainteresowani znaleźli się w trudnym położeniu. Dlaczego uważa pani, że dla niej jest to szczególnie trudne? – zapytała Gillian.

– No cóż, nie było mnie wtedy w salonie, co sprawia, że błędę po omacku jak i wy. Sama staram się dojść do ładu z tym, kto powiedział co i do kogo. Chodzi mi o to, że... Na pewno nie wycofałam się z syndykatu, a gdyby Fred to zrobił, raczej by mi o tym powiedział. To wyjątkowo uczciwy mężczyzna. Z drugiej strony Lexi i Jake twierdzą, że się wycofał, a jaki mają powód, żeby kłamać? Co do Pearsonów zaś... Naprawdę nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. – Potrząsnęła ze smutkiem głową. Jeden z prawników wręczył jej chusteczkę. – Teraz żałuję, że wyszłam do łazienki. Moja nieobecność czyni moje położenie nieznośnym.

Gillian się zastanowiła, czy Jennifer zdaje sobie sprawę, że w rzeczywistości jej położenie jest bardzo korzystne. Nie odcinając się od Greenwoodów, ale też taktycznie popierając męża i roszczenia Pearsonów, zajęła stanowisko, dzięki któremu mogła wygrać bez względu na to, na czyją stronę przechyli się szala.

Jennifer otarła oczy i zapytała, czy to już koniec.

– We wtorkowe popołudnia pracuję jako wolontariuszka w tutejszej szkole. Nie robię nic ważnego. Uczę tylko dzieci czytać. – Zachichotała skrępowana. – Właściwie nawet nie to, po prostu daję im możliwość poćwiczenia przy mnie na głos. To zajęcie przynosi mi mnóstwo

satysfakcji, a dzieci bardzo się do mnie przyzwyczyły. Dlatego nie lubię się spóźniać.

Kiedy wychodziła, wszyscy wstali na pożegnanie. Później jeszcze przez moment pławili się w poczuciu łagodnej godności, które pozostawiła za sobą niczym powiew perfum.

– Widzicie, kto siedzi naprzeciw was? Rozumiecie, że nie przypadkiem uzbroiłem się po zęby? Wydobędę im z gardła całą sumę, do ostatniego pensa! Rozumiecie?

– Może zechce pan usiąść, panie Pearson.

– Są mi winni prawie sześć milionów funtów. Słuchacie mnie w ogóle? Sześć milionów funtów. Greenwood to złodziej. Mogłem się po nim tego spodziewać. Ale Lexi? Nie pojmuję, czemu kłamie. Zawsze była wzorem cnót wszelakich. Świętoszka jak się patrzy, znacie ten typ. A tu się okazuje, że niezła z niej dziwka.

– Dziękujemy za przybycie, panie Heathcote.

– Żaden problem. Najlepiej wyjaśnić tę sprawę *pronto*.

Gillian i Mick dyskretnie wymienili lekko rozbawione spojrzenia; poza Italią żadne jeszcze nie spotkało się z tym, by ktoś użył słowa *pronto* z tak kamienną twarzą.

Pałeczkę przejął mecenas Elliott.

– Fred, tak się zastanawiam, czy syndykat od zawsze obstawiał w zakładzie te same liczby?

– Istotnie.

– A jak doszło do ich wyboru?

– Każde z nas wybrało jedną liczbę. Ja ósemkę, bo to mój szczęśliwy numer. Jennifer jedynekę dla uczczenia pierworodnego. Ponieważ Ridley pozostał jedyakiem, cyfra ta nabrała przez lata większego znaczenia. Lexi wybrała dwadzieścia dziewięć, bo miała tyle lat, kiedy urodziła się Emily, a może dlatego, że to dzień jej urodzin, sam nie wiem. Z tego czy innego powodu na pewno była to dla niej ważna liczba. Jake wybrał dwadzieścia, bo dwudziestego brali ślub, jeśli dobrze pamiętam. Czy też raczej chodziło o jego urodziny? A może o urodziny Lexi? Nieważne. Każdy wybrał liczbę, która coś dla niego znaczyła. Dlatego tak osobiście podchodzimy do kwestii lotto. Tu nie chodzi tylko o wygraną, ale o historię, jaka za nią stoi.

– Pearsonowie także?

Fred potaknął zdecydowanym ruchem głowy.

– Tak, dla nich to także bardzo osobista sprawa.

– Pytałem o to, czy Pearsonowie też wybrali ważne dla siebie liczby.

Fred zaśmiał się pod nosem.

– Wiąże się z tym zabawna historia. Carla chciała wybrać dwanaście, dzień swoich urodzin, ale Patrick, jej mąż, ją zakrzyczał.

– Dlaczego?

– Powiedział, że większość ludzi wybiera daty urodzenia, przez co liczby od jeden do trzydzieści jeden są nadreprezentowane, w związku z czym przy wygranej trzeba się dzielić pieniędzmi z innymi szczęściarzami. Dodał też, że jeśli postawimy na liczby powyżej tej granicy, będziemy mieli większe szanse zgarnąć całą pulę dla siebie. Patrick wybrał pięćdziesiąt osiem, a Carla zmieniła dwunastkę na czterdzieści dziewięć, ponieważ zawsze ulega mężowi. – Fred uśmiechnął się ciepło. – Patrick zachował się jak to on. Nie tylko wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu założył wygraną, ale też wytoczył od razu najcięższe działa. Nie można go nie podziwiać. W sumie jednak miał rację. Wygrana przypadła nam

w całości. – Nagle spochmurniał. – To znaczy przypadłaby, gdyby nie Greenwoodowie i ich ciemne gierki.

– Twierdzi pan, że syndykat nadal istniał, kiedy doszło do wygranej?

– Oczywiście. Tego samego wieczoru dołożyliśmy się do puli.

– Pan również?

– Tak. Dorzuciłem dziesięć funtów i odebrałem sobie pięć funtów reszty, sięgając po banknot dołożony przez Carlę. Nikt nie sugerował, że nie chce grać dalej. Bo niby czemu? Przecież to nieszkodliwa zabawa.

– Zatem pańska żona była świadkiem, jak dorzuca się pan do puli? – wtrąciła pani Walsh. – Widziała, że podtrzymuje pan swój udział w syndykacie?

– Zgadza się. Siedzieliśmy obok siebie.

– Ciekawe – mruknęła prawniczka Greenwoodów. Nie zdołała się także powstrzymać przed rzuceniem spojrzenia Gillian i Mickowi, aby się upewnić, że dostrzegli tę rozbieżność.

– A to czemu? – zainteresował się Fred.

– Cóż, pańska żona powiedziała, że nie było jej przy stole, gdy rozmowa zeszła na temat przyszłości syndykatu. Dodała też, że sama na pewno się nie wycofała, ale być może pan to zrobił pod jej nieobecność.

Gillian zauważyła, że w tym momencie z twarzy Freda Heathcote'a odpłynęła cała krew, a wraz z nią nadzieja. Zerknęła na podłogę, przekonana, że zobaczy kałużę pod jego krzesłem.

– Tak powiedziała? Moja żona? – Fred z trudem wymawiał słowa przez ściśnięte gardło.

Do akcji wkroczył mecenas Elliott.

– Nie sądzę, abyśmy powinni porównywać zeznania świadków...

Heathcote zmiażdżył swojego prawnika wzrokiem. Chodzili razem do szkoły, wspólnie odpierali ataki klasowych osiłków i sprzeciwiali się przewodniczącym. Fred wiedział, że jego przyjaciel podkochuje się w Jennifer i zawsze bierze jej stronę. Sam miał chrzestnego prawnika – teraz wyrzucał sobie, że nie skorzystał z jego usług.

Fred się zawahał. Wyraźnie podejmował w duchu jakąś decyzję.

– Chciałbym zmienić swoje zeznanie.

– Ach tak? – Pani Walsh wyglądała na zachwyconą.

Prawnicy Pearsonów przybrali oblicza w kamienne maski, czekając na rozwój wypadków.

– Tak. Otóż... Sporo tamtego wieczoru wypłem. Nie mam więc pewności, czy wszystko dobrze pamiętam. Zdaje się, że dołożyłem do puli na samym początku spotkania, ale później chyba była mowa o wycofaniu się z gry.

– Chyba?

– Niemal na pewno. Przepraszam, jeśli brzmi to mętnie, ale nie chciałem się przyznawać do tego, ile wtedy wypłem. Rozumieją państwo, nie chciałem wyjść na jakiegoś alkoholika. – Roześmiał się skrzepowany. Zaraz jednak spoważniał i bez cienia uśmiechu powiedział zadziwiająco pewnym siebie głosem: – Teraz już wszystko pamiętam. Jennifer zgodziła się z Pearsonami, poparła ich, że lotto to zabawa dla naiwnych. Posunęła się do tego, że nazwała Jake'a naiwnym. Uwzięła się na niego. Jako mąż nie miałem innego wyjścia, jak tylko ją poprzeć. Zatem tak, wycofaliśmy się. Nie należy się nam złamany pens, niestety. Obawiam się, że nie jestem w stanie uwiarygodnić jej wersji ani wersji Pearsonów. Nie byłoby to fair wobec Lexi i Jake'a.

– Czy w ogóle musimy przesłuchiwać Jake’a Greenwooda? – zapytała swojego przełożonego Gillian. – Sprawa jest chyba jasna. Oczywiście. Greenwoodowie mówią prawdę. Ich... ehm... przyjaciele to stado rekinów. W ich zeznaniach jest więcej dziur niż w moim durszlaku.

Mick rozważył sytuację. Pieniądze trafiły już na konto Greenwoodów. Część została nawet wydana. Na organizatorze zakładów lotto spoczywa tylko obowiązek przekazania wygranej w ręce prawowitego właściciela losu. W tym przypadku nie mogło być wątpliwości co do tego, że los zakupiła Lexi Greenwood. Niemniej skandal nikomu nie służył, dlatego organizator podjął działania mające na celu załagodzenie rodzącego się konfliktu.

Wszyscy prawnicy przeglądali swoje zapiski. Gillian miała rację: świadkowie plątali się w zeznaniach, do tego teraz jeden z nich całkowicie się wycofał z pierwotnej wersji.

– Zgadzam się, że możemy tylko rozejść się do domów – powiedziała pani Walsh. Dzień był gorący, bluzka lepiła się jej do pleców. Prawniczka już wyobrażała sobie, jak bierze długi chłodny prysznic.

Terrance Elliott, prawnik Heathcote’ów, miał zboląłą minę. Wyraźnie też był za tym, żeby zakończyć ten cyrk. Szczególnie że to jego klienci okazali się najmniej wiarygodni w trakcie przesłuchania. Wywołało to jego gorycz. Dał się w to wciągnąć, ponieważ uważał Heathcote’ów za ludzi porządných – takich, co płacą podatki i nie wyłudniają odszkodowań. Jennifer piekła ciasteczka na szkolne aukcje, a Fred pożyczał sąsiadom swoje elektronarzędzia. Stosowali się do podstawowych zasad obowiązujących w ludzkim społeczeństwie. Nie chciał więc patrzeć, jak są okradani. Tymczasem bardzo szybko wyszło na jaw, że ich moralność pozostawia jednak wiele do życzenia. Gdy Jennifer zeznała, że w kluczowym momencie rozmowy poszła do łazienki, uznał, że jako

kobieta uczciwa nie chce skłamać, ale też jako dobra żona nie chce postawić Freda w niewygodnej sytuacji. Mecenas Elliott doceniał to: nawet jeśli Jennifer nie była czysta jak łąza, pozostała lojalna, a to już coś. A tu nagle Fred wyjechał ze stwierdzeniem, że się upił i że koniec końców jednak wycofali się z syndykatu. Żenada na całej linii. Mecenas Elliott nie chciał nikogo osądzać, ale też nie mógł narażać własnej reputacji. Było jasne, że i Heathcote'owie, i Pearsonowie wycofali się z syndykatu. Wielki pech, ale tak przedstawiała się prawda.

– A ja chciałbym przesłuchać pana Greenwooda – oznajmił Piper-Dunn. – Jeszcze nic nie jest przesądzone.

Był doświadczonym prawnikiem, wiedział, że niewiarygodność Heathcote'ów może się jeszcze przysłużyć Pearsonom. Mętne okoliczności to odwieczny sprzymierzeniec adwokatów. Wynik postępowania nierzadko nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością ani z prawdą. O wszystkim decyduje klarowność.

Mick Hutch westchnął.

– Zapewne masz rację, Gillian, ale myślę, że jednak powinniśmy porozmawiać z Jakiem, choćby po to, aby nikt nie zarzucił nam zaniedbania. Został już tylko on.

Gillian wstała i otworzyła drzwi przegrzanego, dusznego do granic pomieszczenia. Jake Greenwood siedział na krześle naprzeciwko. Gestem zaprosiła go do środka.

– Panie Greenwood, dziękujemy za okazaną cierpliwość i za to, że zgodził się pan zdradzić nam kulisy pamiętnej nocy.

Pozwoliła sobie na żarcik. Jej zdaniem Jake należał do żartownisiów. Nie, nie był klaunem. Żadna kobieta nie pomyślałaby tak o nim, miał zbyt atrakcyjną aparycję. Na pewno jednak nie był ponurakiem. Dlatego zażartowała, chcąc, by się rozluźnił i zaprezentował od najlepszej strony.

Nie mogła być bowiem pewna, czy sprawdzi się w roli własnego adwokata. Do Lexi miała pełne zaufanie, ale Jake nie zachowywał należytej ostrożności. Postępował pochopnie i nieprzemyślenie – aczkolwiek zastanawiała się, czy zawsze taki był, czy raczej stał się taki przez wygraną. Gillian była domorosłym psychologiem. Ludzie ją interesowali, a w swojej pracy spotykała przeróżne osoby z wszelakich środowisk.

Jake opadł na krzesło i odchylił się na oparcie jak chłopiec, który wolałby być na boisku niż na lekcji matematyki. Wysłuchał, kto jest kim, z ledwie tłumionym zniecierpliwieniem.

– Rozmawialiście już z moją żoną – stwierdził.

– To prawda.

– Zatem wszystko wiecie. Nie sądzę, abym mógł coś dodać. Lexi ma fenomenalną pamięć do szczegółów. Gdybyście poprosili nas tu razem, może byśmy się dopełniali, ale tak...

– Cóż, wysłuchujemy każdego z państwa oddzielnie.

– Bo chcecie przyłapać kogoś na kłamstwie?

– Bo chcemy dojść prawdy.

– Na jedno wychodzi. Założę się, że tamci się zaplątali i wzajemnie sobie przeczyli. A jeśli nie, to tylko dlatego, że przecwiczili występ. – Jake powiódł spojrzeniem po twarzach prawników, aby wysondować, co usłyszeli wcześniej, nadaremno jednak.

– Jak pan się słusznie domyśla, na razie nie możemy wyjawić, co powiedzieli nam pozostali – odparła Gillian. – Ale bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciał pan swoimi słowami zrelacjonować przebieg sobotniego wieczoru trzynastego kwietnia.

– Wycofali się z syndykatu.

– I to wszystko?

– Nie, to najważniejsza część. Są chciwcami, którzy nie mogą sobie wybaczyć, że wycofali się tuż przed tym, jak my zgarnęliśmy pulę. I to jaką! Chcecie faktów?

– O nic innego nam nie chodzi.

– No to macie fakty. Tak, tworzyliśmy syndykat przez piętnaście lat. I tak, wybraliśmy liczby wspólnie na samym początku i nigdy ich nie zmienialiśmy. Ale nic z tego nie ma znaczenia. Liczy się tylko to, że oni się wycofali na tydzień przed wygraną. Co więcej, wyrazili swój niesmak, nie, wróc, swoje obrzydzenie samą ideą lotto. Nic im się więc nie należy!

– Mógłby pan to rozwinąć?

– Stwierdzili, że to naiwne. Że my jesteśmy naiwni. Powiedzieli, że nie chcą mieć z tym dłużej nic wspólnego. Mówili bez ogródek, prosto z mostu.

W pokoju zapadła cisza. Nagle wszyscy odczuli uciążliwy upał. Mężczyźni podwinęli rękawy koszul, otworzono okno, ale powietrze stało w miejscu, o orzeźwiającej bryzie nie mogli nawet marzyć. Zebrani pocili się jak sery na desce. Słabi i gnuśni prawnicy musieli ze sobą walczyć, aby nie złożyć głów na blacie, aby trzymać się prosto.

– Co teraz będzie? – przerwał milczenie Jake. – Pieniądze mamy już na swoim koncie.

– Zgadza się.

– Zamierzacie nas zmusić, żebyśmy część im oddali?

– Nie mamy takiej mocy sprawczej.

– W takim razie po co w ogóle rozmawiamy?

– Nie da się wykluczyć powództwa cywilnego. Naszym obowiązkiem jest więc dochować wszelkiej staranności i w obliczu złamania prawa zawiadomić o tym służby.

– Ach tak? I co, zamierzacie to zrobić?

Mick Hutch wyręczył Gillian w odpowiedzi:

– Z tego, co widzę, nie ma żadnego dowodu na to, że w chwili wygranej istniał jakiś syndykat. Nie ma spisanej umowy ani choćby nieformalnych wzmianek. Państwa słowo przeciwko ich słowu.

– Czyli to już koniec?

– Nie, nie całkiem – wtrącił Piper-Dunn. – Pearsonowie raczej nie odpuszczą. Prawdopodobnie będzie prywatne dochodzenie, odrębne od tego przeprowadzonego przez organizatora zakładów lotto. Właściwie mam pewność, że moi klienci sięgną po wszystkie dostępne środki. Poza tym zwrócimy się o powtórne przesłuchanie pani Heathcote. Jeśli potwierdzi swoje wcześniejsze zeznania, wynik wyniesie trzy do trzech. To wciąż daje szansę na wygraną.

– Trzy?

– Fred Heathcote przyznał, że wycofał się z syndykatu – oznajmiła pani Walsh.

– Bo tak było! – Jake ledwie był w stanie uwierzyć w to, co słyszy.

– Przyznał również – dodał Piper-Dunn – że przesadził z alkoholem. Jego zeznanie nie było spójne ani wiarygodne.

– A Jennifer?

– Pani Heathcote przebywała w łazience podczas gwałtownej wymiany zdań – podpowiedział mecenas Elliott.

– Naprawdę?

– Jak pan z pewnością wiedział.

Jake wydawał się zbity z tropu.

– No tak, oczywiście. Po prostu nie przypuszczałem, że się do tego otwarcie przyzna.

– Uczyniła to. Twierdząc, że nigdy się nie wycofała z syndykatu, nawet jeśli zrobił to jej mąż. W związku z tym ma swój udział w wygranej. Trzy do trzech – powtórzył drugi prawnik Pearsonów. – Zapewniam pana, panie Greenwood, że to jeszcze nie koniec.

15

LEXI

Musimy ją dorwać.

– Kogo?

Kierowca limuzyny otwiera nam drzwi. Jake rozsiada się w środku jakby nigdy nic, jakby był cesarzem i miał służbę na swoje skinienie w każdym dniu dotychczasowego życia. Rzucam szoferowi przepaszające spojrzenie. Czekał na nas trzy godziny. Ponieważ nie zmieścilibyśmy się wszyscy w ferrari, a Jake nie chciał jechać pociągiem ani naszym starym volvo, zarezerwował dla nas auto z kierowcą. Bardzo podobne do tego, którym przyjechaliśmy na konferencję prasową. Samochód mieści dziesięcioro pasażerów i oferuje barek ze schłodzonymi napojami. Zgaduję, że rozbijają się nim bogate panny wybierające się na bal maturalny czy podpici młodzi mężczyźni planujący wieczór kawalerski. Czuję zażenowanie. Jake oczywiście nie chciał mi powiedzieć, ile zapłacił. Tyle dobrego, że dzieci przynajmniej miały gdzie siedzieć i grać na urządzeniach elektronicznych, podczas gdy my składaliśmy zeznania. Zabraliśmy Emily i Logana ze sobą, na wypadek gdyby oni też musieli zeznawać. Nie doszło jednak do tego, co jest dla mnie wielką ulgą.

Moszczę się na skórzanym siedzeniu, czując opór przed sformułowaniem użytym przez Jake'a. „Dorwać ją”. Tak mógłby

powiedzieć jakiś bandzior bez serca. Chciałabym, żeby wszyscy nareszcie się uspokoili.

– Jennifer – odpowiada mój mąż.

– Jennifer? – dziwię się.

Patrzę na dzieci, które siedzą naprzeciwko nas. Jake podąża za mną spojrzeniem. Emily i Logan są bladzi, mają wielkie przestraszone oczy. Są zaniepokojone, odkąd nie wypaliła tamta konferencja prasowa. Nic dziwnego. Praktycznie z dnia na dzień ze szkoły, gdzie wyrzekali na stołówkę i zadania domowe, wylądowali na New Bond Street, by szaleńczo trwonić wygrane pieniądze na zakupach, aż tu nagle ich ojciec został wzięty w obroty przez swoich dwóch najbliższych przyjaciół. To ci dopiero jazda.

Jake zmusza się do uśmiechu.

– Wszystko będzie dobrze. Nie ma powodów do zmartwień.

Emily przewraca oczami, Logan wzrusza jednym ramieniem. Jak na komendę odwracają głowy i każde wygląda przez okno po swojej stronie. Nie wydają się przekonani. O ile łatwiej mieliśmy z nimi, kiedy byli malutcy.

– Czego chcesz od Jennifer? – pytam ściszym głosem.

– Jest niezdecydowana. Złożyła wymijające zeznanie.

– To znaczy?

– Powiedziała, że wyszła na czas rozmowy. Co by świadczyło, że się waha.

– Przecież nigdzie wtedy nie poszła.

– Wiem.

– Czemu skłamała, zamiast trzymać się tego, co ustalili? To przecież osłabia jej pozycję.

Boleśnie świadom obecności dzieci, Jake odpowiada szeptem:

- No właśnie. Dlatego uważam, że jest gotowa pójść na układ. Walczę z falą gniewu, która grozi, że zaraz mnie pochłonie.
- A Fred?
- Nie uwierzysz! Przyznał, że się wycofali.
- Serio?
- Tak. Dziwne, prawda?
- Ale zrozumiałe. Mówił coś o Carli i Patricku? Że i oni się wycofali?
- Może. Chyba tak. Zresztą nie wiem. Muszę porozmawiać z Jennifer.
- Jesteś tego pewien? – pytam.

Jake nie zwraca na mnie uwagi; wyciąga komórkę i pisze esemesa. Najprawdopodobniej do Jennifer. Marszczę brwi. Nie kontaktowałam się z nią od trzynastego kwietnia. A kiedyś była jedną z moich najlepszych przyjaciółek. Jakie to smutne.

Jake chyba widzi żal w moich oczach, bo mówi:

- Słuchaj, o nic się nie martw. Ja się wszystkim zajmę.

Przenosi wzrok na dzieci. Domyślam się, co chce mi powiedzieć: zobacz, ile możemy stracić. Przypomina, komu jestem winna lojalność.

Wyjątkowo jestem niezadowolona, że dzieci nie mają słuchawek w uszach. Normalnie nie sposób przyciągnąć ich uwagi, teraz jednak – choć udają, że koncentrują się na śmigających obok nas samochodach – mam pewność, że starają się wychwycić z naszej rozmowy jak najwięcej. Może bogacze jeżdżą takimi wielkimi samochodami, żeby móc swobodnie rozmawiać o kontraktach i sojuszach.

- Ale się porobiło. To takie nieuczciwe... – mamroczę.

Jake bawi się spinkami u mankietów koszuli. Sprawił je sobie ostatnio (Deakin & Francis), tak samo jak garnitur (Tom Ford), koszulę (Brioni), krawat (Steffano Ricci), a nawet bokserki i skarpetki (Calvin Klein).

Prezentuje się świetnie, z klasą i powiewem bogactwa. „Czuję się jak nowo narodzony”, stwierdził rano z zachwytem po tym, jak już się ubrał. A ja musiałam myszkować za rachunkami, żeby się dowiedzieć, jak dużo kosztował nas mój nowo narodzony mąż. Suma okazała się zawrotna: ponad dziesięć tysięcy funtów. Nie powiedziałabym, że to nieuczciwe, biorąc pod uwagę jakość ciuchów, które sobie sprawił.

– Uważam, że powinniśmy dać tej sprawie spokój – mówię. – Niech wszystko ucichnie. Ci z lotto na pewno nam teraz uwierzą, skoro Fred poparł naszą wersję.

– Nic takiego się nie stanie. Pearsonowie nie odpuszczą. Dlatego musimy przekabacić Jennifer. Muszę z nią porozmawiać. Lexi, nie możemy siedzieć z założonymi rękami. Trzeba być przygotowanym na najgorsze. W grę wchodzi miliony. – Ścisza mnie za udo. Ten dotyk przeszywa mnie jak błyskawica, dreszczyk w krzyżu rozchodzi się prądem po całym moim ciele. Niewiarygodne, ale Jake wciąż tak na mnie działa po tych wszystkich latach. Carla i Jennifer powtarzały, że jestem szczęściarą. Ale czy ja wiem?...

Przez parę chwil żadne z nas się nie odzywa, nie ufamy własnemu głosowi. W końcu Jake przerywa milczenie:

– Odstawię was do domu i pojedę prosto do Jennifer.

– Sam?

– Tak, tak będzie lepiej.

Dalsza droga upływa nam w ciszy. Gęstej i cikliwej jak ta, która panoszy się w domach dotkniętych tragedią i żałobą.

Po powrocie do domu Emily i Logan zamykają się w swoich pokojach. Przypuszczam, że Logan zagłębi się w świat ulubionej gry wideo *Fortnite*, a Emily zapewne będzie robiła zakupy przez internet. Wyrzywa mi się głośnie westchnienie. Wiem, że powinnam zapędzić ich do lekcji, do rutyny,

którą dobrze znają, ale są tacy niechętni szkole, a Jake nie okazuje mi najmniejszego wsparcia w tej sprawie. Naprawdę nie mam siły walczyć z nimi wszystkimi.

Pod nieobecność Jake'a piszę do Freda esemesa z podziękowaniem za to, co powiedział w trakcie przesłuchania. Odpowiedź przychodzi natychmiast, po czym wymieniamy jeszcze kilka wiadomości. Potem sięgam po pierwsze z brzegu czasopismo i staram się skupić na lekturze, ale myśli mam rozbiegane, przez co nie umiem się skoncentrować i te same trzy linijki tekstu czytam bez zrozumienia po raz dwudziesty. W końcu udaję się na poszukiwania mojego zaczytanego egzemplarza *Mansfield Park* Jane Austen. Pisałam maturę z tej książki, a od tamtej pory odświeżyłam ją sobie chyba z dziesięć razy. Zawsze podnosi mnie na duchu, jest taka uporządkowana, ucywilizowana. Cenię też jej przesłanie: przyzwoitość jest górą. Powieść ta jest istnym pokarmem dla duszy, a ja potrzebuję w tej chwili wyrwać się z własnego świata. Dziwne, zważywszy, że od krótkiego czasu żyję we śnie.

Jake wraca z naręczem toreb sklepowych, tych eleganckich, z kartonu i ze wstążkowymi uszami spinanymi za pomocą sznureczka. Jest ich tyle, że szofer musi mu pomóc wypakować je z bagażnika. Najwyraźniej mój mąż znalazł czas na kolejne zakupy. Dzieciaki zbiegają na parter, żeby zobaczyć, jakie to skarby przywiózł. Nie mogę przy nich rozmawiać otwarcie, ale ponieważ umieram z ciekawości, jak poszło Jake'owi, pytam go szeptem:

– Widziałeś się z Jennifer?

– Tak.

– No i?

– Zaoferowałam jej i Fredowi po milionie, jeżeli tylko zmieni swoje zeznanie i potwierdzi naszą wersję. To by załatwiło sprawę Pearsonów.

– Co zrobiłeś?!

Jesteśmy ze sobą wystarczająco długo, abym wiedziała, że w poczuciu winy i w poczuciu niesprawiedliwości mój mąż zawsze przystępuje do ataku.

– Nie chciałem tego, Lexi, tak samo jak ty. Ale obawiam się, że nie mamy innego wyjścia.

Jake odkłada torby na podłogę i gwałtownie wypada na korytarz.

Nasz dom nie jest duży, nie ma w nim wielu miejsc, w których można by się ukryć i lizać rany. Jake trzaska drzwiami kolejnych pokoi, ale jego wściekłość nie mieści się w czterech ścianach, wymaga szerszej przestrzeni, wyrzucenia jej z siebie z każdym wysiłonym oddechem.

Po wyjściu do ogrodu zaczyna przekopywać grządkę warzywną. Zdumiona obserwuję go przy pracy. Słyszę, jak szpadel wbija się w ziemię, jak Jake stęka, po czym warstwa gleby leci na bok. Co on wyprawia? Grządka wymaga spulchnienia, ale on ryje w niej, jakby miał zamiar się dokopać do Australii. Wiem, jak ważna jest dla niego fizyczność. Jeszcze na studiach brał udział w licznych zawodach drużynowych – w każdy weekend i co środę po południu. Poza tym, jeśli coś go zestresowało, powiedzmy jakiś projekt czy zbliżający się egzamin, musiał dać ujście przepelniającym go emocjom. Robił sobie przebieżkę, pakował na siłowni, uprawiał energicznie seks. Cóż, dzisiaj najwyraźniej woli zagłębiać się w ziemię na grządce niż we mnie.

Wzdycham i wbrew sobie nastawiam wodę w czajniku, otwieram szafkę i wydaję kubki, po czym myszkuję za herbatą ekspresową i mlekiem.

Po chwili wynoszę do ogrodu gorący napar.

– Napijesz się?

To powszechnie stosowany znak pokoju, wszyscy o tym wiedzą. Jake kopie coraz wolniej, aż w końcu przestaje. Kiwa głową i rzuca szpadel. Przysiadamy na niskim murku. Dopiero teraz zauważam, że nawet się nie przebrał. Wciąż ma na sobie nowiuteńki, warty fortunę garnitur. Tylko że nogawki spodni od kolan w dół pokryte są błotem. Czuję złość, ale wiem, że nie zdołam walczyć na wielu frontach naraz. Szczególnie że oboje znajdujemy się na krawędzi. Nie będę robiła awantury o coś, co z łatwością załatwi pralnia chemiczna.

– Jest szansa na happy end? – pytam.

– Oczywiście, że tak – odpowiada Jake. Głos ma mniej pewny niż słowa. – Już wygraliśmy, Lexi. Przekonasz się.

16

Na dźwięk otwieranych drzwi odwróciła się i posłała mu chmurne spojrzenie. Sama nie wiedziała, czemu właściwie zgodziła się z nim spotkać. Esemes przyszedł po długim czasie wyczekiwania. „Nasze miejsce, nasza pora”. Ta zwięzłość była dla niej obraźliwa. Zresztą nie lubiła czekać. W pierwszym odruchu chciała zignorować wiadomość.

Ale z drugiej strony czuła pokusę. Musiała usłyszeć, co ma jej do powiedzenia, jak zamierza się tłumaczyć. Dlatego przyszła. Tam gdzie zawsze, o tej samej porze. Spotykali się w tym hotelu w prawie każde wtorkowe popołudnie przez ostatnie dwa lata, z wyjątkiem świąt, urodzin i minionego tygodnia. Zdecydowali się na ten konkretny hotel, ponieważ był dogodnie usytuowany, niezbyt daleko od jednego z jego ważniejszych klientów; szef był przekonany, że tyle godzin spędza na zabieganiu o dalszą lojalność klienta i wiążące się z tym przychody. „Długie nudne spotkania”, powtarzał. Ona nie pracowała. Wtorkowe popołudnia odpowiadały jej dlatego, że w poniedziałki chodziła do fryzjera, a we wtorki rano robiła paznokcie u stylistki. W środy pływała, w czwartki brała udział w zajęciach jogi, w piątki zazwyczaj chodziła na zakupy albo spotykała się z przyjaciółką na mieście. Wpasował się z tymi wtorkami w jej życie idealnie. Jeszcze jedna przyjemność.

To znaczy tak myślała na początku. Seksowny, uroczy, przystojny smakołyk. Podziwiała go, odkąd sięgała pamięcią. Całymi latami. Zdawała sobie sprawę, że pociąg do mężczyzny, który był mężem jej przyjaciółki,

nie jest do końca fair, ale gdy się zastanowić, nigdy w życiu specjalnie jej nie zależało na właściwym postępowaniu. Uważała, że uczciwość jest przereklamowana.

Zresztą nic by z tego nie wyszło, gdyby i on jej nie pragnął. Romans był jego pomysłem. A może nie? Może doprowadził do niego splot okoliczności? Może nie mieli szans go uniknąć? Nie była romantyczką, nie wierzyła w opatrzność ani nic z tych rzeczy. To dobre dla leni, którym nie chce się wykuwać własnej ścieżki w skale życia. Osobiście sądziła, że określone działania prowadzą do konkretnych rezultatów. A jego żonę miała za bigotkę. On zaś lubił rywalizować, szczególnie z mężczyznami, którzy zarabiali więcej od niego. A do takich zaliczał się jej mąż. To mu doskwierało. Wystarczyło dodać do tego odrobinę pożądania i – ta-dam!

Na pewnym poziomie trwało to dłużej niż dwa lata, dłużej niż seks. Zawsze między nimi iskrzyło, trzeba było tylko podsycić ten płomień. Często zgadzał się z jej opinią, nawet jeśli tym sposobem zostawiał swoją żonę na lodzie. Przysłuchiwał się uważnie temu, co miała do powiedzenia, podczas gdy jej własny mąż przerywał jej w połowie zdania albo co gorsza, zasypiał w połowie zdania i wyłączał się całkowicie. Czuła się przez to czasami, jakby nie istniała. Ilekroć wybierali się w szóstkę na wakacje, a ona wkładała bikini, błądził spojrzeniem po jej ciele. Badawczo. Wyzywająco. Jeśli zdarzyło się jej poprosić o pomoc przy natarciu pleców olejkami do opalania, zawsze był pierwszy. W sylwestra zamiast przyjacielskiego cmoknięcia w policzek dostawała prawdziwego całusa w usta. Na tyle krótkiego, aby wydał się koleżeński, i na tyle długiego, by zasugerować coś więcej. Z czasem zaczął ją mocniej ścisnąć, gdy się witali albo żegnali.

Nagle przyjaźń odeszła w niepamięć, zaczęło się pieprzenie.

Do pierwszego zbliżenia doszło w jeden z sobotnich wieczorów, od niedawna owianych złą sławą. Ona była gospodynią, a to oznaczało, że ciągle biegała między kuchnią i salonem, dogadzając innym i nie mając nawet czasu na złapanie kęsa. Alkohol szybko uderzył jej do głowy. Jeśli chodzi o niego, musiał zadziałać na inną część jego anatomii.

Kiedy goście zaczęli przebąkiwać, że będą się zbierali, udała się po ich kurtki. On był akurat w toalecie na dole, nieopodał garderoby. Wyłonił się, gdy myszkowała między wieszakami. Czyżby na nią czekał? Nie ociągał się, nie pytał wzrokiem ani tym bardziej słowami, tylko od razu ujął w dłoń jej twarz i zaczął ją całować. Nie delikatnie. Nie niepewnie. Jego zamiary były jasne. A ona nie była nastolatką. Jeśli całowała mężczyznę, znaczyło to, że go pragnie. Całą sobą. Z tej drogi nie było już odwrotu. Wślizgnęli się do kubika, gdzie wziął ją od tyłu, podczas gdy ich małżonkowie dopijali kawę.

Seksowny, uroczy, przystojny smakołyk.

On pierwszy zaczął mówić o miłości, prosić o więcej. Ryzyko przestało mieć dla niego znaczenie, liczyły się tylko okazje. Początkowo twierdził, że kocha poszczególne części jej ciała: piersi, pupę, oczy. Potem przyszła kolej na jej śmiech. Jej okrucieństwo. Aż wreszcie powiedział, że kocha ją. Że jest w niej zakochany. Nie mogło być mowy o przejęczczeniu. Uwierzyła mu. Odkąd pamiętała, mężczyźni chcieli wyznawać jej miłość. Sama też uwierzyła, że go kocha. A jeśli nawet nie, przynajmniej nie działał jej na nerwy jak jej własny mąż.

I nagle, tydzień temu, się nie pojawił. Właśnie wtedy, gdy jej mąż odkrył romans i kazał jej się wynosić. A nie pojawił się – kurwa – dlatego, że wygrał w lotto.

Teraz go nienawidziła. Opuścił ją. Pragnęła go skrzywdzić. I to jeszcze jak!

Ale też go kochała. Marzyła o jego odzyskaniu. Nie, nigdy nie zrobiłaby mu krzywdy.

Znalazła się na rozdrożu. Wciąż uważała, że ma szansę go przy sobie zatrzymać, dlatego zadała sobie nieco trudu. Wydepilowała się i włożyła koronkową czerwoną bieliznę, tak na wszelki wypadek. Bo istniała jedna szansa na milion. Że się przed nią wytłumaczy, że nadal będzie ją chciał. Albo przynajmniej że ją weźmie. Gra toczyła się o wysoką stawkę. Naprawdę wysoką. Nic jeszcze nie było przesądzone. Bo choć powinien to być nieskomplikowany przypadek czterech głosów do dwóch, właśnie tych dwoje skradło show. Dlatego postanowiła grać asekuracyjnie, zabezpieczyć się na wszystkich frontach. Nieźle się dziś wysiliła przed tymi prawnikami, ale nie mogła mieć pewności, czy organizatorów zakładów lotto przekonuje roszczenie wysunięte przez nią i Freda oraz Pearsonów. Musiała użyć całej swojej inteligencji, całego swojego uroku, żeby wypadło to, jak sobie zamierzyła. Mówiąc, że była w łazience, wysłała wiadomość do Jake'a. Gdy dostała od niego esemesa, wiedziała, że zrozumiał aluzję. Bezbłędnie.

Przez cały romans ani razu nie pomyślała o rzuceniu męża. Nawet gdy ją nakrył i kazał jej się wynosić, zniknąć mu sprzed oczu, iść do tamtego, nie miała najmniejszego zamiaru tak postąpić. Postanowiła, że przeczeka najgorsze, zobaczy, czy burza się uspokoi. Nie była kobietą, która umiałaby żyć z niezamożnym mężczyzną. A Jake był, przynajmniej do niedawna, niezamożny. Mogła się z nim zabawić, ale wolała pozostać żoną człowieka dobrze sytuowanego. Podobało jej się w Great Chester i nie wyobrażała sobie życia w takiej dziurze jak Little Chester, gdzie wylądowała Lexi. Nie zamierzała pracować ani dorzucać się do rachunków, a nie potrafiłaby zrezygnować z fryzjera, manikiurzystki i pedikiurzystki.

Teraz oczywiście Jake był niewyobrażalnie bogaty. Nieprzyzwoicie wręcz. Miała więc o co walczyć.

W minionym tygodniu, gdy się nie pojawił na randce jak zwykle ani nawet nie zatelefonował, nie przysłał esemesa, nic zupełnie, usiadła na hotelowym łóżku szczerze zaniepokojona. Ta myśl nie dawała jej teraz spokoju. Brała pod uwagę, że miał wypadek samochodowy, że jest nieprzytomny, że jego krew ścieka po kierownicy na dywanik. Zastanawiała się nawet, czyby nie obdzwonić szpitali.

Ale potem Ridley i Megan wrócili ze szkoły i każde powiedziało swoim rodzicom o wygranej.

Nadal czekała, aż się z nią skontaktuje. Nadal wierzyła, że to zrobi. Za każdym razem, gdy na ekranie jej komórki albo laptopa pojawiała się ikonka nowej wiadomości, serce podchodziło jej do gardła. Ale żaden esemes, żaden e-mail nie był od niego. Milczenie się przeciągało, a ona odczuwała to niemal fizycznie, jakby rozciągano ją na średniowiecznym łożu tortur. Potrzebowała rozmowy z nim bardziej niż kiedykolwiek. Stało się dla niej jasne, że Jake próbuje ukryć wygraną przed nimi wszystkimi. Nawet przed nią. Mimo że mówił jej, że ją kocha. Ale ludzie opowiadają różne rzeczy.

Zdrada bolała.

Przeraziła ją myśl, że Jake już jej nie potrzebuje. Mężczyzna tak bogaty jak on teraz mógł przebierać w kobietach – prawo podaży i popytu działa nawet w tej sferze. Masz pieniądze, masz dziewczyny na wyciągnięcie ręki. Pęczki dziewczyn. Na tym polega problem z byciem kochanką – to rola przechodnia. Wszyscy to wiedzą. Żona ma pewną władzę, która opiera się na dzieciach, normach społecznych, wspólnej historii. A gdy kochanka zostaje żoną, może myśleć tylko o tym, że właśnie zrobił się wakat. Jeszcze bardziej druzgocząca była myśl, że Jake nie będzie potrzebował kochanki. Że jako ukontentowany bogacz zadowolony się żoną, matką jego dzieci. Bo będzie mógł kupić tyle rozrywek i atrakcji, że nie będą go rajcowały

schadzki we wtorkowe popołudnia. Może zawsze była dla niego tylko ekscytującą przejażdżką na diabelskim kole? Obecnie stać go na większe podniety. Dopiero co przejechał swoim ferrari pod jej oknami, na miłość boską!

Choć obiecywała sobie, że postara się wykrzesać z siebie najgłębszy urok, poczuła – w chwili, w której otworzył drzwi pokoju hotelowego i jej oczy na nim spoczęły – że trafia ją szlag. Był ubrany w nowe kosztowne ciuchy i miał na twarzy ten zadufany w sobie wyraz. Pod wpływem impulsu sięgnęła po pierwszy z brzegu przedmiot, jakim mogłaby w niego rzucić. Przedmiotem tym okazała się gruba książka o medytacji. Ironia nie uszła jej uwagi. Jake zrobił unik i książka wyrznęła o drzwi. Sprawiał wrażenie rozbawionego.

Wydała z siebie krzyk frustracji i upokorzenia. On tymczasem przeciął wolną przestrzeń, zbliżając się do łóżka, na którym siedziała. Nie leżała na nim, jak zawsze wcześniej, ale też nie zajęła miejsca na krześle przy biurku. Jake się domyśli, że jeszcze go całkiem nie przekreśliła, że jest gotowa na negocjacje. Uklęknął przed nią na dywanie. Nachylił się ku niej, tak że ich wargi niemal się zetknęły. Rzuciła się gwałtownie do przodu i ugryzła go.

– Co to, kurwa, miało być?! Zraniłaś mnie! – ryknął, podrywając się na nogi i pośpiesznie od niej odsuwając.

– I bardzo dobrze, skurwielu!

Jake przyjrzał się kochance. Urodziwej, urzekającej, u... Gdyby miał być szczery, powiedziałby, że podobał mu się ten pokaz namiętności. Podniecało go, kiedy się opierała, robiła trudności. Zresztą spodziewał się, że będzie zła. Nie potraktował jej dobrze po wygranej, ale przecież nie mieli być dla siebie mili. Nie na tym polegał ich układ. Nie tego chcieli od siebie nawzajem. Powtarzali to często. Nawet jak wyznał jej miłość, czuł do niej niemal niechęć za to, że się przed nią odsłonił, okazał słabość.

– Ty pieprzony skurwielu! Gdzie byłeś w ubiegłym tygodniu?

Podziwiał ją, że zaczęła od tego pytania. Najmniej oczekiwanego. Najbardziej osobistego. Nie pojawił się na randce, co ją zdenerwowało. Albo przynajmniej tak udawała. Nieważne, tak czy owak był to dla niego komplement. Niezły dowcip, zważywszy, co się wokół wyprawiało. Uwielbiał to, że pominęła kwestię wygranej, choć musiała to być jedyna rzecz, o jakiej w tej chwili myślała. Ta gra stawała się coraz bardziej ekscytująca.

– W salonie samochodowym. Kupowałem ferrari.

– Pieprz się.

– Wolałbym ciebie. – Uśmiechnął się.

Odpowiedziała zmarszczeniem czoła.

Wzruszył ramionami. Nie była jeszcze na niego gotowa, ale wkrótce będzie. Pragnęła go, kiedy był nieudacznikiem; o ile więcej musiała go pragnąć teraz, gdy stał się zwycięzcą. W rzeczywistości musiała być cała mokra. To była tylko gra.

– Wszystko się zmieniło w momencie, gdy twoja żona wygrała osiemnaście milionów funtów – wymruczała z nadąsaną miną.

– Nic się nie zmieniło. – Wyglądała na nieufną, bezbronną. Nigdy jej takiej nie widział. – Poza tym te prawie osiemnaście milionów wygraliśmy razem, moja żona i ja.

– Ona kupiła los.

Zbył ten szczegół wzruszeniem ramion.

Ośrodkiem każdego związku międzyludzkiego jest władza – kto ją ma, kto jej pragnie. Równowaga, brak równowagi. Całe pragnienie bierze się z tego, co pomiędzy. Do tej pory to ona zawsze miała władzę. Od tej pory – on. Władzę albo pieniądze, zresztą co za różnica, jedno i to samo.

– Co się dzieje, Jake?

– Zamierzam się z nią rozwieść. Dostanę dziewięć milionów. Oczywiście mniej, gdybym przed rozwodem musiał się podzielić wygraną z dwiema innymi parami.

Obserwował ją uważnie, rozbawiony tym, jak bardzo się stara zapanować nad swoją reakcją. Zdradził ją jednak kącik ust; drgnął, kiedy powstrzymywała uśmiech triumfu. Wiedział, że nigdy dotąd nie czuła się szczęśliwsza, bardziej zwycięska.

– Rozumiem. Bo nawet gdybyśmy podzielili wygraną równo na trzy części i oboje się rozwiedli, zostalibyśmy z tylko sześcioma milionami. – Było to zdanie nabrzmiałe znaczeniem, obietnicą i kłamstwem. Wpatrywali się w siebie przez długą chwilę, hardo, rozważając, czy to drugie jest godne zaufania.

– Zawsze jesteś o krok do przodu. Bystra dziewczynka. No to chyba już wiesz, jak ważne jest, abyś wycofała się z tego niemądrego twierdzenia, że wciąż tworzyliśmy syndykat.

– Co zrobisz z pieniędzmi? – zapytała, spoglądając na niego spod opuszczonych rzęs. Było to tandetne, jemu jednak nie przeszkadzało. Tandeta bywa seksowna. Oboje oddychali coraz ciężiej.

– Co będę chciał. A teraz chcę ciebie.

– Kiedyś mówiłeś, że mnie kochasz.

– Nie dziel włosa na czworo.

Ułamek sekundy później rzucili się na siebie. Zwarli usta i ciała ze zwierzęcą pasją. On zaczął błędzić rękami po jej krągłościach: pełnych piersiach, szerokich biodrach, cudownym tyłeczku. Pod cienkim materiałem sukienki czuł prężące się kobiece mięśnie, sterczące sutki, słodkie wypukłości. Od początku miała na niego chrapkę. Tylko udawała złość. Prowadziła z nim grę. Lubiła ryzyko. Jej śmiałość podnieciła go jeszcze bardziej. Wygięła się w jego stronę, przywarła ciaśniej. Odstąpił

krok, ale tylko po to, aby wziąć ją na ręce i rzucić na łóżko. Leżała na wznak z lekko rozchylonymi ustami i rozłożonymi udami. Taka zapraszająca. Wsunął palce pod jej sukienkę, ona wplotła mu swoje we włosy i przyciągnęła go do siebie. Zderzyli się zębami, boleśnie, aż przeniknęła ich słodycz.

Sprawnym, wyćwiczonym ruchem rozpiął spodnie, zadarł jej sukienkę i ściągnął majtki. Znalazł się w niej w okamgnieniu, jej ciepłe wnętrze otuliło go szczelnie. Położył dłonie na piersiach, które jak twierdził, kochał, i zabrał się do dzieła. Zwycięzca.

17

EMILY

ŚRODA, 1 MAJA

Kurde. Kurde. Kurde. Ale się porobiło. W życiu bym nie pomyślała, że Heathcote'owie i Pearsonowie spróbują nas wyrolować.
A wszystko przeze mnie.

Bo wygadałam się Ridleyowi i Megan, dzięki czemu ich rodzice mieli czas przygotować swoją wersję wydarzeń, która w pewnym stopniu jest przekonująca. Nienawidzę Ridleya i Megan. Nienawidzę! Mama chodzi podłamana. Tata robi dobrą minę do złej gry. Powtarza, że wszystko będzie dobrze i że dochodzenie pokaże, jakimi oszustami są tamci. Trzymam za to kciuki! Jedni i drudzy zasługują, aby cały świat się dowiedział, jacy z nich kłamcy. Tata mówi, że teraz już nie musimy ukrywać wygranej przed kolegami w szkole, bo cała pula jest właściwie nasza. Mam nadzieję, że ludkowie mi uwierzą pomimo braku informacji w prasie, szczególnie że tata przyjechał po mnie ostatnio ferrari. Żeby jednak rozwiać wszelkie wątpliwości, kupił mi dziesięć torebek od Michaela Korsaa. Dziesięć!

– Są wystarczająco duże, żeby zmieścił się w nich format A4 – zachwała, jakby to było największą zaletą tych cudeniek.

– Ekstra! – Skóra jest mięciutka i niesamowicie pachnie. Z daleka widać, ile kosztowały. Dziewczyny z klasy rozmawiają wyłącznie o nich, ale jedynie Evie Clarke ma taką torbę, choć nie jestem pewna, czy to nie podróbka. – Tylko czemu aż dziesięć?

– Możesz rozdać je przyjaciółkom. Niech świętują razem z tobą.

Taaa, jakbym miała dziesięć przyjaciółek. Do niedawna przyjaźniłam się z Ridleyem i Megan, z nikim więcej. Przeszliśmy do szkoły ponadpodstawowej razem, nie zawracaliśmy więc sobie głowy nawiązywaniem nowych wiadomości. Patrząc z perspektywy, nie było to rozsądne posunięcie, niemniej wtedy nikt z nas nie zastanawiał się nad tym specjalnie. Stanowiliśmy paczkę ze względu na naszych rodziców i nie mieliśmy zamiaru dołączać do innych. Cieszyliśmy się, że nie musimy nikogo błagać, aby usiadł z nami, ani żałośnie wypatrywać podczas przerw kogoś, kto chciałby z nami porozmawiać.

Poza tym, no wiecie, naprawdę się lubiliśmy.

Kochaliśmy się wręcz.

Ani przez moment nie sądziłam, że to się zmieni, że będę potrzebowała innych przyjaciół. Wysportowany i muzykalny Ridley poznał ludzi głównie dzięki rugby, orkiestrze (w której gra pozornie z niechęcią, ale tak naprawdę za tym przepada) i zespołowi (no, ten jest autentycznie super!). Megan i ja trzymamy się razem nawet na boisku hokeja, dobieramy się zawsze w pary i wybieramy się nawzajem do swoich drużyn.

A przynajmniej tak było do niedawna.

Nie sądzę, aby to wróciło. Jezu, muszę się z kimś zaprzyjaźnić, bo inaczej przyjdzie mi ćwiczyć z panią od wuefu, której nikt nie powiedział, że powinna nosić sportowy stanik. To by oznaczało dla mnie śmierć.

Jakiś czas temu próbowałam się wmieszać w ogólne towarzystwo. Miałam wtedy trzynaście lat i wszyscy w gimnazjum zaczęli urządzać imprezy. Pomyślałam, że fajnie by było być częścią tego, mieć ekipę, z którą by się pojawiało, tańczyło i w ogóle. Ale Megan nie spodobało się, że rozmawiam z innymi dziewczynami. Powiedziała, że nie potrzebujemy ich głupich imprez. A później – gdy zaczęłam chodzić z Ridleyem – zapomniałam o całym świecie.

Ridley... Czy on w ogóle jest jeszcze moim chłopakiem? Raczej nie. Wysłałam mu chyba tysiąc esemesów, a on nie odpowiedział na żaden. Wiem, że to beznadziejne tak się odsłaniać i że to ja powinnam ignorować jego, ale nie potrafię! On najwyraźniej potrafi mnie ignorować, z czego by wynikało, że już ze sobą nie chodzimy. Będę musiała do tego przywyknąć. Tylko że kiedy o nim myślę, jakoś tak pęcznieję w środku i zaczynam się pocić. Wiem, że to brzmi obrzydliwie, ale w rzeczywistości to całkiem fajne uczucie. Znaczy było. Bo teraz na myśl o Ridleyu i Megan czuję się tak, jakby ktoś wepchnął mnie pod lodowatą wodę. Panikuję. Szaleję. Tonę.

Chyba zaczynam rozumieć, o co chodzi tacie. On wie, że mama nie pozwoli mi wiecznie wagarować, dlatego wysyła mnie do szkoły z dziesięcioma torebkami, żebym zdobyła dziesięć przyjaciółek. Znaczy żebym je kupiła. Nie mam z tym najmniejszego problemu. W przeszłości królowie kupowali armie i historia ich za to nie potępia. Ktoś, kto mówi, że pieniądze szczęścia nie dają, najzwyczajniej w świecie robi zakupy nie tam, gdzie trzeba.

– Jak Emily ma je zabrać ze sobą do szkoły? – pyta mama. Racja, tata ledwie się zmieścił z torebkami w drzwiach. Jakoś sobie nie wyobrażam, abym miała wejść z nimi tanecznym krokiem do pracowni matematycznej. – To zwariowany pomysł – ocenia, kręcąc głową.

– A co masz dla moich kolegów? – wtrąca Logan.

– Gry wideo – odpowiada tata. I unosi reklamówkę pękającą w szwach od charakterystycznych pudełek z zielonym i niebieskim paskiem.

– Ekstra!

Zazdroszczę bratu łatwości życia, ale też kocham go za to, że płynie z prądem.

– Każda jest inna – tłumaczy tata – bo nie wiedziałem, co twoi koledzy już mają, a czego nie.

Mama odbiera od niego reklamówkę, zanim Logan zdąży położyć na niej ręce, i zagląda do środka.

– Wszystkie te gry są od szesnastu albo osiemnastu lat – narzeka.

– Ci chłopcy nie grają w nic innego – broni się tata.

– Być może. Ale nie ma mowy, aby Logan rozdał je w szkole kolegom – ucina mama. – Zostawisz je w domu, słyszysz?

– Co? To znaczy, że nie mogę ich dać kumplom? – Logan, który ma „kumpli”, robi to co zawsze, gdy jest rozczarowany: garbi się jeszcze bardziej, tak jakby zapada się w sobie.

– Może kiedyś. Z okazji urodzin albo po tym, jak porozmawiam z ich matkami. A teraz oboje ruchy, bo spóźnicie się na autobus.

Do jednej ze sprezentowanych toreb (wybrałam tę różowo-cielistą) upycham zeszyty i podręczniki, a dwie inne wkładam do worka na strój gimnastyczny.

– Przecież dzisiaj nie masz wuefu – rzuca mama. Wykazuje czujność tylko czasami, ale zawsze w najmniej odpowiednich momentach.

– Biorę strój na wypadek, gdybym chciała poćwiczyć – kłamię.

Mama się rozpromienia.

– Och, to wspaniale, Emily. Im szybciej wrócisz do zwykłej rutyny, tym lepiej.

Nie mogłaby się bardziej mylić. Nic nie będzie już takie jak dawniej. Głupotą jest myśleć inaczej. Zwykła rutyna przepadła na zawsze. Bo rutyna oznaczała Ridleyę i Megan. Dlaczego mama tego nie rozumie? Nie oświecam jej jednak. Uśmiecham się do niej, cmokam ją w policzek i kieruję się do drzwi.

Gdy już wsiedliśmy do autobusu, zapada kompletna cisza. Wszyscy się na nas tylko gapią. Przez ułamek sekundy czuję panikę, nie mam odwagi głębiej odetchnąć. Boję się, że ta cisza nie wróży dobrze, że wszyscy zachowają się jak Ridleyę i Megan po tym, jak im się pochwaliłam. Ale nagle koledzy Logana zaczynają krzyczeć, wiwatować i skandować: „Rich boy! Rich boy!”, jakby witali rapera. Staram się przejrzeć atmosferę, wyczuć, czy to pułapka, ale nie, nastrój jest ewidentnie świąteczny. Kumple Logana wydają się uszczęśliwieni. Co powinno być normą w gronie przyjaciół. Nie potrafią usiedzieć na swoich miejscach, podskakują i kręcą się, jakby byli na spidzie. Logan boksuje pięściami powietrze, a inni to podchwytyją. W końcu unosi ręce wysoko nad głowę jak czempion, a towarzystwo zaczyna śpiewać motyw przewodni *Rocky’ego*, mimo że nikogo z nas nie było na świecie, gdy ten film miał premierę, ani tym bardziej nikt z nas go nie oglądał. Wiemy tylko tyle, że to sztandarowa piosenka, którą składa się hołd zwycięzcy. Logan zmierza na tył autobusu, poklepywany po plecach przez kolejnych kolegów, niektórzy za nim wołają: „Ty pieprzony szczęściarzu!”, przyjaźnie jednak.

Ruszam za bratem, unosząc się na fali nieskomplikowanej radości. Jestem przekonana, że będę musiała usiąść razem z Loganem, lecz znienacka w połowie autobusu zaczepia mnie Scarlett Sorella:

– Ekstra ta torebka. Bardzo mi się podoba.

Uśmiecha się do mnie przyjaźnie, zatem to chyba nie sarkazm.

– Dzięki – mruczę ostrożnie. Chodzimy razem do klasy, ale niewiele dotąd rozmawialiśmy. Scarlett Sorella jest ładna i popularna. Doskonale gra w hokeja.

– Hej, usiądź koło mnie – zaprasza teraz.

Obok niej siedzi Liv Spencer, jedna z jej dwu najlepszych przyjaciółek. Scarlett rzuca dziewczynie spojrzenie mówiące „rusz dupę”, a ta chwytając aluzję w lot. Błyskawicznie się przenosi na wolne miejsce we wcześniejszym rzędzie, nie robi tego jednak z naburmuszoną miną, przeciwnie – rzuca mi uśmiech, jakby się cieszyła, że wysiadałam ją z miejsca.

Wślizguję się na zwolniony przez nią fotel.

– Też możesz taką mieć – mówię.

Scarlett i Liv nie nadążają. Nie dziwię im się. Niecodziennie ktoś robi ci prezent w postaci galanterii skórzanej wartej prawie trzysta funtów. Sięgam do worka i wyjmuję obydwie torebki. W kontraście z naszymi mdłymi szkolnymi mundurkami prezentują się szczególnie olśniewająco i wyjątkowo.

– Serio? – upewnia się Liv, a ja potakuję skinieniem. Rozszerza oczy jeszcze bardziej, ale bez wahania, jakby nie chciała dać mi czasu na zmianę zdania, rzuca: – Poproszę tę brązowo-szarą.

Scarlett się uśmiecha.

– Pasuje mi różowo-cielista, taka, jaką ma Emily.

Szczerzymy się do siebie. Torebkowe bliźniaczki. Uczucie jest fantastyczne. Kamień spada mi z serca. Przez resztę drogi rozmawiamy i śmiejemy się we trzy. Nie rozglądam się, ale czuję na sobie wzrok innych. Przypuszczam, że wiele osób jest ciekawych wygranej i może się na mnie gapić, ale wiem, że złe fluidy posyłają w moją stronę Ridley i Megan. Ich nienawiść nie ma jednak do mnie dostępu, ponieważ jestem chroniona

przez niewidzialną barierę z rodzaju tych, którymi Wiola z *Iniemamocnych* otacza swoją rodzinę. Przychodzi mi do głowy, że to zasługa mamy; otoczyła nas takim polem ochronnym, kupując szczęśliwy los.

Do obiadu w szkole roznosi się wieść, że rozdają przyjaciółkom designerskie torby, i nagle wokół mnie dosłownie roi się od kumpelek. Na stołówce niemal się biją o to, która usiądzie przy moim stoliku; Scarlett trzyma się mojego boku jak prawdziwa przyjaciółka. Nie jestem debilką. Wiem, że to nie przyjaźń, ale nie będę kłamała – cieszy mnie perspektywa nawiązania nowych znajomości. Nikt nie wspomina o Ridleyu ani o Megan, nie dopytuje, co nas poróżniło. Wszyscy chcą rozmawiać tylko o wygranej.

– Wiecie, gdzie jest niebo? – pytam. – Niebo jest na New Bond Street, a jego bramy otwierają się przed wami, gdy powiecie ekspedientce, że wygrałyście dużą sumę. – Wokół rozlegają się ochy i achy. – Jest tam między innymi Dolce & Gabbana. Może kiedyś, jak będę się wybierała na jakiś bal czy coś, skorzystam z ich oferty, na razie jednak nie jest to odpowiedni dla mnie styl. W Miu Miu mają samo badziewie, w Loewe chcieli sześćset funtów za spodnie khaki. Powiem wam jedno magiczne słowo... GAP!

Moje nowe przyjaciółki wybuchają śmiechem.

– No tak, ale raczej już tam nie będziesz robiła zakupów – stwierdza Scarlett.

– Nie zastanawiam się nad tym.

– Nie, na bank nie będziesz. Przerzucisz się na takie marki, jak DKNY i Boss.

– Mierzyłam u nich rzeczy, ale wszystko jest na mnie za długie.

– Na pewno mają krawców, którzy na miejscu robią poprawki. – Z tego, co widzę i słyszę, Scarlett przywykła do mojego bogactwa szybciej niż ja sama.

Wszystkie chcą wiedzieć dokładnie, co kupiłam i co jeszcze zamierzam kupić. W szkole nie wolno nam używać telefonów, ale i tak wyciągam swojego nowiutkiego iPhone'a, żeby pokazać dziewczynom w internecie, co sobie sprawiłam. Zachwytom nie ma końca. Praktycznie tonę w okrzykach: „Ależ jesteś szczęściarą!”, „Będzie ci w tym bardzo do twarzy!”, „Myślisz, że mogłabym kiedyś to pożyczyć?”.

Pokazuję im także hotel, w którym zatrzymamy się w Nowym Jorku. Nie ten, który kosztował osiemdziesiąt tysięcy, bo mama ostatecznie złożyła weto, ale ten drugi też wygląda nie najgorzej.

– Kiedy lećcie do Stanów? – pyta mnie Nella Wang.

– Tydzień po feriach.

– W trakcie semestru?!

Wyglądają na zdziwione, kilka nawet przełyka melodramatycznie. To zrozumiałe, w końcu jesteśmy piętnastolatkami, które ekscytują się prawie wszystkim. Urlop w trakcie semestru to rebelia, może nawet wojna wypowiedziana dyrektorce, która ma jasne zdanie na temat opuszczania nauki bez ważnego powodu. Ja sama nie potrafię uwierzyć, że mama przystała na ten termin. Zgodziła się chyba tylko dlatego, że ludzie z lotto poradzili nam, abyśmy się „gdzieś wyrwali i odpoczęli sobie”, a ona nie może wziąć urlopu w czasie ferii, bo wszyscy u niej w pracy mają dzieci i przyjęło się, że biorą wolne w ferie i wakacje na zmianę, aby było sprawiedliwie. Do tego ci z młodszymi dziećmi mają pierwszeństwo. Mama obiecała, że zadzwoni do dyrektorki jeszcze dzisiaj i wszystko wyjaśni.

– Myślisz, że się zgodzi? – pyta Liv.

– A ma inne wyjście? Przecież nie przykuje mnie do ławki.

Wybuchamy śmiechem, po czym zaczynamy żartować z dyrektorki i jej męża, zastanawiając się, czy lubią sado-maso.

Okazuje się, że stając się bogata, stałam się jednocześnie zabawna.

Nie widzę nigdzie Ridleya ani Megan. Pewnie trzymają się gdzieś na uboczu, byle nie przeciąć ze mną ścieżek, i duszą się we własnej zazdrości. Po raz pierwszy od wielu lat nie obchodzi mnie, co robią. Gdy to sobie uświadamiam, ogarnia mnie wielka ulga. Wygrana sprawiła, że przestałam ich potrzebować. Powtarzam sobie też, że wcale za nimi nie tęsknię.

Żadna z moich nowych przyjaciółek nie wraca do domu szkolnym autobusem, bo naprawdę zostają po lekcjach, żeby pograć w hokeja albo koszykówkę. Ponieważ nie mam najmniejszej ochoty pójść w ich ślady, a zresztą nie zabrałam stroju – jego miejsce w worku zajęły przecież dwie cudowne torebki – muszę jechać sama. Nie przeszkadza mi to, bo dzień był nadzwyczaj udany. Odrobina samotności mi nie zaszkodzi po godzinach skupiania uwagi na sobie. Postanawiam jeszcze skorzystać z toalety, mimo że jazda do domu zajmuje tylko dwadzieścia minut. Byłam tak rozchwytywana, że nie miałam czasu się wysikać.

Nigdy nie siadam na muszli, tylko zawisam. Opinie na ten temat są podzielone. Nie do końca wierzę, że można coś złapać, siadając na desce, no chyba że akurat ma się otwartą ranę na tyłku, ale po co ryzykować? A wykładanie deski papierem szkodzi środowisku. Mama twierdzi, że powinnam siadać, w przeciwnym razie nabawię się zakażenia przez nieopróżnianie pęcherza do końca. Ilekroć zaczyna mówić o takich rzeczach, udaję, że nie słyszę.

Teraz jednak słyszę, zanim ich zobaczę.

Rozlegają się chichoty, po czym zamaszyście otwierają się drzwi kabiny obok, a po chwili słychać trzaśnięcie. Moment później nad boczną ścianką pojawia się głowa Ridleya. Patrzy na mnie z góry, a mnie ogarnia potworny wstyd, ponieważ majtki mam opuszczone do kostek. Oczywiście widział tę część mojego ciała już wcześniej, ale nigdy przy nim nie sikałam. W pośpiechu, by jak najszybciej się zakryć, prostuję się, zanim skończę

sikać. Domyślcie się chyba, co się z tym wiąże. Podciągam majtki, ale on już pstryka zdjęcia. Co za obciach! Czuję upokorzenie i gniew. Jestem zła, że zrujnował mi taki udany dzień, ale też wstrząśnięta, że pozwolił sobie na tego typu żart wobec mnie. Zdjęcia, jak się przewracasz po pijaku, są żenujące, ale tych, jak sikasz sobie po nogach, chyba nic nie przebiję.

Tymczasem Ridley ma świetną zabawę.

Wypadam z kabiny i próbuję odebrać mu telefon, ale mój były chłopak jest wysoki i z łatwością unosi aparat, tak że nie mogę go dosięgnąć. Wtedy dostrzegam Megan. Nie tylko ją, bo towarzyszą jej trzy inne dziewczyny: Evie Clarke, Shayla O'Brian i Madison Aidan. Wszystkie się na mnie rzucają. Wpychają mnie do toalety, którą przed chwilą opuściłam. Ich połączona siła bierze mnie przez zaskoczenie. Walę tyłem kolan w muszlę tak mocno, że aż syczę z bólu. Zanim go jednak sobie uświadomię, dociera do mnie, że ktoś szarpie mnie za włosy i odchyła moją głowę do tyłu. Ktoś inny, zdaje się, że Megan, wymierza mi policzek. Jeden i drugi. Nikt nigdy mnie nie spoliczkował; ze zdumieniem rejestruję siłę bólu od takiego uderzenia na odlew. Krzyczę, ale czyjaś dłoń zatyka mi usta, usta i nos, tak że nie mogę oddychać. Ściągają mi bluzę z ramion, do łokci, przez co pełni rolę kaftana bezpieczeństwa. Wiję się i miotam, ale nie potrafię się bronić, ledwie się ruszam, a poza tym mają liczebną przewagę. Chciałabym którąś uderzyć, najbardziej jednak ze wszystkiego chciałabym im uciec, zanim zrobią mi jeszcze większą krzywdę. Bo tak będzie, prawda?

Mój iPhone upada na kafelki i roztrzaskuje się. Shayla schyla się po niego.

– Ładniutki – stwierdza, po czym wrzuca go do sedesu.

Megan nachyla się nade mną i warczy:

– No i proszę. Twoje gówniane rzeczy spływają w kiblu razem z twoim gównem. – Jej towarzyszki wybuchają śmiechem. Czuję oddech Megan.

Z ust jedzie jej burgerem, który był dziś na obiad. – Nie ochronią cię pieniądze, które twoi rodzice ukradli moim rodzicom, zapamiętaj to sobie. Masz przejebane, Emily.

Ktoś znowu szarpie mnie za włosy. Madison? Co ja jej złego zrobiłam? Czy którejkolwiek z nich, skoro już o tym mowa? Boli mnie tak, jakby wyrwała mi cały pukiel. Ktoś inny mnie kopie. Może Megan, może jedna z tamtych. W kabinie kłębi się od rąk i nóg. Jestem zbyt oszołomiona, obolała i wystraszona, żeby mieć pewność, które są czyje.

Przez cały ten czas Ridley stoi na czatach przy drzwiach łazienki, wypatrując nauczycieli. Pewnie jest zbyt wrażliwy, żeby podnieść rękę na dziewczynę.

Na mnie.

Na kogoś, kogo – jak niegdyś mówił – kocha.

– Dobra, idziemy – rzuca w końcu mój były chłopak. – Nie chcemy się spóźnić na autobus.

Po tych słowach znikają.

18

LEXI

Jesteśmy w kuchni! – wołam niepotrzebnie. Od dawna mamy utarte, że w środy i piątki po południu, kiedy pracuję tylko do dwunastej, czekam na nich w kuchni. W gorące dni z pokrojonymi owocami i orzeźwiającyymi napojami, a w chłodne – z czekoladą na ciepło i ciasteczkami. To moja ulubiona pora dnia. I mój ulubiony sposób matkowania, jak to drzewiej bywało. Staram się zadośćuczynić za chwile, w których spóźniona do pracy gnam w stronę drzwi wyjściowych, wykrzykując polecenia: „Nie zapomnij okularów”, „Weź drobne na szkolny obiad”, „Zabierz dzienniczek”. Czekanie na dzieci w kuchni to coś, co robiły przede mną całe pokolenia kobiet. Poza tym, jeśli rozmawiam z nimi zaraz po wejściu do domu, mam szansę się dowiedzieć, jak naprawdę minął im dzień. W pozostałe dni tygodnia, gdy wracam długo po nich, na pytanie: „Jak było w szkole”, otrzymuję zwięzłą odpowiedź: „Normalnie”. O szóstej wieczorem szkoła jest dla nich równie aktualna jak wczorajsze wiadomości i mają mi za złe, że w ogóle poruszam ten temat. Ale w środy i piątki bywam dopuszczana do sekretów.

Logan przypomni mi o wywiadówce, opowie o meczu piłki czy rugby i zdradzi, kogo uważa za najlepszego sportowca w klasie. Mogę nawet usłyszeć, co było na obiad albo który nauczyciel się na niego wziął.

Dlatego słucham uważnie i staram się stwierdzić, czy słusznie podpadł, czy jednak nauczyciel przesadza. Przy okazji próbuję taktownie coś mu doradzić i pokierować nim.

Pod warunkiem, że Loganowi w ogóle uda się dojść do słowa.

Bo w środy i piątki to Emily jest gwiazdą. Składa mi sprawozdanie z całego dnia, nie wyłączając tego, kto komu co powiedział i kto koło kogo siedział, a nawet kto rzucił któremu nauczycielowi pogardliwe spojrzenie. Emily zdradza, kto z kim chodzi, kto popija, kto pali po kątach marihuanę. To ostatnie naprawdę mnie zszokowało, ale udałam, że przechodzę nad tym do porządku dziennego; gdybym zaczęła ferować wyroki, córka zamknęłaby się w sobie i nic więcej bym się od niej nie dowiedziała.

Dziś czeka ze mną Jake, który przestał chodzić do pracy. Tak, tak, takie są najnowsze wieści. Mój mąż złożył oficjalne wypowiedzenie. Chociaż brzmi to bardziej cywilizowanie, niż odbyło się w rzeczywistości. Tego ranka wysłał szefowi esemesa: „Wygrałem w lotto. Zamiast przepracować okres wypowiedzenia, wykorzystuję zaległy urlop. Pozdrawiam”. Byłam zdania, że powinien chociaż napisać maila, ale Jake zbył mnie wzruszeniem ramion i powiedział, że jego szef nie przykłada wagi do konwenansów i na pewno zrozumie.

Wcale mnie nie dziwi, że Jake rzucił pracę. I mam nadzieję, że teraz wreszcie znajdzie sobie jakieś zajęcie, któremu będzie chciał poświęcać swój czas. Ponieważ nie musi pracować zarobkowo, mógłby zaangażować się w jakiś wolontariat albo może założyć firmę. Nie wyobrażam sobie nic gorszego niż nieskończony ciąg pustych dni, które trzeba czymś zapełnić.

Zaraz po studiach Jake zaczepił się czasowo w efekciarskiej agencji reklamowej z siedzibą na Carnaby Street. Sama praca była nużąca, a jej godziny długie i nikt nawet nie pamiętał jego imienia, mimo wszystko jednak wiele się tam nauczył. Podobał mu się każdy dzień z sześciu

tygodni, które spędził w tym miejscu. To tam zaczął marzyć o stażu w jednej z wielkich agencji. Właściwie nie było to jego marzenie, tylko ambicja. To chciał robić.

Niestety nic z tego nie wyszło. Złożył podanie w kilkunastu agencjach reklamowych, ale żadna nie zaproponowała mu pracy. Ponieważ musieliśmy z czegoś opłacać czynsz, zatrudnił się w dziale sprzedaży firmy działającej w branży elektrycznej; uważał, że zdobędzie cenne doświadczenie i w ten sposób rozpocznie budowanie swojego CV. Nie zamierzał zostawać tam dłużej, ale czas mijał. Nie upłynęło może wiele lat, wystarczająco dużo jednak, aby stanowisko specjalisty do spraw sprzedaży okazało się zawadą przy powrocie na właściwą ścieżkę zawodową w reklamie. Gdy Jake zaczął znów się ubiegać o interesujące go posady, usłyszał, że dotychczasowe doświadczenie do niczego mu się nie przyda, wręcz go dyskwalifikuje. Szukamy osób kreatywnych... Szukamy ludzi prosto po studiach...

W kolejnej pracy był przedstawicielem handlowym firmy produkującej duże AGD. Nie była to zła posada. Mieliśmy spore zniżki. Pralko-suszarka, którą sprawiliśmy sobie wkrótce po ślubie, zaliczała się do topowych osiągnięć techniki jak na tamte czasy. Jake jednak nie był zadowolony i dlatego po paru latach znów poszukał zmiany. Tym razem zaczął sprzedawać oprogramowanie komputerowe. Wymagało to lekkiego przekwalifikowania. Z początku nawet był zainteresowany, ale szybko się znudził. W dalszej kolejności były artykuły biurowe oraz sprzęt fizjoterapeutyczny i sportowy. Mniej więcej co trzy lata mój mąż sprzedawał co innego. Nie dochrapał się pozycji za oceanem ani nawet kierowniczej tu, w Anglii, gdyż najzwyczajniej w świecie nie potrafi w sobie wykrzesać miłości do sprzedawanych produktów.

W dalszym ciągu komentuje dobre reklamy, gdy jakaś się zdarzy. Często się ożywia na widok elektronicznych billboardów.

Sama wykonując wymarzony zawód, rozumiem, w jak niekomfortowym położeniu znalazł się mój mąż. Otrzymywał godziwe wynagrodzenie, bo był wystarczająco dobry w tym, co robił, ale brakowało mu ambicji, spełnienia i zadowolenia. Może teraz, dzięki wygranej i wolności, którą ona zapewnia, Jake znajdzie coś, co będzie go w pełni satysfakcjonowało. Taką mam nadzieję. Wielką nadzieję.

Dzieci wkraczają do kuchni po zadziwiająco cichym przekroczeniu progu domu. Jeszcze przed tym, zanim na nie spojrzę, wiem, że coś jest nie tak.

– Och, nie... Emily! Co ci się stało?

Moja mała córeczka jest cała sina. Ma rozciętą wargę i podbite, opuchnięte oko. Najpierw myślę, że miała wypadek podczas treningu hokeja i że musimy natychmiast jechać na pogotowie. Ona jednak mamrocze:

– Nic mi nie jest. – Po czym wybucha płaczem.

To, co mówi potem, wprost nie mieści się w głowie. Ridley i Megan ją napadli. Grozili jej. Najlepsza przyjaciółka i pierwszy chłopak, dzieci, które znamy od urodzenia, kopały ją, biły i policzkowały. Gdy zdaje po kolei relację, czuję się, jakbym to ja padła ofiarą ataku; żałuję, że tak nie jest, chętnie zamieniłabym się z nią na miejsca. Wszyscy rodzice tak mają na widok swojego skrzywdzonego dziecka – czy to emocjonalnie, czy fizycznie. Zrobiliby wszystko, aby nie cierpiało. Ten przypadek jest gorszy o tyle, że to my go sprowokowaliśmy. Emily cierpi, ponieważ zadarliśmy z rodzicami jej oprawców. A także być może dlatego, że zabrała do szkoły designerskie torby, do czego teraz mi się przyznała. Mam ochotę kogoś uderzyć. Ridleya i Megan. Jake'a. Samą siebie. Zamiast cokolwiek zrobić,

trzymam córkę w objęciach i pozwalam jej się wypłakać. Chcę powiedzieć coś, co by ją uspokoiło, ale nie znajduję słów. Milczę, potrafię tylko myśleć o krwi na jej bluzce, o siniakach na jej rękach i nogach.

Gdy Emily w końcu przestaje płakać, prowadzę ją na górę, napuszczam wody do wanny, wlewam mnóstwo płynu do kąpieli, po czym zostawiam ją w łazience, aby się wymoczyła.

Ledwie zniknę jej z oczu, dotąd powstrzymywany gniew bierze nade mną górę.

– Zapłacą za to, dranie! Bydlaki! Zaraz do nich pójdę i wszystko im wygarnę. Jennifer i Fred mogą zapomnieć o umowie. Nie zobaczą ani pensa. Żadne z nich!

– Zaczekaj, Lexi. To, co się stało, nie ma nic wspólnego z Jennifer i Fredem ani nawet z Carlą i Patrickiem. Winni napaści na Emily są Ridley i Megan, nie ich rodzice. – Rozsądek Jake’a tylko podsycy moją złość.

– To bydlaki, które spłodziły kolejne pokolenie bydląt – wyrzucam z siebie.

– W porządku. Ale pozwól mi najpierw sprawdzić.

– Co sprawdzić? – Gapię się na niego, nic nie rozumiejąc. Dlaczego jeszcze nie sięgnął po kluczyki do auta?

– Czy Jennifer rozmawiała z Gillian. Czy zmieniła swoje zeznania.

– Co?! – Krew zastyga mi w żyłach.

– Nie mówię, że nie powinnaś z nimi wyjaśnić tej sprawy, twierdzę tylko, że w tej chwili najważniejsza jest pewność, czy Jennifer zmieniła zeznania. Po tym, jak to zrobi, może sobie mieszać z Fredem do woli, nikt nie uzna ich za wiarygodnych świadków.

– Fred powiedział prawdę...

– Gdyby jednak chciał zmienić zdanie, gdyby ta sprawa mimo wszystko trafiła do sądu, on sam i jego żona zostaną uznani za krętaczy. Tymczasem

lepiej ich nie denerwować. Daj mi chwilę, już dzwonię do Gillian.

– Chryste, Jake! Czy ty siebie słyszysz? Emily krwawi. Ridley i Megan pobili naszą córkę. Jadę do ich rodziców, do szkoły, na policję! Nie ma mowy, żeby uszło im to na sucho. – Trzęsę się z oburzenia i nerwów, w uszach mi szumi; tak musi wyglądać prawdziwa wściekłość. Chyba dlatego chwilę mi zajmuje, zanim dotrze do mnie znaczenie słów męża.

– Uważam, że powinniśmy po prostu zabrać ją z tej szkoły. Zostawić to wszystko za sobą. Nie trzeba angażować policji. Po co nam skandal? Wystarczy, że trwa jedno dochodzenie.

Szczęka mi opada.

– Chyba nie sądzisz, że zignoruję coś takiego! – Z moich ust rozbryzgują się kropelki śliny.

– Kiedy Emily wyjdzie z wanny, zapytamy ją, co by chciała zrobić. Weź głęboki oddech, Lexi. Należę ci wina.

– Nie chcę głęboko oddychać. Nie chcę wina.

– Pomyśl, o co toczy się gra.

– O zdrowie naszego dziecka! – krzyczę, ale natychmiast milknę.

Jest z nami Logan, który wygląda na wstrząśniętego. Zamykam go w objęciach, całuję w czoło. Musi być w szoku, skoro na to pozwala, nie skarżąc się.

– Ja też będę musiał zmienić szkołę? – pyta.

Odpowiadamy równocześnie:

– Tata nie mówił poważnie.

– Oboje zmienicie szkoły.

Gdy Emily zjawia się na dole, ubrana w pasiastą piżamę w cukierkowych kolorach, wygląda na góra dziesięć lat. Błada,

przytłoczona, bezbronna. Na jej górnej wardze i czole lśni podkład. Moje serce wyrywa się do niej.

Przyrządzam na kolację spaghetti arrabiata, jej ulubione danie. Emily siada przy stole i spogląda na mnie pytająco.

– Mamy kilka możliwości do wyboru – mówię. – Ponieważ to ty ucierpiałaś, chcemy, żebyś miała coś do powiedzenia, jeśli chodzi o naszą reakcję. Tata i ja możemy natychmiast pójść do ich domów i rozmówić się z ich rodzicami.

– Co to da? – Moja córka się garbi i składa głowę na blacie.

– Nooo... – Zapędziła mnie w kozi róg. – Przynajmniej cię przeproszą. – Nawet w moich uszach brzmi to nieprzekonująco.

– Rodzice Ridleya i Megan nawet się nie przejmą. Nienawidzą nas, prawda?

Nie zamierzam się poddać przy pierwszej przeszkodzie.

– Możemy też pójść do szkoły i zażądać ich ukarania.

Emily potrząsa głową.

– I co potem? Będziecie ze mną wszędzie chodzili, żeby mnie chronić?

– Zostaje jeszcze policja. Złożymy zawiadomienie, będziemy dopominać się sprawiedliwości.

– Policja też nie zapewni mi całodobowej ochrony. Nigdy nie będę bezpieczna. Poza tym tata nie zawiadomił policji, że Fred i Patrick go pobili.

– Nie, nie zrobił tego – przyznaję. – Ale to nie to samo.

– W jakim sensie?

Nie wiem, co powiedzieć. Może Jake faktycznie powinien był wezwać policję. Ale nie chcieliśmy skandalu. Czyżbyśmy dali naszym dzieciom zły przykład?

– Co w takim razie chcesz zrobić? – Usiłuję zapanować nad rozdrażnieniem. Nie gniewam się na Emily, ale z poczucia niesprawiedliwości aż dygoczę, nie jestem w stanie utrzymać nad sobą kontroli.

– Chcę pooglądać telewizję. – Oczy ma wilgotne. Znowu zbiera jej się na płacz.

– Co?!

– Chcę odejść ze szkoły. Przenieść się do prywatnej, jednej z tych, do których chodzą wyłącznie dzieci bogaczy. Tam nikt mnie nie znienawidzi za to, że mamy pieniądze.

– Kochanie, nie wiem, czy ucieczka jest najlepszym rozwiązaniem.

– Jest.

Odcedzam makaron i zaczynam łączyć go z sosem.

– Zatem nie chcesz, abyśmy cokolwiek robili? Trudno mi uwierzyć, że moja zapalczywa córeczka stawia na bezczynność...

– Tak będzie najlepiej.

– Pozwolisz, żeby uszło im to na sucho?

– Nie pogarszaj sprawy, mamó. – Emily przechodzi do salonu.

Jake wzrusza ramionami. Nie wydaje się tak zdziwiony jak ja. Czyżby zdążył z nią porozmawiać wcześniej?

– Czyli ustalone – oświadczają mój mąż. – Zjemy w salonie?

– To spaghetti, sos będzie dosłownie wszędzie.

– I tak niedługo zmienimy kanapę. A teraz najważniejsze to być blisko Emily i Logana.

Przynajmniej co do tego ostatniego ma rację.

Powoli się uspokajam, kiedy jemy kolację i oglądamy film familijny na Netflixie. Zachowujemy się jak rodzina, a jednak trochę na pokaz. Choć

przebywamy w jednym pokoju, wcale nie jesteśmy razem. Ja muszę się skupiać na odpuśczeniu w sprawie ataku na naszą córkę, która siedzi cała posiniaczona i z rozciętą wargą. Gdyby Ridley i Megan stanęli tu teraz przede mną, wydłubałabym im oczy. Pourywałabym im głowy i użyła ich jak piłek futbolowych. Tymczasem pozostaje mi tylko objąć Emily i obiecać, że nie uczynię niczego, co by „pogorszyło sprawę”.

Później pozwala mi się ułożyć do snu. Całuję ją w czoło, a ona momentalnie odpływa – pomimo strasznych przeżyć tego dnia. Nigdy nie miała problemów z zasypianiem.

Siadam na podłodze obok łóżka w otoczeniu toreb z zakupami, w których przeważają ubrania i kosmetyki. Głowę składam na krawędzi materaca. Wspominam czasy, gdy Emily był malutka i przesypiała bez budzenia całą noc, przez co Jennifer i Carla widziały we mnie kogoś w rodzaju zaklinaczki dzieci, osoby z wyjątkowym darem. Carla, ilekroć mogła, prosiła mnie, abym usypiała też Megan. To wspomnienie sprawia, że w moich oczach wzbierają łzy i zaczynają spływać po policzkach. Pościel mojej córki staje się wilgotna w parę chwil.

19

PIĘTNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła – powiedziała Carla, gdy Lexi wślizgnęła się z powrotem do salonu. – Śpi?

– Nie, ale oczka jej się kleją. Zaśnie lada moment – odparła Lexi.

– Przysięgam, że powinnaś o sobie mówić „zaklinaczka dzieci”.

Carla przesunęła się bliżej Jennifer, dzięki czemu na kanapie przed telewizorem zrobiło się miejsce dla Lexi. Już jakiś czas temu Lexi zauważyła, że Carla zawsze lokuje się w centrum. Żadnej z nich to nie przeszkadzało – ich przyjaciółka była nie tylko najwyższa, ale też w pewnym sensie potrzebowała najwięcej przestrzeni. Teraz Lexi opadła na sofę, wdzięczna, że wreszcie może dać nogom odpocząć. Zaklinaczka czy nie, dreptanie przez czterdzieści minut z ryczącym niemowlęciem, nawet obcym, potrafiło wykończyć. Mimo wszystko podobało jej się, że Carla prosi o pomoc z Megan właśnie ją, wiedząc, że Emily nigdy nie marudzi i zawsze z miejsca zasypia. Córeczka Lexi była chyba najgrzeczniejsza z całej trójki maluchów. Już mając dziesięć tygodni, przesypiała ciurkiem siedem godzin, co było prawdziwym cudem, obecnie zaś noc w noc spała po dwanaście godzin, bynajmniej nie rezygnując z popołudniowej drzemki.

Lexi nie przechwalała się dokonaniem córki, wiedziała, że tylko by tym rozzłościła inne matki, w przeciwieństwie do niej borykające się z problemami, przed najbliższymi przyjaciółkami jednak nie musiała udawać.

Pochlebiało jej, że zdaniem Carli ma rękę do dzieci, ale w przypadku małej Megan, która była marudna i pobudzona przez większość czasu i przesypiała góra trzy godziny z rzędu, tak naprawdę nie trzeba było żadnych cudów ani supermocy – wystarczyła odrobina więcej cierpliwości.

Lexi od wszystkich słyszała, jaką jest szczęściarą, że jej dziecko ładnie śpi i – jak się okazało – ładnie je. Wszystkie trzy zaczęły ostatnio odstawiać niemowlęta od piersi, ale tylko Emily jadła wszystko, co jej podano. Czy to jednak była kwestia szczęścia? Lexi pilnowała stałych pór posiłków, w pokoju dziecięcym używała zaciemniających rolet i stawiała na domowe jedzenie, podczas gdy Carla nie wierzyła w żadną z tych rzeczy.

Jennifer sięgnęła po butelkę z czerwonym winem, nalała Lexi kieliszek i uzupełniła swój oraz Carli.

– Czy jestem złą matką, skoro się cieszę, że przestałam karmić piersią i mogę bezkarnie napić się wina? – zapytała, pokazując wszystkie zęby w uśmiechu.

Koleżanki uśmiechnęły się leniwie, ale nie odpowiedziały. Zdawały sobie sprawę, że pytanie jest retoryczne. Wszystkie myślały podobnie. Były dobrymi matkami, bardzo oddanymi swoim ośmiomiesięcznym szkrabom, poza którymi nie widziały świata, niemniej żałowały, że nikt ich nie uprzedził, jak bardzo wyczerpujące jest macierzyństwo. Kieliszek wina, tabliczka czekolady, sporadyczna sesja wzajemnego użalania się – w ten sposób radziły sobie z trudami bycia matką, po czym wracały do pełnej poświęcenia opieki nad dzieckiem z nowo odzyskaną werwą.

– Gdzie nasi panowie? – zapytała Lexi, rozglądając się wokół.

– Wyskoczyli po kolację na wynos – odparła Carla. – Dziś będziemy mieć kuchnię tajską.

– Świetnie. Pamiętałaś, żeby zamówić dla mnie...

– Tempurę z krewetek ze słodkim sosem chili i ryżem jaśminowym? Tak.

Lexi skinęła głową z zadowoleniem. Zdumiewające, jak bardzo się do siebie zbliżyły w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy. Były sobie na tyle bliskie, że znały na pamięć swoje ulubione potrawy na wynos, mimo że każda z nich optowała za inną kuchnię. Do wyboru miały tajszczyznę, chińszczyznę i hinduszczyznę.

Poznały się w szkole rodzenia i natychmiast zakumplowały – tyleż ze strachu przed nieznanym, co z ekscytacji czekającą je przyszłością. Silną więź zapewniły im nadmiernie rozdęte ciała, którym daleko było do obrazu kuszącej uwodzicielki, a przyjaźń dodatkowo scaliły intymne rozmowy o nietrzymaniu moczu i przygnębiająco niskim libido.

Z niani elektronicznej dobiegł jakiś dźwięk. Wszystkie trzy zamarły i wyteżyły słuch. Przetzymując powietrze w płucach, czekały, aby się przekonać, czy to tylko odgłos wydany przez sen czy raczej wstęp do wycia na cały regulator.

– Ridley – stwierdziły chórem.

Znały się wystarczająco dobrze, aby rozróżnić kwilenie poszczególnych niemowląt.

Lexi i Carla zwróciły spojrzenia na Jennifer. Spośród nich wszystkich była najbardziej przewrażliwiona. Ridley pojawił się na świecie dopiero po czwartej próbie zapłodnienia in vitro. Oczywiście wszystkie dzieci były chciane i wyczekiwane, ale Jennifer naczekała się najdłużej. Lexi miała nadzieję, że Jennifer nie pobiegnie na górę do syna, który najprawdopodobniej spałby dalej, gdyby pozostawić go samemu sobie.

Wszystkie dzieci spały w jednym pokoju – Emily w łóżeczku, a reszta w przenośnych kołyskach. Istniały spore szanse, że Emily się nie obudzi po wkroczeniu Jennifer do akcji, lecz Megan niemal na pewno otworzy oczy i z miejsca zacznie wyć. Nasłuchiwały jeszcze chwilę, a gdy dźwięk się nie powtórzył, odprężone spojrzały po sobie z uśmiechem.

Nagle rozległ się trzask drzwi wejściowych. Rozweselonemu barytonowi towarzyszyły dwa inne męskie głosy. Mężowie wrócili z jedzeniem na wynos, co bardzo je ucieszyło. Zerwały się na nogi, jedna z nich otworzyła drzwi. Wszystkie od razu zaczęły uciszać niesfornych ojców, po czym zakrzętnęły się w kuchni, wyjmując talerze, sztucce, tace.

– Oglądałaś losowanie? – zapytał Jake, składając lekki pocałunek na karku żony. Nie miał nic przeciwko publicznemu okazywaniu jej czułości. Uwielbiał Lexi, nawet jeśli miała dziecięcą papkę we włosach i od tygodnia nie zdołała się umalować; lubił też pokazywać, że jej pożąda.

Lexi uśmiechnęła się do niego, zastygła na ułamek sekundy, po czym odchyliła głowę do tyłu, aby poczuć na swojej potylicy jego czoło.

– Nie, przegapiłam. Pomagałam Carli ukołysać Megan do snu.

– Ale my widziałyśmy – włączyła się Carla. – Niestety w tym tygodniu nie zostaliśmy milionerami.

– A czy padła choć jedna nasza liczba? – zainteresował się Patrick.

– Nie – odparła Carla z nutą rozbawienia w głosie.

W tym akurat nie było nic dziwnego. Grali już od jakichś czterech miesięcy, ale jak dotąd żadna z ich liczb nie pojawiła się ani razu wśród wylosowanych. Ukuli nawet żarcik mówiący, że przeczą rachunkowi prawdopodobieństwa, okazując się takimi pechowcami. Jennifer złapała rolkę ręczników papierowych i oderwała sześć oddzielnych kawałków; nie zawracali sobie głowy materiałowymi serwetkami – zwiększały tylko ilość prania, a poza tym zdążyli się zżyć do tego stopnia, że nie musieli już

wywierać na sobie wzajemnie wrażenia. Właściwie to ten etap całkiem ich ominął. Trudno robić wrażenie na gościach, gdy wszystkie rozmowy i tak kręcą się wokół poduszek na hemoroidy i schłodzonych liści kapusty, które miały zmniejszać ból spękanych sutków.

– Czyli nie składam wypowiedzenia w poniedziałek – rzucił ze śmiechem Fred.

– Nie, skarbie – potwierdziła Jennifer, żartobliwie dźgając męża palcem w żebra. – A teraz zrób coś pożytecznego i otwórz drugą butelkę wina.

Niemowlęta przespały grzecznie cały wieczór, aż nadeszła pora, by zabrać je do domu. Dorośli wypili w sumie pięć butelek wina. Więcej niż od dłuższego czasu, ale nie tak dużo jak za studenckich lat. Na szczęście mieszkali blisko siebie, przy tej samej ulicy, w zasięgu kilkuminutowego spaceru. Lexi i Jake zegnali przyjaciół w otwartych drzwiach, już snując plany na kolejne weekendowe spotkanie, podczas gdy tamci bezskutecznie starali się tłumić pijacki śmiech. Wszyscy mieli nieco w czubie. Było im lekko na sercu. Uważali się za szczęściarzy.

Po zamknięciu drzwi Jake przyciągnął żonę do siebie i ucałował ją w czubek głowy. Nie pocałował jej w usta, ponieważ obecnie sen był dla niej ważniejszy niż seks; gdyby to zrobił, mogłaby pomyśleć, że zależy mu na seksie.

– Po co nam milion, skoro mamy wszystko? – zapytał sennym głosem. – Świetnych przyjaciół, morze alkoholu, cudowne dziecko i siebie nawzajem...

Lexi uniosła głowę, odszukała spojrzeniem lekko zamglone oczy męża i szepnęła:

– Chcę się z tobą pieprzyć.

Ich życie było doskonałe.

20

LEXI

Gdy mam pewność, że Emily głęboko śpi, sięgam po telefon i wybieram numer Carli. Wiem, że moja córka mogła odnieść wrażenie, że postąpię zgodnie z jej życzeniem, że nie podejmę żadnych działań i „nie pogorszę sprawy”, ale wiecie co? To ja tu jestem dorosła. Ja jestem rodzicem. Ja decyduję, jaka jest odpowiednia reakcja na pobicie nastolatki.

Carla odbiera po zaledwie trzech sygnałach. Wyobrażam ją sobie, jak siedzi w swojej nieskazitelnej minimalistycznej kuchni prosto ze stron czasopisma o wystroju wnętrz. W tle widzę tytoniowe drewno, które tak pięknie kontrastuje z połyskliwymi lakierowanymi powierzchniami. Prawdziwy szyk, tym bardziej że pani sprzątająca przychodzi dwa razy w tygodniu. Carla prawdopodobnie trzyma kieliszek wina. Czerwonego. Obok stoi misa z owocami, idealnie dojrzałymi, nadającymi się od razu do zjedzenia. Nie ma w niej niczego brązowiejącego, co swój moment świetności miałyby za sobą.

Bez zbędnych wstępów przechodzę do rzeczy:

– Na wypadek, gdyby twoi prawnicy myśleli przede wszystkim o swoim wynagrodzeniu i nie mieli ochoty cię wtajemniczać w bieżące wydarzenia, powinnaś wiedzieć, że Jennifer i Fred zmienili swoje zeznania.

Fred początkowo twierdził, że oboje dorzuciliście się do wspólnej puli. Jennifer jednak wystawiła cię do wiatru, mówiąc, że w kluczowym momencie rozmowy była w łazience. Zresztą nieważne, bo teraz i on, i ona utrzymują, że byli obecni i przytomni, kiedy ty i Patrick wycofywaliście się z syndykatu. Będę szczerą: przekazanie ci tej wiadomości sprawia mi nie lada przyjemność.

– Rozumiem.

– Innymi słowy możecie zapomnieć o roszczeniu. Jennifer i Fred o to zadbali.

– Co im zaoferowaliście? – pyta rzeczowo Carla.

– Nie twój interes. Chcę tylko, żebyś wiedziała: nie są twoimi przyjaciółmi.

– Co się stało, Lexi? Kiedy zamieniłaś się w tę... w tę... osobę?

Ignoruję jej pytanie i nie podejmuję tematu.

– Z początku zamierzałam wam odpalić trzy miliony – mówię zamiast tego.

– Patrickowi i mnie należy się sześć.

– Po co trzymasz się tej swojej bajeczki? – pytam wprost. – Sądzisz, że nagrywam naszą rozmowę?

– Uważasz, że ja to robię? – kontruje. Jest niezła, to jej muszę przyznać. Wzdycham.

– Niczego nie nagrywam, nie martw się. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że z początku zamierzałam dać wam trzy miliony przez wzgląd na dawne czasy. Jake naturalnie oponował, ale moim zdaniem zasługiwaliście.

Na linii zapada cisza. Carla milczy, słyszę tylko jej oddech. Choć byłoby szaleństwem twierdzić, że da się zinterpretować czyjś oddech, śmiem przypuszczać, że jestem w stanie to zrobić. Tak dobrze znam Carlę.

Stałam obok, gdy łąpała powietrze haustami po intensywnym biegu. Siedziałam przy niej, gdy ze śmiechu brakowało jej tchu, najczęściej po tym, jak coś powiedziałam albo zrobiłam. Turlałyśmy się po podłodze, niezdolne wydusić z siebie słowa, z brzuchami szarpanymi przez histeryczne spazmy wesołości. Słyszałam, jak wciąga powietrze ze świstem, kiedy przy mnie odebrała telefon z informacją, że jej brat miał udar. Przysłuchiwałam się jej oddechowi, kiedy zasypiała w samolocie albo w samochodzie po jakimś wspólnym szaleństwie: koncercie, imprezie czy wakacyjnym wyjeździe. Carla nie tyle chrapie, ile oddycha ciężko przez usta. Tak, umiem zinterpretować sposób, w jaki oddycha.

W tej chwili jej oddech jest pełen nadziei i wyczekiwania.

– Z taką masą pieniędzy moglibyście sobie pozwolić na wiele – kontynuuję. – Moglibyście kupić sobie nowy dom, wrócić do Londynu... – Wiem, że Carla od jakiegoś czasu marzy o życiu w blasku rażących świateł metropolii. Prowincja zdążyła się jej znudzić, brakuje jej dreszczyku, który może dostarczyć tylko bycie w centrum wydarzeń. – Mogłabyś założyć własną firmę, kupić ten salon kosmetyczny, o którym tyle opowiadałaś. – Swego czasu przedstawiła całkiem imponujący biznesplan, którego zwieńczeniem miał być zakup salonu kosmetycznego (nazywanego przez nią SPA). Przez pewien czas bardzo się ekscytowała perspektywą pracy na swoim. Patrick zawetował pomysł żony. Nie pozwolił jej nawet zwrócić się do banku z zapytaniem. Stwierdził, że kosmetyka to nie dość szacowna branża. Mnie się jednak wydaje, że Patrick po prostu lubi mieć żonę kure domową, przy niej czuje się wielkim macho. Po dłuższej przerwie dodaję: – Mogłabyś nawet odejść od męża. Zabrać dzieci i wynieść się gdzieś daleko.

Carla sapie. Jest zszokowana? Podniecona?

– Z tym że widzisz... Teraz nie dam ci ani pensa – dodaję. – Chcesz wiedzieć dlaczego? Zapytaj swoją córkę.

Odkładam słuchawkę, zanim Carla zdąży cokolwiek powiedzieć.

21

LEXI

CZWARTEK, 2 MAJA

Nie puszczam dziś dzieci do szkoły. Nie mogę ryzykować powtórki.
– Ale ja nie muszę zostawać w domu – jęczy Logan. – Ridley i Megan raczej nie będą próbowali mnie pobić.

– Nie mamy pojęcia, do czego są zdolni – mamrocze złowróźnie.

– Nie boję się ich. – Wydaje się sfrustrowany. Myśli, że traktuję go jak małe dziecko, co bardzo mu się nie podoba.

– Oczywiście, że nie.

– Myślę, że w ten sposób przekazujemy Ridleyowi, Megan i ich minionkom niewłaściwą wiadomość. Przemocy należy się przeciwstawiać, mammo. Zawsze to powtarzasz. Co będzie, jak ktoś inny nadepnie Megan na odcisk? Ona zwyczajnie uzna, że ma prawo dręczyć ofiarę. A to nieprawda.

Serce pęcznieje mi z dumy. Chcę przytulić syna, ale mi się wymyka, bo jest na mnie zły. Patrzy na mnie z tym szczególnym rodzajem oskarżenia w oczach, do którego zdolne są tylko dzieci cytujące słowa rodziców.

– Zdziwiasz mnie, synu. Naprawdę chcesz iść do szkoły?

– Zakupy mnie nudzą, a właśnie to najprawdopodobniej będzie dziś robił tata z Emily.

– A z tego, co mnie się wydaje, będą szukali dla was nowych szkół.

Logan wzdycha.

– Moi koledzy nie są takimi dupkami. Nie muszę zmieniać przez nich szkoły.

– Nie wyrażaj się, Logan.

– Dlaczego? Tata cały czas przeklina.

Z tymi słowami na ustach wychodzi z kuchni. Żal mi go. Jeśli dobrze zrozumiałam, koledzy cieszyli się jego szczęściem. Logan jest członkiem gangu, do którego należy jeszcze pięciu innych chłopców. Oczywiście używam tu słowa „gang” w absolutnie niewinnym i przenośnym znaczeniu. Są wciąż w tym wieku, że najbardziej buntowniczą rzeczą, na jaką ich stać, jest puszczenie bąka na lekcji matematyki i wyparcie się tego. Założę się, że w porze obiadu już nie pamiętali o wygranej. Kiedy Emily była bita w szkolnej łazience, Logan stał na przystanku autobusowym, wraz z rówieśnikami gorączkując się skutecznymi strategiami w grach wideo.

Potrafię też zrozumieć jego pragnienie normalności. Sama jej pragnę. Zostawiam dzieci pod opieką Jake’a i jadę autobusem do pracy. Jest słoneczny wiosenny dzień, ptaki śpiewają, obsypane pączkami gałęzie drzew sięgają do burt autobusu i wyzywająco w nie uderzają, gdy mijamy najwęższe odcinki podmiejskiej drogi. Podoba mi się nieustępliwość natury, która sprawia wrażenie wiecznie rozentuzjasmowanej i pełnej nadziei. Aczkolwiek rzecz jasna wkrótce lokalne władze podejmą decyzję o ścięciu zbyt długich i zbyt niskich gałęzi, które stanowią zagrożenie dla kierowców biorących zakręt. Znów się trochę spóźnię, ale liczę, że Ellie mi wybaczy. Przyznałam się jej do wygranej zaraz po nieudanej konferencji prasowej. Nie omieszkałam wspomnieć o podłym zachowaniu Heathcote’ów

i Pearsonów, dzięki czemu moja szefowa jest świadoma, w jak trudnej sytuacji się znalazłam – emocjonalnie i nie tylko. Wszyscy w biurze byli bardzo podekscytowani nowiną. Judy nie przestawała wykrzykiwać: „Cicha woda brzegi rwie! Cicha woda brzegi rwie!”. Dla uczczenia nietypowej okazji kupili mi tort biszkoptowy, do którego wypiliśmy całą butelkę wina musującego. Siedzieliśmy przy biurkach, gawędząc i chichocząc, podobnie jak wtedy, gdy ktoś z zespołu ma urodziny. Oczywiście padły pytania o to, jak zamierzam spożytkować pieniądze. „Jake ujął stery w swoje ręce”, odparłam cierpko, co wzbudziło powszechne śmiechy. Po jakichś dziesięciu minutach, gdy już powiedzieliśmy na temat wygranej wszystko, co było do powiedzenia, zaczęliśmy rozmawiać o pracy. „Czy Aliya Habeb będzie dostawała alimenty?” „Czy ktoś pamiętał, żeby dostarczyć do szkół szczegóły programu gwarantującego przeszkolenie przeciwpożarowe?”... Zmywając naczynia przy maleńkim zlewie w pokoju socjalnym, praktycznie nie pamiętałam już, z jakiej okazji jedliśmy tort i piliśmy szampana.

Z przystanku do biura mam pięć minut spacerkiem. Jestem w stanie pokonać ten dystans w trzy minuty, jeśli przyśpieszę kroku. Dziś idę w tempie, które odbija się na moim krzyżu. Wychynawszy zza rogu, czuję, że coś jest nie tak. Normalnie to spokojna okolica. W najbliższym otoczeniu mieszczą się dwa sklepy z elektronicznymi papierosami, jeden zakład bukmacherski, salon tatuażu, hinduska knajpka, kebabownia i niewielki lokal serwujący rybę z frytkami (głodnym polecamy tylko to ostatnie miejsce). Pozostałe witryny są zabite deskami, na murach panoszą się graffiti. Nie żadne wyrafinowane, tylko tagi i przekleństwa. Nie mnie to oceniać, w niektórych ludziach tkwi potrzeba bycia dostrzeżonym. W każdym razie o tej porze otwarci jesteśmy tylko my, tak więc rano nigdy nie ma tu wielkiego ruchu. Tymczasem dzisiaj przed biurem stoi kolejka.

Zbliżając się, słyszę mruknięcia: „Jest wreszcie”, „Tak, to ona”. Ktoś zwraca się bezpośrednio do mnie:

– Pani Greenwood, mogę zamienić z panią słowo?

Ludzi jest za dużo, żeby wszyscy chcieli odbyć konsultację z marszu. W pierwszej chwili się obawiam, że to dziennikarze, ale szybko do mnie dociera, że mam do czynienia z petentami, tyle że innego rodzaju. Czekaający chcą ode mnie pieniędzy.

– Powiedział, że zmieni zamki, jeśli nie dostanie dzisiaj czynszu.

– Mój syn potrzebuje nowego elektrycznego wózka inwalidzkiego. Zbieram na ten cel.

– Przepraszam, czy zechce pani poświęcić chwilę naszemu ośrodkowi dla osób chorych na stwardnienie rozsiane?

Natychmiast pojmuję, że nie mogę dać się pochłonąć temu tłumowi. Góra nie popiera interakcji wprost na ulicy. Wprawdzie złamałam tę zasadę wcześniej, ale w tym przypadku czuję, że liczba osób i próśb mnie przytłoczy, dlatego postanawiam trzymać się regulaminu. Przywołuję na twarz służbowy uśmiech i kieruję się do drzwi wejściowych. Po drodze kiwam głową każdemu, kto mnie zaczepia, ale wszystkich kolejno zbywam:

– Proszę umówić się na spotkanie. Przepraszam, ale powinnam już siedzieć za biurkiem. Petenci czekają.

W środku nie jest wiele spokojniej. Moi koledzy i koleżanki zostali dosłownie osaczeni przez potrzebujących. W poczekalni wszystkie krzesła są zajęte; sporo osób musi czekać na stojąco. Gdy przekraczam próg, dziesiątki par oczu kierują się na mnie. Nie mam pojęcia, co powiedzieć.

Ciszę przerywa jakaś kobieta. Siedzi przy biurku Judy, ale na mój widok natychmiast traci nią zainteresowanie.

– Dziękuję za pomoc, kochanieńka, ale to do niej przyszedłam.

W jednej sekundzie kobieta jest na nogach i przeciska się w moją stronę między biurkami. Jej inicjatywa ośmiela resztę. Teraz biegnie już do mnie sześć czy siedem osób. Niektóre twarze rozpoznaję. Laura Atkins, która boi się odejść od partnera brutala. Vicky Lavin, która wzięła chwilówkę od wyjątkowo nieuczciwego pożyczkodawcy i teraz się obawia, że mężczyzna spełni groźbę i połamie jej ręce. Dostrzegam w ich oczach nadzieję, kiedy tak do mnie pędzą. Ktoś w pośpiechu trąca krzesło, które się przewraca. Nikt nie schyla się po nie. Nastrój zgromadzonych wyraźnie się zmienia. W każdej chwili może tu wybuchnąć pandemonium. Instynktownie się cofam pod naporem ciał, lecz nagle czuję na pośladkach krawędź swojego biurka. Jestem w pułapce. Z opresji ratuje mnie donośny, lecz spokojny głos Ellie, który rozbrzmiewa pośród tego chaosu:

– Proszę wszystkich o zajęcie miejsc siedzących. Zaraz utworzymy kolejkę. Rob, wydaj państwu numerki, takie jak w supermarkecie przy ladzie z mięsem. Lexi, proszę cię na moment do swojego gabinetu.

Podążam za nią, czując mieszaninę wdzięczności i wstydu. Jeszcze nigdy nie cofnęłam się przed udzieleniem człowiekowi wsparcia, zazwyczaj pierwsza wyciągam pomocną dłoń do potrzebującego. Zamykam za sobą drzwi, ale nie tłumią one w pełni wykrzykiwanych dalej próśb. Te głosy ciążą mi na sumieniu.

– Tego jeszcze nie grali – stwierdza Ellie.

Chyba obie żałujemy, że nie występujemy w jednym z seriali kryminalnych z końca dwudziestego wieku, w których detektywi otwierają szufladę, by wyciągnąć z niej butelkę whisky i dwie szklaneczki. Tymczasem Ellie zajmuje miejsce za biurkiem, ale nie zaprasza mnie, abym usiadła. Nie rozumiem, skąd ta jej nagła sztywność. Nigdy się tak wobec mnie nie zachowywała. Stojąc niezręcznie pośrodku gabinetu, rzucam:

– Ci z lotto uprzedzali, że możemy zacząć dostawać prośby o wsparcie finansowe.

– Czy powiedzieli, jak się w takiej sytuacji zachować?

– Cóż... zwykle zatrudnia się asystentkę, która otwiera listy, odpowiada na maile... W ten sposób kupuje się nieco czasu na podjęcie decyzji, które organizacje charytatywne wspomóc. – Robię przeproszącą minę. – No ale ja jestem znacznie łatwiej osiągalna.

– To prawda. W dodatku niemal każdy, kogo widzisz w pracy, znajduje się w mniejszej lub większej potrzebie.

– Zamierzamy wesprzeć organizacje dobroczynne – zapewniam pośpiesznie szefową.

– Nie wątpię w to. – Ellie uśmiecha się do mnie, ale nie wypada to naturalnie ani szczerze; wyraźnie kosztuje ją to więcej wysiłku niż w normalnych okolicznościach. – Siadaj, Lexi. – Wygląda na zniecierpliwioną. Przysuwam sobie krzesło, jego nogi szurają po podłodze, rozlega się nieprzyjemny dla ucha wizg. Obydwie się krzywimy. – Co zatem zrobimy? Wiesz, że nie możesz dać pieniędzy żadnemu z tych ludzi. Chodzi mi o to, że nie na tym polega nasza praca. Wsparcie finansowe to pomoc tylko na krótką metę. Poza tym nie chcę myśleć, jakie problemy by to stworzyło dla BPO.

– Oczywiście – odpowiadam z westchnieniem. W duchu jednak myślę, jak łatwo byłoby wyjść na ulicę i zacząć rozdawać pieniądze. To by zaradziło licznym troskom.

– Bo wiesz... gdybyś zaczęła to robić, trudno by ci było przestać. Zresztą nasza praca nie polega na szastaniu gotówką, tylko na udzielaniu rad i dawaniu wskazówek.

– Tak. – Kiwam głową.

Ellie przygląda mi się, jakby chciała sprawdzić, czy w ogóle słucham.

– Boję się, że nie będziesz umiała im odmówić. Odmawianie nie leży w twojej naturze. Stawianie granic przychodzi ci zawsze z dużym trudem.

Zerkam na nią z poczuciem winy. Nie sądzę, aby wiedziała o nieoficjalnej pomocy, której udzieliłam panu Albu, nie wykluczam jednak, że jakieś słuchy do niej dotarły. Szczególnie że Toma nie jest pierwszym petentem, dla którego złamałam reguły. Osobiście dostarczałam ubrania, z których wyrosły moje dzieci, rodzinom w potrzebie, mimo że odwiedzanie petentów w domach jest zabronione. Przy jednej okazji zapłaciłam za cały wózek zakupów mojej podopiecznej, gdyż wstydziła się skorzystać z banku żywności, a jej dzieci nie miałyby co jeść przez tydzień, gdybym nie wykazała inicjatywy. Nie jestem buntowniczką z natury – mąciwielem w naszej rodzinie jest raczej Jake – ale też nie zamierzam poddać się służąc biurokracji, kiedy ta zabrania zrobienia dobrego uczynku.

Muszę jednak przyznać Ellie rację: będę miała kłopot z powstrzymaniem się od rozdawnictwa, choć rozumiem, że nie jest to właściwe postępowanie. Ani najbardziej skuteczne.

Rozglądam się po gabinecie. Po raz kolejny znajduję dowody, jak uporczywie Ellie broni się przed cyfryzacją. Jej półki uginają się pod ciężkimi segregatorami, z których część sięga swą zawartością dziesięciu lat wstecz. Ellie regularnie się zarzeka, że wprowadzi archiwalne sprawy do komputera, ale jakoś nigdy nie ma na to czasu. Zresztą moim zdaniem większość tych dokumentów można by przepuścić przez niszczarkę, lecz na to znów Ellie jest zbyt sumienna – szanuje innych ludzi i nie uważa, aby powinno się o nich zapomnieć. I tak papiery się gromadzą, a miejsca robi się coraz mniej. Obrzucam spojrzeniem plakaty doradzające, jakich oznak szukać u bliskich, którzy są w depresji; inne reklamują strony internetowe i numery telefonów, pod które można zadzwonić, szukając rady w kwestii prawnej czy zdrowotnej. Patrzą wszędzie, tylko nie w oczy Ellie. Chyba

wiem, co zaraz powie, a to powoduje, że moje oczy wilgotnieją. Nie chcę się rozplakać. Nigdy nie płaczę w pracy. Nasłuchałam się i naoglądałam tutaj różnych przykrych rzeczy, ale mam świadomość, że mój płacz nikomu nie pomoże. Ludzie przychodzą tu po jasne instrukcje, nie po współczucie. Tym bardziej nie mogę pozwolić, aby pierwsze łzy, które uronię w biurze, były łzami uzalania się nad sobą.

– Zwalniasz mnie? – pytam wprost.

– Nie, oczywiście, że nie. – Milknie na chwilę. – Ale myślę, że przez jakiś czas nie powinnaś przychodzić do biura. Trudno w takich warunkach pracować, a my musimy pracować, Lexi. Nasza praca jest kluczowa dla społeczeństwa.

– Nie mam pojęcia, skąd nagle wszyscy wiedzą, gdzie mnie znaleźć.

– Plotki się rozchodzą. Zresztą pisali o was w większości lokalnych gazet. Wielu petentów zwyczajnie rozpoznało cię na zdjęciach – mówi Ellie, a ja mam wrażenie, że słyszę w jej głosie dezaprobatę. Z pewnością uważa, że źle zrobiliśmy, podając informację o wygranej do publicznej wiadomości. I ma rację. Od początku byłam temu przeciwna. Nie miałam jednak wyboru. – Wczoraj po południu zrobiło się niezręcznie – podejmuje. – Było mniej osób niż dzisiaj, ale i tak porządek dnia został zakłócony. Przyszedł pewien młody mężczyzna, góra dwudziestolatek, ten z zespołem Tourette’a. Zdaje się, że pomagasz mu znaleźć pracę. – Patrzy na mnie, czekając, aż podam nazwisko. Wie, że większość petentów znam po imieniu.

– Dave MacDunn.

– Właśnie, Dave. No więc Dave nie uwierzył, kiedy mu powiedziałam, że w środy pracujesz tylko do południa. Sądził, że ukrywamy cię przed nim. Zdenerwował się, wziął zamach i popchnął przy tym pewnego staruszka,

który nawet nie przyszedł do ciebie, tylko porozmawiać z kimś o swoim rachunku za ogrzewanie. To było straszne.

– Och, nie... Nic mu się nie stało?

– Przy upadku staruszek uderzył się w łokieć i biodro. Jego córka zdążyła już złożyć skargę. Będę musiała zaraportować to górze.

Kręcę głową ze smutkiem. To ostatnia rzecz, jakiej Ellie potrzebuje. I bez tego ma pełne ręce roboty.

– Przykro mi.

– Cóż, to nie do końca twoja wina. – Jej ton przeczy wspaniałomyślnym słowom.

– A czy z Dave'em wszystko dobrze się skończyło? Znam go, wiem, że nie chciał nikogo skrzywdzić.

– Być może, ale stało się. Oczywiście jego choroba tylko pogorszyła sprawę. Kiedy zaczął przeklinać, staruszek uznał, że ma do czynienia z jakimś oprychem...

– Zespół Tourette'a rzadko znajduje zrozumienie w społeczeństwie – wpadam jej w słowo.

Ellie wygląda na zniecierpliwioną.

– Wiem, Lexi.

Przez moment siedzimy w milczeniu. Ja czuję się jak zganiona uczennica, ona się dąsa, bo potraktowałam ją protekcjonalnie. Nie podoba mi się, że przepaść między nami się poszerza. Boję się, że zaraz w nią wpadnę. Ellie pierwsza wypuszcza z płuc wstrzymywane od chwili powietrze i mówi:

– Po paru miesiącach sprawa ucichnie i wtedy będziemy mogły porozmawiać o twoim powrocie na stanowisko.

– Po paru miesiącach? – Nie wierzę własnym uszom.

Ellie wzrusza ramionami. Swoją propozycję rzuciła bez namysłu, szybko zmienia zdanie.

– Może szybciej. Nie mam pojęcia, ile czasu trzeba, żeby taka sprawa ucichła. Zresztą chyba wkrótce wybieracie się na urlop?

– Tak.

– Do Nowego Jorku, zgadza się?

– Tak.

– Zawsze chciałam zwiedzić Nowy Jork – mówi z nutą zazdrości w głosie, a przynajmniej tak mi się wydaje. – Jak przypuszczam, zatrzymacie się w jakimś uroczym miejscu? – Potakuję skinieniem. Ellie mi się przygląda, jakbym była przyszpilonym owadem w gablotce, wystawionym na pokaz. – Po prostu spróbuj cieszyć się swoim szczęściem, Lexi.

Opuszczam jej gabinet. Nie pozostało nic więcej do powiedzenia.

Idę do swojej ulubionej knajpki, która znajduje się w odległości dziesięciu minut spacerkiem od biura. Obawiałam się, że ludzie spod BPO ruszą za mną hurmem, ale na szczęście nie robią tego, ponieważ okłamuję ich, że niedługo wrócę, i proszę, aby pozostali na swoich miejscach. „Nie chcecie przecież stracić kolejki”, mówię. Ponieważ mi ufają, postępują zgodnie z moją radą. Plugawa egoistka ze mnie, że lekceważę ich wołanie o pomoc, że jestem jeszcze jedną osobą w ich życiu, która kłamie i zwodzi, ale co innego mogę począć?

Zamawiam herbatę. Jest mocniejsza niż zwykle, ale i tak ją wypijam, w pośpiechu parząc sobie język i podniebienie. Rozglądam się dyskretnie, lecz nikt nie zwraca na mnie uwagi. W lokalu jest pełno robotników na porannej przerwie; czytają brukowce, siedząc na zbyt małych drewnianych krzesłach, z brzuchami wylewającymi im się zza pasków. Nie po raz pierwszy myślę, że prawdziwe szczęście w życiu ma ten, kto rodzi się

mężczyzną. Wyciągam komórkę i wybieram numer zapisany od niedawna w ulubionych. Rozbrzmiewa jeden, drugi, trzeci, czwarty sygnał, zanim w słuchawce rozlegnie się głos:

– Toma Albu.

Podoba mi się duma, z jaką się przedstawia. Nigdy nie taił swojego nazwiska, nawet gdy żył na ulicy, przyznawał się do niego, przyznawał się do siebie pomimo wszelkich przeciwności losu.

– Co byś zrobił z trzema milionami funtów?

– Lexi?

– Tak – potwierdzam i powtarzam pytanie.

– Czytałem o wygranej. Gratulacje! – W jego głosie słyszę rozbawienie, co poprawia mi humor. – Dzwonisz do mnie, żeby się poradzić, jak wydać pieniądze?

– Nie. Wygrałam osiemnaście milionów, nie trzy. Dzwonię, żeby zapytać, na co ty byś wydał trzy miliony. Gdybym ci je dała.

– Dlaczego miałabyś mi je dać?

W tle słyszę jakieś rozmowy. Domyślam się, że Toma też ma poranną przerwę, tak samo jak robotnicy zaczyna pracę bardzo wcześnie. Wyobrażam sobie zatłoczoną kantinę, gdzie ludzie ustawiają się w kolejce po herbatę. Wyczuwam jego bezruch. Z powagą i spokojem czeka, aż przedstawię jakieś wytłumaczenie. Czego nie potrafię zrobić.

– Bo chcę. Czy wtedy wróciłbyś do domu?

– Z tą ilością pieniędzy chyba mógłbym sobie pozwolić na ekshumację żony i syna i przewiezienie ich samolotem. O to ci chodzi?

– Nie, niezupełnie. – Jest mi wstyd, ponieważ popełniłam gafę. Wiedziałam przecież, że Toma nie wyjeżdża z Anglii, gdyż nie zniósłby rozłąki z najbliższymi. Gdyż nie chce zostawiać ich samych. Nigdy nie wspominał, że problemem są pieniądze. Tymczasem ja uznałam, że

pieniądze pomogłyby mu rozpocząć nowe życie. Czyżbym zamieniła się w Jake'a? Czyżbym wierzyła, że pieniądze są w stanie wszystko naprawić? Musiałabym być idiotką, szczególnie w obliczu dowodów, które mówią coś wręcz przeciwnego.

– Wczoraj pobito moją córkę w szkole – wyjaśniam.

– Przykro mi to słyszeć. Nic jej nie jest?

– Wiem, że na dłuższą metę nie... – Urywam i zmieniam strategię. – Mogło być gorzej. – Toma wydaje z siebie nieartykułowany dźwięk, który działa na mnie uspokajająco. – Zanim to się stało, sądziłam, że wiem, co czujesz. Że rozumiem twoją stratę. Twoje uczucie bezradności i gniew. Przynajmniej w pewnym stopniu... – Milknę. Biorę głęboki oddech i dodaję: – Tak naprawdę nic nie wiedziałam.

– I to się nie zmieniło. Twoja córka ma sińce na ciele. Mój syn nie żyje.

– Wiem.

Przepełnia mnie wściekłość i wstyd. Wściekłość, że Emily spotkała krzywdę. Wstyd, że jej nie ochroniłam. Uczucia Tomy muszą być tysiąckrotnie silniejsze i straszniejsze.

– Nie możesz przejmować się moimi problemami, Lexi – mówi Toma cicho. – Nie wezmę twoich pieniędzy. Zrobiłaś dla mnie dość. Dziękuję. Jesteś dobrym człowiekiem. – Podziękowania są szczerze, ale stateczne, nie egzaltowane. – Dziękuję, że pomogłaś mi znów stanąć na własnych nogach, załatwiłaś pracę, dach nad głową...

Wszystko to za mało.

– Nie chcę, żebyś stracił więcej czasu – mówię.

– Na to akurat nie masz wpływu. Żadna ilość pieniędzy nie cofnie czasu.

– Racja. – Wzdycham. Jego konstatacja zawisa między nami. Granice moich możliwości.

Toma zdaje się rozumieć moje westchnienie, moją frustrację. W jego głosie słyszę uśmiech, gdy mówi:

– Lexi, powoli wychodzę z najgorszego. Moje życie się zmienia. Dzięki tobie.

– Chcę dać ci te pieniądze – nalegam.

– Trzy miliony funtów to mnóstwo pieniędzy, Lexi. – Gwizdże. – Mnóstwo.

– To zaledwie ułamek tego, co wygraliśmy. Naprawdę, Toma, chcę ci je dać. Wykorzystaj je godziwie. Albo roztrwoń wszystkie, nic mi do tego. Wiem, że żadne pieniądze nie przywrócą im życia – mamrocę przepaszająco.

– Nic nie przywróci im życia.

– To prawda. Ale pieniądze mogą pomóc w innych sprawach. – Gdy milczenie po drugiej stronie się przeciąga, zaczynam się bać, że Toma nie pozwoli mi tego zrobić. – Toma, proszę...

Wzdycha, a potem się zgadza i podaje mi numer konta. Nie mam czym oddychać. Kręci mi się w głowie. Natychmiast kontaktuję się ze swoim bankiem, starając się nie myśleć o tym, jak zareaguje Jake na wieść o tym, co zrobiłam. Ktoś o nienagannej dykcji i niebywale profesjonalnym podejściu zadaje mi pytania kontrolne, po czym kilka chwil później transakcja zostaje przyjęta do realizacji. Ot tak. Sądziłam, że przelanie tak zawrotnej kwoty będzie trudniejsze, ale okazuje się, że istnieją ułatwienia dla bogaczy.

Nic z tego nie wydaje mi się rzeczywiste. Czuję się, jakbym grała w monopol.

22

EMILY

Spędzam z tatą całe rano na buszowaniu w internecie. Zaglądamy na takie strony, jak Oliver Bonas, Anthropologie, Zara. Klik. Klik. Klik. Kupuję balsamy do ust, drzewka na biżuterię, bransoletki, ramki do zdjęć, torebki, spinki do włosów oraz oczywiście ciuchy. Nie poszliśmy na prawdziwe zakupy, bo nie chcę patrzeć na swoją posiniaczoną twarz w lustrze przymierzalni, jeszcze bardziej zaś nie chcę, aby gapili się na mnie obcy ludzie. Tata jest tuż obok. Przed wygraną powiedziałby: „Zobacz to najpierw w sklepie. Na zdjęciach zawsze wygląda ładniej niż w rzeczywistości”. Generalnie demotywowował mnie i zniechęcał. Ale teraz jest gorszy ode mnie.

– Kupuj, kupuj. Dlaczego nie? – Delikatnie gładzi mnie po policzku, który ma kolor chmury gradowej.

Logan kupuje dwa zestawy strojów piłkarskich. Drużyn Manchester City i Real Madryt. Nie deliberuje długo, tylko od razu klika przycisk „przejdź do kasy”. Oczywiście cały szczęśliwy. Mama jest w pracy, ale nie wydaje mi się, aby chciała buszować z nami, nawet gdyby tu była. Nie licząc ubrań, które sobie kupiła z okazji konferencji prasowej, okazała zainteresowanie tylko jedną rzeczą, mianowicie ekskluzywnym wydaniem książki firmowanym przez The Folio Society. Jak się okazuje, są specjalne

edycje z pięknymi ilustracjami. W zeszłe święta dostała jedną taką książkę od taty: *Pokutę* Iana McEwana. Teraz mówi, że może zacznie je kolekcjonować. Co ona wygaduje? Czy nie zdaje sobie sprawy, że stać ją na zakup całej kolekcji za jednym zamachem? Nie musimy już na nic żałować pieniędzy. Nie pojmuję, jakim cudem mamie udaje się zachować kontrolę nad sobą. Nie pojmuję, po co w ogóle zadaje sobie ten trud. Mówię tacie, że powinien ją zaskoczyć i sprezentować jej cały zestaw, ale on kupuje tylko jedną pozycję: *Wichrowe Wzgórza*.

– W głębi ducha twoja mama lubi niegrzecznych chłopców, a Heathcliff to wzorzec niegrzecznego chłopca – wyjaśnia mi z uśmiechem.

Robię grymas. Mogłabym się obejść bez tej informacji. Tata waha się przed zapłaceniem, dorzuca jeszcze do koszyka *Mansfield Park*, mrużąc:

– To jej ulubiona. Dwie książki to chyba nie przesada?

Moja ulubiona pozycja to *Gwiazd naszych win*. Nie wiem, czy Ridley ją czytał. Twierdzi, że zaczytuje się *Paragrafem 22*, ale mnie się wydaje, że ściemnia i tylko tak się popisuje. Bo tak naprawdę przepada za Harrym Potterem, a szczególnie za drugą częścią zatytułowaną *Komnata tajemnic*.

Tata jest w świetnym nastroju, ponieważ wczoraj wieczorem odebrał telefon od organizatorów zakładów lotto, którzy poinformowali go, że Jennifer i Fred nie tylko potwierdzili, że sami wycofali się z syndykatu, ale też zeznali, że Pearsonowie uczynili to samo. Jest wniebowzięty. Mnie po prostu ulżyło. Dziwnie się czuję, kiedy o nich mowa. Jako że są rodzicami Ridleya, do tej pory zawsze dobrze mi się kojarzyli – ze szczęśliwymi czasami, rozrywkami, no i z Ridleyem, który jest w moim życiu, odkąd pamiętam, i którego kocham w ten czy inny sposób od sama nie wiem kiedy. Najpierw był moim przyjacielem, a potem...

Ludzie mówią, że jesteśmy jak bliźniaki, bo taplaliśmy się w tych samych brodzikach i w tym samym czasie przechodziliśmy ospę wietrzną,

ale to nie do końca tak. Ja zawsze byłam świadoma jego obecności obok i podchodziłam do niego z podziwem, jakim raczej nie darzy się brata bliźniaka. Kiedy byliśmy mali, uważałam, że wymyśla najlepsze zabawy. Wdrapywałam się za nim na drzewa i brodziłam w strumieniach. Grając w Minecrafta, budowaliśmy światy dokładnie według jego instrukcji. Dla nas dwu, Megan i mnie, był pierwszym chłopcem, którego pocałowaliśmy. I to tego samego wieczoru. Było to dawno temu, we wczesnej młodości, kiedy próbowaliśmy dociec, czy... bo ja wiem... czy lubimy się całować z innymi ludźmi. Traktowaliśmy to jak eksperyment. Okazało się, że eksperyment przyniósł nam odpowiedź. W przypadku Ridleya i Megan pocałunek był zabawą, ćwiczeniem; w przypadku Ridleya i moim pocałunek okazał się... wszystkim. Zaczęliśmy sobie zdawać sprawę, że postrzegamy się inaczej. Nie rozumiem tej potrzeby, którą we mnie rozbudza. Wiem tylko, że kiedy nie jestem z nim, właściwie mnie nie ma. Nie istnieję. Czuję się bezwymiarowa. A potem on wchodzi do pomieszczenia i nagle zyskuję wymiary.

Przynajmniej dotąd tak było.

Teraz Ridleya zastąpiły pieniądze. Ekscytują mnie zakupy i rzeczy, które możemy robić dzięki temu, że jesteśmy bogaci. Ale to nie to samo. Nie mogę całować pieniędzy. Pieniądze nie sprawiają, że płonę. Tak to jest.

Nie miałam pojęcia, że będę musiała wybierać.

Nadal uważam, że najwspanialszą rzeczą byłoby wydawanie pieniędzy razem z Ridleyem. Dawnym Ridleyem. Chłopakiem, za którego go miałam.

Nienawidzę Jennifer i Freda za to, że wszystko zepsuli. Że próbowali nas oszukać, twierdząc, że jedna trzecia wygranej jest ich. Gdyby tego nie zrobili, Ridley i ja wciąż bylibyśmy parą! Uporalibyśmy się z jego pierwotną reakcją, po czym wydarzenie w szkolnej toalecie nie miałyby miejsca. Dobra, poczuli wyrzuty sumienia i znaleźli w sobie

dość przyzwoitości, żeby wyznać prawdę, ale co z tego? Zrobili to za późno. Za późno. Żałuję, że nie mam guzika, który mogłabym wcisnąć i pozbyć się w ten sposób wszystkich uczuć. Słucham w kółko Rihanny i jej *Love the Way You Lie*. Bo #EvenAngelsHaveTheirWickedSchemes.

Jak mógł stać beczynnym i patrzeć, jak robią mi krzywdę?

Jak mógł robić zdjęcia?!

Nigdy mu nie wybaczę. Zmieniam playlistę. Teraz słucham tylko Ariany Grande: #IWantItIGotIt.

Tatę absorbują sprawy administracyjne. Po długim milczeniu oświadcza, że umówił się na spotkanie w wybranej przez siebie szkole prywatnej. Dziś po południu. Mama go chyba zabije, jak pójdzie bez niej, ale gdy o tym wspominam, nie robi to na nim żadnego wrażenia.

– Chcesz też pójść? – pyta mnie.

– Nie, idź sam. Moja twarz nie zrobiłaby najlepszego pierwszego wrażenia. – Chcę mrugnąć, aby pokazać, że wcale mnie to nie dołuje, ale szybko pojmuję, że to głupi pomysł. Boli mnie jak diabli.

– Racja – przyznaje tata. Całuje mnie w czubek głowy, ostrożnie, żeby nie sprawić mi bólu. – Przypilnujesz Logana?

– Taaa.

Zaraz po wyjściu taty błagam brata, żeby pożyczył mi swoją komórkę. Po mojej zostało tylko wspomnienie. Logan siedzi przed komputerem jak jakiś nerd, na jego drobnej twarzy pobłyskuje niebieska poświata ekranu. Muszę go klepnąć w ramię, aby zwrócić na siebie uwagę i poprosić, by wyjął słuchawki z uszu. Jak każdy normalny nastolatek Logan nie cierpi pożyczać swojej komórki.

– A co dostanę w zamian?

– Nie wiem. – Kiedyś zaoferowałabym mu funta.

Wpatrujemy się w siebie przez chwilę, po czym równocześnie zdajemy sobie sprawę, że wzajemne przekupstwa należą już do przeszłości. Nie możemy sobie proponować pieniędzy, bo oboje mamy ich jak lodu. Wybuchamy śmiechem.

Logan wręcza mi komórkę.

– Ale jak zamieścisz coś na moich profilach, zabiję cię.

– Zgoda.

Biegnę do swojego pokoju i błyskawicznie loguję się na swoje profile w mediach społecznościowych. Spuszczając moją komórkę w sedesie, Megan praktycznie wypchnęła mnie za burtę i zostawiła na pełnym morzu – bez kamizelki ratunkowej ani choćby marnego gwizdka. Od tamtej kłótni pierwszego dnia po wygranej co rusz sprawdzałam wiadomości, na wypadek gdyby Ridley jednak próbował się ze mną skontaktować. Snapchat, Instagram, WhatsApp, Twitter, zwykłe esemesy, nawet staroświecki Facebook. Ale odkąd Megan pozbawiła mnie komórki, nie mogłam tego robić. Czułam się przez to jak narkoman na głodzie. Chociaż patrząc z drugiej strony, Megan wyświadczyła mi przysługę, nawet o tym nie wiedząc. Mimo wszystko komórka to przedłużenie ciała. W praktyce zostałam bez prawej ręki. Rzecz w tym, że rodzice nic nie wiedzą o zdjęciach, które Ridley zrobił w toalecie. Nie byłam w stanie im o tym powiedzieć. Myślą więc, że tylko stał na czatach, a i tak go za to nienawidzą. Zwłaszcza mama, która jak mi się wydaje, rozszarpałaby go własnymi zębami, gdybyśmy jej z tatą pozwolili. Nie mam pojęcia, czemu chronię Ridleya. A może mam? Muszę się dowiedzieć, jak zamierza wykorzystać zdjęcia. Upokorzy mnie, zamieszczając je w sieci? Czy wystarczy mu świadomość, iż wiem, że jest w ich posiadaniu? Potrzebuje czuć się silny? Bo nie wyobrażam sobie, aby miał się przy nich masturbować.

Nie mogę przestać się zastanawiać, czy są teraz parą. Ridley i Megan. Sama ta myśl sprawia, że brakuje mi tchu. Nie, niemożliwe. Nigdy jej się nie podobał. A może jednak? Przypuszczam, że nic by mi nie powiedziała, gdyby tak było. Przecież Ridley jest cudowny. Dlaczego miałby się jej nie podobać? Megan wiecznie powtarzała, że musimy sobie o wszystkim mówić. Informowałyśmy się więc, czy przy ostatniej miesiączce bardzo nas bolało i jak zgrubiały nam uda, pytałyśmy się, co chcemy zrobić ze swoim życiem, a nawet wyznawałyśmy, że (Megan) ma stale na plecach wągra (którego regularnie jej wyciskałam), a (mnie) rośnie na brodawce sutkowej włossek, który pomimo wyrywania zawsze wraca. Co to niby ma być? Komu rosną włosy na cyckach? O takich rzeczach rozmawiałyśmy.

Ale nie mówiłam jej wszystkiego o Ridleyu.

Zresztą trudno było ubrać w słowa te odczucia, których sobie nawzajem dostarczaliśmy. Tę przyjemność, której doznawaliśmy. Nie zatajałam niczego ze wstydu – przeciwnie! Nikomu nic nie mówiłam, bo to było takie genialne, wspaniałe i wyjątkowe! Chroniłam nas dwoje. Obcy ludzie wszystko by zepsuli. Nawet Megan. Twierdziliby, że jesteśmy za młodzi. Zachłystywaliby się zszokowani, wzburzeni. Przestrzegaliby mnie, że gdy Ridley dostanie już ode mnie to, czego pragnie, przestanę go interesować.

Co do tego ostatniego może nawet mieliby rację.

Ale chyba z Megan nie posunął się aż tak daleko?

Bo prawda jest taka, że Megan wcale nie jest ładna. Nie odziedziczyła urody po swojej mamie, a do tego trudno ją nazwać zabawną, mimo że jej tata lubi żartować. Ale niewątpliwie jest bystra, bystrzejsza ode mnie. Szczególnie dobrze idzie jej z przedmiotów ścisłych, i fajnie – zwłaszcza że jest dziewczyną (płeć nie powinna mieć znaczenia, ale ma, bo nie żyjemy jeszcze w przyszłości, tylko teraz, gdy ludzie wciąż oceniają innych stereotypowo). Uwielbiam – uwielbiałam – przyglądać się ludziom, kiedy

Megan opowiadała o kontinuum czasoprzestrzennym, czarnych dziurach i takich tam. Najlepiej było, jak miałyśmy po dwanaście czy trzynaście lat. Jakiś nasz kolega, arogancki tępak, nawijał o X-menach i filmie *Przeszłość, która nadejdzie*, wymieniając przy tym wszystkie mutanty i ich umiejętności, a Megan jakby nigdy nic wchodziła mu w słowo i zaczynała rozważać możliwości podróży w czasie, przy czym argumentowała, że jeśli już, bardziej prawdopodobne będzie poruszanie się w czasie do przodu niż do tyłu. Żałujcie, że nie widzieliście miny takiego cwaniaka! Później, już na osobności, dosłownie pękałyśmy ze śmiechu.

Kochałam Megan.

A potem zakochałam się w Ridleyu.

O Jezu, Jezu. Pomóż mi.

Nie było tak, że zapomniałam o Megan i skupiłam się na Ridleyu. Po prostu kochałam ich oboje. Tyle że to, co czuję – czułam – czuję do Ridleya jest tak inne. Tak silne.

Wszystko, co go dotyczy, mocno na mnie wpływa. Jego uśmiech, śmiech, nawet to, jak je zwykle jabłko. Ridley porusza się w charakterystyczny sposób, zarazem pewnie i niedbale. Nie szpanuje tak, odkąd został nastolatkiem – jest to cecha, którą zauważyłam u niego jeszcze w dzieciństwie. Jest superwysportowany, a chłopcy, którzy dorastając, słyszą, jacy są świetni w rzucaniu i łapaniu piłki, nabierają pewności siebie i zaufania do własnego ciała, o jakim niezdary mogą tylko pomarzyć. Ridley wie, gdzie chce położyć ręce, usta. Wie, gdzie ja chcę, aby je przyłożył. Aż mnie wszystko boli. Myśl o jego dłoniach błędzących po moim ciele i o tym, że to się już nie powtórzy, że nie mam już do niego prawa, autentycznie przyprawia mnie o cierpienie. Znacznie silniejsze niż wtedy, gdy minionki Megan próbowały przefasonować mi twarz.

Jest coś, co muszę zrobić. Nie paznokcie ani brwi, coś znacznie ważniejszego. A jednak to przeciągam. Nie mam dość odwagi. Nie potrafię. Tak jest lepiej. Nie wiedzieć na pewno. Stan zawieszenia to swego rodzaju wyzwolenie, dopiero teraz to rozumiałam. Siedząc okrakiem na płocie i nie mogąc się zdecydować, po której stronie zeskoczyć, przynajmniej widzisz szerszy plan. Po wykonanym skoku połowa świata staje się niedostępna. Dobrze mówię? Chodzi o to, że choć nie jestem mózgowcem, nie jestem też idiotką. Podróże w czasie nie istnieją. Przeszłości nie da się zmienić. Linia czasu biegnie tylko w jedną stronę, a jego nieubłagany upływ nigdy nie miał większego znaczenia niż obecnie.

Zwalczam letarg, który mnie dopada, ilekroć o tym myślę, podnoszę się na nogi i podchodzę do rozrzuconych na całej podłodze toreb. Nie zdążyłam rozpakować wszystkiego, co kupiliśmy. Nie wiem nawet, czy mam dość wieszaków i miejsca w szafie. Ale pomimo bałaganu wiem dokładnie, gdzie znajduje się ten przedmiot; ciągnie mnie do niego jak igłę kompasu do magnesu. Gnieździ się w cienkiej foliówce ukrytej w markowej papierowej torbie na samym dnie, pod parą nowych dżinsów Guess.

Test ciężowy.

23

LEXI

Po powrocie zastaję w domu ciszę. Logan czyta.

– Gdzie jest mój syn i co zrobiłeś z jego ciałem? – zwracam się do Obcego.

– Cha, cha.

– Co to za książka?

– Postapokalipsa o świecie, w którym przeżyła tylko grupa nastolatków i teraz muszą walczyć z tłumem zombie.

– Interesująca lektura.

– Kapitalna. Bez przerwy leje się krew, a ci nastolatkowie świetnie sobie radzą bez rodziców.

– Dowcipniś. – Cieszę się, że czyta, zamiast jak zawsze grać w gry wideo, ale mam na tyle rozsądku, by nie powiedzieć tego głośno. Popierając jakieś działanie, skazuję je na natychmiastowe zapomnienie.

Emily jest w swoim pokoju. Nie wiem, co robi. Twierdzi, że ogląda filmik na YouTube, bo chce się nauczyć rysować kreskę pod okiem, nigdzie jednak nie widzę laptopa. Moja córka po prostu gapi się w sufit.

– Wszystko dobrze? – Mam ochotę się kopnąć. Pytanie jest zbyt ogólne, nie dostanę na nie odpowiedzi, która by niosła jakiegokolwiek konkrety.

– Boże, mamó. Tak. Czemu nie miałyby być dobrze? Przecież wygraliśmy w lotto.

– Racja. Myślałam, żeby coś upiec. Pomożesz mi?

– Miałaś zły dzień w pracy? – Emily bywa spostrzegawcza. Nie zwróciła uwagi na to, że wróciłam pięć godzin wcześniej niż normalnie, ale wie, że lubię coś upiec, kiedy czuję się niepewnie. Rzeczywiście jest coś terapeutycznego w rytuale starannego odmierzania, ważenia, przesiewania i mieszania. Trzymam zaciśnięte kciuki, żeby córka zechciała do mnie dołączyć. – Wybacz, nie mam dzisiaj nastroju do pieczenia. – Dalej wbija wzrok w sufit.

– Nawet pierniczków? Albo muffinek? Mogłybyśmy zrobić te ekspresowe, z kubka.

– Skoro masz ochotę na muffinki, dlaczego nie zamówisz z tej cukierni w supermarkecie? Dowożą do domu. Wszyscy u nich kupują.

– Może zajrzę na ich stronę... – Wiem, że tego nie zrobię.

Przez całe popołudnie zerkam na zegarek, bo uznałam, że dopiero o osiemnastej wypada otworzyć butelkę wina. Od dzieci wiem, że Jake pojechał się spotkać z dyrektorem nowej szkoły, ale nie mam pojęcia której ani też nie mogę się z nim skontaktować – nie odbiera, kiedy dzwonię. Zakładam, że na pierwszy ogień poszła miejscowa szkoła prywatna, lecz pewności nie mam. Równie dobrze mógł się umówić w Eton albo w Cheltenham. Nic mnie już nie zdziwi. Jestem poirytowana. Jake nie powinien oglądać szkół beze mnie i bez dzieci.

Zjawia się w domu, gdy zdążyłam wypić jedną trzecią wina. Opowiadam mu, że Ellie zmusiła mnie do wzięcia urlopu. Spodziewam się jakiejś mało taktownej uwagi o tym, jak to dobrze, bo będę bardziej elastyczna, dzięki czemu częstsze wyjazdy nie będą problemem.

Tymczasem Jake zaskakuje mnie pełnym zrozumienia i współczucia komentarzem:

– Och, Lexi. Tak mi przykro. Wiem, ile znaczy dla ciebie ta praca.

Siedzę przy stole w kuchni i gładzę opuszkami kieliszek. Jake staje za moimi plecami, zaczyna mi masować ramiona. W pewnym momencie nachyla się i z uczuciem całuje mnie w kark.

– Dziękuję. – Wiem, że to właściwa chwila, aby powiedzieć mu, że oddałam trzy miliony funtów. Milczę jednak.

Jake odrywa się ode mnie, po czym klaszcze w dłonie.

– No dobrze. Kto dzisiaj gotuje? Nikt? W takim razie zjemy w restauracji. – Zanim zdążę zareagować, już jest w korytarzu i woła dzieci: – Emily, Logan, jedziemy do Londynu! Znajdziemy jakąś fajną knajpę i będziemy jedli i pili do oporu.

Dzieciom nie trzeba powtarzać dwa razy. Słyszę, jak tupią mi nad głową, biegnąc na wyścigi do łazienki. Jake wraca do kuchni. Jest rozpromieniony.

– Emily musi się pokazać w nowych ciuchach, prawda?

Jak to zwykle u nas bywa, entuzjazm dzieci nie trwa długo. Początkowa ekscytacja dość szybko mija, po czym Logan się oburza, że musi włożyć szkolne buty, ponieważ Jake ma na oku lokale, w których obowiązuje dress code i trampki na pewno nie są mile widziane. Później Emily przechodzi mały kryzys w związku ze swoją twarzą, nie dowierzając nam, że makijaż skutecznie zakrywa jej sińce.

– Praktycznie nic nie widać.

Ma rację, nie wierząc nam. Gruba warstwa podkładu, w zamierzeniu kryjąca obrażenia, tylko bardziej przyciąga oko, ale ani Jake, ani ja nie mamy zamiaru tego przyznać, z obawy że szczerłość w tym przypadku doprowadziłaby tylko do eskalacji paniki.

– Niezła stylówka – rzuca Jake. – Wyglądasz zupełnie jak te modelki z lat dziewięćdziesiątych. No wiesz, Kate Moss...

– Jake, to przestało być modne dekady temu, a poza tym chyba nie chciałbyś, żeby był to look, do jakiego aspiruje nasza córka?

Mój mąż puszcza oko do Emily, ona zaś – rozumiejąc bądź nie rozumiejąc, że jej ojciec poczynił aluzję do anarchistycznej wizji piękna kojarzonej z narkomanią – pokazuje zęby w uśmiechu i pędzi do drzwi.

Wzywamy ubera. Podczas jazdy Jake dzwoni w parę miejsc i w końcu rezerwuje nam stolik w restauracji, która nosi nazwę @. Nie Małpa, tylko @. Już to mówi mi, że lokal będzie tak modny, że aż przerażający. Jake dodaje, że obecnie @ jest najdroższą restauracją w całym Londynie.

– Można śmiało powiedzieć, że chodzą tam tylko oligarchowie i ci, których firmy mają gigantyczny fundusz reprezentacyjny. Na miejsce trzeba czekać trzy miesiące, ale jak powiedziałem, że wygraliśmy w lotto, stolik znalazł się natychmiast.

– Ekstra! – komentuje Logan, a ja się zastanawiam, czy nasz syn znajdzie w menu coś, co przypadnie mu do gustu. Jak każdy chłopiec w jego wieku zajada się burgerami i frytkami, a od święta godzi się na stek i frytki.

Nie sposób nie być pod wrażeniem. Sufit wisi dziesiątki metrów nad nami, sala jest olbrzymia. W takie miejsca się chodzi, aby się pokazać. I pooglądać innych. Wszystkie stoliki są okrągłe, ale my dla większej prywatności dostajemy prywatną lożę, też z okrągłym stołem. Zgaduję, że jest ona zawsze w rezerwie, na wypadek gdyby lokal chciała zaszczyścić jakąś gwiazdą muzyki czy filmu albo inny VIP, od których musi się tutaj roić. Siedzisko jest granatowe, blat złoty. Powinno to wyglądać okropnie, tandetnie i krzykliwe, ale muszę przyznać, że prezentuje się niezwykle, luksusowo i oszałamiająco. W całym pomieszczeniu pełno jest zwiewnych

materii w różnych odcieniach, ewidentnie nawiązujących do epoki, która dawno przeminęła.

– Czuję się jak na planie *Wielkiego Gatsby'ego* – mówi Emily, chichocząc.

Kompletnie zapomniała, że jest kontestującą wszystko nastolatką, i okazuje swój zachwyt na rozmaite sposoby. Oczywiście bardzo mnie to cieszy. Każdy rodzic wie, że udany wieczór zależy od nastroju dziecka, czuję więc ogromną ulgę, że Emily jest uszczęśliwiona. W jej życiu wiele się dzieje i powinnam wiedzieć coś więcej na ten temat, lecz ja też nie narzekam na brak wydarzeń, przez co nie udało mi się jeszcze dotrzeć do sedna.

Kelner przynosi duże menu grubości miesięcznika. Co rusz natykam się na nieznane mi składniki, ale to nic. W końcu udaje nam się złożyć zamówienie, a to głównie dzięki pomocy obsługi, która na szczęście jest bardzo przyjazna i nie uważa – jak większość osób zatrudnionych w gastronomii – że pracuje za karę albo po to, by peszyć klientów.

Jake upiera się przy szampanie. Odkąd wygraliśmy, nie zamawia niczego innego.

– Weźmy po lampce – proponuję. – W ten sposób będziemy mogli w każdej chwili przerzucić się na wino.

Mój mąż wzrusza ramionami, ale nie sprzeciwia się sugestii. Rzuca mi tylko spojrzenie, jakbym oszalała, po czym reflektuje się błyskawicznie i próbuje znów przybrać neutralny wyraz twarzy. Wiem, wiem przecież, że stać nas na najlepszego szampana, w gruncie rzeczy moglibyśmy się w nim kąpać, ja jednak mam ochotę na wino.

Przy kieliszkach, gdy czekamy na posiłek, zwracam się do Jake'a:

– Dzieci mówiły, że oglądałeś dzisiaj jakąś szkołę... Nie spodziewałam się, że zajmiesz się tym od razu.

– A po co zwlekać? Zatelefonowałem do Coopers School i dyrektorka od razu zgodziła się ze mną spotkać. – Oddycham z ulgą; Coopers School mieści się w naszej okolicy. Bałam się, że Jake zaszalał i postanowił posłać dzieci do szkoły z internatem. – Uznałem, że lepiej kuć żelazo, póki gorące. Poza tym wiem, że nie lubisz, kiedy obijam się po domu.

To akurat prawda. Nie wypada mi teraz besztać go za wykazanie inicjatywy.

– I jak tam jest?

– Pięknie. Wspaniale. Wszystko wydaje się nie z tego świata. Mają własną scenę, laboratoria językowe, laboratoria do przedmiotów ścisłych, salę muzyczną...

– Zapiszcie mnie tam – wtrąca Emily.

– Przecież w naszej szkole też wszystko to jest – opiera się Logan. Z jego głosu bije niechęć.

– Może, ale nie tak duże, nie tak dobre ani nie tak błyszczące. – Jake wybucha śmiechem, wypija duszkiem szampana i gestem prosi o następny kieliszek. Spojrzeniem pyta, czy dla mnie też, ale ja ledwie zamoczyłam wargi w musującym nektarze. – Ich scena to właściwie prawdziwy teatr, z garderobami, oświetleniem i nagłośnieniem. A laboratoria są nowocześniejsze niż wszystko, co widziałeś. W sali muzycznej było tyle instrumentów, że nazw połowy albo i więcej nawet nie znam. No i strona sportowa, synu...

– Tak? – Logan się ożywia.

Jake doskonale wie, którą strunę trącić, muszę mu to przyznać.

– Serio, mają wszystko! Basen olimpijski, pełnowymiarowe boiska do piłki nożnej i rugby, sztuczna trawa czwartej generacji, siatki do krykieta, korty do squasha, korty tenisowe, siłownia. Szkoda, że tego nie widziałeś.

Właśnie. Logan powinien był tam pojechać. Jak my wszyscy.

Pojawiają się przystawki. Przerywamy rozmowę, żeby dać wyraz naszemu zachwytowi nad tym, co mamy przed sobą. Nie przesadzając, są to dzieła sztuki. Kelner pyta, czy potrzebujemy czegoś jeszcze; Logan prosi o ketchup. Mężczyzna o dziwo nie blednie.

Po dłuższym zamieszaniu, gdy słyhać tylko odgłosy żucia, Jake wraca do tematu:

– Mają wolne miejsca. Moglibyście się przenieść tuż po feriach.

– Co? Tak szybko? Nie, to niemożliwe – reaguję instynktownie, mimo że nie mam w zanadrzu żadnych argumentów przeciwko temu pomysłowi.

– Dlaczego? Dobrze im zrobi, jeśli zapoznają się z nowym miejscem przed wakacjami. Dzięki temu nawiążą przyjaźnie i będą mieli się z kim spotykać latem. Z osobami wartościowymi – dodaje mój mąż, wymownie spoglądając na zrujnowaną twarz Emily.

– Jak to: mają wolne miejsca? Do takiej szkoły powinny się ustawiać kolejki. To znaczy, gdyby była dobra...

– Oczywiście, że jest lista oczekujących na przyjęcie. – Jake się szczerzy. – Ale w rozmowie ze mną dyrektorka wspomniała o swoich planach powiększenia biblioteki. Natychmiast wypisałem czek.

– Co zrobiłeś? – Cała się jezę.

– Lexi, tak kręci się ten świat.

– Czy to oznacza, że nie polecimy do Nowego Jorku? – pyta Emily.

– Chyba trzeba będzie odwołać rezerwację – potakuje Jake.

– Jak to? Nie ma mowy! – protestuje zaciekle nasza córka.

– No dobrze, przesunąć. Na lato. Mama ma rację, potrzebna wam rutyna. Postarajmy się jak najszybciej rozpocząć nowe życie.

Dzieci obdarzają mnie chmurnym spojrzeniem, a ja się dziwię, że cała wina spadła na mnie.

– Jeśli odwołamy urlop, dostaniemy zwrot zaliczek? – pytam.

– Hotel powinien zwrócić to, co już wpłaciliśmy...

– A linie lotnicze?

– Nie jestem pewien.

Emily wygląda na zdruzgotaną, chcę więc poprawić jej humor.

– Skoro nie muszę chodzić do pracy ani martwić się o urlop, moglibyśmy przyspieszyć wylot. Co powiecie na najbliższy tydzień?

– Zastanawiałem się nad tym, ale doszedłem do wniosku, że to by było za dużo szczęścia naraz – mówi Jake. – Chyba faktycznie przyda nam się chwila oddechu, jak mówiłaś. Oswójmy się z nową rzeczywistością. Będziemy potrzebowali czasu na kupno mundurków szkolnych i takich tam, zrobi się nerwowo. – Zdumiewa mnie ten nagły zwrot. Chyba mam głupią minę, bo szybko dodaje: – O co chodzi? Myślałem, że to po twojej myśli. Że będziesz zadowolona.

Jestem. Przynajmniej w głębi ducha, tak myślę. Faktycznie uważam, że przyda nam się chwila oddechu, i z całą pewnością nie wypatrywałam z utęsknieniem szaleństwa zakupowego na nowojorskiej Piątej Alei, które planowała nasza córka. Mimo to chętnie bym zwiedziła Ellis Island i zobaczyła Statuę Wolności. Poza tym nie lubię łamać obietnic złożonych dzieciom.

Jakby czytał w moich myślach, Jake rzuca:

– Dzieciaki to przeboleją. Zresztą niczego nie odwołujemy na dobre, tylko przesuwamy. – Odwraca się do Emily i Logana z przyklejonym do twarzy uśmiechem milionera. – Latem będziemy mieli więcej czasu, tak że zostaniemy dłużej, by zaliczyć też Zachodnie Wybrzeże i Los Angeles.

– Los Angeles! Naprawdę? – Emily zdaje się spacyfikowana.

– Pójdziemy zobaczyć wytwórnię filmową – kusi Jake. Logan łapie się na haczyk. Mój mąż nie musi mówić nic więcej. Udobruchał oboje dzieci.

Machnęły ręką na urlop. Przystały na nową szkołę. W mgnieniu oka. Osiągnął wszystko, co sobie zamierzył. Ale to jeszcze nie koniec. – Wiesz, co sobie pomyślałem? – zwraca się do mnie.

– Co?

– Powinniśmy wyprawić przyjęcie.

– Przyjęcie?

– Przecież nikt nie ma urodzin.

– Przyjęcia są nie tylko urodzinowe, Logan – tłumaczy synowi Jake. – Ja mówię o przyjęciu pożegnalnym. Zaprosilibyście wszystkich swoich starych przyjaciół ze szkoły, a ja zdobyłbym listę waszych nowych kolegów i przy pomocy dyrektorki zorganizował ich obecność...

– Postradałeś rozum? To się nie uda! – wpadam mu w słowo. Powody są tak oczywiste, że nawet ich nie wymieniam. Dwie grupy nastolatków z różnych szkół i różnych środowisk. Z czego połowy nigdy nawet nie widzieliśmy na oczy. Czemu w ogóle mieliby przyjąć zaproszenie? Zdumiewa mnie, że Emily nie przekreśliła tego pomysłu z góry.

– Wszystkich starych przyjaciół? – pyta z czymś na kształt ciekawości.

– Tak. Urządzilibyśmy wielką odjazdową imprezę. – Choć nie mówi tego wprost, wyczuwam, że Jake'owi chodzi raczej o przyjęcie z okazji wygranej, którym utrże ludziom nosa, chwając się na prawo i lewo świeżo zdobytym bogactwem.

– I moich też? – dopytuje Logan.

– Jasne! – Jake mierzwi mu włosy. – Twoich, mamy, moich. Zaprosimy każdego, kogo znamy.

Nie podoba mi się, że muszę grać rolę złego policjanta, ale ktoś powinien wytknąć wady tego planu – oczywiście dla mnie, ale jak widać, nie dla pozostałych.

– I sądzisz, że wszyscy się pojawią?

– Moi starzy przyjaciele bez wątpienia – rzuca Emily, zapewne wykluczając z tego grona Ridleya i Megan. Ci dwoje raczej nie potwierdziliby swojej obecności, nawet gdybyśmy wysłali im zaproszenia, czego na pewno nie zrobimy, już moja w tym głowa.

– No tak – podejmuję – ale mowa także o nowych przyjaciółach. I tutaj mam wątpiwości. Nic o nich nie wiemy. Nie mamy pojęcia, jacy są.

– Nie znam nikogo, kto by nie chciał się pokazać na czadowym przyjęciu – upiera się Jake.

– Hm, naprawdę? Nawet wśród nastolatków?

Jake jest blisko z dziećmi, musi mieć świadomość, że w grupie rówieśniczej tworzą się kliki i kółka, znaczenie mają mody i trendy, liczy się status socjoekonomiczny, stara dobra nieśmiałość też ma co nieco do powiedzenia. Nie każdy jest cool. A wszystko to może zepsuć nawet najlepiej pomyślaną imprezę.

– Myślę, że jak będzie co pić, nikt nie będzie narzekał – stwierdza Emily.

– Masz piętnaście lat, alkohol na pewno nie poleje się strumieniami. Zresztą ty nie pijesz.

– Taaa, dziwaczka z ciebie – wtrąca Logan.

Emily rzuca mu ostre spojrzenie, a ja odruchowo go upominam:

– Nie dogryzaj siostrze.

– Nie dogryzam jej. Mówię, jak jest. Do szesnastych urodzin zostały jej tylko dwa miesiące, a wciąż nie bierze do ust nawet kropli. Inni w jej wieku piją. Emily to dziwaczka i nie chodzi mi o to, że inni mają ją za dziwaczkę, co też jest prawdą, ale że faktycznie jest dziwaczką. Na poparcie mam statystykę. – Logan dalej macza frytki w ketchupie i wpycha je sobie do ust, najwyraźniej nieświadom, jaką zbrodnię popełnia.

Sytuację ratuje Jake. Jego lekkość bycia i urok często pomagają, gdy trzeba zneutralizować złą krew między dziećmi.

– A ja uważam, że jak przyjęcie jest czadowe, to każdy przyjdzie. Tak, to oznacza też alkohol – puszcza oko do Emily, po czym przenosi spojrzenie na mnie i posyła mi pokrzepiający uśmiech – ale wydzielany z głową. – Mój mąż potrafi nastawić do siebie pozytywnie nawet tych, którzy stoją po dwu stronach barykady. – Dlatego musimy się postarać, żeby impreza była odjazdowa. Znany didżej, to tak na początek.

– Serio? – piszczy Emily.

– Tak, najlepiej ktoś, kto puszcza muzykę w radiu. Z tego, co wiem, występują też na uczelniach. Powinno nam się udać znaleźć kogoś, kogo twoi przyjaciele będą znali. Będą światła, parkiet, maszyna do robienia dymu, wszystko, co trzeba.

– Wow! – Oczy mojej córki stają się okrągłe jak spodki.

– I motyw przewodni. Koniecznie motyw przewodni.

– *Star Wars!* – wykrzykuje z podnieceniem Logan.

Jake i Emily nie zaszczycają go nawet spojrzeniem. Jake kontynuuje jakby nigdy nic:

– Kolor albo... świat podwodny albo... karnawał albo... – rozgląda się wokół w poszukiwaniu inspiracji – *Wielki Gatsby!*

– Karnawał! – podchwytuje Emily i szczerzy się w uśmiechu. – Wynajęlibyśmy diabelski młyn i karuzelę...

– I nadmuchiwany zamek? – Logan cały promienieje. Wciąż jest w nim dużo z dziecka, które chce skakać w górę i w dół dla samej radości skakania. Obawiam się, że Emily zaraz go zgasi jakąś kąśliwą uwagą, ale chyba sama wciąż jest trochę dzieckiem, które potrafi docenić zabawę, bo tylko kiwa głową.

Albo skądś wie, że skacząc niekontrolowanie, impulsywnie, można też flirtować. Czy w ogóle rozpatruje flirt z kimś nowym? Co myśli i czuje w związku z Ridleyem i Megan? Nie mam pojęcia, a powinnam to wiedzieć. Wczoraj się zarzekała, że ich nienawidzi, ale to brzmi zbyt prosto, aby mogło być prawdą. Dzisiaj z kolei jest jakby rozgorączkowana, niespokojna. Co to może znaczyć? Czyżby się bała tamtej dwójki? Nastolatki potrafią być zdumiewająco odporne, a przy tym też straszliwie bezbronne. Bezwiednie się zastanawiam, czy Emily świadomie tłamsi uczucia, których nie rozumie.

– Moglibyśmy mieć maszynę do waty cukrowej, girlandy lampek, namiot w kształcie cyrkowej kopuły... Urządzać biegi w workach i...

Wspaniale jest widzieć ją tak rozentuzjasmowaną, szczególnie po tym, co ostatnio przeszła. Czuję się podle, wylewając jej na głowę wiadro zimnej wody, ale naprawdę uważam, że plany zaszły za daleko. Oczywiście nie mogę wiedzieć na pewno, że to rozdawanie designerskich torebek skłoniło Megan i jej minionki do napaści, ale coś mi mówi, że tak właśnie było. Zazdrość to podstępna, zaraźliwa choroba. Obawiam się, że wyprawienie wielkiego przyjęcia, w którego centrum się znajdziemy – zupełnie jakbyśmy krzyczeli: „Patrzcie wszyscy na nas!” – nie sprawi, że nasi znajomi, sąsiedzi i współpracownicy będą z nami świętowali wygraną. Prędzej jeszcze bardziej nas znienawidzą.

– Nie mamy na to wszystko miejsca – mówię. – Diabelski młyn nie zmieści się w naszym ogrodzie.

Mój najbliżsi odwracają się do mnie i wybuchają śmiechem. Nawet Logan.

– Wynajmiemy teren, jakieś pole czy coś, to zrozumiałe.

– No tak, to zrozumiałe.

Wypijam duszkiem szampana, po czym nawiązuję kontakt wzrokowy z kelnerem. Chyba jednak zamówię tę butelkę. Znosi się na długi wieczór.

24

LEXI

PIĄTEK, 10 MAJA

Odkąd wygraliśmy w lotto, kolejne dni przypominają fajerwerki – eksplodują, rozbłyskują, migoczą przez jakiś czas, po czym gasną. Upływają chaotycznie; nie ma w nich żadnego porządku, czas traci znaczenie, chwilami wręcz biegnie w poprzek. Rutyna odeszła w niepamięć. Niespodziankom nie ma końca. W piątek także nie wyprawiam dzieci do szkoły ani męża do pracy, sama też nie wychodzę z domu podekscytowana, że w biurze będę tylko do dwunastej (całe popołudnie wolne!), i spanikowana, jak upchnę tyle obowiązków w kilka godzin. Do szkoły idzie tylko jedno z dzieci; mąż i ja nie pracujemy. Przyzwyczajona do podziału dnia na półgodzinne odcinki (tyle zwykle trwa jedno spotkanie z petentem), mam wrażenie, że rozciąga się przede mną gnuśna wieczność. Tym bardziej więc się cieszę, że mam dziś coś do zrobienia. Umówiliśmy się z doradcą finansowym, który ma nam pomóc zainwestować nasze miliony. Nie do wiary.

Jake i ja siedzimy w przestronnym szklanym atrium, wpatrzeni w ośmiometrową ladę recepcyjną, za którą siedzą aż cztery recepcjonistki

wyjatkowej urody. Za ich plecami widać ścianę żywej zieleni, która choć pnie się na co najmniej dziesięć metrów, i tak nie sięga do sklepienia. Jest tyle tematów, o których chciałabym porozmawiać z mężem; wiszą pomiędzy nami ciężkie niczym kadzidło, milczące i bezbarwne, ale zarazem nachalne. Dziś rano otrzymałam esemesa od najstarszego z braci Jake'a. Hugh napisał, ile wynosi ich kredyt hipoteczny na tę chwilę, i podał numer swojego konta. Nie miałam pojęcia, że Jake poprosił o jedno i drugie, kiedy zadzwonił do Hugh z dobrą nowiną, ale cóż, może faktycznie to zrobił. Oczywiście mamy zamiar spłacić hipoteki obu braci Jake'a, ale nie na miejscu wydaje mi się taka pewność mojego szwagra, a już nieprzeciętnie irytuje mnie fakt, że nie owijając w bawełnę, poprosił, aby płatności dokonać przed końcem miesiąca, ponieważ zdążył już anulować stałe zlecenie. W dodatku użył sformułowania „cała kwota”, zapisując je drukowanymi literami.

Nie cierpię, gdy ktoś używa drukowanych liter w esemesie.

Od dwudziestu dni zmagam się ze skutkami wygranej. Nie miałam pojęcia, jak męczące będzie radzenie sobie z emocjami innych ludzi: ich zazdrością, niedowierzaniem, nieufnością. Ciągle jest mi gorąco, jakbym wchłaniała ciepło wbitych we mnie wytężonych spojrzeń.

Toma... Pragnę opowiedzieć o nim Jake'owi. Wszystko od samego początku. O naszej sekretnej misji, która doprowadziła do odkrycia, kto ostatecznie stał za śmiercią jego żony i syna, jak również o relacji, która w wyniku tych działań wytworzyła się między nami. Pragnę powiedzieć Jake'owi, że darzę tego obcego przecież mężczyznę szacunkiem – gdyż robiąc to, rozbroję tykającą bombę. Nie wiem jednak, od czego zacząć. Przede wszystkim powinnam chyba powiedzieć mężowi o przelanych trzech milionach... Przypuszczam, że Jake się wścieknie, że nie zrozumie. Wytknie mi, iż nie mogę naprawiać win innych ludzi, szafować

rekompensatą. „Nie możesz bawić się w Boga, Lexi”, powie. Potrafię przewidzieć, jakich argumentów użyje, ale sama nie mam właściwie żadnych.

Żeby się odezwać, pytam:

– Myślisz, że to prawdziwe rośliny?

– Nazywa się to ścianą żywej zieleni, więc chyba tak. Powinniśmy sobie taką sprawić.

– Po co nam ściana zieleni?

– Nie wiem. A po co komukolwiek? Grunt, że ładnie wygląda. – Widząc, że ten element wystroju wewnątrz nie robi na mnie wrażenia, Jake dodaje: – I produkuje tlen. Wyobraź sobie, jakie ilości...

– Jakoś nie wyobrażam sobie czegoś takiego w naszym salonie.

Mój mąż wybucha śmiechem.

– To jeden z powodów, dla których musimy się przeprowadzić. Nowy dom powinien odzwierciedlać to, kim teraz jesteśmy.

Ja jestem sobą. Nie zmieniłam się od wygranej. Ani na lepsze, ani na gorsze. Nie stałam się kimś innym ani też nie umiem sobie wyobrazić życia gdzie indziej. Nic nie każe nam się przeprowadzać. Może moglibyśmy rozbudować nasz dom? Kupując go lata temu, niezobowiązująco założyliśmy, że gdy Jake poczuje się pewniej w pracy, dołożymy oranżerię i jeden pokój na górze. Bardzo by mi to odpowiadało. A dodatkowa przestrzeń z pewnością by się przydała.

Dołącza do nas Gillian. Jak zwykle cieszę się z jej obecności. Będzie przewodniczyła spotkaniu z doradcami, co działa na mnie budująco. Na spotkaniu zjawi się doradca finansowy, prawnik i księgowy. Mglicie coś mi świta, że opłacamy co najmniej ostatnią dwójkę, a może wszystkich troje? Nie orientuję się, jak przeprowadza się takie sprawy. Czy ci doradcy dostają prowizję od każdego sprzedanego nam produktu? Zwykle się

słyszcy, że doradcy finansowi są wolnymi strzelcami, niezależnymi od instytucji finansowych, co by znaczyło, że tak naprawdę płacimy z góry za ich wiedzę. Nie mam pojęcia, jakie są stawki w tej branży. Niemałe, sądząc po rozmiarach i klasie biurowca, w którym się znajdujemy. Jake stwierdził, że stać nas na to, nie ma zatem powodów do zmartwienia, co zapewne jest prawdą. Zazdroszczę mu tego, z jaką łatwością przystosował się do nowych warunków. Wprost emanuje radością i nie odczuwa najmniejszego skrepowania. Nie ma żadnych wyrzutów sumienia, żadnego poczucia odpowiedzialności. Nie tworzę problemów celowo, po prostu zawsze pilnowałam kosztów i wydatków, a że nieraz korzystałam z promocji typu „zapłać za jedno, drugie dostaniesz gratis”, nawet gdy chodziło o danie w barze, trudno mi nagle się pogodzić, że mam bezgraniczny dostęp do takiej ilości gotówki. Miałam w zwyczaju robić rekonesans przed kupieniem czegokolwiek, zbierać oferty i porównywać je przed dokonaniem wyboru. Nie wstydziłam się wręczać przy kasie kuponów rabatowych, zbierałam punkty lojalnościowe na co najmniej dziesięciu różnych kartach. Musiałam to robić, a teraz nie wiem, jak się zmienić.

Z tego, co słyszę, na spotkaniu nie będzie pani Walsh, tylko inny prawnik, ponieważ każdy z nich specjalizuje się w innej dziedzinie. Cieszy mnie to, ponieważ chcę jak najszybciej zapomnieć o sprawie tamtego przesłuchania i bynajmniej mi się nie śpieszy, by znów stanąć oko w oko z panią Walsh, mimo że okazała się dobrym adwokatem.

Stukając obcasami po marmurowej posadzce, zbliża się do nas recepcjonistka. Spódnicę ma tak wąską, że aby się poruszać, musi stawiać jedną nogę przed drugą, przez co jej wydatne biodra się kołyszą. Jest fascynująca, o japońskich korzeniach, z alabastrową cerą i długimi czarnymi włosami, które opadają jej falami na plecy. Zdążyłam zauważyć, że piękno idzie w parze z bogactwem. Wszystkie ekspedientki przy New

Bond Street były zachwycające – wysokie, proporcjonalnie zbudowane, zadbane i porażające urodą. Dotyczy to także nielicznych mężczyzn ekspedientów. Ciekawe, czy to jeszcze jedna korzyść z bycia zamożnym? To, że gdziekolwiek człowiek się ruszy, napotyka supermodelki i supermodeli. Ludzie, z którymi ja mam na co dzień do czynienia, są zdecydowani zwyklesji.

Poprawiam skraj nowej spódnicy. Była oczywiście strasznie droga, a kupiłam ją, ponieważ Emily nie dawała mi spokoju. Drukowana w wykwintny niebieski abstrakcyjny wzór, przylegająca ściśle do ciała, spływa mi wdzięcznie po kolanach i łydkach. Kupując ją, nie pomyślałam o butach do kompletu i dziś przy ubieraniu się uświadomiłam sobie, że żadna stara para nie będzie pasować. Ostatecznie zdecydowałam się na czarne sandały na koturnie, które oczywiście nie są idealne. Emily zaczęła sporządzać listę rzeczy, których jej zdaniem potrzebuję. Najnowszy dopisek na niej to „niebieskie czółenka”.

– Zechcą państwo pójść ze mną? Zaprowadzę państwa na górę do salki konferencyjnej. – Uśmiechając się, recepcjonistka pokazuje perłowobiałe proste zęby.

Przejeżdżam językiem po swoich, mając nadzieję, że nie rozsmarowała się na nich szminka. Kiedy winda wiezie nas na piętnaste piętro, Jake zabawia recepcjonistkę rozmową. Jak się okazuje, marzy o odwiedzeniu Tokio. Jak długo go znam, nigdy o tym nie wspominał. Przewracam w duchu oczami, lekko poirytowana tą całkowicie niestosowną próbą flirtu. Ujmuję jego dłoń i ściskam lekko. Osoba postronna mogłaby to wziąć za przejaw uczucia, ale on powinien wiedzieć, że to ostrzeżenie.

Sala konferencyjna okazuje się pełna elegancko ubranych mężczyzn. Uśmiechy, którymi nas witają, są równie profesjonalne jak uśmiech recepcjonistki. Do niedawna nie miałam pojęcia, że uśmiech może być

profesjonalny; dzieliłam je raczej na ciepłe, szerokie, szczerze i nieszczerze. Ściany pomieszczenia wyłożono ciemnym drewnem, czyżby mahoniem? Na długim szklanym blacie znajdują się dwie skomplikowane dekoracje kwiatowe oraz talerz z kolorowymi makaronikami, których oczywiście nikt nie tknie. Jedzenie podczas takich spotkań jest uważane za faux pas. Przez moment żałuję, że nie mogę zabrać kilku dla Logana, ale zaraz sobie przypominam, że jeśli zachce mu się makaroników, możemy kupić całą ich ciężarówkę. Recepcjonistka przekazuje nas w ręce mężczyzny imieniem Jeb, który będzie naszym gospodarzem, po czym sama znika. Bez jej uroku w sali konferencyjnej robi się jakby chmurniej. Jeb proponuje herbatę, kawę, wodę – gazowaną albo niegazowaną. Gdy już każdy ma delikatną filiżankę z chińskiej porcelany i ciężką kryształową szklanę, Jeb wycofuje się dyskretnie w róg pomieszczenia. Zasiada tam z iPadem, jakby miał pełnić funkcję stenotypisty. Za moich młodych lat robiła to zazwyczaj sekretarka, ale czasy – jak widać – się zmieniły. Przenoszę wzrok na eleganckich mężczyzn przy stole i biorę głęboki wdech.

Pada natłok informacji. Doradca finansowy opowiada o zarządzaniu ryzykiem, ale też przedstawia możliwości rozwoju, wplatając w swoją mowę określenia takie, jak „trusty”, „papiery wartościowe”, „akcje”, „opcje”, „dywersyfikacja wzrostu globalnego”, „inwestorzy kapitałowi”, „udziały w zyskach”. Znam znaczenie poszczególnych słów, ale nie jestem pewna, czy rozumiem je w kontekście. Serce wali mi tak, że wszyscy obecni chyba to słyszą. Boję się, że ktoś zaraz zapyta, ile właściwie mamy pieniędzy, i będę musiała się przyznać, że Toma dostał ode mnie trzy miliony. Nie żałuję tego, ale czuję, że powinnam była powiedzieć o tym Jake’owi. Powinnam mu powiedzieć, zanim dowie się skądinąd. Jeśli ja mu powiem, chyba okaże się bardziej wyrozumiały, na to przynajmniej liczę.

Sama już nie wiem.

Czy ja okazałabym wyrozumiałość, gdybym wysłuchała spowiedzi osoby winnej, zamiast samodzielnie odkryć jakiś szokujący fakt? A może i tak poczułabym wściekłość i chęć zemsty? Zerkam na Jake'a. Siedzi pochylony do przodu jak pilny uczeń. Emanuje pewnością siebie, której brakowało mu przez lata. Ja dostrzegam w tej postawie arogancję, nic jednak nie mówię.

Za księgowym jest mi łatwiej nadażyć.

– Dobrą stroną grania w lotto w Wielkiej Brytanii jest to, że wygrana... jakkolwiek duża by była... nie podlega podatkowi od zysków kapitałowych ani podatkowi dochodowemu.

– Tak myślałem! – wykrzykuje Jake, wyrzucając jedno ramię w powietrze. – Jesteśmy podwójnymi zwycięzcami!

– Czy to nie dziwne, gdy się nad tym zastanowić? – wtrącam. – Do tej pory zarabialiśmy razem pięćdziesiąt sześć tysięcy funtów rocznie i musieliśmy odprowadzać z tego znaczącą kwotę, a teraz, gdy dostaliśmy taką masę pieniędzy, podatek nas nie obowiązuje.

– Narzekasz, że nie musimy płacić podatku? – pyta Jake, po czym wybuchają śmiechem. Jego śmiech jest wymierzony we mnie.

– Nie, skądże. Po prostu poczyniłam uwagę – mówię obronnym tonem.

– Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby – mruczy jeszcze mój mąż.

– Nie zaglądam, po prostu... Cóż, wychodzę z założenia, że podatki powinien płacić każdy. Według mnie to przywilej. Obowiązek fiskalny oznacza, że ktoś osiąga dochód i że może się świadomie podzielić tym dochodem ze społeczeństwem... – Urywam, ponieważ widzę, że Jake wcale mnie nie słucha.

Kręci głową i szczyrzy się do księgowego, który zdołał utrzymać na twarzy uprzejmy, neutralny wyraz.

– Proszę nie zwracać uwagi na moją żonę. Jedźmy dalej.

Księgowy rzuca mi przepaszające spojrzenie. Nie sędzę, aby miał za co przepaszać, szczególnie że to Jake zachował się niekulturalnie, ale nie zamierzam tego wywlekać przy obcych. Zmuszam się do tego, by dla załagodzenia sprawy posłać księgowemu uśmiech, tym samym pozwalając mu ciągnąć wątek.

– Aczkolwiek gdy już państwo zdeponują wygraną na koncie i pieniądze zaczną generować odsetki, te ostatnie będą już podlegały obowiązkowi podatkowemu.

– Zadowolona? – rzuca do mnie Jake.

Ignoruję go.

– W państwa sytuacji całkowicie naturalne jest dzielenie się wygraną i robienie darowizn...

Jake wpada księgowemu w słowo:

– Taaa, racja. Nie zamierzamy być sknerami.

– W takim razie przyjrzyjmy się, jak to będzie wyglądało w kontekście podatków... – zagaja księgowy.

Jake wzrusza ramionami, jakby go to nie interesowało. Pewien, że ile byśmy musieli zapłacić, mamy z czego.

– Proszę mówić – ponaglam chrapliwie. Gardło mam ściśnięte, słowa przechodzą przez nie z trudem. Nie byłam świadoma podatku od darowizn. Muszę się uważnie wsłuchać, na wypadek gdyby Toma miał poczynić pewne kroki.

– Mogą państwo rozdać, komu chcą, prezenty warte trzy tysiące funtów i obdarowany nie będzie musiał zapłacić ani pensa. Tyle wynosi kwota darowizny zwolniona od podatku.

– Trzy tysiące funtów? To dla nas teraz kieszonkowe, prawda? – Jake ponownie wybucha śmiechem. – Drobnie, które giną między poduszkami na

kanapie. – Klaszcze w dłonie i zaciera je radośnie.

Powinnam być ucieszona z jego podejścia, z tego, że nie przywiązuje się zbytnio do pieniędzy. Może się nie wścieknie, dowiedziawszy się o tych nieszczęsnych trzech milionach.

– Drobne upominki, takie jak prezenty świąteczne i urodzinowe oraz inne, na które mogą sobie państwo pozwolić z normalnego dochodu, również nie są opodatkowane. Aby uniknąć komplikacji w razie państwa śmierci, radziłbym prowadzić skrupulatny rejestr darowizn, które państwo uczynią na rzecz przyjaciół i krewnych. Dzięki temu nikt ich nie zaskoczy nagłym żądaniem uregulowania nienależnego podatku.

– Dobrze. – Kiwam powoli głową. – A co z większymi darowiznami. Jak wygląda sprawa w ich przypadku? – Pytanie kończę kaszlnięciem.

– Mamy zamiar spłacić hipoteki obu moich braci i kupić szwagierce mieszkanie. – Jake promienieje, dumny ze swojej wspaniałomyślności, niezdolny się powstrzymać, aby się nie pochwalić.

– No więc... Obdarowani muszą mieć świadomość, że gdyby państwo zmarli w ciągu siedmiu lat od uczynienia darowizny na kwotę wyższą niż trzysta dwadzieścia pięć tysięcy funtów, im przysłoby zapłacić podatek spadkowy w wysokości nawet czterdziestu procent.

Auć.

– Nie zamierzam wyciągać nóg, stary! – Jake się śmieje. – Dożyję sędziwego wieku. Wycisnę z tej wygranej, ile się da. Nie tylko zmieniła moje życie, ale nadała mu sens.

W sali konferencyjnej robi się duszno. Niezręczna cisza napiera na ściany. Zignoruj to, mówię sobie. Zignoruj... Ale uczucia biorą górę nad rozumem.

– A ja i dzieci? Nie byliśmy sensem twojego życia? – odzywam się cicho, ale z determinacją, co sprawia, że moja wypowiedź robi wrażenie.

Jake się rumieni.

– Tak, cóż, oczywiście. Chyba wiesz, o co mi chodziło – dodaje, znów ze śmiechem, ale tym razem jego wesołość nie ma w sobie nic z dobroduszości. Wyciąga rękę, żeby ująć moją dłoń, ściska ją, unosi do swoich ust, całuje. Palce mam sztywne, martwe. Podświadomie stawiam opór. – O to, że odtąd nie będziemy już musieli walczyć o utrzymanie się na powierzchni. Mamy zabezpieczenie na całe życie, my i dzieci. Odmieniliśmy także ich życie.

Księgowy opowiada dalej o podatku progresywnym, porusza temat finansów w kontekście prawa małżeńskiego i wiele innych. Staram się wszystko zapamiętać, ale tak naprawdę chciałabym, aby to spotkanie już się skończyło. Aby nie musiała słuchać o pieniądzach. Choć przez parę minut.

Wreszcie wychodzimy na zewnątrz, na londyńską ulicę. Wiatr szarpie dołem mojej spódnicy, równoległe do pieszych idących chodnikiem toczą się tuż przy krawężniku jakieś śmieci. Dzień jest chłodny, powietrze przenikliwe. Dziwna ta wiosna. W jednym momencie świeci słońce, w drugim robi się mokro i rześko. Zdarza się, że w ciągu jednego dnia mamy wszystkie pory roku. Zupełnie jakby zmienna pogoda chciała podkreślić naszą sytuację. Niemającą precedensu, nie do przewidzenia. Gillian żegna się z nami, a Jake wzywa taksówkę. Kiedy siedzimy już w środku, prosi kierowcę, aby zawiózł nas do Little Chester.

– Jasne, mogę to zrobić, ale będzie was to kosztowało parę setek.

– Nie szkodzi – odpowiada Jake, klepiąc się po kieszeni marynarki.

Dopada mnie frustracja. Mój mąż zachowuje się jak zwykły dupek.

– Zwariowałaś? – warczę. Do kierowcy zaś rzucam: – Proszę nas zawieźć na dworzec kolejowy.

Taksówkarz potakuje skinieniem, nieprzejęty, że przeszedł mu koło nosa taki zarobek. Jeśli już, poczuł ulgę; z pewnością uważa, że żadna kwota nie jest w stanie zrekompensować posuwania się w żółtym tempie po A4, M4, M25 i A41 w piątkowe popołudnie i wdychania spalin w korku.

Zapada milczenie. Sięgam do regulatora klimatyzacji, ponieważ nagle zrobiło mi się gorąco. Gapię się w okno, unikając spojrzenia Jake'a, sama właściwie nie wiem dlaczego. Czy nie powinniśmy nieustannie świętować? Gdyby Jake mógł spełniać swoje marzenia, w tej chwili otwieralibyśmy szampana, żeby napić się prosto z butelki. Kto by nie świętował w naszej sytuacji? Dobrze mówię? Na ulicy widzę brudne śpiwory, stopy wystające z za małych kartonowych domów. Wielu bezdomnych koczuje w centrum Londynu.

Jake wzdycha. Najwyraźniej jego myśli krążą w podobnych rejonach.

– Czemu wszystko utrudniasz? – pyta.

– Niczego nie utrudniam, po prostu... – Nie umiem mu tego wytłumaczyć. Samej sobie też nie.

– Zapomniałaś już, jak żyliśmy? – Z jego głosu bije cała gama emocji. Szczerłość, troska, rozsądek. Obcesowy gbur, który tak mnie denerwował, zniknął. – Ile razy budziłaś się w nocy i martwiłaś o pieniądze, o naszą przyszłość?

Jake ma rację. Wciąż pamiętam czarną rozpacz, w którą popadałam, gdy tyle różnych myśli krążyło mi po głowie. Ich masa rosła jak tocząca się lawina i jak lawina unieruchamiała mnie, odbierała mi zdolność racjonalnego rozumowania i wywoływała zamrażającą mózg panikę. W zeszłym roku ustaliliśmy, że Emily pojedzie ze swoją klasą na narty do Norwegii, a Logan – dla zachowania równowagi – na wycieczkę krajoznawczą do Włoch. Wiele nocy nie przespałam, leżąc i zonglując w głowie liczbami. Jakim cudem te wyjazdy były tak drogie, skoro

młodzież leciała samolotem przypominającym raczej wiadro z silnikiem, po czym przesiadała się na autokar? Co się stało ze zniżkami dla grup? Ale przede wszystkim: moje dzieci miałyby wsiąść do wiadra z silnikiem? To przez to nie mogłam zmrużyć oka, nie przez pieniądze. A może jednak? Czyżby pieniądze naprawdę zwiększały poczucie bezpieczeństwa? Na myśl przychodzą mi Toma, Reveka i Benke. Tak, oczywiście, że pieniądze dają bezpieczeństwo.

Po powrocie dzieci zaraportowały, że zakwaterowanie i jedzenie było okropne, ale nie miało to dla nich znaczenia, ponieważ były w towarzystwie przyjaciół, stanowiły część większej grupy, zamiast zostać w domu i spędzać ferie samotnie. Ja jednak byłam zbulwersowana. Lubię wiedzieć, za co płacę, szczególnie gdy cena jest wysoka. Z łatwością zorganizowałabym podobne wycieczki za znacznie mniejsze pieniądze. Poza tym oprócz kosztu wyjazdu (na który musieliśmy oszczędzać, często czegoś sobie odmawiając) był jeszcze koszt sprzętu. Spodnie narciarskie i kurtkę dla Emily kupiłam w TK Maxx, a i tak rachunek opiewał na setki funtów. Logan z kolei potrzebował nieprzemakalnej kurtki, butów do wspinania i porządnego plecaka. Żeby mieć za co wyposażyć syna na wyjazd, musiałam sprzedać część ubrań na eBayu. Choć nie mówiłam o tym Jake'owi, zaczęłam tam też robić zakupy, głównie dla Logana. Nie tylko T-shirty, ale też buty. Odkąd skończył jedenaście lat, jak wszyscy koledzy marzył o nike'ach. Wśród jego rówieśników w grę wchodziły wyłącznie ciuchy marek Superdry czy Jack Wills, a mnie było stać na takie tylko z drugiej ręki. Logan uwierzył mi, kiedy mu powiedziałam, że zawsze piorę nowe rzeczy przed założeniem, bo dzięki temu stają się przyjemniejsze w dotyku. Z Emily nigdy bym się na to nie odważyła. Ona wymaga metek. Za szkolne wycieczki płaciliśmy w ratach. Ostatnia rata za obie wypadła w tym samym tygodniu. Sprzedałam wtedy pierścionelek, który

babcia podarowała mi na dwudzieste pierwsze urodziny. Nikt nawet nie zauważył, że przestałam nosić mały rubin. Nikt oprócz mnie.

Zatem tak, pamiętam nieprzespane noce. Nie przymieraliśmy głodem, nie mieszkaliśmy na ulicy, ale musieliśmy być ostrożni. Byliśmy jedną z tych rodzin, które wiążą koniec z końcem. Które jakoś sobie radzą.

Teraz mamy to za sobą. Jesteśmy bezpieczni. Spłacimy swoją hipotekę, nigdy już nie dostaniemy monitu do zapłaty. To się nazywa szczęście. Powinnam czuć coś czystego, nieskomplikowanego. Radość. Bez troskę.

– Nie marzyłaś o bogactwie, Lexi?

– Kto nie chciałby być bogaty? – odpowiadam pytaniem na pytanie, zaklinając w duchu Jake'a, aby potraktował je jako retoryczne. To powszechnie znana prawda, że pieniądze rozwiązują większość problemów.

Ale też generują nowe, o czym nie zawsze się mówi.

25

EMILY

PONIEDZIAŁEK, 13 MAJA

Tata miał genialny pomysł z tym przyjęciem! To jest dokładnie to, czego potrzebuję. Przekierowanie uwagi. Niemyślenie o tym. Nie znoszę o tym myśleć. Zresztą nawet jak próbuję, to mi nie wychodzi. Czuję się wtedy tak, jakbym opuściła własne ciało. Unoszę się nad sobą i teoretyzuję: „Co ta dziewczyna powinna zrobić?”. Nie mam na to odpowiedzi. Dlatego nic nie robię. Najlepiej jest żyć chwilą. I to właśnie zamierzam. Bez oglądania się na to, co było ani co będzie. Hej, to prawie jak praktyka uważności, tylko w wykonaniu porąbanej nastolatki.

Wynajęliśmy organizatora imprez, bo mama – choć nie ma już pracy, do której musiałaby chodzić – jakoś nie dała się wciągnąć w przygotowania. W dodatku ciągle pytała, ile co kosztuje, i kazała nam zbierać po trzy oferty na wszystko, aby wybrać najkorzystniejszą. To było upierdliwe. Nie chcę być podła, ale coś mi się wydaje, że mama nie udźwignęłaby tematu i przyjęcie na pewno nie wypadłoby tak, jak chcemy tata i ja. Zgodziła się na przykład, żeby był tort, który podzielimy wszyscy razem, jako rodzina. Zaproponowała nawet, żeby miał wiele pięter, bo „każdy powinien dostać

kawałek”. Ale tata wpadł na pomysł, żeby tort był wysokości człowieka, a jego ostatnie piętro było zdejmowane, dzięki czemu zatrudniony przez nas magik będzie mógł wyjąć z kapelusza królika czy coś. Najlepiej małąkę w zielonym albo czerwonym kubraczku showmana. To dopiero jest wizja! Sami rozumiecie. Mama jednak zaczęła marudzić, że bezpieczeństwo i higiena pracy, że okrucieństwo wobec zwierząt, że jak to rozwiązać praktycznie... Inny przykład: mama myślała, że nas powali, godząc się na setkę baloników z helem, ale wtedy tata zaproponował, żeby zamówić prawdziwy balon na gorące powietrze, który byłby przymocowany do ziemi, a ludzie mogliby unosić się w nim i opuszczać dla zabawy. Wiecie, wizja... Krótko mówiąc, mama wyznaczyła budżet, który nazwała hojnym, a my go zwiększyliśmy o cztery razy.

Tak więc przyjęciem zajmuję się ja, tata i nasza organizatorka imprez Sara, a mama większość swojego czasu poświęca prośbom o wsparcie, które płyną do nas szerokim strumieniem. Co więcej, wydaje się tym podziałem obowiązków usatysfakcjonowana. Logan wrócił do szkoły. Stwierdził, że chce dokończyć semestr ze starymi kolegami, a poza tym doszedł do wniosku, że nudzi mu się w domu. Żaden z niego kujon ani święty, chodzi raczej o to, że zawsze dotąd olewał naukę, wolał wygłupiać się z kolegami i przybijać piątki na korytarzu starszym rocznikom, zamiast grać w sieci z kompletnymi nieznajomymi, z których większość to zapoceni nieudacznicy w najlepszym razie, w najgorszym zaś niewyżyci pedofile.

Impreza zapowiada się super!

Nie można tego określić inaczej. Sara jest niesamowita. Gdybym miała kiedyś pójść do pracy, to chyba chciałabym zostać organizatorką imprez taką jak ona. Ale ja nigdy nie będę musiała pracować, no nie? Sara jest kreatywna, a przy tym efektywna i bardzo profesjonalna. Wzorujemy się na *Królu rozrywki*, co oznacza motyw przewodni w postaci cyrku z lekkim

ukłonem w stronę dziewiętnastego wieku. Sara wynalazła teren, który możemy wynająć; mieści się on niecałe dziesięć kilometrów od naszego domu. Na razie nie prezentuje się jakoś okazale, ot, łąka jak łąka, porośnięta trawą i polnymi kwiatami, przechodząca w raczej upiorny lasek, za którym znajduje się jeszcze bagnisty staw. Ale Pinterest Sary pokazuje, jak to miejsce będzie wyglądało w dniu przyjęcia!

Stanie tu diabelski młyn i karuzela, jak zaproponowałam, a pomiędzy gośćmi będą się przechadzali zatrudnieni aktorzy udający magików i kobiety z brodą czy coś w tym stylu. Dla rozrywki gości urządzimy też pokaz akrobatyki na trapezie i spacer na linie. Tata zapowiedział, że ubierze się w czerwoną marynarkę i cylinder, namawia mamę, żeby włożyła sukienkę do kankana (fuj, zboczeniec, co za obrzydliwość!). Mama podchwyciła, że wszyscy powinniśmy wystąpić na czerwono, aby się wyróżniać z tłumu jako rodzina, ale to głupie – przecież nikt nie ma wątpliwości, że jesteśmy rodziną. Dlatego najlepiej, żeby mama się nie wtrącała. Tym bardziej że moją inspiracją jest Zendaya i jej kostium, nie ten odblaskowo purpurowy, który nosi na występach, lecz skromniejszy, wkładany na próby: intensywnie różowe spodnie i beżowa szmizjerka. Chcę być *cool* i zwracać na siebie uwagę, ale tak, jakbym nie włożyła w to żadnego wysiłku.

Jak ustaliliśmy na początku, na łące staną maszyny do popcornu i waty cukrowej, a także zawisną girlandy kolorowych lampek. Tata dotrzymuje danego słowa. Ponieważ nie znaleźliśmy pasiastego czerwono-białego namiotu, poprosiliśmy, żeby odpowiednio przemalowano biały, specjalnie dla nas. Główną atrakcją cateringu będzie pieczone prosię, ale nie zabraknie też budek z innymi daniami: będą naleśniki, hot dogi i burgery (choć nie wiem, czy te ostatnie wpasowują się w dziewiętnastowieczny styl, będę musiała to sprawdzić w internecie). Oczywiście będzie też bar z koktajlami

i gigantyczna wieża z kieliszkami do szampana, które napełnią się wszystkie równocześnie z wielkiej butelki. Zapowiada się trochę lepka, ale wytworna impreza!

Chyba pora, żebym zaczęła pić. Bo czemu nie? Logan ma rację, jestem dziwaczką. Co gorszego może się zdarzyć, jeśli się upiję i stracę wszelkie zahamowania – a także majtki? No, poważnie. O ile gorzej będzie? Kiedy mieliśmy mniej więcej po trzynaście lat, Ridley zaczął przynosić na prywatki alkopopy, udając, że to poncz. Wtedy jednak nie miałam ochoty zaczynać swojej przygody z alkoholem. Nie wiem, może dlatego, że często wlekałam ze sobą Logana, który jak nic zakablowałby mamie i tacie? Rodzice dostaliby szału (hipokryci, dodam, bo sami nie wylewają za kołnierz). Wkrótce potem Ridley, Megan i wszyscy, których znałam, pili czystą wódkę – odpuściwszy całkowicie etap cydru i piwa.

Mama zabroniła mi zapraszać na imprezę Ridleya i Megan. Spoko, rozumiem, czemu ich tak nienawidzi. Ja też ich nienawidzę.

W pewnym sensie.

Ale chcę, żeby byli obecni na przyjęciu. Niech Megan wszystko zobaczy – moje nowe życie, które mogła ze mną dzielić, ale oczywiście nie było jej na to stać, bo wołała zieleniec z zazdrości i zwyczajnie nie potrafiła cieszyć się moim szczęściem. To naprawdę dziwne nie mieć jej koło siebie. Do tej pory wszystko robiłyśmy razem. Wszystkim się dzieliłyśmy. Sekretami, ospą, chłopcami, szczotkami do włosów, zadaniami domowymi, błyszczkami. Ta lista nie ma końca. Wspólnie też tworzyłyśmy różne rzeczy – wspomnienia, bransoletki przyjaźni, perfumy różane... A Ridley? Też dużo nas łączyło. Zwinięci na kanapie oglądaliśmy filmy Disneya, przekonując się, że patrzymy na nie z ironicznym przymrużeniem oka, choć tak naprawdę byliśmy zachwyceni, jakbyśmy widzieli je po raz pierwszy. Graliśmy w kurczakową ruletkę w lokalach sieci Nando's, jeździliśmy

razem na zakupy do Londynu, poszliśmy we dwoje na swój pierwszy koncert.

Poczęliśmy dziecko.

Chyba będę musiała porozmawiać z Ridleyem. Tylko jak mu to powiedzieć? Sama jestem o to na siebie zła, ale tęsknię za nim. Straszna ze mnie idiotka, że nie potrafię go wykopać ze swojego łóżka i życia, jak na to zasłużył. Aż do teraz nie miałam pojęcia, że da się kogoś kochać i nienawidzić równocześnie. Brakuje mi tego uczucia lekkości, które ogarnia mnie przy Ridleyu, jakby zaraz miało mi się zakręcić w głowie. Brakuje mi jego gęstych długich włosów, ciemnych i kręconych, brakuje mi tego, jak się porusza, jego plecaka przerzuconego niedbale przez jedno ramię. Dotyku jego dłoni na moim ciele. Widoku tego, jak odrzuca głowę do tyłu, wybuchając śmiechem i demonstrując przy tym wydatne jabłko Adama. Śmiech ma najpiękniejszy, jeśli to ja go powoduję. Tęsknię do rozmów, które prowadziliśmy. „Czego się boisz najbardziej?” – zapytał kiedyś, obsypując pocałunkami moje uda i biodra. Usta miał delikatne, miękkie, gorące. Wtedy niczego się nie bałam. Niczego. To on uczynił mnie nieustraszoną. „Co za dziwne pytanie”, skomentowałam. Uśmiechnął się i przyznał mi rację: „Tak, chyba tak. Po prostu miałem nadzieję, że najbardziej ze wszystkiego boisz się mnie utracić...”. Minę miał przy tym nieśmiałą, zmieszaną. Wyszczrzyłam do niego zęby. „O to, to”, powiedziałam, żeby sprawić mu radość. Podciągnął się na łokciach i pocałował mnie prosto w usta. Wśród pocałunków wyszeptalam: „Boję się, że cię stracę i że już nigdy więcej nie zrobimy tego...”.

Momentalnie się ode mnie oderwał i wpatrzył we mnie z niesłychaną intensywnością, przewiercając mnie spojrzeniem ciemnych oczu, jakby znał mnie na wylot. „W takim razie jesteś całkowicie bezpieczna. Na niczym

więcej mi nie zależy, tylko na twoim bezpieczeństwie i żebym mógł cię chronić”.

Były to słowa jaskiniowca, ale nie przejęłam się nimi tak, jak powinnam.

Nasze rozmowy zaliczały się do tych, których nie prowadzi się z nikim innym, nawet z najlepszą przyjaciółką czy najlepszym przyjacielem. Brakuje mi piżmowego zapachu jego jąder. Ale oczywiście również go nienawidzę.

A może nie?

Może wciąż go kocham?

– Tato, zaprosicie na imprezę Jennifer i Freda? – pytam znad mapy stworzonej przez Sarę i jej planu całego wieczoru.

– Mama jest temu przeciwna.

– No tak, ale oboje przeprosili, prawda? I skorygowali swoje zeznania, mówiąc, że wystąpili z syndykatu.

– Uważasz, że powinienem im przebaczyć? – Tata nie odrywa wzroku od mapy.

Ołówkiem nanosi poprawkę, zamieniając położenie budki z naleśnikami i z taco, tak żeby słodkości były po jednej stronie namiotu, a rzeczy na ostro po drugiej. Nie sądzę, aby taki reżim był konieczny, ale nic nie mówię, bo nie chcę zboczyć z tematu. Tylko dlatego, że ostatnio naprawdę mnie słucha, odpowiadam:

– Może...

– A co będzie, jeśli przyprowadzą ze sobą Ridleyę? Chcesz go widzieć?

– Boże, tato, nie. W żadnym razie. – Tak, bardziej niż kogokolwiek innego. – To znaczy mogą go przyprowadzić, ale ja nie zamierzam na niego patrzeć.

Tata wbija we mnie wzrok. Bez mrugania obserwuje moją twarz, jakby czegoś szukał. Cokolwiek to jest, musi być usatysfakcjonowany, bo mówi:

– Mogę ich zaprosić, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Wzruszam ramionami. Tata naprawdę mnie rozumie.

26

LEXI

PONIEDZIAŁEK, 20 MAJA

Wygłądałam przez okno i widzę, że ciemnoszara chmura, która zawisła nad miastem z samego rana, rozděła się i przesłoniła całe niebo. Będzie padało. Zastanawiam się, jakie postępy poczynili moi najbliżsi. Jake, Emily i Logan pojechali na łąkę, gdzie pomagają rozstawić namiot. Gdyby była to prawda, chętnie bym im towarzyszyła. Gwoli ścisłości jednak moja rodzina przygląda się tylko, jak inni ludzie koszą trawę, rozstawiają namiot, kładą parkiet w środku. Nie ma mnie z nimi, ponieważ nie chcę swoją obecnością wspierać bezczynności naszych dzieci ani umacniać w nich rozbudzonego przez Jake’a przekonania, że dzięki pieniądzom wszyscy będą odtąd na ich skinienie.

Od niedawna mamy gosposię, do której obowiązków należy także prasowanie. Kobieta jest przemiła i Jake ma rację – z czasem przywyknę, że ktoś obcy dezynfekuje naszą toaletę i opróżnia kosz łazienkowy. Kiedyś na pewno. Nie mogę zaprzeczyć, że nasz dom nigdy nie wyglądał tak schludnie; w gruncie rzeczy jest nieskazitelny po dwóch sprzątaniach

z rzędu w tym tygodniu – z których pierwsze zrobiłam ja przed pojawieniem się gosposi.

Jake, który zakochał się w swoim nowym ferrari (odebrał je w ubiegłym tygodniu), bynajmniej nie myje go własnoręcznie. Zaledwie wczoraj wezwał kogoś, żeby profesjonalnie wyczyścił auto w środku i z zewnątrz, mimo że po tych paru dniach od nowości nie zdążyło się nawet przykurzyć. Zwłaszcza w porównaniu z naszym starym volvo, które doprowadziliśmy do takiego stanu, że wstyd się przyznać. Jego wnętrze dobitnie świadczyło, że wóz służy nam długie lata – nie pozwalały o tym zapomnieć opakowania po chipsach, skórki po bananach i walające się puszki dietetycznej coli. Ilekroć siadałam za kierownicą, uchylałam lekko okno bez względu na pogodę, aby się pozbyć odoru gnijącego jedzenia, przeпоconych trampek i zaschłej gliny. Jake zdążył się pozbyć rodzinnego volvo. W jego miejsce kupił nowiuteńkie audi Q7, brąz metalik. Jest niezaprzeczalnie piękne. Jake mówi, że to mój samochód.

– Mój? – W życiu bym nie wybrała brązowego koloru.

– Całej rodziny. Bo wiesz, w ferrari wszyscy się nie zmieścimy.

Na razie nie miałam okazji prowadzić audi, ale przejechałam się nim jako pasażer i muszę powiedzieć, że pachnie zdecydowanie ładniej niż volvo.

Tak więc Jake z dziećmi pilnuje prac na łące od samego rana. Emily co rusz przysyła mi zdjęcia wielkich ciężarówek, na których przybywają na miejsce poszczególne elementy karuzeli i diabelskiego młyna. Fotografie są niezłe, a poza tym chcę okazać swoje zainteresowanie, dlatego odpowiadam utrzymanymi w entuzjastycznym tonie esemesami. „WOW!” „EKSTRA!” „SUPER!” Dodaję oczywiście cały rząd ekscytujących emotikonów. Czasami naprawdę myślę, że emotikony spadły nam z nieba; zdarza się, że dzięki nim nie musimy szukać słów, aby wyrazić coś skomplikowanego.

Emily znów ma nowy telefon, kolejny w ciągu dwóch tygodni. Powiedziała nam, że poprzedni upuściła, niosąc tacę z kawą i próbując wysłać coś na Snapchata. „Dlaczego nie byłaś ostrożniejsza?” – zapytałam karcąco, gdy w końcu się przyznała. W głowie słyszałam ojcowskie „łatwo przyszło, łatwo poszło”, reprimendę o potężnej sile z czasów dzieciństwa; choć nie wiedziałam wtedy, co to sarkazm, intuicyjnie czułam, że nic nie przychodziło łatwo moim rodzicom, którzy ciężko pracowali przez długie godziny, aby utrzymać mnie i moją siostrę. „Upuściłam go niechcący, mamó – odparła nadąsana Emily. – Chciałabyś, żebym przywiązała go do siebie łańcuchem?” Odpowiedziałam, że wystarczyłby futerał. Emily skorzystała z tej rady. Zapewniłam jej jeszcze jedną okazję, aby pobuszować w internecie i kupić kolejną rzecz. Ostatnio mnóstwo czasu spędza na zakupach online. Nie mogę jej tego zabronić. Co innego by robiła, skoro nie chodzi do szkoły ani nie widuje się z przyjaciółkami czy chłopakiem? Do niedawna moja córka różniła się od stereotypowej nastolatki. Przez trzy lata z rzędu była w szkolnym samorządzie, udzielała się aktywnie w klubie dyskusyjnym, śpiewała w chórze, a przed rokiem jako jedyna z rocznika dostała złotą odznakę lidera. Była to nagroda ustanowiona przez grono pedagogiczne, a przy jej przyznawaniu brano pod uwagę aktywność dzieci: zaczynając od frekwencji, przez uczestnictwo w zajęciach sportowych i różnych klubach, na wolontariacie kończąc. Nagroda była oczywiście znienawidzona przez młodzież, która uważała, że śledzi się każdy jej krok. Ale Emily bez oporów robiła wszystko, czego od niej wymagano. Wcale się nie ociagała. Pamiętam, jak Ridley i Megan żartowali z niej, że jak na nastolatkę ma niesłychane poważanie dla reguł. Ta dwójka i parę innych osób otrzymało srebrne odznaki. Żeby zasłużyć na złotą, trzeba było wstawać w niedziele wcześniej rano i trenować hokeja

z dziećmi z podstawówki. Byłam niesamowicie dumna z entuzjazmu Emily i jej społecznego ducha.

A teraz nic, tylko by robiła zakupy.

Sama nie przepadam za zakupami, dlatego poproszona o wzięcie przymusowego urlopu bałam się, że będę się nudzić, ale okazało się, że gdy jedne drzwi się zamykają, otwierają się drugie. Tak jak uprzedziła nas Gillian, otrzymujemy mnóstwo próśb o donacje na cele charytatywne i pytań, czy nie bylibyśmy skłonni przystąpić do takiego lub innego przedsięwzięcia, z których część jest na pewno legalna, inne zaś podejrzane. Jesteśmy w książce telefonicznej. Kompletnie o tym zapomnieliśmy, bo trafiliśmy tam w zamierzchłych czasach, gdy jeszcze nikt się nie przejmował ochroną danych osobowych, prywatnością i tak dalej. Oczywiście nawet sobie wtedy nie wyobrażaliśmy, że ktoś, kto nas nie zna, może chcieć się z nami skontaktować. O fakcie przypomnieliśmy sobie kilka godzin po publicznym ogłoszeniu wygranej i bardzo szybko zrozumieliśmy, co tamta decyzja oznacza dla nas w tym momencie życia. Nasz telefon zaczął się urywać. W większości dzwonili krewni, przyjaciele, sąsiedzi i dalsi znajomi, by złożyć nam gratulacje, ale coraz częściej też osoby mające pomysł, jak wydać nasze pieniądze. Bardzo szybko odłączyliśmy aparat stacjonarny, a bezprzewodowa słuchawka trafiła do kredensu. Gdyby wszystko dało się załatwić w tak prosty sposób. To, że pozostaliśmy w książce telefonicznej, oznaczało, że każdy, kto chciał, mógł poznać także nasz adres. Od tej pory jesteśmy zasypywani przez listy, które Jake pogardliwie nazywa listami proszalnymi.

- To nie są listy proszalne – zwróciłam mu ostatnio uwagę.
- No tak, niektóre to czyste przekręty.
- Po prostu obcy ludzie czynią gest w naszą stronę.

– Jak się domyślam, w twoim słowniku „obcy człowiek” to przyjaciel, którego jeszcze się nie poznało? – prychnął Jake z lekkim szyderstwem.

– Być może – odpowiedziałam ponuro.

– Czy w choć jednym liście nie zawarto prośby o pieniądze?

– No... nie – przyznałam, a Jake wydał triumfalny pomruk, przekonany, że dowiódł swego. – Ale większość z tych ludzi prosi o pieniądze nie dla siebie. To naprawdę fascynujące, ile organizacji charytatywnych i instytucji istnieje, aby uczynić ten świat lepszym. Oglądając wiadomości czy surfując w internecie, łatwo pomyśleć, że świat schodzi na psy, stacza się po równi pochyłej, zmierzając ku nieuchronnej zagładzie. Te listy jednak, te prośby o wsparcie przypominają, jak wielu jest dobrych ludzi. Starających się pomóc nie tylko sobie, ale też innym. Wyłoniłam kilka interesujących projektów, które... – Podniosłam wzrok i spostrzegłam, że Jake zdążył wyjść. Dzieci wydawały się zawstydzone moją mową.

Niestety istnieje też druga strona medalu. Świadomość tego, ile jest organizacji charytatywnych i programów pomocowych, otwiera człowiekowi oczy na to, że na świecie znajduje się niemal nieskończona liczba osób w potrzebie. Siedzę w kuchni i palcami błędę po słowach, które napisali do mnie różni ludzie. Znaczna część została wydrukowana pod oficjalnie wyglądającymi nagłówkami, a nawet na ulotkach i broszurkach, ale są też listy pisane odręcznie. Zamaszyste prośby nakreślone atramentem, zwarte nagłace prośby skreślone długopisem, nawet desperackie rudymen tarne apele naskrobane ołówkiem. Wszystkie mówią to samo. POMÓŻCIE MI. Nie wiem, jak zdołam podjąć decyzję, kogo faktycznie wesprzeć.

...działamy w dwudziestu dwóch krajach, pomagając całym społecznościom w wyjściu z biedy poprzez edukację, szkolenia i rozdzielanie środków do życia...

...przekazując nam donację, będą Państwo mieli pewność, że pieniądze trafią do najbardziej potrzebujących...

...mają Państwo okazję polepszyć życie wielu osób...

...Państwa donacja sfinansuje dalsze kluczowe badania nad chorobami serca, udarami i...

...skromna donacja wspomogłaby doktoranta, który zaczyna badania nad otępieniem naczyniopochodnym...

...jeszcze dziś zostać sponsorem, a polepszysz los dziecka; sponsorując dziecko, zapewnisz mu dostęp do czystej wody, opieki medycznej i edukacji...

Z początku wybieram listy na chybił trafił. Biorę któryś do ręki, czytam, miętoszę przez chwilę, po czym odkładam z powrotem. Dopiero po przeczytaniu dwudziestego, gdy podnoszę jeden z tych już przeczytanych, uświadamiam sobie, że potrzebny mi jakiś system. Zaczynam więc dzielić prośby na trzy kupki. Ta po lewej zawiera listy proszące o donację na cele charytatywne; ta w środku – propozycje biznesowe; ta po prawej – próby wyłudzenia. Listy z ostatniej kupki – od ludzi domagających się, abym podała im swój numer konta bankowego czy przelała pieniądze za pomocą usługi PayPal, a także nakłaniających mnie do inwestowania w wino, ziemię, nadwyżki emisji dwutlenku węgla, złoto oraz diamenty – wszystkie lądują w koszu. Za to co poważniej wyglądające oferty biznesowe umieszczam w segregatorze z myślą, aby przyjrzeć im się w późniejszym czasie. Najbardziej interesują mnie projekty dobroczynne. Niewysłowione bogactwo z jednej strony bardzo mi ciąży, ale z drugiej otwiera przede mną wspaniałe możliwości. Ileż dobra mogę uczynić!

Uzmysławiam sobie, że zdaniem wielu osób przekazanie trzech milionów funtów panu Albu, praktycznie biorąc nieznanemu, było z mojej strony szaleństwem.

Nie wykluczam, że istotnie popełniłam szaleństwo.

Już dawno powinnam była się przyznać Jake'owi. Wiem o tym. Nie zrobiłam tego jednak. Nie nadarzyła się sposobna chwila. Coraz częściej myślę, że odpowiedni moment nie nadejdzie. Jake się wścieknie – czuję pewność, że tak będzie. Potraktuje mój postępek jak zdradę. Może nawet okrucieństwo albo złośliwość. Zastanawiam się, ile czasu musi minąć, aby mój mąż się zorientował, że mamy na koncie manko. Rzucił się wydawać pieniądze z wygranej, ale nie okazuje najmniejszych chęci ich inwestowania czy choćby sprawdzania, co słyhać na naszym luksusowym rachunku rozliczeniowo-oszczędnościowym. Jake nic, tylko wydaje, czując się bezpiecznie dzięki świadomości, że pieniędzy starczy na wszystko.

Obecnie różnimy się zdaniem w wielu kwestiach. Nawet zajmujemy się różnymi sprawami. Ja poświęcam swój czas korespondencji związanej z dobroczynnością, a Jake otwiera liściki zwrotne, które przychodzą w odpowiedzi na nasze zaproszenia. Dziś przed wyjściem z domu rzucił od niechcienia:

– Wiesz, Heathcote'owie będą na imprezie.

– Naprawdę?

Pokiwał głową.

– I bardzo dobrze – stwierdził.

– Czyżby?

– Lexi... Przecież zmienili zeznanie. Dostaliśmy to, na czym nam zależało.

– Ich syn pobił naszą córkę – przypomniałam.

– Technicznie rzecz biorąc, nie on, tylko Megan z koleżankami.

– Jake! Czy ty się słyszysz? Technicznie rzecz biorąc...! – prychnęłam. – Technicznie rzecz biorąc, Ridley stał i się przyglądał, jak nasza córka... jak jego dziewczyna, na miłość boską... jest bita!

– Przeciąganie liny to u nich norma, odkąd oboje nauczyli się chodzić. Kłócą się, ranią i przepraszają nawzajem. Emily to nie przeszkadza. Dzieci pozostaną dziećmi. – Jake wzruszył ramionami.

– To coś znacznie więcej niż zwykła kłótnia.

– Uważam, że powinniśmy dać jasno do zrozumienia, iż puściliśmy w niepamięć cały ten nonsens o wspólnej wygranej. Może nawet wygłosić oświadczenie.

Zmierzyłam go groźnym wzrokiem.

– Oświadczenie? Daleko nam do przywódców jakiegoś kraju. Wygłaszanie oświadczeń nie jest naszą rolą. Zresztą skąd mamy brać pewność, że Heathcote'om znów coś nie strzeli do głowy? Co będzie, jeśli ponownie skrzywdzą Emily?

– Napięcie sięgało wtedy zenitu. Obecnie jest już znacznie spokojniej.

Nie znam się specjalnie na przyjęciach, ale jedno wiem na pewno: rzadko kiedy służą załagodzeniu nastrojów.

Wzdycham i sprawdzam, która godzina. Chyba niedługo wróca. Powinnam zacząć przygotowywać obiad. Decyduję się na lasagne. Ostatnio jadaliśmy wyłącznie na mieście, zbyt podekscytowani, aby choć pomyśleć o czymś tak prozaicznym jak praca w kuchni. Ale może jesteśmy już gotowi na domowy posiłek, szczególnie że lasagne to od dawna ulubiona potrawa naszej rodziny. Smaczna, sycąca i podnosząca samoocenę, dlatego dotąd podawałam ją najczęściej w te dni, w które Emily była przytłoczona liczbą zadań domowych albo Logan miał ważny mecz, albo Jake wrócił do domu późno. Zwłaszcza we wtorki. Jake zawsze pracował długo we wtorki.

Choć nic z powyższego nie jest dziś aktualne, odkrywam w sobie apetyt na lasagne. Czytanie tych listów wyczerpało mnie emocjonalnie. Rozgrzewam nieco oliwy na patelni; dałam za duży ogień, tłuszcz więc strzela i pryska. Nalewam sobie kieliszek czerwonego wina i włączam

radio, gdyż lubię przy gotowaniu słuchać muzyki klasycznej. Poza tym najczęściej słucham audycji prowadzonych przez Sarę Cox, ale z jakiegoś powodu fugi i rondo wnoszą rumienienie cebulki na wyższy poziom, odbierając temu zajęciu odium prozaiczności. Na patelnię wykładam pulpę pomidorową, dolewam nieco bulionu i startej gałki muszkatołowej. Zostawiam wszystko pod przykrywką, żeby się dusiło na małym ogniu przez około pół godziny, sama zaś wysyłam przez WhatsAppa do wszystkich trojga pytanie, kiedy się pojawią. Trzymam komórkę w ręku, dopóki nie zobaczę niebieskich ptaszków oznaczających, że Jake, Emily i Logan odczytali moją wiadomość. Czekam jeszcze parę chwil, aż przyjdzie odpowiedź, nic takiego jednak się nie dzieje. Widzę, że cała trójka jest online, chociaż w pewnym momencie Logan znika. Ekranik informuje mnie, że Emily zaczyna coś pisać. Po czym przestaje. I wzorem brata znika, nie podając mi nawet szacowanego czasu przybycia. Daję szansę Jake'owi, żeby przejął pałeczkę. Nic się jednak nie dzieje. Lekko zniecierpliwiona ślę drugą wiadomość. „OKREŚLCIE SIĘ MNIEJ WIĘCEJ”.

Żadnej reakcji.

Cudownie.

W kuchni momentalnie robi się ponuro. Do tego za oknem zebrały się szare chmury, tak że – choć jest dopiero siódma – niebo wydaje się ciemniejsze niż w normalny majowy wieczór. Wzdłuż niskiego murku sunie czarny kształt, kot sąsiadów. Inna, nieco większa sylwetka czai się przy ziemi. Podstępny lis.

Włączam światło, przełykając gulę irytacji, i pomimo wszystko kontynuuję przygotowania. Może właśnie jadą do domu i uznali, że szkoda zachodu z pisaniem wiadomości, skoro będą tutaj za dziesięć minut? Przekładam sos do zagrzanego i wysmarowanego tłuszczem naczynia

zaroodpornego, nakrywam gotowymi płatami lasagne, po czym troszkę oszukuję, polewając całość kupnym beszamelem. Z wielką przyjemnością powtarzam te czynności trzy razy, aż mogę zwieńczyć szczytową warstwę poszarpaną mozzarellą i umieścić naczynie w piekarniku. Jest coś bardzo krzepiącego w sprokurowaniu solidnej porcji jedzenia, gdy jeszcze przed chwilą go nie było.

Zdaję sobie sprawę, że na zewnątrz nie tylko całkiem się ściemniło, ale też zerwał się wiatr. Któreś drzwi na górze trzaskają, co sprawia, że podskakuję w miejscu. Zerwała się wichura, a ja mam wszystkie okna w sypialni otwarte na oścież. Drzewa w ogrodzie się kołyszą, ich liście szeleszczą, jakby porozumiewały się między sobą szeptem, przekazując sobie ukradkiem sekrety. Niebo zdążyło się zrobić czarne. Na szybę kuchennego okna padają pierwsze krople deszczu, grube i stanowcze, z rodzaju tych zapowiadających ulewę. Obchodzę całe wnętrze, by zamknąć wszystkie okna. W zeszłym roku mieliśmy na wiosnę falę upałów i – albo z narodowego optymizmu, albo z narodowej głupoty – założyliśmy, że w tym roku będzie tak samo, mimo że ostatnią falę upałów w Anglii odnotowano w siedemdziesiątym szóstym roku. Wskazywałoby to, że optymistami powinniśmy być raz na czterdzieści dwa lata. Co zabawne, zaledwie dziś rano rzuciłam ten żarcik w rozmowie z osiemdziesięcioparoletnią sąsiadką, którą zawsze uważałam za miłą, słodką staruszkę. Mieszkamy obok siebie ponad dekadę i nigdy nie było między nami żadnych tarć. Wymienialiśmy uprzejmości, pomagaliśmy sobie nawzajem. Ona tolerowała głośnie zachowanie naszych dzieci w ogrodzie, a Jake wystawiał jej kubły na ulicę w dniu odbioru śmieci.

– Zaświeciło dla was słońce, co? To tak, jakby Wielkanoc i Boże Narodzenie nadeszły w jednym czasie. Nie macie co narzekać na pogodę.

W ogóle nie macie co narzekać – dodała. I zaśmiała się, ale nie miłym śmiechem staruszki, tylko jakoś sztucznie, jakby dusiła w sobie gniew.

– Nie chodziło mi o dobrą pogodę tylko dla nas – wydukałam. – Myślałam o wszystkich.

Sąsiadka zmiażdżyła mnie spojrzeniem znad okularów. Przesłanie było jasne: nie wolno mi pragnąć niczego więcej, nawet słonecznej pogody.

Wygląda to na oberwanie chmury. Nasłuchuję, jak deszcz tłucze o taras, dach, okna. Nieustanny werbel, ciągły warkot. Zagłusza moją muzykę klasyczną, pogłaśniam więc radio, ale chyba przesadzam z mocą, bo nagle dźwięki ranią mi uszy. Zastanawiam się, jak im poszło rozstawianie namiotu. Jeśli nie zdążyli przed tym, zanim zaczęło padać... Cóż, organizatorka imprez będzie musiała znaleźć jakieś rozwiązanie. Kupi elektryczne grzejniki, żeby wysuszyć i zagrzać wnętrza. Kupi dywany, aby zakryć nimi błoto na łące. Pieniądze nie dają szczęścia, ale z pewnością pomagają, gdy w grę wchodzi zorganizowanie przyjęcia. Wysłałam Jake'owi następną wiadomość.

„JAK NAMIOT? ZROBIŁAM LAZANIE. WRACACIE DO DOMU?”

Jego odpowiedź:

„JESTEŚMY W PUBIE. SCHRONILIŚMY SIĘ PRZED DESZCZEM. ZJEMY COŚ TUTAJ”.

W mojej głowie pojawia się myśl: „My, czyli kto?”. On i dzieci? Organizatorka imprez? Jacyś inni ludzie? Kto jeszcze? Zazdrość jest do mnie niepodobna. Nigdy nie kontrolowałam Jake'a, jak niektóre kobiety kontrolują swoich mężów. Nigdy nie obawiałam się zdrady. Nawet gdy byliśmy piękni i młodzi, nawet gdy mieliśmy okazje i mogliśmy wybierać – nawet wtedy mu ufałam. Czuliśmy się pewnie. Dopiero ostatnio grunt jakby zaczął się nam usuwać spod nóg.

Ostrożnie wyjmuję lasagne z piekarnika. Smakowity zapach sera i pomidorów rozchodzi się w całej kuchni. Nie chcę sama napocząć dania, byłoby to marnotrawstwo. Zresztą nieważne, jutro będzie smaczniejsze, bo się przegryzie. Otwieram sobie puszkę z fasolą i wkładam dwie kromki pieczywa do tosterka. Wiem, że mogłabym dołączyć do nich w pubie, ale na zewnątrz jest zbyt mokro na spacer, ferrari jest ubezpieczone tylko na jedną osobę, a oni zabrali audi. Poza tym Jake mnie nie zaprosił, a ja nie chcę być traktowana jak intruz. Oni wszyscy (kimkolwiek są) spędzili cały dzień na organizowaniu imprezy, dziwne by więc było, gdybym nagle się tam pojawiła i zaczęła się domagać uwagi. Szczególnie że wciąż mam masę korespondencji do przejrzania.

Najlepszym sposobem zapanowania nad zalewem informacji będzie przeniesienie ich do pliku Excela. Dzięki temu będę mogła zaznaczyć, czy pieniądze miałyby pójść na badania, czy raczej na działania bezpośrednie, edukację, bieżące udoskonalenia czy pomoc kryzysową; na zwierzęta czy na ludzi, a jeśli na tych ostatnich – na młodych czy starszych, w kraju czy za granicą. Nadal uważam, że wybranie jednego celu charytatywnego i pominięcie wszystkich pozostałych okaże się zadaniem ponad moje siły, niemniej takie usystematyzowanie danych to zawsze jakiś początek.

Wkrótce zagłębiam się w mrówczej pracy. Kiedy podnoszę znowu wzrok, stwierdzam, że jest bardzo późno. Na zewnątrz panuje czarna noc. Ponieważ w kuchni pali się światło, widzę swoje odbicie w ciemnych szybach, tak jakbym patrzyła w lustro.

Jestem sama.

Znaczy to oczywiście, że jestem sama, skoro pozostali są w pubie. Chodziło mi raczej o moje odbicie. Wydaje się takie drobne... A zawsze miałam się za osobę silną. Tymczasem spogląda na mnie kobieta wyglądająca na osamotnioną i kruchą. Ostatnio tyle się wydarzyło,

sądziłam, że jakoś sobie radzę, ale czy rzeczywiście? Powinnam umyć włosy. Powinnam pójść do fryzjera. Uwielbiam wizyty u fryzjera, a teraz przecież mogę sobie na nie pozwolić, nie muszę niczego sobie odmawiać. Prawda jest taka, że unikam wychodzenia z domu, ponieważ to w sposób nieunikniony wiąże się z zamieszaniem. Wszyscy wbijają we mnie spojrzenia, z każdej strony padają pytania:

- Założę się, że nie wierzy pani we własne szczęście!
- Nie wierzę.
- Na co zamierza pani je wydać?
- Jeszcze nie zdecydowaliśmy.
- Na dom? Samochód? Podróże?
- Być może.

Taką czy podobną rozmowę odbyłam w minionych tygodniach sześćdziesięcio-, siedemdziesięcio-, osiemdziesięciokrotnie. Wiem, że ludzie są mną rozczarowani. Chcieliby, abym była bardziej wylewna, bardziej zdecydowana. Nie rozumieją, skąd ta moja powściągliwość. Mam na sobie T-shirt i dzinsy, te same co wczoraj. Powinnam też zrobić coś z paznokciami. Są poobgryzane i popękane. Wcale nie wyglądam na kogoś, kto wygrał w lotto. Przyjęcie ma się odbyć za pięć dni. Muszę wziąć się w garść. Nie pójdę przecież tak jak teraz – nie tego oczekują ludzie. Jake byłby bardzo rozczarowany. Jake lubi pomalowane paznokcie.

Boję się, że twarz, na którą patrzę, jest pokryta zmarszczkami, osoba, na którą patrzę, jest bezbronna. Nie ma we mnie żadnej dzikości, żadnego triumfu. Nagle uderza mnie myśl, że ktoś, kto spojrzełby przez moje okno, właśnie taką by mnie zobaczył. Gdyby patrzył akurat teraz.

Przebiegają mnie ciarki. Co też mi przyszło do głowy!

Deszcz wciąż pada. Dolatuje mnie dźwięk przesuwanych plastikowych pojemników na śmieci. Wiatr musiał je popchnąć bliżej domu, a teraz lis,

którego widziałam wcześniej, łączywie przegląda zawartość kubła z odpadami organicznymi. Rano będziemy mieć bałagan do posprzątania. Zdaje się, że wiatr otworzył także drzwi szopy, ponieważ słyszę, jak skrzypią i stukają, skrzypią i stukają.

Wtem zmienia się jasność światła w korytarzu, co zwraca moją uwagę. Nasze drzwi wejściowe są po części szklane, dzięki czemu blask lampy zewnętrznej wpada do środka i kładzie się na wykładzinie. Chwilowe przyćmienie sugeruje, że ktoś właśnie podszedł do progu. Zakradam się na korytarz, ale z jakiegoś powodu nie zapalam tam światła. Za drzwiami majaczy cień. W pierwszej chwili myślę, że to Jake z dziećmi, ale zaraz sobie przypominam, że nie słyszałam silnika samochodu, a poza tym brakuje charakterystycznego rozgwaru, jaki zwykle towarzyszy przekomarzaniom. Cień się wydłuża, gdy ten ktoś nachyla się do szyby w drzwiach. Czekam, aż rozlegnie się pukanie, ale nic się nie dzieje. Za to na moich oczach porusza się klamka. Drzwi są zamknięte na klucz, ja jednak i tak kamienieję, zdawszy sobie sprawę, że jakiś nieznajomy próbował właśnie wejść bez pukania.

Moment później światło w korytarzu jest takie jak zawsze. Cień zniknął. Czyżbym go sobie ubzdurzyła? Wyczarowała kogoś z niczego? Biegnę do okna w kuchni, instynktownie pragnąc opuścić rolety, odgrodzić się od tego, co czai się w ciemnościach, i spowić się w przytulne ciepło mojego domu.

Wrzeszczę na widok trzech twarzy w oknie. Są to dwaj mężczyźni i kobieta. Uśmiechają się i machają do mnie. Kobieta jest pod pięćdziesiątkę, w jej dolnej szczęce brakuje zęba; wydaje mi się, że już ją gdzieś widziałam, może w Biurze Porad Obywatelskich? Mężczyźni są postawni i zaczepni. Nie mają włosów ani szyi. Ten młodszy jest dziobaty, co by wskazywało, że jeszcze niedawno cierpiał na trądzik. Nie przestają

się uśmiechać ani machać, jeden pokazuje uniesione kciuki w staromodnym geście, który obecnie widuję tylko na emotikonach. Dłonie ma ogromne, mimo przyjaznego gestu wydają się niebezpieczne. Czy to on dopiero co próbował otworzyć drzwi wejściowe?

– No dobrze, złociutka, możemy wejść? – woła przez szybę starszy mężczyzna, starając się przekrzyknąć deszcz. Kręcę głową. Serce wali mi jak młot. Jeszcze chwila i moja klatka piersiowa eksploduje. – Daj spokój, złociutka. Przemokniemy tu do suchej nitki.

– Nie znam was – mamroczę. – Nie znam was...

Opuszczam żaluzję.

Słyszę, jak mówią coś między sobą. Cała się trzęsę – ze wstydu, że właśnie odgrodziłam się żaluzją od bliźnich, ale też ze strachu. To mogą być uroczy ludzie, ale przecież ich nie znam. Nie wiem, jacy są. Staram się nie oceniać. Któraś z nich stuka w szybę. Mocno. Łapię za telefon, lecz nie wiem, do kogo zadzwonić. Do Jake'a? Na policję? Nie popełniono żadnego przestępstwa. Nie ma też mowy o wdarciu się na posesję, po prostu zaszli z wizytą od tyłu. Czekam ze wstrzymanym oddechem. Gdy słyszę oddalające się kroki, z ulgi niemal uginają się pode mną kolana. Ale zaraz otwierają się tylne drzwi. Jake musiał zapomnieć je zamknąć. Jak mogłam ich nie sprawdzić?

– Możemy wejść? – pyta kobieta.

Moment później wszyscy troje stoją pośrodku mojej kuchni, mimo że ich nie zaprosiłam. Kobieta otrząsa się zupełnie jak pies, który wrócił ze spaceru w deszczu. Nie ma na sobie płaszcza i jest sina z zimna. Jej niechlujna bluza z kapturem i cienkie, miejscami poprzecierane legginsy nie zapewniają właściwej ochrony przed żywiołem. Na nogach ma klapki, całe zabłocone. Stopy wyglądają na zniekształcone, pewnie od wieloletniego noszenia niedopasowanego taniego obuwia. Mężczyźni, choć

pokaźniejsi, grubszy i cieplej ubrani, także roztaczają atmosferę ubóstwa. Naoglądałam się tego w pracy. Z niektórych potrzeba wyziera wszystkimi porami, zabarwiona desperacją i gniewem. Nie powinno mnie to szokować, ale szokuje – ponieważ rozgrywa się w mojej kuchni. W moim domu. Ciało mam zeszywniałe z przerażenia. Czekam, aby się przekonać, czego chcą.

– Masz ręcznik, złociutka? Wytarłabym sobie włosy – mówi kobieta.

Otwieram szufladę ze ścierkami, zacina się lekko, szarpnię więc ze złością i w końcu podaję kobiecie naręczce ściereczek. Natychmiast zaczyna wyciskać deszczówkę z długich włosów. Wręczam szmatki także mężczyznom, którzy używają ich do wytarcia łysych głów, przy czym rzucają żarty o polerowaniu jajek.

– Czego chcecie? – pytam. Głos mam wyzywający, nieswój. Zamierzałam odezwać się uprzejmie, z pewnością siebie. Byłaby to lepsza strategia niż stwarzanie problemów. Właśnie, strategia. Przydałaby mi się jakaś, jakakolwiek. Nie znam tych ludzi, co oni tu robią? Przyszli mnie okraść? Grozić mi? Rozprawić się ze mną?

– Napiłbym się herbaty – oświadcza ten trochę młodszy. Jest wysoki, ma metr dziewięćdziesiąt, waży ze sto kilo.

Powoli podchodzę do czajnika, nalewam do niego wody i włączam.

– Co robicie w moim domu?

– To ty, złociutka, wygrałaś w lotto?

Rozważam, czyby nie zaprzeczyć, ale jaki by to miało sens? Moja twarz i twarze moich bliskich obieżyły wszystkie lokalne gazety i media. W naszej okolicy staliśmy się celebrytami. Przynajmniej dzieci nie ma w domu, przynajmniej one są bezpieczne.

– Siedemnaście milionów osiemset tysięcy, zgadza się? – pyta ten starszy.

Nie odpowiadam. Patrzę na wodę, która ściekła z ich ubrań na podłogę, zbierając się w kałużę pośrodku mojej kuchni.

– Niełatwo tyle wydać, co? – Gapi się na mnie. Wbrew sobie kiwam głową na zgodę. – To listy od tych, co domagają się działki, tak?

– Niektóre... – Głos mi się łamie. Odkasłuję, aby go odzyskać.

Wszyscy słuchamy szumu wody gotującej się w czajniku. Czy zdołam użyć wrzątku jako broni, jeśli przyjdzie co do czego? Czy mnie na to stać? Przerazają mnie własne myśli. Rozglądam się w poszukiwaniu noży zebranych w ciężkim bloku stojącym na blacie. Momentalnie strzelam oczami na boki, aby nie zwrócić uwagi nieznanym na potencjalne narzędzia zbrodni. To nie film, wiem, że każda broń, jakiej spróbuję użyć, prawdopodobnie zostanie wykorzystana przeciwko mnie.

– Chodzi o to – odzywa się znów kobieta – że przyszłam do ciebie do pracy, złociutka. Wystąpiłam się w kolejce z wieloma innymi takimi jak ja. A ty uciekłaś. Powiedziałaś, że wrócisz, i nie wróciłaś. – Spogląda na mnie z naganą.

A ja – choć zmuszono mnie do odejścia, w praktyce wyrzucono z pracy, nie pozostawiając mi żadnego wyboru – czuję się pod jej spojrzeniem oskarżona, winna i skazana.

– O jaką pomoc chodzi? – pytam z duszą na ramieniu.

– Jestem dłużna pieniądze. – Wbija wzrok w ziemię, co może sugerować poczucie wstydu albo tylko zmęczenie. – Pożyczyłam ledwie sto piętnaście funciaków, ale teraz mi mówią, że mam oddać prawie dwa tysiące. – Zauważam, że i ona drży. – Zrobią mi krzywdę, jeśli się nie wypłacę.

Serce wyrywa mi się do niej. Kobieta jest drobnej budowy, bezbronna fizycznie, a zapewne też psychicznie. Nie tracę słów na przekonywanie jej, aby poczyniła oficjalne kroki przeciwko nieuczciwemu pożyczkodawcy. Ta

droga jest przed niektórymi zamknięta, niewiele się różni od jednorożca przeskakującego tęczę. Bardzo możliwe, że ten od chwilówek mieszka niedaleko niej. W takim środowisku nikt bezkarnie nie oskarża drugiego.

– A wy dwaj?

– Jesteśmy tu tylko po to, żeby odeskortować ją bezpiecznie z pieniędzmi do domu.

Uświadamiam sobie, że ci mężczyźni są równym zagrożeniem dla mnie co dla niej.

– Nie mam tyle gotówki w domu. Nie jestem w stanie wam nic dać, nawet gdybym chciała.

Wtedy młodszy wykonuje celowy, namaszczony wręcz gest, abym wiedziała, że to nie odruch, a świadoma decyzja. Uderza kobietę w twarz. Jego sporych rozmiarów dłoń pozostawia na policzku brzydki ślad. Kobieta nie odrywa ode mnie spojrzenia, gdy zaczynam szybko mówić:

– Mogę wypisać czek... – Sięgam do szuflady nad tą ze ścierkami i otwieram ją. Znajduje się w niej moja książeczka czekowa, ponieważ чеки wypisuję zwykle na jakieś szkolne drobiazgi, klasowe zdjęcia czy wycieczki, przy śniadaniu albo nawet częściej w biegu, gdy dzieci są już w połowie drogi do drzwi i coś im się przypomniało.

Mężczyzna wybuchając śmiechem i unosi rękę jakby do kolejnego ciosu. No tak, nie przyjmą ode mnie czeku, co ja sobie myślałam, wysuwając tę propozycję? Muszą wiedzieć, że czek da się wyśledzić, że można go anulować, co niewątpliwie bym zrobiła, jak tylko by stąd wyszli. Dociera do mnie, że im się śpieszy. Jestem dla nich nikim, ot, środkiem do osiągnięcia celu. Nie mam pojęcia, co robić. Nie chcę, aby ją skrzywdzili, ale czy jestem w stanie ich powstrzymać? Zastanawiam się, czy nie pójść z nimi do bankomatu, ale boję się, że na zewnątrz poczują się pewniej i Bóg jeden wie, jak to się skończy. Dla mnie albo dla nas obu. Mam w ręce

telefon, lecz nie wiem, czy wybrać numer alarmowy. Kobieta stojąca w mojej kuchni nie może rzucić wyzwania tym hienom, ale ja mogę.

– Proszę, proszę... – szepcze błagalnie, nie odrywając ode mnie oczu.

Znienacka na ulicy rozbłyskują reflektory samochodu. Mężczyźni i ja spoglądamy nerwowo w stronę drzwi. Ja nie chcę tu widzieć swoich dzieci. Oni nie wiedzą, kto przyjechał. Równie dobrze może to być mój mąż z bandą znajomych.

Ten starszy chwyta mojego laptopa i rzuca:

– To powinno pokryć dług.

Moment później jest już na zewnątrz. Młodszy i kobieta idą jego śladem.

– Nie idź z nimi! Zostań tutaj! – krzyczę za nią.

Ale ona się nie zatrzymuje. Gdy wszyscy troje nikną w ciemnościach za domem, drzwi wejściowe się otwierają i słyszę wyraźne głosy Jake’a, Emily i Logana. Śmieją się, rozmawiając. Są cali mokrzy, ale na nich deszcz błyszczy, mieni się perłowo. Ośmielona pojawieniem się męża, wybiegam tylnymi drzwiami i wołam w mrok:

– Nie musisz z nimi iść!

Mam wrażenie, że moje słowa porwał wiatr i poniósł je gdzieś daleko, ale w końcu kobieta się odwraca. Ogarnia mnie radość, że mogę jej pomóc, że mimo wszystko mogę ją ocalić. Tymczasem ona pokazuje mi wyprostowany środkowy palec i krzyczy:

– Pierdol się, bogata suko!

Słyszę jeszcze ich śmiech. Przez moment stoję na ścieżce, moknąc, skonfundowana, ale zaraz dociera do mnie prawda. To byli oszuści. Kobieta była jedną z nich. Wracam do kuchni, zatraskuję za sobą drzwi, zamykam je na klucz i na dokładkę używam zasuwki.

Jake wydaje się zaniepokojony moim widokiem, gdy stoję pośrodku pomieszczenia, ociekając wodą.

– Co się dzieje? – pyta.

– Przeprowadzamy się – odpowiadam.

27

LEXI

WTOREK, 21 MAJA

Chciałabym się jak najszybciej przenieść do hotelu i zostać tam, dopóki nie znajdziemy nowego domu, ale Jake twierdzi, że przesadzam.

– Łatwo ci mówić. Nie ty stałeś z nimi w kuchni oko w oko. – Praktycznie nie spałam, dlatego spokój męża, zamiast wpłynąć na mnie kojąco, tylko bardziej mnie rozsierdza.

– Zatrudnimy ochroniarzy. Wiem, z kim porozmawiać. Firma, która będzie pilnowała porządku na przyjęciu, powinna też się zajmować ochroną osobistą.

– Nie sądzę. Ci ludzie zaglądną do plecaków nastolatków w poszukiwaniu alkoholu i wiedzą, w jakiej pozycji ułożyć rzygającego, by nie zadławił się wymiocinami, ale to wszystko.

– To potężnie zbudowani, silni mężczyźni. Byli wojskowi. Zobaczysz, że nic nam nie będzie.

Marzy mi się rozmowa z kimś, kto by mi okazał współczucie i dodał otuchy, po namyśle jednak dochodzę do wniosku, że nie bardzo mam do kogo zadzwonić. Ta myśl mnie otrzeźwia. Czuję się tak, jakby ktoś wylał mi na głowę wiadro zimnej wody. Do rodziców wolę nie dzwonić, ponieważ tylko się zmartwią, gdy powiem im o wtargnięciu. Jako osoby, które dorastały w biedzie, a potem ledwie były w stanie utrzymać własną rodzinę, naszą wygraną uważają za rozwiązanie wszelkich problemów. Nie chcę przekłuwać otaczającej ich bańki nieskomplikowanej szczęśliwości. Przychodzi mi na myśl Ellie, ale nie rozmawiałam z nią od dnia, gdy poprosiła mnie, abym wzięła wolne. Wymieniłyśmy tylko kilka maili, których ton był raczej chłodny, stricte zawodowy. Mimo że Ellie zaproponowała mi urlop, nie jestem pewna, czy jest dla mnie jeszcze miejsce w BPO. Nie po raz pierwszy żałuję utraty bliskości, jaka łączyła mnie z Carlą i Jennifer. Przez tyle lat mogłam się do nich zwrócić dosłownie w każdej sprawie. Dzielłam z nimi swoje myśli i uczucia, troski i radości. Na to wspomnienie ogarnia mnie wściekłość; fala gniewu, która niemal ścina mnie z nóg. Brak mi tchu, jakbym faktycznie trafiła pod wodę. Miotam się psychicznie, próbuję odzyskać grunt pod nogami. Choć przyjaźniłyśmy się przez piętnaście lat, tak naprawdę nie znałam żadnej z nich.

Ostatecznie dzwonię do Gillian. Polubiłam ją od pierwszej chwili. Teraz zaś wydaje mi się jedyną osobą na świecie, która niczego ode mnie nie chce, a zatem powinna być w stanie coś mi dać.

Gillian nie zawodzi. Rozsądna i poważna, przyznaje, że wieczorny incydent musiał być przerażający.

– Możemy się spotkać, żeby o tym porozmawiać? – pytam. Wiem, że wychodzę na słabą i niemądrą, ale potrzeba rozmowy z przyjazną duszą jest silniejsza niż wstyd.

– Oczywiście.

– Jeszcze dziś? Da się pani zaprosić na lunch? – Aby nie wyszło to zbyt rozpaczliwie, dodaje: – Chciałabym pani podziękować za wszystko, co pani dla nas zrobiła.

– Spotkajmy się dzisiaj, jak najbardziej, ale obawiam się, że nie mogę przyjąć zaproszenia na lunch. Nie wolno nam przyjmować żadnych korzyści od zwycięzców. Możemy zjeść lunch razem, ale będę musiała zapłacić swoją połowę rachunku. Czy to pani odpowiada?

– Tak, naturalnie. Muszę się wyrwać z domu.

Umawiamy się w makaronowni w centrum. Doceniam ten wybór Gillian. Lokal jest kameralny i niewyszukany. Będziemy mogły swobodnie porozmawiać, nie martwiąc się, że nadgorliwi kelnerzy – liczący na wysoki napiwek – będą nam co rusz przeszkadzać, pytając, czy jedzenie nam smakuje i czy życzymy sobie czegoś jeszcze, czegokolwiek. W miejscu takim jak to będziemy miały szczęście, jeśli w ogóle uda nam się zwrócić na siebie uwagę obsługi. Kelnerki wolą stać zbite w grupkę i dyskutować o kształcie brwi, niż nawiązać kontakt z klientami. Co dziwne, odpowiada mi to. I przypomina nieco atmosferę w pracy, gdzie też lubiałam stać w zagraconym pokoju socjalnym z Robem, Heidi i Judy i rozmawiać z nimi o tym, co obejrzelśmy w weekend w telewizji.

Kiedy przychodzę, Gillian już siedzi przy stoliku. Na mój widok podnosi się z krzesła i przytula mnie, zamykając w objęciach na dłużej niż normalnie. Gillian jest puszystą kobietą z rodzaju tych, które chętnie matkują innym, dlatego z ulgą zagłębiam się w jej uścisku. Gdy w końcu się ode mnie odrywa, wręcza mi bukiet pomarańczowych gerber spiętych gumką recepturką. Robi to z szerokim uśmiechem na twarzy. W ciągu ostatniego miesiąca dostaliśmy co najmniej dwadzieścia bukietów od różnych osób chcących nam pogratulować wygranej. Zresztą może było ich

więcej, straciłam rachubę. Zabrakło nam wazonów, tak że musieliśmy szukać słoików i wiader. Kwiaty były piękne, nie da się zaprzeczyć temu, że przynoszą radość. Większość otrzymaliśmy od bliskich – mojej siostry, braci i szwagierki Jake’a, którzy chcieli świętować wspólnie z nami. Inne bukiety przysły od ludzi, których nie widzieliśmy od lat, w dużej części dawno wykreślonych z listy adresatów świątecznych kartek. Zamierzałam zanieść kwiaty do miejscowego domu starców, ale było tyle rzeczy do zrobienia i zanim znalazłam wolną chwilę, liście i łodygi zaczęły mięknąć. W całym domu rozeszła się intensywna, słodkawa woń zgnilizny. Wszystkie bukiety były oczywiście znacznie bardziej wymyślne niż te pięć jaskrawych kwiatków bez przybrania, ale to właśnie one podobają mi się najbardziej.

– Regulamin nie zabrania – wyjaśnia Gillian z niesłabnącym uśmiechem. – Bardzo mi przykro z powodu tego, co panią spotkało. To wyjątkowy pech. Pytałam kolegów, którzy przez lata mieli do czynienia z licznymi zwycięzcami, i nigdy nic podobnego się nie zdarzyło.

– To pewnie przez to, że w pracy mam kontakt z osobami w trudnej sytuacji życiowej. Tacy ludzie zawsze są w potrzebie, a przez to mogą zachowywać się mniej rozważnie. Domyślałam się, że to był powód.

Składamy zamówienie u kelnerki, a gdy jużjemy, Gillian pyta:

– Co powiedziała policja?

Wzdycham, żeby pokryć zmieszanie.

– Jake stwierdził, że nie ma co angażować policji.

Gillian wygląda na zszokowaną.

– Ale jak to? Przecież rozpoznała pani tę kobietę. Policjanci na pewno byliby w stanie ją wyśledzić.

Wzruszam ramionami.

– Mój mąż uważa, że dość już zamieszania i że powinniśmy ruszyć do przodu.

O Pearsonach i Heathcote'ach moja rozmówczyni już oczywiście wie, opowiadam jej więc o tym, że poproszono mnie, abym zrobiła sobie wolne w pracy, i że Jake rzucił posadę, a teraz rozważamy przeniesienie dzieci do innej szkoły. Nie zdradzam, że Emily została pobita. Gillian nie jest w stanie nic na to poradzić, po co więc dokładać jej problemów. Sobie nie pomogę, a tylko niepotrzebnie ją obarczę. W końcu nie jest za nas odpowiedzialna.

Gillian zgadza się ze mną, że nie możemy dalej mieszkać w tym domu. Nie chroni nas mur ani płot, ani zamykana brama. Co będzie, jeśli ta trójka, która odwiedziła mnie wczoraj, jest tylko forpocztą? Mamy pozwolić, aby zalała nas fala ludzi proszących o pieniądze? Niektórzy mogą się okazać niegroźni, ale reszta? Zresztą i ci pierwsi, i drudzy rzucający groźby to istne utrapienie. Tak nie da się żyć!

– Skoro planujecie przeprowadzkę, przy wyborze miejsca radziłabym się zastanowić, czy najlepszym rozwiązaniem nie będzie pozostanie w okolicy. – Gillian naprawdę chce pomóc. – Nasze doświadczenie podpowiada, że wielu zwycięzców tak robi. W ten sposób rodzina nie zostaje wyrwana z korzeniami ze znanego sobie miejsca. Powinniście poszukać dobrze strzeżonej nieruchomości, zlokalizowanej bardziej centralnie. – Sięga po iPada. – Pozwoliłam sobie przeprowadzić małe śledztwo w internecie. Ot, żeby rzucić kilka sugestii. W Great Chester na ukończeniu jest niewielkie strzeżone osiedle, ogrodzone i z prywatną ochroną. Moim zdaniem warto na nie rzucić okiem.

Pokazuje mi zdjęcia pięciu ślicznych domów rozmieszczonych wokół końącego ulicę rondka. Widok nie jest dla mnie obcy, ponieważ w ciągu minionego roku wraz z Jennifer i Carlą kibicowałam temu projektowi.

Umówiliśmy się, że gdy zostanie otwarty dom pokazowy, wybierzemy się tam i rozejrzemy. W tamtym czasie oczywiście żadna z nas nie myślała nawet o zmianie miejsca zamieszkania, po prostu dobrze jest trzymać rękę na pulsie, a poza tym zawsze można podpatrzeć to i owo, jeśli chodzi o wystrój wnętrz, i przenieść ciekawe rozwiązanie do własnego domu. No i jest to jakiś sposób na spędzenie sobotniego popołudnia. Koniec końców nigdy tam nie pojechałyśmy, gdyż dom pokazowy otwarto akurat w Wielkanoc.

Domy na zdjęciach prezentują się bardziej okazale niż nasz. Wszystkie zbudowane są według tego samego planu, różnią się tylko nieznacznie kosmetycznymi detalami. Nowy właściciel ma prawo wybrać fronty szafek kuchennych, glazurę i wykładziny podłogowe, a także jeden z dwóch modeli drzwi frontowych. Wedle specyfikacji każdy z domów składa się z pięciu pokoi na piętrze – z czego aż trzy mają własne łazienki – oraz rozległego salonu na dole. Na parterze jest jeszcze jedno pomieszczenie, zwane bawialnią, ale jak sądzę, chodzi o pokój zabaw dla dzieci. Każda kuchnia wydaje się znacznie większa od naszej, a garaż mieści się w osobnym budynku. Potrafię sobie wyobrazić, że w którymś z tych domów wiodę dalsze szczęśliwe życie. Żaden nie jest przesadnie wystawny, za to wszystkie są eleganckie, przestronne, ewidentnie pomyślane dla ludzi z aspiracjami.

– Osiedle oferuje ścisłą ochronę, ale bez poczucia uwięzienia – zauważa Gillian.

To, że w ogóle przedstawiła mi tę ofertę, jest na tyle przyjaznym gestem z jej strony, że w oczach stają mi łzy. Zwracam uwagę na tę dobroć głównie dlatego, że tak bardzo mi jej obecnie brakuje. Kiedyś marzyłam o zamieszkaniu w Great Chester, zakładając, że byłoby nas na to stać. Chciałam udawać się spacerkiem do domów przyjaciółek, zaskakiwać je

pukaniem do drzwi i urządzać niezapowiedziane spotkania – lecz skoro nie przyjaźnię się już z Carlą ani Jennifer, Great Chester straciło w moich oczach cały urok. Nie mówię tego Gillian, nie chcę wyjść na niewdzięczną. Wśród podziękowań rzucam, że być może zainteresuję się osiedlem bliżej, choć wiem, że tego nie zrobię, i zmieniam temat. Przez jakiś czas rozmawiamy o planowanym przyjęciu.

Spędzamy miło półtorej godziny. Chciałabym posiedzieć dłużej, ale Gillian musi wracać do pracy. Zazdroszczę jej poczucia celu i ważności. Gdy podnosi się do wyjścia, ogarnia mnie zażenowanie, że sama unoszę się z prądem i nie jestem spętana terminami. Nigdzie nawet nie muszę być.

– Nie chcę wtykać nosa w nie swoje sprawy ani nadmiernie się angażować... – zaczyna Gillian z przepaszającym uśmiechem.

– O co chodzi? Proszę mi wierzyć, każda rada jest mile widziana.

Gillian wydaje się zmieszana, ale bije od niej szczerść. Rozpoznaję tę minę. Sama czasem przybieram taką w Biurze Porad Obywatelskich, gdy zachowam się nie do końca zgodnie z wytycznymi.

– Nawet jeśli nowe osiedle w Great Chester okaże się nie dla was, zachęcam, byście się dobrze zastanowili, zanim kupicie dom zbyt daleko, zbyt drogo czy zbyt... – urywa i szuka przez moment słowa – na zbyt dużym odludziu.

Po powrocie do domu natykam się na tablicę z napisem „NA SPRZEDAŻ” ustawioną we frontowym ogrodzie.

– Szybko ci poszło – zwracam się do Jake’a.

– Twoje bezpieczeństwo jest dla mnie najważniejsze – zapewnia. – Dlaczego miałbym zwlekać?

Wyraźnie zmienił nastawienie od naszej ostatniej rozmowy, w której zarzucił mi, że przesadzam, nie zamierzam jednak się skarżyć, skoro przyjął mój punkt widzenia. Uśmiecham się więc tylko i bąkam:

– No tak, zwłoka niczemu by się nie przysłużyła...

– Zatrudniłem także ochroniarzy. Rozpoczną pracę dziś o osiemnastej i zostaną na noc.

– Gdzie? – pytam.

– Na kanapie.

– Przystali na takie rozwiązanie?

– Ludzie wiele zniosą, jeśli zaoferujesz im odpowiednio dużo pieniędzy – rzuca jakby mimochodem. Takie podejście weszło mu w krew, a nawet do niego pasuje. – Zresztą to tylko jedna noc. Jutro się wyprowadzamy.

– Zarezerwowałeś hotel? Świetnie – cieszę się. – Dlaczego nie przeniesiemy się tam jeszcze dziś?

– Nie chodzi o hotel, tylko o dom.

Jestem zajęta zdejmowaniem butów i kurtki, rozglądam się też za wazonem, do którego mogłabym włożyć gerbery, lecz ostatnia informacja sprawia, że prostuję się nagle i odwracam do męża. Tak jak się spodziewałam, na jego twarzy widzę szeroki triumfalny uśmiech, do którego zdążyłam przywyknąć, odkąd wygraliśmy te miliony, ponieważ Jake znosi łupy do domu z dnia na dzień coraz bardziej rozradowany. Jeśli cokolwiek mnie martwi, to że na jego wargach nie błąka się głupawy uśmieszek. Mój mąż sprawia wrażenie stanowczego i rzeczowego. Znalezienie nam nowego domu nie jest dla niego kwestią radości czy smutku, lecz prerogatywą. Mam kłopoty z przyswojeniem tej zmiany w naszej wzajemnej relacji. Jeszcze niedawno omawialiśmy wszystko szczegółowo, zaczynając od tego, co podamy na kolację, a kończąc na tym,

co obejrzymy w telewizji. W takim kontekście wybór nowego miejsca zamieszkania powinien być tematem długiej debaty. I byłby – w przeszłości. Co się stało, że nie biorę już udziału w podejmowaniu decyzji dotyczących całej naszej rodziny?

Jake spogląda na zegarek, po czym uśmiecha się gładko, jakby wszystko było w najlepszym porządku.

– Pośpiesz się, Lexi. Musisz się przebrać. Za kwadrans przyjedzie agent, by zabrać nas na oględziny.

– To ty go nie widziałeś? Naszego nowego domu? Kupiłeś go w ciemno? – Nie posiadam się ze zdumienia.

– Widziałem go w internecie. Ale nie bój się. Jest idealny. Poza tym na razie w grę wchodzi wynajem. Dom oczywiście jest na sprzedaż i możemy go kupić, jeśli się nam spodoba. Czy to nie wspaniałe?

Wspaniałe jest tylko to, że Jake znalazł nam lokum na wynajem, zamiast kupić dom, w którym mieszkalibyśmy do końca życia. Pozwalam sobie na westchnienie ulgi, choć nie ma mowy, abym poczuła się podniesiona na duchu czy odprężona. Jeśli już, mam takie wrażenie, jakby ktoś przejechał po mnie buldożerem. To wszystko dzieje się za szybko!

– Podpisałeś umowę?

– Będziesz zachwycona, Lexi.

– Gdzie to jest?

– Kilka kilometrów od Hurtington.

Hurtington leży pięćdziesiąt kilometrów od Little Chester i czterdzieści kilometrów od szkoły, do której Jake zapisał nasze dzieci.

– Jak Emily i Logan dostaną się do szkoły co rano? – pytam. – Czy stamtąd jeździ autobus?

– Najmiemy szofera.

– Ale czy jest jakiś autobus? – naciskam.

– Nie mam pojęcia. Bo i skąd?

Chcę zauważyć, że stosowna informacja może się znajdować na stronie internetowej szkoły albo posiada ją agent nieruchomości. Większość ludzi pyta o autobus, zmieniając miejsce zamieszkania. Postanawiam jednak zmilczeć. Sama na pewno bym o to zapytała, zapisując dzieci do nowej szkoły albo szukając dla nas wszystkich nowego domu – przez to czuję, że Jake’a i mnie dzieli większy dystans, niż do niedawna myślałam.

Emily i Logan są bardzo podnieceni oględzinami domu, a szczególnie możliwością zaklepania swojego pokoju. Przez całą drogę nawijają jak nakręceny. Jestem wdzięczna za to, że gwar ich głosów maskuje ciszę, która zaległa ciężko między mną i moim mężem. Agentka nieruchomości, która okazuje się szczupłą blondynką o trwałej opaleniznie i trwałym uśmiechu, wiezie nas krętą drogą, o której istnieniu nie miałam dotąd pojęcia.

– Już jesteśmy prawie na miejscu – świergocze.

Rozglądam się. Wokół widzę wysokie mury i wysokie stare drzewa. Korony mają rozległe i bujne, ale podejrzewam, że ich celem jest nie tyle rzucanie cienia, ile zapewnianie prywatności. Domy przy ulicy nie mogłyby się bardziej od siebie różnić; wyraźnie zbudowano je pod dyktando osób, które uważają, że żaden dom na świecie nie spełnia ich oczekiwań, w związku z czym muszą zatrudnić własnego architekta. Wszystkie siedziby są ogromne i porażająco eleganckie; każda powoduje westchnienie zachwytu u dzieci siedzących teraz z nosami przyklejonymi do szyby.

Zatrzymujemy się przy elektrycznie otwieranej bramie; agentka opuszcza szybę i długim pomalowanym paznokciem wybiera kod. Skrzydła wolno się rozchylają, a ja bynajmniej nie mam poczucia, że jesteśmy tu mile widziani, raczej że zaraz trafimy prosto w otwartą paszczę potwora. Parę chwil później brama zamyka się za nami, jakby nas połykając.

– Kod oczywiście można zmienić, dostosować do własnych potrzeb – mówi agentka. – Nic nie stoi na przeszkodzie, aby były to szczęśliwe cyfry, które pozwoliły państwu wygrać.

– Jest ich za dużo – stwierdzam.

Dom jest pod każdym względem wyjątkowy. Zapiera dech w piersi. Nowoczesny, pełen ostrych kątów, z pewnością podobny do domów w Los Angeles, przynajmniej ja tak je sobie wyobrażam. Totalne przeciwieństwo naszego dotychczasowego, zaniedbanego, z odłączonymi miejscami tynkiem i zapuszczonym ogrodem. Tutaj wszystko lśni nowością, ściany są śnieżnobiałe, a za dużymi oknami rozciąga się idealnie zaprojektowany i doskonale utrzymany ogród. Samochód toczy się po żwirowym podjeździe, po czym z chrzęstem zatrzymuje się naprzeciw ogromnych ciemnobrązowych drewnianych drzwi, które agentka dla nas otwiera. Po przekroczeniu progu błyskawicznie dezaktywuje system alarmowy, wbijając kolejny kod. Przypuszczam, że czułabym się tu bezpiecznie. Cała nasza czwórka ubrała się odpowiednio do okazji – Jake, Emily i ja w wyniku milczącej zgody, a Logan za namową (aczkolwiek w jego przypadku „wystroić się” oznacza zdjąć przeпоconą bluzę sportową i włożyć czystą).

Całe szczęście, że zadbaliśmy o prezencję.

Myślę sobie, że ktokolwiek mieszka w takim domu, musi chodzić wystrojony non stop, całkiem jakby miał trafić na łamy „Hello!”. Hol przypomina świątynię, jest wyższy niż jakikolwiek dom, w którym byłam gościem. Sklepienie zrobiono ze szkła, dzięki czemu światło słoneczne dosłownie zalewa posadzkę, która z kolei jest wyłożona oślepiająco białymi porcelanowymi kaflami, lśniącymi niczym lód.

Nieśpiesznie zwiedzamy jeden pokój po drugim. Okazuje się, że w tym zamczysku są trzy salony. Początkowo sądzę, że jeden to jadalnia, a drugi

gabinet, ale wkrótce trafiamy do oddzielnych pomieszczeń, które pełnią tę właśnie funkcję. Nie pojmuję, na co komu trzy salony. Może w jednym przyjmuje mąż, w drugim żona, a trzeci jest dla dzieci? O rany. Pośrodku jadalni pyszni się ogromny drewniany stół biegnący przez całą jej długość. Szybko zliczam miejsca – krzeseł jest dwadzieścia. Przypuszczam, że coś takiego przydaje się w Boże Narodzenie. U nas w domu w razie konieczności wyciąga się taborety i leżaki, które rozstawione wokół normalnej wielkości blatu pozwalają przynajmniej każdemu usiąść. Nie potrafię sobie wyobrazić, kiedy poza Bożym Narodzeniem używalibyśmy tego stołu. Jak większość znanych mi ludzi najczęściej gromadzimy się w kuchni, nawet gdy mamy gości. Również mało prawdopodobne, abyśmy potrzebowali gabinetu, skoro ani Jake, ani ja nie pracujemy. Kuchnia także jest przestronna i tak, znajduje się w niej również kącik – a właściwie kąt, bo jest taki duży – jadalny. Próbuję wywołać w umyśle wizję nas wszystkich zebranych na tle tych wyglądających na przemysłowe blatów ze stali nierdzewnej.

Agentka jest dobra, przynajmniej w odczytywaniu wyrazu twarzy, gdyż pyta mnie:

– Nie podoba się pani kuchnia?

– Jest oszałamiająca. Bardzo nowoczesna – mówię, a ona czeka, aż wyrażę opinię. – Może trochę za sterylna jak na mój gust.

– Jeśli kupią państwo ten dom, oczywiście będą państwo mogli zmienić wyposażenie. To ma już trzy lata. – Przewraca oczami i wykrzywia wargi w grymasie, przez co jej szyja przypomina szyję żółwia. Domyślam się, że powinna mnie szokować informacja o kuchni starszej niż trzy lata.

Pokoi na górze jest w sumie sześć, każdy z własną łazienką. Jeszcze jedna, olbrzymia, znajduje się na ostatnim piętrze, agentka tłumaczy, że to łazienka rodzinna, ale ja nie rozumiem, kto by chciał z niej korzystać, skoro

wszystko, co trzeba, mieści się w tych mniejszych, które bynajmniej nie są małe. Pod stopami mamy albo marmur, albo błyszczące drewniane podłogi, które tu i ówdzie pokrywają puszyste dywaniki – nigdzie nie widzę wykładzin. Gdyby moi rodzice przyszli tutaj w odwiedziny, te dywaniki stanowiłyby zagrożenie. Zwłaszcza dla mojego taty, który potrafi się potknąć o własne nogi. Oświetlenie jest dyskretnie schowane w podłogach, sufitach i wnękach – nigdzie w zasięgu wzroku nie ma lampy z kloszem, który mógłby się kurzyć. Niektóre ściany są zrobione z luksferów. Wiem, że to ostatnio modne, ale nie w moich oczach (w naszym ośrodku zdrowia też mają luksfery, które na dobre obrzydziły mi tę metodę doświetlania wnętrza; napatrzyłam się na nie wystarczająco wiele razy, czekając na wizytę lekarską, przez co teraz kojarzą mi się wyłącznie z gorączką u któregoś z dzieci). Całe to miejsce urządzone jest w minimalistycznym stylu. Poza królującą wszędzie bielą widać też gustowne odcienie szarości.

Znienacka przychodzi mi na myśl Carla. Ze wszystkich kobiet, które znam, tylko ona przyznaje się do tego, że przeczytała *Pięćdziesiąt twarzy Greya*. Wyobrażam sobie, jakie żarty by tutaj rzucała i w jaki sposób proponowałyby rozdziewiczyć te niezliczone pokoje. Ciekawa jestem, jak zareagowałyby Jennifer. Zawsze zachowywała się tak, jakby mało subtelne aluzje Carli ją zniesmaczały. Co więcej, z każdym rokiem była coraz bardziej bezpłciowa, a nawet zdawała się udawać, że Ridley zrodził się w wyniku niepokalanego poczęcia. Carla zwykła powtarzać, że z nas trzech Jennifer ma najmniej atrakcyjnego męża i nie można jej winić za to, iż stroni od seksu, przynajmniej z nim. Ilekroć Carla wygadywała tego typu rzeczy, uciszałam ją. Posykiwałam, że to nieładnie tak mówić. Głównie jednak starałam się jej nie słuchać.

– Czy meble zostają? – pytam. Nie są do końca w moim guście, generalnie preferuję żywe, wesołe kolory, ale wiem, że naszych sprzętów

nie wystarczy, aby zappełnić tę przestrzeń. Zmieściłyby się wszystkie w jednym pomieszczeniu.

– Tak, jeśli podobają się państwu i wyrażą państwo takie życzenie. Umeblowanie jest wypożyczone. Można je wymienić zgodnie z państwa oczekiwaniami. Nasza strona internetowa prezentuje pełną ofertę.

– Może być to, co jest.

W normalnych okolicznościach Emily chętnie zabawiłaby się w dekoratorkę wnętrz, ale obecnie absorbują ją przygotowania do imprezy. Poza tym nie sądzę, aby potrzebna jej była jeszcze jedna sesja zakupów online. Moim zdaniem już jest od nich uzależniona.

Agentka pokazuje nam resztę domu. Jest luksusowy w każdym calu, stanowi ucieleśnienie bogactwa i sukcesu. Gdy pociągam nosem, niemal czuję zapach pieniędzy w powietrzu. Do swojej dyspozycji będziemy mieli jeszcze salę kinową, siłownię, a także – po przeciwnej stronie ogrodu – basen. Kryty basen. Nie wspominając o sali do bilarda. Dzieci dosłownie wyłażą ze skóry. Zdążyły już wybrać swoje pokoje; obeszło się bez kłótni, bo wszystkie pomieszczenia są wielkie i piękne. Dom jest z rodzaju tych, które Gillian mi odradzała, ale co tam. Klamka zapadła. Jake podpisał umowę. Dzieci są zachwycone. Oczarowane wręcz. Mnie zaś nic nie zraziło do tego miejsca. Jakżeby inaczej? Co tu by się mogło nie podobać?

Emily i Logan wychodzą do ogrodu, gdzie odkrywają zestaw do gry w krykieta. Żadne z moich dzieci nigdy nie grało w krykieta – sama ta nazwa budziła w nich pogardę, tymczasem teraz uderzają na zmianę piłkę kompletnie po amatorsku, ale za to z jakim entuzjazmem! Stoję w oknie i nie mogę oderwać od nich oczu. Śmieją się i przekomarzają, czyja piłka padła bliżej bramki. Nigdzie w pobliżu nie ma urządzeń elektronicznych. To mógłby być mój raj.

Jake staje obok mnie. Nie dotykamy się jednak.

Agentka nieruchomości odzywa się ożywionym głosem:

– Mam w samochodzie butelkę szampana. Powinam ją była wyjąć i włożyć do lodówki zaraz po przyjeździe. Wybaczą mi państwo na moment? Uwinę się raz-dwa. Zresztą na pewno chcą państwo nacieszyć się tymi wspaniałościami tylko we dwoje.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni zaszła w nas dziwna zmiana. Przez lata rozmawialiśmy ze sobą dosłownie o wszystkim. O rzeczach ważnych i nieistotnych. O tym, jak duże znaczenie ma moja praca dla społeczeństwa, ile dzieci powinniśmy mieć, gdzie i jak je wychować, na co wydać pieniądze. Szczegółowo opowiadaliśmy sobie, jak wykorzystalibyśmy ostatnie pięć minut życia oraz jakie życie chcielibyśmy wieść, gdybyśmy mieli przed sobą gwarantowane pół wieku w dobrym zdrowiu. Obecnie mówimy tylko o tym, co kupimy – co Jake kupi – w następnej kolejności. Nie jest to coś, co chciałabym roztrząsać w tym momencie, przez co oddalamy się od siebie coraz bardziej, nie wiedząc, jak dotrzeć jedno do drugiego. Zauważyłam nawet, że kiedy jesteśmy razem, czujemy się bardziej samotni niż wtedy, gdy przebywamy w pojedynkę.

– Jaki jest koszt najmu? – pytam.

– Stać nas – odpowiada mój mąż, tak naprawdę wcale nie odpowiadając.

– A gdybyśmy chcieli ten dom kupić, ile musielibyśmy zapłacić?

Jake wzrusza ramionami.

– Nie jestem pewien.

Wbijam w niego wzrok. Kieruje spojrzenie ponad moją głowę, nie schodząc niżej niż na moje czoło. Przestał dbać o takie sprawy? Ten etap ma już za sobą?

– Też nas na to stać?

– Nie mam pojęcia.

- Nie pytałeś?
- Zapytamy, jeśli zdecydujemy się na kupno.
- Jaki jest okres najmu?
- Miesięczny. Odnawia się samoistnie co trzydzieści dni.

Przetrawiam tę informację. Jestem zdziwiona; miesięczny okres najmu oznacza, że możemy się praktycznie w każdej chwili wycofać, co świadczy o ostrożności mojego męża, który jednak jest antytezą ostrożności, odkąd wygraliśmy w lotto. A nawet dłużej.

– Dlaczego, Jake? – pytam, a on odpowiada wzruszeniem ramion. – Okres półroczny jest chyba bardziej popularny. Wtedy też oferta byłaby korzystniejsza cenowo.

– W tym właśnie rzecz, Lexi. Nie musimy się już przejmować pieniędzmi. – Przeczesuje palcami włosy.

– Każdy przejmuje się pieniędzmi. Nawet królowa gasi światła na noc w pałacu Buckingham. – W mojej intencji jest to żart, ale coś mi mówi, że Jake podchodzi do sprawy ze śmiertelną powagą. Wyczuwam też w naszej relacji coś mrocznego. Jadowitego.

Jake ponownie wzrusza ramionami.

– Sądzę, że postępowanie jej królewskiej mości ma więcej wspólnego z ochroną środowiska niż z czymkolwiek innym.

– Nie wydaje mi się. Elżbieta stara się być oszczędna. Środowisko to ostatnie z jej zmartwień.

– Cóż, możemy tylko gdybać, prawda? Różne lobby wymuszają na niej gaszenie światel, sama na pewno wolałaby je zostawić włączone. Królowa bez wątpienia nie musi się przejmować pieniędzmi. Podobnie jak inne osoby.

– Przydałoby mi się takie lobby. Może pod jego wpływem zacząłbyś się zachowywać inaczej.

– Chryste, Lexi. – Kręci głową. – Poproszę o zniżkę i zmienię okres najmu na pół roku, skoro tego chcesz – dodaje ze zniecierpliwieniem.

Stoję w ogromnej, ciągnącej chłodem kuchni i głośno rozważam, czy królowa Anglii jest skąpa czy nie. Co za absurd. Nagle jednak uzmysławiam sobie coś znacznie gorszego. Prawdziwa rozmowa nie toczy się bynajmniej na temat Elżbiety II.

Zbieram się na odwagę. Chwytam krawędź stołu obiema dłońmi i przyglądam się, jak moje kłykcie i opuszki bieleją.

– Jake, czy ty mnie jeszcze kochasz?

– Co to za pytanie?

– Kochasz mnie?

Zmuszam się, aby spojrzeć na męża. Stawiam czoło całej naszej dwudziestopięcioletniej historii. Niemal ją widzę, jak migocząc obrazami, przebiega między nami niczym prąd. Jake wodził za mną wzrokiem od tamtego pierwszego razu, gdy mnie wypatrzył w siedzibie zrzeszenia studentów. Jego spojrzenie wycisnęło na moim ciele piętno, rozpałiło mnie w okamgnieniu. Zupełnie jak promień słońca, który trafi na soczewkę, podpala las. Do dziś pamiętam nasz pierwszy pocałunek, nasz pierwszy seks. Jedno od drugiego dzielił jakiś kwadrans, tak wielka była siła naszego pożądania. Ściągałam majtki, myśląc, że oto łamię wszystkie zasady i że najprawdopodobniej właśnie przez to go stracę. Wpojono mi, że porządne dziewczyny nie dupczą się przyparte do ściany, i to w miejscu publicznym. Porządne dziewczyny odczekują przynajmniej dopóty, dopóki nie uda im się zaciągnąć swego królewicza z bajki do panińskiego łóżka. Byłam pewna, że gdy Jake dostanie już ode mnie to, na czym mu zależy, odejdzie i nigdy więcej się nie pokaże. Tymczasem on nigdy nie opuścił mojego boku.

Do czasu.

Pamiętam nasz ślub. To była duża i głośna impreza. Pod powiekami mam rozmazane uśmiechy, w uszach życzenia wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia. Spełnione marzenia i te, które dopiero się formowały. Jake przeniósł mnie przez próg naszego pokoju hotelowego, przydepnął mi sukienkę i oddał kawałek materiału. Roześmialiśmy się, a on powiedział, że przez cały dzień myślał tylko o tym, jak zedrzeć ze mnie ubranie. Późniejsze narodziny Emily i Logana, dwojga dzieci niemogących się bardziej różnić; Emily była grzecznym dzieckiem, nie sprawiała w ogóle kłopotu, podczas gdy Logan przysporzył mi wielu zmartwień i trosk. Jake przemierzał tam i z powrotem nasz ciasny salon z przytulonym do jego ramienia niemowlęciem, delikatnie gładząc plecki Logana, zasłaniając je swoją wielką dłonią, chroniąc. Pierwszy dzień szkoły. Wakacje. Zwolnienia lekarskie. Dni wypłaty. Postrzegam je wszystkie jak ubranka wywieszane na sznurze do prania, szarpane wiatrem. Czyste, kolorowe, wspaniałe. Nawet oglądanie telewizji było atrakcją – Jake siedział wyprostowany na kanapie, a ja leżałam wyciągnięta z głową na jego udzie, wiedząc, że mój ulubiony talk-show jest niezły, ale o ileż był lepszy dzięki temu, że śmialiśmy się w tych samych momentach. Wszystko to przemyka mi przed oczami, pytam więc ponownie:

– Czy ty mnie kochasz, Jake?

– Oczywiście, że cię Kocham. – Przygarnia mnie do siebie i całuje w czoło, mniej więcej w to miejsce, na które przez cały czas patrzył. – Mamy kłopoty, bo sytuacja nieoczekiwanie się zmieniła. To wszystko.

Wtulam twarz w jego ramię. Nie chcę, aby ujrzał w moich oczach łzy, które w każdej chwili mogą popłynąć.

– Nic więcej?

– Nie.

– Powiedziałaś Jennifer, że nie dostaną pieniędzy za zmianę zeznań? – Jest to pytanie najbardziej zbliżone do tego, które naprawdę chcę zadać.

Czy to już koniec?

– Myślę, że sami się tego domyślą – odpowiada, układając wargi w niezbyt przekonujący uśmiech. Nie czyni tego jednak wystarczająco szybko. Ułamek sekundy wcześniej zauważam na jego twarzy bolesny grymas i nagle pojmuję dwie rzeczy.

Albo to jeszcze nie koniec.

Albo to koniec i jest mu z tego powodu przykro.

Jedno i drugie łamie mi serce.

Każdy chce czegoś, czego nie może mieć. Kilkaset lat temu ludzie pragnęli pełnego żołądka i długiego życia. Współcześnie pragną serduszek na Instagramie i cudzych mężów. Mój mąż nie wie, że ja wiem o jego romansie z moją najlepszą przyjaciółką, trwającym od co najmniej dwóch lat. To znaczy o tyle podejrzewa ją mąż. Według mnie wszystko mogło się zacząć wcześniej. Nigdy niczego nie taiłam przed Jakiem. I byłam gotowa przysiąc, że on nie tai niczego przede mną. Teraz dzielimy wspólny sekret, tyle że on o tym nie wie.

A ja cierpię, kurwa, z tego powodu.

28

SOBOTA, 20 KWIETNIA

Wedle umowy tym razem mieli się spotkać u Jennifer. Lexi niespecjalnie tego wyczekiwała, ale uznała, że – biorąc wszystko pod uwagę – to ważne, aby tradycyjna wspólna kolacja się odbyła. Jeszcze przez jakiś czas musieli utrzymywać zwykły kurs. Lexi się pocieszała, że przynajmniej nie jest to wieczór Carli, co z pewnością okazałoby się trudniejsze. Oczywiście nigdy by się do tego nie przyznała, dbając o zachowanie delikatnej równowagi w ich trójstronnej znajomości i starając się ani nie czynić porównań, ani nie wyrażać preferencji, lecz po prawdzie wolała odwiedzać Jennifer niż Carlę. Obie, rzecz jasna, miały wygodne, luksusowe domy. Teoretycznie Carla powinna być lepszą gospodynią – miała większy salon, dzieci mogły się zaszyć w przeznaczonym specjalnie do tego celu pokoju, zaraz po tym jak pozwolono im odejść od dużego okrągłego stołu, zaprojektowanego tak, aby pomieścić wygodnie paręnaście osób i umożliwić swobodną wymianę zdań między wszystkimi. Do tego u Pearsonów była chłodziarka do białego wina i cały komplet karafek z rżniętego szkła, w których dawano odetchnąć czerwonemu winu. Tylko że właśnie te luksusy i zbytki stanowiły problem.

Lexi nigdy się specjalnie nie przejmowała tym, że z trójki przyjaciółek jest tą najmniej zamożną. Takie były fakty. Nawet gdy Patrick od czasu do czasu rzucił typową dla snoba uwagę na temat temperatury powietrza zimą (za chłodno) czy wina latem (za ciepłe), spływało to po niej jak woda po kacze. Lexi nie winiła Carli za prostactwo jej męża. Jeśli już, trochę jej współczuła. Żadne skarby świata nie są w stanie zadośćuczynić za męża palanta.

Ale w ciągu ostatnich kilku miesięcy Lexi zaczęła się zapatrywać na tę sprawę inaczej. Pozerstwo Patricka działało jej na nerwy, a to, że się tak popisował, uważała wręcz za okrutne. Był uprzywilejowany pod każdym względem, ona zaś pracowała z ludźmi, którym brakowało niemal wszystkiego. Przeprowadziła nawet test; jęła anonimowo opowiadać o swoich podopiecznych, by zbadać jego reakcję. Patrick okazał lekceważenie i pogardę problemom społecznym, z jakimi boryka się cała masa osób. Dotychczas nie wzruszało jej, że jest snobem, ale wreszcie przekonała się naocznie, co z niego za gbur. Był bez serca, bez duszy i nie miał za grosz współczucia. Od tej pory mierziło ją wysłuchiwanie ciągłych zachwytów, jaki to jest bogaty i cwany.

Wskutek tego relacja pomiędzy Lexi i Carlą stała się niezręczna. Lexi, niegdyś świetna w oddzielaniu spraw od siebie, pozwoliła sobie patrzeć na świat kompleksowo. Ostatnimi czasy praca bardzo ją absorbowała. Niektórzy podopieczni zapadli jej głęboko w serce. Taki Toma Albu na przykład nie opuszczał jej myśli. Wiedziała naturalnie, że nie powinna prowadzić z nim śledztwa na własną rękę i z takim zapalem. Postępowała wbrew regułom i nie mogła powiedzieć o tym szefowej, ponieważ Ellie natychmiast by ją osadziła w miejscu, przypomniawszy o procedurach, według których muszą się toczyć pewne rzeczy. Lexi jednak zwątpiła w procedury; na cele społeczne nie przekazano wystarczających środków. Poza tym BPO

wyznaczyło granicę, poza którą nie wolno się było wychylić. A ona postanowiła zdobyć twarde, namacalne dowody, nie zamierzała puścić takiej zbrodni płazem. Teraz, gdy już miała dowody w ręku, nie wiedziała, co z nimi zrobić. Nie zwierzyła się nawet Jake'owi. Mąż nie pochwaliby tego, że złamała zasady – bynajmniej nie ze względu na własną kryształową uczciwość, lecz ze zwykłej obawy, że Lexi biega po mieście z obcym, pogrążonym w rozpacz, rozchwianym emocjonalnie mężczyzną.

Przystojnym, samotnym i seksownym mężczyzną.

Co by na to powiedział?

Dlatego, że nie poinformowała Jake'a o swoich działaniach, nie wygadała się również przed Jennifer ani Carlą. Czuła jednak, że zatajając przed nimi tak ważną dla siebie sprawę, wystawia na próbę ich przyjaźń. Do tego wszystkiego w ubiegłym tygodniu kupiła szczęśliwy los ze szczęśliwymi liczbami, co w niczym nie pomogło.

A Patrick uczynił sprawę jeszcze gorszą, i to dla nich wszystkich.

Sprawa była naprawdę skomplikowana. Istniała między nimi ciasna sieć wzajemnych relacji i wspólnej historii. Na układy pomiędzy dorosłymi nakładały się układy łączące dzieci. O ile wątek i osnowa ich egzystencji dotąd były zawsze schludne i przenikały się idealnie, o tyle teraz zwichrowały się i splątały. A pragnieniem Lexi było, aby sprawy toczyły się jak dotychczas. Wszyscy mieli się zachowywać jak zwykle, dopóki ona nie przemyśli sobie tego i owego i dopóki nie zdecyduje się na podjęcie jakichś działań.

Zastanawiała się, czyby nie porozmawiać z Jennifer. Czasem prowadziły rozmowy tylko we dwie, z wykluczeniem Carli. Nigdy jednak nie chodziło o sekrety ani tajemnice. Po prostu zbliżyły się do siebie w ciągu minionego roku, odkąd Emily i Ridley zaczęli się spotykać jako para. Częściej też się widywały, odwożąc dzieci do szkoły i odbierając je

stamtąd. Jennifer zawsze miała czas dla Lexi. Nadstawiała współczująco ucha, gdy Lexi chciała się wyżalić na dzieci, Jake'a albo pracę. Bywało też, że razem utyskiwały na ekstrawagancką rozrzutność Carli i napastliwość Patricka. Nie zdarzało się to często. Obie bardzo się pilnowały, aby nie plotkować o przyjaciółach. W każdym razie Lexi przeżyła potężne rozczarowanie, gdy w sobotę po południu, około siedemnastej, otrzymała przez WhatsAppa wiadomość, że Jennifer i Fred udają się z wizytą do szwagierki i są zmuszeni odwołać cotygodniową kolację. Ponieważ mieli w szóstkę założony grupowy czat, wkrótce pojawiła się i Carla. „ZATEM ODPUSĆMY ZUPEŁNIE. JESTEM WYKOŃCZONA, CHĘTNIE POSIEDZĘ WIECZOREM W DOMU”.

Lexi nie pamiętała, kiedy ostatnio któreś z nich wycofało się ze wspólnej kolacji z takim małym wyprzedzeniem, i to bez słowa „przepraszam” choćby przez telefon. Poza tym Jennifer nawet nie lubiła swojej szwagierki; wiecznie się skarżyła na jej niegrzeczne dzieci i nieporządek w domu. Skąd nagle pomysł wizyty u niej? To się nie trzymało kupy, o ile w grę nie wchodziła sytuacja awaryjna – a nie wchodziła, ponieważ wówczas Jennifer na pewno by o tym wspomniała. Prawda? Lexi tłumaczyła sobie, że chęć Carli do pozostania w domu jest całkowicie zrozumiała, choć miała w pamięci podobne sytuacje, gdy jednej parze coś wyskakiwało i pozostałe dwie uzgadniały, kto przejmie obowiązki gospodarzy, ewentualnie ustalały inny plan na wieczór. Poczula, jak w górę jej kręgosłupa pełzną zimne łaskotliwe palce – w jej odczuciu najbardziej podejrzane było to, że obie wiadomości przysłyły praktycznie jedna po drugiej.

Potrząsnęła głową dla rozjaśnienia myśli. Zaczynała wariować, wpadać w paranoję.

Być może, ale jakoś nie potrafiła się pozbyć poczucia, że siedzą we czwórkę i kombinują, jak by się tu wykręcić ze wspólnego wieczoru.

Nagle Lexi coś zaświtało, wrażenie niezbyt silne, ale i tak upokarzające, które zaczęło się rozlewać po całym ciele, w końcu sięgając skurczami dna żołądka. W zeszłym tygodniu, gdy Patrick stwierdził, że gra w lotto jest dla naiwnych, poczuła palące uczucie tylko trochę podobne do wstydu. Obrazę? Gniew? Jak on śmie?! Ten podlec. Jak śmie ich oceniać. Bo chodziło o nich, uświadomiła sobie teraz. O nią i o Jake'a. Na domiar złego wszystko wskazywało na to, że nie tylko Patrick ich osądza i ocenia. Ostatnie wiadomości sugerowały, że pozostali – Carla, Jennifer i Fred – także próbują się od nich zdystansować.

Zmusiła się do przemyślenia rzeczy, które do tej pory odsuwała od siebie jak najdalej. Tu nie chodziło wyłącznie o wygraną – zakładając, że chciała być uczciwa wobec samej siebie. Przypomniała sobie niedzielne wycieczki, na które ich nie zapraszano i o których dowiadawali się dopiero po fakcie – wyjazdy za miasto z zamiarem zwiedzania zabytków czy zwykłego pospacerowania na łonie natury.

– Zaraz tam wycieczki. Ot, wypad, i to zorganizowane w ostatniej chwili – utrzymywała Jennifer przy jednej z okazji, gdy Lexi się zorientowała, że zostali wystawieni do wiatru.

– Jaka jest różnica między wycieczką i wypadem? – zapytała Lexi zażenowana, że drąży ten temat.

– Nie planujemy niczego z wyprzedzeniem, to się dzieje pod wpływem impulsu. Pewnie dzięki temu, że mieszkamy bliżej siebie, nie tak daleko jak wy.

W tamtym momencie Lexi pomyślała, że to coś wyjaśnia. Prawda jednak była taka, że odległość wynosiła zaledwie parę kilometrów, które dało się pokonać w jeszcze mniej minut. Ale ona wolała wierzyć w te

tłumaczenia, ponieważ alternatywa była zbyt bolesna. Raz się zdarzyło, że Jennifer i Carla wybrały się do Londynu, by zasiąść na widowni kręconego na żywo programu *Perfekcyjna pani domu*, i nawet jej nie zapytały, czyby z nimi pojechała. Zbываły ją potem słowami:

– I tak pracowałam w ten dzień. Wiedziałyśmy, że nie dasz rady.

Mimo wszystko powinny były ją zapytać.

– No naprawdę, Lexi. Carla nigdy nie czuje się wykluczona, gdy wypijasz ze mną kawę, odbierając Emily – dodała wtedy Jennifer.

Lexi poczuła się głupio; czyżby faktycznie przesadzała?

Dlaczego od niej stroniły? I czy chodziło tylko o nią, czy o Jake'a również? Fred i Patrick grywali co tydzień w squasha, byli zapisani do tej samej siłowni. Jake rozważał, czyby nie wykupić karty członkowskiej, i od czasu do czasu podnosił ten temat głośno przy stole, ale miesięczny abonament był kosmicznie wysoki, naprawdę nie mogli sobie na to pozwolić. Czyżby stali się piątym kołem u wozu?

Lexi nie rozumiała, co się dzieje, czuła się odrzucona. Po raz pierwszy, odkąd ukończyła szkołę średnią. Wtedy jednak było zrozumiałe, że dzieci i nastolatki robią sobie nawzajem brzydkie rzeczy, zapominają o tym, by wspierać innych i włączać ich do swojej grupy. Tylko że są wciąż nieuforni, niedojrzali. Zaznanie podobnego traktowania od osób dorosłych było wyjątkowo przykrym doświadczeniem. I sugerowało, że dla ludzkości naprawdę nie ma nadziei. Lexi popadła w przygnębienie.

– Nie wychodzimy dzisiaj z domu, mamo? – zapytał Logan. Była siódma; zwykle o tej porze Lexi poganiała oboje, aby szybciej wsiadali do samochodu.

– Nie, Jennifer odwołała spotkanie. Wyjeżdżają do rodziny na weekend i nie mogą nas podjąć.

– Aha. – Logan się odwrócił i powolnym krokiem ruszył z powrotem do swojego pokoju, niespecjalnie przejęty. Czy grał w swoją ulubioną grę wideo na konsoli Ridleya czy w domu, na jedno wychodziło.

Lexi rzuciła spojrzenie córce. Emily siedziała przy stole kuchennym, wpatrzona w telefon. Głowę miała pochyloną jakby w modlitwie, co zdaniem Lexi nie było przesadą, zważywszy, że piętnastolatka praktycznie adorowała swoją komórkę.

– Masz jakieś plany na wieczór?

– Nie.

– Nie spotykasz się z Megan?

– Nie.

– Wiedziałaś, że Ridley jedzie do ciotki?

– Nie.

– Obejrzysz film ze mną i z tatą?

– Nie. – W tym momencie komórka zadzwoniła i na twarzy Emily pojawił się szeroki uśmiech. Nadawcą wiadomości musiał być Ridley. – Będę w swoim pokoju – rzuciła, zrywając się z krzesła i pędząc na górę.

Lexi i Jake oglądali film w milczeniu przez jakieś dwadzieścia minut. W normalnych okolicznościach Lexi lubiła komentować filmy na bieżąco, powstrzymywała się przed tym jedynie w kinie – z obawy, że ludzie zaczną ją uciszać. Zgadywała, jak potoczy się akcja, albo pytała: „Gdzie ona grała ostatnio? Nie daje mi to spokoju”. Tego wieczoru jednak nie była w stanie nawet skoncentrować się na fabule.

Jake wcisnął pauzę i powiedział:

– Skoro nie muszę być dzisiaj szoferem dzieci, wezmę sobie piwo. Chcesz kieliszek wina?

– Może później. Właśnie sobie przypomniałam, że muszę na chwilę wyjść.

– Dokąd? Po co? – Jake wyglądał na niezadowolonego, że ich spokojnemu wieczorowi w domu nagle coś zagraża.

– Obiecałam, że podrzucę książkę Dianie Roper. Samochodem zajmie mi to tylko parę minut.

– Musisz to robić właśnie teraz? W sobotni wieczór?

– Diana ma we wtorek spotkanie klubu książkowego. Miałam być u niej wcześniej, ale całkiem zapomniałam. Wybacz. Oglądaj dalej, wrócę raz-dwa i dołączę do ciebie.

Lexi wstała, pomyszkowała za kluczykami do auta i skierowała się do drzwi wyjściowych.

– Nie zapomniałaś o czymś? – rzucił za nią Jake.

– Na przykład o czym?

– O książce. – Wydawał się nieprzekonany.

– Ach, tak. – Pobiegła do sypialni i złapała powieść leżącą na szczycie sterty po jej stronie łóżka. Nie sprawdziła nawet tytułu.

Po chwili jechała już wąską krętą szosą, którą znała jak własną kieszeń. Pokonała tę trasę wcześniej tyle razy – setki, a może tysiące – że nie był dla niej zaskoczeniem żaden zakręt, żaden garb. Przed nią leżało Great Chester, miejsce zamieszkania zarówno Jennifer, jak i Carli. To samo, na które oni nie mogli sobie pozwolić i o którym rozpisywały się różne czasopisma, reklamując je jako najładniejszy zakątek Anglii. Nie zamierzała się zatrzymywać, wystarczyło, że przejedzie obok. Chciała zobaczyć ciemny i cichy dom. Żeby się upewnić. Jennifer oczywiście nigdy by jej nie okłamała. Z całą rodziną była u szwagierki, tak jak mówiła. Mimo to Lexi nie umiała się powstrzymać. Pragnęła potwierdzenia w postaci tylko

jednego auta na podjeździe; Heathcote'owie mieli dwa samochody, ale w dłuższe podróże wybierali się zwykle wozem Freda.

Zamierzała przejechać koło domu przyjaciół w spokojnym tempie, aby zdążyć się upewnić co do ich nieobecności. Z tym że już z daleka zobaczyła, że na podjeździe stoją oba auta, okna pokoi na dole są otwarte na oścież, a rower Ridleya tkwi oparty o ścianę – manifestacja wiary w bezpieczeństwo okolicy o prawie zerowej przestępczości.

Lexi sapnęła, zszokowana tym, że jej obawy nie były pozbawione podstaw, i rozczarowana zachowaniem Jennifer. Zatrzymała się pod samym domem, jakby wstąpił w nią prowokacyjny duch, jakby chciała zostać zauważona. Niech jej tak zwani przyjaciele się dowiedzą, że przyłapała ich na kłamstwie. Nadal było jasno, dzięki czemu dobrze widziała na przestrzał domu, sięgając wzrokiem aż do tylnego ogrodu. Gdzie znajdowali się oboje. Jennifer siedziała przy stole, a Fred przechadzał się tam i z powrotem obok niej.

Lexi zaparkowała i wysiadła z samochodu. Postanowiła, że nie puści płazem tego kłamstwa. Nie po piętnastu latach głębokiej przyjaźni. Stawi czoło Jennifer i zapyta, dlaczego ją okłamała. Skoro Heathcote'owie bratali się z Pearsonami, zostawiając na lodzie ją i Jake'a, wolała mieć tego świadomość. Była gotowa umieścić bombę pod ich szóstką i podpalić lont. A co!

Zdecydowała obejść dom, aby znaleźć się od razu w ogrodzie. Weźmie ich przez zaskoczenie, nie da czasu na wymyślenie bzdurnej wymówki, czemu nie siedzą w aucie jadącym do Birmingham, gdzie mieszka siostra Freda.

Zaczęła się skradać ścieżką biegnącą wokół domu. Ledwie wkroczyła w cień, pożałowała, że nie zabrała swetra. Słońce traciło swą moc, a tam, gdzie nie sięgało, królował chłód. W środku dnia wiaterek pieścił skórę, ale

teraz kąsał. Lexi zniechęca straciła pewność siebie. Pomysł stawienia czoła Jennifer jednak nie wydawał się tak dobry. I już, już miała się wycofać, gdy Fred ryknął coś, czego nie rozumiała. Tego głosu jednak nie dało się pomylić z niczym innym. Był pełen wściekłości. Jennifer syknęła coś do męża, zbyt cicho, aby Lexi to usłyszała. Aha, awantura domowa. To dlatego Jennifer wycofała zaproszenie. Nic zdradliwego, zwykła kłótnia. Lexi ulżyło. Za co momentalnie skarciła się w duchu. Nie powinna czerpać radości z nieszczęścia przyjaciółki.

Jakiś owad przeleciał jej koło ucha, przez co instynktownie się odchyliła, zaraz jednak zamarła, nie chcąc ruchem przyciągnąć do siebie uwagi. Chociaż byli tak pochłonięci sobą, że raczej niczego by nie zauważyli. Dziwne. Utarczki nie były w stylu Heathcote'ów. Pearsonowie owszem, mieli zmienny charakter i dość często na siebie naskakiwali. Ale Jennifer i Freda łączyła relacja spokojniejsza, bardziej kulturalna. Ktoś mógłby wręcz powiedzieć: tak kulturalna, że aż nudna. Spółka oparta na ekonomicznych podstawach. Jennifer wiodła u boku męża dobre życie, pozbawione jednak namiętności.

– Pieprzysz się z nim! – krzyczał Fred. – Przyznaj to wreszcie! – Dało się wyczuć, że jest pijany; mówił niewyraźnie, ale głośno, natarczywie. Tylko o czym? – Pieprzysz się z nim – powtórzył. – Przyznaj to wreszcie!

Lexi poczuła zażenowanie. Co on sobie myślał? Jennifer nie miała kochanka. Powiedziałyby jej, gdyby tak było. Jak to możliwe, że Fred uwierzył w coś tak nieprawdopodobnego?

– Nie krzycz tak, bo sąsiedzi usłyszą.

W tym momencie Lexi powinna była się odwrócić i odejść, pozostawiając prywatną sprawę do rozwikłania przyjaciółom, ale zamiast tego zakradła się jeszcze bliżej, aby widzieć oboje, a nie tylko słyszeć. W końcu była człowiekiem. Zobaczyła, że Jennifer i Fred stoją zwróceniem do

siebie twarzami, zupełnie jak gladiatorzy przed walką, z napiętymi wszystkimi mięśniami. Gotowi zaatakować albo uciec. Na szyi Jennifer drgało ścięgno.

– Mam w dupie sąsiadów! – odwarknął Fred.

– Ridleya też?

– O Ridleyu trzeba było myśleć, zanim zaczęłaś się pieprzyć z jebanym Jakiem Greenwoodem.

Nie. Nie, nie! Nogi Lexi zmiękły, zamieniły się w galaretę, która rozpuszczała się u jej stóp. Jake? Jej Jake? Nie. Niemożliwe. Fred coś pomieszał. Jennifer zaraz wszystko wyprostuje. Przecież to śmieszne... Moment przedłużał się w nieskończoność. Jennifer nie odezwała się ani słowem, żeby wyprowadzić męża z błędu. W ogóle nic nie powiedziała. Lexi nie potrafiła oderwać spojrzenia od twarzy Freda, która zdawała się nabrzmiała rozpaczą i poczuciem zdrady. Choć nie miała o tym pojęcia, jej własne rysy wykrzywiły się w grymasie szoku. Ptaki ćwierkały wesoło, nieświadome zatrutych strzał, które raniły do żywego, rozdzierając na strzępy życie trojga ludzi. Pies sąsiadów ujadał nieprzerwanie, obwieszczając, że jego państwa nie ma w domu. Jennifer się upiekło, nie musiała się martwić, że ktoś usłyszy rodzinną awanturę. Szczęściara. Cholerna szczęściara.

– Śledziłem cię, Jennifer. Na miłość boską. Chciałem się mylić, ale żeby tydzień w tydzień rachunek z tego samego hotelu na tę samą kwotę?

– Mówiłam ci, że jeżdżę do SPA. Tyle kosztuje masaż i manikiur.

– Nie łżyj, do kurwy nędzy! To też sprawdziłem. W tym hotelu nie ma SPA. A tyle kosztuje pokój. Płaciłem za pokój, w którym mój najlepszy przyjaciel pieprzył się z moją żoną co wtorek!

Lexi siedziała na ziemi. Nie pamiętała, aby siadała, ale może jej ciało przewidziało, że zaraz się przewróci, i postanowiło ją w ten sposób

ochronić. Zakryła twarz rękami. Nie była w stanie patrzeć na żadne z nich. Właśnie zrujnowali jej życie swoimi oskarżeniami, swoimi kłamstwami. Usłyszała brzęk tłuczonego szkła. Być może Fred upuścił kieliszek albo rzucił nim. Chwilę później rozległ się męski płacz, wyjątkowo żaloszny dźwięk, szczególnie gdy szłocha dorosły mężczyzna. Wtorki? Jake zawsze we wtorki pracował dłużej. Na ramieniu Lexi wylądowała mszyca. Strącając ją, kobieta pomyślała o różach Jennifer. Czyżby były zainfekowane przez te szkodniki? Zawsze dotąd tak właśnie było; martwiły się i troszczyły wzajemnie o siebie. Chwilę zajęło, nim umysł Lexi dopuścił do głosu pierwotny instynkt; w duchu przeklęła Jennifer, jej róże, dom, rodzinę, całe cholerne życie. Niech spadną na nią wszystkie plagi świata!

Przyływ adrenaliny, który Lexi czuła, zmierzając do ogrodu, zniknął równie szybko, jak się pojawił. Opuściła ją pewność siebie, była załamana. Cierpiała ból, jakby ktoś raz po raz walił ją w pierś. Podniosła się na drżące nogi i pędem wróciła do samochodu, łapczywie chwytając powietrze otwartymi ustami. Po drodze minęła chmurę muszek. Nie, nie, nie. Fred musiał się mylić. Po prostu musiał. Jake miał romans z Jennifer? Chyba znała własnego męża na tyle, aby go przejrzeć? Odkryłaby jego zdradę. Ludzie, którzy romansują na boku, zawsze są przyłapywani, prawda? Naraz uderzyła ją ironia tej myśli. Przecież właśnie do tego doszło. Przyłapała Jake'a. Zrobiło się jej niedobrze. Chciała wyć. Rwać włosy z głowy. Położyć się na jezdni.

Z impetem wsiadła do auta i ostatek woli powstrzymała się od tłuczenia głową o kierownicę, raz po raz, aż do odzyskania jasności myśli. Nic takiego się nie stało. W końcu przekręciła kluczyk w stacyjce i odjechała.

29

EMILY

SOBOTA, 25 MAJA

Mam na sobie spodenki od piżamy marki Jack Wills, którą dostałam, gdy miałam chyba dwanaście lat. W tamtych czasach ciuchy kupowała mi mama i zawsze wybierała rzeczy na wyrost, przesadnie wygodne. Ale z tych spodenek i tak zdążyłam wyrosnąć, leżą na mnie jak druga skóra, lecz nadal je lubię, mimo że wyblakły i trochę się wystrzępiły. Żałuję, że mama wyprała bluzę Ridleya. Zostawił ją u nas tuż przed tym, jak ze sobą zerwaliśmy, bo grał w piłkę z Loganem w ogrodzie, gdzie za słupki bramek służyły im ubrania. Później poszedł do domu w samym T-shircie i kompletnie zapomniał o prze poczonej bluzie. Mama wrzuciła ją do pralki razem z moimi rzeczami, jednak żałuję, że jej nie powstrzymałam. Brakuje mi zapachu Ridleya. Ale i tak zakładam jego bluzę na noc. Teraz pachnie mną. Głównie moim potem, którym spływam, gdy sen nie chce przyjść. Co ciekawe, zapach wydaje mi się obcy. Czyżbym to sobie tylko wyobrażała, czy z moich porów wydobywa się hormon?

Szlag.

Szlag, szlag, szlag!

Kurwa! Jak to możliwe?

Nie mogę spać ani w nocy, ani w dzień. Do pewnego stopnia mnie to cieszy. Gdybym zasypiała, musiałabym się budzić i przypominać sobie wszystko od nowa. To, jak teraz wygląda moje życie.

Wygrana – hura!

Ciąża – ożeż w mordę!

Nie mogę mieć dziecka. Sama jestem dzieckiem. Tyle wiem. Nie dlatego, że mama mnie tak nazywa, ale dlatego, że to czuję. Tylko jak się go pozbyć? To znaczy wiem co trzeba o aborcji i w ogóle, ale jak się dostać do lekarza i powiedzieć mu, czego potrzebuję?

Ależ jestem głupia!

Czy oskarżą Ridleya? Technicznie rzecz biorąc, seks z nieletnią jest obecnie czymś więcej niż kiedyś. Podpada pod pedofilię. A to już gruba sprawa. Nie chcę, by poszedł do więzienia, choć gdyby trafił za kratki, nie mógłby zrobić nikomu tego co mnie. Nie, jednak nie. Nie chcę, żeby go wsadzili.

O Boże! O mój Boże! Niech ta sprawa zniknie. Nie mogę o niej myśleć, nie teraz. Nie potem. Nigdy.

Wstaję, ściągam piżamę i wkładam kostium. Sprawdzam, jak wyglądam, w długim od podłogi do sufitu lustrze. W starym domu musiałam stawać na łóżku, żeby cokolwiek zobaczyć, bo lustro wisiało na wysokości twarzy i wcale nie było duże. Obecnie mam w sypialni garderobę, do której się wchodzi i w której na przeciwległych ścianach wiszą aż dwa wysokie lustra. Dzięki temu mogę patrzeć na nieskończoną liczbę odbić samej siebie – nikniemy w perspektywie, stając się coraz mniejsze, aż w końcu nie ma nic. Kostium jest super. Wieki spędziłam na Amazonie, szukając czegoś, co by przypominało strój Zendayi; zależało mi

na czymś porządnym, nie na jakimś tanim poliestrowym gównie, w którym by mi groziło, że zamienię się w pochodnię, jeśli stanę obok zbyt silnego źródła światła. Ostatecznie Sara zamówiła dla mnie replikę z prawdziwego zdarzenia. Jest wspaniała! Jedwabna obcisła szmizjerka i seksowne aksamitne spodnie. Obie rzeczy słodkie na dziewczynski sposób. Świetnie na mnie leżą. Sara powiedziała, że mogę pożałować nadmiernej skromności, i na wszelki wypadek zamówiła też replikę stroju scenicznego Zendayi, tego purpurowego. Jest jeszcze cudowniejszy i bardziej sexy! Ma przezroczysty dekolt, który ciągnie się aż do pępka, a do tego są złote kozaki i nawet różowa peruka.

Zdejmuję dziewczynski kostium i wkładam ten dorosły. Zapinam kozaki, prostuję się na całą swoją wysokość. Ostrożnie umieszczam perukę na głowie. I znów się przeglądam. Jestem odmieniona! Co za ulga wyjść z siebie. Mamie się on nie spodoba. Ale jest ekstra! Wygładzam materiał na brzuchu, wciąż jeszcze płaskim. Nie mam pojęcia, kiedy zaczyna być coś widać, ale cieszę się, że to jeszcze nie dziś. Dziś wieczorem muszę się prezentować idealnie – śliczniutka i podniecająca – co oznacza płaski brzuch.

Popołudniowe słońce wpada do mojego nowego zajefajnego pokoju. Wystarczy, że dotknę pilota, a elektryczne rolety opadną. Ale nie chcę się odcinać od ciepła i światła, które otulają całe pomieszczenie i moje ciało, rozgrzane i klejące się od potu. Przesuwam dłońmi po biodrach, pośladkach, talii, wspominając przyjemność, którą sobie nawzajem dawaliśmy, a której nie sposób opisać słowami. Zanim Ridley i ja zbliżyliśmy się do siebie, nigdy nic podobnego nie czułam. Nie miałam nawet pojęcia, że można się tak czuć. A jeśli tylko Ridley był w stanie dać mi aż taką przyjemność? A jeśli żaden inny mężczyzna nie rozpalił mnie do tego stopnia? O ciele Ridleya wiedziałam wszystko, zanim zaczęliśmy

uprawiać seks. Albo przynajmniej tak mi się zdawało. Przecież już jako dzieci kąpaliśmy się razem w wannie i pluskaliśmy w brodzikach na basenie. To się skończyło, kiedy zaczęliśmy chodzić do szkoły, ale i tak bez przerwy widywaliśmy się w domach, namiotach, ogrodach, kuchniach... Wiedziałam więc, że ma na powiekach błękitne żyłki, które widać tylko wtedy, gdy śpi. Wiedziałam, że ma bliznę po ospie na żuchwie po prawej stronie, na udzie zaś znamię wielkości mniej więcej M&M'sa. Wiedziałam, że linia drobnych włosków biegnie od jego pępka w dół i że pod oboma pachami ma ich całe kępkę. Nie wiedziałam tylko, do czego to ciało jest zdolne.

A teraz wiem. I nigdy już nie będę taka jak wcześniej. Żadne z nas nie będzie. Przyjaźń to za mało. Nagle mam dość słońca, ciepła i w ogóle wszystkiego. Nie chce mi się iść na przyjęcie. Czuję się ociążała od wspomnień i konsekwencji. Tata powtarza, że życie jest wspaniałe, że odtąd wszystko będzie cudownie. Chciałabym. Chciałabym w to wierzyć. Ale mama ciągle pyta, czy u mnie wszystko w porządku, czy nic mi nie jest, tak że chwilami myślę, że rozpadnę się pod jej czujnym wzrokiem. Leżę na łóżku i gapię się w sufit. Zmuszam się do rozwarcia powiek najszerzej jak się da, ale i tak samotna łza wymyka się z kącika oka i spływa bokiem twarzy. Ocieram ją niecierpliwym gestem. Muszę iść na tę imprezę. Muszę z nim porozmawiać. Z nim w pierwszej kolejności.

30

LEXI

Kurczowo ściskam w ręce zalaminowany plan imprezy sporządzony przez Sarę, czując się trochę jak berbeć, który dla poczucia bezpieczeństwa nie chce wypuścić swojego ulubionego kucyka. Pierwsza wersja została wydrukowana na sztywnym kremowym papierze, ale że prognoza pogody zapowiada kolejną ulewę wieczorem, Sara postanowiła się zabezpieczyć. Muszę przyznać, że jest naprawdę dobrze zorganizowana. Bierze pod uwagę każdą ewentualność. Przychodzi mi nawet do głowy myśl, że gdyby to ona rządziła tym krajem, spłacilibyśmy dług publiczny w góra dziesięć lat. No ale niczym nie rządzi, prawda? Organizuje tylko przyjęcia dla ludzi mających więcej pieniędzy niż rozumu. Do której to grupy zaliczam z premedytacją i nas, szczególnie że właśnie widzę, jak obsługa rozdaje świetliki opatrzone inicjałami i wysadzone kryształami Swarovskiego.

Patrząc po gościach, domyślam się, że przyjęcie uznają za nadzwyczaj udane. Ponieważ sama nie byłam zaangażowana na etapie przygotowań, też doceniam scenografię i rekwizyty. Bo to coś więcej niż przyjęcie, jeśli już, amalgamat wesołego miasteczka, cyrku i planu filmowego. Ludzie założyli, że impreza będzie wyjątkowa, i naprawdę się postarali, jeżeli chodzi o kostiumy. Wokół roi się od dziewcząt i kobiet w baskinkach i kabaretkach, z cylindrami na głowie. Wśród mężczyzn nie brakuje tych,

co udają kobiety z brodą, lwy i konferansjerów cyrkowych, w zależności od tego, jak sami się postrzegają (jako zabawni, milutcy albo samce alfa). Jest mnóstwo osób w zwykłych pstrokatych strojach oraz nieskończone rzesze klaunów. Odradzałabym obecność tutaj komuś, kto cierpi na koulrofobię.

Zerkam na harmonogram co kilka chwil, ale bez względu na to, jak często to robię, detale się mnie nie trzymają. Sara wyłuszczyła, gdzie i kiedy odbędą się poszczególne atrakcje. Oczywiście jak na każdym przyjęciu będzie jedzenie, picie i tańczenie, ale też pokazy sztuczek magicznych, występy różnej maści performerów i okazje do robienia zdjęć, nad czym muszę mieć jakąś kontrolę. Nigdy dotąd nie byłam gospodynią tak misternie rozplanowanego przyjęcia, zatem to wszystko jest dla mnie nowe i raczej przytłaczające. Przy okazji przyjęć urodzinowych dla dzieci czasu się nie pilnowało, tylko się go poganiało, żeby ten chaos jak najszybciej się skończył. Zdarzało nam się wyprawiać przyjęcia bożonarodzeniowe. Zapraszaliśmy przyjaciół i sąsiadów, każdy przynosił butelkę alkoholu, ja – jeśli miałam akurat fantazję – wstawiałam do piekarnika takie czy inne danie. Ale gości było zwykle trzydziestu, najwyżej trzydziestu paru; tymczasem dzisiaj oczekujemy przybycia ponad trzech setek osób. Nie miałam pojęcia, że w ogóle znamy tylu ludzi. Zresztą po przejrzaniu odpowiedzi na zaproszenia nadal nie jestem tego pewna. Jake, tak jak obiecał, wystosował zaproszenia do wszystkich, z którymi mieliśmy choćby przelotnie do czynienia, a zadziwiająca liczba osób postanowiła nas zaszczyścić swoją obecnością. Dosłownie garstka przeprosiła, że nie może się pojawić – co do jednego byli to ci, którzy akurat przebywają za granicą. Mnie osobiście to dziwi, ale zgodnie z przewidywaniami Jake'a zaproszenie przyjęli nawet przyszli koledzy i koleżanki naszych dzieci z nowej szkoły.

– Nie masz pojęcia, jak ekscytująca jest nasza wygrana dla innych – rzucił zarożumiale Jake dziś rano, kiedy leżeliśmy w łóżku i przeglądaliśmy listę gości. Pozytywna reakcja ogółu ewidentnie go cieszyła. Mnie przeciwnie – wpędzała w panikę.

– Być może – odparłam. – Ale mam tremę przed spotkaniem tylu nieznanych ludzi.

– Mamy dobrą ochronę. Zresztą chyba nie jest aż tak trudno odróżnić zaproszonego piętnastoletniego bogatego dzieciaka od pięćdziesięcioletniego wytatuowanego opryszka, który zjawił się na krzywy ryj, bo chciałby nas obrabować.

Jake jeszcze nigdy nie zrównał w swojej wypowiedzi tatuażu i potencjalnych problemów. Od tego zawsze był Patrick.

Pojawiliśmy się na miejscu imprezy całą rodziną już o osiemnastej. Tak wczesny początek był pomysłem Jake’a, który chciałby, aby przyjęcie ciągnęło się w nieskończoność. Niestety dla niego nawet fura pieniędzy nie jest w stanie zmienić kontinuum czasoprzestrzennego. Emily i Logan zniknęli, ledwie wysiedliśmy z samochodu. Wtopili się w tłum, chętni odnaleźć przyjaciół – starych albo nowych, nie jestem pewna. Jake pozostał przy moim boku niewiele dłużej; miał do uściśnięcia tyle dłoni i tyle pleców do poklepania. W nieunikniony sposób zostaliśmy rozdzieleni, gdy różni ludzie domagali się naszej uwagi.

Goście są zachwyceni rozmachem i pełni podniecenia. Bez końca przyjmujemy gratulacje; niekończące się słowa uznania padają pod adresem samego przyjęcia, serwowanych koktajli i naszych kostiumów. Ja mam na sobie przebranie Pierrota, smutnego klauna: białą luźną bluzkę z dużymi czarnymi guzikami, szerokie białe pantalone, marszczoną kryzę pod szyją i mykę na głowie. Charakterystycznego wyglądu dopełnia przypudrowana na biało twarz, pomalowane na czarno usta i nakreślona na policzku tłusta

łza. Jake jest rozczarowany. Nie podoba mu się, że przebrałam się za mężczyznę. Chciał, żebym włożyła coś obcisłego i błyszczącego. O moim kostiumie wyraża się lekceważąco, nazywając go nudnym strojem nudnego mima. Oczywiście umyka mu najważniejsze – Pierrot przez stulecia był kluczową postacią cyrku, wzbudzał współczucie widowni niespełnioną miłością do Kolombiny (która zwykle łamie mu serce i rzuca go dla Arlekina, tego pstrokatego). Wiodącą cechą Pierrota jest naiwność; postrzega się go jako głupca, ofiarę żartów, a jednak jest uwielbiany – właśnie dlatego, że okazuje taką ufność.

Długo się zastanawiałam nad swoim przebraniem. Workowaty, dziwaczny strój i upudrowana na biało twarz zapewniają mi upragnioną anonimowość. Odkąd zostałam sama, porzucona przez Jake'a przebranego za konferansjera (a raczej Konferansjera), pozostaję praktycznie nierozpoznana. Mogę się swobodnie poruszać między wczesnymi gośćmi, którzy rozmawiają ściszonymi głosami i stukają się kieliszkami. Nieniekpokojona przez nikogo, wdycham przyprawiający o zawrót głowy zapach spalonej słońcem łąki i smakowite aromaty jedzenia.

Nie mogę zaprzeczyć – przyjęcie jest wspaniałe. W życiu nie brałam udziału w czymś choćby podobnym i przypuszczam, że to samo dotyczy większości naszych gości. Z myślą o spektakularnym efekcie dopracowano każdy detal. Kelnerzy przebrani są za akrobatów, wszyscy nad wyraz wysportowani i atrakcyjni; gdziekolwiek spojrzę, widzę prężące się bicepsy i napięte płaskie brzuchy. Roznoszą jaskrawe koktajle, z których wystają plasterki jabłka w karmelu, wata cukrowa lub czerwono-białe słomki. Dziesiątki żarówek w kolorach podstawowych zwieszają się z girland rozciągniętych na krzyż pomiędzy drzewami. Jest za wcześnie, aby przykuwały wzrok, ale nie mam wątpliwości, że gdy rozbłyszczą, okażą się clou wieczoru. Co rusz natykam się na jakąś rzeźbę lodową – a to

ryczącego lwa, a to fokę bawiącą się piłką. Wokół ognisk i czekoladowych fontann stoją puffy, które w większości są zajęte przez młodzież. Nastolatkwie świetnie się bawią. Wiem to, ponieważ nie siedzą osobno z głowami zwieszonymi nad swoimi komórkami, ale rozmawiają ze sobą, śmieją się, przepychają, obejmują nawzajem. Widzę wiele podobnych do siebie dziewcząt w kusych spódniczkach i spodenkach, oczywiście z połyskliwego materiału, z włosami ufarbowanymi na blond i z ciemnymi odrostami, które sięgają niemal ucha. Domyślam się, że to ostatni krzyk mody i celowe działanie, ponieważ kiedy raz zauważyłam, jak niechlujnie to wygląda, Emily przewróciła oczami i zareagowała: „W tym cała rzecz, mamo”.

Ich młode twarze są jeszcze spięte i czujne; pod koniec wieczoru najpewniej będą zaczerwienione od alkoholu, być może narkotyków, być może seksu, na razie jednak emanują niewinnością i nadzieją.

Przepatruję grupki w poszukiwaniu Emily, Megan i Ridleya. Ot, nawyk. Robiłam to, odkąd byli mali. Sprawdzałam, gdzie są, jak się czują. I wkraczałam do akcji, gdy któreś potrzebowało do toalety, czegoś do zjedzenia czy pomocy w rozwiązaniu konfliktu.

Naturalnie teraz jest inaczej. Wszystko jest inaczej. Nie potrafię już zażegnać ich sprzeczek. Nie mogę im pomóc.

Megan nie otrzymała zaproszenia, a Pearsonowie musieliby mieć naprawdę dużo odwagi, aby pojawić się tu w zaistniałych okolicznościach, choć akurat bezczelności im nie brakuje, nie mogę więc niczego wykluczyć. Jak dotąd nie odezwali się ani razu, odkąd rozmawiałam przez telefon z Carłą. Ich milczenie z jednej strony niepokoi – przez tak długi czas byli głośną obecnością w naszym życiu – ale z drugiej przynosi ulgę. Poczucie triumfu. Co mieliby powiedzieć? Albo zrobić? Puchnę z dumy na myśl, jak sprawnie sobie z nimi poradziłam – raz na zawsze.

A Heathcote'owie? O, to zupełnie inna para kaloszy. Emily twierdzi, że jest jej wszystko jedno, czy Ridley przyjdzie, czy nie, ale przez trzy godziny patrzyłam, jak wizażystka maluje jej twarz i układa różową perukę z myślą o tym wieczorze, nie do końca więc wierzę w zapewnienia córki. Wciąż zależy jej na Ridleyu. I to zdecydowanie za bardzo.

Gwar narasta wraz z pogłaśnianiem muzyki, unosi się we wszystkich kierunkach. Gryzą się melodie dolatujące znad parkietu i od wesołomiasteczkowych atrakcji; śmiechy z każdą chwilą stają się hałaśliwsze i zagorzalsze, ludzie się przekrzykują, myśląc, że są zabawni i interesujący – teraz o wiele bardziej niż tuż po przybyciu, a już na pewno znacznie bardziej od tych, z którymi rozmawiają. Od czasu do czasu mijam chmurę nieobcego mi dymu, który w moich czasach pochodził z marychy. Dzisiejsza młodzież używa określenia „zioło”. Nigdy nie przywykłam do palenia marihuany. Przyszpilam dzieci podejrzliwym spojrzeniem, ale nie przyłapuję żadnego ze skrętem w dłoni, trudno mi więc dociec, skąd ten gryzący zapach. Emily i Logan są szybcy i podstępni. Jak większość ludzi.

– Witaj, Lexi. Cudowne przyjęcie. – Jennifer rzuca mi promienny uśmiech. Nie widziałam jej od dnia konferencji prasowej. Co dziwne, w pierwszym odruchu chcę ją przytulić. Zdradzieckie ciało uprzedza mózg, a współpracują z nim mięśnie i nerwy, dlatego że mamy tak długą i zażyłą historię. Wzajemne zamykanie się w objęciach, szczere rozmowy, to wszystko przychodziło nam automatycznie. W tej chwili jednak mam ochotę wymierzyć Jennifer policzek; muszę spleść za sobą dłonie, aby się powstrzymać. Gdy się od siebie odrywamy, milczę jak zaklęta i tylko się w nią wpatruję. Świdruję wzrokiem kobietę, która tak mnie okłamała, tak skrzywdziła. Która próbowała mnie okraść. – Dobrze się bawisz? – pyta. – Nierzadko gospodyni męczy się na przyjęciu.

Nie odpowiadam od razu. Chcę, żeby zapadła między nami niezręczna cisza. Chcę, by Jennifer pożałowała utraty tego, co miałyśmy, by opłakała naszą znajomość. Chcę, aby poczuła winę i wstyd. Ale chyba oceniam ją zbyt wysoko. I zbyt wysoko cenię naszą przeszłość, która okazała się cienka jak bibuła i tyle samo warta. Co nas czeka w przyszłości, jeszcze nie wiem. Na razie trudno mi się pogodzić z tym, że w ogóle miała czelność się tu pokazać. To znaczy wiem, że dostała zaproszenie, wiem, że je przyjęła – do ostatniej chwili jednak myślałam, że zdobędzie się na przyzwoitość i uzna, iż mimo wszystko nie powinna przychodzić.

A tu taka niespodzianka. Jennifer ma większe jaja, niż sądziłam.

I jest znacznie bardziej niebezpieczna.

Usiłuję zrozumieć, co tak naprawdę znaczy jej obecność. Czy już wie, że łapówka, którą obiecał jej Jake, nigdy nie wpłynie na jej konto? Jeśli wie, co na ten temat myśli? I nagle to do mnie dociera. Ma na sobie obcisły niczym druga skóra jedwabny kombinezon à la Kobieta-Kot, uszyty z gryzących się ze sobą fragmentów w kształcie rombu, z wymyślną kryzą wokół twarzy i spiczastym kapelusikiem. Przebrała się za Arlekina. Rywała Pierrota do serca Kolombiny. Nie mogę się nie zastanowić, jak to możliwe, że przyjaźniłyśmy się tak długo, a ja nigdy nie zauważyłam, jaką Jennifer ma figurę. Jest wysoka, kilkanaście centymetrów wyższa ode mnie. Zdawałam sobie sprawę, że ma długie nogi, ale dopiero teraz spostrzegam krągłość i obfitość jej piersi, idealnie prostą sylwetkę, wąską jak u osy talię.

– Skąd wiedziałaś, jaki kostium wybrałam? – pytam. Nie widzę sensu ani powodu, by udawać.

– Zdaje się, że Jake'owi się wymknęło – odpowiada z uśmiechem równie nieszczerym co szerokim. Chcę wiedzieć kiedy. Kiedy z nim rozmawiała i jakie jeszcze słowa padły. Nie dam jej jednak tej satysfakcji. Kostium Arlekina to wyzwanie. Wypowiedzenie wojny.

– Co jest nie tak z twoim własnym mężem? – rzucam znienacka ku własnemu zdumieniu. Nie zamierzałam roztrząsać tej sprawy, zwłaszcza tutaj.

– Co jest nie tak?... – W pierwszej chwili nie łapie sensu albo tylko udaje, że nie łapie.

Musiała się spodziewać, że prędzej czy później się dowiem, szczególnie iż Fred o wszystkim wiedział. Początkowo miałam zamiar nabrać wody w usta, pokazać, że dostrzeżenie ich ohydneho romansiku jest poniżej mojej godności, ale uznałam, że jeśli utrzymam pozory łączącego ich sekretu, przydam tylko tej relacji pikanterii. Przyłapanie Jennifer na romansie z Jakiem bynajmniej nie równa się walkowerowi. Z chwilą ujawnienia jej zdrady to, co mieli – co być może wciąż mają – powinno nagle stracić cały powab. Wiarołomny związek się rozpadnie. Ja go zakończę. Bez względu na to, czym jest. Czy chodzi o miłość, czy o pożądanie.

– Dlaczego nie mogłaś się go trzymać? – naciskam.

– Mówisz o Fredzie? Z Fredem jest wszystko w porządku. Kocham Freda.

– Nieprawda. – Kręcę głową ze znużeniem.

Jennifer wzrusza ramionami.

– No dobrze, może go nie kocham. Już nie. Ale kiedyś kochałam, tak myślę. Zmierzam do tego, że nic z nim nie jest nie tak, ale twój mąż jest lepszy. Chyba się zgodzisz? Od samego początku było jasne, że trafił ci się kasek. Nie licząc oczywiście kwestii pieniędzy. Jake nie potrafi zagrozić miejsca w pracy, co?

– Nigdy mi to nie przeszkadzało.

– Owszem, przeszkadzało ci.

Jesteśmy szczerze do bólu. Dwie kobiety, które kiedyś nie mogły być sobie bliższe, dopóki nie oddaliły się od siebie na astronomiczną odległość.

Znamy się na wylot, wiemy o sobie wszystko, byliśmy świadkami, jak jedna i druga wzbija się na wyżyny człowieczeństwa oraz zachowuje się poniżej wszelkiej krytyki.

– Cóż, problemy finansowe mamy już za sobą – zauważam.

– Tak. – Okrutna szczerość, którą sobie nawzajem fundujemy, tylko podkreśla dzielącą nas przepaść. – Jake jest teraz bardzo bogatym człowiekiem. Wygrana w lotto uczyniła z niego bardzo bogatego człowieka.

Co za niedopowiedzenie! Wszyscy oprócz niej mówią raczej o niewyobrażalnym majątku. Ale nie jestem naiwna, wiem, do czego zmierza Jennifer. Bogaci mężczyźni dla kobiet takich jak ona są jak kocimiętka dla kotów.

– Wiesz, nigdy nie przypuszczałam, że to na ciebie muszę uważać. Sądziłam, że Carla jest bardziej w typie Jake'a. Jest o tyle bardziej...

– Wyzywająca?

– Efektowna. Ale ludzie jednak wiedzą, co mówią. Cicha woda brzegi rwie... – Mimo to nie byłam wystarczająco czujna. Nie mogę ciągnąć tej rozmowy. Nie zdołam dłużej udawać opanowanej i spokojnej. – Baw się dobrze. I ostrożnie z drinkami. Z tego, co mi wiadomo, są naprawdę zabójcze.

Z tymi słowami na ustach rozpływam się w tłumie.

31

EMILY

To przyjęcie jest czadowe! Niemal mi niedobrze z podniecenia na widok reakcji tych, co podjeżdżają i widzą czubek namiotu, a potem parkiet taneczny – nie da się tego opisać. Albo gdy słyszą, że znany z radia didżej Greg James zagra dziś wieczorem specjalnie dla nas. Musielibyście widzieć ich miny! Scarlett, Liv i Nella nie odstępują mnie na krok. Czepiają się mnie jak bluszcz ściany, a ja – choć wiem, że zmieniam szkołę i zdaniem rodziców (którzy akurat co do tego się zgadzają) powinnam nawiązywać nowe znajomości, z wdzięcznością trzymam się tych starych, choć też w pewnym stopniu nowych.

Nie oddalamy się za bardzo od rynny z wódką, którą mama w swej nieskończonej naiwności nazwała najdziwniejszą rzeźbą lodową, jaką w życiu widziała. Oczywiście to stanowisko jest tylko dla dorosłych i nawet pilnuje go ktoś z obsługi – powinien sprawdzać, kto czerpie ze źródła, ale stoi tylko obok znudzony, a przy tym sam wygląda na ledwie osiemnaście lat. Nic dziwnego więc, że nie pyta o wiek czterech skąpo odzianych dziewczyn. Dzięki temu mogę sobie strzelić trzy kieliszki z rzędu. Zawartość pierwszego jest obrzydliwa, pali mnie w gardło i nieomal przywodzi do wymiotów, ale drugi i trzeci kieliszek wchodzi już łatwiej. Poniewczasie zdaję sobie sprawę, że ze wszystkich możliwych to jest najgorszy czas, abym zaczęła pić alkohol.

A zarazem najlepszy.

Nie powinnam pić, bo jestem w ciąży. Muszę pić, bo jestem w ciąży. Ta myśl jak zwykle wywołuje we mnie panikę. Aż chce mi się rzygać. Odsuwam ją więc od siebie.

Przyglądam się gościom, którzy stoją w ciasnych grupkach zbijających się przypadkowo i równie przypadkowo rozpadających się, co komuś innemu mogłoby przywieść na myśl skomplikowany taniec. Bez przerwy ktoś do mnie podchodzi, mówi, jak się cieszy przez wzgląd na mnie, na co Scarlett, Liv i Nella klaszczą w ręce albo podskakują, całkiem jak cheerleaderki, dlatego że słyszą tylko słowa. Ja jednak słyszę też uczucia i wiem, że za tymi uśmiechami i gratulacjami czai się coś mrocznego. Zazdrość, gorycz, uraza. Smakuję je na języku, aczkolwiek być może to tylko wódka. Wciągam do płuc z powietrzem. Chwila, czy to przypadkiem nie ziolo?

Nieustannie przepatruję tłum, prawie nadwerężam sobie szyję w niezbyt dyskretnych z mojej strony poszukiwaniach Ridleya. Normalna dziewczyna natychmiast stałaby się pośmiewiskiem koleżanek, ale Scarlett, Liv i Nella udają, że nic nie widzą. Są bardzo tolerancyjne, bo bogate dziewczyny obowiązują inne reguły. Wreszcie mój wzrok zatrzymuje się na Ridleyu. Nienawidzę tego, że pierwsza myśl, jaka mi świta na jego widok, brzmi: „Głowa do góry, cycki do przodu”, po czym jeszcze sprawdzam na komórce, czy makijaż się trzyma i czy na pewno nie mam rozmazanego tuszu do rzęs. Liczyłam, że tupet go tu przywiedzie. Dziewczyny powtarzały, że nie odważy się pokazać, zwłaszcza bez Megan, swojej minionki, ale ja znam go lepiej niż one. Ridleyowi nie brakuje odwagi. Ridley codziennie rzuca wyzwanie życiu. Dlatego gdy zaczęliśmy ze sobą chodzić, tak bardzo ceniłam w nim łagodność, dzięki której połączyło nas coś silniejszego, niż łączy większość ludzi. Megan, rodzice i kumple

widzieli w nim tylko tę drapieżną stronę, ja jednak poznałam jego delikatność.

Do czasu.

Przyszedł z kolegami z drużyny rugby. Wszyscy oni są pewni siebie, nawykli do tego, że zwracają na siebie uwagę, i cenieni; inni chłopcy odruchowo się garbią i zapadają w sobie. Mimo że Ridley powinien być zastraszony, wcale taki nie jest. U dziewczyn z drużyny hokeja z jakiegoś powodu to tak nie działa. Mimo że noszą identyczne stroje, by na pierwszy rzut oka wyróżnić się z tłumu, uwaga im poświęcana jest w moim odczuciu deprecjonująca. Podlegają ocenie i zwykle czegoś im brakuje, a nawet jeśli przejdą ten test, kończy się na podziwianiu przez jakiegoś faceta. Nie twierdzę, że to sprawiedliwe, mówię po prostu, jak jest. Może gdyby wszyscy zdali sobie z tego sprawę, nareszcie zaszłaby zmiana.

Ridley wybrał kostium cyrkowego mocarza. To śmieszne, biorąc pod uwagę, że i bez sztucznej muskulatury jest umięśniony lepiej niż większość chłopców w jego wieku – zresztą może właśnie dlatego zdecydował się na autoironię. Sięgam po kieliszek z tacy niesionej przez przechodzącego obok kelnera. Mając go w dłoni, nie muszę się zastanawiać, co zrobić z rękami. Był czas, że przebieraliśmy się razem. Nie mówię, że ostatnio w ramach gry wstępnej – nie jesteśmy parą smutasów po czterdziestce! – ale dawniej, w dzieciństwie. Cała nasza trójka. Mama miała wtedy wielki kosz wiklinowy, w którym trzymała rozmaite stroje. Były tam straszne przebrania na Halloween, wesołe na Międzynarodowy Dzień Książki dla Dzieci i różne inne, tworzone na potrzeby określonych przyjęć z motywem przewodnim. Podczas zabawy tylko Megan dbała, aby poszczególne części stroju pasowały do siebie – Ridley i ja woleliśmy tworzyć własne zwariowane kombinacje. Hełm strażaka, zbroja Rzymianina, spódniczka baletnicy. Zarykiwaliśmy się ze śmiechu, wkładając kolejne warstwy, jedną

oddaloną o lata świetlne od drugiej. Różnobarwna peruka, neonowe bransolety, anielskie skrzydła.

Dzisiejszego wieczoru Ridley nie wygląda śmiesznie. Jeśli już, to wspaniale. I spoko. Moje wnętrze dają o sobie znać, zupełnie jakby ktoś tchnął w nie życie. Wiem już, że pogodzę się z nim w ułamku sekundy, jeśli tylko będę miała okazję, ponieważ pragnienie zawsze wygrywa z godnością, gdy chodzi o dwoje ludzi, którzy się kochają. W tym samym momencie, kiedy to myślę, rugbiści przepychają się między sobą i nagle widzę, że Ridley nie jest sam. Towarzyszy mu dziewczyna.

Evie Clarke.

W pierwszej chwili czuję ulgę, że to nie Megan, ale zaraz potem ogarnia mnie zazdrość. Nienawidzę Evie z jej podróbką Michaela Korsa. Wciąż mam w pamięci, jak ciągnęła mnie za włosy i kopała po nogach w tamtej obrzydliwej kabinie. Poza tym nikt jej nie zapraszał. Tata dopilnował, aby na liście gości nie znalazła się ani Megan, ani żadna z jej minionek. Zatem co tu robi Evie?

Ridley na moich oczach, jakby nigdy nic, obejmuje ją ramieniem. To może być tylko przyjacielski gest. Ale może też być coś więcej. Jednym haustem wypijam wódkę. Alkohol jest mi potrzebny. Żeby stępić ból, wymazać uczucia. Myślę: Pieprz go, Emily. Jesteś bogata. A potem: Jak to możliwe, że nie pragnie mnie teraz, kiedy jestem taka bogata? To znaczy, że tak naprawdę nigdy mnie nie pragnął. W momencie tracę humor, czuję się bezużyteczna.

– Idę wykopać stąd Evie Clarke – oznajmiam Scarlett. Spodziewam się, że mnie poprze, kiwnie głową czy coś, ale ona tylko kładzie mi dłoń na ramieniu. Ostrożnie, nieśmiało. Lecz ponieważ jest to jej pierwszy sprzeciw, odkąd się zaprzyjaźniłyśmy, ten gest ma moc. Chce mi się płakać.

– Rozejrzyjmy się dokładniej, co? – proponuje lekkim tonem. – Jeszcze nie widziałyśmy wszystkiego.

Ulegam. Staram się dobrze bawić. Przyjęcie jest fenomenalne, genialnie było je organizować razem z tatą i Sarą, tylko o tym pragnę teraz myśleć, niestety Ridley wciąż płacze mi się po głowie. Nieustannie jestem świadoma jego obecności. W tej chwili znajduje się bliżej mnie niż w ciągu ostatnich czterech tygodni – sądziłam, że mnie to ucieszy, okazuje się jednak męką. Mama miała rację. Twierdziła zawsze, że chłopcy są tak skonstruowani – szybko tracą zainteresowanie, ale to nie może być prawda, zresztą nie można generalizować. Ból, który czuję, jest wyjątkowy i absolutny. Nikt mnie nie rozumie. Co rusz przykładam dłoń do brzucha, chroniąc grudkę komórek, które grożą zrujnowaniem mi życia. Które obiecują wspaniałą przyszłość. Sama nie wiem.

Scarlett jest czujna.

– Dobrze się czujesz? Boli cię żołądek? Będziesz wymiotować?

– Trochę mi niedobrze – kłamię.

Scarlett zakłada, że chodzi o alkohol. Lepiej niech tak myśli, niżby miała poznać prawdę.

Bezwiednie kieruję się w tę samą stronę co Ridley, choć udaję, że badam teren z dziewczynami. Gdy mój chłopak postanawia się przejechać na diabelskim kole, ja też ustawiam się w kolejce. Kiedy on pałaszuje szarpaną wieprzowinę przy jednej budce, ja zatrzymuję się przy następnej, prosząc o porcję waty cukrowej. Utrata tej zażyłości, która nas połączyła, swobody, jaką czuliśmy we własnym towarzystwie, płynności dopasowanych do siebie ruchów, to katastrofa, niepojęta katastrofa. Evie Clarke zajmuje należne mi miejsce, objęta jego ramieniem, karmiona jego żartami, pijąca drinki, które jej podaje, zajmująca jego przestrzeń osobistą.

Patrząc na Ridleya, wspominam miejsca, w których to robiliśmy, i miejsca na moim ciele, których dotykał. Wnętrznosci fikają mi koziołka.

– Musisz przestać za nim łązić – jęczy Scarlett. – Chodźmy potaćzyć.

Obrzucam ją wzrokiem, a przynajmniej próbuję. Koktajle smakują znacznie lepiej niż wódka. Są słodkie i owocowe. Mogłabym wypić ich mnóstwo.

Picie jest piękne, bo sprawia, że wszystko przestaje mieć dla mnie znaczenie. Tu i teraz. Czuję się tak, jakbym unosiła się w powietrzu. Może wczorajsza ja albo jutrzejsza ja czymś się przejmuję, ale ja nie. Niczym.

Picie jest koszmarnie. Mam już dość. Znalazłam się w ciasnym miejscu pomiędzy rozpaczą i pragnieniem. Można powiedzieć, że w tej chwili kocham Scarlett, bo próbuje się zachować jak prawdziwa przyjaciółka, a nie tylko przyjaciółka bogaczki. Mimo to jednak ją ignoruję.

– Nie chcę tańczyć. – Parkiet taneczny znajduje się w przeciwnym kierunku niż ten, w którym właśnie zmierza Ridley.

– To może napijesz się wody? Wszystkie powinnyśmy się napić wody. Nella, Liv, przynieście szklanki z wodą. Ja zostanę z nią.

I wtedy dzieje się cud. Ridley odchodzi od Evie Clarke i zmierza w moją stronę! Spojrzenie ma wbite w moje oczy, jakby na całej łące nie było ani jednego człowieka poza mną. Słyszę, jak Scarlett gwizdże cicho, Liv wybucha śmiechem, po czym wszystkie znikają. Puf, i już ich nie ma. Ot tak. Znikają także wszystkie dźwięki – i mój rozsądek. Istnieje tylko on, Ridley, zmierzający ku mnie i niespuszczający mnie z oka. Nadal jest pewny siebie, ponieważ nie wie tego co ja. Myśli, że ma za pasem maturę, egzaminy, studia, przyszłość. Nie wie tego co ja – ta myśl na moment mnie pociesza. Może jednak mam nad nim władzę.

– Heja.

– Cześć.

– Fajna impreza.

– Dzięki. – Mówię to automatycznie, po raz chyba setny dzisiaj. Chociaż w głosie Ridleya nie ma takiego entuzjazmu, jaki przebijał ze słów niektórych gości. Jak się nad tym zastanowić, pobrzmiewa w nim coś na kształt sarkazmu, ale może się myłę. Przez wódkę i koktajle trudno mi się skupić na tym, co mówią inni. Nie widzę nawet wyraźnie ich twarzy.

Ridley rozgląda się po otaczających nas ludziach. Jest tam Scarlett, Liv, Nella i trzech czy czterech jego kumpli. Liv i Nella stoją z pustymi rękami, nie poszły po wodę. Nikt nigdzie nie idzie; oczy wszystkich są skierowane na nas. Ucichły rozmowy, nikomu nie chce się nawet udawać. Z jednej strony to miłe, mogę się poczuć jak Kim Kardashian z Kanyem Westem, z drugiej nieprzyjemne, bo w obecności świadków Ridley nie będzie prawdziwym sobą, takim, jakim go znam z chwil na osobności, kiedy się wygłupia bez sensu, podrzuca drażne czekoladowe i łapie je ustami albo zalicza kosze, przystając, żeby mnie pocałować za każdym razem, gdy uda mu się trafić dziesięć razy z rzędu (czyli często, bo jak już mówiłam, jest bardzo wysportowany). Dopijam koktajl, ponieważ nie wiem, co innego mogłabym zrobić.

– Pijesz? – pyta ze zdziwieniem, ale i z zadowoleniem.

– Wszyscy się zmieniamy – odpowiadam, wzruszając ramionami. Tylko że jest dokładnie odwrotnie. To znaczy tak, piję, a moi rodzice zostali milionerami i przestali się dogadywać z jego rodzicami, a on sam zrobił mi zdjęcia, jak miałam opuszczone majtki i sikałam. Ale nadal go Kocham. To się nie zmieniło. I tylko to się liczy.

– Ile wypijaś? – pyta.

– Za mało – odpowiadam, chichocząc. Znów odwrotność prawdy. Ale zabrzmiało dobrze, jak kwestia z filmu czy coś. Nella wyciąga rękę w górę

i strzela palcami na kelnera. Wszyscy się śmieją, a jeden z kumpli Ridleya rzuca:

– Ty tak, kurwa, na poważnie?

Nella wzrusza ramionami.

– Moja przyjaciółka chce się napić.

Ściąga usta w ciup, na co znów wybuchamy śmiechem. Podchodzi kelner z tacą i pozwala nam wszystkim się poczęstować, choć nie wydaje się pewien, czy dobrze robi.

– Macie wszyscy osiemnastkę, co?

Liv wskazuje na mnie i mówi:

– Ona jest tu gospodynią.

To nie do końca odpowiedź na pytanie, ale chyba wystarczy za wytłumaczenie. Stukamy się szklankami i zaczynamy popijać. Kumple Ridleya żartują między sobą, że koktajle są dla „cholernych dziewczyn”, i pytają, gdzie znajdą piwo.

– Tam jest bar – mówię, pokazując jeden z namiotów.

– Piwo leją za darmo – dodaje Scarlett.

Chwilę później chłopcy się zmywają. Wstrzymuję oddech. Wszyscy z wyjątkiem Ridleya, który zostaje. Znów mogę oddychać. Wybrał mnie, wygrałam z darmowym piwem. To o czymś świadczy. Teraz ogląda się przez ramię, na Evie, która czeka na niego w tym samym miejscu, gdzie ją zostawił. W moich oczach wygląda, jakby lewitowała nad ziemią. Niepewna, co zrobić, niepewna, czy pasuje. Niemal mi jej żal. Niemal. Gdy Ridley się do mnie odwraca, natychmiast o niej zapominam. Wybrał mnie.

– Fajny kostium – rzuca.

Ostatecznie zdecydowałam się na ten purpurowy. Sara miała rację – taka impreza to nie czas na półśrodki. Cieszę się, że włożyłam ten, na który

mama marudziła i pytała tatę: „Naprawdę chcesz, żeby poszła tak ubrana?”. Mamie wyraźnie coś jest, dotąd zawsze miała ostatnie słowo w domu. Coś mi mówi, że od teraz decyzje podejmuje tata. Nie do końca rozumiem dlaczego.

– Twój też – rewanzuję się. I natychmiast mam ochotę walnąć się w twarz. Nie była to zbyt oryginalna kwestia.

Ridley łapie mnie za rękę.

– Chodź, poszukajmy jakiegoś miejsca, gdzie będziemy sami.

Chce mi się śpiewać i klaskać, i tańczyć, i całować go. Głównie jednak całować.

32

LEXI

Cieszę się, że przyjęcie jest na zewnątrz. Do tej pory widziałam cztery parujące kałuże wymiocin. Deszcz, jeśli spadnie zgodnie z prognozą pogody, powinien je spłukać, chyba że wcześniej dobiorną się do nich lisy. Obrzydliwa myśl.

Rozglądam się za Sarą; chcę się upewnić, że obsługa sprawdza wiek gości i nie serwuje koktajli ani czystych alkoholi osobom poniżej osiemnastego roku życia. Ale Sary nigdzie nie ma. Obchodzę teren i zamieniam słowo z tyloma członkami obsługi, z iloma zdołam, lecz mało który jest zainteresowany moimi wskazówkami. Próbuję tłumaczyć, że to moje przyjęcie, ale że do tej pory mieli kontakt wyłącznie z Jakiem i Sarą, nie zwracają na mnie większej uwagi. Gdziekolwiek spojrzę, widzę ewidentnie podpitych nastolatków, ale to nie musi być wina obsługi. Ponieważ drinki są darmowe, połowa gości jest wstawiona, tak że nastolatek nie musi się nawet ustawiać w kolejce do baru – wystarczy, że zaopiekuje się pozostawionym przez kogoś na wpół pełnym kieliszkiem.

Ja nie piję. Czuję potrzebę pilnowania gości, zwłaszcza tych młodszych. Zauważam jakąś dziewczynę, która wygląda, jakby próbowała spać na stojąco. Jej przyjaciele otaczają ją kręgiem, podtrzymując w pionie. Ma na sobie skąpy strój klauna ubrudzony wymiocinami. Jej chude, wręcz

patykowate nogi nikną w topornych butach na koturnie. Kołysze się jak drzewo. Boję się, że zaraz się przewróci i skręci sobie kostkę albo co gorsza, złamie się w pół. Jej przyjaciele wyglądają na podenerwowanych na mój widok, obawiając się pewnie, że będą mieli kłopoty. Nie ferują wyroków, ale proponuję, by poszukać rodziców dziewczyny. Słyszając to, oddychają z ulgą, zadowoleni, że ktoś odpowiedzialny przejął inicjatywę. Zostaję z dziewczyną, dopóki nie przyjdą jej rodzice. Mam świadomość, że mogą mieć do mnie pretensje o to, iż pozwoliłam jej się doprowadzić do tego stanu. Wiem, że gdyby zadzwoniono po mnie, abym odebrała swojego nastolatka o dwudziestej, kompletnie ubzdryngolonego, gniew i zmartwienie przywiodłyby mnie do ataku na gospodarzy. Przygotowuję się więc na najgorsze, ale ludzie ci tylko komplementują przyjęcie, gratulują mi wygranej i zapewniają, że nie mogą się doczekać, kiedy zobaczymy się ponownie, jak już Emily i Logan zmieniają szkołę. Prowadzą zataczającą się córkę do samochodu, oglądając się smutno przez ramię. Myślę, że najbardziej żał im tego, iż nikt ich nie zaprosił.

Od dłuższego czasu nie widziałam Jake'a. Wybieram jego numer, ale nie odbiera. Nie dziwi mnie to, często wycisza telefon, a poza tym od tygodnia słyszałam, że zasięg na łące jest w kratkę.

Nie mam powodów do zmartwienia.

Nie mam powodów do zmartwienia.

To koniec.

Przepatruję tłum w poszukiwaniu pstrokatego kostiumu Jennifer. Rzuca mi się w oczy najpierw jeden, a potem drugi Arlekin, ale są to obce osoby. Mimowolnie biegnę spojrzeniem do lasku porastającego kraniec łąki. Idealne miejsce dla pary, która chciałaby zniknąć innym z oczu i побыć na osobności. Potrząsam głową. Co za głupia, destrukcyjna myśl. Jennifer bez wątpienia kręci się koło piramidy szampanówek, zawsze lubiła wypić

lampkę czy dwie. Jake zaś najprawdopodobniej podziwia sztuczki magiczne, które – jak mi podpowiada plan przyjęcia – właśnie się zaczynają w głównym namiocie. Teren jest rozległy, a tłum gęsty, trudno więc znaleźć kogokolwiek.

Logana nie widziałam, odkąd przyjechaliśmy, ale przynajmniej odpowiada na moje esemesy. Tak, bawi się zabójczo. Tak, jest z kolegami. Tak, trzymają się razem. Nie, nie sprawiają kłopotów. W to ostatnie akurat nie wierzę, ale daję się uspokoić jego zapewnieniom. Mimochodem zauważam, że komórka syna ma lepszy zasięg niż telefon mojego męża. Jak dotąd nie spotkałam Ellie ani Judy, Heidi ani Roba, a naprawdę chciałabym z nimi porozmawiać. Zapytać, jak radzą sobie moi dawni podopieczni; niektórzy nie opuszczają moich myśli, pragnę wiedzieć, co u nich. Wiem, że współpracownicy z Biura Porad Obywatelskich pojawili się na imprezie, ponieważ Judy zdążyła już zamieścić z dwadzieścia zdjęć na Facebooku: jak wyziera zza wielkiego kłębu waty cukrowej i jak krzyczy na diabelskim młynie. Sprawdziłam w tym ostatnim miejscu, ale musieli pójść dalej, zanim się tam znalazłam. Postanawiam, że zrobię kolejny obchód, by ich poszukać, ale już po paru krokach zostaję zatrzymana przez paru dawnych współpracowników Jake'a. Nie tych z ostatniego miejsca zatrudnienia, lecz z poprzedniego. Uśmiecham się i kiwam głową na to, co mówią, choć właściwie nie pada wiele słów. W kółko powtarza się tylko mantra: „Kto by pomyślał” i „To się nazywa szczęście”.

Gdy komórka w mojej kieszeni wibruje, czuję wdzięczność, że mogę się od nich uwolnić.

– Wybaczcie, ale muszę odebrać. – Rzucam mężczyznom przepraszający grymas, odwracam się i zagłębam w tłum.

– Lexi?

– Toma?

– Poznałaś mój głos! – Wyraźnie się cieszy, co zwraca moją uwagę, ponieważ radość nie jest emocją, którą bym z nim kojarzyła. Toma bywa poważny, zmartwiony, zdeterminowany, zły i zamyślony. Istny kalejdoskop uczuć, poplątanych i pełnych napięcia.

– Twoje imię wyświetliło mi się na ekranie – wyjaśniam z uśmiechem, który by odpowiadał jego pogodzie ducha.

– Wpisałaś mnie do swojego telefonu! – Tak, zdecydowanie się cieszy. Wręcz się przekomarza.

– W dzisiejszych czasach, Toma, wszyscy mają wszystkich w komórce.

– Gdzie jesteś? Odgłosy sugerują, że na przyjęciu...

– Owszem. Wyprawiłam je sama.

– Wyprawiłaś przyjęcie i mnie nie zaprosiłaś? Jak to możliwe?

Wybucham śmiechem.

– Toma, czy ty piłeś?

– Troszkę. – Gdyby to był ktoś inny, powiedziałabym, że ze mną flirtuje. Przypuszczam, że tak się dzieje, kiedy podarujesz mężczyźnie trzy miliony funtów. Chodzi mi o to, że jak inaczej może zinterpretować taki gest?

– Czemu dzwonisz? Coś się stało?

– Niedobrze, że kojarzysz mnie wyłącznie z problemami – odpowiada, zmieniając nagle ton i jakby trzeźwiejąc.

– Nie to miałam na myśli. Naprawdę. – Milknę, żeby nie naopowiadać więcej kłamstw. Poznałam go, jak spał na ulicy przed moim biurem. Trudno mi przestać się o niego martwić.

Na szczęście Toma zażegna niezręczną sytuację.

– Powód, dla którego dzwonię, jest głupi. Przez ciebie czuję się głupio, bo nie zaprosiłaś mnie na swoje przyjęcie, a ja chcę cię zaprosić na swoje. –

Tak naprawdę w jego głosie nie ma ani gniewu, ani irytacji, jeśli już, to tylko rozbawienie. Robi mi się ciepłej na sercu. Nie ma to wielkiego sensu, ale czuję cień podniecenia na myśl o tym, że Toma wyprawia przyjęcie. I że mnie na nie zaprasza. – Pożegnalne przyjęcie – dodaje, a ja momentalnie smutnieję.

– Wyjeżdżasz z Anglii?

– Tak, przez ciebie.

– Co takiego zrobiłam? – Próbuję żartować, ale wypada to sztucznie. Dając Tomie pieniądze, chciałam, aby rozpoczął nowe życie, chciałam mu to umożliwić, sama to zasugerowałam, ale teraz, gdy przyszło co do czego, ogarnia mnie poczucie straty.

Toma wybucha śmiechem.

– Lexi, jesteś najbardziej prawą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem. – Jego słowa docierają do dna mojej duszy. Komplement oczywiście jest aż tak ujmujący ze względu na barierę językową i dosłowne tłumaczenie, ale słowa wydają się prawdziwe i szczerze, mimo że takie nie są. Nie jestem prawą osobą. Jake nadal nie ma pojęcia o pieniądzach, które zniknęły z naszego wspólnego konta. – Nie wiem, dlaczego postanowiłaś mnie obdarować. – Robi pauzę, jakby czekał, aż to wyjaśnię. Może pewnego dnia to uczynię, jednak nie dziś, zatem milczę. Toma nie naciska. Po chwili oddycha głęboko i kontynuuje: – No dobrze, bez względu na powód to był cud. Z początku myślałem, że to żart, ale potem pieniądze wpłynęły na konto. Nie wydałem ani pensa. Na wypadek, gdybyś zmieniła zdanie. Zmieniłaś?

– Nie, nie zmieniłam zdania. – Stać mnie tylko na szept. Chwytam telefon mocniej. Czuję, jak spod pach lecą mi strumyki potu.

– Czyli cud. Wracam do domu, Lexi. Dzięki tobie.

– Co będziesz robił na miejscu?

– Coś dobrego. Coś, co uhonoruje moją żonę i syna. Zamierzam utworzyć... jak to się mówi?... stypendia naukowe. Dam innemu dziecku te możliwości, które miałyby mój Benke. Co ja mówię? Z tą masą pieniędzy zapewnię dobre życie wielu, wielu dzieciom. – Brakuje mi tchu. Coś dławi mnie za gardło i nie pozwala oddychać. Po raz pierwszy od wygranej ekscytuje mnie myśl o tym, na co zostaną wydane pieniądze. – Dużo myślałem. Założę fundusz powierniczy. Niech pieniądze zarabiają na siebie. Wrócę do domu i znajdę dzieci, którym potrzebna jest pomoc. Będę miał zajęcie na cały etat, jeśli dobrze do tego podejść.

Zachwyca mnie jego pewność siebie. Ja spędziłam całe godziny, ślęcząc nad listami z fundacji charytatywnych i niezliczonymi propozycjami przedsięwzięć dobroczynnych. Czułam się jak sparaliżowana. Niepewna, który projekt wybrać i jaką kwotą go wesprzeć. Jestem pod wrażeniem Tomy mającego jasno określony cel.

– Kiedy wyjeżdżasz?

– Jutro.

– Jutro? To znaczy, że twoje przyjęcie odbywa się...

– W tej chwili – kończy za mnie. – Lexi, nie chciałem cię urazić. Od początku myślałem o tobie, ale nie miałem pojęcia, jak cię zaprosić. Później wypiliśmy dwa piwa i zrozumiałem, że powinienem się do ciebie zwrócić jak do każdej innej osoby. No i dzwonię. – Wybuchają śmiechem. – Za późno, jak się okazuje. Ty masz swoje własne przyjęcie.

– Gdzie jest twoje? – pytam, a on podaje mi londyński adres. Niedaleko BPO. Rozglądam się wokół. Szybko dotarliśmy do tego momentu każdej imprezy, kiedy to nikt nie panuje nad niczym. Zresztą przyjęcie odbywa się na rozległym terenie, kto i jak miałby zauważyć, że zniknęłam? Toma wyjeżdża. Mogę już nigdy nie ujrzeć tego pełnego godności, przyzwoitego mężczyzny. – Dobrze. Postaram się przyjechać jak najszybciej.

Obliczam, że jeśli podjadę do domu, żeby zmyć makijaż i przebrać się w inne ciuchy, po czym udam się pod wskazany adres, stracę półtorej godziny. A już dochodzi dziewiąta. Po co tracić tyle czasu? Postanawiam, że zjawię się na przyjęciu w Londynie, mając na sobie kostium Pierrota. Powinnam się w nim czuć głupio, ale o dziwo tak nie jest. Uświadamiam sobie, że najbardziej ze wszystkiego zależy mi na tym, aby możliwie szybko zobaczyć Tomę.

Na kawałku łąki przerobionym na parking stwierdzam, że nasz samochód blokuje dziesięć innych, ustawionych ze wszystkich stron. Gdy zgłaszam to obsłudze, słyszę, że gospodarze na ogół opuszczają miejsce przyjęcia ostatni. No tak. Zerkam na zegarek. Za cztery minuty odjeżdża autobus. Rzucam się biegiem; jeśli go złapię, będę na miejscu prędzej niż uberem. Odkąd podjęłam decyzję, że chcę wziąć udział w pożegnalnym przyjęciu Tomy, śpieszy mi się tam jak rzadko.

Autobus jest prawie pusty. W tyle siedzą dwaj młodzi mężczyźni, z przodu staruszka – w zasięgu wzroku kierowcy. Starsza pani chwali moje przebranie, młodzicy nie poświęcają mi grama uwagi. To zrozumiałe, nie interesuje ich kobieta w średnim wieku, nawet wystrojona w kostium przegranego klauna. Na dalszym odcinku trasy wsiada jeszcze parę osób. Głównie są to pary, które wyglądają, jakby miały spędzić sobotni wieczór w pubie albo może w kinie. Wszyscy są wystrojeni, rozmawiają między sobą i co chwilę się śmieją. Przypomina mi to przeszłość, gdy Jake i ja cieszyliśmy się wciąż wolnością i też wybieraliśmy się w miasto, korzystając z weekendu. Powinnam się uśmiechnąć na to wspomnienie, z jakiegoś powodu jednak uśmiech nie pojawia się na mojej twarzy. Przechodzi mnie zimny dreszcz. Nawet najlepsza przeszłość jest zbyt odległa, aby mogła mnie ogrzać.

Wysiadam na ostatnim przystanku, gdzie porzucona reklamówka poderwana podmuchem wiatru owija mi się wokół kostek. Muszę ją odkopnąć, po czym dopiero mogę spojrzeć na mapę w telefonie i ruszyć – mam nadzieję – we właściwym kierunku. Zostawiam za sobą woń spalin i fast foodów i z nisko pochyloną głową prę przed siebie, otoczona coraz silniejszym fetorem przepełnionych śmietników.

Po jakichś dziesięciu minutach takiego spaceru docieram do budynku, który zgadza się z podanym adresem. Zatem przyjęcie nie odbywa się w miejscu zakwaterowania Tomy, które znajduje się w zupełnie innej części miasta – domyślam się więc, że to jakiś jego znajomy wyprawił je dla niego. Co za miły gest.

Nawet z tej odległości słyszę, że trafiłam pod dobry adres. Szeregowiec w środku ma otwarte na oścież okna, wydobywa się zza nich muzyka, stare hity, które są ponadczasowe, choć nikt już nie pamięta, kiedy tak naprawdę były modne. Na ulicę wylewają się śmiechy i podniesione głosy. Na ogrodzeniu ktoś zawiesił krzywo wykonane własnoręcznie kolorowe chorągiewki. Dzwonię dzwonkiem i czekam, zastanawiając się, czy zostanie usłyszany w tym harmiderze.

Drzwi otwiera Toma – z butelką piwa w ręce i promiennym uśmiechem. Przez moment wydaje się zdziwiony moim widokiem, co budzi we mnie obawę, że całkiem zapomniał o zaproszeniu, które rzucił przez telefon, ale zaraz przypominam sobie, w co jestem ubrana i że mam umalowaną na białą twarz. Ciekawe, czy dostrzeże mój rumieniec, który jak czuję, rozlał się pod grubą warstwą pudru.

– Włożyłaś kostium! – wykrzykuje ze śmiechem.

– Wyprawiłam bal przebierańców – wyjaśniam ze wzruszeniem ramion. – Nie chciałam tracić czasu na przystanek w domu, żeby zmienić ubranie.

Widząc, że Toma uśmiecha się jeszcze szerzej, cieszę się, że podjęłam dobrą decyzję. On tymczasem podchodzi i zamyka mnie w niedźwiedzim uścisku. To pierwszy kontakt fizyczny, jaki z nim nawiązuję, odkąd go poznałam. Lubię dotykać innych, mam zwyczaj ściskać ludzi za ramię dla okazania współczucia, solidarności czy zachęty, ale nigdy nie robię tego w pracy, gdzie mogłoby zostać źle odebrane – jako zachowanie mało profesjonalne. Nie przypominam sobie nawet, aby nasze palce się zetknęły, kiedy podawałam mu kubek herbaty, ani żebyśmy otarli się ramionami, kiedy przepuszczał mnie w drzwiach. Powinnam chyba zeszywnieć czy coś, ale nasze ciała wtulają się w siebie, idealnie dopasowane. Toma jest wysoki, obejmuję go więc na wysokości piersi, podczas gdy on trzyma łokcie na moich barkach. Gdy po chwili odrywamy się od siebie, ogarnia mnie poczucie straty, jakbym została z pustymi rękami.

– Wybacz, powinnam była przynieść jakiś alkohol. – Przed oczami mam wszystkie te butelki szampana, wina, piwa i wódki, które na moim przyjęciu zapewnił catering, i nagle czuję wstyd, że żadnej nie zabrałam.

– Lexi, wystarczy, że sama się pojawiłaś!

Przekradam się do łazienki, żeby zmyć makijaż. Toma może nie być zdziwiony, że przyszłam w przebraniu, ale innych nie byłabym już taka pewna. Nic jednak nie zdołam zrobić w sprawie kostiumu.

Gdy wyłamiam się z łazienki, Toma czeka na mnie cierpliwie. Idę za nim do salonu, gdzie na małej powierzchni tłoczy się ze dwadzieścia osób. Oczywiście wszystkie miejsca siedzące są zajęte, podobnie jak większość wolnej przestrzeni na podłodze. Każdy z kimś rozmawia. Nikt nie czai się niezręcznie w tle. Kiedy przestępuję próg, wszyscy się odwracają, uśmiechają, kiwają głowami i machają rękami. Zdarzało mi się być na małych przyjęciach z tylko garstką gości i osoby już usadzone przy stole całkowicie ignorowały pojawienie się kogoś nowego. Ci ludzie jednak

chętnie przyjmują mnie do swojego towarzystwa. Odpowiadam nieśmiałym uśmiechem.

Toma podprowadza mnie do trzyosobowej grupki, na którą składają się dwie kobiety i mężczyzna, mniej więcej w moim wieku albo nieco starsi. Oczywiście pierwsze uwagi padają pod adresem mojego kostiumu. Wyjaśniam, że przyszłam prosto z innej imprezy, nie dodaję jednak, że byłam tam gospodynią, ponieważ to mogłoby sprowokować pytania, na które nie mam odpowiedzi. Dlaczego opuściłam własne przyjęcie na trzysta osób i przyszłam tutaj?

Toma znenacka dotyka mojego ramienia.

– Napij się?

– Tak, chętnie. Przyjechałam autobusem.

Udaje się do kuchni po coś do picia dla mnie. Kiedy wraca z kieliszkiem białego wina, jestem pogrążona w rozmowie z jego przyjaciółmi, którzy jak się okazało, wymieniali uwagi na temat czytanych właśnie książek. Z zapalem opowiadają o intrydze i bohaterach; tak się składa, że ja też czytałam powieść, wokół której kręci się rozmowa, mogę więc przyznać, że zakończenie jest głęboko satysfakcjonujące. Szczupła kobieta w kwiecistej sukience, Dita, wkłada palce do uszu i nuci głośno „la, la, la”.

– Jeszcze jej nie skończyłam, zostały mi dwa rozdziały! – tłumaczy ze śmiechem.

– Ale czy nie za bardzo przewidywalne? – pyta brodacz imieniem Mandek. Sprawia przy tym wrażenie szczerze zatroskanego.

– Czasami dobrze jest dostać to, czego się spodziewałeś przez cały czas – zauważam.

– Zgoda – potakuje.

Próbuję ustalić, które z nich pracuje w wydawnictwie albo bibliotece, nie chce mi się bowiem wierzyć, że bez tego mogliby się tak interesować książkami i mieć wyrobione zdanie na ich temat. Szybko odkrywam, że Dita i Mandek są zatrudnieni w tej samej pralni co Toma, a Sabina – najmłodsza z nas wszystkich – pracuje jako sprzątaczką w komisariacie.

– Dobra posada – zapewnia. – Mam dużo czasu dla rodziny.

Kiwam głową, potwierdzając, że to niezaprzeczalna prawda. Przy okazji odkrywam, że dom należy do Dity i Mandeka, i wylewnie dziękuję im za zaproszenie.

– Przyjaciele Tomy są naszymi przyjaciółmi – odpowiadają.

Nikt nawet nie napomyka o wygranej. Zwracam na to uwagę, ponieważ ostatnimi czasy ludzie nie rozmawiają ze mną właściwie o niczym innym. Nie sądzę, aby Toma powiedział komuś o moim i swoim szczęściu. Czuję z tego powodu ulgę. Inaczej nie mogłabym być jeszcze jednym zwykłym gościem.

Przenoszę się od jednej grupki do drugiej. Goście wywodzą się z różnych środowisk, co przypomina mi o wakacyjnych znajomych, których spotykaliśmy z Jakiem, kiedy byliśmy znacznie młodsi. Poznawanych przelotnie ludzi o przeróżnych zawodach i zainteresowaniach. Każdy miał swoją historię do opowiedzenia. Tu obecni nie koncentrują się na swoim życiu. Dzięki temu przyjęcie jest ciekawsze. Spotkaliśmy się przez przypadek, rozmawiamy o wszystkim – daje to wrażenie pewnej swobody. Nikt tu nie chodził z nikim do szkoły, dotyczy to nawet naszych dzieci, nikt nie poznał się w szkole rodzenia, nikt nawet nie mieszka w tej samej dzielnicy; pochodzimy z różnych części miasta, a nawet hrabstwa. Spędzamy ten czas razem, ponieważ tego chcemy, nie łączy nas skomplikowana sieć przyzwyczajzeń i odpowiedzialności.

W ciągu pierwszej godziny poznaję ludzi z pięciu albo nawet sześciu różnych krajów. A jednak w ten sobotni wieczór znaleźliśmy się wszyscy właśnie tutaj. Z bagażem odmiennych światopoglądów, które nie przeszkadzają nam bynajmniej nawiązać nici porozumienia. Odnaleźliśmy punkty styeczne, jedność i harmonię. Chcemy wycisnąć z tej okazji jak najwięcej.

Tak, chcemy – gdyż zaliczam się do tej ludzkiej zbieraniny i jak wszyscy pragnę spędzić miło wieczór.

Powietrze wokół nas buzuje od elektryczności. Atmosfera jest radosna. Ludzie próbują nawzajem przyniesionych przez siebie dań – zdaje się, że jest to jedno z tych przyjęć, na które każdy pichci to, co wychodzi mu najlepiej; nikt nikomu nie narzuca, czy danie ma być na słodko czy na kwaśno. Mimo to, gdy folia zostaje zerwana z naczyń, okazuje się, że gęste potrawy, ostro przyprawione klopsiki, precle, strudle, kluski, bułki i chleby – wszystko dopełnia się doskonale, zupełnie jakby nad całością czuwała Sara organizatorka imprez. Jest też wielka micha ponczu. Jeśli nawet ktoś znał składniki na początku wieczoru, gdy ja go kosztuję, mieszanina ma niesprecyzowany smak. Jest słodkawa; wyczuwam ananasa i rum, ale chwilę później widzę, jak ktoś dolewa wódki. Jestem nieodpowiedzialna i szalona, lecz nigdy lepiej się nie bawiłam. Toma także przyłapuje Vladislava na dolewaniu wódki do ponczu.

– Dobry człowieku, nie zawieź naszych kulturowych oczekiwań – mówi, klepiąc przyjaciela w plecy. Do mnie zaś dodaje: – *Smažený sýr*. Pamiętaj, żeby zjeść go dużo.

– Co to takiego?

– Ser zapiekany z chlebem.

– Brzmi wspaniale! – Rzucam się z miejsca na potrawę.

Poznaję małżeństwo, u którego mieszka Toma. Joan i Frank wywodzą się z klasy robotniczej, sól tej ziemi. Frank przyniósł ze sobą kaptcie, co Joan kwituje przewróceniem oczami, ale nie wydaje się specjalnie niezadowolona.

– To przyjęcie, Frank. Ludzie zazwyczaj ubierają się w to, co mają najlepszego.

– Jak ona? – pyta Frank, pokazując na mnie.

Śmieję się, ponieważ jego żarcik jest niewinny.

Joan martwi się zmywaniem i większość wieczoru spędza w kuchni, płucząc szklanki i przekładając to, co zostało z jedzenia, na pełniejsze talerze, żeby zyskać miejsce. Wygląda na to, że ledwie jedno danie zniknie ze stołu, drugie zaraz się pojawia. I dobrze, bo gości przybywa z każdą chwilą. Nie dość, że wszyscy niosą jedzenie i picie, to również są powodem coraz bardziej podekscytowanych okrzyków.

– Pewnie za sprawą całego tego alkoholu – komentuje Frank.

Joan cmoka, płucze kolejny talerz pod bieżącą wodą, po czym zwraca się do mnie:

– Zdaje się, że tobie zawdzięczamy naszego lokatora. – Uśmiecham się i upijam łyczek wina. – Jest dla nas jak syn. Będzie go nam brakowało.

– Yhm. – Głos mam chrapliwy, jakbym przed chwilą połknęła garść piachu. Tak też się czuję.

Odstawiam kieliszek. I tak jest już pusty. Straciłam rachubę, ile wypiałam. A to oznacza, że wypiałam za dużo. Powinnam sprawdzić komórkę. Przekonać się, co słyhać na moim przyjęciu. Właściwie powinnam już wracać. Ale nie robię tego. Impreza zorganizowana przez Sarę jest daleko, a ja czuję się od niej zdystansowana. Słyszę grającą tu muzykę i to przykuwa moją uwagę. Na dobre. Do tego stopnia, że wszelkie myśli o moim przyjęciu wylatują mi z głowy. Nie chodzi o złote przeboje

lejące z czyjejs komórki podpiętej do głośników i zachęcające ludzi do wygibasów w salonie. Ktoś zaczął grać na gitarze. Wokół padają prośby o konkretne utwory i rozlega się nieznana mi, lecz innym najwyraźniej tak, melodia, do której przyłączają się liczne głosy. Ten i ów fałszuje ochryple, nikt się tym jednak nie przejmuje, zupełnie jakby nie wynaleziono wstydu. Staję w progu i kiwam głową do rytmu, bardziej niż kiedykolwiek świadoma osławionej angielskiej rezerwy. Wtem Toma klepie mnie w ramię, ujmuje za rękę i prowadzi za sobą, z dala od muzyki, przez kuchnię aż do tylnego ogrodu.

Ujął mnie za rękę. A ja mu pozwoliłam.

Nie wrywam się. Zamiast tego powtarzam sobie, że to całkowicie naturalne, normalne, w żadnym razie niewłaściwe. Mimo że jestem mężatką. Mimo że Toma kciukiem gładzi wnętrze mojej dłoni, a ciepło jego dotyku promieniuje na całe moje ciało i rozbłyska w środku niczym fajerwerk.

Ogród ma szerokość tylko paru metrów, ale jest niespotykanie długi, bo ciągnie się aż do torów kolejowych. Kilka osób pali i wapuje na niewielkim tarasie, lecz Toma mija je z uprzejmą determinacją. Zostawiamy za sobą dom i schodzimy lekką pochyłością w nieckę prowadzącą do płotu. Tej wiosny padało na tyle dużo, że trawa w dobrze utrzymanym ogrodzie jest zielona i bujna, choć odcisnięte, miejscami nagie koła wskazują na obecność dzieci i ich zabawy. Faktycznie, kawałek dalej natykamy się na plastikowy domek dla lalek i porzuconą piłkę. Wzdłuż bocznego ogrodzenia ciągnie się na całą długość sznur do prania, wiszące na nim spinacze czekają na kolejną partię czystych rzeczy; pomiędzy źdźbłami widzę skulone mniszki, jaskry i mniej atrakcyjne polne kwiaty, rozsiane na trawniku niczym piegi na twarzy rudzielca. Kierujemy się ku dwóm sfatygowanym plastikowym leżakom na samym krańcu działki.

Przypuszczam, że właśnie tutaj Dita i Mandek wypoczywają po pracy. Upewnia mnie w tym obecność dwóch koców w kratę przewieszonych przez oparcia. Nie jest to najspokojniejsze miejsce na ziemi, pociągi przejeżdżają z łomotem co parę minut, ale potrafię dostrzec jego typowo miejski urok: widok na tory, fabryki i magazyny. Może Dita i Mandek mieszkali w mieście i tęsknią za nim.

Docieramy do leżaków, nadal trzymając się za ręce. Zerkam na nasze splecione palce, ale zaraz tego żałuję, ponieważ Toma zauważa to spojrzenie i oswobadza moją dłoń. Siadamy. Obok siebie, ale w stosownej odległości. Biorę jeden koc i nakrywam nim kolana. Być może to przez wino albo tę balsamiczną noc, albo rozgwar przyjęcia – mogłabym szukać wymówek w nieskończoność – w każdym razie panuje między nami jakieś napięcie. Powietrze iskrzy i migocze zauważalnie. Na mojej imprezie też był alkohol i rozgwar, wieczór był równie cudowny, ale w obecności Jake'a nie miałam tego wrażenia wyczulonych zmysłów. Skóra mnie nie mrowiła, niebo nie wydawało się takie czarne ani gwiazdy takie błyszczące.

– Dobrze się bawisz? – pyta Toma takim tonem, jakby to była dla niego najważniejsza w tej chwili rzecz. Jakbym tylko ja się liczyła. Jakby moje szczęście było jego obsesją.

– Bardzo dobrze.

– Nie musisz wracać na swoje przyjęcie?

– Powinnam, tak. – Milczymy przez kilka chwil. Jest wpół do dwunastej. Naprawdę powinnam wyciągnąć telefon i zadzwonić po ubera. Żeby przywrócił mnie nie tyle do rzeczywistości, ile do nierealności, która jest moim nowym światem. Zamiast jednak zrobić cokolwiek, mówię: – Polubiłam twoich przyjaciół.

– Udało mi się poznać wielu dobrych ludzi. Część niedawno, część jeszcze w czasach, kiedy miałem rodzinę. Dziś wieczorem chciałem mieć

koło siebie ich wszystkich.

Kiwam głową.

– O której jutro wylatujesz?

– O ósmej rano.

– Jesteś już spakowany?

Toma odwraca się do mnie i nachyla nisko. Przez jedną szaloną chwilę myślę, że mnie pocałuje, i zastanawiam się gorączkowo, co zrobię, jeśli to uczyni. Odwzajemnię pocałunek? Odkąd dwadzieścia lat temu nasze oczy się spotkały w siedzibie stowarzyszenia studentów, pozostałam wierna Jake'owi. Nie wynikało to z samodyscypliny ani nawet nie było godnym szacunku i świadomym przejawem lojalności. Po prostu nigdy nawet nie przyszło mi do głowy, żeby zdradzić Jake'a. Nigdy nie spotkałam mężczyzny, który byłby na tyle atrakcyjny, by odwrócić moje myśli od męża. Zawsze myślałam tylko o nim.

I tak, ślubowałam mu.

Jak on mnie.

Nie uważam, aby złamaną przysięgę dało się kiedykolwiek naprawić. Na pewno nie do końca. Ale Toma wydaje mi się atrakcyjny. Tyle że mnie nie całuje. Kosmyk włosów przesłonił mi oczy, a on wyciąga rękę i zakłada mi go za ucho. Po czym przygląda mi się tak długo, że powinnam poczuć się niezręcznie. Tymczasem ja czuję się wspaniale.

– Muszę cię o to zapytać ponownie, Lexi, zanim założę fundusz powierniczy i przekażę pieniądze. Jesteś pewna?

– Absolutnie – odpowiadam zdecydowanie.

– Bo jeszcze nic nie wydałem. Ale i tak odniosłem korzyść. Odzyskałem swoje życie. Nie muszę brać tych pieniędzy.

– Ale zrobisz dzięki nim tyle dobrego.

– Twój mąż nie ma nic przeciwko?

Chcę skłamać, ale nie potrafię. W moim życiu jest ostatnio zbyt wiele kłamstw. Nie mogę do nich dodać jeszcze jednego.

– Jake o niczym nie wie.

– Czy to nie okaże się problemem, gdy już się dowie?

– Może – przyznaję z westchnieniem. – Ale już teraz nie brak nam problemów.

– Nie chciałbym być tym dodatkowym.

Nabieram powietrza do płuc.

– Z mojego punktu widzenia najgorszy scenariusz przedstawia się tak, że każde z nas ma pięć milionów do wydania. Przekazując ci jedną trzecią, postąpiłam w zgodzie ze sobą. Prawdopodobnie i tak rozdám większość. Nie mam pomysłu, co zrobić z tymi pieniędzmi. Innym są potrzebne bardziej niż mnie. Co do tego nie mam wątpliwości.

Toma spogląda na mnie z niekłamanym podziwem. To najwspanialsze spojrzenie, jakim jeden człowiek może obdarzyć drugiego. Patrzy na mnie z szacunkiem, aprobatą, wdzięcznością i entuzjazmem. Jakbym pokazała mu nieznaną wcześniej stronę świata. Czuję zażenowanie, ale głównie radość. Coś się rodzi, trzepocze i znika pod moim mostkiem.

– Jak sobie z tym radzisz? – pyta.

– Z czym?

– Z troską o ludzi, których nawet nie znasz. Doświadczenie mi podpowiada, że troska o tych, których kochasz, kończy się tragicznie.

– Znam cię, Toma – szepczę. Nie chciałam, aby zabrzmiało to jak wyjawiana tajemnica.

Odpowiada w cały głos. To sprawia, że się otrząsam i nieco trzeźwieję. Nie mogę wykluczyć, że ubzdurałam sobie coś, czego nie ma, przez wypity

alkohol. Toma nie czuje tego co ja. Chce się upewnić, że nikt nie będzie go ścigał za przyjęcie mojego daru w postaci trzech milionów funtów.

– No tak, ale tu nie chodzi tylko o mnie. Ty troszczysz się o wszystkich. Jestem tylko jednym z wielu.

Tak, jego uwaga mnie rozwściecza, pali do żywego.

– Jak możesz tak mówić? Nie podzieliłam się wygraną ze wszystkimi. Gwoli ścisłości, jesteś jedynym człowiekiem, który coś ode mnie dostał.

– Dałaś mi równo dwa miliony dziewięćset siedemdziesiąt sześć tysięcy funtów.

– Zgadza się.

– To bardzo szczególna liczba.

– Idealnie jedna szóstka wygranej. Twój udział.

– Mój udział?

Muszę zmienić temat.

– Rozpoczniesz nowe życie, Toma. Dasz nowe życie wielu osobom.

– Przez długi, długi czas potrafiłem rozmyślać wyłącznie o swoim starym życiu. Tym, które straciłem. Wyobrażałem sobie mojego dorastającego syna. To, jak gram z nim w piłkę w parku, odprowadzam go do szkoły, chodzę na wywiadówki, by usłyszeć, jaki z niego bystry chłopiec, dobry chłopiec. Myślałem też o następnych dzieciach. Może kolejnym synu, może córce. Też by grała w piłkę, gdyby chciała, a jeśli nie, siedziałbym z nią i udawał, że piję z miniaturowej plastikowej filiżanki na zorganizowanym przez nią przyjęciu. Wyglądałbym przy tym idiotycznie, ale miałbym to gdzieś. – Toma ma wzrok wbity w trawnik przed sobą. – Benke też, gdyby nie lubił piłki, a interesował się muzyką, teatrem czy rysunkiem, mógłby robić, co by chciał. Nawet urządzać cholerne przyjęcia! Mógłby zostać, kim by chciał. A Reveka... – Imię spływa z jego ust prosto w ciemną noc, a ja słyszę w nim tęsknotę równie wyraźnie jak muzykę

dolatującą od strony domu. – Zdałaby egzaminy i została księgową. Byłaby dobrą pracownicą. Bardzo oddaną. Z czasem powierzono by jej kierownicze stanowisko. Kto wie, może wracałaby do domu niezadowolona i besztła mnie, że nie poprasowałem, nie ugotowałem na obiad tego, co trzeba. A ja bym przepraszał. I następnym razem starałbym się bardziej. Mimo że to nie ma nic wspólnego z naszą tradycją, ułożylibyśmy sobie nowoczesne, bardziej sprawiedliwe życie. – Odwraca się do mnie. Nie spuszcza wzroku, choć trudno mi patrzeć na jego cierpienie. – Poddałbym się prądowi, przyjmował wszystko, co przyniesie los. Nieważne, że dzieciak potrzebowałby drogiego aparatu ortodontycznego, nieważne, że zawaliłby egzamin, porysował samochód, nawet spróbował narkotyków. Takie problemy mają moi znajomi. Zniósłbym wszystko, bo takie przeciwności to żadne przeciwności. Wiaterek w porównaniu z wichurą.

Uwielbiam go słuchać. Naprawdę stara się zrozumieć, czym jest życie, kim są ludzie. Mało kto zadaje sobie ten trud. Nie wiem, czy chodzi o to, że wywodzi się z innego kręgu kulturowego i językowego, czy o to, z czym musiał się zmierzyć po stracie żony i syna. Wiem tylko, że mogłabym tak siedzieć całą noc i słuchać go bez końca.

Toma wzdycha.

– Wiele czasu spędziłem na rozmyślaniu o tym życiu, które mogłoby być, zły na życie, które przypadło mi w udziale. To z wichurą, groźną i niebezpieczną, i ze mną robiącym wszystko, by się znieczulić. Nadużywałem alkoholu i garściami jadłem antydepresanty. Wylądowałem na ulicy. – Kręci głową. – Reveka byłaby smutna, gdyby mnie wtedy widziała. A może zła? Potrafiła się gniewać, zwłaszcza na marnotrawstwo.

Uśmiecham się lekko.

– Jestem pewna, że bym ją polubiła.

– Polubiłabyś, tyle że nigdy byście się nie spotkały.

– Raczej nie.

– Wraz z ich śmiercią straciłem wszystko. Nie tylko żonę i syna, ale i motywację do tego, by stawać się lepszym. Gdy ich zabrakło, jedyną osobą, którą mogłem zawieść, byłem ja sam. Oczywiście to zrobiłem. – Wzdycha ponownie, potrząsa głową. – Ty dałaś mi drugą szansę, Lexi. Nie przeżyję tamtego życia. Ono przepadło. Ale ty dałaś mi szansę na inne życie. Dzięki tobie odzyskałem chęć bycia coraz lepszym. Myślę, że życie, które od ciebie otrzymałem w darze, będzie bardzo, bardzo dobre.

– Dałam ci tylko pieniądze, Toma. Ty decydujesz, co z nimi zrobić. – Wzruszam ramionami.

– Mam pytanie. – Toma stuka mnie palcem w dłoń, aby zwrócić moją uwagę; jestem skupiona w całości na nim, ale od jego dotyku przyśpiesza mi tętno, krew burzy mi się w żyłach. – Myślisz o mnie gorzej przez to, że przestałem ścigać kamienicznika? Człowieka, który jest wszystkiemu winny? – Kręcę głową, ale on nie przestaje. – Zastanawiałem się, czyby nie zostać i nie wytropić go dzięki pieniądzom, które mi dałaś. W dokumentacji panuje chaos, ale mógłbym zatrudnić prawnika, prywatnego detektywa...

– I co dalej? – wpadam mu w słowo. – Kamienicznik i tak nie zostałby pociągnięty do odpowiedzialności, ponieważ winę na siebie wzięła Elaine Winterdale. To ślepy zaulek.

– Gdybyśmy go znaleźli, moglibyśmy nająć zbirów, żeby go zabili. – Rozszerzam oczy, lecz Toma wybucha śmiechem. – Żartowałem. Nie jestem mordercą. Nie brakowało chwil, w których byłem gotowy na wszystko, ale ty wylałaś oliwę na wzburzone morze, Lexi.

– Najlepiej będzie, jeśli zaczniesz patrzeć w przyszłość. Tego dla ciebie pragnę. Dlatego dałam ci te pieniądze.

Toma wyciąga rękę. Kciukiem dotyka czoła tuż nad moją brwią, po czym delikatnie głaszcząc to miejsce. Przymykam oczy, pozwalając na tę

pieszczotę. Jest powolna i łagodna, zupełnie jakby nagle odkrył tę część mnie i była ona najbardziej erogenna ze wszystkich. Albo najbardziej droga. Toma przepędza moje troski. Czuję, jak odprężam się na całym ciele. Ujmuje skraj koca i podciąga mi go pod samą brodę, a potem starannie utyka wokół mnie, aż jestem ciasno owinięta jak kokonem. Zamiera na chwilę, spogląda mi prosto w oczy, nachyla się i składa pocałunek na moim czole. Platonicznie, choć nie do końca. Delikatnie, z czułością. Czuję otaczające go chłodne nocne powietrze.

– Powinnam zadzwonić po ubera – mruczę.

– Tak, powinnaś wracać na swoje przyjęcie.

Powinnam wrócić do swojego życia. Czy też do życia osoby, którą od tej pory jestem.

33

EMILY

Nie wypuszczając mojej ręki z uścisku, Ridley ciągnie mnie przez tłum imprezowiczów na skraj łąki, w stronę lasu. Idzie tak szybko, że ledwie za nim nadążam. Mam buty na wysokim obcasie, to nic, że jest to koturn, stopa i tak mi się omyka kilka razy, grożąc skręceniem kostki. Ilekroć kuleję, Ridley przewraca oczami i pyta:

– Serio, Emily? Ileś ty wypila?

Podoba mi się, że się o mnie troszczy. Nawet jeśli ta troska przypomina raczej naganę. Bo ma rację. Jestem pijana. I to też mi się podoba. Moje palce są jak wata cukrowa, ciągliwe i plastyczne, puste. Tak samo moja głowa i całe moje ciało.

Schludnie przystrzyżona trawa ustępuje dłuższej, dzikiej odmianie, a dalej są już tylko krzaki, płatanina gałęzi i liści. Cieszę się, że część mojego stroju stanowią kozaki, w przeciwnym razie już dawno miałabym łydki podrapane do krwi. Ridley puszcza moją rękę tylko po to, by przycisnąć moje ramiona do szerokiego pnia. Szorstka kora drapie mnie w barki i plecy, ale nie zważam na to, bo język Ridleya jest już w moim gardle. Całuje mnie ostro, a ja doskonale wiem, co to oznacza. Rozlewa się po mnie zadowolenie. Odpowiadam na pieśczętę z nie mniejszym zapałem, zderzamy się zębami, nasze języki się splątują, jakby zapomniały

zgodnych ruchów, nie przestaję jednak całować Ridleya. Wplatam palce w jego włosy, przyciągam jego głowę bliżej, aby i on nie mógł przestać. Czuję, jak błądzi rękami po całym moim ciele. Wygląda na to, że oboje dobrze pamiętamy, jak było nam wspaniale razem. Pocałunki Ridleya sprawiają, że wszystko inne blednie i traci znaczenie; jesteśmy tylko my na tle zielonego ekranu wykorzystywanego przy kręceniu filmów – świat będzie tym, czym zechcemy, aby był. Chwilę temu słyszałam dudniące odgłosy przyjęcia: didżeja, diabelski młyn, piski i wrzaski. Teraz panuje cisza przerywana jedynie naszym sapaniem. Oddychamy coraz ciężiej i szybciej. Ktoś wcisnął guzik na pilocie świata – nic nie słyszę, nic nie widzę, oczy mam przymknięte. Jest tylko on. Jego dotyk. Jego obecność.

W głębi mnie pęcznieje pytanie. Muszę je zadać, choć wcale nie chcę. Pragnę czuć wargi Ridleya na swoich, pragnę, by nieprzerwanie eksplorował zakamarki mojego ciała, ale że mam też trochę godności, odrywam się od jego ust. Momentalnie czuję je na szyi, uszach, dekolcie, twarzy. Oddech Ridleya jest słodki i ciepły. Doskonały. Dolatuje mnie delikatna woń piwa i jabłek w karmelu. Gdy zaczyna sunąć dłonią w górę mojego uda, przerywam milczenie:

– Ale żeby Evie Clarke?

Teraz to on odrywa usta od mojej skóry, spogląda na mnie i pokazuje w uśmiechu wszystkie zęby.

– Zazdrosna?

Oczywiście, że jestem zazdrosna, ale nie wiem, w czym miałyby mi pomóc przyznanie się do tego.

– Ciekawa – odpowiadam, dumna z tej riposty. Wydaje mi się, że zabrzmiało to światowo i błyskotliwie, zamiast ze smutkiem i niepokojem, które faktycznie czuję.

Ridley wzrusza ramionami. Gdybym nie kochała go tak bardzo, pomyślałabym, że ma głupią minę. Albo że jest zażenowany. Uświadomiwszy to sobie, sztywnieję mimo mgiełki alkoholu i pożądania.

Miał powiedzieć: „Ona się nie liczy”.

Nie mówi: „Ona się nie liczy”.

Co oznacza, że Evie Clarke liczy się dla Ridleya. Ostatnio. Ale przecież dopiero co mnie całował. Nie dopuszczam do siebie wspomnienia, w którym Ridley stoi w drzwiach szkolnej łazienki i przygląda się beczynnemu, jak Megan bije mnie i kopie. Robię, co mogę, aby nie myśleć, jak robił mi zdjęcia, kiedy miałam spuszczone do kostek majtki. Widzę, że Ridley zaczyna się rozglądać. Jest zmieszany. Jakby nie do końca wiedział, jakim sposobem znalazł się ze mną w lesie sam na sam. Jakby nie pamiętał, że ujął mnie za rękę i praktycznie tu przywlókł.

– Naprawdę jestem pijana – mówię. Słyszałam, jak inni używają tej wymówki po tym, jak zrobili coś, czego żałują, albo przed tym, zanim zrobią coś, czego będą żałować. Niektórzy rzucają coś takiego, żeby wypełnić przerwę w rozmowie; gdy nie wiedzą, co innego mogliby powiedzieć. Nie jestem pewna, o który przypadek teraz chodzi. Może o oba? Swoboda, którą Ridley i ja czuliśmy w swoim towarzystwie, prysła. On wygląda na zdenerwowanego i nie potrafi się zmusić, aby na mnie spojrzeć. Ja pragnę, aby na mnie spojrział, bardziej niż czegokolwiek na świecie, bo mam na sobie świetny kostium, zostałam umalowana przez wizażystkę i w ogóle jeśli Ridley kiedykolwiek miałby mnie pożądać, to właśnie teraz. – Jestem w ciąży.

Wbija we mnie wzrok. Obraca głowę tak szybko, że niemal ją przy tym traci. Spodziewam się zobaczyć odrobinę żalu albo współczucia, może nawet ekscytacji – w końcu mam prawo oczekiwać czegoś w tym rodzaju. Ale widzę jedynie złość.

– Co ty pierdolisz? – Głos lekko mu się łamie przy „pierdolisz”.

Ponieważ jestem pijana, chce mi się śmiać. I to z dwóch powodów. Ridley, który ma zostać tatą, nie przeszedł jeszcze mutacji. Wyraz „pierdolić” jest tutaj wyjątkowo na miejscu. Uprawialiśmy seks, więcej niż raz, i poczęliśmy dziecko. Nie trzeba Einsteina, żeby to skumać. Takie myśli przelatują mi przez głowę – ale nie tylko one. Znów mam poczucie, jakbym unosiła się w powietrzu i słuchała tej rozmowy z boku. Sytuacja chyba mnie przerosła. Wpadam w histerię.

Potrząsam głową, żeby się skupić na tym, co istotne.

– Mówię prawdę. Zrobiłam test.

– Kurwa. – Przysiada w kucki. Jego twarz znika mi sprzed oczu, jakby ktoś podciął mu nogi. Kołysząc się na stopach, z łokciami na udach, zgarbionymi plecami i głową w dłoniach, gapi się w ziemię. To znajomy widok. Ridley kuca w ten sposób, gdy jego drużyna przegrywa mecz. – Kurwa – powtarza.

– Będzie dobrze – mówię, choć wcale w to nie wierzę.

Nie chcę być matką. Jestem zbyt młoda. Dopiero co wygraliśmy w lotto i nakupiłam masę fajnych ciuchów. A teraz nie będę mogła ich nosić, bo zrobię się gruba. Z drugiej strony dopiero co wygraliśmy w lotto, za kilka tygodni skończę szesnaście lat, może więc jednak wszystko będzie dobrze. Gdyby tylko Ridley chciał tego dziecka. I mnie.

Kucam naprzeciwko niego. Nasze głowy niemal się stykają. Chcę położyć dłoń na jego ramieniu. Pogłodzić go. Dodać mu otuchy. Wyciągam rękę, ale moment później zamieram z uniesioną w powietrzu. Tak blisko jego skóry. I tak daleko. Czuję ciepło promieniujące z jego ciała, to doprowadza mnie do szaleństwa. Słyszę, że coś mamrocze, zbyt niewyraźnie jednak, abym zrozumiała co. Kołyszę się; kucanie na

koturnach po pierwszym nadużyciu alkoholu okazuje się trudniejsze, niż można by przypuszczać.

– Nie chcę tego – mówi Ridley.

– Tego? – pytam, równocześnie umierając w duchu.

– Dziecka. Ciebie. Tego wszystkiego. – Patrzy prosto na mnie. Jego spojrzenie miota strzały, które dosłownie przesywają mnie na wylot. – Nie chcę. W ogóle.

Te słowa mnie powalają. Padam na tyłek. Ściółka jest wilgotna.

Spoglądam na Ridleyę, który cały się trzęsie, ręce i wargi mu drżą. Chyba zaraz się rozplacze. Ostatnio płakał, jak miał jedenaście lat, później już nigdy, nawet gdy umarł jego dziadek, którego bardzo kochał. Wygląda na przerażonego. I smutnego. Jest mi źle z tym, że to przeze mnie. Że niechcenie mnie, nas, tak bardzo go przytłacza. Wiem, że to dziwne, bo powinnam go zwyczajnie nienawidzić, ale nie potrafię. Kocham go. Chciałam sprawiać mu wyłącznie radość. Być z nim szczęśliwa. Znam go z czasów, gdy nie znałam jeszcze nic innego. Jest jakby częścią mnie. Jest chłopięcą wersją mnie. Widząc, jak się wycofuje, cierpię, jakby ktoś przekrawał mnie na pół.

– Jak to możliwe, że już nic dla ciebie nie znaczę? – pytam.

– Nie wiem. Ale nie znacysz. – Podnosi się na nogi i rzuca tęskne spojrzenie w stronę toczącej się imprezy. Domyślam się, że chciałby tam wrócić. Do Evie Clarke. Ridley już mnie nie chce, nie chce naszego dziecka. – Mówiłaś o tym komuś? – pyta, a gdy kręcę głową w odpowiedzi, dodaje: – Musisz powiedzieć swojej mamie. Ona to załatwi. Macie wystarczająco dużo pieniędzy, żeby wszystko załatwić – dorzuca przez ramię, oddalając się szybkim krokiem.

Nie mogę patrzeć, jak odchodzi. Odwracam się i wspinam na czworaki jak zwierzę. A potem zaczynam wymiotować. Wymiociny mają kolor

koktajli, które wypilałam. Są czerwone. Wygląda to tak, jakbym rzygała krwią. Torsje targają mną nawet po tym, jak w moim żołądku nic już nie zostało. Nie wiem, czy to przez ciążę, czy przez alkohol. Tak, nie musicie mi mówić, sama wiem, że to kiepska kombinacja. Może po prostu mam dosyć życia? Zaciskam powieki, bo nie mogę patrzeć na świat.

Nagle słyszę kroki, ktoś przedziera się przez krzaki i gałęzie. Zamieram w oczekiwaniu.

Ridley wrócił! Serce zaczyna mi bić żwawiej. Wrócił! Może żeby mnie przeprosić, może żeby przytulić. Ridley wrócił, zatem teraz już wszystko na pewno będzie dobrze. Prędko ocieram usta wierzchem dłoni. Nie będzie chciał mnie pocałować, jeśli będę miała wymiociny na ustach. Wolę, żeby nie widział mnie na czworakach obok kałuży nieczystości, użalającą się nad sobą. Muszę wstać, wziąć się w garść, odzyskać nieco godności.

Ledwie jednak wykonam pierwszy ruch, coś uderza mnie od tyłu. Naprawdę mocno. Nagle, niespodziewanie, pewnie to konar runął z drzewa nade mną. To takie samo uczucie jak na basenie, gdy chcąc zanurkować, człowiek zderza się z wodą udami, brzuchem i klatką piersiową. Bywa to bolesne. Teraz także szok miesza się z bólem, ale nie brzucha, lecz tyłka, jakby ktoś mnie tam kopnął. Instynktownie staram się oddalić od źródła bólu, zaczynam odpełzać i oczywiście wkładam dłoń prosto w swoje wymiociny, przez co ślizgam się i padam na nos. Bach, kolejne uderzenie. Przerazona myślę, że to niebo runęło i teraz mnie przygniata. Straciłam panowanie nad kończynami, mogę tylko leżeć rozplaszczona na ziemi.

Momentalnie czuję na sobie czyjeś desperackie dłonie. Dociera do mnie, że to ani konar, ani niebo. Padłam ofiarą ataku. Napadł mnie mężczyzna – chyba że jest ich więcej. W końcu jestem tylko młodą dziewczyną, skąpo ubraną, samą w lesie. Tego typu rzeczy dzieją się bez przerwy. Zaczynam krzyczeć, ale natychmiast czyjaś dłoń zasłania mi usta.

Wiję się, miotam, próbuję gryźć, lecz zniecka oczy i usta mam zaklejone taśmą. W ciągu ułamków sekund oślepiłam i oniemiałam. Nadal macham rękami i nogami, staram się kopać, na darmo jednak. Napastników jest dwóch, trzech, może więcej. To dorośli mężczyźni, nie chłopcy. Czuję ich zapach, czuję ich szorstkie ręce, gdy mnie kneblują i wiążą. Serce wali mi jak oszalałe, boję się, że ze strachu wyskoczy mi z piersi. Mam skrepowane nogi w kostkach, ręce spętane za plecami. Wszystko dzieje się przerażająco szybko. Jestem całkowicie bezradna. Siadają na mnie okrakiem, myślę, że zaraz mnie zgwałcą, ale oni na razie chyba tylko chcą nade mną zapanować. Przynajmniej na tę chwilę. Pewnie zawleką mnie gdzie indziej, by dokończyć to, co zaczęli. Szlocham, ale ani łzy, ani jęki nie przedostają się do świata zewnętrznego. Nachodzi mnie myśl, że się uduszę. Kamienieję z przerażenia, w życiu się tak nie bałam. To, co się teraz ze mną dzieje, jest milion razy gorsze od bijatyki w szkolnej łazience, milion razy gorsze od niebieskiej kreski w okienku testu ciążowego. Najgorsze, co mogłabym sobie wyobrazić. Błagam, aby mnie puścili, ale taśma nie przepuszcza żadnych dźwięków. Zresztą i tak nie spełniliby mojej prośby. Podnoszą mnie i we dwóch zaczynają targać leśną ścieżką. Jestem pewna, że umrę.

– Zamknij, kurwa, ten pieprzony ryj i przestań się ciskać albo pożałujesz! – rozlega się męski głos.

Wierzę mu na słowo. Chcę się uspokoić, ponieważ może mnie spotkać większa krzywda, ale nie potrafię przestać się szarpać, robię to instynktownie, choć bez najmniejszego efektu. W końcu ktoś uderza mnie pięścią w brzuch. Pozbawiona tchu, nie jestem nawet w stanie krzyknąć z zaskoczenia i bólu. Wtem do moich nozdrzy dolatuje charakterystyczny zapach, podobny do tego, jaki spotyka się u dentysty.

34

LEXI

Podczas jazdy uberem działanie wina i ponczu powoli zaczyna ustępować i momentalnie spada na moje barki odpowiedzialność za własną rodzinę i za własne życie. Nie powinnam była tak zniknąć, nie mówiąc nikomu, dokąd jadę. Co ja sobie myślałam? Nawet jeśli czułam się nieco zaniedbywana i samotna na swoim przyjęciu, nie był to jeszcze powód, aby dawać z niego nogę. Sprawdzam szybko telefon, pełna poczucia winy, że nawet nie zerknęłam na komórkę, kiedy byłam u Tomy. Okazuje się jednak, że nie przegapiłam żadnej wiadomości. Poczucie winy znika wyparte przez irytację. Jest wpół do dwunastej, a nikt nawet nie zauważył mojej obecności! Zdaję sobie sprawę, że reaguję irracjonalnie. Całe szczęście, że nikomu mnie nie brakowało. Zachowuję się jak nastolatka.

Wybieram numer Logana, który odbiera po trzecim dzwonku.

– Cześć, dobrze się bawisz?

– Jest kapitalnie, mammo! Gdzie jesteś? Szukałem cię.

Uśmiecham się z wdzięczności, że jednak nie zostałam całkiem zapomniana.

– Musiałam na chwilę wyskoczyć, żeby czymś się zająć, ale już wracam. Będę za pięć minut. Spotkajmy się na parkiecie tanecznym,

dobrze?

– Nie zatańczę z tobą, mamo. – Nieomal widzę, jak przewraca oczami z rozpaczy.

– Wiem. Chcę cię tylko zobaczyć. – Pragnę go przytulić, mojego syna, któremu już niedużo brakuje, aby dorównać mi wzrostem. Nieoczekiwanie tęsknię do jego solidności, jego prostoty. Sprawy ostatnio tak bardzo się pokomplikowały. – Widziałeś w ogóle tatę? – Nie powinnam o to pytać. Nie mam prawa oczekiwać, że Jake wszystkim się zajmie, podczas gdy ja spędzam czas na innym przyjęciu, z innym mężczyzną.

– Tata jest obok mnie. Szukaliśmy ciebie i Emily. Nie pokazałyście się na krojeniu tortu i zdjęciach.

– Och, wybacz. Całkiem o tym zapomniałam.

– Zapomniałaś o torcie wysokim na metr?! – Logan wciąż jest w wieku, w którym słodczyce przesłaniają człowiekowi cały świat, dlatego czteropiętrowy cud cukiernictwa był głównym tematem jego rozmów w minionym tygodniu. Nie kto inny jak Logan zdecydował, że warstwy kolejno będą miały smak wiśniowy, czekoladowy, kokosowy i limonkowy.

– Czy tata chce go pokroić teraz?

– Już to zrobiliśmy. A na zdjęciu są wszyscy, Jennifer, Fred i masa innych ludzi. Zamiast fotografii rodzinnej wyszła fotografia przyjacielska.

Gotuję się w środku, ale nic nie mówię.

– Jestem już prawie na miejscu.

Wchodząc z powrotem na teren imprezy, zaczynam od wypicia szampana. Potrzebuję wzmocnienia na myśl, że Jennifer wpakowała się na moje zdjęcie rodzinne. No dobrze, częściowo to moja wina, bo zniknęłam na parę godzin, ale czy naprawdę to właśnie Jennifer musiała zająć moje miejsce? Kelnerka, która trzyma tacę, wygląda na znudzoną, widzę, jak rzuca tęskne spojrzenia w stronę hucznej imprezy. Ma około dziewiętnastu

lat. Posyłam jej współczujący uśmiech. W młodości sporo się nakelnerowałam dla dodatkowego zarobku – co sprowadzało się głównie do opędzania od namolnych starców i nadszkakiwania staruszkom o dziwnych nawykach dietetycznych. Chcę wierzyć, że ta dziewczyna nie doświadczyła wiele chamstwa od naszych gości. Mam nadzieję, że wszyscy się do niej uśmiechali, nawiązywali kontakt wzrokowy i mówili „dziękuję”.

Zmierzam ku głównemu namiotowi z parkietem tanecznym. Z powodu dziwacznych kostiumów trudno mi wytropić znajome twarz. Większość ludzi zdaje się zadowolona. Wszyscy wokół albo tańczą, albo stoją i rozmawiają, sącząc drinki. Nikt nie odwraca się na mój widok, aby choć się przywitać.

Dym snuje się kłębam, załamując światło reflektorów – krzykliwą czerwień, oślepiające błękity i jaskrawe zielenie – które śmigają po zgrzanych, spoconych ciałach tańczących, krzyżując się na nich chwilowo, by zaraz pomknąć dalej. Didżej wie, co robi; dobierane przez niego piosenki natychmiast wpadają w ucho przyjaciołom Emily, którzy nieokiełznanie szaleją na parkiecie. Koledzy Logana czują się mniej pewnie, w większości stoją na uboczu, robiąc wszystko co w ich mocy, aby nie wyglądać na zmieszanych, co tylko potęguje to wrażenie. Gdy wreszcie dostrzegam Jake’a i Logana stojących przy torcie, ruszam w ich stronę. Decybele rozrywają mi bębny w uszach, odbijają się echem w mojej piersi i gardle. Już dawno przestałam tolerować ten poziom głośności.

Cmokam Logana w czubek głowy. Włosy ma spocone, przesiąknięte znajomym zapachem. Rozgląda się mimowolnie, sprawdzając, czy żaden z kolegów tego nie widział; jak wiadomo, okazywanie czułości przez rodziców nie jest spoko. Nie rozumiem, dlaczego bycie kochanym stanowi powód do wstydu. Moje doświadczenie podpowiada, że miłość to pewna

droga do upokorzenia. Wodzę wokół wzrokiem w poszukiwaniu mojej córki, ale nigdzie jej nie widzę.

– Gdzie Emily? – pytam męża.

– Co?! – odkrzykuje.

– Namierzyłeś już Emily? – wołam, tym razem głośniej.

Dreszcz irytacji przebiega mi po kręgosłupie, gdy Jake odwraca się do mnie z szerokim, ewidentnie pijackim uśmiechem.

– Co? A, nie... Nie pamiętam, kiedy ją ostatnio widziałem.

Tracę do niego cierpliwość.

– Powinieneś był jej pilnować!

– Czemu?

– Widziałam wcześniej, jak pije.

– Wszystkie dzieciaki piją. – Jake zatacza ramieniem szeroki dobrotliwy łuk, obejmując nim cały namiot. Ma rację. Nikt tu nie jest trzeźwy. Nawet ja. Piwo, które Jake trzyma w ręce, wylewa się przez krawędź szklanki i ląduje na podłodze.

– No tak, ale to jej pierwszy raz. Nie będzie wiedziała, kiedy przestać.

– A ty gdzie się podziewałaś? – pyta mnie Jake.

– Co? – Gram na zwłokę; nie mogę przecież powiedzieć mu prawdy. Nie zrozumiałby, dlaczego musiałam się pożegnać z panem Albu. Sama ledwie to rozumiem. Wciąż czuję na czole dotyk męskiego kciuka, który zdaje się mnie palić. Wciąż czuję męskie palce stukające w moją dłoń. Pocieram oba te miejsca, jakbym chciała zetrzeć słowa z tablicy. Jake nigdy nie słyszał o Tomie. Naprawdę powinnam mu powiedzieć o tych trzech milionach. Zrobię to jutro, jak już będziemy mieli to przyjęcie z głowy.

– Widziałem, jak parę godzin temu się zbierasz. Szukałem cię potem, ale nigdzie cię nie było. Gdzie się podziewałaś? – Jake okazuje mi

zainteresowanie, co ostatnio nie jest normą. Tyle że to zainteresowanie nie bierze się z troski.

– Och, zabrakło nam limonek. Pomyślałam, że równie dobrze ja mogę po nie pojechać. – Milknę. Co za głupoty wygaduję! Nawet gdyby faktycznie zabrakło nam limonek (co jest mało prawdopodobne, zważywszy, że nad wszystkim czuwa Sara), niby czemu to właśnie ja miałabym po nie jechać? To nie jest ten rodzaj przyjęcia, z którego gospodyni się urywa, żeby w sklepie na rogu dokupić czipsów czy alkoholu, co dość często się zdarzało podczas naszych dawnych imprez. Teraz mamy od tego obsługę.

Jake wydaje się skonsternowany.

– Limonki?

– Są składnikiem margarity – blefuję; nie mam pojęcia, czy wśród oferowanych koktajli znajduje się margarita. Właściwie to nie blefuję, tylko kłamię. Jestem zwykłą oszustką. – Jak myślisz, gdzie może być Emily? Chciałabym z nią porozmawiać.

Jake wzrusza ramionami.

– Próbowалаś się do niej dodzwonić?

– Tak, odzywa się poczta głosowa. Wysłałam też trzy esemesy, ale pozostały bez odpowiedzi. – Milczę przez chwilę. – Zadzwońisz do niej?

– Ja?

– Tak.

– Przecież dopiero co powiedziałaś, że nie da się do niej dodzwonić – zauważa.

Miażdżę go wzrokiem. Choć udaje zdziwionego, doskonale rozumie, o co mi chodzi. Obawiam się, że Emily zablokowała mój numer. Zrobiła to celowo, wiedząc, że to ja z nas dwojga będę próbowała ją powstrzymać przed dalszym piciem. I że to ja będę dopytywała, czy nie jest jej zimno,

a w razie gdyby tak było, będę prosiła, aby przebrała się w coś cieplejszego. Jej kostium jest śmiesznie skąpy, podobnie zresztą jak stroje innych dziewcząt, ale nie jestem idiotką, wiem, jak ważne jest dla nich zrobienie wrażenia; nie będąc idiotką jednak, mam też pojęcie, jak ważna jest wygoda i komfort, gdy człowiek chce się dobrze bawić. Uparłam się, żeby Emily spakowała legginsy i tenisówki z myślą o długim wieczorze. Tak się bowiem składa, że połączenie wysokich obcasów, obcisłego niewygodnego kostiumu, alkoholu i przejażdżek na diabelskim młynie to niemal pewny wypadek. Legginsy i tenisówki są purpurowe, komponują się więc z resztą stroju, lecz Emily i tak miała opory. Teraz leżą w torbie za barem – wiem, bo sprawdziłam. Prawda jest taka, że Emily chętniej odbierze telefon od Jake’a niż ode mnie (może na przykład pomyśleć, że tata dzwoni do niej w jakiejś sprawie dotyczącej przyjęcia).

Mój mąż uśmiecha się uprzejmie i wybiera jej numer. Razem słuchamy, jak telefon dzwoni i dzwoni.

Rozglądam się po parkiecie i wypatruję trzy dziewczyny, które przed przyjazdem tutaj przebierały się u nas w domu: Scarlett, Liv i Nellę. Tańczą z grupką chłopców, wijąc się jak węgore w wiaderku. Ci chłopcy chodzą chyba do nowej szkoły dzieci, ponieważ ich nie znam. Wszyscy są wysocy, przystojni. Noszą półdługie włosy, mają donośny śmiech i emanują taką pewnością siebie, jakby byli ucieleśnieniem stereotypu ucznia prywatnej szkoły. Zdaję sobie sprawę, że jeśli do nich podejść i zapytam o Emily, zepsuję im zabawę, ale naprawdę muszę się dowiedzieć, gdzie jest moja córka. Ogarnia mnie coraz większe podenerwowanie.

Przeciskam się między tańczącymi. Mimo że na parkiecie kłębi się tłum, jakimś cudem otwiera się dla mnie przejście. Na skórze dziewcząt perli się pot, makijaż im spływa, ale w dalszym ciągu wyglądają

prześlicznie, bo są młode i ewidentnie świetnie się bawią. Takie połączenie gwarantuje śliczny wygląd. Cieszę się ze względu na nie.

– Widziałyście Emily?! – wrzeszczę, żeby przekrzyczeć muzykę. Wymieniają spojrzenia, co mówi mi jasno, że ją widziały, ale nie są pewne, czy mogą mi powiedzieć. Natychmiast zalewa mnie ulga. – Nie jestem na nią zła. Po prostu zniknęła mi z oczu jakiś czas temu – dodaję, aby zachęcić je do mówienia.

– Zdaje się, że poszła z... – Liv nie kończy zdania, ponieważ Scarlett daje jej sójkę w bok.

To przynosi natychmiastowy efekt – Liv aż się zatacza, trudno jednak nazwać tę interwencję dyskretną.

– Z kim? – pytam stanowczo.

Liv robi się nerwowa. Spuszcza wzrok. Chłopcy parskają szyderczo i jeden po drugim odłączają się od grupy, po czym wtapiają się w tłum. Nie interesują ich dziewczyny, koło których kręcą się rodzice. Nella jest wyraźnie zawiedziona; na jej ładnej pulchnej twarzy maluje się coś bliskiego cierpieniu. Przyglądam się, jak dokonuje szybkiej kalkulacji. Nie chce zaprzepaścić swojej szansy z chłopcami, woli zakończyć tę rozmowę i pozbyć się mnie jak najszybciej.

– Pewnie jest gdzieś z Ridleyem – wyrzuca z siebie.

Z Ridleyem? Staram się zachować kamienną twarz.

– To oni znów ze sobą chodzą? – Mam nadzieję, że pytanie pada lekkim tonem, lżejszym niż moje serce w tej chwili.

Dziewczęta wzruszają ramionami i zostawiają mnie samą, by udać się w pościg za chłopcami, z którymi tańczyły i flirtowały. To dla nich znacznie ważniejsza sprawa niż miejsce pobytu Emily. Wracam do Jake'a i Logana. Ten drugi wygląda na zmęczonego, taki jest blady i niewyraźny. Proponuję, aby pojechał do domu.

– Jeden z ochroniarzy może cię odwieźć taksówką – mówię, ale syn posyła mi chmurne spojrzenie. Oczywiście chce zostać do końca imprezy. Mamy pozwolenie na głośną muzykę do pierwszej w nocy. Przypuszczam, że mając tyle cukru w krwiobiegu, zdoła dotrzeć do tego czasu. Daję mu spokój i zwracam się do Jake’a: – Przyjaciółki Emily uważają, że może być z Ridleyem. Chyba wrócili do siebie.

Jake kiwa głową.

– Najprawdopodobniej.

– Ale dlaczego? Dlaczego miałyby do niego wracać? – obruszam się, wciąż mając w pamięci bezczynność Ridleya, gdy Megan ze swoimi potworami tłukła Emily na kwaśne jabłko. Powinnam była zabronić mu obecności tutaj.

– Bo nadal go kocha – odpowiada Jake z westchnieniem.

– Nieprawda! – zaprzeczam energicznie, gdyż chcę, aby tak było. – Powiedziałyby mi... – Ale czy na pewno? Ostatnimi czasy Emily raczej mi się nie zwierzała. – Powiedziała tobie?

– Nie musiała. Znam swoją córkę.

Oskarżenie. Tak przynajmniej to odbieram. Kiedy do tego doszło? Kiedy Jake zaczął się lepiej ode mnie orientować w życiu Emily? Sprawdzam telefon, ale nadal nie mam żadnych nowych wiadomości. – A ta aplikacja... „gdzie jest twoje dziecko”? – Wszyscy mamy ją zainstalowaną na naszych komórkach. Nie zliczę, ile razy nam pomogła, gdy któreś z nas myślało, że zgubiło gdzieś aparat.

– Na tak małej powierzchni namiar nie będzie dokładny. – Jake upija spory łyk piwa i pozwala swojemu spojrzeniu zbłądzić na tańczących.

Mimo to próbuję. Świadomość, że Emily gdzieś tu jest, byłaby pocieszeniem. To znaczy gdzie indziej miałyby być? Oczywiście, że jest na łące! Tak czy inaczej wolałabym mieć pewność.

- Porażka. Wiem tylko, że ma wyłączony telefon.
- Pewnie padła jej bateria.
- Ładowała telefon tuż przed wyjściem.
- Ale od tego czasu zrobiła mnóstwo zdjęć i połowę zamieściła na Snapchacie. Żadna bateria tego nie wytrzyma.

Telefon jest nowiuteńki, z taką samą baterią, ale to nie przeszkadza mi uczepić się tej myśli. Prędko zaglądam na Instagram córki. Ostatni post wstawiła, kiedy jeszcze było jasno. Proszę Logana, aby sprawdził Snapchata, którego sama nie mam i nie pojmuję. Spełnia moją prośbę, podczas gdy stoję nad nim, patrząc mu na ręce.

- Nic nie ma – mówi.
- No to zwyczajnie wyłączyła telefon – stwierdza Jake.
- Prosiłam, żeby dzisiaj go nie wyłączała. – Mój niepokój narasta i umacnia się. Przeradza się w lęk, który umiejscawia się u podstawy czaszki i ciągnie mnie ku ziemi. Zataczam się lekko, wspieram o blat, przy którym stoimy. Ręce i nogi mi się trzęsą. Mózg nie nadąża za ciałem. Staram się oddychać głęboko.

– Nasza nastolatka ukrywa się przed nami – rzuca Jake z uśmiechem. – Nie jest to wiadomość dnia. Założę się, że wymknęła się gdzieś z nowymi przyjaciółmi. Pewnie po raz pierwszy próbuje marychy.

- I to cię nie martwi? – naskakuję na niego.
- Oczywiście, że mnie martwi. Mówię tylko, że cokolwiek Emily porabia, nie jest to nic na miarę armagedonu.

Jake zawsze był bardziej wyrozumiały w sprawach narkotyków niż ja. Postrzega je jako zło konieczne, coś, czego każdy musi spróbować. Ja uważam, że narkotyki są wstępem do armagedonu. Usiłuję nadać swojemu głosowi spokojne brzmienie, gdy pytam:

- Zatem też uważasz, że coś jest na rzeczy?

– Nie o to mi chodziło. Słuchaj, napij się. Spróbuj się dobrze bawić, Lexi.

– Nie jestem w stanie dobrze się bawić!

– Na tym polega jedna połowa problemu – wzdycha.

Chcę go zapytać, na czym polega druga. Chcę mu powiedzieć, na czym polega druga. Drzę pomimo duchoty panującej w namiocie. Gorąc wzmagają zdania, które wiszą w powietrzu między nami, na wpół uformowane. Zbyt zabójcze, by je wyartykułować.

– Powinniśmy zadzwonić do Ridleya i do wszystkich jej przyjaciół, starych i nowych. Mamy listę nazwisk z nowej klasy. Zaraz poszukam jej w telefonie. – Kiedy niezdarnie skroluję menu, by otworzyć książkę adresową, Jake nakrywa moją dłoń swoją.

– Weź głęboki oddech, Lexi. Emily jest gdzieś tutaj. Upiła się i zasnęła. Po co zaraz robić z igły widły? Co sobie o nas pomyślą rodzice jej nowych przyjaciół, jeśli zadzwonimy do nich z informacją, że zgubiła nam się córka? Dzwoniąc o tej porze, tylko wzbudzimy w nich niepokój o ich własne dzieci, z których połowa zdążyła już odjechać do domów przyjaciół. Powstałaby niepotrzebnie panika.

Wpatruję się w Jake'a nieprzychylnie, ale w duchu stwierdzam, że może mieć trochę racji. Zostawiam Logana pod opieką ojca w namiocie i wychodzę na zewnątrz, aby poszukać Emily. Powtarzam sobie, że prawdopodobnie nic się nie stało, lecz lata matkowania nauczyły mnie jednego: jeśli dziecko nie chce zostać znalezione, powinno się je znaleźć.

Prognoza pogody o dziwo się sprawdza. Temperatura spadła, zaczął padać deszcz, natrzęsając się z angielskiego optymizmu. Wiele osób porzuca atrakcje pod gołym niebem i szuka schronienia, inni uznają, że mają już dosyć, i zaczynają zapełniać taksówki. Niczym łosoś płynący

w górę strumienia podążam w mrok, przepatrując tłum i kładące się na
ziemi cienie w poszukiwaniu swojej córki.

35

LEXI

Emily! Emily! – Mój głos przecina ciemności nocy.

Odgłosy przyjęcia nikną w oddali, śmiechy, zgrzyt diabelskiego młyna, muzyka grana przez didżeja. Nie słyszę niczego poza biciem własnego serca. Wyteżam słuch, czekając, aż moja córka krzyknie w odpowiedzi.

Przewędrowałam całą łąkę, ale nigdzie nie ma po niej ani śladu. Pytam o Emily każdego napotkanego człowieka. Czy ją widział? Odpowiadają mi obojętne wzruszenia ramion i wymijające przeprosiny: nie, nikt jej nie widział. Większość ludzi chce się schronić przed deszczem. Mam wrażenie, że nie poświęcają mi należytej uwagi. „Była przebrana za Zendayę z *Króla rozrywki*”. Wzruszenie ramion. „To znaczy była w purpurowym kostiumie”. Szybko tracę cierpliwość do ludzi patrzących na mnie pustym wzrokiem, bez przejęcia. Kontynuuję poszukiwania. W pewnym momencie zaczynam biec. Nie mam takiej kondycji, jaką powinnam mieć. Zbyt wiele godzin spędziłam za biurkiem. Powietrze nie dociera do moich płuc ani z powrotem do nosa, pozostaje na wysokości gardła, przez co się duszę.

Oczami wyobraźni widzę Emily nieprzytomną, dławiącą się własnymi wymiocinami wywołanymi przez alkohol. Widzę ją zmarzniętą, przemokniętą, opuszczoną. Za każdą moją myślą, za każdym wysilonym

oddechem czai się mroczna ściana lasu niosąca zagrożenie, przytłaczająca. Skoro Emily nie ma nigdzie na terenie przyjęcia, muszę zagłębić się w las i tam jej szukać. Drzewa rosną gęsto, niektóre o szerokich pniach, wiekowe, inne bardziej podobne do krzewów, niskie i wiotkie, niewiele się różniące od podrostów. Splątane korony odcinają blask księżyca czy raczej tę jego część, której nie pochłonęły jeszcze chmury. Przedzieram się i potykam, zapewne zataczając koła, gdyż nie ma tu żadnych ścieżek, zresztą nawet gdyby były, nie wiedziałabym, jak daleko się zapaść ani w którą stronę. Jeżyny drą cienką tkaninę mojego kostiumu, tak że bardzo szybko mam podrapane całe nogi i ręce. Szkoda, że nie włożyłam dzinsów. Szkoda, że Emily nie leży zwinięta w kłębek pod którymś z rozłożystych drzew. Szkoda, że nie byliśmy razem przez cały wieczór. Szkoda, że w ogóle wyprawiliśmy to przyjęcie. Żałuję mnóstwa rzeczy; zadrapania to najmniejszy z moich problemów.

Korzystam z latarki w telefonie, ale nawet to nie pozwala mi zbyt wiele zobaczyć. Postanawiam, że muszę wrócić na łąkę i zaalarmować ochroniarzy. Pomogą mi w poszukiwaniach, trzeba je przeprowadzić systematycznie. Wracam biegiem do głównego namiotu. O tym, ile czasu upłynęło, świadczy panująca wokół mnie cisza. Muzyka umilkła, didżej najprawdopodobniej już się spakował i teraz mknie autostradą. Parkiet wygląda jak miejsce zbrodni – zasłany potłuczonymi kieliszkami i zaplamiony różnobarwnymi kałużami rozlanych drinków. Wszędzie walają się kartoniki po trzaskawkach i konfetti zmieszane z błotem. Przy zapalonym świetle miejsce, które tak niedawno wydawało się ekscytujące, nabrało odrażającego charakteru toalety publicznej. Nikt nawet nie próbuje nad tym zapanować. Obsługa jest zbyt wykończona, by choć wykrzesać uśmiech na mój widok. Wszyscy stoją podparci o najbliższy pionowy element, garbią się i chowają dłonie w rękawy, nie przestając ziewać;

ewidentnie ucieszeni, że sprzątanie zgodnie z ustaleniami odbędzie się nazajutrz, w świetle dnia. Gości przetrzebiło, w namiocie kręcą się same niedobitki. Jake z kimś rozmawia, nie poznaję z kim. Przy barze widzę Logana, który chyba śpi, siedząc na wysokim stołku i opierając się policzkiem o blat.

– Nie mogę jej znaleźć! – krzyczę. – Jake! Jake! Musimy poprosić o pomoc ochroniarzy. Musimy zawiadomić policję. Nigdzie nie mogę jej znaleźć...

Moje zachowanie przyciąga uwagę wszystkich. Obsługa wyrywa się ze stuporu i przybiera postawę świadcząca o gotowości, ciekawości lub panice. Nadwerżeni goście usiłują skupić na mnie błędny wzrok, spoglądając to z wyrazem niezrozumienia na twarzach, to znów z raczej upiornym zainteresowaniem gapiów chłonących obraz wypadku samochodowego.

Jake podchodzi do mnie w kilku zamaszystych krokach i kładąc mi dłoń w dole pleców, stanowczo kieruje mnie z dala od ludzi. W przeszłości traktowałam ten gest jako czuły i romantycznie zaborczy, teraz jednak odnoszę wrażenie, że chce mną w ten sposób manipulować. Dla niego priorytetem jest, aby nie doszło do sceny. Byle tylko nikt postronny się nie zdenerwował. Nieważne, co ja czuję.

Mam gdzieś innych ludzi! Chcę wiedzieć, gdzie jest moja córka!

– Wszędzie jej szukałam. Przepadła jak kamień w wodę.

– Pojawi się. – Jake uśmiecha się do mnie. Jeśli próbuje mi w ten sposób dodać otuchy, odnosi skutek odwrotny do zamierzonego. W moich oczach wydaje się arogancki i antypatyczny.

– Kiedy?

– Nie martw się.

– „Nie martw się”?!

Rozmawiamy urywkami zdań, które wybrzmiewają niczym wystrzały. Ostre, zabójcze. Jake bierze głęboki oddech. Macha na pożegnanie ostatnim gościom, mówi obsłudze, że to wszystko na dzisiaj. Dlaczego pozwala im odejść? Każdy człowiek to zwiększone szanse na znalezienie Emily. Czuję się wyczerpana, bezradna, całkiem jak dogorywający akumulator, nie mam nawet siły wydać przeciwstawnych poleceń. Niech Jake robi, co chce.

– Wiesz – mówi – moim zdaniem naprawdę nie ma się o co martwić. Założę się, że nasza pierwsza myśl była najlepsza. Założę się, że Emily jest z Ridleyem.

Rozpaczliwie pragnę, aby miał rację. Nie pogniewam się na nią. Ani trochę. Byle była z jakimś chłopcem, Ridleyem czy innym, jest mi to obojętne. Może być jeden z tych bogatych nadęciuchów, którzy pojawili się z wódką i wysokimi oczekiwaniami, albo z tych rozlazłych zaniedbańców z niechlujnymi włosami i trądzikiem. W tej chwili marzę, aby Emily dopuściła się tego rodzaju wykroczenia. Modłę się o to.

– Gdzie jest Ridley? – rzucam w przestrzeń do nikogo w szczególności. Mój głos rozbrzmiewa donośnie w pustym namiocie.

– Ktoś mnie szuka?

Odwracam się w miejscu i natychmiast go dostrzegam. Stoi ze zwieszoną głową, sprawiając wrażenie kogoś, kto wolałby się zapaść pod ziemię, niż znaleźć w świetle reflektorów.

– Widziałeś Emily? – Naskakuję na niego, a on powoli kręci głową. – W ogóle jej nie widziałeś? Przez cały wieczór?

– Trochę tak... Wcześniej... – odpowiada z wyraźną niechęcią.

– Kiedy? O której?

Chłopak ma szklane zaczerwienione oczy. Alkohol? Narkotyki? Płacz? Nic mnie to nie obchodzi. Chcę tylko odpowiedzi.

– Koło ósmej.

Ponad pięć godzin temu. Nadzieja, rozbudzona we mnie na chwilę, umiera błyskawicznie.

– O co chodzi? – pyta Jennifer.

Tak się skupiałam na przesłuchiwaniu Ridleya, że nie zwróciłam uwagi na rodziców stojących po obu jego bokach. Pomiędzy nimi wygląda na zaopiekowanego, chronionego. Tymczasem Emily zniknęła; nieodpowiedzialność Jake'a i moja nie mogłaby się bardziej rzucać w oczy. Choć nienawidzę Jennifer z całego serca, w tym momencie przypominam sobie, że zna moją córkę od urodzenia. Wspomnienia wirują mi w głowie, domagając się uwagi. Jennifer wiezie nas z zawrotną prędkością do szpitala, ponieważ Emily spadła z drzewa, na które wspinała się razem z Ridleyem i Megan. Jennifer przyrządza dla niejedzącej mięsa Emily osobny sos; nie znam wielu osób, które tak by się przejmowały. Jennifer przyszywa tarcze do szkolnych strojów moich dzieci, ponieważ ma maszynę do szycia i zajmuje jej to tylko chwilę, podczas gdy ja musiałabym się bawić ręcznie godzinami. Jennifer przywozi nam paracetamol, bo Emily i Logan mają gorączkę, Jake jest w delegacji, a ja nie mogę się ruszyć z domu. Jennifer nakłada Emily kapelusz, ilekroć widzi, że biega w ogrodzie po słońcu z odkrytą głową. Jennifer uczy Emily żeglować. Jennifer pozwala Jake'owi, aby ją pieprzył... Ale w tej chwili nie ma to dla mnie żadnego znaczenia. Liczy się tylko to, żeby znaleźć Emily, a moim zdaniem szanse na to są większe, jeśli zaangażujemy w poszukiwania inne osoby, które ją kochają. Dlatego odpowiadam:

– Emily zaginęła.

Jennifer wykrzywia twarz w grymasie przerażenia. Cieszy mnie, że patrzy na rzeczywistość realnie, tak jak ja.

– Ktoś ją porwał? – pyta.

Wstrzymuję oddech. Coś takiego nie przyszło mi nawet do głowy! Jak dotąd rozważałam wyłącznie skutki alkoholu, ewentualnie wypadek.

– Sądziś, że to możliwe?

– Cóż, jesteście tacy bogaci. Ktoś mógł ją porwać dla okupu.

Nogi się pode mną uginają. Zanim się przewrócę, ktoś – nie wiem nawet kto – podsuwa mi krzesło. Pozwalam się na nim usadzić.

– A ja uważam, że leży gdzieś nieprzytomna – odzywa się Jake.

Widzę, jak rysy Jennifer wygładzają się w poczuciu ulgi.

– Oby tak było – wtrąca Fred. – Nie wyobrażam sobie, żeby...

Ja też nie. Zbuntowana nastolatka, nadąsana nastolatka, spita jak bela nastolatka – biorę każdą w mgnieniu oka, bylebym nie miała do czynienia z nastolatką porwaną dla okupu. Lecz z jakiegoś powodu po moim ciele rozlewa się czarna rozpacz. Czuję, że Jake się myli.

– Tak, to musi być to – podchwytuje Jennifer. – Widziałam ją wcześniej, jak się nie oszczędza. To nie może być nic poważniejszego.

Nienawidzę Jennifer za to, że przy każdej okazji bierze stronę Jake'a, że teraz momentalnie przyjmuje za pewnik jego wersję zdarzeń, lekceważąc moje obawy, deprecjonując je. Ale nie mam się czemu dziwić: robienie facetowi laski przebija wkładanie dziecku kapelusza przeciwsłonecznego, gdy idzie o sojusze i zobowiązania. Jest mi niedobrze z niepokoju i naprawdę nie mam cierpliwości do żadnego z nich. Odkąd Jennifer wspomniała o porwaniu, szaleję ze strachu. Nawet wtedy, gdy szukałam Emily, wyobrażając ją sobie nieprzytomną, zmarzniętą i dławiącą się własnymi wymiocinami, nie do końca wierzyłam, że to może być prawda. Moja córka nie należy do dziewcząt, które by się doprowadziły do takiego stanu. Poszukałaby pomocy; nawet gdyby nie chciała się nam pokazać pijana, udałaby się do przyjaciół albo brata.

– Gdzie ona jest, Jake? – Mój mąż nie odpowiada ani nie wykonuje żadnego ruchu. Mam ochotę urwać mu głowę gołymi rękami. Dlaczego w ogóle się nie przejmuje? – Gdzie jest Emily? – Oczywiście nie może tego wiedzieć, tyle jest dla mnie jasne. Mimo wszystko spodziewam się po nim jakiejś odpowiedzi. Jakiegokolwiek! – Kto porwał nasze dziecko?

– Nie wiemy, czy ktoś ją porwał – mamrocze Jake z niecierpliwością w głosie, lekceważąc moje obawy. Najwyraźniej jest przekonany, że histeryzuję. Odwraca się do Ridleya. – Stary, wiem, że w swoim mniemaniu jesteś dobrym kumplem, bo ją chronisz, ale wcale tak nie jest. – Słyszając, jak Jake odzywa się do nastolatka, czuję zażenowanie. To niedopuszczalne na każdym poziomie, wygląda jednak na to, że mój mąż rozpaczliwie próbuje się wkraść w łaski chłopaka, wydając się bardziej spoko, niż jest w rzeczywistości. Zażenowanie przybiera na sile i zmienia się w pogardę, gdy uzmysławiam sobie, że chce się podliznąć nastolatkowi, który złamał serce jego córki. – Powiedz, gdzie ją znajdziemy, a wszyscy będziemy mogli pojechać do domu i położyć się spać. Gdzie jest Emily?

– Nie wiem.

– Właśnie że wiesz. Tylko nie chcesz nam powiedzieć – naciska Jake.

– Nie wiem – powtarza Ridley ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Wzdycham. Obawiam się, że to prawda, że Ridley nic nie wie. Obserwowałam go w pierwszych godzinach przyjęcia i z tego, co udało mi się zauważyć, w najmniejszym stopniu nie był zainteresowany Emily. Dreptała za nim jak wierny psiak, ale on chodził własnymi ścieżkami. Kiedy poszedł na diabelski młyn, Emily ruszyła za nim jak cień, dał więc nogę na dmuchany zamek, a gdy i tam dotarła, wybrał się do budek z jedzeniem. Wszędzie chodził z tą dziewczyną, z którą się pojawił. Wydawał się poświęcać jej całą swoją uwagę, o Emily zaś nie dbał. Przykro było mi na to patrzeć. Wściekałam się na Jake'a, że w ogóle zaprosił

chłopaka, pozwalając mu paradować przed Emily z nową sympatią czy kim tam dla niego była ta dziewczyna. Wierzę Ridleyowi, gdy mówi, że nie ma pojęcia, dokąd udała się Emily. Rzecz w tym, że pragnę usłyszeć coś przeciwnego. Narastająca we mnie rozpacz oznacza, że przybieram wrogą postawę. Pełną dezaprobaty.

Przyszpilam Ridleya wzrokiem, podczas gdy wszystkimi porami wylewa się ze mnie nienawiść.

– Synu, nic ci nie świta w głowie? – włącza się do rozmowy Fred. Używa jowialnego tonu. Już tacy z nas rodzice, co naczytali się książek o dorastaniu i dobrze wiedzą, że krzykiem nic się nie działo. Potraktowany ostrzej nastolatek zamyka się w sobie i nie ma szans nic z niego wydobyć. Lepiej więc stworzyć atmosferę zrozumienia i ufności. Chociaż ja mam w tym momencie chęć skoczyć Ridleyowi do gardła i zmusić go, aby wyrzucił z siebie kilka słów, które mogą pomóc.

– Nie jestem opiekunką do dziecka – mamrocze chłopak.

Ale ja nią jestem! Odpowiedź Ridleya działa na mnie jak policzek. W gruncie rzeczy jestem czymś znacznie więcej. Jej matką. Powinnam być tu przez cały czas. Pilnować córki. Troszczyć się o nią. Zamiast spędzać czas z Tomą.

Dokładnie w tej sekundzie wibruje mój telefon. Z powodu ostatnich myśli spodziewam się, że będzie to wiadomość od Tomy. Zerkam na wyświetlacz. I w pierwszym momencie nie rozumiem, na co patrzę. Po chwili jednak to do mnie dociera.

Zdjęcie Emily. Nie widzę całej jej twarzy, ponieważ oczy i usta ma zasłonięte taśmą izolacyjną, tak że tylko nos jest na wierzchu. Zgrabny, schludny zwykle nosek Emily wydaje się zasmarkany. Łzy, glutu. Ręce moja córka ma związane za plecami, nogi skrępowane w kostkach; długie żrebięce nogi całe w siniakach i skaleczeniach. W dalszym ciągu jest

ubrana w purpurowy strój Zendayi, który oblepia jej zmalretowane ciało. Na myśl o tym, jak jest bezbronna, drętwieję.

– Musimy zawiadomić policję – szepczę.

Ledwie te słowa opuszczają moje usta, przychodzi następna wiadomość. „ŻADNEJ POLICJI, INACZEJ ŹLE SKOŃCZY”. W załączniku znajduje się plik audio. Włączam jego odtwarzanie.

– Mamo, mamusiu, błagam... – szlocha Emily, zachłystuje się powietrzem. – Zrób, co mówią. Boję się, mam... Błagam... – Po ostatnim słowie rozlegają się jakieś odgłosy, jakby przepychanki, a potem zapada cisza.

Koniec nagrania.

36

EMILY

Nic nie widzę! A ponieważ nic nie widzę, wszystko, co słyszę i czuję – zmysłem powonienia i dotyku – wydaje mi się zwielokrotnione i przerażające. Czuję uchwyt męskiej dłoni na moim przedramieniu. Palce zaciskają się mocno. To boli! Czuję kwaśny oddech tego człowieka. Jestem jak skamieniała. Czuję obrzydzenie. Można by pomyśleć, że adrenalina zmusza mnie do walki, ale tak nie jest. Nic nie robię. Nie mogę nic zrobić, ociemniała i związana. Nie mam szans na ucieczkę. Nagle drugi mężczyzna łapie mnie za nogi. Nie mam najmniejszych szans. Wiem o tym. Niosą mnie we dwóch jak torbę z zakupami.

Czy mnie zabijają?

Zabijają mnie.

Dotyk rąk tego drugiego na moich gołych nogach naprawa mnie wstrętem, kulę się więc i zaczynam wić, ale im bardziej walczę, tym silniejszy staje się uścisk. Myśli mi się płaczą. Pod powiekami mam obraz Logana i Ridleya jako małych chłopców, dżgają gąsienice wykałaczkami bez żadnego powodu poza tym, aby z rozbawieniem się przyglądać, jak stworzonka usiłują uciec. Rzadko bywali tak okrutni, ale zdarzało im się, a ja cierpiałam razem z gąsienicami, ilekroć robili im krzywdę. Przecież

takie dźganie mogło je zranić, nawet zabić. A ja chciałam, żeby zostawili je w spokoju, pozwolili im się przeistoczyć w motyle. Czy prosiłam o tak wiele? Niech ta gąsienica ma szansę zostać motylem!

Wiotczeję, mimo iż każde włókienko mojego ciała pragnie walczyć; domyślam się, że ci mężczyźni też by chcieli, abym się wiła w ich rękach. Aby kostium mi się zadarł, odsłaniając uda i pupę. Aby mogli mnie pomacać po nagim ciele, przesiąkniętym wilgocią stroju, który ledwie co zakrywa. Rozmawiają ze sobą. W obcym języku, którego nie poznaję, przez co trudniej mi określić, ilu ich właściwie jest. Na pewno są ci dwaj, którzy mnie niosą, i jeszcze jeden, który tak jakby rozmawia przez telefon, a od czasu do czasu wykrzykuje polecenia do tamtych dwóch. To szef. Najgorszy z nich wszystkich.

Zabijają mnie.

Wrzucają mnie na tył furgonetki. Łąduję na jednym barku, boleśnie, cała jestem poobijana, ale ten ból nie przeraża mnie tak jak ból, który spodziewam się poczuć niebawem. Metalowe drzwi zatrząskują się za mną. Potem słyszę, jak moi oprawcy wsiadają do szoferki i odjeżdżają z piskiem opon.

Ponieważ jestem związana jak baleron, a z tyłu furgonetki wymontowano siedzenia, toczę się po podłodze na każdym zakręcie. Uderzam się w głowę, biodra, kolana. W końcu udaje mi się na tyle zorientować w przestrzeni, aby usiąść, po czym przesuwam się na tyłku i wbijam w róg wozu. Zaraz jednak przychodzi myśl, że skoro jestem w rogu, muszę być blisko albo drzwi, albo foteli, na których siedzą oprawcy. Rozważam, czyby się nie oprzeć o drzwi i jakoś ich nie otworzyć, po czym wypaść na zewnątrz, na drogę. Czy to dobry pomysł? Pewnie nie, zwłaszcza przy tej prędkości, ale tak naprawdę nie wiem. Mogłabym zginąć, jednak są rzeczy gorsze od śmierci. Mama ma inne zdanie na ten

temat. Uważa, że ze wszystkiego da się wyjść obronną ręką, lecz śmierć to definitywny koniec. Dlatego znów kładę się na wznak i pozwalam, żeby ruch furgonetki miotał mną to w jedną, to w drugą stronę.

Wyobrażam sobie, jak moi oprawcy śmieją się z moich zmagania, gdy pozbawiona zmysłu wzroku nie mam poczucia kierunku ani koordynacji. Na myśl o tych mężczyznach znów chce mi się wymiotować. Zapach starych wymiocin jeszcze nie wywietrzał, ale przynajmniej zwróciłam już cały alkohol. Nie czuję się pijana. A szkoda, bo może wtedy mniej bym się bała. Chociaż przerażenie wygrywa z adrenaliną. Żałuję, że nie mam na sobie więcej ubrania. Ten kostium nie pozostawia wiele wyobraźni... Co ze mną będzie? Co mi zrobią? Dlaczego nie przebrałam się w legginsy i tenisówki, które mama uparła się zabrać i schowała za barem? Chce mi się płakać. Wspomnienie mamy wywołuje łzy. Ryczę przez całą drogę, aż nie mogę złapać tchu. Mimo że nie mam zatkanego nosa, wydaje mi się, że zaraz się uduszę. Brakuje mi tlenu. Oddech mam płytki, wysilony.

Po jakimś czasie furgonetka nagle się zatrzymuje. Ktoś otwiera tylne drzwi i wyciąga mnie na zewnątrz. Tym razem niesie mnie jeden mężczyzna, przerzuciwszy sobie przez ramię. Wyczuwam, że jest potężniej zbudowany niż tata, a przy tym też wyższy. Deszcz dalej pada. Czuję zapach drzew i mokrej trawy, ale nie jest to świeża wiosenna woń. Okolica śmierci rozkładem. Kompostem.

Śmiercią.

37

LEXI

Zamieram na moment. Jeszcze nigdy, przenigdy nie czułam się tak zdruzgotana. Próbuję znaleźć numer, z którego przed chwilą przyszła wiadomość, ale oczywiście jest zastrzeżony – porywacze rzadko dzielą się swoimi danymi kontaktowymi.

Spoglądam na Jake’a, aby sprawdzić, czy on coś z tego rozumie. Czy jest w stanie coś w związku z tym zrobić. Co jednak miałyby zrobić? Mam takie uczucie, jakby wyrzucono mnie z pociągu jadącego z pełną prędkością. Co tu się właściwie dzieje? Wyraz twarzy Jake’a odzwierciedla moje uczucia: dezorientację, przerażenie. Zaczynam wybierać dziewiątki na klawiaturze telefonu. Zanim nacisnę trzecią z kolei, Jake wyrywa mi komórkę z dłoni.

- Co ty wyprawiasz? – pyta ze złością.
- Dzwonię na policję.
- Nie możemy zawiadomić policji, nie bądź głupia.

Rzucam się, aby odebrać mu telefon, ale on trzyma go wysoko nad głową. Gdy staję na palce, aby po niego sięgnąć, Jake zwinnym ruchem przekazuje komórkę Jennifer, która odbiera ją od niego i wręcza Fredowi. Ten kręci głową i nie spuszczaając ze mnie oka, chowa telefon do swojej kieszeni. Wpatruję się w niego zdegustowana. On także? Przeciwno mnie?

Po jednej stronie z tą dwójką? Coś mi mówi, że Fred nie ustąpi pod moimi namowami, zresztą nie mam czasu go przekonywać. Przenoszę spojrzenie na Jake'a – ojca Emily. Najwyższa pora, żeby przejrzał na oczy.

– Jake, musimy zawiadomić policję. To nie jest kwestia wyboru.

– Widziałaś wiadomość, kazano nam nic nie robić.

– Co innego miałyby powiedzieć porywacz? To przecież przestępca. Kryminalista! – Ostatnie słowo uderza mnie jako zbyt ogólne, wręcz śmieszne. Ci ludzie mogą być gwałcicielami, dręczycielami, mordercami. Nie, już lepiej pozostanę przy porywaczach. – Policja nam pomoże. Od tego jest.

– Nie możemy pozwolić, żeby policjanci zaczęli tu węszyć, skoro otrzymaliśmy jasne instrukcje.

– Węszyć? Jake, oni znajdą Emily. Na tym polega ich praca. Potrzebujemy ich pomocy.

Twarz Jake'a wykrzywia się w brzydkim grymasie.

– A co będzie, jeśli jej nie znajdą? Chyba słyszałaś, Lexi, że nie każdą zbrodnię spotyka kara. Policjanci są tylko ludźmi. Co będzie, jeśli po nich zadzwonimy, a im nie uda się jej znaleźć, za to porywacze się dowiedzą, co zrobiliśmy? Mogą skrzywdzić Emily. Tego właśnie chcesz?

– Nie, ale...

– Żadnej policji – ucina mój mąż lodowatym tonem. To brzmi jak rozkaz.

Wpatruję się w niego. Znam go od tak dawna, a jednak wydaje mi się obcym człowiekiem. Widzę te same ciemnobrązowe, niemal czarne włosy przyprószone odrobiną siwizny na skroniach. Rozpoznaję tę silną kwadratową dolną szczękę, którą porasta schludnie przycięta modna kozia bródka. Ale nie mam pojęcia, kto to jest. Minione pięć tygodni przyniosło wiele niespodzianek. Sposób jego zachowania po wygranej, romans – nie są

to rzeczy, jakich bym się po nim spodziewała, ale byłam w stanie je zaakceptować jako przynależne do rzeczywistego świata. Jednak to? Czuję się jak po uderzeniu prosto w splot słoneczny. Nie mogę oddychać. Gapię się więc tylko na tego nieznanego mężczyznę. To oczywiste, że musimy zawiadomić policję. Nie wolno nam spełniać poleceń porywaczy, bo to są porywacze, do kurwy nędzy! Przestępcy. Sprytni jak cholera. Żli jak cholera. Pełni strasznych pomysłów, jakie nam nie przyszłyby do głowy nawet w najgorszym koszmarze. Nasza córka znajduje się w potwornym niebezpieczeństwie. Nie ma właściwych słów, by to opisać. Nie ma żadnych granic nie do pokonania. Dlaczego Jake twierdzi, że nie możemy wezwać policji? W tej chwili, kiedy o tym myślę, Emily może się dziać okropna krzywda, a ja nie jestem w stanie temu zapobiec. Świdruję wzrokiem Freda, a później jego kieszeń, do której schował mój telefon.

– Bierzesz jego stronę? – pytam agresywnie. Fred unika mojego spojrzenia. Nie zdobywa się nawet na kiwnięcie głową. Wpycha tylko ręce głębiej do kieszeni, jakby chciał za wszelką cenę uchronić przede mną komórkę. – Ty tchórzliwy skurwysynu – mamroczę.

Nikt mi nie odpowiada. Zupełnie jakbym się nie odezwała.

– Zawieźmy Logana do domu. Tam się zastanowimy, co dalej – proponuje Jennifer. Co to wszystko, na miłość boską, ma wspólnego z nią?

Staram się robić dobrą minę do złej gry przez wzgląd na mojego syna. Spał, gdy przyszła wiadomość ze zdjęciem jego siostry, dlatego teraz w pierwszej chwili po obudzeniu pyta:

– Gdzie Emily?

– Spędzi tę noc u przyjaciółki – odpowiada Jake.

Pozwalam kłamstwu wybrzmieć. Nie jestem w stanie zdobyć się na to, aby powiedzieć Loganowi, co tak naprawdę się dzieje. Wpadłby w panikę. I co by nam to dało? Idziemy do samochodu w ponurym, złowróżbnym

milczeniu. Drzę na całym ciele tak silnie, że nieomal słyszę, jak grzechoczą moje narządy wewnętrzne; uważam za cud, że potrafię przebierać nogami i posuwać się do przodu. Bez wątpienia jestem w stanie szoku, lecz medycy nie idą mi z pomocą. Nikt nie obejmuje mnie ramieniem, nikt mi nie podaje gorącego słodkiego napoju, nikt nawet nie ściska mojej dłoni. Nie zawracają sobie tym głowy, bo pewnie wiedzą, że byłby to tylko gest, nic więcej. Pusty, bezużyteczny gest. Nic nie poprawi mi samopoczucia, dopóki moja córka jest Bóg wie gdzie i Bóg wie z kim. Dopóki nie mam pewności, że jest bezpieczna.

Jennifer, Fred i Ridley wsiadają z nami do samochodu. Przeraża mnie to. Nie chcę ich koło siebie, ale Jake zachowuje się tak, jakby uważał to za najnaturalniejszą rzecz pod słońcem, a to sprawia, że nie znajduję słów, aby się przeciwstawić. Nie będę tracić na nich energii.

W domu Logan maszeruje na górę, prosto do łóżka, mamrocząc coś pod nosem, abyśmy go nie budzili rano. Gdy jest w łazience, sprawdzam wszystkie okna w jego pokoju i upewniam się, że są pozamykane. Opatulam syna kołdrą, przypominając mu równocześnie o guziku alarmu koło łóżka. Logan jest zbyt śpiący, aby pytać, czemu właśnie teraz o tym wspomina. Zaraz po przeprowadzce, zaledwie kilka dni temu, żartowałyśmy z Emily, że to szaleństwo, by Logan miał pod ręką guzik alarmu – będzie z niego nieustannie korzystał, chcąc czegoś ode mnie. Innymi słowy, policja otrzyma wezwanie, ilekroć będzie mu się chciało pić.

Teraz przechodzi mi przez myśl, że mogłabym skorzystać z guzika sama. Policja by zareagowała. Byłoby to bardziej dramatyczne niż telefon na numer alarmowy, ale moja córka znajduje się w poważnym niebezpieczeństwie, sytuacja jest dramatyczna. Nie mogę zadzwonić na numer alarmowy. Moją komórkę w praktyce skonfiskowano, a ja czuję się jak więzień we własnym domu. Jakby na dowód Jake wspina się po

schodach i moment później pokazuje się w pokoju Logana, staje tuż za moimi plecami.

– Śpij dobrze, smyku – mówi.

To zrozumiałe, że chce sprawdzić, co u syna, po dniu takim jak dzisiejszy, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, ale jego niespodziewana obecność oznacza, że nie mogę skorzystać z guzika. Czyżby Jake też sobie o nim przypomniał? Czy faktycznie chciał życzyć Loganowi dobrej nocy, czy raczej mnie skontrolować? Powstrzymać przed wezwaniem pomocy, której – jestem o tym przekonana – potrzebujemy?

Gdy schodzimy na dół, Heathcote'owie stoją wokół stołu kuchennego. Choć trudno w to uwierzyć, spostrzegam, że Jennifer strzela oczami we wszystkie strony, ogarniając wzrokiem designerskie szafki, drogie blaty i olbrzymią supernowoczesną lodówkę. Widzę nawet, jak skrzydełka jej nosa nadymają się lekko, co świadczy o zazdrości. Jennifer zazdrości mnie? Kobiecie, której dziecko leży gdzieś związane i zakneblowane, porwane, zaginione, utracone? Naprawdę jej nie rozumiem. A zawsze w pierwszej kolejności staram się zrozumieć drugiego człowieka. Nie żebym się miała za szczególnie dobrą ani żebym ceniła empatię bardziej od kogokolwiek. Pragnienie, by zrozumieć drugą istotę ludzką, bierze się w moim przypadku z głębokiej potrzeby, jest niemalże instynktowne. Wiedza, do czego ktoś jest zdolny, zapewniłaby mi bezpieczeństwo, lecz życie pokazuje, że ludzie wymykają się wszelkiemu poznaniu, wszyscy co do jednego są wielką tajemnicą. Choć się uśmiechają, posyłają szklane spojrzenia. Całują, ale ranią. Mówią, że kochają, choć tak naprawdę nienawidzą.

– Gdzie ci ochroniarze, których zatrudniłeś? – pytam.

Jake zerka na zegarek.

– Skończyli na dzisiaj. Poszli do domu.

– Chcę, żeby ktoś pilnował naszych drzwi. Pokoju Logana. Na okrągło przez całą dobę.

– W tym domu nic nam nie grozi. Wiesz przecież. Poza tym musimy siedzieć cicho, tak jak nam kazali porywacze. Ochrona szybko by się zorientowała, że coś jest nie tak.

To, co mówi, rozwściecza mnie. Dlaczego jest taki wyważony i racjonalny w obliczu tego, co się dzieje? Posyłam mu nieprzychylnie spojrzenie, ale zaraz serce mi się ściska. Dostrzegam, że Jake wcale nie jest obojętny. Skórę ma powleczoną lśniąca warstwą na wpół przejrzystej mazi, która przywodzi mi na myśl widok obślizgłego mięsa w nasłonecznionym bufecie. Cały aż drży. Jest bardziej zestresowany i przerażony, niż kiedykolwiek go widziałam; po prostu mamy różne zdanie na temat tego, jak należy podejść do tej sprawy. To oczywiste, ostatnimi czasy w mało czym się zgadzamy. Problem polega jednak na tym, że Jake przywykł stawiać na swoim. Tyle że porwanie dziecka to coś zupełnie innego niż wybór samochodu, domu czy nawet szkoły. To kwestia życia i śmierci. Czy on naprawdę nie rozumie, że potrzebna nam wszelka pomoc, jaką jesteśmy w stanie załatwić?

– Jak tam, Fred? – Jake zwraca się do Heathcote’a.

Fred sięga do kieszeni i podaje mu komórkę. Jake sprawdza, czy nie przysłała nowa wiadomość.

– Musimy sprowadzić Emily do domu! – krzyczę z frustracji. – Potrzebna nam pomoc! Chcę, żebyś ściągnął tu ochroniarzy! – rzucam pierwsze, co mi przychodzi na myśl. – Niech wreszcie ktoś coś zrobi!

– Ci ochroniarze to bramkarze w uniformach. Niewiele poradzą w sytuacji takiej jak ta.

– Zatrudniając ich, mówiłeś co innego. Powiedziałaś... – Milknę. Jakie to ma teraz znaczenie? Jake nie postępuje konsekwentnie. Tyle już wiem.

– Może wstawię wodę na herbatę? – oferuje Fred. Nikt nie reaguje. – Albo na kawę?

Zaczyna gmerać przy ekspresie Krupsa. Nie czeka, aż złożymy zamówienia; doskonale wie, kto z nas jaką kawę pije, cappuccino, latte czy americano. Wszyscy to wiemy o sobie nawzajem – to i znacznie więcej.

Jake kładzie mój telefon pośrodku stołu. Sądzę, że jego zdaniem pogodziłam się z rozkazami, które wydał. Przypuszczam, że faktycznie tak jest. Przynajmniej na razie. Gdybym sięgnęła teraz po komórkę, momentalnie by mi ją odebrali. Wszyscy są przekonani, że wezwanie policji jest złym pomysłem; sama zaczynam wątpić, co jest dobrym rozwiązaniem. Może to oni mają rację? Może powinniśmy przestrzegać poleceń porywaczy? Nie wiem...

Siedząc przy stole, wpatrujemy się w milczącą komórkę. Czekamy, aż zawibruje albo zadzwoni. Musimy wyglądać idiotycznie w naszych kostiumach, przebrani za Pierrota, Harlequina, lwa, mocarza i chłopca udającego, że jest mocarzem. Ściągam nakrycie głowy, ale nie chce mi się iść na górę, żeby wziąć prysznic i włożyć na siebie coś innego. Co by było, gdyby porywacze w tym czasie zadzwonili?

Fred stawia przed nami kubki z kawą. Tylko on i Jennifer popijają napor małymi łyżkami, Fred do tego zjada parę herbatników. Jake i ja pozwalamy, by nasze napoje wystygły i pokryły się kożuszką. Na herbatniki nawet nie patrzymy. Telefon wciąż milczy. Jennifer pierwsza oznajmia, że chciałaby zdjąć kostium. Pyta, czy może pożyczyć ode mnie jakieś ciuchy. Potakuję, lecz nie idę z nią na piętro, aby znaleźć coś odpowiedniego; równie dobrze może przekopać garderobę sama. Nie obchodzi mnie, co jeszcze sobie przywłaszczy. Zresztą nie mogę opuścić posterunku przy telefonie.

Jennifer wraca po pół godzinie odświeżona, pachnąca, z twarzą jak nowa. Mężczyzna by nie powiedział, że jest umalowana, ale ja widzę, że nałożyła tusz do rzęs, róż, a nawet błyszczyk. W takiej chwili! Nie do wiary... Ubrała się w dzinsową spódnicę i obcisłą szmaragdową bluzkę. Wiem, że obie te rzeczy były wciąż w torbie zakupowej leżącej na podłodze sypialni. Nie powiesiłam ich w garderobie, ponieważ zostały kupione z myślą o Emily. Po prostu nie zdążyłam zanieść żadnej z tych rzeczy do jej pokoju. Pasują Jennifer, i to pod względem zarówno rozmiaru, jak i koloru.

Jake, Fred i Ridley także biorą prysznic i zmieniają ciuchy. Przychodzi kolej na mnie. Wszyscy twierdzą, że poczuje się lepiej, idąc za ich przykładem. Przed oczami staje mi Emily w skąym purpurowym kostiumie i kozakach na koturnie. Jej nikt nie proponuje prysznic, nie ma szans zmienić butów na tenisówki. Odmawiam odejścia od stołu.

– Lexi, daj spokój z tym męczennictwem. Twoja niewygodna w żaden sposób nie pomaga Emily – zauważa Jake.

Nie odpowiadam mu. Nienawidzę go za ten brak zrozumienia.

– Jak myślisz, skąd mają mój numer? – pytam.

– Nie wiem, Lexi. A komu go dajesz? – Mąż patrzy na mnie zimnym, wyzywającym wzrokiem.

Pąsowieję, sama nie wiem dlaczego.

– Różnym ludziom...

– Tym, którym pomagasz w pracy? – dopytuje Jennifer.

– Nie.

Toma jest jedyną osobą, której pomagałam poza godzinami pracy, i jemu faktycznie dałam swój numer telefonu. Ale nie mówię tego na głos. To nie jej sprawa. Nic z tego nie jest jej sprawą. Nie powinno jej tu w ogóle być.

– Myślisz, że to może mieć coś wspólnego z tymi desperatami, którzy włamali się do was i ukradli laptopa?

Nie opowiadałam jej o włamaniu ani o laptopie, przypuszczam więc, że Jake zrobił to za mnie. Co by wskazywało, że w dalszym ciągu się widują. Niekoniecznie muszą ze sobą wciąż sypiać, ale nie da się tego wykluczyć. Zapewne to robią. O dziwo, nie przeszkadza mi to. Nie obchodzi mnie, gdzie mój mąż wsadza kutasa; aż trudno mi uwierzyć, że mogłam kiedyś uważać jego zdradę za tragedię. To, że pieprzy się z inną kobietą, nie ma dla mnie teraz znaczenia. Chcę tylko, aby Emily wróciła do domu.

Zerkam na Ridleyę; całkiem o nim zapomniałam. Chyba nie powinien tu z nami siedzieć. Powinien być w łóżku i spać albo esemesować z przyjaciółmi i od nowa przeżywać atrakcje, których doświadczył podczas odlotowego przyjęcia – jak każdy normalny nastolatek. Nic jednak nie jest tak, jak powinno. W pewnym momencie zauważam, że Ridleyę płacze cicho. Łzy płyną mu po twarzy, zostawiając ślimaczy ślad smutku.

Nieomal sięgam do niego ręką i ściskam go za dłoń – w końcu to tylko chłopiec – ostatecznie jednak nie mogę się na to zdobyć. Ten chłopak zawiódł moją córkę, a teraz ona zniknęła. Tymczasem on siedzi tu z nami. Zwyczajna ludzka przyzwoitość jest mi nagle obca. Nienawidzę wszystkich siedzących przy tym stole za to, że są cali i bezpieczni. Bez zastanowienia zamieniłabym się na miejsca z Emily. No ale Ridleyę płacze, a moja córka chciałaby, abym go pocieszyła. Zmuszam się do ludzkiego odruchu – sięgam nad stołem i klepię młodego Heathcote’a po ramieniu. Wzdryga się i odsuwa ode mnie.

– Powinieneś się trochę przespać, Ridleyę. Możesz zająć któryś z pokoi gościnnych. Zdaje się, że we wszystkich jest pościel.

Chłopak potrząsa głową.

– I tak bym nie zasnął. Wolę być tutaj.

Kiwnięciem głowy przyjmuję jego decyzję do wiadomości. Raz po raz zerkam to na zegar ścienny, to na swój zegarek. Pokazują tę samą godzinę. Czas mija. Emily była ostatnio widziana około wpół do dziewiątej. Teraz jest trzecia nad ranem. Choć tego nie chcę, moje myśli zaczynają wędrować mrocznymi, niepokojącymi ścieżkami.

Wygrana w lotto.

Trzy słowa, które zmieniły moje życie.

Emily została porwana.

Inne trzy słowa – te z kolei z krainy szczęścia wepchnęły mnie w bezdenną otchłań rozpacz. W jednej chwili stała przede mną, pełna nadziei, nadąsana, wspaniała i gniewna. W drugiej już jej nie było. Ciekawe, że dobra wiadomość – ta o wygranej – nie dotarła do mnie od razu; potrzebowała czasu, aby przebić się do mojej świadomości. Ale ten koszmar stał się rzeczywistością w okamgnieniu. Tak jakbym go wyczekiwała. Pragnę, aby tu ze mną była, rozzłoszczona moją nadopiekuńczością i moim przekonaniem o własnej słuszności. Niechby nawet mnie nienawidziła za zepsucie jej zabawy.

Powinnam była wiedzieć, że przyjdzie nam zapłacić. Właściwie wiedziałam to od początku. I byłam gotowa zapłacić w każdy inny sposób. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie czułam się tak samotna. Chcę działać, chcę sprowadzić Emily do domu. Chcę być na zewnątrz, brać udział w poszukiwaniach. Nie mogę tylko siedzieć i czekać; czekać, żeby zobaczyć, jak to się skończy.

Idę po laptopa Logana i zaczynam szukać w internecie informacji o porwaniach – jakie są statystyki i typowe procedury. Momentalnie wiem, że popełniłam błąd. Jak zawsze w internecie, i w tym temacie króluje histeria i okrucieństwo, otwiera się przede mną jeden czarny scenariusz po drugim. Staram się jak najmniej klikać, żeby się nie zapuścić w labirynt

rozpaczy i strachu, ale chwilami nie potrafię się powstrzymać. Oglądając filmiki z monitoringu pokazujące zakapturzonych mężczyzn wsiadających do furgonetek i odjeżdżających w siną dal, czuję, jak robi mi się coraz bardziej niedobrze. Kamienieję na widok zdjęć uśmiechniętych dziewcząt, nigdy nieodnalezionych, skazanych na wieczność w szkolnym mundurku, bez szans na to, by dorosnąć, zestarzeć się, przeżyć swoje życie. Otepiała patrzę na fotografie załamanych rodziców – na konferencjach prasowych, na cmentarzach. Przebiegam wzrokiem nagłówki, ale jestem zbyt tchórzem, aby się zatrzymać i przeczytać któryś artykuł w całości. Zresztą słowa rozmazują mi się przed oczami, a litery wędrują po ekranie niczym mrówki po kocu piknikowym i ani na moment nie przystają. Wyraz „porywacz” często występuje w towarzystwie „nastolatki” i „mordercy”. Definicja z Wikipedii – przestępstwo polegające na bezprawnym pozbawieniu człowieka wolności, wiążące się z przetransportowaniem ofiary w inne miejsce i uwięzieniem tam wbrew jej woli – sprawia, że żołądek mi się kurczy, jakby ktoś wyrznął mnie pięścią w brzuch. Przetransportowaniem dokąd? Uwięzieniem gdzie?

Dowiaduję się, że dla powodzenia akcji ratunkowej kluczowe są pierwsze godziny po porwaniu. I znów dopadają mnie wątpliwości, czy decyzja Jake’a, aby nie angażować policji, jest słuszna. Mimo to nie podważam jego woli. Nie ufam nikomu, nawet samej sobie. Gdyby porywacze skrzywdzili Emili, dlatego że skontaktowałam się z policją, nigdy bym sobie tego nie wybaczyła. Jak mogłabym żyć z taką świadomością? Wkrótce na pewno przyjdzie kolejna wiadomość. Porywacze zażądają pieniędzy. Możemy im zapłacić. To akurat możemy zrobić. Wpisuję w wyszukiwarkę hasło „okup”. Niemądry nawyk współczesnego człowieka. Kiedy cokolwiek jest nie tak – dziecko dostało wysypki, nie chce dać się odstawić od piersi, ma problemy ze snem –

zwracamy się do internetu po pomoc. Gdy czegoś nie wiemy – jaki rejon obejmuje swoim zasięgiem dana szkoła, jakie są terminy szczepień, kiedy przypadają zniżki w odzieżowej sieciówce – zwracamy się do internetu po informacje.

A jeśli ktoś zaginie? Co wtedy?

Zagłębiam się w internet. Mam nadzieję, że znajdę rady, jak się zachować w tej niewyobrażalnej sytuacji, ponieważ nie mam pojęcia, co mogłabym zrobić, czuję się zdana tylko na siebie. Może dotyczy to nas wszystkich; unosimy się w mrocznej przestrzeni, a wokół nas znajdują się tylko zapisane w kodzie zerojedynekowym podpowiedzi. Piksele na ekranie umieszczone tam przez kompletnie obcych ludzi. Chcę porozmawiać z mężem, ale nie mam słów. Chcę porozmawiać z przyjaciółmi, ale nie mam przyjaciół.

Moje poszukiwania odnoszą jednak pewien skutek. Zdumiewa mnie, że widzę głównie reklamy firm, które ubezpieczają przed porwaniem czy też przed wypłatą okupu. Ogarnia mnie dziwna, niezdrowa ulga, że nasz przypadek nie jest odosobniony, a zarazem też przerażenie, że ktoś chce zarabiać na nieszczęściu innych. I że porwania i wymuszenia zdarzają się na tyle często, że są chętni, aby się przed tymi zdarzeniami ubezpieczać. Sama mam ubezpieczenie od nieszczęśliwych wypadków, od zgubienia bagażu przez linie lotnicze. Powinnam była się zorientować, że nasza sytuacja uległa zmianie. Powinnam była chronić Emily za wszelką cenę.

– Jake, wiesz, że są firmy ubezpieczeniowe, które wypłacają równowartość przekazanego porywaczom okupu? – wołam w stronę stołu, przy którym nadal siedzi z Heathcote'ami.

– Na to jest trochę za późno – odkrzykuje zgryźliwie.

– Nie, nie chodziło mi o to, że potrzebujemy takiego ubezpieczenia – mówię z niecierpliwością w głosie. – Bynajmniej. Pomyślałam raczej, że

skoro to jest biznes... – Prędko wpisuję dalsze słowa do okienka wyszukiwarki. – Spójrz na to!

Jake płynnie podchodzi do miejsca, w którym przycupnęłam z laptopem syna, i nachyla się nade mną, aby przeczytać to, co pokazuję mu na ekranie. Przez moment czuję dawną bliskość, która łączyła nas przez tyle lat. Wstępuje we mnie nowa nadzieja. Może jednak przejdziemy przez to razem. Może jednak wyjdziemy z tego obronną ręką. Nagle obok nas wyrasta Jennifer z Fredem, robi się tłoczno, poczucie intymności znika. Kontynuuję więc:

– Są też firmy, które zajmują się odzyskiwaniem porwanych dzieci, zapewniają ich bezpieczny powrót do domu.

Tak, są tego typu specjaliści. Dlaczego nie domyśliłam się tego wcześniej? Przecież nie brak specjalistów od wszystkiego, są księgowi, prawnicy, floryści, wizażyści, organizatorzy przyjęć... W trakcie przygotowań do imprezy usłyszałam nawet o specjalistach od humusu, od robienia figurek z balonów, od dodawania jadalnej pozłoty do galaretek. Rozumie się samo przez się, że istnieją również eksperci od uwalniania dzieci z rąk porywaczy. To tylko kwestia pieniędzy. A tych nam nie brakuje.

– Musimy się z nimi skontaktować! – Klikam w link, ale Jake znowu mnie powstrzymuje.

– Czekaj. Nie rób niczego pochopnie. Najpierw trzeba przeświecić te strony. Skąd mamy wiedzieć, czy tym ludziom można ufać? Równie dobrze to mogą być jacyś oszuści.

– Nie wiemy, czy są godni zaufania, ale że nasza córka leży gdzieś związana i zakneblowana, powinniśmy wreszcie wykonać jakiś ruch!

– Pozwólcie, że przeprowadzę małe śledztwo – proponuje Jennifer.

W normalnych okolicznościach byłaby to sensowna sugestia: przed zatrudnieniem kogokolwiek trzeba zrobić rozeznanie. Mimo to mam ochotę

udusić Jennifer. Tej nocy nie ma mowy o normalnych okolicznościach. Moja dawna przyjaciółka siedzi tuż obok mnie z dłonią zawieszoną nad ręką, którą trzymam myszkę. Uświadamiam sobie, że Jennifer czeka, aż oddam jej kontrolę nad laptopem. Nie jestem pewna, czy chcę to zrobić. Nie mam kontroli nad niczym więcej, pragnę więc zachować choć ten jej skrawek. Kładąc mi dłonie na ramionach, Jake delikatnie wymusza na mnie, abym się podniosła, po czym odprowadza mnie do kuchni i tam sadza na krześle przy stole. Gdy bezwiednie się opieram, nacisk jego dłoni zwiększa się zauważalnie. Dopiero jak już siedzę, zostawia mnie w spokoju. W tej samej chwili zrywam się na nogi.

– Nie mogę siedzieć beczynnie!

Wypadam do holu. Wszyscy biegną za mną spojrzeniem. Wydają się zatroskani i lekko wkurzeni. Patrzą na mnie tak, jakbym zwariowała, ale to oni są szaleni. Jak mogą spokojnie siedzieć, godzić się z tym, czekać?

– Dokąd się wybierasz? – rzuca Jake.

– Nie wiem, ale nie zniosę tej beczynności. Przeczeszę jeszcze raz teren przyjęcia. Muszę ją znaleźć.

– Pójdę z tobą – ofiarowuje się Fred.

Kiwam głową z wdzięcznością, gotowa zawrzeć z nim rozejm, mimo że wziął stronę tamtych dwojga i odebrał mi telefon. Nie ma tłumu chętnych do pomocy, muszę się zadowolić tym, co jest dostępne. Zdaję sobie sprawę, że propozycja powinna wyjść od Jake'a. To mąż powinien mi towarzyszyć w poszukiwaniach naszej córki.

Tymczasem on mówi tylko:

– Nie sądzę, aby to coś dało. Jeśli mamy do czynienia z zawodowcami... a wszystko wskazuje, że tak właśnie jest... mało prawdopodobne, aby zostawili wielką strzałkę wskazującą kierunek, w którym się udali.

– Musimy coś wreszcie zrobić! – podnoszę głos.

W tym samym momencie dzwoni moja komórka. Wszyscy podbiegamy do stołu w kuchni, ale ja jestem najbardziej zdeterminowana. Chwytam gorliwie aparat i rzucam do mikrofonu:

– Halo!

– Dzwoniłaś na policję? – Głosu nie sposób rozpoznać. Ktokolwiek znajduje się po drugiej stronie, mówi jak robot. Pamiętam z jakiegoś filmu, że są specjalne urządzenia, które domontowane do słuchawki zmieniają głos na mechaniczny. Mogę rozmawiać równie dobrze z kobietą, jak i z mężczyzną, z kimś mówiącym staranną angielszczyzną albo z zagranicznym akcentem – nie da się tego stwierdzić. W duchu przeklinam osobę, która w swej przemyślności i niechęci do rodzaju ludzkiego wynalazła takie ustrojstwo.

– Nie.

– I dobrze. Bo gdybyś zadzwoniła... – Niewypowiedziana groźba nie jest przez to ani trochę mniej przerażająca. Wolę nie wiedzieć, co by się stało, gdybym jednak powiadomiła policję. Potrafię to sobie wyobrazić, ale w tle i tak, jakby dla podkreślenia, rozlega się krzyk Emili. Moja córka wrzeszczy z bólu. Swoim głosem. Nie mam pojęcia, co sprowokowało ją do krzyku. Uderzenie? Kopnięcie? Szarpnięcie za włosy? Coś gorszego? Zaczynam płakać. Jake niecierpliwie daje mi sygnały, abym przekazała mu telefon, lecz go nie słucham. Oddalam się od niego jeszcze o krok, zadowolona, że dzieli nas szeroki stół. Że mąż nie może mi znów wyrwać aparatu z ręki. – Chcemy dziesięć milionów – słyszę.

– Zgoda. – Nawet nie myślę o tym, aby się targować. Oddałabym im całą wygraną co do pensa i wszystko, co kiedykolwiek zarobiłam wcześniej. Zrobiłabym to.

– Przelew bankowy. Prześlemy numer konta. Jak już dostaniemy pieniądze, powiemy, gdzie ją znaleźć.

– Dobrze.

Połączenie zostaje przerwane.

38

EMILY

Nie wiem, jak długo tu jestem. Strach i dezorientacja nie pozwalają mi odliczać czasu. Chciałabym zasnąć, spędzić ileś godzin nieświadoma tego, co się dzieje, wolna od przerażenia, którego nie da się opisać słowami. Ale nie umiem spać. Robię, co w mojej mocy, aby zachować spokój. Mama i tata tego by ode mnie chcieli. Gdyby tu ze mną byli, powiedzieliby, że wszystko dobrze się skończy. Powiedzieliby, że jestem dzielna i silna i że niedługo będzie po wszystkim. Od mamy usłyszałabym: „Emily, nie myśl o bólu, nie wyczekuj go, bo tylko pogarszasz sprawę. Staraj się myśleć o czymś innym”. Przynajmniej to zawsze słyszałam przed zastrzykiem czy wizytą u dentysty. Czy to nie śmieszne, że kiedyś bałam się takich rzeczy? Teraz już wiem, że ani dentysta, ani zastrzyki nie są wcale straszne. Nic a nic. Wiem też, że moja sytuacja wcale nie jest śmieszna i że niekoniecznie wszystko musi się dobrze skończyć.

Szkoda, że nie ma ze mną mamy ani taty.

Gdzie są? Na pewno po mnie przyjdą. Tego jestem pewna. Tej myśli się trzymam. Przyjdą po mnie już niedługo. Zawiadomili policję i właśnie trwają zakrojone na szeroką skalę poszukiwania. Mama się uprze, żeby helikoptery z silnymi reflektorami przeczesywały ciemności, a tata

z innymi ludźmi będzie zaglądał pod każdy kamień. Wszyscy będą mnie szukać, każdy, kto był na przyjęciu. Mamy przecież przyjaciół, mamy pieniądze. Muszą mnie znaleźć. Nasłuchuję odgłosów helikoptera albo głosu taty wołającego moje imię. Nadaremno.

Wydaje mi się, że jestem w stodole czy w jakimś budynku gospodarskim. Ziemia pod nogami jest nierówna, nie wyłożona płytkami ani deskami, przypomina raczej klepisko, ale nie mam pewności, bo ciągle kręci mi się w głowie. Przez alkohol, szok, odwodnienie, stary dobry strach. Wszystko to razem wywołuje u mnie dezorientację. Siedzę na twardym plastikowym krześle, z rękami skrępowanymi za plecami i przywiązanymi do oparcia, z szeroko rozstawionymi stopami przymocowanymi do przednich nóg krzesła. Gruby sznur rani moje nadgarstki. Jest mi przeraźliwie zimno, palce u stóp mam zlodowaciałe, język wyschnięty na wiór. Przed tym, jak zostawili mnie samą, zerwali mi taśmę z ust.

– Nie krzycz. I tak nikt cię nie usłyszy. Jeśli zaczniesz krzyczeć, stłukę cię, słyszysz? Zrobię ci krzywdę.

Pokiwałam głową, że rozumiem. Bo rozumiałam. Ale i tak myślałam, że ledwie mnie odkneblują, zacznę wrzeszczeć. Okazało się jednak, że zrywanie taśmy jest koszmarnie bolesne. Byłam w takim szoku, że oniemiałam. A potem ktoś nagle przytknął mi do ust plastikową butelkę z wodą. Wolałam się napić, niż krzyczeć. Nie chodziło o zwykły wybór, chodziło o przeżycie. Instynktownie łykałam całe hausty, żałując, że część wody spływa mi po brodzie i szyi. Butelka zniknęła równie szybko, jak się pojawiła – zanim porządnie ugasiłam pragnienie.

– Teraz nagraj wiadomość dla swojej matki – poinstruował mnie mężczyzna z ciężkim wschodnioeuropejskim akcentem.

– Mamo, mamusiu, błagam... Zrób, co mówią. Boję się, mamo... Błagam...

Nie zdążyłam powiedzieć nic więcej, bo znów mnie zakneblowali, tym razem apaszką. Przez cienki materiał oddycha mi się lepiej niż przez taśmę, ale mam nienaturalnie wygięte wargi, apaszka wrzyna się w i tak popękane kąciaki. Boję się, że leci mi krew.

Od tamtej pory nikt do mnie nie przyszedł. Minęła może godzina, może pięć godzin. Nie wiem. Straciłam rachubę czasu. Sporadycznie dolatują mnie odgłosy rozmowy toczonej przez trzech mężczyzn. Używają niewielu słów. Chyba na coś czekają. Domyślam się, że jeden z nich gra w grę na komórce, bo regularnie wydaje okrzyki radości, na co pozostali dwaj wybuchają śmiechem.

Oni się bawią. Ja się trzęsę, cała posiniaczona, skrępowana.

Staram się nie wpadać w panikę ani – no wiecie – w rozpacz. Chyba zaczynam rozumieć, co znaczy to słowo, kiedy tak się przed nim bronię. Kiedy miałyśmy z Megan po trzynaście lat, „rozpacz” nie schodziła z naszych ust. „Co za rozpacz!” – mówiłam, gdy rozmazała sobie kreskę do powiek czy coś. Obowiązkowo parskałyśmy potem śmiechem. Ale teraz już wiem, czym naprawdę jest rozpacz.

Co będzie, jeśli rodzice mnie nie znajdą? Co będzie, jeśli ci przestępcy zamierzają mnie zgwałcić i zabić? Bo to właśnie robią przestępcy, nie? Drzę tak silnie, że krzesło telepie się razem ze mną. Nie wiem, czy to z powodu zimna, czy strachu. Jedno i drugie przenika moje ciało, zaciskając pięść na kolejnych narządach. Sznur na nadgarstkach i kostkach wpija się boleśnie, kalecząc skórę.

Nie. Przestań. Nie myśl tak.

Grają w gry, a więc mają ludzkie instynkty, prawda?

Chyba że są psychopatami. Wtedy mogliby najpierw grać, a potem gwałcić i mordować. Sądzę, że najprawdopodobniej porwali mnie dla okupu. Gdyby mieli mnie zgwałcić, dawno by to zrobili. Tymczasem oni

wyraźnie na coś czekają. Na wiadomość od szefa? Informację o punkcie kontaktowym? Pozwalam sobie na błysk nadziei; skoro chcą dostać za mnie pieniądze, nie zrobią mi krzywdy.

Znienacka słyszę jakiś hałas. Idą po mnie. Wszyscy trzej. Rozwiązują mnie. Powinnam rzucić się do ucieczki, walczyć, kopać, ale ciarki bądź sztywne stawy powstrzymują mnie przed działaniem. Padam na ziemię jak worek ziemniaków. Nienawidzę swojego ciała za to, że jest słabsze niż mój umysł. Zaczynam płakać. Nie, nie, nie. Jeden z mężczyzn podnosi mnie, jakbym była lalką, i rzuca mną. Padam na materac, a właściwie na ziemię, bo materac jest cienki, z tych najtańszych, zderzam się więc z gruntem. Och nie, tylko nie to. Nie. Proszę...

Mężczyzna chwyta mnie za prawą rękę i przywiązuje do czegoś solidnego. Szarpię się, ale nic to nie daje. Nie mogę nawet usiąść. Mogę tylko leżeć na materacu. Wiercę się i rzucam, chcąc się odsunąć jak najdalej, ale nie wiem, w którą stronę, nie mam pojęcia, gdzie się czają. Na razie żaden mnie nie dotyka. Tylko mi się przyglądają, tak myślę. Sprawdzają, czy więzy nie puszczą i czy na pewno im nie ucieknę. Uświadamiam sobie, że oddaję mocz. Próbuję zapanować nad zwieraczem i powstrzymać strugę, ale nie udaje mi się to. Najpierw czuję wilgoć na udzie, później rozlewające się w dolnych rejonach ciepło i wreszcie woń amoniaku.

– Szczyj, szczyj! – krzyczy jeden z mężczyzn. W jego głosie słyszę obrzydzenie. Pozostali dwaj milczą.

Płaczę, ale łzy nie ciekną mi po policzkach, taśma jest zbyt ciasna. Boję się, że oślepnę. Boję się, że się uduszę. Umrę we własnych sikach, choć może to najlepsze, na co mogę liczyć: że umrę już teraz.

Któryś kopie mnie w brzuch. Wrzeszczę i podciągam kolana, żeby chronić moje dziecko.

39

LEXI

Strach nacieka kropla po kropli. Kap, kap. Zegar tyka – tik, tak – popychając czas do przodu. Mijają kolejne godziny. Teraz strachu jest już tyle, że możemy w nim pływać. Nikt nie proponuje, aby przebrać się w piżamy, umyć zęby i pójść spać. Cieszy mnie to, gdyż tak automatyczne, znajome i zwyczajne czynności byłyby swojego rodzaju zdradą. Ridley, Jennifer i Fred drzemią w pozycji siedzącej na krzesłach. Za każdym razem budzą się gwałtownie, zawstydzeni, że ich słabe ciała nie przemogły zmęczenia i poddały się potrzebie snu. Przecierając oczy, pytają niewyraźnie, czy coś się zmieniło. Nic się nie zmienia. Zасыpiają więc znowu. Nie mogę ich za to winić. Zresztą nawet gdyby byli przez cały czas przytomni, w niczym by nie pomogli, a tak przynajmniej Jennifer nie chodzi za Jakiem jak cień, nie udaje troski, nie klepie go pokrzepiająco po plecach, nie ściska za ramię. Presja, pod którą się znajduję, nie pozwala mi ocenić, jak długo jeszcze zdołam przymykać oko na to, że na każdym kroku stara się umocnić z nim więź, zaznaczyć swoją pozycję. Czy ona zawsze taka była? Jak mogłam nie zwrócić na to uwagi wcześniej?

Żadne z nas – ani Jake, ani ja – nawet nie zmrużamy oka. Sama idea snu jest dla mnie nie do zniesienia, mijanie nocy i wstawanie nowego dnia, tak naprawdę bowiem chcę zatrzymać czas. A jeszcze lepiej – cofnąć go. Pragnę, aby Emily znalazła się w domu teraz, natychmiast. Nikogo jednak

nie obchodzi, czego ja chcę. Pewnych rzeczy nie da się zmienić. Zatem czas wlecze się do przodu, robi się coraz później – czy też wcześniej – a ja z każdą minutą oddalam się bardziej i bardziej od chwili, w której widziałam córkę po raz ostatni.

Wtedy i teraz. A między nimi przepaść, której nie da się połączyć żadnym mostem. Wtedy – gdy Emily była pod moją opieką, gdy miałam przed sobą wybory i szanse. Teraz – istne piekło.

Nie podnosimy się od stołu. Odbywamy pokutę za to, jakimi rodzicami jesteśmy – z rodzaju tych, którzy gubią własne dziecko na przyjęciu. Wodzimy wzrokiem po suficie, blacie, ścianach – wszędzie, byle nie patrzeć na siebie nawzajem. Gdybym na niego spojrzała, co bym zobaczyła? Strach, bez wątpienia, ale co jeszcze? Żal? Oskarżenie? Jake gwałtownie przeciera oczy obiema poduszkami kciuka, całkiem jakby chciał je sobie wcisnąć do środka. Milczenie wisi nad nami niczym chmura gradowa, sina i ciężka. Złowróżbna.

W końcu postanawiam przerwać ten impas. Może chcę w końcu usłyszeć grzmot.

- Żałuję, że wygraliśmy te pieniądze.
- Nie zmienisz tego.
- Popatrz, dokąd nas to zaprowadziło.
- Wszystko będzie dobrze.
- Nie możesz tego wiedzieć na pewno.

Jake wstaje i zdecydowanie rusza w moją stronę. Przez jeden szalony moment myślę, że mnie uderzy. Nie ma to sensu, ponieważ nigdy nie skrzywdził mnie fizycznie. Nie dziwię się więc, gdy wyciąga ramiona, oplata mnie nimi i przyciąga do siebie. Ale ten gest nie przynosi mi ukojenia. Tylko podkreśla, że mój mąż nie dotknął mnie, odkąd się dowiedzieliśmy, że Emily została porwana. Wdycham woń potu i strachu,

woń ludzkiej słabości. Mogłabym się wtulić w jego szyję, poddać jego ciepłu, pozwolić na to, by mnie pokrzepił. Ale nie przestaję myśleć o Emily. Gdziekolwiek się teraz znajduje, nie ma przy sobie nikogo, kto by ją ogrzał czy pocieszył. Znajdowanie otuchy w ramionach Jake'a jest zdradą z mojej strony. Odrywam się więc od niego.

Znowu siedzimy w ciszy. Niezdolni wydusić z siebie ani słowa. W pewnym momencie rzucam:

– Pójdę sprawdzić, co u Logana.

Przekradam się na górę i zaglądam do pokoju syna, aby się upewnić, że przynajmniej on leży bezpieczny w łóżku. Śpi jak niemowlę. Później przechodzę do pokoju Emily. To szaleństwo, wiem, ale przekraczając próg, jakąś częścią siebie widzę ją w łóżku pod nową, śnieżnobiałą, markową pościelą, czekającą, by porozmawiać o przyjęciu i kostiumach (czyj był najlepszy? czyj najgorszy?), poplotkować o gościach (kto za dużo wypił? kto z kim zatańczył?). Chociaż ja nie znam odpowiedzi na większość z tych pytań, bo sama byłam na imprezie pożegnalnej Tomy. Nie tam, gdzie powinnam. Zostawiłam rodzinę samą, zamiast się o nią troszczyć. Fala zalewającego mnie wstydu jest tak silna, że nieomal strąca mnie z nóg, kiedy wiodę spojrzeniem po dziewczęńskim bałaganie; wszędzie walają się porzucone ubrania, kolorowe czasopisma, akcesoria do makijażu. Kable suszarki i lokówki wiją się splątane na podłodze. Pokój wygląda jak pole przegranej bitwy, mimo że mieszkała w nim tylko kilka dni. Zwróciłam jej uwagę rano w dzień przyjęcia. Myśl o tym teraz mnie zabija. Czuję zapach lakieru do włosów, dezodorantu i perfum, których użyła wieczorem. Co za upiorne wrażenie.

– Muszę coś wyznać...

– Chryste, Ridley, o mało nie umarłam ze strachu. – Podskoczywszy w miejscu, odwracam się do niego.

Chłopak sam wygląda na wystraszonego na śmierć. Twarz ma tak bladą, że niemal przezroczystą; praktycznie widzę prześwitującą przez niego ścianę. Na co dzień Ridley jest jednym z tych nastolatków, którzy obnoszą opaleniznę i rumieńce świadczące o dobrym zdrowiu i radości życia. Teraz jednak ma wory pod oczami, które nabiegły mu krwią od płaczu i niewyspania.

– Myślisz, że Emily nic nie jest? – mamrocze pod nosem.

– Cóż, Ridley, Emily została porwana – odwarkuję. – Nie sądzę więc, aby nic jej nie było.

Wydaje się wstrząśnięty.

– Tak, wiem. Chodziło mi o to, czy...

Mięknę.

– Wiem, o co ci chodziło. Czy myślę, że nic jej nie jest w zaistniałych okolicznościach.

– Właśnie. To miałem na myśli. No więc? – Spogląda na mnie z nadzieją. Pragnie, abym go pocieszyła, abym wszystko naprawiła. Przejęła na siebie jego część winy i bólu.

Bardzo bym chciała to zrobić. Wciąż pamiętam go jako małego chłopca; ostatni z nich trojga porzucił wiarę w Świętego Mikołaja. Ależ z niego kpili. Ridley zapytał mnie, czy Mikołaj naprawdę istnieje, czy raczej tamci mają rację. Nadal widzę jego szeroko otwarte, błyszczące oczy, zwrócone na mnie z nadzieją. Odpowiedziałam, że on ma rację, a tamci się mylą i nie dostaną na święta ani jednego prezentu. Nie potrafiłam się oprzeć jego niewinności i potrzebie wiary. Tyle lat później już umiem to zrobić.

– Nie, Ridley. Nie wydaje mi się, aby Emily nic nie było. Widziałeś przecież zdjęcie. Jest przerażona i grozi jej wielkie niebezpieczeństwo. – Wiem, że karzę go w ten sposób za bezczynność, kiedy tylko stał i patrzył, jak Megan biła moją córkę. Za to, że ją porzucił. – Musimy jednak mieć

nadzieję, że zdołamy ją sprowadzić do domu najszybciej, jak się da, zanim stanie jej się prawdziwa krzywda.

Ridley kiwa głową. I wbija wzrok w ziemię.

– Rozmawialiśmy wieczorem. Nie byłem... Nie byłem... – jąka się, a potem milknie.

– Nie byłeś co? – pytam, mimo że chyba znam już odpowiedź. Nie był dla niej zbyt miły. Nie chciał jej.

– Nie byłem specjalnie pozytywnie nastawiony. Ani odważny.

– Odważny?

Na jego policzki występują kolory; rumieni się, wstydzi czegoś. Wydaje się też zdenerwowany.

– Emily mi coś powiedziała. Potrzebowała mojej pomocy, ale ja jej nie pomogłem.

– Co ci powiedziała? Grożono jej? Powiedziała coś, co może mieć związek z porwaniem? – Trzymam go za łokcie i choć wcale tego nie chcę, szarpie nim, jakbym miała zamiar wytrząsnąć z niego te informacje.

– Nie, nic takiego... Emily powiedziała mi, że jest w ciąży.

40

EMILY

Nie gwałcą mnie. W ogóle mnie nie dotykają. Może dlatego, że się posikałam, a może od samego początku zamierzali mnie tylko przenieść z krzesła na materac. Nic nie wiem, ale i tak leżę nieruchomo na zapaskudżonym cienkim materacu i dziękuję Bogu, że zostawili mnie w spokoju. Wolę być sama, mimo że chce mi się jeść i pić, mimo że jest mi mokro i zimno. Nie żartuję, mówiąc, że dziękuję Bogu. Dosłownie się modlę, czego nie robiłam od gimnazjum. Zaklinam Stwórcę i próbuję dobić z Nim targu. Nie wierzę, że spotkało to właśnie mnie. Chcę odzyskać swoje dawne życie. To sprzed wygranej, kiedy nie miałam modnych ciuchów ani superdomu, ani zaplanowanych wakacji w Nowym Jorku; miałam za to chłopaka i najlepszą przyjaciółkę i nikt mnie nie bił ani nie porywał. Ale się popieprzyło! A może być jeszcze gorzej. Może nawet czekać mnie koniec. Nie chcę umierać. Jestem za młoda, żeby umrzeć. Mam jeszcze tyle do zrobienia, do zobaczenia, do przeżycia. Chcę do mamy. Gdzie są moi rodzice? Dlaczego jeszcze po mnie nie przyszli? Nie chcę umierać! Ta myśl odbija się echem w mojej głowie, doprowadzając mnie do szaleństwa.

Ostatecznie chyba zasypiam, ale nie daje mi to wytchnienia; koszmary, które mi się śnią, tak bardzo przypominają rzeczywistość, że nie potrafię odróżnić, kiedy śpię, a kiedy nie. Głowa mi pęka z odwodnienia, kończyny

bolą mnie od wielogodzinnego spętania i wcześniejszych razów, które wymierzali mi we trzech jeszcze w lesie, przed tym, zanim wrzucili mnie do furgonetki.

Nie umiem ocenić, jak długo spałam. Zdaję sobie tylko sprawę, że na pewno już się obudziłam, gdy słyszę nowe głosy. Inne głosy. Ktoś mówi po angielsku, chyba kobieta... Czy to mama? A może policjantka? Znaleźli mnie! Nadzieja gaśnie, ledwie zamigocze. Głosy pozostają na zewnątrz, nikt nie przychodzi mi na ratunek. Ktokolwiek tam jest, wścieka się i awanturuje.

Znów przymykam oczy, zbyt słaba, aby opierać się snowi. Ktoś nade mną staje. Czuję szorstkie dłonie, które szybkim niedelikatnym ruchem unoszą mi głowę. Moment później mam przy nosie szmatkę. Znowu ten dziwny zapach. Jak u dentysty. Zdaję sobie sprawę, że mnie usypiają, ale jestem zadowolona. Nieprzytomna przynajmniej nie czuję bólu ani strachu.

Kiedy się budzę, czuję na sobie łagodniejszy dotyk. Czyżby to ta kobieta? Ta, której głos słyszałam wcześniej? Nie wiem tego, ponieważ się nie odzywa. Odkneblowuje mnie, delikatnie przytyka do moich ust plastikową butelkę z wodą, pozwala mi się napić. Woda jest zimna i smaczna. Po chwili kobieta wsuwa mi między wargi kawałek czekolady. Myślę, że to sen, ale nie, nie tym razem. Chociaż... to musi być sen, ponieważ czuję perfumy i słyszę Megan. Przeklina, zła jak wtedy, gdy Carla zabrania jej pójścia na imprezę czy coś w tym stylu. Szkoda, że Ridley nie nawiedza mnie w snach. Albo mama, albo tata. Potrzebuję ich. Gdzie oni są? Gdzie jest policja? Nie chcę się budzić, ale chyba znowu się moczę i to wrywa mnie ze snu. Lepka wilgoć między nogami.

41

LEXI

NIEDZIELA, 26 MAJA

Porywacze nie odezwali się do nas więcej. Na moich oczach niebo zmienia kolor z nocnej czerni na poranny róż zapowiadający ciepły dzień. Coraz mocniejszy blask zalewa kuchnię, lecz nic nie jest w stanie polepszyć naszych nastrojów. Lśniąca idealna przestrzeń wreszcie zdradza swoje prawdziwe oblicze, a jest ono w swej kosztowności surowe i zimne, bezosobowe. Wszędzie stoją brudne kubki po kawie i herbacie, niektóre wciąż pełne do połowy, z brzydkimi zaciekami na ściankach po napojach, które ani nas nie rozgrzały, ani nie przyniosły nam pociechy. Jake zapala lampę, ale nawet sztuczne światło nie może przepędzić czających się w kuchni cieni. Laptop Logana mruży cicho. Nie wiem, co jeszcze mogłabym sprawdzić w internecie. Nie wiem, gdzie szukać odpowiedzi.

O siódmej Heathcote'owie, którzy jednak zasnęli, budzą się raptownie, ponieważ słońce wdarło się przez szklaną ścianę okien. Była to jedna z rzeczy, na które zwróciła uwagę nasza agentka nieruchomości, stwierdzając, że to „bardzo hollywoodzkie”. Jest gorąco jak cholera i to ciepło w połączeniu ze wszystkim innym czyni mnie ospałą, niemrawą

i ledwie przytomną. A muszę się skupić. Muszę sprowadzić córkę do domu. Córkę i wnuka. Tyle że to nawet nie mój dom. Prawdziwy dom jest gdzie indziej. Uświadamiam sobie nagle, że bez Emily w ogóle nie może być mowy o domu. Gdy wyglądam na zewnątrz, trawa jest wciąż mokra od wieczornej ulewy, a dzięki podświetlającym źdźbła promieniom słońca wygląda, jakby była obwieszona brylancikami. To piękny widok, ale mnie nie cieszy. Nic mnie nie ucieszy – ani żaden widok, ani smak, ani zapach – dopóki nie odzyskam Emily. Czuję się, jakbym siedziała w szklanym domu, czekając, aż ludzie zaczną rzucać kamieniami.

Ridley i Logan zachowują się jak typowi nastolatkwie i śpią jak zabici. Po tym, jak Ridley opowiedział mi wszystko o ciąży Emily, w końcu zdołałam go namówić, aby się położył. Nie chcę, żeby był obecny, kiedy będę mówiła Jake'owi. Okoliczności są wyjątkowe, ale pewne rzeczy się nie zmieniają. Żaden ojciec piętnastolatki nie spojrzy przychylnie na młodzika, który zrobił dziecko jego córce.

Przez całą noc siedziałam nad kolejnymi kubkami kawy. Parzenie jej, jeśli nie samo picie, zapewniało nam jakieś zajęcie, po tym jak już przyznaliśmy przed sobą nawzajem, że nie damy rady zasnąć. Gdy zapytałam Jake'a, do kogo wysyła esemesy, odparł, że do znajomych i krewnych. W próbie zachowania pozorów, że dziś najbardziej absorbuje nas ich samopoczucie po imprezie. Nie uważam, aby Jake powinien rozsiewać nieszczerze wiadomości. Uważam, że powinien coś zrobić – choć nie mam pojęcia co. Na pewno nie chodziło o pocieszenie mnie, tego nie był w stanie mi zapewnić. Rozważam telefon do Gillian bądź Tomy; tęsknię za ich rozsądkiem, nieudawanym współczuciem, wiem jednak, że oboje będą nalegać, abyśmy zawiadomili policję, a to przecież niemożliwe.

Sądzę, że mogłam powiedzieć Jake'owi o ciąży, gdy światło dopiero zaglądało do kuchni, gdy byliśmy tylko we dwoje. W ten sposób sprawa

pozostałaby tylko między nami, w rodzinie. Wiem jednak, że Jake już nas tak nie postrzega; w przeciwnym razie nie byłoby tu z nami Heathcote'ów. Jennifer wiele dla niego znaczy. To nie jest przelotna miłostka ani flirt. Teraz to widzę. Zatem powiem obojgu naraz – nie dlatego, że szanuję jej miejsce w jego życiu. Zbyttno by mnie zabolął i upokorzył widok Jake'a rozglądającego się za nią bezradnie, poszukującego jej, pragnącego podzielić się z nią nowiną. Informując ich oboje, utrzymam sprawy na właściwym kursie. Zresztą technicznie rzecz biorąc, ciąża naszej córki ma tyleż wspólnego z nią, co z nami.

Jake i Heathcote'owie biorą kolejno prysznic i schodzą na dół przebrani w świeże ciuchy. Upominana raz po raz – „Na litość boską, Lexi, nadal nie zdjęłaś swojego kostiumu?!” – wlekę się na piętro. Nie kąpię się; nie chcę tracić czasu w sytuacji, gdy w każdej chwili mogą się do nas odezwać porywacze z instrukcjami. Wkładam na siebie pierwszą rzecz, jaka wpadnie mi w ręce – coś, co nosiłam przed przyjęciem i czego nie zdążyłam umieścić w koszu na pranie. Ubranie nie jest zbyt czyste, domyślam się też, że dolatuje ode mnie woń potu, nie potrafię się jednak tym przejmować.

Jennifer, Fred i Jake jedzą śniadanie. Ja mogę w siebie wmusić tylko jeszcze trochę mocnej czarnej kawy, której potrzebuję dla wyostrenia zmysłów. Chcę przegnać spowijającą mnie mgłę strachu. Przyglądam się jedzącemu Jake'owi, gdy żuje pewnymi, zdecydowanymi ruchami szczęk. Z ledwością powstrzymuję się przed tym, aby nie chlusnąć mu kawowym wrzątkiem prosto w twarz. Rozwściecza mnie jego zdolność do normalnego funkcjonowania. Kiedyś, gdy widziałam, jak wgryza się w tost, ogarniało mnie podniecenie, jego apetyt uważałam za seksowny. Teraz mnie odrzuca. Gardzę jego łapczywością, jego nienasyceniem. Oto człowiek, który chciał wszystkiego.

Czekam, aż skończą jeść. Przy stole panuje zadziwiająca normalność, co tylko dodatkowo mnie irytuje. Właściwie uważam to za obraźliwe. Słysząc zwyczajne przy takich okazjach: „Możesz podać mi masło?” i „Jak ścięta ma być jajecznica?”. Nie do wiary. Nic nie jest normalne! Czekamy, aż porywacze się odezwą, aby poinstruować nas, na jaki zagraniczny rachunek bankowy mamy przesłać pieniądze. Dlaczego więc ci troje udają, że ma jakieś znaczenie wybór pomiędzy dżemem i marmoladą? Czerpię dziwną przyjemność z sekretnej wiedzy, że posiadam informacje, które mogą zburzyć tę sielankę. Nie dam się ukoić i oni też nie powinni! Sytuacja nie mogłaby być poważniejsza, dlatego więc robią wszystko, aby ją zdeprecjonować? Szanowałabym ich bardziej, gdyby rwali włosy z głowy i panikowali.

Biorę głęboki oddech.

– Mamy ze sobą więcej wspólnego niż kiedykolwiek – oznajmiam w przestrzeń ponad stołem, pozwalając, by każdy pomyślał sobie, co chce, lecz spojrzenie wbijam w Jennifer. Zawsze uważałam, że jest nadopiekuńcza w stosunku do Ridleya. No to zobaczmy, jak ta rewelacja zmieni jej postrzeganie syna niewiniątka. Wiem, że zachowuję się jak ostatnia suka, ale cóż, strach robi z ludźmi nie takie rzeczy. Porwano moje dziecko. Nikt nic nie robi ani nie pozwala działać mnie, potrafią tylko przeżuwać chleb tostowy. Moją Emily uprowadzono. Ja zamierzam wziąć drogiego chłopca Jennifer i zwrócić jej mężczyznę zdolnego do rozrodu. Wystarczą cztery słowa: – Emily jest w ciąży.

Szczęki i sztucce opadają z klamorem na blat.

– Co? – pyta Jake. Robi się tak biały, że niemal niebieski, jak śnieg na polu za miastem.

– Ridley zwierzył mi się w nocy. Co zrozumiałe, szaleje z niepokoju o nią. – Wszelki kolor znika również z twarzy Jennifer. Fred sięga do jej

ręki, ale ona mu się wyrywa. – Ach, nic nie wiedziałaś? – dodaje głosem ociekającym od słodczy.

– Ty też nie – rzuca wyzywająco Jake.

Przenoszę na niego wzrok. Widzę na jego czole głęboko wyżłobione zmarszczki paniki. W jednej chwili skurczył się o co najmniej kilkanaście centymetrów. Przypuszczam, że wyglądam równie okropnie, ale nie zamierzam sterczeć przed lustrem.

– Ridley twierdzi, że Emily miała mi powiedzieć po przyjęciu. Jemu powiedziała dopiero wczoraj.

Okazuje się, że przekazanie tej nowiny nie sprawia mi żadnej satysfakcji. Choć przytaczam słowa Ridleya zgodnie z prawdą, serce mi się kraje, że Emily nie zwróciła się w pierwszej kolejności do mnie. Musiała być przerażona; dlaczego nic mi nie powiedziała? Czuję, jak zalewa mnie fala adrenaliny, grożąc mi uduszeniem.

– Nie miałam nawet pojęcia, że uprawiają seks – mamrocze Jennifer.

– Ludzie zwykle trzymają w tajemnicy sprawy związane z seksem – mówię i choć boję się, że się udławię, odgryzam kawałek tostu. Mając pełne usta, nie będę w stanie przejść do innych sekretów.

Jake zrywa się znienacka od stołu.

– Dokąd idziesz? – pytam.

– Szukać jej! – odkrzykuje przez ramię. W jego głosie pobrzmiewa lęk.

Żałuję, że tak jest, przecież twierdził, że wszystko mamy pod kontrolą, że wszystko będzie dobrze. Zapewniał, że wyjdziemy z tego obronną ręką, że odzyskamy Emily całą i zdrową. Jego optymizm działał mi na nerwy, wydawał mi się wręcz paranoidalny, ale w głębi ducha pragnęłam go z nim dzielić. Chciałam, by Jake miał rację. Wierzyłam mu i ufałam przez tak długi czas... Bo taki już z niego człowiek – tchnący pewnością siebie. Tyle że teraz sam poczuł obawę, co mnie przeraża. Tsunami niepokoju przybiera

na sile, grożąc, że zetnie mnie z nóg, ale wiem, że spanikowana na nic nie przydam się Emily. Muszę zachować głowę. Jake jest już w holu z kluczykami w dłoni, już wychodzi na zewnątrz.

Drzwi zamykają się za nim z trzaśnięciem, ucinając w połowie zdanie Jennifer, która oferuje:

– Pojadę z tobą, mogę...

Wpatruję się w nią, aż do niej dociera. Nie triumfuję jednak. Jak mogłabym triumfować w tych okolicznościach? Mimo wszystko czuję pewną satysfakcję. Bo o ile dowód na to, że jej ukochany chłopczyk zaczął uprawiać seks, będzie ją prześladował (Jennifer bez wątpienia zapłacze nad utratą miejsca najważniejszej kobiety w życiu Ridleya), to jednak jej emocje bledną w porównaniu z emocjami Jake'a. Ojcowska zaborczość wobec jedynej córki nie zna granic. Tymczasem niepełnoletnia Emily jest w ciąży i Bóg wie gdzie, uprowadzona przez porywaczy. Nigdy w całym swoim życiu nie potrzebowała ojca bardziej niż teraz. Wiadomość o wnuku zmieniła dla Jake'a wszystko. Może teraz znajdzie sposób, by sprowadzić ją do domu. Niczego innego bardziej nie pragnę.

Wstaję i zaczynam sprzątać ze stołu. Jennifer wybiega z kuchni; domyślam się, że poszła obudzić Ridleya. Trochę mi go żal, ale reprimenda jest jak najbardziej na miejscu w takiej sytuacji. Fred i ja przysłuchujemy się stukotowi jej obcasów na schodach. Heathcote wydaje się zaniepokojony, wyraźnie nie wie, co powiedzieć.

– Wnuk, tak? – rzuca w końcu.

– Z pewnością ciąża.

– Mówisz, jakby miała zamiar ją usunąć. To znaczy oczywiście są bardzo młodzi... – Podnosi na mnie spojrzenie pełne nadziei.

– Nie mam pojęcia, jaką decyzję podejmie Emily. Co zrozumiałe, nie miałam okazji z nią o tym porozmawiać.

Nie dziwi mnie, że Fred w pierwszym odruchu chciałby zamieść tę sprawę pod dywan, tak samo jak Ridley z tego, co mi wiadomo. Tyle przynajmniej wyznał mi nocą. Słowa spowiedzi wydzierały się z niego pomiędzy szlochem paniki, żalu, obawy. Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, w jak okropnym położeniu znajduje się teraz Emily. Niechciana cięża sama w sobie to za dużo dla piętnastolatki, a ona w dodatku została porwana przez obcych ludzi. Leży związana niczym sadystycznie traktowane zwierzę. Robi mi się słabo ze strachu, ilekroć o niej myślę, a robię to bez ustanku. Niczego nie pragnę bardziej, niż ją przytulić, ukoić, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, gdyż jakkolwiek decyzję podejmie, dopilnuję, aby tak właśnie było. Wszystko będzie dobrze. Wyjdziemy z tego obronną ręką. Byleby tylko wróciła do domu. To nic, że będzie miała dziecko. Sama wciąż nim jest. Jest moją małą córeczką. A ja – jako jej matka – mam obowiązek chronić jej prawo do stanowienia o sobie, decydowania o własnej przyszłości. Wiem, że Jennifer i Fred będą nalegać na aborcję. Widzą Ridleyę w Cambridge. Ja wolę nawet nie myśleć o tym, czego bym chciała dla Emily, nie licząc tego, by weszła przez te drzwi. Nie mogę się tego doczekać.

Fred zdaje się zmieszany. Odkasłuje, jakby chciał przeczyścić gardło. Spodziewam się, iż zaraz zacznie mówić o tym, że wszyscy nastolatkwie są ciekawi, ale nie nadają się na rodziców. Nieomal słyszę, jak przytacza statystyki potwierdzające, że nastoletni rodzice rzadko kiedy kończą studia.

– Czy mimo wszystko dostanę swoją działkę? – pyta.

– O rany... – Opadam na krzesło i wgapiam się w niego. – Takie pytanie teraz?

– Należy mi się, Lexi. Wiesz o tym.

– Nie, Fred, nie wiem. To ja wspaniałomyślnie ci ją zaproponowałam. – Głos mam stalowy.

– Ale zamierzasz się wywiązać z obietnicy, mimo że porywacze zażądali dziesięciu milionów? Chodzi mi o to, że miałem dostać trzy miliony za zmianę zeznań.

Zabawne, że Jake'owi się wydaje, iż załatwił sprawę za pomocą łapówki zaoferowanej Jennifer; nigdy nawet się nie zastanowił, dlaczego Fred zmienił swoje zeznanie, zanim padła oferta miliona. Mógł myśleć, że mąż rogacz robi to na złość żonie. Nie miał pojęcia, że powinien dziękować mnie. Dziesięć milionów dla porywaczy, trzy dla Tomy, trzy dla Freda. To oznacza niecałe dwa miliony dla nas. Bardzo możliwe, że Jake zdążył już wydać większość tej kwoty – na samochody, przyjęcie, ubrania, najem domu, urlop, który zaplanował, a następnie odwołał, spłatę hipoteki swoich braci, kupno mieszkania dla mojej siostry... Nic z tego mnie nie rusza.

– Powiedziałam trzy, dostaniesz trzy – zwracam się do Freda z westchnieniem.

Wygląda na ucieszonego.

– Sądzisz, że między nimi koniec? – pyta.

– Jest mi to obojętne. – Uświadamiam sobie, że Jake wciąż może mnie zostawić. Gdy odkryje, że wyczyściłam nasze konto bankowe, gdy zobaczy, że nie ma więcej pieniędzy, prawdopodobnie odejdzie ode mnie.

– Ja myślę, że między nimi koniec – oświadcza Fred.

– Zatem zostaniesz z nią?

– Warunkiem było to, że mam od niej odejść?

– Nic takiego nie mówiłam. – Może nie na głos, ale jeśli wygrana czegokolwiek mnie nauczyła, to tego, że każdy ma swoją cenę. Wizażystki, ochroniarze, barmani.

Mężowie.

Ciekawa jestem, jaką wartość ma Jennifer dla Freda.

– Z tego, co pamiętam, Fred, powiedziałeś, że chciałbyś się rozwieść, ale obawiasz się, że Jennifer cię „wycycka”, mimo iż to ona cię zdradzała. Jako twoja przyjaciółka obiecałam ci, że kiedy się rozwiedziesz, pomogę ci stanąć na własnych nogach, zapewniając nowy dom, środki utrzymania, opiekę nad Ridleyem i tak dalej.

Rozumie się samo przez się, że trzy miliony funtów pokryją koszty tego wszystkiego aż z naddatkiem. Oczy Freda rozszerzają się chciwie.

– Już rozmawiałem z prawnikiem. Nie zostanę z nią.

42

EMILY

Omój Boże. O mój Boże. Co oni jej zrobili? Musimy ją zawieźć do szpitala, kurwa!

Tata?

– Chryste, Chryste. Już dobrze, dziecinko. Już dobrze. Jestem przy tobie. Tatuś przy tobie jest. – Tata nie mówi o sobie w ten sposób od lat. W normalnych warunkach bym go wyśmiała. Chcę się roześmiać, ale zaczynam płakać. Tata gładzi mnie po głowie i twarzy jak wtedy, gdy jestem chora. Czy to dzieje się naprawdę? Proszę, niech tak będzie. Normalnie tata roztacza zapach kawy rozpuszczalnej, ale w tej chwili pachnie czymś innym, mocniejszym. Zmienił wodę po goleniu? Czy to w ogóle jest on? Tak się zmienił od wygranej? – Wybacz, wybacz mi, że na to pozwoliłem. – Jak niby miał im przeszkodzić? Przecież to nie jego wina. Jego słowa sprawiają, że płaczę jeszcze głośniejsze. Ostrożnie, jakby się bał mnie dotknąć, zdejmuje mi z oczu opaskę, a z ust wyciąga knebel. – Moja księżniczka... Co oni ci, kurwa, zrobili?!

Domyślam się, że nie wyglądam najlepiej.

43

LEXI

Gdy zaczynam już myśleć, że ten najdłuższy dzień w moim życiu nigdy się nie skończy, tak właśnie się dzieje, i to ze słodką raptowną nagłością. O dziesiątej wieczorem w niedzielę Jake dokonuje tego, czego cały czas od niego oczekiwałam – znajduje naszą córkę.

Rano, kiedy tak gwałtownie wyszedł z domu, nawet się nie zorientowałam, że zabrał ze sobą mój telefon. Musiał dyskretnie schować komórkę w kieszeni, wiedząc, że to jedyna metoda komunikacji z porywaczami. Kiedy dziesięć minut po jego wyjściu, chcąc sprawdzić, czy nie przyszła jakaś wiadomość, nigdzie nie mogłam znaleźć aparatu, wpadłam w szal. Czułam się ubezwłasnowolniona, sprowadzona do roli pionka w tej rozgrywce. Bez łączności ze światem. Nie mogłam się skontaktować z mężem ani – co ważniejsze – nie miałam co liczyć na kontakt ze strony porywaczy. Z frustracji rzuciłam talerzem o ścianę w kuchni. Roztrzaskał się z satysfakcjonującym brzękiem. Odłamki porcelany poleciały na wszystkie strony. Niedojedzony tost z dżemem, który był na pechowym talerzu, przykleił się na moment do idealnie białej powierzchni. Przyglądałam się z fascynacją, jak kawałek chleba się odkleja i powoli zjeżdża po ścianie, zostawiając za sobą smugę czerwieni wyglądającej jak krew.

– Jak on śmiał! – wrzasnęłam.

– Próbuje cię chronić, na miłość boską! – odszczeknęła Jennifer.

Przyznanie tego przyszło jej z trudem. Broniła przed żoną człowieka, którego – właśnie, co? kochała? Dowodziła przed żoną dobroci i odpowiedzialności swojego kochanka. Nie zazdrościłam jej. Pewnie się zastanawiała, jaka jest teraz jej pozycja w tym wszystkim.

Nie miałam wyboru; musiałam zaakceptować sytuację stworzoną przez Jake'a. Postanowiłam jednak zachować godność i pozory tego, że mam nad czymkolwiek kontrolę.

– Wyślij mu esemesa. Napisz, że musi mnie informować na bieżąco – zażądałam. – Jeśli tego nie zrobi, wezwę policję.

Jennifer posłusznie wysłała wiadomość. Sekundę później jej telefon piknął w odpowiedzi. Gdziekolwiek był Jake, nie miał kłopotu z odbieraniem esemesów od niej, choć moje do niego „nie docierały”.

– Zgodził się. Będzie pisał na bieżąco. A kiedy ją znajdzie, natychmiast zadzwoni na moją komórkę. – Jennifer położyła aparat pośrodku stołu, tam, gdzie wcześniej leżał mój telefon. Zwalczyłam myśl, że ta zamiana jest w pewnym sensie symboliczna.

Godziny mijały w ślimaczym tempie. Co najmniej tysiąc razy sprawdziłam komórkę Jennifer, aby się upewnić, czy przypadkiem nie przeoczyłam wiadomości albo rozmowy. Zawsze jednak napotykałam widok czystego ekranu. Jake nie dotrzymywał obietnicy. Jak mogłam wierzyć, że to zrobi?

– Dzwonię na policję – powiedziałam więcej niż raz.

– Nie – protestowali na zmianę Jennifer i Fred. Z początku stanowczo, lecz w miarę upływu czasu coraz słabiej, ze znużoną miną, jakby zrozumieli, że moja groźba jest bez pokrycia. Jakby mieli mnie za uległą, podporządkowaną w całości Jake'owi.

Gdy telefon w końcu dzwoni, wyrywa nas z beczynności niczym sygnał karetki. Przepelnia nas poczuciem obawy i nadziei. Zagrożenia i obietnicy. Jake krzyczy w słuchawkę:

– Mam ją! Mam ją, Lexi!

Ulga jest tak wszechogarniająca, że mam wrażenie, jakby moje ciało rozpadło się na milion kawałków, po czym w ułamku sekundy scalilo się z powrotem w czujniejszą, bardziej skupioną, euforyczną wersję mnie. W całym swoim życiu nigdy nie czułam takiego szczęścia.

– Nic jej nie jest? – Łzy mam w gardle i w oczach. Składam czoło na blacie stołu, który w tym momencie wydaje się jedyną pewną, stabilną rzeczą w moim kosmosie. Przez niemal całą dobę przez moje serce i myśli przepływały wyobrażenia tego, co mogli jej uczynić.

– Tak. – Urywa. – Prawie nic. Jesteśmy w drodze do szpitala.

– Już tam jadę.

– Tak, przyjeźdź natychmiast. Spotkamy się na miejscu.

– Mogę z nią porozmawiać?

– Nie jest do końca sobą... – Słyszę, że głos Jake'a się łamie.

– Proszę, przyłóż telefon do jej ucha. – Zakładając, że spełnił moją prośbę, odzywam się cichym głosem: – Już do ciebie jadę, córeczko. Już do ciebie jadę.

– Chyba cię usłyszała – mówi Jake. – Nie jest w pełni przytomna.

Nie chcę z nim dłużej rozmawiać. Chcę zobaczyć Emily. Rozłączam się.

Oczywiście Jennifer musi sprofanować tę w stu procentach rodzinną chwilę.

– Nie powinnaś prowadzić w tym stanie – mówi. – Ja cię zawiozę.

– O jakim stanie mówisz? Doskonale dam sobie radę sama.

– Czym pojedziesz? Jake zabrał audi. Czy w ogóle figurujesz na ubezpieczeniu ferrari?

– A ty? – rzucam jej wyzwanie. Choć biorąc wszystko pod uwagę, równie dobrze może być ujęta w ubezpieczeniu superwozu. – Wezwę taksówkę. Proszę, zostań tutaj i zajmij się chłopcami. Przypilnuj Logana, dobrze?

Logan nadal pozostaje nieświadomy ostatnich wydarzeń. Większość dnia spędził na grze w gry komputerowe z Ridleyem. Nie mam pojęcia, czy Ridley zachował się nadzwyczaj dojrzałe, chroniąc Logana przed strasznymi faktami, czy raczej wolał zejść rodzicom z oczu, w każdym razie jestem mu bardzo wdzięczna bez względu na to, co nim kierowało. Ponieważ szybko się uczę, kopiuję sztuczkę Jake'a i niepostrzeżenie wsuwam do kieszeni telefon Jennifer. Dzwonię po ubera, a potem na policję.

44

EMILY

PONIEDZIAŁEK, 27 MAJA

Kiedy otwieram oczy, czuję natychmiastową ulgę, że wszystko jest kremowe i jasne, nie szare i czarne. Słyszę szum i pikanie urządzeń medycznych. Mama i tata stoją przy moim łóżku. Wyglądają okropnie, a sądząc po ich minach, ja muszę się prezentować jeszcze gorzej. Twarz mamy jest cała posiniaczona... nie, zaraz... muszę zmrużyć oczy, całe to światło razi mnie po tylu godzinach spędzonych w ciemnościach... teraz widzę wyraźniej, twarz mamy jest spuchnięta, zaczerwieniona, niemal sina od płaczu, nie dlatego, że ktoś ją pobił. Próbuję się poruszyć. Wszystkie mięśnie protestują, sugerując, że jeśli ktoś tu został pobity, to tylko ja.

– Cześć, kochanie... Jak się czujesz? – szczebiocze mama. Trzyma mnie za dłoń, pochyla się nad nią i całuje ją, jakbym była królową czy papieżem albo kimś takim.

– W porządku – mamroczę. Nie czuję się w porządku. Boli mnie dosłownie wszystko. Właściwie to coś więcej niż ból – poczucie kruchości,

przez którą przy najlżejszym ruchu rozpadnę się na kawałki. Znajdujemy się w izolacie. No tak, to oczywiste, przecież jesteśmy bogaci. Całkiem zapomniałam. Kiedy wygraliśmy, myślałam, że bogactwo równa się spełnianiu zachcianek i ochronie. Teraz wiem, że to jedna z możliwości; druga jest taka, że ludzie stają się zagrożeniem, mogą cię wykorzystać. – Chce mi się pić... – Mama sięga po kubek stojący na szafce nocnej. Ostrożnie wkrapla mi wodę do ust, poi mnie tak jak ptak swoje pisklę. Coś mi to przypomina. Coś mającego związek z uprowadzeniem, ale nie mogę sobie przypomnieć co. – Co się stało? – pytam.

– Zostałaś porwana – słyszę głos mamy. – Kilkoro bardzo niedobrych ludzi przetrzymywało cię dla okupu. – Chce mi się śmiać. „Kilkoro bardzo niedobrych ludzi”? To nawet w przybliżeniu nie opisuje tamtych... Kopali mnie, głodzili, trzymali w więzach i podtykali pod nos środki odurzające. Tak, to było to. Przypuszczam, że mama już to wszystko wie, lekarze jej powiedzieli. I nie chce przy mnie wywlekać szczegółów. Czuję się zbyt słaba i zbyt zmęczona, aby jej wytknąć, że nie jest w stanie mnie ochronić; przeszłam przez to wszystko sama.

– Cześć, tato. – Nie ja tu powinnam pocieszać innych, ale tata wygląda na załamane. Pobitego. Cierpiącego.

Schyła się, żeby pocałować mnie w czoło. Następnie mówi:

– Pójdę po lekarza. Powiem, że się obudziłaś.

Mam wrażenie, że chce się ulotnić, bo ciężko mu przebywać w jednym pomieszczeniu ze mną. Pełna obaw zerkam na mamę. Tata często zostawia jej trudniejsze sprawy do rozwiązania. Jak na przykład wtedy, gdy Logan i ja chcieliśmy psa i oni mniej więcej się zgodzili, ale potem zmienili zdanie – tata nabrał wody w usta i to mama musiała nam zakomunikować przykrą decyzję. Albo jak wtedy, gdy chcą nam zakazać pójścia na koncert

czy imprezę, albo jak nie możemy sobie czegoś kupić – to znaczy kiedyś, przed wygraną – tata zawsze odsyła nas do mamy.

– O co chodzi, mamó?

– Straciłaś dziecko, aniołku. – Mówi to ot tak, po prostu. Jakby cały czas wiedziała, że jestem w ciąży. Dzięki temu przestaje to być takie skomplikowane. – Przykro mi, skarbie, tak bardzo mi przykro... – dodaje szeptem.

– Nie płacz, mamó. I tak nie byłam pewna, czy chcę je zatrzymać. – Nadaję swojemu głosowi taki ton, jakbym nie dostała w sklepie sukienki, bo nie mieli mojego rozmiaru, jakby to była cała moja strata. Nagle jednak zaczynam płakać. Dziecko Ridleya umarło. Dziecko Ridleya i moje umarło. – Nie opiekowałam się nim. Nie ochroniłam go...

Mama obejmuje mnie ramionami, wtula twarz w moją szyję. Choć jest delikatna, sprawia mi ból, ale to nic. Słyszę, jak powtarza raz po raz, że to nie moja wina, że nic z tego nie jest moją winą. Na koniec informuje, że policja chce ze mną porozmawiać, jeśli jestem gotowa.

– Złapią tych drani, którzy ci to zrobili, zobaczysz.

Zgadzam się na złożenie zeznań, ale proszę, żeby mama została ze mną. Na pewno się domyśla, że nie policji się boję, w gruncie rzeczy to nawet lepiej, gdy w pokoju znajdzie się jeden czy dwoje funkcjonariuszy. Obawiam się, że znów zostanę sama, że stracę mamę z oczu.

– Jesteś już bezpieczna – oświadcza zdecydowanie.

– A jeśli ktoś znowu mnie porwie? – pytam.

Mama uśmiecha się smutno.

– To raczej mało prawdopodobne. Z wygranej nic nam nie zostało.

Zastanawiam się, czy dali jej jakiś środek uspokajający, pigułkę szczęścia czy coś, bo dlaczego inaczej miałyby się zachowywać, jakby nie była to największa tragedia na świecie?

45

LEXI

WTOREK, 11 CZERWCA

Najem domu opłaciliśmy na pół roku do przodu, a że pieniądze nie podlegają zwrotowi, nie ma sensu, abyśmy myśleli o przeprowadzce w miejsce bardziej dla nas dostępne. Oczywiście skończyła się mowa na temat kupna tej konkretnej nieruchomości. Jake już wie, że na naszym rachunku bankowym zostały tylko niecałe cztery miliony.

– Myślałem, że będzie tego więcej – jęknął, sprawdzwszy stan konta.

– Wiele rozdałam.

– Rozdałaś?

– Na cele charytatywne. – Nie wdałam się w szczegóły, a on, choć wyglądał na zszokowanego, nie drażył tematu. Spodziewałam się po nim bardziej konfrontacyjnej postawy; ta bierność i zgoda na wszystko nieco mnie niepokoi, wydaje się bliska zubożeniu.

– No dobrze, Lexi – powiedział Jake. – Mamy cztery miliony. Nie panikujmy. To znaczna kwota, choć sprawia wrażenie skromnej, skoro

jeszcze niedawno dysponowaliśmy prawie osiemnastoma milionami.

Ma rację, cztery miliony to kupa pieniędzy. Tyle że jeszcze nie wie, iż z tego trzy miliony obiecałam Fredowi, o ile rozwiedzie się z Jennifer. Nie jest to jednak coś, o czym chciałabym teraz rozmawiać.

Nie układa nam się zbyt dobrze. Nie mam pojęcia, czy Jennifer przekazała mu, o czym mówiłyśmy podczas przyjęcia. Czy Jake jest świadomy, że wiem o jego romansie? Pewnie powinniśmy wszystko sobie wyjaśnić. Pokłócić się, zwyzywać, poranić – i przejść do porządku dziennego. W taki czy inny sposób. Ale czy to w ogóle możliwe? Nie wiem. Zresztą uważam, że poruszenie tego tematu może być ryzykowne. Lepiej, niżbym chciała, zdaję sobie sprawę, że z chwilą wyciągnięcia tej sprawy na światło dzienne nie zdołam już cofnąć tego kroku. Na zawsze pozostanę kobietą, która pogodziła się z romanssem męża, co Jake – w pierwszym odruchu bez wątpienia wdzięczny za moją wspaniałomyślność – może z czasem wykorzystać przeciwko mnie, popadając w zadufanie i nadmierną pewność siebie, a także poczucie bezkarności. Być może nawet weźmie sobie kolejną kochankę, licząc, że i to zniosę. Albo co gorsza, przyparty do ściany, wyzna, że naprawdę kocha Jennifer, i zwyczajnie ode mnie odejdzie. Obecnie jako rodzina jesteśmy bezpiecznie spowici całunem cieniutkich jak bibuła pozorów. Dzieci tyle ostatnio przeszły. Nie chcę narażać ich na dalsze traumy. Potrzebujemy po prostu trochę czasu, aby sprawy się unormowały. Przecież wciąż jesteśmy rodziną.

Nie mam tylko pewności, czy Jake i ja nadal stanowimy parę.

Śpimy w tym samym łóżku, ale oddaliliśmy się od siebie, jak można by przeczytać w brukowcu o jakichś celebrytach. Oboje przykładamy wielką wagę do tego, by unikać wzajemnego dotyku, nawet przypadkowego zderzenia stóp pod kołdrą. Każde z nas trzyma się swojej strony łóżka,

całkiem jak przednia i tylna okładka książki – przedzielona mięsistym środkiem. Dajemy sobie przestrzeń, w której zmieszczą się także te trzy miliony, które dałam Tomie.

Na szczęście policja przykłada się do dochodzenia w sprawie porwania oraz prób odzyskania okupu znacznie bardziej niż Jake do zrozumienia, jakim cudem środki na naszym rachunku bankowym aż tak stopniały. Jeśli dobrze rozumiem, miejsce znalezienia Emily zostało poddane szczegółowym badaniom, tak samo jak przyległy teren. Okazuje się, że przestępcy nie byli takimi zawodowcami, za jakich ich uważaliśmy; zostawili po sobie mnóstwo śladów. Odciski palców na porzuconych puszkach z jedzeniem i piciem, odciski opon, dzięki którym policja łatwiej zidentyfikuje pojazd służący za środek transportu przy porwaniu, nawet kurtkę, z której pobrano materiał DNA. Oprócz dowodów rzeczowych policja zajmuje się także innymi rzeczami. Musieliśmy oddać swoje telefony, z czego się domyślam, że specjaliści od telefonii komórkowej są w stanie wyśledzić wstecznie rozmowy przychodzące, co wydawało mi się niemożliwością. Aparaty trafiły ponownie do naszych rąk dopiero dzisiaj, ale jakoś sobie radziłam przez ten czas. Jeśli mam być szczerą, życie bez komórki jest bardzo wyzwalające. O ile tylko miałam dzieci przy sobie, mogłam się cieszyć spokojem i ciszą, pozostając poza siecią. Dzięki temu miałam też czas na myślenie. Z Jakiem było inaczej: pozbawiony telefonu irytował się bez powodu. Najwyraźniej nie potrafi bez niego żyć, skoro po paru godzinach pojechał i kupił sobie najnowszy model.

Wszystkich nas przesłuchano. Emily była bardzo dzielna, opowiadając o swoich przeżyciach tak szczegółowo, jak tylko umiała. Badanie lekarskie ujawniło, że faktycznie została odurzona, jak również, że bito ją i głodzono, nie dając jej nawet wystarczająco dużo wody do picia. Nic dziwnego, że wspomnienia ma dziurawe. Policjanci zachowują się wobec niej miło,

powtarzają, że każdy detal, nawet najdrobniejszy, może bardzo pomóc w śledztwie. Byliśmy z Jakiem obecni na jej przesłuchaniu. Słyszając, co przeszła, cierpiałam razem z nią. Jake się popłakał. Gładziłam Emily po plecach, trzymałam ją za rękę. Przepraszałam szeptem. Czuję, że ją zawiodłam. Jak mogłam pozwolić, aby coś takiego ją spotkało? Powinnam być bardziej czujna. Powinnam przewidzieć zagrożenie i zapobiec mu. Kiedy nie było jej z nami, wyobrażałam sobie wszystkie straszne rzeczy, których mogła doświadczać z rąk porywaczy, ale nawet to nie przygotowało mnie na chwilę, w której moje dziecko zaczęło opowiadać, co naprawdę przeszło. Jej strach, jej ból, jej upokorzenie. Gdy Jake zaszlochał, Emily ujęła go za dłoń i powiedziała: „Nie płacz, tato. Mogło być znacznie gorzej”. To sprawiło, że ramiona tylko bardziej mu zadrżały, ponieważ żaden mężczyzna nie jest gotów na to, aby jego dziecko pocieszało go w sprawie własnej tragedii. To zaburzenie naturalnego porządku. Mimo wszystko cieszę się, że wiem, co Emily przeszła; w żadnym razie nie powinniśmy być chronieni przed tą wiedzą. Znając fakty, będę mogła skuteczniej wspierać córkę w jej drodze do normalności.

Najdłużej ze wszystkich trwało przesłuchanie Jake’a, który jest najbardziej użyteczny dzięki temu, że miał największy kontakt z porywaczami i sam znalazł Emily. Ja bardzo przeżyłam pytania policji, zwłaszcza to, dlaczego nie powiadomiłam natychmiast odpowiednich służb. „Chciałam to zrobić – odpowiedziałam. – Uważałam, że należy to zrobić, ale za bardzo się bałam. Oni zapowiedzieli, że ją skrzywdzą, jeśli skontaktuję się z policją”. Inspektor Owens zauważył wtedy, że i tak skrzywdzili Emily. Cóż, nie mogę go nienawidzić za to, że stwierdził prawdę. Emily była kopana i bita w brzuch. Najprawdopodobniej przez to straciła dziecko.

Policja zdaje się pewna, że trafi na trop porywaczy. Nie wiadomo, czy odzyskamy pieniądze, które Jake zgodnie z żądaniem przelał na zagraniczne konto, ale mnie najbardziej zależy, aby tych drani dosięgła sprawiedliwość. Chcę, żeby gnili w celi całymi latami.

Emily bez końca zapewnia nas, że nic jej nie jest. Bez wątpienia jest silna, ale to jeszcze nie znaczy, że otrząsnęła się z tragedii. W szpitalu spędziła trzy dni, a w domu jest od tygodnia. Głównie siedzi w swoim pokoju. Nie poszła do nowej szkoły, nie jest na to gotowa. Wykorzystując to, Logan się uparł, że sam wróci do starej placówki. Doszliśmy do porozumienia, że przez wakacje zastanowimy się, która szkoła będzie dla nich najlepsza, i podejmiemy decyzję wspólnie.

Postanowiłam podnieść temat starej szkoły, ponieważ uważam, że dzieciom przydadzą się dawni koledzy, ale też z tego powodu, że po wypłaceniu Fredowi jego trzech milionów raczej nie starczy nam pieniędzy na szkołę prywatną. Jake nie storpedował tego pomysłu; myślę, że jest świadom kruchości Emily. Z tego, co mi wiadomo, nie kontaktowała się z Ridleyem, odkąd została uratowana. Kiedy mu powiedziałam, że Emily poroniła, wyglądał, jakby bardzo mu ulżyło. Była to nieskomplikowana i zrozumiała reakcja. Zazdroszczę mu, ponieważ w przypadku Emily sprawa prawdopodobnie nie będzie tak prosta, skoro to ona nosiła ciężę. Przeklęta fizjologia czyni z kobiet ofiary pod każdym względem.

Tego wieczoru, gdy Logan udał się na zbiórkę harcerską jak co tydzień, Emily wyłoniła się ze swojego pokoju i powiedziała, że chce odwiedzić swoją przyjaciółkę Scarlett. To wspaniale, że czuje się na tyle dobrze, aby wyjść z domu i odnowić swoje życie towarzyskie. Natychmiast zawiozłam ją, gdzie trzeba, a ojciec Scarlett zgodził się wspaniałomyślnie dostarczyć Emily z powrotem przed dwudziestą drugą.

Nie jestem pewna, gdzie podziwia się Jake. Często go nie ma, a ja nie pytam, dokąd chodzi. To kwestia dawania sobie przestrzeni. A raczej strachu przed tym, że któreś z nas wyłoży wszystkie karty na stół. Zamierzam dziś napisać maila do Ellie, swojej dawnej szefowej w Biurze Porad Obywatelskich, z pytaniem, czy mogę wrócić do pracy, skoro nie jesteśmy już milionerami. Zamierzam też wydać obwieszczenie adresowane do opinii publicznej: powiemy, że rozdaliśmy wszystkie pieniądze na cele charytatywne; nie możemy się przecież przyznać do zapłacenia okupu w wysokości dziesięciu milionów.

Siedzę przed komputerem i mrozę się nad właściwym sformułowaniem tekstu, gdy ekran nagle czernieje. Ułamek sekundy później światła migoczą i gasną. W tle grała muzyka – teraz panuje cisza jak makiem zasiał; nawet lodówka przestała buczeć. Brak napięcia. Zwykły brak napięcia. Prawda? Ciemności mnie otulają, nie mam innego wyjścia, jak tylko czekać. A może ktoś odciął zasilanie? Czy pod dachem jest jeszcze ktoś poza mną? Jak to dobrze, że dzieci są poza domem. Kiedyś myślałam, że samotność jest przerażająca. Teraz wiem, że są o wiele straszniejsze rzeczy.

Nasłuchuję, czy odezwie się jakaś skrzypiąca deska albo czy zatrzeszczą drzwi. Rozglądam się też za telefonem. Gdzie go położyłam? Powinnam mieć go zawsze pod ręką, jak dzieci, jak Jake, ale że przez parę dni byłam pozbawiona komórki, odzwyczaiłam się od ciągłego jej pilnowania. Po prostu odkładam ją tam, gdzie akurat stoję, po czym w razie potrzeby szukam. Zaczynam ostrożnie chodzić po domu. Jest ciemno choć oko wykol. Rolety są opuszczone, blokując dostęp światłu ulicznych latarni; nie mogę ich podnieść, ponieważ oczywiście są elektryczne. Kombinacja prywatności, bezpieczeństwa i wygody sprawia, że jestem bezradna. Nawet gdybym potrafiła wyzbyć się strachu, że w domu jest

intruz – czego nie umiem – to nie znam rozkładu pomieszczeń na tyle dobrze, by poruszać się po nich pewnie po ciemku. Dlatego raczej skradam się po omacku.

Poszukiwania telefonu ujawniają, że nie ma go ani na stole kuchennym, ani na szafkach, ani w holu na konsolce, ani na żadnym ze stolików i pomocników rozsianych po salonie. Ostrożnie wchodzę na piętro, wodząc dłonią po chłodnej, nieznajomej powierzchni ścian, ścinam rogi i przekraczam progi. Nigdzie nie ma śladu obcego człowieka, ale trudno oczekiwać, aby włamywacz afiszował się ze swoją obecnością. Telefonu nie znajduję ani w sypialni na szafce nocnej, ani w łazience obok umywalki. Ostatecznie natrafiam na komórkę w garderobie, ostatnim miejscu, o którym pomyślałam, głównie dlatego, że nie jestem przyzwyczajona do posiadania osobnej garderoby.

Z telefonem w ręce czuję się znacznie pewniej. Komórka zdaje mi się liną ratunkową rzuconą przez ciemności i ciszę. Mogę zadzwonić do energetyki albo do Jake’a. Czy raczej na policję? Nic nie wskazuje, aby w domu ktoś był, ale lepiej dmuchać na zimne, prawda? Ze wszystkich osób, które przysły mi do głowy, dzwonię do Tomy.

– Lexi?

– Toma.

– Jak dobrze cię słyszeć! – Radość w jego głosie pokonuje dzielące nas tysiące kilometrów, przepelnia pomieszczenie, w którym się znajduję, wręcz je rozświetla, tak samo zresztą jak... nie będę tego przed sobą ukrywała... moje serce! – Co porabiasz?

– Cóż, w tej właśnie chwili siedzę w egipskich ciemnościach.

– Co?

– Nastąpiła przerwa w dostawie prądu. – Nagle ogarnia mnie pewność, że to właśnie to, nic więcej. Głos Tomy w słuchawce wystarczył, abym się

uspokoiła i zaczęła myśleć rozsądnie. Strach, który kazał garbić się moim ramionom, a tętnu przyśpieszyć, w końcu mnie opuszcza. Ale puls wciąż mam szybki. Wzdycham. – Och, Toma. Mam ci tyle do opowiedzenia.

– Opowiadaj, Lexi.

– Masz czas?

– Dla ciebie zawsze.

Jake wraca do domu grubo po północy. Zdążyłam już zadzwonić do matki jednego z harcerzy, by wyjaśnić sytuację z brakiem prądu, i załatwić Loganowi noc u kolegi. Zatelefonowałam także do Emily; nie zdziwiłam się, słysząc, że nie ma ochoty wracać do pogrążonego w ciemnościach domu. Stało więc na tym, że przenocuje u Scarlett. Przerwa w dostawie prądu to spora niedogodność, ale skoro dzieci przy tej okazji spędzą dodatkowy czas z przyjaciółmi... Jake, którego podrzuciła taksówka, wkracza do domu, pomagając sobie latarką w komórce. Po ciężkości jego kroku domyślałam się, że nie wylewał za kołnierz. Ciekawe tylko z kim.

– Dzwoniłem do drzwi, czemu mi nie otworzyłaś? Musiałem przeleźć przez płot. Rozdarłem sobie spodnie – narzeka, po czym, jakby po namyśle, pyta: – Dlaczego siedzisz po ciemku?

– Bo nie ma prądu.

– Nie ma prądu czy bezpiecznik się przepalił?

– Nie wiem.

– Nie sprawdziłaś?

– Nie mam pojęcia, gdzie są korki – mamroczę, na co Jake wybucha śmiechem, jakbym była zabawna, a nie upokorzona i sfrustrowana. Powinnam przecież wiedzieć, gdzie znajdę korki we własnym domu. – Poza tym to na pewno coś poważniejszego, na górze jest to samo.

– Nie pomyślałaś o tym, żeby do mnie zadzwonić?

Waham się.

– Komórka mi padła.

Nie wiem, jak w razie czego wyjaśnię, że w pierwszej kolejności zadzwoniłam do Tomy i przegadałam z nim cały wieczór, po czym zostało mi tylko tyle mocy w baterii, aby skontaktować się krótko z dwojgiem rodziców i zorganizować nieplanowane przyjęcie pizamowe zarówno Loganowi, jak i Emily. Opowiedziałam Tomie o porwaniu, krok po kroku; dobrze było to z siebie wyrzucić, czułam się niemal jak na terapii.

– Dlaczego pozwoliłaś się im zastraszyć? – zapytał mnie. – Dlaczego nie wezwałaś policji? Przecież to było pierwsze, co powinnaś zrobić.

– Okazałam słabość. Bardzo tego żałuję. Zawiodłam Emily. Po prostu myślałam, że skoro wszyscy myślą to samo, a ja co innego, w błędzie muszę być ja. Bałam się pogorszyć sytuację.

– Przecież Jennifer jest twoją przyjaciółką, tak? Na pewno by cię poparła nawet przeciwko twojemu mężowi.

To spostrzeżenie sprawiło, że opowiedziałam Tomie o romansie Jennifer z Jakiem.

– Przynajmniej byli ze sobą, nie wiem, czy nadal są. Może to stanowiło dodatkową komplikację. Może dlatego Jennifer wzięła stronę Jake’a. Trudno mi to wyjaśnić.

Toma milczał przez chwilę. Nieomal słyszałam, jak jego mózg pracuje.

– Nie musisz z nim zostać, Lexi.

Nagle zrobiło mi się wstyd. Jakbym dopuściła się zdrady. Chyba w stosunku do Jake’a, opowiadając o jego miłostce.

– Ludzie wdają się w romanse, Toma, popełniają błędy. Jake i ja jesteśmy razem od bardzo dawna. Nie zamierzam zrezygnować z tego małżeństwa przez jeden głupi błąd.

Naprawdę tak myślę, dlatego nie jestem pewna, czemu – teraz, gdy Jake jest już w domu – zaczynam się z nim kłócić.

– To było przerażające. Najpierw sądziłam, że to włamanie, a potem poczułam się jak w pułapce. Nie mogłam wyprowadzić samochodu z garażu, bo brama garażowa jest podnoszona elektrycznie. Wiesz, jak potwornie jesteśmy uzależnieni od gadżetów? Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić bez komputera i telewizora.

– Mogłaś popływać – podsuwa Jake. – Basen nie jest na prąd... – To nie do końca prawda; podgrzewacz i filtr wymagają energii elektrycznej, wiem jednak, o co mu chodzi. Ale tak się składa, że pływanie nie przyszło mi nawet do głowy. Jakoś jeszcze się nie przyzwyczyłam do tego, że mamy basen, a także siłownię i kino, skoro już o tym mowa. – Co robiłaś przez cały ten czas?

– Czytałam książkę – odpowiadam nadąsana. Tak naprawdę wcale mi nie brakowało komputera ani telewizora; miałam Tomę. Źle się czuję, okłamując męża. Prawie go pytam, co sam porabiał przez tyle godzin, ale przypuszczam, że w odpowiedzi też usłyszałabym kłamstwo.

Jake łapie za telefon i dzwoni do elektryka – czy raczej do zarządcy osiedla, który zadzwoni do elektryka. Trzeba kwadransa, żeby prąd wrócił; wszystko jest sterowane zdalnie. Ależ ze mnie idiotka, że przesiedziałam tyle czasu po ciemku, drżąc z obawy o swoje życie.

– Policja ma trop – oznajmia Jake ni stąd, ni zowąd.

– Tak? – Prostuję się podekscytowana. – Kto jest podejrzany? Jak do tego doszli?

– Dzięki temu, co Emily powiedziała o głosach porywaczy. I dziwnej transakcji na naszym rachunku bankowym. Nie podzielili się ze mną wszystkimi informacjami, ale wiem, że szukają mężczyzny nazwiskiem Toma Albu.

46

LEXI

ŚRODA, 12 CZERWCA

O świcie dzwonię do komisariatu i proszę o połączenie z inspektorem Owensem. Dyżurny mówi mi, że powinnam jak najszybciej stawić się osobiście. Kiedy się ubieram, Jake pyta, dokąd idę. Udzielam mu odpowiedzi, a on z miejsca chce mi towarzyszyć. Wzruszam ramionami; skoro chce, niech idzie. Muszę dostać się tam jak najszybciej, żeby wyprostować tę sprawę.

Zostajemy zaproszeni do pomieszczenia ze stojącym pośrodku niewielkim obdrapanym stolikiem z laminatowym blatem i trzema plastikowymi krzesłami. Poza tym nie ma tam żadnych innych sprzętów. Nie ma też okna, przez co powietrze wydaje się nieświeże, jakby zbyt wiele razy przeszło przez płuca różnych osób. Wbrew sobie myślę o tym, kto jeszcze tu przebywał: zatwardziali przestępcy, bezwzględne i bezlitosne typy spod ciemnej gwiazdy, ludzie winni zarzucanych im czynów i niewinni. Wydaje mi się, że wyczuwam woń ich strachu, być może też żalu, który ściekał z nich na wyłożoną płytkami podłogę. Krzesła ustawione są w ten sposób, że jedno znajduje się po bliższej, a dwa po dalszej stronie

obskurnego stolika. Już to może wzbudzić w człowieku lęk. Cieszę się, że jest ze mną Jake.

Zajmujemy miejsca koło siebie. Przesłuchanie, któremu zostałam poddana, odbyło się w domu; teraz sytuacja jest poważniejsza. Inspektor pojawia się w towarzystwie młodszego stopniem funkcjonariusza. Zwykle to dwaj policjanci przesłuchują jednego oskarżonego, zatem teraz młodszy stopniem – i wiekiem – funkcjonariusz nie ma gdzie usiąść. Opiera się o ścianę obok drzwi, powstrzymując się przed zgarbieniem, za co należy mu się pochwała.

– Ma pani coś przeciwko temu, żebym nagrał naszą rozmowę? – pyta inspektor Owens. Natychmiast przypomina mi się dochodzenie prowadzone przez firmę organizującą zakłady lotto przed kilkoma tygodniami, a zarazem wieki temu. Tak samo jak wtedy kiwam głową. – I na pewno chce pani, aby mąż był przy niej obecny? – Potakuję ponownie. – I nie chce pani zadzwonić po swojego prawnika?

– Nie. Czemu? Powinam?

– Decyzja należy do pani.

Inspektor Owens ma niezwykle posępną twarz, z rodzaju tych, które trudno sobie nawet wyobrazić uśmiechnięte. Przy pierwszym spotkaniu podobało mi się jego rzeczowe podejście; pomyślałam wręcz, że jeśli ktoś ma uzyskać szybkie rezultaty, to tylko on. Teraz jednak jego obecność mnie onieśmiela, jego fizjonomia odstrasza. Ludzie posępni rzadko przyznają się do błędów. Jeżeli ściga Tomę, traci tylko czas; ten sam czas, który powinien poświęcać na ściganie prawdziwych porywaczy.

– To nie Toma Albu porwał Emily. On nie ma z tym nic wspólnego – oświadczam stanowczo.

– Skąd pani to wie?

– Po pierwsze byłam z nim wtedy, gdy doszło do porwania, zatem ma niepodważalne alibi.

Inspektor Owens prostuje się na krześle, zmienia minę na lekko podekscytowaną.

– Toma Albu był na państwa przyjęciu?

Gdyby Toma był na naszej imprezie, stałby się z mety głównym podejrzanym.

– Nie. Ja byłam na jego przyjęciu. Po drugiej stronie miasta. Może o tym zaświadczyć spora grupa osób. – Nie patrząc na Jake’a choćby przelotnie, dodaje: – Toma Albu to przyjaciel.

– Przyjaciel?

– Tak. – Milknę. Oczywiście rozumiem możliwe konotacje, dlatego postanawiam od razu wziąć byka za rogi. – Przyjaciel i nikt więcej. Poznaliśmy się w pracy. Tak się złożyło, że w wieczór naszej imprezy Toma też wyprawił przyjęcie. Pożegnalne. Dlatego opuściłam na jakiś czas własne i pojechałam do niego.

– Dokąd Toma Albu się wybiera?

– Donikąd. Już wyjechał. Nazajutrz po imprezie wrócił do Mołdawii.

– Uciekł z kraju?! – krzyczy Jake, uderzając pięścią w stół.

Odwracam się do niego.

– Nie, nie bądź głupi. Po prostu wrócił do domu.

– Pochodzi z Mołdawii? Porywacze byli obcokrajowcami.

– Niejednemu psu na imię Burek. Tomy nie było w kraju przez większość czasu, jaki Emily spędziła w rękach porywaczy.

– Nie musiał być tu osobiście, wystarczy, że wszystkim zawiadywał na odległość – zauważa Jake.

– Nie robił tego! Nigdy by tego nie zrobił! – Tracę cierpliwość do Jake’a i ponownie zwracam się do inspektora: – Znam numer Tomy. Jeśli pan chce, może od razu do niego zadzwonić i wszystko wyjaśnić.

– Och, na pewno to zrobimy, proszę się nie martwić. My też znamy jego numer. Właściwie już wcześniej wiedzieliśmy, że jesteście... – chwila wahania – przyjaciółmi. Nie na darmo prześwietliliśmy państwa komórki.

Czerwienieję, co tylko mnie rozsierdza.

– Toma nie wiedział nic o porwaniu, dopóki mu nie powiedziałam wczoraj wieczorem. Był przerażony, kiedy o tym usłyszał.

– Rozmawiałaś z nim wczoraj wieczorem? – dziwi się Jake. – Dlaczego?

Zamiast odpowiedzieć na pytanie, kontynuuję:

– Po drugie te pieniądze, które zniknęły z naszego konta... Nie ma w tym nic tajemniczego. Dałam mu je z własnej woli.

– Dała pani swojemu przyjacielowi dwa miliony dziewięćset siedemdziesiąt sześć tysięcy funtów?

– Tak.

– A dlaczego?

– To był jego udział.

– Co pani ma na myśli?

Wiercę się, jakby było mi niewygodnie. Zerkam na Jake’a, w którego spojrzeniu dostrzegam... właśnie, co? Gniew? Przestrozę? Ból? Odpowiadam, ostrożnie dobierając słowa, w nadziei że zrozumie:

– Gdyby nasze liczby wypadły tydzień wcześniej, w wygranej mieliby swój udział nasi przyjaciele. Dwa małżeństwa, z których każde otrzymałoby nieco poniżej sześciu milionów, czy też cztery osoby,

z których każda otrzymałaby dwa miliony dziewięćset siedemdziesiąt sześć tysięcy funtów.

– Oczywiście nic takiego nie nastąpiło, ponieważ wszyscy wycofali się z syndykatu – zastrzega Jake.

– Co to ma wspólnego z panem Albu? – pyta inspektor.

– Przekazałam mu udział Patricka Pearsona.

– Dlaczego?

– Dlatego, że Patrick Pearson zamordował żonę i syna Tomy.

WTOREK, 23 GRUDNIA 2014

Reveka ostrożnie podała synkowi błyszczącą gwiazdkę, którą wykonała własnoręcznie. Potem usadziła go sobie na biodrze. Robił się coraz cięższy, ale wciąż wpasowywał się w to miejsce, jakby byli dwoma kawałkami układanki przylegającymi do siebie idealnie. Benke zarzucił matce za szyję jedną pulchną rączkę, po czym pewnie wygiął się do przodu w stronę drzewka, uszczęśliwiony, że może umieścić ozdobę na choince, ufny, że kobieta go utrzyma, że nie pozwoli, aby stała mu się krzywda. Przytknął gwiazdkę do gałęzi, ale nie zdołał zaczepić o nią tasiemki. Zwrócił na Revekę oczy przepełnione dumą i ekscytacją. Ucałowała z entuzjazmem jego twarz, wdychając słodki dziecięcy zapach. Gwiazdka była zrobiona z aluminiowej folii spożywczej i kawałka kartonu po płatkach śniadaniowych, rzeczy, które mieli w domu. Reveka kupiła tylko klej brokatowy, którym Benke wysmarował niezdarnie i radośnie wszystko, co się dało: gwiazdkę, blat maleńkiego stołu, swoje ubranko. Brokatu było więcej na jego rączkach niż na ozdobie choinkowej, co go zachwycało. Klaskał nimi i głośno powtarzał:

– Be sięta! Be sięta!

– Tak, tak, to będą twoje pierwsze święta, Benke – zaśmiała się Reveka. Delikatnie postawiła dziecko na ziemi i oboje cofnęli się o krok, aby podziwiać swoje dzieło. – Wygląda wspaniale! – oceniła.

Jeszcze z domu przywiozła sześć choinkowych ozdóbek. Benke nie potrafił oderwać wzroku od błyskotek migoczących barwami klejnotów. Niemal wpadł w histerię, gdy nie pozwoliła mu ich dotykać. Opanowała sytuację tylko dzięki swojej propozycji, aby to on decydował, gdzie która ozdoba się znajdzie. W tej chwili sześć bombek wisiało na poziomie wzroku chłopca, a reszta choinki świeciła pustkami. Reveka zamierzała zmienić aranżację wieczorem, jak już położy dziecko spać. Miała jeszcze do założenia lampki choinkowe, które kupiła w sklepie z różnościami za funta. Kosztowały ją dwa funty, nie jednego, ale co tam. Wiedziała, że niektórzy wieszają na choince tylko białe lampki, jednak ona przepadała za tymi kolorowymi. Oglądała raz film zatytułowany *Śniadanie u Tiffany’ego*. Piękna aktorka grająca główną rolę była uboga i czuła się najszcześliwsza w sklepie jubilerskim U Tiffany’ego. Reveka nie uważała, by główna bohaterka wyglądała na ubogą; to prawda, że była bardzo szczupła, ale szczupłością piękna, nie biedy. Mimo to przesłanie filmu do niej trafiło – bardzo jej się podobał. Jej jubilerem był sklep z różnościami za funta. Wieczorem, gdy Benke będzie już spał, zawinie jego prezenty w papier ozdobny, który tam kupiła. Był cały w małe uśmiechnięte renifery. Wieki jej zabrało, zanim się zdecydowała, jaki wzór wybrać. Z wstążki jednak zrezygnowała. Wszystkie były bardzo ładne, ale Reveka nawet w Boże Narodzenie musiała oszczędzać.

Nalała wody do wanienki, sprawdziła temperaturę i łagodnym gestem zanurzyła gaworzące niemowlę. Zawsze było tak samo; nawet pełen atrakcji dzień nie nużył chłopca, przeciwnie – przydawał mu energii. Benke paplał coś niezrozumiale, szczęśliwy w swoim bajkowym świecie, gdzie

puste opakowanie po szamponie uchodziło za raketę, która była w stanie wzbić się w niebo i sięgnąć gwiazd.

– Myślisz, że zostaniesz astronautą, gdy dorośniesz? – zapytała syna Reveka, doskonale wiedząc, że malec nie wie, o czym ona mówi. Benke pokiwał zamasyście główką. – A może inżynierem? – Znów ten sam zgodny gest. Cieszył się, że jego mama jest ucieszona. – Możesz zostać, kimkolwiek zechcesz – szepnęła do niego Reveka. Głos przy tym prawie uwiązał jej w gardle ze wzruszenia. Naprawdę w to wierzyła, ale wierzyła też, że im częściej będzie to powtarzać, tym łatwiej jej marzenie się spełni. – Dlatego tu przyjechaliśmy, Benke. Żebyś mógł się uczyć. Żebyś miał perspektywę. Żebyś został, kimkolwiek zechcesz...

Po raz pierwszy od dawna miała podstawy wierzyć, że tak właśnie będzie. W mieszkaniu nareszcie zrobiło się ciepło. Bogu dzięki, że właściciel naprawił ten piecyk. Wcześniej przez dwa lata musieli ogrzewać lokal niedużym elektrycznym grzejnikiem, który przenosili z pomieszczenia do pomieszczenia, zależnie, gdzie spało dziecko. Ogrzać całe mieszkanie – nawet tej wielkości – było nie lada wyczynem przy takim sprzęcie, a w dodatku pochłaniało to mnóstwo pieniędzy. Ilekroć pręty się rozjarzały, Reveka czuła się rozdarta – z jednej strony była zadowolona, że wewnątrz odtaje, z drugiej martwiło ją takie marnotrawstwo. Wołała już się ciepłej ubrać, włożyć kolejny sweter albo kolejną parę rajstop pod spodnie. Minionej zimy Benke był tak opatulony w liczne warstwy dziecięcych ciuszków, że wyglądał jak pisanka! Włączała grzejnik, kiedy byli wszyscy w domu; gdy chodziło tylko o nią i chłopca, zakutana spacerowała ulicami, żeby się rozgrzać. Pchała wózek od sklepu do sklepu, gdzie później się kręciła bez zamiaru kupienia czegokolwiek – do momentu, aż zaczynał za nią łązić ochroniarz albo ekspedientka po raz enty zapytała ją, czym może służyć. Dopiero wtedy wychodziła, zawstydzona, i udawała się do

biblioteki, swojego ulubionego miejsca na świecie. Darmowe książki, wygodne siedziska, ciepłe powietrze – niestety płaczące niemowlęta nie były mile widziane przez bibliotekarki. Stopy Reveki często przypominały bryły lodu, wtedy z rozpaczy wystawała w toalecie publicznej przy rynku, nauczyła się nawet ignorować smród. Mieszkanie tak zimne jak ich nie było prawdziwym domem!

W tym roku jednak zadziałała świąteczna magia. Piecyk został naprawiony, powietrze się nagrzało, z kranu leciała ciepła woda. Dzięki temu mogli tej zimy spędzać więcej czasu w domu. Dziś na przykład w ogóle nie musieli wychodzić na zewnątrz. Lepiej siedzieć w przytulnym i bezpiecznym wnętrzu, zamiast błąkać się bez celu po ulicach. Mężczyzna, który przyszedł naprawić piecyk, był bardzo młody, miał jeszcze mleko pod nosem. Ubrany był zwyczajnie, nie w roboczy kombinezon, nie okazał też żadnej legitymacji. Wypił herbatę, którą mu zaproponowała, zjadł trzy herbatniki z tacy (wyłożyła tylko trzy, ale i tak wraz z synem musiała się obejść smakiem). Wyrostek bardzo dużo mówił. Nie rozumiała wszystkiego. Może powiedział, że wciąż się uczy. Może, że sobie dorabia. Żeby mieć na piwo. Często pracował dla pana Pearsona.

– Jako złota rączka – pochwalił się. – Nic nie ma przede mną tajemnic.

Reveka nie miała pojęcia, kim jest pan Pearson. Nie obchodziło jej to. Grunt, że w mieszkaniu zrobiło się ciepło.

Brokat odkleił się od rączek niemowlęcia i zaczął się unosić w wodzie. Reveka ziewnęła, na co Benke też natychmiast otworzył szeroko usteczka, pokazując maleńkie ząbki jak perełki. Kąpiel chyba go uspokoiła. Reveka wyjęła malca z wody i owinęła ręcznikiem. Głowa ją bolała. Benke ciągnął się za ucho, zupełnie jak wtedy, gdy coś go bolało. Może znowu ząbkował? Miała nadzieję, że nie złapali przeziębienia ani grypy. Nikt nie lubi być chory w święta.

Ubrała chłopca w miękką bawełnianą piżamkę, a on zasnął, zanim przyłożył głowę do poduszki. Pochyliła się nad kołyską i ucałowała go na dobranoc. Powinien już mieć własne łóżeczko. Może po świętach znajdą jakieś w sklepie charytatywnym. Kiedy się prostowała, zakręciło się jej w głowie. Pokój zawirował, ona poczuła lekkie mdłości. Miała jeszcze tyle do zrobienia. Pomijając pakowanie prezentów, chciała dokończyć prasowanie i przygotować kolację na powrót Tomy. Zależało jej, aby po przyjsciu do domu czekał na niego smaczny posiłek. Tak ciężko pracował. Podwójne zmiany w fabryce go wykańczały. Był na nogach przez cały dzień – w szumie i hałasie. Nigdy się jednak nie skarżył.

Przeszła do kuchni, sięgnęła po nóż i cebulę, ziemniaki oraz marchew, żeby je pokroić. Ale ból głowy się nasilał. Może powinna usiąść? Albo nawet się położyć? Tylko na parę minut. Była taka zmęczona. Chciało jej się spać. W pewnym momencie upuściła nóż, który wylądował tuż obok jej stopy. Spojrzała na niego, nic nie rozumiejąc. Co się dzieje? Dlaczego kuchnia się kołysze? Reveka upadła na czworaki. Coś było nie tak. Ale co? Zaczęła się czołgać do pokoju, w którym spało niemowlę. Znienacka przeniknął ją strach. Musiała zobaczyć syna. Zachorowała. Czy on też zachorował? Niemrawo przebierała rękami i nogami, byle posuwać się do przodu. Tak bardzo chciało jej się spać, choćby tu, na linoleum w kuchni. Bardziej jednak pragnęła sprawdzić, co z dzieckiem. Zawlekła się do pokoju, rozjaśnionego złocistym blaskiem lampki w kształcie traktora. Benke leżał tam, gdzie go zostawiła. Spał głęboko. Kompletnie nieruchomy. Pomyślała, że musi mu się coś śnić. Coś o gwiazdach i prezentach, i świątecznych smakołykach. Tyle że zawsze kiedy spał, drgały mu powieki. A teraz nic.

Reveka wyciągnęła rękę, żeby palcami sięgnąć między szczebelkami kołyski. Była tak znużona, że nie miała szans dotrzeć do własnego łóżka,

zresztą nie chciała nigdzie się ruszać. Musiała złapać jakiegoś bakcyła. Głowa dosłownie jej pękała. Co za ból... Toma niedługo przyjdzie do domu. Poda jej paracetamol. Sama nie mogła go sobie wziąć. Nie chciała zostawiać syna. Położyła się na podłodze obok kołyski. Bliziotko, na wypadek gdyby się obudził i ją wołał.

48

EMILY

CZWARTEK, 20 CZERWCA

Orany. W sprawie mojego porwania aresztowano Patricka Pearsona! Mama i tata nie mogą dojść do siebie. Ciekawe, czy chcieli mi o tym powiedzieć. Cóż, musieliby prędzej czy później, ale założę się, że nie wiedzieliby, jaki moment wybrać. Tak się jednak złożyło, że podsłuchałam ich rozmowę w kuchni.

– Dzwonił inspektor Owens – mówi mama.

– Tak – odpowiada tata.

Ostatnio rodzice dziwnie ze sobą rozmawiają. Jakoś tak sztywno i gniewnie. Nie mam pojęcia, czy to przez stres związany z moim porwaniem, czy przez coś innego. Wydaje mi się, że trwa to już od pewnego czasu. Ale nie jestem pewna. W każdym razie wygląda to tak, jakby nieustannie spodziewali się usłyszeć złą wiadomość albo mieli ją właśnie przekazać. Coś w tym stylu. Tęsknię za nimi, bo ja wiem, normalnymi. Zawsze byli przy sobie odprężeni i mili dla siebie nawzajem.

– Policja sprawdziła alibi Tomy, a że środki, które ma na koncie, są poświadczonym prezentem ode mnie, wszystkie zarzuty wobec niego upadły.

O kim mama mówi? Kto to jest Toma? Siedzę u szczytu schodów, które prowadzą prosto do kuchni; rodzice stoją do mnie tyłem, nie wiedzą więc, że podsłuchuję. Zabawne, mieszkamy w gigantycznym domu, ale że wszystko jest w otwartym planie, skończyły się sekrety. A może raczej sekretów jest mnóstwo, ale łatwiej je poznać teraz niż wtedy, gdy mieszkaliśmy w naszym małym domu, bo tam każdy siedział za zamkniętymi drzwiami. Założę się, że tata tego nie przemyślał przed podpisaniem umowy najmu.

– I co teraz?

– Inspektor twierdzi, że przesłuchują kogoś innego.

– Kogo?

– Patrycka Pearsona.

– Patrycka Pearsona?! – powtarza osłupiały tata.

– Tak. Jeszcze go nie aresztowali, ale moim zdaniem to tylko kwestia czasu. – Mama wydaje się usatysfakcjonowana, całkiem jakby postawiła na swoim.

– Cholera. – Tata cofa się o krok, zatacza, łapie za blat, jakby potrzebował wsparcia.

Mama wsuwa mu ręce pod pachy i gładzi go po plecach, zupełnie jak dziecko.

– Wiem, to duża sprawa. Inspektor twierdzi, że jego ludzie wytropili cyfrowy ślad prowadzący z naszego konta do licznych zagranicznych rachunków bankowych z dużymi depozytami.

– Jak dużymi?

– Tego mi nie powiedział.

– Jesteś pewna, że to nie jeszcze jeden z twoich hojnych prezentów?

– Cha, cha. Bardzo śmieszne, Jake – odpowiada mama oschle.

– Mówię poważnie.

– Oczywiście, że nie dałam mu ani pensa! Nienawidzę go! – Tata potakuje, ale nie patrzy na mamę. Ona za to gapi się na niego, próbując nawiązać kontakt wzrokowy, żeby przeniknąć jego umysł. Była w tym bardzo dobra. Kiedyś twierdziła, że zna każdą jego myśl, po czym dodawała żartem, że to nietrudne, skoro dotyczą one wyłącznie jedzenia albo sportu. Sądzę, że obecnie ma na głowie znacznie więcej. – Na pewno ciężko ci się pogodzić ze zdradą. To musiał być ogromny szok.

– Nie, nie o to chodzi. To znaczy tak, o to też. Ale... – Tata potrząsa głową. Wygląda na oszołomionego.

– Ale to też duża ulga, prawda? Skoro już wiemy, kto stał za porwaniem, możemy być spokojniejsi o dzieci. – Mama mówi przenikliwym głosem. Widzę ją z profilu. Wygląda na zaciętą, rozwścieczoną. Nagle jej rysy miękną, a ona wybucha płaczem. Taka już jest; wykazuje agresję na moment przed tym, zanim okaże słabość. Powinna chyba pić melisę czy coś. – Mnie też to podłamało – dodaje. – Od miesiący wiedziałam, jakim jest zbrodniarzem, ale nigdy nie sądziłam, że skrzywdzi naszą córkę, dziecko, które zna praktycznie od urodzenia. To pokazuje, jakie mam klapki na oczach. Skoro przez swoje zaniedbanie i chciwość zabił żonę i syna Tomy, dlaczego nie miałyby zorganizować porwania? – Zaraz, zaraz! Patrick kogoś zabił? Czyjeś dziecko? Tymczasem mama mówi jeszcze: – Brzydzę się tym człowiekiem. Widziałeś ją, Jake. Widziałeś, w jakim była stanie.

– Wiem, wiem... – Tata wygląda tak, jakby miał się zaraz rozpłakać. Odkąd mnie znalazł, jest wrakiem człowieka.

Właściwie dotyczy to ich obojga, tyle że mama stara się robić dobrą minę do złej gry, aby mnie nie martwić. Tata wodzi za mną wszędzie spojrzeniem; zranionym, przestraszonym, pełnym smutku. Wolałabym, żeby tego nie robił. Mnie samej jest wystarczająco ciężko.

Teraz przygarnia mamę do swojej piersi, a ona jakby wiotczeje przy nim. Wzdrygam się. Tak, jestem już w domu. Nic mi nie grozi. Ale mama ma rację – porywacze nieźle mnie urządzili. Prawie odjechałam. To było okropne, gorzej niż okropne. Przykładam dłoń do brzucha. Czuję się pusta. Odkąd... no wiecie. A nie byłam nawet pewna, czy chcę je zatrzymać. Właściwie to chyba tego nie chciałam. W takim razie dlaczego jestem taka smutna? Powinno mi ulżyć. Że nie muszę podejmować decyzji. Lekarz powiedział, że wszystko będzie dobrze, to znaczy w przyszłości, jak będę starsza i z kimś się związę. Powinnam się więc cieszyć. Tyle że jakoś nie mogę. Nie tak do końca. Jest mi bardzo smutno. Staram się jednak nie myśleć o tym za dużo. Tak jest lepiej. Ale nawet jak odpycham od siebie myśli, fragmenty wspomnień wracają. Nic spójnego, raczej pojedyncze dźwięki, zapachy. Dławi mnie od tego. Jakbym wciąż miała w ustach knebel raniący mi kąciki warg. Czuję fakturę materiału, chcę się go za wszelką cenę pozbyć. I ten smród. Zawilgoconego, zatechłego materaca. Wciąż mam go w nozdrzach, robi mi się od niego niedobrze i słabo. A perfumami tamtej kobiety przesiąkły moje włosy. Co jest niemożliwe, bo perfumy tak się nie przenoszą, a nawet gdyby, to od powrotu do domu myłam głowę wiele razy. Mimo to zapach mnie prześladowuje.

– Idę do Megan! – oznajmiam głośno, schodząc na dół.

– Co takiego? Nie! Skąd ten pomysł? – Mama oswobadza się z uścisku taty i zwraca twarz w moją stronę. W jej oczach czai się zmartwienie, jak zawsze ostatnio.

– Właśnie usłyszałam, że Patrick został aresztowany.

– Przesłuchują go – koryguje mnie mama.

Nie krzyczy na mnie, że podsłuchiwałam ich rozmowę, ani nic z tych rzeczy. W ogóle od czasu porwania i tej sprawy z ciążą rodzice traktują mnie jakoś inaczej. Inaczej niż kiedyś i każde z nich inaczej. Z mamą jestem bliżej. Ona... bo ja wiem, zaczęła mnie nawet szanować jak drugą dorosłą kobietę. Tata czuje się raczej zażenowany. Podejrzewam, że żadne z nich nie widzi już we mnie swojej małej córeczki.

– Wyobrazasz sobie, przez co ona musi przechodzić? Jej ojciec okazał się zwykłym kryminalistą.

Tata, który praktycznie jest bohaterem – wynegocjował moje uwolnienie, odnalazł mnie i zawiózł do szpitala – przejmuje inicjatywę, mówiąc do mamy:

– Zawiozę ją, nie powinna chodzić sama. Ty zostań w domu z Loganem. Wrócimy niedługo.

Mama, która na pewno ma mnóstwo obiekcji i bez wątplenia sama chciałaby ze mną pojechać – nie po to, by pocieszać Carlę, ale jeśli już, wyrznąć ją w nos czy coś w tym stylu – wydaje się rozdarta.

– Przyjaźnimy się od wieków – tłumaczę jej.

– Logan nie może zostać sam – dorzuca tata.

Co zrozumiałe, mama jest ostatnio przeczulona na punkcie naszego bezpieczeństwa. Nawet jeśli Patrick zdążył trafić za kratki, na świecie nie brakuje chciwych szaleńców. Mama nie pozwoli, aby Logan był sam w domu. Ostatecznie więc kiwa głową na zgodę.

49

EMILY

Jedziemy do Pearsonów w milczeniu. Tata patrzy na drogę przed sobą, wyraźnie spięty i zestresowany. Wszyscy ostatnio tacy jesteśmy. Tata i ja nie spędziliśmy wiele czasu sam na sam, odkąd mnie znalazł w tamtej stodole. Unika mnie. Kiedy wchodzę do pokoju, w którym on jest, pod byle pretekstem opuszcza pomieszczenie, mówiąc, że idzie poszukać książki albo coś zrobić. Ewidentnie nie czuje się przy mnie swobodnie. Ja przy nim też. To zrozumiałe.

Wszystko przez tę ciążę.

Nie porusza ze mną tego tematu. Nie zająknął się nawet słowem. To też rozumiem. Widział, jak dziecko wypływa ze mnie razem z krwią; nie może zaprzeczyć, że jego księżniczka uprawiała seks. Przelykam ciężko i zaczynam żuć wewnętrzną stronę policzka, jakby to była guma. Dzięki temu nie płaczę. Nie mam pojęcia, czy tata jest na mnie zły o ten seks. To znaczy w normalnych okolicznościach byłby wściekły, rozwścieczony. Ale sytuacja jest bardziej skomplikowana. Może wcale nie jest zły, tylko smutny, że tak to się potoczyło? Nie wiem. Mama twierdzi, że on nie potrafi tego przeboleć. Ojcowie są od tego, żeby chronić swoje córki, prawda? Mamie też jest trudno dojść z tym wszystkim do ładu. Mówiąc mi to, płakała. „Tak mi przykro, że nie zapewniliśmy ci bezpieczeństwa, że cię

nie uchroniliśmy...” – powtarzała bez końca. A przecież to nie ich wina. Nie oni mnie zbili i wrzucili do furgonetki. Chyba dobrze, że na razie nie zostanę matką. Naprawdę nie poradziłabym sobie z ciągłym poczuciem winy, które wiąże się z rodzicielstwem.

Nie mogąc znieść dłużej tej ciszy, pytam:

– Myślisz, że to naprawdę on?

– Wystarczy, że policja tak myśli.

– Ale dlaczego to zrobił? Dlaczego zrobił to mnie?

Patrick nie jest takim dobrym ojcem dla Megan i jej braci, jak mój tata dla mnie i Logana. Nasz tata żartuje z naszymi kolegami i robi nam gorącą czekoladę, gdy zostają na noc. Po przebudzeniu w sobotę proponuje, żebyśmy zaszaleli w parku linowym albo na zakupach w Londynie. Ojciec Megan nawet z nią za dużo nie rozmawia (no dobra, mój tata też zrobił się milczący, ale to tylko przejściowe). Patricka prawie nigdy nie było; wychodził do pracy, zanim Megan wstała, a kiedy wracał do domu, poluzowywał krawat i prosił Carłę, żeby przygotowała mu drinka – a robił to takim tonem, że dzieci, które były w pobliżu: jego własne albo znajomych, od razu wiedziały, że lepiej się zmyć. Wyglądało na to, że ceni pracę wyżej niż rodzinę. Wiem, że zdaniem Megan mój tata był znacznie lepszy, ale nie znaczy to, że Patrick nie miał żadnych zalet. Kupował jej fajne rzeczy, pomagał w zadaniach z matematyki. Nie był beznadziejnym ojcem. Przynajmniej do niedawna. Bo już porwanie, przetrzymywanie wbrew woli, wymuszenie okupu to beznadzieja. Całkiem nowy poziom beznadziei.

Oczy taty są zaczerwienione i załamane, chyba ma katar sienny. Bo niemożliwe, żeby płakał, prawda? Dlaczego miałby płakać? Rozumiem płacz w szpitalu, kiedy byłam cała posiniaczona i w ogóle, ale teraz? Gdy

policja rozwiązała już zagadkę i złapała winnego? Nadal na mnie nie patrząc, odpowiada jednak na moje pytanie:

– Przeszło mu koło nosa sporo pieniędzy, naprawdę sporo, i to mogło skierować go na złą drogę. Ludzie są zdolni do strasznych rzeczy, gdy chodzi o takie pieniądze, jakie my wygraliśmy.

Kiedy zatrzymujemy się pod domem Pearsonów, robię się nerwowa. Mogę się przecież mylić. Intuicja może mnie mylić. Megan najprawdopodobniej ma mnie za wariatkę albo przynajmniej nie chce mnie widzieć na oczy. Co wtedy?

A jeśli się nie mylę? Jeśli Megan była tam wtedy ze swoim ojcem i to ona podała mi wodę, pomogła mi? Mówię szczerze – byłam wtedy na samym dnie. Jej dobroć mnie uratowała. Nie chodzi mi o to, że było dennie, tylko że ja znalazłam się na dnie, miałam mrok w głowie i sercu. Myślałam, że umrę. Myślałam, że mnie zabiją. Leżałam we własnych sikach i krwi. W cały swoim życiu nie czułam się bardziej opuszczona ani przerażona.

Pamiętam dźwięk zatrzymującego się samochodu. Głosy. Pewnie kazano jej zostać w aucie. Pewnie o niczym nie wiedziała. Megan jednak rzadko słucha poleceń. Jest zbyt ciekawska, aby siedzieć w samochodzie, kiedy dzieje się coś ważnego. Mogę sobie tylko wyobrażać, że wysliznęła się z auta i zakradła do stodoły, aby się przekonać, z kim umówił się jej ojciec. Na mój widok musiała nieźle się zestrachać. Czy to ona skontaktowała się z tatą? Nikt mi nie powiedział, jak tata właściwie mnie znalazł. Ponoć dowiem się wszystkiego, jak będę gotowa. Słyszałam jedynie, że tata dostał cynk i zaczął działać. Nie zadzwonił nawet na policję, tylko sam tam wparował, nie dbając o własne bezpieczeństwo – tak mu zależało, żebym wróciła do domu. Niestety informacja o miejscu mojego pobytu nadeszła dopiero po tym, jak przelał pieniądze. Ktoś się jednak do niego odezwał. Ktoś próbował pomóc. Tata otrzymał mapkę

z zaznaczoną lokalizacją. Dzięki temu mnie uratował. A Megan uwielbia wysyłać mapki. Nie znam nikogo innego, kto by to robił. Kto wie, co by było, gdyby tego nie zrobiła? Czy Patrick, mając już pieniądze na swoim zagranicznym koncie, kazałby tamtym ludziom mnie zabić? Nie wiem, ale wszystko jest możliwe. Na szczęście na widok taty uciekli. Megan ocaliła mi życie.

Otwiera nam Carla. Nie wydaje się zdziwiona naszą obecnością. Obejmuje tatę za szyję, praktycznie się na nim uwiesza, i wybuch płaczem. To zaczyna być nudne. Wszyscy dokoła płaczą. Stoję więc tylko i czekam. Po jakimś roku Carla przypomina sobie o mnie i rzuca:

– Megan jest w swoim pokoju.

Trochę to niegrzeczne, nawet nie zapytała, jak się czuję. Z drugiej strony nieco mi ulżyło; wszyscy obchodzą się ze mną jak ze śmierdzącym jajkiem, dobrze więc wiedzieć, że ktoś jeszcze traktuje mnie normalnie. Nie trzeba mi mówić dwa razy. Pędzę po schodach na górę.

Zatrzymuję się dopiero przed tabliczką z napisem: „Pokój Megan. Za tymi drzwiami zastaniesz bałagan. Wchodzisz na własne ryzyko”. Ja też mam taką, to znaczy z początkiem: „Pokój Emily”. Kupiliśmy je sobie w Camden Market, jak miałyśmy może dziesięć lat. Pojechaliśmy do Londynu, bo nasze mamy chciały nam pokazać wystawę klejnotów koronnych w Tower. Korony mi się podobały, były takie lśniące, że aż raziły w oczy, ale najlepsza część wycieczki zaczęła się dopiero później. Chodząc po targu różności, Ridley narzekał, że nigdzie nie ma takiej tabliczki z jego imieniem. Żartowałyśmy z niego i mówiłyśmy mu, że nie należy do naszego klubu. Nie mam pojęcia, gdzie jest teraz moja tabliczka; do przeprowadzki leżała pewnie na dnie jakiejś szafy. Może trafiła na poddasze albo do jednego z worków, które oddaliśmy do sklepu charytatywnego. Zawsze mnie bawiło, że Megan wciąż trzyma swoją na

drzwiach. Z jednej strony zależy jej, aby traktowano ją jak dorosłą, z drugiej potrafi zrobić coś głupiego, co tylko potwierdza jej status dziecka. Ma też jeszcze jedną supermoc. Potrafi coś niefajnego uczynić fajnym przez to, że nie zwraca najmniejszej uwagi na niefajność.

Stęskniłam się za nią.

Jak się ostatnio widziałyśmy, tłukła mnie w szkolnej toalecie.

A może podawała mi wodę i czekoladę?

Nadal stoję przed drzwiami, zbierając się w sobie, aby zapukać, a może zwyczajnie otworzyć je i wejść do środka, gdy z dołu rozlega się wołanie Carli:

– Twój tato podrzuci mnie do sklepu. Przez to wszystko nie mamy w domu nic na kolację. Mówi, żebyś została.

Oczywiście Megan to słyszy i pierwsza otwiera drzwi na oścież. Próbuję udawać, że dopiero weszłam po schodach i że wcale nie sterczałam tutaj jak głupia, zbierając się na odwagę, aby zapukać. Mierzy mnie wzrokiem, ale milczy. Nie zapowiada się, aby miała coś odpowiedzieć Carli, dlatego odkrzykuję:

– Dobra!

– Pilnuj braci, Megan. A ty, Emily, wyślij swojej mamie esemesa, że zostajesz na trochę.

Tata musi wiedzieć, że ta wiadomość nie ucieszy mamy, dlatego zrzuca to na mnie. Dzięki, tato. Postanawiam, że esemesa wyślę za jakiś czas, na razie to odwlekam. Stoimy obie w przedpokoju, czekając, aż rodzice wyjdą i zatrzasną za sobą drzwi. W końcu słychać ryk silnika ferrari.

– Strasznie chciała się nim przejechać – stwierdza Megan, przewracając oczami. – Przysięgam ci, że w domu nie brak jedzenia. Po prostu znalazła wymówkę, aby gdzieś ją zabrał tym swoim ferrari. Jest taka płytka.

– Nooo.

Megan szczerzy się w uśmiechu, po czym chwyta mnie i przyciąga do siebie, zamykając w mocnym uścisku.

– Ale samochód faktycznie jest zajebisty – mruczy w moją szyję.

Odpowiadam coś niewyraźnie. Robię wdech i wiem już, że się nie myliłam. Oczywiście, że nie. Zapach Megan jest równie znajomy jak mój własny.

50

LEXI

Gram z Loganem w grę FIFA; on jest Manchester City, ja – Real Madryt. Przegrywam trzy razy z rzędu. Przychodzi wiadomość od Emily: zostaje u Megan na kolację. Nie wiem, co o tym myśleć. Emily potrzebuje teraz przyjaciół bardziej niż kiedykolwiek, ale jak Megan może być jej przyjaciółką, skoro Patrick odpowiada za porwanie? Muszę to w sobie przetrawić. Na razie więc odpuszczam. Emily potrzebuje trochę swobody. Zamawiam dla nas pizzę z dowozem. Logan jest uszczęśliwiony. Uśmiecham się do niego, zadowolona, że tak łatwo sprawić mu radość. Jake się nie odzywa. Przypuszczam, że albo je kolację razem z nimi, albo poszedł na siłownię. Czy gdzie indziej? Na przykład do Jennifer?

Ta myśl nie daje mi spokoju. Chcę się z niej otrząsnąć, ale nie mogę zapomnieć, iż całymi latami sądziłam, że wiem, gdzie jest mój mąż i co robi. A nie wiedziałam.

Logana nudzi ciągle wygrywanie ze mną, oznajmia więc, że teraz pogra z kolegami w sieci. Cieszyłam się, że spędzamy razem czas, ale szczerze nienawidzę gier wideo, dlatego czuję ulgę. Schodzę na dół, do kuchni, i nalewam sobie kieliszek wina.

Nie planuję tego. Mam zamiar sięgnąć po książkę i zanurzyć się w innym świecie, ale przypadkiem trafiam do gabinetu Jake’a. Skoro już

tam jestem, włączam jego komputer. Kontrolę nade mną przejęła podświadomość, a moje ciało tylko spełnia jej rozkazy. Kiedy komputer uruchamia się z szumem, zaczynam otwierać szuflady biurka. Bezmyślnie przeglądam papiery. Sama nie wiem, czego szukam – maili czy liścików od niej, billingów telefonicznych świadczących, że wciąż są w kontakcie. Zastanawiam się, czy Jake zmienił hasło. Kiedyś była to data naszego ślubu.

51

EMILY

Wpokoju Megan panuje porządek. Zawsze tak było. Ridley i ja nabijaliśmy się z niej i mówiliśmy, że ma zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne, ale mama zabroniła nam tego, tłumacząc, że choroby psychiczne nie powinny być tematem żartów, a poza tym to, że nastolatka ma czysto w pokoju, nie znaczy jeszcze, że coś jest z nią nie tak. Mama często zdobywa się na taką szlachetność.

Megan siada na taborecie przed toaletką, a ja na schludnie zasłanym łóżku, które równie dobrze mogłoby należeć do karnego żołnierza. Żałuję, że wokół nie ma bałaganu, że nie mogę czegoś podnieść i zająć tym rąk. Oraz myśli.

– Posłuchamy muzyki? – pyta Megan. Kiwam głową. Włącza najnowszą płytę Billie Eilish. Ja też niedawno ją ściągnęłam. Fakt, że nadal słuchamy tej samej muzyki, podnosi mnie na duchu. Nie oddaliśmy się od siebie tak bardzo, jak myślałam. To mówi coś o naszej przyjaźni i o nas samych. – No więc? Gdybyś miała opisać jednym słowem to wszystko, co się ostatnio wydarzyło, co byś powiedziała? – pyta w końcu.

Wzruszam ramionami. Tylko jedno słowo? Bogactwo? Euforia? Samotność? Przerazenie? Ostatecznie decyduję się na:

– Cięża.

– Serio? – Oczy ma wielkie jak spodki. – Jesteś w ciąży?!

Chce mi się śmiać. Zszokować Megan nie jest łatwo, pewnie dlatego, że z nas dwu to ona jest bardziej brawurowa. Zawsze sprawiało mi przyjemność, kiedy zdołałam zrobić na niej wrażenie. Teraz jednak nie jest mi wcale przyjemnie, gdy muszę dodać:

– Byłam. Straciłam dziecko. Podczas porwania.

Megan kiwa głową i wygląda przez okno.

– Smutno ci? – pyta.

– A co ja bym robiła z dzieckiem?

– Bo ja wiem... – Wzrusza ramionami. – Tuliła je?

Tak, to mogłabym robić. Kładę się na wznak na jej łóżku i pozwalam płynąć gorącym łzom po policzkach, spadać na jej nieskazitelną pościel. Megan wstaje z taboretu i kładzie się obok mnie.

– Powiedziałaś Ridleyowi?

– Tak.

– Jak zareagował?

– Nie chciał o tym słyszeć. Przypuszczam, że się cieszy. Chyba chodzi teraz z Evie Clarke.

– To nie potrwa długo – zapewnia mnie jak lojalna przyjaciółka.

– Wszystko mi jedno.

– Nieprawda.

– Nieprawda – potwierdzam.

Ujmuje mnie za rękę i nic więcej nie mówi. Leżymy tak przez całe wieki. Światło w pokoju się zmienia, staje się najpierw pomarańczowe, potem różowe. Słońce zaczyna zachodzić. Czuję spokój. Czuję, że jestem tu, gdzie być powinnam.

– Przepraszam za to, co ci zrobiliśmy. No wiesz, wtedy w toalecie. – Megan mówi niewyraźnie. Jest zawstydzona. Przepraszanie nie przychodzi jej łatwo.

– Nic się nie stało. – Tamto należy do odległej przeszłości; odtąd przytrafiło mi się wiele gorszych rzeczy. – Dlaczego byłaś na mnie taka zła? Chyba wiedziałaś, że podzieliłabym się z tobą dosłownie wszystkim?

– Mama twierdziła, że to niesprawiedliwe – tłumaczy Megan.

– Te zakupy zabierają im wieczność – zauważam.

– Pewnie poszli do pubu. Mają sobie wiele do powiedzenia. Albo moja mama dostała wezwanie na policję. – Megan ma spojrzenie wbite w sufit.

Zerkam na nią. Jest mi tak dobrze w tej chwili, gdy leżę obok niej skąpana w naszej przyjaźni i czerwieniejącym zachodzie słońca, że nie chcę tego zepsuć, ale skoro już o tym wspomniała...

– To byłaś ty, prawda?

– Co masz na myśli?

– To ty dałaś mi wodę i czekoladę. – Słowa wypadają mi z ust jak felerny fajerwerk, któremu nie można ufać, bo nie wiadomo, kiedy eksploduje. – To ty skontaktowałaś się z moim tatą. Powiedz, Megan... Tak było czy tylko to sobie wyobrażam?

Nie odpowiada od razu. Bierze głęboki oddech.

– To było cholernie przerażające. Widzieć cię taką zakrwawioną. Myślałam, że umrzesz. Musiałam coś zrobić.

– Byłaś tam ze swoim ojcem?

Gdy się do niej odwracam, płacze cicho. Łzy leją się z jej oczu strumieniem.

– Nie, Emily. Byłam tam z moją mamą. I z twoim tatą.

52

LEXI

Nie wierzę, na co patrzę, a zarazem wierzę. To potwierdzenie moich najgorszych obaw. Nie, wróc. To potwierdzenie zdrady, jakiej nie potrafiłabym sobie nawet wyobrazić. Mam przed sobą mail będący dowodem zakupu dwóch biletów lotniczych do Meksyku. W jedną stronę. Z wylotem dziś wieczór. Za dwie godziny.

Natychmiast dzwonię do inspektora Owensa i mówię mu, co znalazłam.

– Jest pani pewna?

– Zaraz go panu prześlę. – Głos mam spokojny, obojętny nawet. Inspektor musi myśleć, że jestem bez serca. Bo tak jest. Wyrwano mi serce. Czuję się tak, jakby Jake przebił pięścią moją pierś, złapał ten witalny narząd, cały zakrwawiony i jeszcze bijący, wyrwał go i podeptał. A wszystko to z równą łatwością, z jaką tłucze się szybę. Rozpadłam się na milion kawałków.

Inspektor oświadcza, że zawiadomi lotnisko i bezzwłocznie wyśle tam swoich ludzi.

– Są już chyba przy bramce. Ale zawsze możemy wstrzymać lot.

Rozlega się dzwonek do drzwi. Nie mam pojęcia, kto to może być. Na pewno nie Jake. Oby była to Emily. Wysłałam do niej esemesa, potwierdziła, że jest u Megan – mimo że wiedziałam tyle dzięki aplikacji,

chciałam usłyszeć to od niej. Nie wolno mi jej zdenerwować, ale muszę się upewnić, że jest bezpieczna. Kazałam jej wrócić do domu uberem, ale nawet jeśli mnie posłucha, będzie tu najwcześniej za pół godziny.

Zatem to Jennifer.

Niemal mi jej żal. Niegdyś byłyśmy sobie tak bliskie. Udawałyśmy, że jesteśmy trzema nogami jednego taboretu, tak samo zaangażowanymi w naszą przyjaźń, wspierającymi się wzajemnie. W głębi ducha jednak przez cały czas wiedziałyśmy, że z nas trzech to Carla jest najładniejsza, najseksowniejsza. Najbardziej zepsuta. Sporadycznie pozwalałyśmy sobie na spojrzenie zazdrości na widok długich gładkich opalonych nóg Carli albo jej najnowszej designerskiej sukienki czy brylantów zwieszających się dyskretnie z płatków jej uszu. Dlatego właśnie odkrycie romansu Jake'a z Jennifer tak mną wstrząsnęło. Założyłabym się o niebagatelną sumę, że jego pierwszym wyborem była Carla. Ponieważ koniec końców okazało się, że mam rację, wygląda na to, że postawiłam na właściwego konia, że to ja wygrałam. Wcale jednak nie czuję się zwyciężczynią. Przeciwnie.

– Gdzie Jake? – pyta Jennifer, przekraczając próg nieproszona.

– Tutaj go nie ma – odpowiadam zgodnie z prawdą.

Rzuca mi współczujące spojrzenie. Przyjmuję je, nie mogąc się doczekać chwili, w której wszystko z siebie wyrzucę. Na razie jednak się powstrzymuję.

– Lexi, bardzo mi przykro, ale naprawdę najwyższa pora, żebyś się pogodziła z faktami. Wiem, że wiesz, że Jake i ja jesteśmy...

– Czym? Czym jesteście? – wpadam jej w słowo.

Jennifer czerwienieje, nie ze wstydu jednak, raczej z irytacji.

– Jesteśmy ze sobą – kończy, a ja unoszę brwi. Ale trzymam język za zębami. – Odeszłam od Freda, a Jake odchodzi od ciebie. Wyjeżdżamy dziś wieczorem. Wszystko już przygotowane. Przegrałaś. Ja wygrałam.

– Dokąd się wybieracie? – pytam.

– Nie chcę o tym z tobą mówić.

– Do Meksyku?

Wygląda na zdziwioną, ale potakuje.

– Jesteś w błędzie, Jennifer. Nie lecisz z moim mężem do Meksyku. Leci z nim Carla. – Jennifer wygląda na skonfundowaną i nic dziwnego. – Najwyraźniej Jake wymienił cię na lepszy model. Kto bogatemu zabroni, co nie?

– Nie... nie wierzę ci – duka.

– Och, jestem pewna, że mi nie wierzysz. Ale taka jest prawda. Oszukał cię tak samo jak mnie. Wszystkich nas oszukał.

Jennifer rozdziawia usta. Widzę jej różowy język, którym robiła dobrze mojemu mężowi. Zarazem czuję z nią wielką bliskość i nienawidzę jej do szczętu. Muszę sobie przypominać, że nie jest najgorsza. Miała tylko romans z Jakiem. Carla bije ją na głowę. Miała romans z moim mężem i porwała moją córkę, aby dostać dziesięć milionów okupu.

A Jake? Jake jest najgorszy!

Jak mógł to wszystko zaplanować i wyrzucić tyle krzywd? Jak mógł narazić na śmiertelne niebezpieczeństwo własne dziecko? Dla pieniędzy? Dla seksu?

– Policja jest już w drodze na lotnisko. Tam dojdzie do aresztowania. Patrick też chyba maczał w tym palce. Znaczy w porwaniu, nie w romansie. Jego także wykiwali. Właśnie go przesłuchują.

Jennifer zaczyna się trząść. Teraz mogę posłać jej to samo współczujące spojrzenie, które ona posłała na wstępie mnie. Zaczyna się odwracać, sięgając do klamki, ale drży zbyt mocno, aby ją uchwycić, nacisnąć i wyjść. Domyślam się, że chciałaby wrócić jak najszybciej do domu i zniszczyć list, który zostawiła mężowi. Ciekawe gdzie. Być może przypięła go do

łodówki albo położyła na stoliku w holu. List, w którym przeprasza, że go opuszcza. Ponieważ zakochała się w Jake’u i pragnie rozpocząć nowe życie u jego boku. Nie jestem bez serca. Otwieram przed nią drzwi, ale zastanawiam się, czy gdy już dotrze do swego wygodnego gniazdka w Great Chester, zastanie męża na miejscu czy raczej Fred zdążył już odejść. Zabierając ze sobą Ridleyę. Przypuszczam, że dowiem się tego w chwili, gdy poprosi mnie o swój udział w wysokości dwóch milionów dziewięciuset siedemdziesięciu sześciu tysięcy funtów. Odłożyłam tę kwotę na osobnym rachunku. Dostanie ją, jak tylko na nią zarobi.

53

LEXI

CZWARTEK, 24 PAŹDZIERNIKA

Oczywiście trafiliśmy do gazet. Nie w charakterze jednorazowej dyskretnej notatki w „The Buckinghamshire Gazette” jak pośmiertnie Reveka i Benke – co to, to nie. Nasza historia rozpychała się na pierwszych stronach tabloidów i gazet krajowych przez wiele dni z rzędu, w miarę jak toczył się proces sądowy. To zrozumiałe; miała wszystko, co potrzebne, by zainteresować ciekawskich, podniecić plotkarzy: wygraną w lotto, ekstrawagancki styl życia, zdradę małżeńską oraz przemoc. Nasze nieszczęście trafiło na usta wszystkich. Zostaliśmy obnażeni przed opinią publiczną. Każdy wiedział, że mój mąż zdradził mnie nie raz, ale dwa razy, i to z kobietami, które przez pół życia uważałam za swoje najlepsze przyjaciółki. Każdy słyszał, że – co jeszcze straszniejsze – Jake Greenwood dla korzyści finansowej naraził własne dziecko na śmiertelne niebezpieczeństwo. To on wynajął zbirów, którzy pobili Emily, związali ją i głodzili przez całą dobę. W sądzie płakał, szlochał, zaklinał się, że nie wydał takich instrukcji, że zbiry wykazały niepotrzebną inicjatywę we własnym zakresie. On prosił tylko, by ją

przetrzymali. Sądził, że zabiorą ją do hotelu, ale złoczyńcy uznali, że to za duże ryzyko, i postąpili zgodnie z własnym planem. Jake nie docenił nikczemności ludzi, w których kręgach się obracał; nie przewidział ich wrodzonej brutalności. Błagał sędziego i przysięgłych, aby mu uwierzyli. Ja chcę mu wierzyć, ponieważ musiałyby być potworem, aby zaplanować coś tak strasznego dla rodzonej córki. Nawet jednak dając wiarę jego słowom, winię go o wszystko i nie zamierzam mu przebaczyć. Nie sposób zaprzeczyć, że to przez niego Emily straciła dziecko. I dzieciństwo. To ostatnie dotyczy też Logana.

Jake'owi zawsze było mało. Chciał więcej. Żona mu nie wystarczała, pragnął kochanki, jednej, potem drugiej. Podczas rozprawy wyszło na jaw, że nigdy nie zaoferował miliona funtów Heathcote'om za zmianę zeznań; zaproponował za to Jennifer życie z nim i „jego” połowę wygranej. Mało mu jednak było prawie dziewięciu milionów, które by dostał, gdyby się ze mną rozwiódł; zainscenizował porwanie, aby zdobyć dziesięć milionów. Przy podziale majątku przy rozwodzie przypadłaby mu połowa tego, co zostało – inaczej mówiąc, zachachmęciłby zdecydowaną większość.

Ale i tego było mu mało. Jennifer mu nie wystarczała.

Carla była wtajemniczona w plan porwania. Patrick obnosił się ze swoją niewinnością. Do tego uparcie twierdził, że powinien otrzymać swój udział w wygranej, ponieważ nigdy nie wystąpił z syndykatu. Oczywiście chodziłam na rozprawy. Nie było to miłe, czułam się upokorzona, ale jak mogłabym sobie tego odmówić? Nie uszło mojej uwagi, że gdy Patrick utrzymywał, że nie wycofał się z syndykatu i że im obojgu należała się działka, sędzia sarknął. Sędziowie powinni zachowywać kamienną twarz, ten jednak nie zdołał się powstrzymać. Wydawał się zniesmaczony całym tym towarzystwem. I chyba dlatego tak surowo ich ukarał. Otrzymali karę pozbawienia wolności. Trzy lata dla Carli i Patricka. Siedem dla Jake'a.

Sędzia był ojcem trzech córek. Nie dziwię się, że mdliło go na widok tej trójcy.

Jennifer, Fred i Ridley przenieśli się gdzieś na północ. Chyba do Leeds. Chcą rozpocząć życie od nowa. Chcą dać sobie szansę. Nie życzę im źle, ale głównie życzę sobie, aby trzymali się od nas z daleka. Nadal mam to konto z odłożonymi trzema milionami funtów. Należą do Freda, pod warunkiem że kiedyś wystarczająco mocno ich zapragnie. Zna warunki. A jeśli nie upomni się o nie, być może przekażę te pieniądze Ridleyowi, gdy osiągnie wiek, w jakim zdoła sensownie zarządzać taką kwotą.

Założyliśmy odrębne fundusze powiernicze dla Megan i jej braci. Chcieliśmy, żeby zamieszkali z nami, ale opieka społeczna uznała, że to zbyt skomplikowane. Żyją więc w Surrey pod dachem ciotki, siostry Carli; ponoć jest to wyjątkowo urocza osoba. Szybko się przystosowali, wiem, że będzie im tam dobrze, znajdą miłość i ciepło. Emily podtrzymuje kontakt z Megan. Oczywiście ich relacja nie jest tak ścisła jak kiedyś – jakżeby mogła taka być? – przesyłają sobie jednak wiadomości przez Snapchata i Messengera. Rozważają nawet, czyby nie spotkać się w Londynie. Nie wiem, czy do tego dojdzie. Czas pokaże, czy ich przyjaźń przetrwa po tym wszystkim, co się wydarzyło. Chyba byłoby lepiej, gdyby nie przetrwała. Niech patrzą przed siebie. Jak powiedziała pracownica opieki społecznej, to skomplikowane.

Moje dzieci mają się dobrze. Biorąc pod uwagę okoliczności, Emily i Logan mają się wręcz rewelacyjnie. Tyle ostatnio przeszli. Spotkała ich krzywda, nad którą przejdą do porządku dziennego po latach – o ile w ogóle. Jestem pod wrażeniem ich odwagi i odporności. Lato spędziliśmy w Mołdawii, w szkole, którą Toma stworzył dla dzieci z trudnych środowisk. Tego było nam trzeba. Wyrwać się. Zostawić swoje dotychczasowe życie za sobą. To, co Toma robi w swoim kraju, jest

nieprawdopodobne. Naprawdę wpływa na życie innych, otwiera możliwości poprzez edukację. Wielu osobom będzie się dzięki niemu żyło lepiej. Uwielbiam go za to.

Uwielbiam go z wielu powodów.

Emily i Logan wrócili do swojej dawnej szkoły. Logan był zachwycony; ma tam grupę dobrych kolegów, którzy o nim nie zapomnieli. Emily przyjaźni się ze Scarlett, Liv i Nellą. Słodkie z nich dziewczyny.

Ja niestety nie wróciłam do pracy w Biurze Porad Obywatelskich. Nasze nazwisko zostało utylane w błocie, przez co stałam się swego rodzaju – niechętną – celebrytką. Sumienna Ellie nie mogła pozwolić, aby to zakłócało pracę BPO. Tęsknię za kolegami i koleżankami, ale rozumiem stanowisko szefowej. W życiu nie można mieć wszystkiego. Zresztą chcę zapewnić swoim dzieciom jak największą stabilność, w czym wydatnie pomaga mi to, że jestem w domu. Nie muszę przecież zarabiać. Policja odzyskała te dziesięć milionów, które Jake rzekomo przekazał porywaczom. Wylądowały one na wielu różnych rachunkach, w większości założonych na jego i Carli nazwisko; niecały milion znalazł się na koncie Patricka. I właśnie ten milion przesądził o winie Pearsona – jakkolwiek by się wypierał współdziałaniu w porwaniu. Nie mam pojęcia, czy to faktycznie była jego część okupu, czy raczej Carla zostawiła mu co nieco na otarcie łez, aby zagłuszyć poczucie winy. A może chodziło o coś znacznie okrutniejszego? Może Jake i Carla wrobili Patricka? Przypuszczam, że ta zagadka pozostanie nierozwiązana. W każdym razie pieniądze wróciły do mnie. Wiele rozmawiałam z dziećmi o tym, co z nimi zrobimy. Będąc pod wrażeniem szkoły w Mołdawii, Emily i Logan zaproponowali utworzenie czegoś podobnego w Anglii – organizacji charytatywnej, która będzie otwierać możliwości przed młodzieżą; świecąc blaskiem tam, gdzie dotąd była tylko czerń rozpacz.

– Ale nie za wszystko, mamó, co? – upewniła się Emily. – Część wydajmy też na ciuchy i inne rzeczy.

– Dobrze, kochanie – obiecałam.

Pozostaliśmy w wynajętym domu dłużej, niż pierwotnie zakładałam; w czasie procesu potrzebowaliśmy schronić się za murem strzeżonego osiedla, by unikać choćby namolnych dziennikarzy, ale teraz szykujemy się do powrotu do naszego dawnego domu. Mieszkając tutaj, zleciliśmy pewne prace remontowe. Dom powiększył się o dodatkowy pokój i oranżerię. Nie mogę się doczekać przeprowadzki. I powrotu do normalności.

54

SOBOTA, 13 KWIETNIA

Nie w tym tygodniu – ogłosił Jake, podnosząc wzrok znad komórki. Twarz ściągnął w wyraz będący parodią rozczarowania. – Nie trafiliśmy ani jednej liczby.

– Czyli normalka – odparła Lexi. Nikt inny się nie odezwał. Głuche milczenie zaczęło powoli ciążyć. Fred mówił akurat o... o tym czy tamtym, Lexi nie pamiętała dokładnie; był to może silnik samochodowy albo ciśnienie w oponach? Z całą pewnością nic ciekawego, ale i tak odzywka Jake'a przypominająca wszystkim, że znów nic nie wygrali, zageściła atmosferę. Nikt nie lubi, aby mu przypominać, że przegrał, nawet jeśli tak naprawdę nie było szans na wygraną. – A tak przy okazji, pora znów się rzucić do wspólnej puli.

– Po co my w ogóle gramy w to cholerne lotto? – zapytał Patrick z poczerwieniałą twarzą. – Jaki jest, cholera, sens?

Lexi nie rozumiała, czemu Pearson nagle narzeka. Zaraz po przyjsciu przypiął się do butelki czerwonego wina, którą przyniósł, i zdążył ją opróżnić sam, zanim podała do stołu drugie danie.

– Robimy to, bo zawsze robiliśmy, zgadza się? Od dnia, w którym się poznaliśmy. To stanowi o nas, o naszej paczce. – Uśmiechnęła się chłodno. – Pamiętacie, jak mówiliśmy, że jeśli wygramy, zainwestujemy w całodobową opiekę nad dziećmi? – Coś takiego było marzeniem wszystkich wykończonych świeżo upieczonych rodziców.

– Jeśli o mnie chodzi, wciąż o tym myślę – powiedziała Carla, wykrzywiając twarz. – Tyle że nie musi to być niania, raczej prywatny detektyw, który by chodził krok w krok za Megan. Od pewnego czasu nigdy nie wiem, gdzie jest ani co zamierza.

– Ja bym wolała jasnowidza – wtrąciła Jennifer. – Żeby czytać Ridleyowi w myślach. Nawet nie wiesz, jakie masz szczęście, Lexi, że twoja Emily jest trajkotką. Mój syn komunikuje się monosylabami. Typowy chłopak.

– To najlepsze, co przychodzi wam do głowy? Wydać kasę na śledzenie własnych dzieci? – rzucił wyzywająco Jake. – Gdybym ja wygrał, miałbym z tego znacznie więcej frajdy.

– Pewnie byś kupił lamborghini i jacht – odezwał się Fred z uśmiechem.

– A jakże! – Jake się rozpromienił. – A ty?

– Większy dom. Kilka większych domów. Jeden tu, drugi w Londynie.

Do rozmowy włączyła się Jennifer:

– I na południu Francji.

– I w Kalifornii – dodała Carla.

– A ty, Patrick? Też byś zainwestował w nieruchomości? – Lexi nie zdołała się powstrzymać. To zrozumiałe, zważywszy, czego się dowiedziała. Patrick posiadał liczne nieruchomości, z których większość była w takim stanie, że nie nadawała się na lokum dla zwierzęcia gospodarskiego. Przez to Lexi było trudno wysiedzieć z nim przy jednym

stole, częstować go jedzeniem. Biorąc pod uwagę jej podejrzenia... Właściwie była przekonana, że Patrick jest chytrym kamienicznikiem, tyle dało dochodzenie prowadzone przez nią wspólnie z panem Albu. Teraz pozostało jej tylko odkryć, czy był tym kamienicznikiem. Winnym śmierci Reveki i jej syna. Miała się tego dowiedzieć w następnym tygodniu. I przygotowywała się na to, że w przyszłym tygodniu wszystko się zmieni.

– Może – odparł Patrick z ziewnięciem. Wyglądał na znudzonego.

– A może raczej zainwestowałbyś w udogodnienia w tych lokalach, które już masz? – podsunęła dość desperacko, licząc, że jednak nic się między nimi nie zmieni. Przyjaźnili się od tylu lat; co im zostanie, jeśli stracą tę relację?

– O nie, co to, to nie! – Pearson się zaśmiał, a jego duży brzuch, świadczący o zbyt wielu pochłoniętych służbowych kolacjach, zatrzęsł się razem z jego podbródkiem. – Lepiej nie rozpieszczę lokatorów.

Lexi poczuła mdłości.

– A ja myślę, że posłałabym Ridleya do prywatnego college'u. Marlborough albo Eton – zaszczebiotała Jennifer.

Jake podniósł rzuconą rękawicę.

– Ja kazałbym zbudować baseny we wszystkich moich posiadłościach. I latałbym odtąd wyłącznie pierwszą klasą.

– Ja bym się ubierała wyłącznie w ciuchy prosto z wybiegu, nawet do sprzątnia – podjęła zabawę Carla.

– Przecież ty nie sprzątasz – mruknął Patrick. – Mamy sprzątaczkę.

– Nie przyszło wam do głowy, żeby zrobić coś dobrego? – Pięć par oczu skierowało się na Lexi, która zadała to pytanie.

– Dobrego? – powtórzyli chórem.

– Wsparcie organizacji charytatywnych, założenie funduszy powierniczych czy fundacji...

– A, tak, tak, oczywiście – pośpieszyli z zapewnieniem.

– Mówię tylko, że fajnie by było się porozpieszczać, ale tak totalnie.

Patrick spojrział z irytacją na mówiącą te słowa żonę. Z tego, co Lexi wiedziała, rozpieszczał Carlę na każdym kroku, ale jej było wiecznie mało. Czy ona w ogóle miała pojęcie, jak żyją inni ludzie, aby ona mogła nosić designerskie stroje i żeby jej mąż mógł tyć? Zapewne nie. To znaczy Lexi miała taką nadzieję. Gdyby do tego wszystkiego Carla orientowała się w stanie wynajmowanych przez Patricka lokali... To byłoby nie do zniesienia.

– Kupiłbym sobie zegarek na każdy dzień tygodnia – kontynuował grę Jake. – No wiecie, Patek Philippe na poniedziałki, Chopard na wtorki, Rolex na środy...

– Na Boga, chłopie, dorośnij! – warknął Patrick.

Zdumieni gospodarze przenieśli na niego spojrzenia, pozostali wbili wzrok w talerze przed sobą. Lexi poczuła, jak przechodzi ją zimno.

– Skończcie te wygłupy – ciągnął Pearson. – Całe to gadanie tylko mnie wkurza. Nie tak się zarabia pieniądze w tym świecie. Żeby być bogatym, trzeba się naharować.

– Ależ Patrick... Gra w lotto to tylko zabawa – próbowała go uspokoić Lexi.

– To czyste naiwniactwo – mruknął agresywnie.

Lexi poczuła, jak włoski jej się jeżą. Takie słowa z jego ust? Miała ochotę go uderzyć. Ale przede wszystkim chciała ratować ich piętnastoletnią przyjaźń.

– To tylko parę funciaków, co się tak burzysz, chłopie? – rzucił Jake ze śmiechem, mając chyba zamiar załagodzić sytuację, ale wypadło to dość zaczepnie.

Patrick zaczął się wiercić na krześle, włożył palec między szyję a kołnierzyk, jakby miał za mocno zawiązany krawat, choć tego wieczoru akurat żadnego nie włożył.

– Nie chodzi o pieniądze, oczywiście, że nie chodzi o pieniądze...

– A o co?

– O to, co ta cała gra w lotto mówi o nas.

Teraz już nikt na nikogo nie patrzył. Lexi chciała zaproponować deser albo następną kolejkę, ale ostatecznie zrezygnowała z tego pomysłu.

– A co o nas mówi? – Jake się uśmiechał, jednak samym grymasem warg.

– Daj spokój, chłopie, przecież wiesz.

– Nie, nie wiem.

– Lotto jest dla nieudaczników. Nieudacznikami są nawet ci, którzy wygrywają. – Patrick zaśmiał się brzydko pod nosem. – Wiecie, jak to idzie. Ktoś wygrywa ogromną sumę pieniędzy i kupuje sobie dom albo dwa, drogi samochód, dokładnie tak, jak to opisaliście. Wciąga fortunę nosem, jeździ po całym świecie na wakacje, po czym parę lat później znów mieszka w najmowanym domu i przemieszcza się komunikacją miejską. Ci ludzie nie mają wyobraźni.

– Ci ludzie?

– A najsmutniejsze jest to, że przestają być szczęśliwi, bo zakosztowali życia na poziomie, ale tylko na krótko. – Patrick sięgnął po butelkę whisky, którą Jake dostał od teściowej na urodziny, i nalał sobie solidną miarę. Po chwili z pewną goryczą dodał: – Wygrywają zawsze patałachy. Statystycznie mają większe szanse, bo to obiboki i pasożyty społeczne. Głównie tacy bawią się w lotto.

Jake prychnął.

– Czy ktoś w ogóle jeszcze mówi „pasożyty społeczne”?

– Ja właśnie tak powiedziałem – odparł z powagą Patrick. – Co za marnotrawstwo. Ci ludzie nie przywykli do posiadania pieniędzy, nie wiedzą, co z nimi zrobić. Jak inwestować, jak wydawać, jak oszczędzać... Nieudacznicy.

– Marzyciele – skontrowała Lexi.

Jake wybuchnął śmiechem. Był to teatralny, przedobrzonny śmiech.

– Skoro masz takie poglądy, dlaczego grasz z nami w lotto od piętnastu lat?

– Żeby wam sprawić przyjemność. – Patrick wyszczerzył się zimno. – Zachowujecie się, jakby was to podniecało. – Ostatnie słowo wypowiedział kpiącym, lekceważącym tonem.

– Nie musisz należeć do syndykatu – stwierdziła Lexi. – Nie ma przecież przymusu.

– W porządku. Nie chcę wam psuć zabawy, ale...

– Ale?

– Wycofujemy się.

– W porządku. – Lexi skinęła głową.

Wiedziała, że na pierś i szyję wypełza jej rumieniec wstydu. Miała tylko nadzieję, że nie sięgnie twarzy. Nie była pewna, z jakiego powodu się zawstydziała. Chodziło o coś trudnego do uchwycenia. Poczowała się znieenacka oskarżona. Ale o co? Nie wiedziała. Czyżby wraz z Jakiem wywierała presję na przyjaciół, aby co tydzień dorzucali się do puli? Żeby robili coś, na co nie mieli najmniejszej ochoty? Ale przecież chodziło zaledwie o kilka funtów. Czemu mieliby nie chcieć? To była tylko zabawa. No i żeby to właśnie Patrick ze wszystkich ludzi miał ją oceniać! Kto mu dał prawo? Czuła się urażona, zraniona.

– Przecież i tak nic nigdy nie wygramy – poparła męża Carla.

– Nie, ale... – Lexi zamilkła.

Nie chciała powiedzieć głośno, że to ich tradycja, że ceni ją właśnie dlatego, że jest ich. Podobnie jak wspólne oglądanie fajerwerków w Noc Guya Fawkesa i witanie nowego roku. Wszystko to robili razem od niepamiętnych czasów. Skoro jednak musiałyby im to powiedzieć, nie było żadnej tradycji. Bo co to za tradycja, w którą wierzy tylko jedna osoba?

– Gra w lotto to jak zdjęcie koszuli w miejscu publicznym czy posiadanie tatuażu – oznajmił Patrick. – Coś równie prostackiego.

Jake się zjeżył. Sam miał tatuaż na ramieniu. Wszyscy o tym wiedzieli, o niczym innym nie mówili podczas pierwszego wspólnego urlopu w Hiszpanii, kiedy pojechali do apartamentu rodziców Lexi wiele lat temu. W gruncie rzeczy o niczym innym nie mówili także podczas następnych urlopów.

Cisza aż pulsowała.

– Och, do kurwy nędzy. To tylko parę funciaków. Skoro macie z tego frajdę... – rzuciła Carla, sięgając do torebki, aby wyjąć z niej portmonetkę. – To piątek od nas. Dorzucamy się do puli. – Nienawidziła, kiedy jej mąż się nadymał i urządzał sceny. Patrick przewrócił oczami. – No dobra – dodała stalowym głosem. – Nie mamy nic przeciwko temu, żeby grać z nimi dalej, prawda?

– Skoro to cię uszczęśliwi. – Wzruszył ramionami i dopił whisky.

Fred poszedł w ich ślady. Marynarkę miał przewieszoną przez oparcie krzesła, wyciągnął z jej kieszeni portfel i dorzucił do puli dziesięć funtów, odbierając sobie resztę w postaci pięciofuntowego banknotu dołożonego przez Carłę.

– Jesteśmy z wami, Lexi. Przecież to tylko zabawa, nie? Po co mamy się kłócić?

Jennifer się wyszczerzyła i wbiła oczy w Jake'a.

– Kto wie, kiedy uśmiechnie się do nas szczęście. Równie dobrze nasze liczby mogą zostać wylosowane już w przyszłym tygodniu, a wtedy nasze życie zmieni się na zawsze.

PODZIĘKOWANIA

Drogi Czytelniku, przygotuj się na naprawdę długie podziękowania. Nigdy ich nie szczędzę, ale przy okazji publikacji dwudziestej z rzędu książki naprawdę mam za co wyrażać swoją wdzięczność.

Jonny Geller – dziękuję ci za wieloletnie wsparcie, twoje rady oraz prawdziwą przyjaźń. Jakie to szczęście, że się spotkaliśmy tyle lat temu. Jak powiedział Mark Twain: „Sukces to podróż, nie cel sam w sobie. Wymaga ciągłego wysiłku, czujności i zmiany poglądów”. W naszym przypadku to z pewnością była podróż; cieszę się, że przeszliśmy razem każdy jej etap.

Nigdy nie wiem, jak dziękować moim wydawczyniom: Kate Mills i Lisie Milton, dwóm najbardziej niesamowitym kobietom, z jakimi dane mi było współpracować. Jesteście wspaniałe: tryskacie entuzjazmem i pomysłami, w świecie biznesu czujecie się jak ryba w wodzie, a do tego nie macie problemu z podejmowaniem decyzji. Mam przeogromne szczęście, że was znalazłam. I bardzo was szanuję.

Charliemu Redmayne’owi dziękuję za to, że jest okazującym zainteresowanie i wsparcie, a przy tym inspirującym szefem. Dowodzisz wspaniałym statkiem, Charlie.

Od zawsze wierzę, że jeśli jakaś książka osiąga sukces, jest to zasługą niezliczonej rzeszy osób, które wykonały dobrze swoją robotę. Jestem zachwycona, że mogę współpracować z takimi fantastycznymi ludźmi

w kraju i za granicą. Doceniam talent i zaangażowanie każdego, kto przyczynił się do powstania tej książki. A są to: Anna Derkacz, Georgina Green, Fliss Porter, Sophie Calder, Izzy Smith, Joanna Rose, Claire Brett, Darren Shoffren, Becky Heeley, Agnes Rigou, Aisling Smyth, Emily Yolland, Kate Oakley i Anna Sikorska.

Ślę także serdeczne podziękowania za granicę, gdzie ich adresatami są: Loriana Sacilotto, Margaret Marbury, Leo McDonald, Carina Nunstedt, Celine Hamilton, Pauline Riccius, Anna Hoffmann, Eugene Ashton, Olinka Nell i Rahul Dixit. Są też inni, których jeszcze nie poznałam, ale wiem, że jestem niesamowitą szczęściarą, ponieważ profesjonaliści z całego świata poświęcają moim książkom swoje uczucia i uwagę. To niesłychanie ekscytujące. Dziękuję wam wszystkim.

Dziękuję również swoim czytelnikom, bloggerom, recenzentom, księgarzom, bibliotekarzom i kolegom po piórze, którzy wspierają mnie od napisania pierwszej książki. Bez was nigdy bym sobie nie poradziła.

Dziękuję mamie, tacie, siostrze, siostrzenicom i siostrzeńcowi, którzy nieprzerwanie mnie wspierają i kochają zarówno mnie, jak i moje książki – bez względu na to, czy sprzedaż szybuje czy pikuje!

Dziękuję, Jimmy. Dziękuję, Conradzie. Żadna kobieta nie mogłaby pragnąć większego wsparcia od męża i syna. Zaiste wygrałam na loterii.

Na koniec składam gorące podziękowanie Guyowi Rudolphowi i Andy'emu Carterowi za to, że poświęcili mi swój czas i podzielili się ze mną swoją wiedzą na temat tego, co się dzieje, gdy ktoś wygrywa w lotto. Było to bardzo uprzejme z waszej strony!

O AUTORCE

Adele Parks urodziła się w aglomeracji Teesside w regionie North-East England. Studiowała filologię angielską na uniwersytecie w Leicester. Po studiach pracowała w reklamie. Pierwszą książkę wydała w 2000 roku. W samej Wielkiej Brytanii do tej pory sprzedało się 3,8 miliona egzemplarzy wszystkich jej tytułów. Jej książki zostały też przetłumaczone na 27 języków. Ma na koncie 19 międzynarodowych bestsellerów, w tym najnowszy *Kłamstwa, wszędzie kłamstwa*, który zajął pierwsze miejsce na liście „Sunday Timesa”. Jest ambasadorką National Literacy Trust oraz sędzią Costa Book Awards. Dotąd mieszkała w Botswanie, Włoszech i Londynie, obecnie zaś jest mieszkanką Guildfordu w hrabstwie Surrey. Ma męża, nastoletniego syna i kota. *Uważaj, czego pragniesz* jest jej 20 książką napisaną w ciągu 20 lat.

TEJŻE AUTORKI

Powieści

Game Over

Skok w bok

Larger than Life

Na jej miejscu

Still Thinking of You

Husbands

Opowieści młodych mężatek

Happy Families

Mów do mnie jeszcze

Romantyczne kłamstwa

Mężczyźni, których kochałam

About Last Night

Whatever It Takes

Spotkanie w chmurach

Spare Brides

If You Go Away

The Stranger in My Home

The Image of You

I Invited Her In

Just My Luck // [Takie moje szczęście] (w przygotowaniu)

Zbiory opowiadań

Love Is a Journey

SPIIS TREŚCI:

Okładka

Karta tytułowa

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Podziękowania](#)

[O autorce](#)

[Tejże autorki](#)

[Karta redakcyjna](#)

TYTUŁ ORYGINAŁU:

Just My Luck

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Agata Garbowska-Karolczuk

Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta: Bożena Sęk

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © Momentum Ronnarong / Shutterstock.com

Just My Luck

Copyright © Adele Parks 2020

Adele Parks asserts the moral right to be acknowledged as the author of this work.

Copyright © 2022 for the Polish edition by Wydawnictwo KobiECE Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Urszula Gardner, 2022

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2022

ISBN 978-83-67335-47-8

Grupa Wydawnictwo Kobieta | www.WydawnictwoKobieta.pl



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek